

The most comprehensive
and detailed program ever
developed



MARIAN KEYES

**Anybody
Out
There?**





MARIAN KEYES

JEST TAM KTO?

Tytuł oryginału: Anybody Out There?

przełożyła Ewa Pankiewicz

Siostry Walsh 04



Prolog

Na kopercie nie było adresu nadawcy. Dziwne. Od razu lekko zaniepokojona, jeszcze większą obawę poczułam, ujrzawszy na niej moje nazwisko i adres...

Rozsądna kobieta nie otworzyłaby jej. Rozsądna kobieta wyrzuciłaby ją do kosza na śmieci i poszłaby dalej. Ale kiedyż ja w ogóle, poza krótkim okresem między dwudziestym dziewiątym a trzydziestym rokiem życia, byłam rozsądna?

Tak więc otworzyłam tę kopertę.

Była w niej karta, akwarelka przedstawiająca misę wędnących kwiatów. Tak cienka, że poczułam, iż kryje coś w środku. Pieniądze? A może czek, pomyślałam. Był to jednak czysty sarkazm i choć nikt nie mógłby mnie usłyszeć, na wszelki wypadek mówiłam te słowa wyłącznie w myślach.

W istocie koperta coś w sobie kryła: fotografię... Dlaczego mi ją przysłano? Miałam już mnóstwo podobnych. Potem zobaczyłam, że się myliłam. To wcale nie był on. I nagle zrozumiałam wszystko.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1

Mama szeroko otworzyła drzwi salonu.

- Dzień dobry, Anno, czas na twoje tabletki - obwieściła.

Próbowała wkroczyć dziarsko, niczym pielęgniarce w szpitalnych serialach, ale było tu tak dużo mebli, że musiała przeciskać się między nimi, zmierzając w moją stronę.

Kiedy przed ośmioma tygodniami zjawiłam się w Irlandii, nie mogłam wejść na schody z powodu przemieszczenia rzepki kolanowej, więc rodzice znieśli łóżko na dół, do Reprezentacyjnego Pokoju Frontowego.

To był bez wątpienia wielki zaszczyt; w normalnych okolicznościach pozwalano nam tam wchodzić tylko w święta Bożego Narodzenia. Przez cały rok wszystkie domowe rozrywki - oglądanie telewizji, picie czekolady, rodzinne sprzeczki - odbywały się w ciasnym garażu, który po przeróbce zyskał dumny tytuł Pokoju Telewizyjnego.

Jednak z chwilą zainstalowania w RPF mojego łóżka pozostałe sprzęty - ufryzlowane sofy i fotele - nie miały gdzie się podziać. Pokój wyglądał więc teraz niczym jeden z tych sklepów z przecenionymi meblami, gdzie miliony kanap są tak ściśnięte, że człowiek musi przez nie przelazić prawie jak przez głazy leżące wzdłuż nadmorskiego bulwaru.

- No dobrze, panienko. - Mama spojrzała na kartkę z dokładnym harmonogramem podawania mi lekarstw: antybiotyków, antydepresantów, pigułek przeciwzapalnych i nasennych, witamin i środków przeciwbólowych, które wywoływały bardzo przyjemne uczucie odpływania, a także jakiegoś członka rodziny valium, którego wcześniej zabrała do sekretnej kryjówki.

Wszystkie pudełeczka i słoiczki stanęły na małym, misternie rzeźbionym stole - by zrobić im miejsce, przesunięta została para porcelanowych psów o niezrównanej brzydocie, które teraz siedziały na podłodze i patrzyły na mnie z wyrzutem - i mama zaczęła je sortować, wyjmując z pudełek pastylki, a z buteleczek wytrząsając kapsułki.

Moje łóżko roztropnie ustawiono przy oknie, abym mogła spoglądać na toczące się za nim życie. Tyle tylko, że nie mogłam: w oknie była bowiem firanka równie nieruchoma jak żelazna kurtyna. Nie fizycznie nieruchoma, rozumiecie, ale towarzysko: na przedmieściu Dublina odważne uniesienie firanki, by mieć dobry widok na „toczące się życie”, jest towarzyskim nietaktem równoznacznym z pomalowaniem frontonu domu w szkocką kratę. Poza tym nie istniało tu żadne toczące się życie. Oprócz... Faktycznie, przez tę zwiewną barierę zaczęłam dostrzegać, że niemal codziennie jakaś starsza kobieta przystaje tu, pozwalając, by jej pies obsikał słupek naszej bramy. Czasami myślałam, że ten pies - miły czarno-biały terier - nawet nie ma ochoty sikać, ale jego właścicielka zdawała się nalegać.

- Okay, panienko - przed tym wszystkim mama nigdy nie nazywała mnie „panienką” - połknij je. - Wsunęła mi do ust garść pigułek i podała szklankę wody. Była naprawdę bardzo miła, nawet jeśli, jak podejrzewałam, tylko grała jakąś rolę.

- Wielki Boże... - rozległ się jakiś głos. To była moja siostra Helen, która wróciła do domu z nocnej zmiany. Stała w drzwiach, spoglądając na wszystkie frędzle, i zapytała: -Jak ty możesz to znieść?

Helen jest najmłodsza z naszej piątki i wciąż mieszka z rodzicami, chociaż ma już dwadzieścia dziewięć lat. A dlaczego miałyby się wyprowadzać, pyta często, skoro ma tu darmowy dach nad głową, telewizję kablową i kierowcę (ta-

te)? Oczywiście wyżywienie, to przyznaje, jest pewnym problemem, ale na wszystko są sposoby.

- Witaj, kochanie - powiedziała mama. - Jak było w pracy?

Po kilku zawodowych zakrętach Helen (wcale nie zmyślam, choćbym chciała) została prywatnym detektywem. Wierzcie, to wcale nie jest tak niebezpieczne i ekscytujące, jak się wydaje. Głównie zajmuje się przestępstwami urzędniczymi i „domowymi”, gdzie musi zdobywać dowody, że jakiś mężczyzna ma romans. Dla mnie takie zajęcie byłoby okropnie przygnębiające, ale Helen mówi, że jej to nie przeszkadza, gdyż zawsze wiedziała, że mężczyźni są totalnymi kanalami.

Spędza mnóstwo czasu, siedząc w mokrych krzakach z aparatem o długim obiektywie i próbując utrwalić na zdjęciach widok cudzołóżników wychodzących z miłosnego gniazdko. Mogłaby siedzieć w swoim ładnym, ciepłym, suchym samochodzie, ale ma skłonności do zasypiania i przegapiłaby właściwy moment.

- Mamo, jestem okropnie zestresowana przymilała się. -Mam jakąś szansę na valium?

-Nie.

- Gardło mnie boli. Kontuzja z pola walki. Idę spać.

Z powodu czasu spędzanego w wilgotnych krzakach Helen często miewa bóle gardła.

- Za chwilę przyniosę ci trochę lodów, kotku - odparła mama. - Powiedz, bo umieram z ciekawości, uchwyciłaś właściwy moment?

Mamie podoba się zawód Helen, może jeszcze bardziej niż mój, a to mówi wiele. Czasami, kiedy Helen jest bardzo znudzona albo wystraszona, mama nawet chodzi z nią do pracy.

Weźmy sprawę zaginionej kobiety: szukając śladów (lotniczych biletów do Rio itp.), Helen musiała wejść do jej mieszkania, więc mama poszła także, bo

uwielbia oglądać wnętrza domów innych ludzi. Powiada, że to niewiarygodne, jak w nich brudno, gdy gospodarze nie spodziewają się gości. Przynosi to mamie wielką ulgę i ułatwia życie w jej własnym, dalekim od nieskazitelnosci „gniazd-ku”. Ponieważ jednak jej życie zaczęło się upodabniać (aczkolwiek na krótko) do jakiegoś serialu kryminalnego, próbowała wyważyć zamknięte drzwi mieszkania, uderzając w nie ramieniem, chociaż - czego nie mogę nie podkreślić - Helen miała klucz. I mama o tym wiedziała. Wręczyła go bowiem Helen siostra tej zagi-nionej kobiety, a mamie za jej trud przypadło... paskudne stłuczenie ramienia.

- Było całkiem inaczej niż w telewizji - narzekała potem, masując obolałe miejsce.

Później, na początku tego roku, ktoś próbował zabić Helen. Tym, co wówczas odczuliśmy, był nie tyle szok, że coś tak strasznego w ogóle się zdarzyło, ile zdumienie, że nie doszło do tego znacznie wcześniej. Naturalnie, nie była to żad-na próba zamachu na jej życie. Ktoś rzucił kamieniem w okno Pokoju Telewi-zyjnego w czasie kolejnego odcinka któregoś z seriali. Prawdopodobnie był to jeden z miejscowych nastolatków, wyrażający w ten sposób swoją młodzieńczą frustrację, ale mama już po chwili dzwoniła do wszystkich, mówiąc, że jacyś lu-dzie starają się „zastraszyć” Helen i „chcą odsunąć ją od sprawy”. Ponieważ „sprawa” była mała (urzędowe dochodzenie dotyczące oszustwa: jakiś praco-dawca zlecił Helen zainstalowanie ukrytej kamery, by zobaczyć, czy jego pra-cownicy podkradają naboje do drukarek), wydawało się to mało prawdopodobne. Ale kimże ja byłam, by psuć im zabawę? Wszyscy uważali zdarzenie za nie-zmiernie ekscytujące. Z wyjątkiem taty, ale tylko dlatego, że to on był tym, który musiał wynieść potłuczone szkło i zakleić dziurę foliową torbą, która tkwiła tam, dopóki nie przyszedł szklarz - czyli przez następne sześć miesięcy. (Podejrze-wam, że mama i Helen żyją w jakimś fantastycznym świecie, myśląc, że pewne-

go dnia ktoś się zjawi i zmieni ich egzystencję w nadzwyczajny serial telewizyjny, w którym one, czego nie trzeba dodawać, zagrają siebie).

- Tak, dopadłam go! Ale draka! No, idę spać. Zamiast tego wyciągnęła się na jednej z wielu kanap. - Ten facet dostrzegł mnie w krzakach, jak robiłam mu zdjęcie.

Mama uniosła dłoń ku ustom w sposób, w jaki zrobiłaby to jakaś serialowa bohaterka, gdyby chciała pokazać lęk.

- Nie ma powodu do obaw - powiedziała Helen. - Pogawędziliśmy trochę. Poprosił mnie o numer telefonu. Palant! -dodała z druzgocącą pogardą.

Trzeba bowiem dodać, że Helen jest bardzo ładna. Mężczyźni, nawet ci, których szpieguje dla ich żon, zakochują się w niej. Mimo że jestem o trzy lata starsza, wyglądamy bardzo podobnie: niewysokie, długowłose brunetki o niemal identycznych twarzach. Mama czasami nas myli, zwłaszcza gdy nie ma swoich okularów. Jednak w przeciwieństwie do mnie Helen ma jakąś magiczną siłę przyciągania. Operuje nią na całkowicie wyjątkowej częstotliwości, dostępnej dla mężczyzn prawdopodobnie w taki sam sposób jak gwizd, który słyszą tylko psy, i magnetyzującej ich. Kiedy mężczyźni poznają nas obie, można dostrzec ich załopotanie. Dosłownie widać, jak myślą: „Wyglądają tak samo, ale Helen działa na mnie jak narkotyk, podczas gdy ta Anna jest jakaś taka...”. Nie znaczy to jednak, że wychodzi im to na dobre. Helen się chwali, że nigdy nie była zakochana, a ja jej wierzę. Wolna od wszelkiego sentymentalizmu, żywi pogardę dla wszystkiego i wszystkich.

Nawet dla Luke'a, chłopaka - no dobrze, teraz już narzeczonego - Rachel. Luke jest tak przystojny, tak seksowny i tak testosteronowy, że boję się być z nim sama. To znaczy... jest wspaniały, naprawdę wspaniały, ale po prostu, no wiecie... stuprocentowo męski. Podoba mi się, a jednocześnie coś mnie od niego odpycha, jeśli to, co mówię, w ogóle ma jakiś sens... Wszyscy... nawet mama... po-

wiedziałabym, że nawet tata... czują do niego jakiś seksualny pociąg. Wszyscy z wyjątkiem Helen.

Nagle mama ścisnęła moją rękę... na szczęście nie tę złamaną.

- Patrz! Ta wesoła dziewczuszka, Angela Kilfeather! Ze swoją wesołą dziewczuszką! Najwyraźniej przyjechała do domu z wizytą!

Angela Kilfeather jest najbardziej egzotyczną istotą, jaka kiedykolwiek pojawiła się na naszej ulicy. No cóż, właściwie to nieprawda; moja rodzina jest czymś znacznie bardziej dramatycznym ze swoimi rozbitymi małżeństwami, próbami samobójczymi, lekomanią i Helen, ale mama wykorzystuje Angelę Kilfeather jako miarę: bo chociaż jej córki mają się kiepsko, to przynajmniej nie są lesbijkami, które całują się z jęczyzkiem ze swoimi przyjaciółkami za podmiejskimi cyprysami.

(Helen pracowała kiedyś z pewnym Hindusem, który błędnie przetłumaczył angielskie słowo „gays” na „weseli chłopcy”. Przyjęło się tak bardzo, że niemal każdy, kogo znam, łącznie z moimi przyjaciółmi-gejami, mówiąc o gejach, nazywa ich „wesółymi chłopcami”. Zawsze z hinduskim akcentem. Logiczny zatem jest wniosek, że lesbijki są „wesółymi dziewczuszkami”, co także wymawia się u nas z hinduskim akcentem).

Mama znów zerknęła jednym okiem w szczelinę między ścianą a firanką.

- Nie widzę, podaj mi lornetkę - rzuciła do Helen, która wyjęła ją z plecaka skwapliwie... ale tylko na własny użytek. Rozegrało się małe, ale zaciekle starcie.

- Bo przejdzie! - błagała mama. - Pozwól mi zobaczyć.

- Obiecaj, że dasz mi valium, a dar dalekowzroczności będzie twój.

Mama była w rozterce, ale postąpiła właściwie.

- Wiesz, że nie mogę tego zrobić - powiedziała z patosem. _ Jestem twoją matką i byłoby to nieodpowiedzialne.

- Jak sobie chcesz - odparła Helen, po czym spojrzała przez lornetkę, mrużąc: - Chryste Panie, chciałabyś to widzieć! Ale heca! Co one próbują zrobić? Usunąć sobie migdał-ki?!

Na to mama zeskoczyła z kanapy i starała się wyrwać Helen lornetkę. Moczyły się jak dzieci, przestając dopiero wtedy, gdy walnęły mnie w rękę, tę obolałą, i mój krzyk bólu przywrócił im poczucie przyzwoitości.

Rozdział 2

Po umyciu mnie mama zdjęła mi z twarzy bandażę, jak to robiła każdego dnia, a następnie opatuliła kocem. Siedziałam więc teraz w mikroskopijnym ogródku za domem, obserwując, jak trawa rośnie (środki przeciwbólowe sprawiły, iż byłam niezwykle otumaniona i pogodna), i wietrząc swoje rany.

Wcześniej jednak lekarz powiedział, że wystawianie ich na bezpośrednie działanie słońca jest surowo *verboten*, zatem mimo niewielkich szans na słońce w kwietniowej Irlandii miałam na głowie idiotyczny kapelusz z szerokim rondem, który mama nosiła na ślubie mojej siostry Claire. Na szczęście nie było tu nikogo, kto by mnie w tym zobaczył. (Do odnotowania filozoficzne pytanie w stylu: Kiedy drzewo przewraca się w lesie, w którym nie ma nikogo, kto by to słyszał, czy istnieje odgłos upadania drzewa? A kiedy nosi się idiotyczny kapelusz, ale nie ma nikogo, kto by go widział, czy wciąż jest idiotyczny?).

Niebo było błękitne, dzień całkiem ciepły i wszystko wokół Przyjemne. Słuchałam Helen, kaszłającej od czasu do czasu w sypialni na piętrze, i z rozmarzeniem patrzyłam, jak śliczne kwiaty kołyszą się w lekkiej bryzie na lewo, potem na prawo, potem znów na lewo... Były tu późne żonkile, tulipany i jakieś inne, różowawe, których nazwy nie znałam. Zabawne, przypominałam sobie, mieliśmy kiedyś okropny ogródek, najgorszy na całej ulicy i prawdopodobnie w całym

Blackrock. Przez lata był po prostu wysypiskiem zardzewiałych rowerów (naszych) oraz pustych butelek po whisky (też naszych) i właśnie dlatego, w przeciwieństwie do innych, przyzwoitszych i ciężko pracujących rodzin, mieliśmy ogrodnika: Michaela, gderliwego, leciwego mężczyznę, który nie robił nic poza tym, że kazał mamie stać w przejmującym chłodzie, podczas gdy sam tłumaczył, dlaczego nie może skosić trawnika („Jak się skaleczyć, wskakują zarazki, rozłaza się i zara jesteś trup”) albo dlaczego nie może przyciąć żywopłotu („Ta ściana potrzebuje jego wsparcia, psze-pani”). Zamiast powiedzieć, żeby się stąd zabierał, mama kupowała mu najwykwintniejsze ciasteczka, po czym tata w środku nocy kosił trawnik, byle tylko nie stawać z nim twarzą w twarz. Gdy jednak tata przeszedł na emeryturę, mieli wreszcie doskonałą wymówkę, żeby się pozbyć Michaela. Nie przyjął tego spokojnie. Poza mamrotaniem o dyletantach, którzy w kilka minut zniszczyliby to miejsce, opuścił je okropnie urażony i znalazł zatrudnienie u O'Mahoneyów, gdzie narobił wstydu całej naszej rodzinie, opowiadając pani O'Mahoney, że pewnego razu widział, jak nasza mama wyciera sałatę brudną ścierką do naczyń. Mniejsza o to; Michael oszczędził i kwiaty, dzięki tacie, są teraz znacznie ładniejsze. Ja zaś narzekam tylko na to, że jakość ciasteczek w naszym domu dramatycznie spadła od chwili odejścia Michaela. Nie można jednak mieć wszystkiego i ta refleksja skierowała mnie na całkiem inne tory myślowe. Lecz dopiero gdy sól łez, wpływając w moje blizny, sprawiła, że zaczęły piec, uświadomiłam sobie, że płaczę.

Chciałam wracać do Nowego Jorku. Myślałam o tym przez kilka ostatnich dni. Nie tylko to rozważałam; ogarnięta nieodpartym przymusem nie mogłam zrozumieć, dlaczego wcześniej nie wyjechałam. Problem jednak polegał na tym, że mama i cała reszta wpadliby w szal, gdybym to powiedziała. Już niemal słyszałam ich argumenty: powinnam zostać w Dublinie, gdzie są moje korzenie, gdzie jestem kochana, gdzie wszyscy „otaczają mnie troską i opieką”.

Rzecz w tym, że „troska i opieka” nie wygląda u nas tak jak w innych, normalniejszych rodzinach. W mojej rodzinie uważa się, że rozwiązanie wszystkich problemów leży w czekoladzie.

Na samą myśl o tym, jak długo i donośnie będą protestować, chwycił mnie kolejny atak paniki. Czułam, że muszę wrócić do Nowego Jorku. Do swojej pracy. Do przyjaciół. I chociaż nie było sposobu, w jaki mogłabym wszystkim powiedzieć również to, gdyż posłaliby po ludzi w białych fartuchach, czułam, że muszę wrócić do Aidana.

Zamknęłam oczy i zaczęłam odpływać, ale nagle, za sprawą jakiejś zgrzytającej przekładni w mojej głowie, zostałam wciągnięta we wspomnienie hałasu, bólu i ciemności. Szybko otworzyłam oczy: kwiaty wciąż były śliczne, a trawa nadal zielona, lecz serce mi waliło i z trudem oddychałam.

To się zaczęło przed kilkoma dniami: środki przeciwbólowe nie były już tak skuteczne jak na początku. Przystawały działać znacznie szybciej, więc w otulinie łagodności pojawiały się szczelinki, przez które, niczym woda z pękniętej zapory, wdierało się przerażenie.

Z trudem wstałam, weszłam do domu, gdzie obejrzałam milionowy odcinek *Home and Away*, zjadłam lunch (pół po-jemniczka twarożku, pięć cząstek japońskiej mandarynki, dwa wafelki czekoladowe i osiem pigułek), a potem mama znów „ubrała” moje rany, abym mogła wyjść na spacer. Lubiła ten numer: posługiwanie się chirurgicznymi nożyczkami, szybkie cięcie bawełnianych bandaży i białego plastra tak, jak pokazał jej lekarz. Siostra Walsh opiekująca się chorą. Nawet przełożona Walsh. Zamknęłam oczy. Dotyk jej palców na twarzy był kojący.

- Te mniejsze, na czole, zaczęły mnie swędzieć. To dobry znak, prawda?

- Zobaczymy. - Odsunęła mój palec, żeby lepiej się przyjrzeć. - Naprawdę dobrze się goją - stwierdziła tak, jakby się na tym znała. - Myślę, że chyba możemy

z nich zdjąć bandaż. I ten z brody też. (Właśnie ze środka brody wycięto mi idealnie okrągły kawałek ciała, co będzie pomocne, gdy zechcę się wcielić w Kirka Douglasa). Ale nie drap się, kotku! W dzisiejszych czasach rany na twarzy świetnie się leczy - powiedziała ze znajomością rzeczy, jak papuga powtarzając to, co wcześniej stwierdził lekarz. - Te nowoczesne szwy są znacznie lepsze. Gdyby nie ten jeden... - mówiła, delikatnie nakładając antyseptyczny żel na głębokie, zmarszczone cięcie, które biegło przez cały prawy policzek, a potem przerwała tę czynność, by pozwolić mi wzdygnąć się z bólu. Ta rana nie była zamknięta materiałem rozpuszczalnym, lecz zszyta dramatycznie szwami w stylu Frankensteina, które wyglądały, jakby założono je igłą do cerowania. Ze wszystkich śladów na twarzy ten mógł nie zniknąć.

- Ale od czegoś są chirurdzy plastyczni - powiedziałam, także jak papuga powtarzając słowa lekarza.

- No właśnie - przyznała mama, ale jej głos wydał mi się daleki i zduszony. Szybko otworzyłam oczy. Była skulona i mamrotała coś, co mogło brzmieć jak „twoja biedna buzia”.

- Mamo, nie płacz!

- Nie płaczę.

- To dobrze.

- Zresztą chyba słyszę Margaret. - Niedbale wytarła sobie twarz chusteczką i wyszła na zewnątrz, by śmiać się z nowego samochodu, którym Maggie przyjechała na nasz codzienny spacer.

Maggie, druga pod względem starszeństwa z naszej piątki, jest outsiderką rodziny Walshów, naszym mrocznym sekretem, naszą białą owcą. Inni (nawet mama w chwilach nieuwagi) nazywają ją „głupią cipą”, co mi nie odpowiada, bo to słowo jest wredne, ale rzeczywiście dobrze oddaje sytuację. Maggie się „zbuntowała”, wiodąc spokojne, dobrze zorganizowane życie ze spokojnym, dobrze

zorganizowanym mężczyzną o imieniu Garv, którego moja rodzina przez lata nie znosiła. Nie cierpieli jego niezawodności, przyzwoitości, dobrych manier i większości jego pulowerów (zbyt podobnych do pulowerów taty, co do tego była zgoda). Ostatnio stosunki uległy pewnej poprawie, szczególnie odkąd pojawiły się dzieci: J.J. ma teraz trzy lata, a Holly pięć miesięcy.

Przyznam, że sama miałam pewne pulowerowe uprzedzenie, którego się teraz wstydzę, gdyż mniej więcej cztery lata temu Garv pomógł mi odmienić życie. Znalazłam się na paskudnym rozdrożu (o szczegółach później) i Garv okazał mi bezgraniczną, niewyczerpaną życzliwość. Dał mi nawet pracę w firmie zajmującej się obliczeniami ubezpieczeniowymi, w której sam pracował; początkowo na zapleczu, skąd potem awansowano mnie za frontowe biurko. Później zachęcił mnie do zdobycia kwalifikacji, więc uzyskałam dyplom w dziedzinie promocji i marketingu. Wiem, że nie jest to tak imponujące jak magisterium z astrofizyki i że brzmi raczej jak dyplom z Oglądania Telewizji lub Jedzenia Słodczy, ale gdybym go nie miała, nigdy nie wylądowałabym w mojej aktualnej pracy. I nigdy nie poznałabym Aidana.

* * *

Pokuśtykałam do frontowych drzwi. Maggie wyladowywała dzieci z nowego samochodu; wielgachnej osobowej bryki, o której mama uparcie mówiła, że wygląda tak, jakby miała słoniowaciznę.

Tata także tam był, próbując zapewnić jakiś kontrast dla pogardy mamy. Demonstrował, jaki to doskonały samochód, chodząc wokół niego i kopiąc we wszystkie opony.

- Spójrz tylko na tę jakość! - zawołał i jeszcze raz kopnął oponę, by podkreślić swój punkt widzenia.

- Spójrz na te świńskie oczka!
- To nie oczka, mamó, tylko światła - odparła Maggie, odpinając coś i wyłaniając się z małą Holly pod pachą.
- Nie mogliście kupić porsche? - zapytała mama.
- Już niemodne.
- Albo maserati?
- Nie jest wystarczająco szybkie.

Mama (obawiałam się, że doskwierała jej nuda) znalazła w sobie jakąś nagłą, późną tęsknotę za szybkim, seksownym samochodem. Przeglądała motoryzacyjne strony internetowe i wiedziała (trochę) o samochodach marki lamborghini i aston martin.

Maggie ponownie zniknęła w samochodzie i po kolejnym odpięciu moja siostra wyłoniła się, trzymając pod pachą trzyletniego J.J.

Maggie, podobnie jak starsza od niej Claire i młodsza Rachel, jest wysoka i silna. Wszystkie trzy pochodzą z identycznej puli genów jak mama. Helen i ja, dwa kurdupelki, wyglądamy zdumiewająco inaczej niż one i nie mam pojęcia, skąd nam się to wzięło. Tata nie jest bardzo niski, tylko jego potulność sprawia, że się taki wydaje.

Maggie przyjęła macierzyństwo z żarliwością, rozciągając je nie tylko na matczyne obowiązki, ale i na wygląd. Jedną z najlepszych stron posiadania dzieci, powiada, jest to, że nie ma czasu, aby się przejmować, jak wygląda. Chępi się też, że całkowicie zrezygnowała z przyjemności robienia zakupów. W zeszłym tygodniu powiedziała mi, że na początku każdej wiosny i jesieni chodzi do Marksa i Spencera, gdzie kupuje sześć identycznych spódnic, dwie pary butów (jedną na wysokich obcasach, jedną na płaskich) i zestaw topów. Wszystko razem zajmuje czterdzieści minut, chwaliła się, absolutnie niczego nie rozumiejąc. Jeśli nie liczyć sięgających do ramion włosów w ślicznie kasztanowym kolorze

(farbowanych, więc najwyraźniej nie jest jej tak zupełnie obojętne), wygląda bardziej mamuszkowato niż nasza mama.

- Spójrz na jej spódnicę - mruknęła mama. - Ludzie pomyślą, że jesteśmy siostrami.

- Słyszałam - zawołała Maggie - i wcale się tym nie przejmuję.

- Twój samochód wygląda jak nosorożec - odpaliła mama.

- Przed minutą był słoniem. Tato, czy możesz otworzyć bagażnik?

Właśnie wtedy spostrzegł mnie J.J. i z zachwytu zrobił się niesforny. Może miało to dla niego tylko walor nowości, ale aktualnie byłam jego ulubioną ciocią. Wysunął się z uścisku Maggie i ruszył ku mnie niczym kula armatnia. Zawsze tak do mnie pędził i mimo że trzy dni wcześniej przypadkowo uderzył głową w moje wywichnięte kolano, z którego właśnie zdjęto gips, i ból sprawił, że zaczęłam wymiotować, wciąż mu wybaczałam.

Wybaczyłam mu wszystko: był absolutnie przezabawny. Przebywanie z nim zdecydowanie podnosiło mnie na duchu, ale próbowałam za bardzo tego nie okazywać, ponieważ reszta mogłaby się niepokoić, że zaczynam nazbyt go lubić, a przecież i bez tego dość już się o mnie martwili. Mogliby nawet zacząć od pełnych najlepszych intencji frazesów - że jestem młoda, że w końcu będę mieć własne dziecko, i tak dalej... - ale byłam całkowicie pewna, że nie chcę ich słuchać.

Wzięłam J.J. do domu, by zabrać jego „kapelusz spacerowy”. Gdy mama szukała dla mnie jakiegoś nakrycia głowy z szerokim rondem, które nie przepuszczałoby promieni słońca, przejrzała cały magazyn okropnych kapeluszy, jakie od lat nosiła na różne wesela. Było to niemal tak szokujące jak odkrycie masowego grobu. Wśród mnóstwa kapeluszy, z których każdy był bardziej ukwiecony od poprzedniego, z jakiegoś powodu J.J. zakochał się w płaskim, błyszczącym słomkowym kapeluszu z kiścią wisienek zwisającą z ronda. Upierał się, że to jest

„kapelusz kowbojski”, choć w istocie nic nie mogło być dalsze od prawdy. Już jako trzylatek wykazywał ujmujący ton ekscen-tryczości, która z pewnością pochodziła z jakiegoś genu odziedziczonego po wcześniejszych przodkach, gdyż zdecydowanie nie dostał go od żadnego ze swoich rodziców.

Gdy byliśmy już gotowi, kawalkada ruszyła do przodu: ja, niezłamany ramieniem opierająca się o tatę, oraz Maggie pchająca wózek z Holly i J.J. na czele całego towarzystwa.

Mama odmówiła przyłączenia się do naszej codziennej przechadzki, twierdząc, że gdyby poszła, byłoby nas tak wiele, iż „ludzie by się patrzyli”. W rzeczy samej wywoływaliśmy pewne poruszenie; bowiem wszystko razem - J.J. i jego kapelusz oraz ja i moje obrażenia - dla miejscowych nastolatków mogło wyglądać jak cyrk, który przyjechał do miasteczka.

Gdy dochodziliśmy do skweru - nie było daleko, tylko tak się wydawało, ponieważ kolano tak mnie bolało, że nawet J.J., trzyletnie dziecko, mógł iść szybciej niż ja - jeden z tych chłopaków dostrzegł nas i zaalarmował czterech czy pięciu kumpli. Przeszedł przez nich jakiś niemal wyczuwalny dreszcz emocji, więc porzuciwszy wszystko, co robili z zapalkami oraz gazetą, przygotowali się, żeby nas powitać.

- Jak się masz, Frankensteinie! - zawołał Alec, gdy byliśmy wystarczająco blisko, żeby to usłyszeć.

- Witajcie - odparłam z godnością.

Wkurzyło mnie, gdy powiedzieli tak pierwszy raz. Szczególnie gdy zaproponowali mi pieniądze za podniesienie bandażu i pokazanie szwów. Czułam się tak, jakby mnie proszono, żebym uniosła T-shirt i pokazała im cycki, tylko gorzej. W tamtej chwili łzy napłynęły mi do oczu i - zaszokowanatym, jak okrutni potrafią być ludzie - odwróciłam się, by wrócić prosto do domu, ale wtedy usłyszałam pytanie, które padło z ust Maggie.

- Ile? Ile dasz, żeby zobaczyć najgorszy? Odbyła się krótka narada.

- Jedno euro.

- Dawaj - rozkazała Maggie.

Najstarszy - powiedział, że na imię ma Hedwig, ale nie mogło być prawdziwe - wręczając pieniądź, spoglądał na nią nerwowo. Maggie nagryzła monetę, by sprawdzić, czy jest prawdziwa, a potem zwróciła się do mnie.

- Dziesięć procent dla mnie, reszta dla ciebie. Okay. Pokaż im szwy.

Tak więc pokazałam - oczywiście nie dla pieniędzy, lecz dlatego że zrozumiałam, iż na mam żadnego powodu, żeby się wstydzić; że to, co mi się przydarzyło, mogłoby zdarzyć się każdemu. Potem zawsze nazywali mnie Frankensteinem, ale choć wiem, że to może się wydać dziwne, nie robili tego w jakiś nieuprzejmy sposób.

Dzisiaj zauważyli, że mama zdjęła kilka bandaży.

- Wyglądasz lepiej. - W ich głosach brzmiało rozczarowanie. - Te na czole już niemal zniknęły. Jedyne porządne, jakie pozostał, to ten na policzku. I chodzisz już szybciej niż kiedyś; teraz prawie tak szybko jak J.J.

Mniej więcej pół godziny siedzieliśmy na ławce, zażywając świeżego powietrza. Przez kilka tygodni odbywaliśmy ten codzienny spacer, korzystając ze zgoła nieirlandzkiej, przynajmniej w dzień, bezdeszczowej pogody. Dopiero wieczorami, kiedy Helen siedziała w krzakach ze swoją lornetką, zbierało się na deszcz.

Nastrój zadumy przysł, gdy Holly zaczęła wrzeszczeć. Maggie twierdziła, że trzeba jej zmienić pieluszkę, więc gromadnie wróciliśmy do domu, gdzie Maggie próbowała (bez powodzenia) skłonić najpierw mamę, a potem tatę do przewinięcia Holly. Mnie nie prosiła. Czasami dobrze jest mieć złamaną rękę.

Gdy Maggie wyszła, by zająć się pielęgnacyjnymi chusteczkami i pieluszkami, J.J. wyciągnął rdzawą szminkę z mojej (wyjątkowo dużej) kosmetyczki i przyłożył ją do twarzy.

- Jak ty - powiedział.

- Co: jak ja?

- Jak ty - powtórzył, dotykając kilku moich cięć, a potem wskazując szminką na własną twarz. O rany! Chciał, żebym narysowała na nim szwy.

- Tylko kilka. - Wcale nie byłam pewna, czy powinnam to robić, więc niechętnie namalowałam mu na czole kilka szwów. - Spójrz.

Trzymałam przed nim ręczne lusterko, ale własne odbicie bardzo mu się spodobało.

- Więcej! - krzyknął.

- Tylko jeden.

Nie przestawał przeglądać się w lusterku, żądając coraz więcej „ran”, a potem wróciła Maggie i gdy zobaczyłam wyraz jej twarzy, ogarnął mnie strach.

- O Boże, Maggie, przepraszam. Poniosło mnie. Jednak w jakiejś śmiesznej chwili uświadomiłam sobie,

że Maggie wcale nie jest zła z powodu tego, iż J.J. wygląda jak patchworkowa koldra... Była wściekła, bo zobaczyła moją kosmetyczkę, i przybrała Ten Wyraz Twarzy, Tę Minę, jaką wszystkie robią, ale po niej spodziewałam się czegoś lepszego.

To było najdziwniejsze. Mimo całej grozy i żalu najświeższej przeszłości niemal każdego dnia jakaś osoba z mojej rodziny wchodziła, siadała na moim łóżku i pytała, czy może zobaczyć zawartość mojej kosmetyczki. Były oszołomione moją fantastyczną posadą i nie czyniły żadnego wysiłku, by ukryć niedowierzanie, że właśnie ja tak się urządziłam.

Maggie zmierzała do mojej kosmetyczki jak lunatyczka. Z wyciągniętymi rękami.

- Mogę zobaczyć?

- Bardzo proszę. A na podłodze stoi moja torba z przyborami do kąpieli. W niej też jest dużo dobrego, jeśli mama i Helen mnie z tego nie „wyczyściły”. Weź wszystko, na co masz ochotę.

Maggie niczym w transie wyjmowała z kosmetyczki szminkę po szmince. Miałam ich szesnaście. Po prostu dlatego, że mogłam.

- Niektóre nawet nie są otwarte - zauważyła. - Jak to się stało, że mama i Helen jeszcze ich nie podwędziły?

- Bo już takie mają. Tuż przed... no, wiesz... przed tym wszystkim... posłałam im całą partię nowych produktów na lato.

Dwa dni po moim przyjeździe Helen i mama usiadły na moim łóżku i dokonały systematycznego przeglądu moich kosmetyków, wyrzucając niemal wszystko.

- „Gwiazda Porno”? Mam. „Wielokrotny Orgazm”? Mam. „Niegrzeczna Dziewczynka”? Mam.

- Nigdy mi nie opowiadały o tych nowościach - powiedziała ze smutkiem Maggie - a mieszkam tylko milę stąd.

- Och, może wiedząc o twoim nowym praktycznym spojrzeniu, sądzą, że nie byłabyś zainteresowana makijażem. Przykro mi. Po powrocie do Nowego Jorku dopilnuję, by wysłano te rzeczy bezpośrednio do ciebie.

- Naprawdę? Dzięki. - Potem spojrzała na mnie ostro. - Wracasz? Kiedy? Weź się w garść. Nie możesz nigdzie jechać. Potrzebne ci bezpieczeństwo rodziny... - Ale była zbyt zaabsorbowana jedną ze szminek. - Mogę spróbować tę? Jest dokładnie w moim kolorze. - Umalowała usta, otarła wargi jedną o drugą i podziwiała się w ręcznym lusterku, a potem ogarnął ją nagły wyrzut sumienia. - Prze-

praszam, Anno. Próbowałam nie prosić, byś pozwoliła mi zobaczyć te wszystkie wspaniałości. Chcę powiedzieć, że w tych okolicznościach... Naprawdę jestem zde gustowana innymi, są jak hieny. Ale popatrz na mnie! Jestem tak samo zła jak one.

- Nie bądź dla siebie taka surowa, Maggie. Nie można się temu oprzeć. To silniejsze od nas.

- Naprawdę? Okay. Dzięki. - Wyjmowała z kosmetyczki kolejne produkty, otwierając je, próbując na wierzchu dłoni, a potem starannie je zamykając. Kiedy zbadała wszystko, ciężko westchnęła. - Równie chętnie obejrzałabym teraz twoją torbę kąpielową.

- Ależ proszę! Jest w niej wspaniały wetiwerowy żel pod prysznic - zgodziłam się, ale po sekundzie namysłu dodałam: - Nie, czekaj, chyba tato go wziął.

Przejrzała żele, toniki, emulsje do peelingu, otwierając je, wachając i wciera-
jąc, po czym stwierdziła:

- Ty naprawdę masz najlepszą pracę na świecie.

MOJA PRACA

Pracuję w Nowym Jorku jako... promotorka urody. Jestem zastępczynią wiceprezesa do spraw marketingu i promocji w Candy Girrl, jednej z największych firm kosmetycznych na tej planecie. (Prawdopodobnie słyszeliście o nich, a jeśli nie, to znaczy, że ktoś gdzieś nie wykonuje swojej pracy jak należy. Chryste, mam nadzieję, że nie ja!). Mam dostęp do tak szerokiego wachlarza produktów, że przyprawia on o zawrót głowy. Dosłownie: wkrótce po tym, jak dostałam tę pracę, moja siostra Rachel, która od lat mieszkała w Nowym Jorku, pewnego wieczoru, gdy wszyscy wyszli, przyszła do mojego biura, by zobaczyć, czy nie przesadzam, a kiedy otworzyłam służbową szafę i pokazałam jej liczne półki sta-

rannie zastawione kremami do twarzy, reduktorami zmarszczek i porów, korektorami, zapachowymi świecami, żelami pod prysznic, podkładami przyciemniającymi i rozświetlającymi, i tak dalej, wpatrywała się w nie bardzo, bardzo długo, a potem powiedziała:

- Czarne plamki latają mi przed oczami. Nie żartuję. Chyba zaraz zemdleję.

Była naprawdę oszołomiona i to jeszcze zanim jej powiedziałam, żeby sobie wzięła kilka rzeczy.

Mnie nie tylko wolno sięgać po produkty Candy Girrl; ja jestem wręcz zobligowana do ich używania. Wszyscy musimy przybierać wizerunek firm, które reprezentujemy. „Żyj nią” -nakłaniała mnie Ariella, kiedy dostałam tę pracę. Żyj nią, Anno. Jesteś dziewczyną Candy Girrl dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu i zawsze jesteś na służbie.

Tym, co czyni moją pracę tak fantastyczną, nie jest wyłącznie dostęp do produktów Candy Girrl. Agencja, dla której pracuję, McArthur on the Park (założona i nadal pozostająca własnością Arielli McArthur, która nigdy jej nie sprzedała), reprezentuje trzynaście innych firm kosmetycznych, z których jedna jest bardziej zachwycająca od drugiej, i mniej więcej raz w miesiącu organizujemy prawdziwy bazar w sali posiedzeń, gdzie dokonuje się pełna i szczerza wymiana. (Nie jest to jednak oficjalna impreza i nigdy nie odbywa się wtedy, gdy w pobliżu jest Ariella, więc wołałabym, żebyście o tym nie wspominali).

Oprócz bezpłatnych produktów są też inne zalety tej pracy. Ponieważ nasza agencja ma rachunek w salonie fryzjerskim Perry'ego K., bezpłatnie czesze mnie i farbuję... hm, oczywiście nie sam Perry K., ale jeden z jego wiernych pracowników. Perry K. jest zwykle na pokładzie prywatnego samolotu, sprowadzany przez jakieś studio do Korei albo do Vanuatu, by uczesać jakąś gwiazdę filmową, która ma tam plenerowe zdjęcia.

(Jeszcze jedno: „bezpłatne wizyty u fryzjera” brzmią fantastycznie, ale - ryzykując, że sprawię wrażenie niewdzięcznej przyznam, że czasami nie mogę oprzeć się uczuciu, iż trochę przypominają zapewnianie wysokiej klasy prostytutkom regularnych intymnych kontroli zdrowotnych. Wydaje się to troską, ale chodzi wyłącznie o to, by dziewczyny właściwie wykonywały swoją pracę. Tak samo jest ze mną. Nie mam żadnego wyboru, jeśli chodzi o fryzury. Muszę je mieć i nie mam na to żadnego wpływu; cokolwiek pojawia się na pokazach mody, tym jestem obdarzana. Zwykle są to skomplikowane, pierzaste rusztowania, które łamią mi serce. McArthur posiada moją duszę, co już jest wystarczająco okropne. Ale posiadać moje włosy...).

Tak czy inaczej, po tej wizycie Rachel chwyciła za telefon i opowiedziała wszystkim w domu o cudach, które widziała w mojej szafie. Rozdzwoniły się telefony z Irlandii. Czy Rachel znowu jest na prochach? Czy może to prawda, że dałam jej te kosmetyki? A jeśli tak, czy one też mogłyby trochę dostać? Natychmiast zapakowałam nieprzyzwoicie wielką ilość kosmetyków i wysłałam je do Irlandii. Przyznaję; popisywałam się, próbując udowodnić, jak wielki jest mój sukces.

Kiedy wysyła się produkty do innych, należy wskazać adresata każdej pary zalotek do podkręcania rzęs, każdego błyszczyka do ust. Jeśli jednak powiesz, że idą, na przykład, do redakcji „Nebraska Star”, a w rzeczywistości lecą do twojej mamy w Dublinie, nikt tego nie sprawdzi: wszak jestem zaufaną pracownicą.

Dziwne jest to, że normalnie jestem uczciwą osobą: jeśli ktoś wyda mi w sklepie za dużą resztę, zaraz ją oddaję i nigdy, nigdy w życiu, nie zwiąlam z restauracji bez zapłacenia rachunku. (Czy nie ma lepszych sposobów, żeby dobrze się bawić?). Jednak ilekroć gwizdnę jakiś krem pod oczy dla Rachel albo pachnącą świecę dla mojej przyjaciółki Jacqui lub wyślę paczkę wiosennych pastelów do Dublina, to przecież kradnę. A mimo to nie mam najmniejszego poczucia wi-

ny. Ponieważ te produkty są tak piękne, jestem przekonana, że niczym cuda przyrody, wykraczają poza prawo własności, go czyż można ogrodzić Wielki Kanion? Albo Wielką Rafę Koralową? Niektóre rzeczy są tak cudowne, że wszyscy mają do nich prawo.

Ludzie często pytają mnie z zazdrośnymi minami:

- Jak się dostaje taką pracę jak twoja?

Cóż, opowiem wam.

Rozdział 3

JAK DOSTAŁAM PRACĘ

Z dyplomem w dziedzinie promocji i marketingu dostałam pracę w dublińskim biurze prasowym pewnej mało znanej firmy kosmetycznej. Marne pieniądze, katorżnicza robota: głównie napychanie kopert drukami reklamowymi, a ponieważ każdego popołudnia, gdy wychodziłyśmy z pracy, przeglądano nasze torebki, nie miałam nawet rekompensaty w postaci bezpłatnych produktów do makijażu. Miałam jednak pewną wizję, jak powinna wyglądać właściwa reklama; ideę radości i kreatywności, jaką można mieć we właściwym miejscu, a zawsze pragnęłam znaleźć się w Nowym Jorku...

Nie chciałam iść dalej całkiem sama, więc musiałam wmówić swojej najlepszej przyjaciółce, Jacqui, że ją także bardzo ciągnie do Nowego Jorku. Nie dawałam sobie wielkich szans. Przez całe lata Jacqui była taka jak ja... całkowicie pozbawiona pomysłu na własną karierę zawodową. Większą część swego życia spędziła, pracując w hotelarstwie, i robiła tam wszystko, od stania za barem do siedzenia w recepcji; potem w jakiś sposób, nie z własnej winy, miała dobrą posadę: została bardzo ważną *consierge* w jednym z pięciogwiazdkowych hoteli w

Dublinie. Kiedy do miasta przyjeżdżały różne typy z show-biznesu, wszystkie ich życzenia - od numeru telefonu Bono, przez załatwienie kogoś, kto po godzinach zabrałby ich na zakupy, do jakiegoś wabika, który odciągnąłby prasę - musiała spełniać właśnie ona. Nikt, zwłaszcza Jacqui, nie wyobrażał sobie, jak do tego doszło; nie miała przecież żadnych kwalifikacji, a na jej korzyść działało jedynie to, że była gadatliwa, praktyczna i żadnego wrażenia nie robili na niej idioci, choćby najślawniejsi. (Jacqui mówi, że najważniejsze osoby są albo karzełkami, albo głupcami, albo jednym i drugim).

Z sukcesem Jacqui mógł mieć coś wspólnego jej wygląd. Sama często opisuje siebie jako blond marionetkę i, trzeba przyznać, trochę ją przypomina. Jest tak wysoka i szczupła, że wszystkie jej stawy - kolana, biodra, łokcie, ramiona - wyglądają, jakby zostały rozluźnione kluczem francuskim, a kiedy chodzi, wydaje się, że jakiś niewidzialny mistrz lalkarstwa porusza ją dzięki sznurkom. Z tego powodu kobiety nie czują się przez nią zagrożone, ale jej dobry humor, nieprzyzwoity śmiech i niewiarygodna wytrzymałość, jeśli chodzi o siedzenie do późna w nocy i bankietowanie, sprawiają, że mężczyźni czują się z nią dobrze.

Goszczące w hotelu sławy często kupowały jej kosztowne prezenty. Najlepiej było wtedy, gdy zabierała je na zakupy. Kupując wówczas dla siebie tony rozmaitych rzeczy, poczuwały się do kupienia czegoś również dla niej. Głównie maściupenkich markowych ciuchów, w których wyglądała wspaniale.

Jako profesjonalistka nigdy nie umawiała się... no dobrze, rzadko... z ważniakami pozostającymi pod jej opieką (a jeśli, to tylko wtedy, jeśli właśnie rozstali się z żonami i pragnęli „ukojenia”), ale od czasu do czasu z ich przyjaciółmi. Zwykle byli okropni. Najwyraźniej wołała właśnie takich. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek spodobał mi się któryś z jej przyjaciół.

Tego wieczoru, gdy się z nią spotkałam, żeby przedstawić swoją propozycję, przyszła jak zwykle lśniąca, szczęśliwa, rozkołysana, w płaszczu od Versacego, z

czymś od Diora i jakimś drobiazgiem od Chloe, więc serce mi się ścisnęło. Cemu ktoś miałby rzucić taką pracę? Ale tak to już jest.

Zanim w ogóle wspomniałam o Nowym Jorku, Jacqui wyznała, że ją mdli od tych przepłacanych gwiazd i ich idiotycznych życzeń. W hotelu właśnie mieszkał pewien zdobywca Oscara i zatruwał jej życie, twierdząc, że przez okno gapi się na niego wiewiórka i naśladuje każdy jego ruch. Jacqui była wnerwiona nie z powodu samego protestu przeciw działaniom wiewiórki, ale dlatego że byli na piątym piętrze, gdzie nie ma żadnych wiewiórek. Dość już miała wszystkich gwiazd. Pragnęła kompletnej zmiany, powrotu do podstaw, pracy z ubogimi i chorymi, w kolonii trędowatych, jeśli to możliwe.

Była to wspaniała, nawet jeśli zaskakująca, wiadomość i doskonały moment, by sięgnąć po formularze wniosków o zezwolenie na pracę w USA. Dwa miesiące później machałyśmy Irlandii na pożegnanie.

Po przybyciu do Nowego Jorku zatrzymałyśmy się na kilka pierwszych dni u Rachel i Luke'a, ale okazało się to niezbyt dobrym pomysłem; ilekroć Jacqui spoglądała na Luke'a, oblewała się potem tak bardzo, że prawie musiała zacząć brać środki nawadniające.

Ponieważ Luke jest tak przystojny, ludziom wokół niego trochę miesza się w głowie. Sądzą, że ma w sobie coś więcej, podczas gdy w rzeczywistości jest po prostu zwyczajnym, przyzwoitym facetem, który ma życie, jakie chce, z kobietą, której pragnie. Ma paczkę podobnych kumpli (choć żaden z nich nie jest tak fizycznie pociągający jak on), znanych jako Prawdziwi Mężczyźni. Uważają, że ostatnią porządną płytę nagrano w 1975 roku (album *Physical Graffiti* zespołu Led Zeppelin) i że cała muzyka, jaką stworzono od tamtego czasu, to po prostu chłam. Ich celem jest wielki finał turnieju symulowanej gry na gitarze (coś takiego naprawdę istnieje!) i chociaż wszyscy są utalentowanymi amatorami, to jeden

z nich, Shake, okazał się prawdziwą nadzieją i obecnie dotarł aż do finału regionalnego.

Jacqui i ja zabrałyśmy się do poszukiwania pracy, choć niestety (dla Jacqui) kolonie trędotowych nikogo nie angażowały. Nim upłynął tydzień, dostała pracę w pięciogwiazdkowym hotelu na Manhattanie, na niemal identycznym stanowisku jak to, które zostawiła w Dublinie.

Dziwnym zrzędzeniem losu spotkała tego zwariowanego faceta, który jej nie pamiętał i opowiedział jej tę samą historię o tym, że jest śledzony przez wiewiórkę. Tylko że tym razem byli nie na piątym, a na dwudziestym siódmym piętrze.

- Naprawdę chciałam robić coś innego - powiedziała do Rachel, Luke'a i mnie, gdy wróciła do domu po pierwszym dniu pracy. - Nie wiem, jak to się stało.

Cóż, to przecież oczywiste: widocznie była bardziej uległa wobec tego błyszczącego, skrzącego się świata sław, niż sobie to uświadamiała. Jednak nie można było jej tego powiedzieć. Jacqui nie miała czasu na introspekcję; rzeczy są, jakie są. Jako życiowa filozofia ma to swoje zalety... albowiem chociaż bardzo kocham Rachel, czasem odnoszę wrażenie, że nie mogę podrapać się po brodzie bez doszukiwania się przez nią jakiegoś ukrytego w tym znaczenia. Z drugiej jednak strony nie ma sensu mówienie Jacqui, że czuję się przygnębiona, bo z całą pewnością odpowie: „Och nie! Co się stało?”. A zwykle nic się nie stało, tylko po prostu tak się czuję. Jeśli natomiast spróbuje się jej to wytłumaczyć, powie: „Ale coś się musiało stać, żeby wprawić cię w przygnębienie!”. I potem zakończy: „Chodźmy gdzieś i napijmy się szampana! Nie ma sensu siedzieć tutaj i się zamartwiać!”.

Jacqui jest chyba jedyną znaną mi osobą, która nigdy nie zażywała serotoniny ani nie była u psychoterapeuty i z trudem wierzy w istnienie czegoś takiego jak zespół napięcia przedmiesiączkowego.

Tak czy inaczej, tuż przed tym, jak Jacqui chwycił skurcz mięśni z powodu zmniejszenia poziomu minerałów od wpatrywania się w Luke'a, znalazłyśmy sobie mieszkanie - „studio” (to znaczy jeden pokój) w popadającym w ruinę budynku na Lower East Side. Było szokująco małe i drogie, z prysznicem w mikroskopijnej kuchni, ale przynajmniej mieszkaliśmy na Manhattanie. Nie zamierzałyśmy spędzać w domu dużo czasu; służył nam do spania, posiadania adresu i jakiegoś punktu oparcia w tym nagim, otwartym mieście. Na szczęście Jacqui i ja dogadywałyśmy się bardzo dobrze i mogłyśmy znieść tak bliskie wzajemne sąsiedztwo, chociaż czasami Jacqui wychodziła do barów i podrywała mężczyzn tylko po to, by móc się porządnie wyspać w normalnym mieszkaniu.

Zaraz po przyjeździe, nosząc ze sobą imponujące, lekko upiękzone CV, rejestrowałam się w kilku szykownych agencjach zatrudnienia. Odbyłam kilka rozmów kwalifikacyjnych z pracodawcami, ale nie otrzymałam żadnej poważnej oferty i już zaczynałam się denerwować, kiedy pewnego wtorkowego ranka dostałam telefon, by iść do agencji McArthur on the Park. Najwyraźniej poprzednia osoba musiała w wielkim pośpiechu „udać się do Arizony” (nowojorski eufemizm na określenie „pójść na leczenie odwykowe”) i pilnie potrzebowali kogoś na zastępstwo, ponieważ przygotowywali jakąś poważną kampanię.

Słyszałam o Arielli McArthur, ponieważ była - a któraż z nich nie jest? - legendą reklamy i marketingu: pięćdziesięcioletka, zarozumiała, przebojowa, władcza i niecierpliwa. Mówiono o niej, że sypia tylko cztery godziny na dobę (ale później odkryłam, że sama rozpuszcza tę pogłoskę).

Założyłam więc kostium i zjawiłam się, stwierdzając, że biura naprawdę mieszczą się w Central Parku (widok z położonego na trzydziestym ósmym piętrze gabinetu Arielli jest zdumiewający, ale ponieważ zaproszenie do jej sanktu-

arium otrzymuje się tylko po to, by zostać opieprzonym, trudno się nim rozkoszować).

Wszyscy wokół biegali histerycznie i w istocie ze mną nie rozmawiali, tylko wykrzykiwali polecenia: zrobić fotokopie, organizować jedzenie, połączyć coś z czymś. Mimo tak byle jakiego traktowania byłam olśniona markami, jakie agencja reprezentowała, oraz prowadzonymi przez nią najwyższej klasy kampaniami reklamowymi, więc pomyślałam: dałabym wszystko, żeby tu pracować.

Musiałam połączyć ze sobą właściwe sprawy, ponieważ powiedziano mi, że bym wróciła następnego dnia, kiedy wszyscy byli jeszcze bardziej zdenerwowani.

O trzeciej po południu Ariella i siedem osób z jej najważniejszego personelu zajęli pozycje wokół stołu konferencyjnego. Ja również tam byłam, ale tylko na wypadek, gdyby ktoś pilnie czegoś potrzebował: wody, kawy, otarcia czoła. Wydano mi polecenie, że bym się nie odzywała. W razie konieczności mogłam nawiązać kontakt wzrokowy, ale nic nie mówić.

Kiedy czekaliśmy, podsłuchałam, jak Ariella zduszonym szeptem mówi do Franklina, swego zastępcy:

- Jeśli nie dostanę tego zlecenia, to się zabiję.

Tym, którzy nie znają historii Candy Girrl (ponieważ ja żyję i oddycham nią tak długo, czasami zapominam, iż są ludzie, którzy żyją czymś innym), wyjaśniam, że założyła ją wizażystka Candace Biggly, która nie mogąc kupić kosmetyków o takich kolorach i konsystencjach, jakich chciała, zaczęła łączyć własne produkty i okazała się w tym tak dobra, że modelki, które malowała, wpadły w zachwyty. Od najsłynniejszych zaczęły docierać wiadomości, że rzeczy Candace Biggly mają w sobie coś szczególnego; rozzwoniły się telefony i machina poszła w ruch.

Potem pojawiła się nazwa. Mnóstwo ludzi, łącznie z moją własną matką, opowiadało mi, że „Candy Girrl” było pieszczotliwym imieniem, jakim Kate Moss zwracała się do Candace. Przykro mi, jeśli was rozczarowuję, ale to nieprawda. Candace i jej mąż George (marna kreatura) zapłacili kosztownej agencji reklamowej za wymyślenie tej nazwy (wraz z odpowiednim logo), ale opowieść o Kate weszła w obieg. Cóż to zresztą szkodzi, że w nim pozostaje?

Powoli nazwa Candy Girrl zaczęła się pojawiać na stronach poświęconych urodzie. Potem w Lower East Side otwarto mały sklep i kobiety, które nigdy w życiu nie chodziły ulicami położonymi poniżej Czterdziestej Czwartej Ulicy, odbywały pielgrzymki do centrum. Kolejny sklep otwarto w Los Angeles, następny w Londynie i dwa w Tokio, a potem stała się rzecz nieuchronna: Candy Girrl została kupiona przez Devereaux Corporation za nieujawnioną ośmiocyfrową kwotę. (Faktycznie za 11.500.000 dolarów, jeśli was to interesuje, o czym ostatniego lata dowiedziałam się w biurze z kilku dokumentów. Nie szukałam ich, po prostu się natknęłam. Naprawdę). Nagle CG znalazła się w głównym nurcie i eksplodowała na ladach w Saks, Blooming-daes, Nordstrom - w tych wszystkich wielkich domach towarowych. Jednak Candace i George'owi nie było „wygodnie” z obsługą reklamową, jaką zapewniał Devereaux, więc zaprosili kilka największych agencji nowojorskich do zajęcia się tym interesem.

- Spóźniają się - powiedział Franklin, przesuwając palcami po perłowym pudełeczku na lekarstwa. Wcześniej widziałam, jak niezbyt dyskretnie połknął pół pastylki xanaksu, więc domyśliłam się, że teraz rozważa połknięcie drugiej połówki.

Właśnie wtedy, z zaskakującym brakiem fanfar, weszła Candace... wcale nie wyglądając jak Candace: ciemne, nieuczesane włosy, czarne legginsy i, co najdziwniejsze, ani śladu makijażu. George natomiast mógł być uważany za przystojnego i charyzmatycznego... on sam z pewnością tak o sobie myślał.

Ariella rozpoczęła eleganckie powitanie, ale George przerwał jej szybko, domagając się „pomysłów”.

- Gdybyście dostali to zlecenie, to co pan by zrobił? -Wskazał palcem na Franklina.

Franklin mamrotał coś o reklamie przez jakąś znakomitość, ale zanim skończył, George ruszył ku następnej osobie.

Odbył rundę wokół stołu, otrzymując propozycje tych samych chwytów reklamowych: znana twarz, obszerny tekst reklamowy, dotarcie wszędzie... może nawet na Marsa...

Kiedy doszedł do mnie, Ariella desperacko próbowała mu powiedzieć, że jestem niczym, nikim, że stoję zaledwie o szczebel wyżej od robota, ale George się uparł.

- Pracuje dla was, prawda? Jak pani na imię? Anna? Proszę mi opowiedzieć o swoich pomysłach.

Przerażenie Arielli wzrosło jeszcze bardziej, gdy się odezwałam.

- Podczas weekendu widziałam takie wspaniałe budziki w pewnym sklepie w SoHo.

Chodziło o uzasadnienie dla wielomilionowej zaliczki, a ja mówiłam o weekendowych wypadach na zakupy. Ariella położyła rękę na gardle niczym wiktorianańska dama zamierzająca zemdleć.

- Są lustrzanym odbiciem zwyczajnych budzików - mówiłam dalej. - Wszystkie cyfry ustawione są tyłem do przodu, a wskazówki chodzą w przeciwnym kierunku, czyli w rzeczywistości się cofają. Jeśli więc chce się zobaczyć, która jest godzina, trzeba spojrzeć na zegar w lustrze. Pomyślałam, że to byłby idealny sposób reklamowania waszego „cofającego czas kremu na dzień”. Moglibyśmy stworzyć slogan: „Spójrz w lustro: cofasz czas!”. W zależności od kalkulacji moglibyśmy nawet zrobić jakiś promocyjny prezent reklamowy. (Uwaga do dziew-

czynny, która chce iść do przodu: nigdy nie mów „koszt”, zawsze mów „kalkulacja”. Nie mam pojęcia dlaczego, ale jeśli powiesz „koszt”, nie będziesz traktowana poważnie).

- Fantastyczne! - rzekł George. Cofnął się i rozejrzał wokół stołu. - To jest świetne! Najbardziej oryginalna rzecz, jaką tu dzisiaj usłyszałem. Proste, ale... doskonałe! Najlepsze! -George i Candace wymienili spojrzenia.

Strefa wysokiego napięcia przy stole uległa przemieszczeniu. Niektórzy poczuli ulgę, ale kilka innych osób zdenerwowało się jeszcze bardziej. (Mówię „kilka innych”, ale mam na myśli Lauryn). Rzecz w tym jednak, iż nie zamierzałam występować z jakimś wspaniałym pomysłem, to nie była moja wina, to się po prostu stało. Jedyne, co chcę powiedzieć na swoją korzyść, to że poprzedniego wieczoru w drodze do domu zatrzymałam się przed wystawą Saksa, a potem sięgnęłam po broszurę Candy Girrl i dowiedziałam się o ich produktach.

- Można by nawet rozważyć zmianę nazwy na „cofający czas krem poranka” - zasugerowałam, ale drobny ruch głowy Arielli mnie powstrzymał. Powiedziałam już dosyć. Popadałam w nadmierną pewność siebie.

- Hej, to niesamowite! Ja też widziałam te budziki. Ja... -zaszczebiotała Lauryn.

- Cicho bądź, Lauryn - przerwała jej Ariella z przerażającą stanowczością.

To była moja najwspanialsza chwila. Ariella dostała zlecenie, a ja pracę.

Rozdział 4

Danie *chez Walsh* wywodziło się z miejscowej hinduskiej restauracji oferującej jedzenie „na wynos” i dobrze mi zrobiło: pół cebuli, jedna krewetka, jeden

kawałek kurczaka, dwa strączki okry (całkiem duże) i średnio trzydzieści pięć ziarenek ryżu. Potem dziewięć tabletek i dwa batoniki Rolo.

Pory posiłków stały się prawdziwymi bataliami, w których mama i tato, zmuszając się do radości w głosach, proponowali jeszcze jedną łyżeczkę ryżu, następną czekoladkę, kolejną kapsułkę witaminy E (doskonalej na zabliznienia). Robiłam, co w mojej mocy - czułam pustkę, ale nie głód - lecz cokolwiek zjadałam, dla nich zawsze jadłam za mało.

Wyczerpana tymi zmaganiem, umknęłam do swojego pokoju. Coś jednak dochodziło do głosu: zapragnęłam porozmawiać z Aidanem.

W myślach rozmawiałam z nim wiele razy, ale teraz chciałam czegoś więcej: musiałam usłyszeć jego głos. Dlaczego nie wcześniej? Dlatego że byłam ranna i trwałam w szoku? Czy zbyt zamroczona nokautującymi środkami przeciwbólowymi?

Rzuciłam okiem na mamę, tatę i Helen, którzy zagłębili się w jakieś telewizyjne widowisko detektywistyczne, mając nadzieję, iż okaże się oparte na ich własnym życiu. Pomachali do mnie, żebym weszła, i zaczęli mozolnie przesuwać się na kanapie, robiąc mi miejsce, ale odpowiedziałam:

- Nie, nie, nie trzeba, idę tylko do...

- Doskonale! Grzeczna dziewczynka.

Mogłam powiedzieć cokolwiek: że idę podpalić dom albo że wybieram się do Kilfeatherów na łózkowe igraszki w tercecie z Angelą i jej przyjaciółką, a otrzymałabym taką samą odpowiedź. Byli w stanie jakiejś całkowitej niedostępności, w stanie podobnym do transu, i mieli w nim pozostać przez najbliższą godzinę. Zamknęłam drzwi, sięgnęłam po telefon stojący w holu i zabrałam go do swojego pokoju.

Wpatrywałam się w to niewielkie urządzenie: aparaty telefoniczne zawsze były dla mnie czymś magicznym, zdumiewał mnie sposób, w jaki osiagają najbar-

dziej nieprawdopodobne, geograficznie najodleglejsze połączenia. Wiem, że istnieją absolutnie doskonale wyjaśnienia, jak to wszystko działa, ale nigdy nie przestaję się zdumiewać niezwykłością faktu, że ludzie po przeciwnych stronach oceanów mogą ze sobą rozmawiać.

Serce mi waliło i byłam pełna nadziei, a w istocie - ekscytacji. Gdzie powinnam zadzwonić...? Nie do pracy, bo ktoś inny mógłby podnieść słuchawkę. Najlepszym pomysłem była jego komórka. Nie wiedziałam, co się z nią stało, może została wyłączona, ale gdy wystukałam numer, tak jak robiłam to tysiące razy, rozległo się kliknięcie, a potem usłyszałam jego głos. Nie prawdziwy, lecz ten nagrany, ale już to wystarczyło, bym przestała oddychać.

- Cześć, tu Aidan. Nie mogę teraz odebrać telefonu, ale zostaw wiadomość, a ja zadzwonię do ciebie najszybciej, jak będę mógł.

- Aidan - usłyszałam mój własny głos. Brzmiało w nim drzenie. - To ja. Wszystko w porządku? Naprawdę zadzwonisz do mnie, gdy tylko będziesz mógł? Proszę, zadzwoń. - Co jeszcze mu powiedzieć? - Kocham cię. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

Rozłączyłam się. Czuję się słabo, kręciło mi się w głowie, byłam uszczęśliwiona: słyszałam jego głos. Nim jednak minęło kilka sekund, powróciłam na ziemię. Pozostawienie wiadomości to za mało.

Mogłabym spróbować wysłać mu e-mail. Jednak to również nie byłoby wystarczające. Musiałam wrócić do Nowego Jorku i postarać się go znaleźć. Istniało jakieś prawdopodobieństwo, że może go tam nie być, ale musiałam to zrobić, gdyż tylko jednej rzeczy byłam pewna: nie było go tutaj.

Cicho odstawiłam telefon na miejsce w holu. Gdyby się zorientowali, co zamierzam zrobić, za nic w świecie nie pozwoliliby mi wyjechać.

Rozdział 5

Dwa lata temu, w sierpniu, firma Candy Girrl przygotowywała się do wprowadzenia na rynek nowej linii pielęgnacyjnej, noszącej nazwę Twarz Przyszłości (krem pod oczy nazwano Spojrzeniem Przyszłości, a szminkę Ustami Przyszłości, i tak dalej). Nieustannie poszukując nowych i nowatorskich sposobów na redaktorów pism poświęconych urodzie, w samym środku nocy doznałam olśnienia i pomyślałam, że każdego pozyskam jakąś „przyszłością”, by związać ich z „przyszłościowym” tematem promocji. Oczywiście „przyszłością” byłby osobisty horoskop, lecz ten chwyt był już zastosowany dla „Nawet dziesięć lat...”, naszego odmładzającego serum, i rzecz skończyła się płaczem, gdy asystentka naczelnej redaktorki „Britty” dowiedziała się, że przed upływem miesiąca straci pracę, a jej piesek ucieknie. (Dość zabawne jednak, że chociaż piesek nie ruszył się z miejsca, to ten kawałek o pracy rzeczywiście się sprawdził, gdyż dokonała całkowitej zmiany zawodowej i teraz pracuje w hotelu Plaża).

Postanowiłam więc zamiast tego kupić kilka tych inwestycyjnych rzeczy zwanych „transakcjami terminowymi”. Nie miałam o nich zielonego pojęcia oprócz tego, co słyszałam o pracujących na Wall Street ludziach obracających milionami dolarów. Sama nie zdołałabym się umówić z żadnym analitykiem giełdowym z Wall Street, nawet gdybym była gotowa zapłacić tysiąc dolarów za każdą sekundę jego czasu. Próbowалам kilkakrotnie i za każdym uzyskiwałam wymijające odpowiedzi. Już żałowałam, że w ogóle zaczęłam, ale popełniłam błąd, chwając się tym przed Lauryn, której spodobał się mój pomysł, więc byłam zmuszona przedzierać się przez coraz mniej znane banki, aż w końcu znalazłam maklera giełdowego w pewnym banku w środku miasta, który zgodził się ze mną spotkać, czyniąc to zresztą tylko dlatego, że posłałam jego asystentce, Nicie, tony bezpłatnych kosmetyków z obietnicą, że dostanie więcej, jeśli mnie umówi.

Poszłam więc, korzystając z rzadkiej okazji zdjęcia z siebie tyłu świrowatych akcentów, ile zdjęć mogłam. Już wyjaśniam: wszystkie specjalistki od reklamy w McArthur Agency muszą przybierać osobowość marki, którą reprezentują. Na przykład dziewczyny, które pracują dla EarthSource, są nieco zgrzebne i szorstkie, podczas gdy zespół Bergdorf Baby to klony Carolyn Kennedy-Beset. Ponieważ profil Candy Girrl był trochę szalony i szurnięty, musiałam ubierać się zgodnie z nim, ale bardzo szybko zaczęłam mieć tego dość... Styl wariacki jest domeną bardzo młodej kobiety, a ja miałam trzydzieści jeden lat i byłam wykończona łąčeniem rózu z oranżem.

Zachwycona, że mam okazję wyglądać poważnie, z włosami szlachetnie pozbawionymi wszystkich idiotycznych spinek i dodatków, włożyłam granatowy kostium (wprawdzie ozdobiony srebrnymi gwiazdkami, ale to była najbardziej konserwatywna rzecz, jaką miałam) i przemierzałam osiemnaste piętro w poszukiwaniu biura pana Rogera Coastera, mijając starannie ubranych, kompetentnie wyglądających ludzi i żałując, że nie mogę nosić do pracy prostych, doskonale skrojonych kostiumów, kiedy skręciłam za róg i kilka rzeczy wydarzyło się naraz.

Z tamtej strony nadchodził jakiś mężczyzna i wpadliśmy na siebie z taką siłą, że torebka wypadła mi z ręki, rozsypując po całej posadzce różne kłopotliwe drobiazgi (łącznie z fałszywymi okularami, które zabrałam, by wyglądać inteligentnie, i portmonetką na bilon z napisem „zmiana zaczyna się od środka”).

Pochylając się szybko, żeby to wszystko pozbierać, jednocześnie sięgnęliśmy po okulary i zderzyliśmy się głowami z niezłe słyszalnym trzaskiem. Oboje wykrzyknęliśmy „Przepraszam!”, a kiedy on podjął próbę roztarcia mojego czoła, wylał mi na dłoń gorącą kawę. Oczywiście, ponieważ byłam w miejscu publicznym, nie mogłam wrzasnąć z bólu, a tylko energicznie potrząsać ręką, by ten ból złagodzić, i kiedy to robiłam, zachwycając się, że kawa nie uczyniła mi większej

krzywdy, zobaczyliśmy, że przód mojej białej bluzki wygląda jak obraz Jacksona Pollocka.

- Wie pani co? - powiedział mężczyzna. - Z niewielkim wysiłkiem moglibyśmy nabrać prawdziwej wprawy w chodzeniu tutaj.

Wyprostowaliśmy się i, mimo że oparzył mi rękę i zniszczył bluzkę, spodobało mi się jego spojrzenie.

- Mogę? - Wskazał moją oparzoną dłoń, ale jej nie dotknął (procesów o molestowanie seksualne jest w Nowym Jorku tak dużo, że mężczyzna często nie chce wsiąść do windy z samotną kobietą, żeby przypadkiem nie wylądować w sądzie z niewymagającym świadków oskarżeniem, że starał się zajrzeć jej pod spódnicę).

- Proszę. - Powierzyłam mu dłoń. Poza czerwonymi śladami oparzenia była to dłoń, z której mogłam być dumna. Rzadko wyglądała lepiej. Wcierałam w nią regularnie super-nawilżający krem do rąk Candy Girl, akrylowe paznokcie były zaokrąglone i pomalowane srebrnym lakierem, przestałam więc wyglądać jak gorylica, co zawsze wprawiało mnie w wesołość i bez troskę. Mam dość owłosione ręce - a Bóg tylko wie, że niełatwo o tym mówić - i trochę tych włosów... no, cóż... sięga na wierzch dłoni. Naga prawda w tej sprawie jest taka, że jeśli się je pozostawi samopas, przypominają łapki hobbita. (Czy ktoś jeszcze na to cierpi? Czy jestem jedyna?)

W Nowym Jorku woskowanie jest tak konieczne do życia jak oddychanie i w eleganckim towarzystwie tylko wtedy zyskuje się akceptację, jeśli jest się niemal całkowicie bezwłosą. Można mieć włosy na głowie, rzęsy i dwie wyskubane brwi. To wszystko! Wszystkie inne muszą zniknąć. Nawet włoski nosowe, z czym nie byłam w stanie się zmierzyć. Chociaż musiałabym, gdybym zamierzała zrobić znaczącą karierę w dziedzinie kosmetyków.

- Bardzo przepraszam - powiedział mężczyzna.

- Zwykle oparzenie - odparłam. - Niech pan nie przeprasza, to niczyja wina. Po prostu paskudny, okropny przypadek. Zapomnijmy o tym.

- Jednak to oparzenie. Czy kiedykolwiek znów zagra pani na skrzypcach?

Wtedy spojrzałam na jego czoło, które wyglądało tak, jakby przez skórę chciało się przebić jajko.

- Boże, ma pan guza.

- Naprawdę?

Odgarnął włosy, które opadły mu na czoło. Prawą brew dzielił cienki, srebrzysty ślad blizny. Zauważyłam go, bo mój jest taki sam.

Delikatnie potarł guz.

- Auuu - jęknęłam, krzywiąc się za niego. - Jeden z najwspanialszych mózgów naszych czasów.

- Na progu przełomowych badań. Stracony na zawsze. - Te ostatnie słowa powiedział tak, jakby pochodził z wyrafinowanego Bostonu. Potem spojrzał na mój identyfikator. - Pani jest tu gościem? - Znów ten bostoński akcent. - Może wskazać pani, gdzie jest toaleta?

- Dziękuję, czuję się świetnie.

- A co z pani bluzką?

- Będę udawać, że to krzyk mody. Wszystko w porządku.

- Naprawdę? Daje pani słowo?

Dałam słowo. Zapytał, czy jestem pewna, zapewniłam ponownie, następnie ja zapytałam, czy on czuje się dobrze; odparł, że tak, po czym odszedł z tym, co pozostało z jego kawy, ja zaś, czując się tak, jakby uszło ze mnie powietrze, ruszyłam dalej i wreszcie znalazłam biuro pana Coastera.

Próbowałam skłonić Nitę, by wyjaśniła panu Coasterowi, dlaczego jestem ochlapana kawą, ale okazała zero zainteresowania.

- Przyniosłaś coś? Znaczy...

- Podkład „Masa na Ciasteczka” - powiedziałyśmy razem. Lista oczekujących na podkład „Masa na Ciasteczka” była długa.

- Tak. Mnóstwo innych rzeczy także.

Zaczęła rozrywać pudełko z kosmetykami Candy Girrl. Po chwili podniosła wzrok i zobaczyła, że wciąż tam jestem.

- Ach tak, wejź - rzekła z irytacją, machając ręką w stronę zamkniętych drzwi.

Zapukałam, po czym pozwoliłam zarówno sobie, jak i swojej zaplamionej bluzce wejść do gabinetu pana Coastera.

Pan Coaster był niskim, palantowatym superflirciarzem. Gdy tylko się przedstawiłam, obdarzył mnie przesadnie promiennym uśmiechem.

- Witam, czyżbym słyszał obcy akcent?

- Mmmm - potwierdziłam, twardym spojrzeniem obdarzając jego fotografię, na której, jak mogłam jedynie przypuszczać, była też jego żona z dwojgiem dzieci.

- Brytyjski? Irlandzki?

- Irlandzki. - Obdarzyłam fotografię kolejnym wymownym błyskiem oka, na co on przesunął ją lekko, abym dłużej nie mogła jej widzieć.

- A teraz, panie Coaster, pomówmy o interesach.

- Jakże podoba mi się pani akcent! Proszę mówić dalej! Uwielbiam go!

- Hahaha - zaśmiałam się uprzejmie, myśląc: „kretyn!”.

Minęło trochę czasu, zanim zdołałam go przekonać, by potraktował mnie poważnie, a potem było już tylko kwestią sekund, abym odkryła, iż „przyszłościowe” transakcje są czymś raczej konceptualnym i nie będę mogła po prostu tanecznie wyjść z garścią papierów wartościowych, wrócić z nimi do siebie, zapakować w efektowne pudełka i rozesłać do dziesięciu najpotężniejszych w tym mieście redaktorów działów urody. Musiałam wystąpić z jakimś innym olśniewa-

jącym pomysłem, ale nie byłam tak rozczarowana, jak powinnam, ponieważ myślałam o tym facecie, z którym się zderzyłam. To było coś. Nie tylko zgodność naszych szram. Gdybym jednak wyszła z tego budynku, istniała możliwość, że już go nigdy nie zobaczę. Chyba że coś w tej sprawie zrobię... Jeśli się nie prosi, to się nie dostaje. (Nawet wtedy to porzekadło nie zawsze się sprawdza).

Najpierw musiałam go znaleźć, a ten bank był ogromny. A jeśli uda mi się go zlokalizować, co powinnam zrobić? Wsadzić mu palec do kawy i ssać sugestywnie? Natychmiast to wykluczyłam. Po pierwsze, gorąca kawa mogłaby rozpuścić klej na akrylowym paznokciu, który mógłby odpaść i pływać w filiżance niczym płetwa rekina. Po drugie: tak czy inaczej zrobienie czegoś takiego byłoby odrażające.

Pan Coaster wyjaśniał wszystko wylewnie, a ja kiwałam głową i uśmiechałam się, lecz myślami byłam daleko we własnym wnętrzu, pochłonięta własnym niezdecydowaniem.

I właśnie wtedy, w nagłym przebłysku, powzięłam plan działania. Nagle byłam pewna. Będę otwarta i szczerza. Zdecydowałam się poprosić o pomoc pana Coastera. Tak, nieprofesjonalnie. Tak, niestosownie. Ale co było do stracenia?

- Panie Coaster - przerwałam uprzejmie - w drodze do pańskiego biura wpadłam na pewnego dżentelmena, co skończyło się rozlaniem jego kawy. Chciałabym go przeprosić, zanim wyjdę. Nie znam jego nazwiska, ale mogę go opisać - mówiłam szybko. - Jest wysoki, przynajmniej tak myślę, chociaż sama jestem tak niska, że każdy wydaje mi się wysoki. Nawet pan.

Cholera!

Pan Coaster miał kamienną minę. Ale ja naciskałam. Musiałam. Jak opisać mojego tajemniczego mężczyznę?

- Jest trochę blady, ale nie w jakiś przykry sposób, nie chorobliwie. Ma jasnobrązowe włosy, ale można przypuszczać, że jako dziecko był blondynem. A jego oczy... chyba mogłyby być zielone...

Kamienna twarz Coastera pozostała kamienna. Przerwał mi.

- Obawiam się, że nie mogę pomóc.

Z szybkością światła znalazłam się na zewnątrz jego gabinetu, którego drzwi zdecydowanie zamknęły się za moimi plecami.

Nita studiowała własną twarz w lusterku puderniczki. Wyglądało na to, że wypróbowała na sobie wszystkie produkty jednocześnie, zupełnie jak mała dziewczynka, która wpadła w amok, dobierając się do szuflady z kosmetykami mamy.

- Nita, możesz mi pomóc?

- Anno, uwielbiam ten błyszczak...

- Szukam mężczyzny...

- Witamy w Nowym Jorku. - Nawet nie oderwała wzroku od lusterka. - Ośmiominutowa randka. Przypomina randkę na czas, tylko jest wolniejsza. Dostajesz osiem minut zamiast trzech. To coś absolutnie wspaniałego. Ostatnim razem miałam czterech zainteresowanych.

- Nie szukam jakiegokolwiek mężczyzny. On tu pracuje. Jest dość wysoki i... - nie było innego sposobu, musiałam to powiedzieć - no... przystojny. Ma niewielką szramę na brwi i mówi tak, jakby pochodził z Bostonu.

Nagle wzbudziłam jej zainteresowanie. Podniosła głowę.

- Jak Denis Leary? Ale trochę młodszy?

- Tak!!!

- Aidan Maddox? Och, mój Boże. Nie, on nie jest żonaty. - Wydała z siebie jakiś krótki chichocik, który mówił, że prawdopodobnie również nigdy nie będzie.

Znalazłam go i stanęłam obok jego boksu, wpatrując się w jego plecy i pragnąc, żeby się obrócił.

- Cześć - powiedziałam przyjaźnie.

Obrócił się bardzo szybko, jakby był przerażony. -

- Ach - powiedział. - Cześć. To ty. Jak ręka? Wyciągnęłam ją przed siebie, aby mógł zobaczyć.

- Zadzwońłam do swego prawnika; pozew jest w drodze. Może miałbyś ochotę pójść kiedyś na drinka?

Spojrzał na mnie, jakby dostał obuchem.

- Zapraszasz mnie na drinka?

- Tak - odparłam zdecydowanie. - Tak, zapraszam. Odpowiedział dopiero po chwili, a w jego głosie brzmiała konsternacja.

- A gdybym odmówił?

- Cóż gorszego może się zdarzyć? Wrzącą kawą już mnie oblałeś.

Spojrzał na mnie z wyrazem dziwnie zbliżonym do desperacji, a milczenie trwało już zbyt długo. Moja pewność siebie pękła z trzaskiem i nagle rozpaczliwie zapragnęłam wyjść.

- Masz wizytówkę? - zapytał.

- Jasne! - Rozumiałam każde odrzucenie, kiedy je słyszałam.

Szperałam w portfelu, nie zauważając neonowo różowego prostokąta z lśnią-cym nadrukiem „Candy Girrl” i wydrukowaną mniejszą czcionką informacją *Anna Walsh, superstar marketingu i reklamy*. W prawym górnym rogu tkwiło słynne „warczące” logo: puszczająca oko dziewczyna z zębami zaciśniętymi w groźnym warknięciu. Grrr...

Spoglądaliśmy na tę „wizytówkę” oboje. Nagle ujrzałam ją jego oczami.

- Urocze - powiedział. W jego głosie znów brzmiało zakłopotanie.

- Tak, istotnie sprawia wrażenie powagi - odparłam. - No cóż, *sayonara*.

Wcześniej nigdy w życiu nie powiedziałam *sayonara*.

- Taaak, okay, *sayonara* - powiedział. Wciąż był zdumiony.

Wyszłam.

Cóż, raz się wygrywa, raz się przegrywa. Zresztą raczej podobają mi się włoscy i żydowscy mężczyźni: ktoś ciemnowłosy i niski byłby bardziej w moim typie. Jednak tamtej nocy obudziłam się o trzeciej nad ranem, myśląc o tym Aidanie. Wcześniej miałam w Nowym Jorku inne intensywne i ostatecznie nic nieznaczące spotkania. Pewnego razu na przykład pewien mężczyzna w metrze zaczął ze mną rozmawiać o książce, którą właśnie czytałam (autorstwa Paulo Coelho i kompletnie dla mnie niezrozumiałej). Wspaniale nam się gawędziło przez całą drogę do Riverdale. Opowiedziałam mu o sobie różne rzeczy - choćby o tym, jak będąc nastolatką, zajmowałam się mistycyzmem, czym teraz byłam zawstydzona - a on opowiedział mi o swojej posiadzie nocnego zamiatacza i o dwóch kobietach w swoim życiu, między którymi nie był w stanie dokonać wyboru.

Była też ta dziewczyna, którą poznałam na jednym z Szekspirowskich przedstawień w Central Parku. Obie stałyśmy tam, czekając, więc rozmawiałyśmy ze sobą, a ona opowiedziała mi wszystko o swoich dwóch birmańskich kotach i o tym, że tak jej pomogły, gdy była w depresji, iż zmniejszyła dawkę cipramilu z czterdziestu miligramów do dziesięciu.

To jest coś nowojorskiego: poznajecie się, opowiadacie sobie absolutnie wszystko, czujecie, że naprawdę coś was łączy, a potem nigdy nie widzicie się ponownie. To bardzo miłe. Zazwyczaj.

Ale ja nie chciałam, aby moje spotkanie z tym Aidanem już się nie powtórzyło, i przez kilka następnych dni spodziewałam się go w każdym dzwoniącym telefonie, w każdym e-mailu... Ale nic z tego.

Rozdział 6

Helen klikała w klawiaturę starego amstrada, który dożywał swoich dni w holu na blacie barku na kółkach (jeśli chciało się usiąść i wysłać e-mail, trzeba było otworzyć jego drzwiczki i siedzieć na taboreciku, z kolanami w gorącym wnętrzu).

- Do kogo piszesz? - zawołałam.

- Do nikogo - odpowiedziała, obracając głowę w stronę drzwi, skrzywiona na sam widok frędzli. - Piszę pewną rzecz... jakby ci powiedzieć... scenariusz telewizyjny. O detektywie.

Zaniemówiłam. Helen twierdziła dumnie, że jest praktycznie „niepiśmienna”.

- Ja też potrafię - oświadczyła. - Mam mnóstwo materiału. To jest naprawdę bardzo dobre. Wydrukuję go dla ciebie.

Stara drukarka trzeszczała i piszczała prawie dziesięć minut, po czym Helen teatralnym gestem wyrwała z niej jedną stronę i wręczyła mi ją. Wciąż oniemiała, przeczytałam:

Helen Walsh (i o Helen Walsh) SZCZĘŚLIWA GWIAZDA

Scena pierwsza: Mała dublińska agencja detektywistyczna. Dwie kobiety; jedna młoda i ładna (ja), druga starsza (mama). Młoda kobieta trzyma stopy na biurku. Starsza nie może siedzieć ze stopami na biurku z powodu artretyzmu w kolanach. Nieciekawy dzień. Spokój. Nuda. Tykanie zegara. Przed wejściem parkuje samochód. Do środka wchodzi mężczyzna. Przystojny. Rozgląda się dookoła.

Ja: Co mogę dla pana zrobić?

Mężczyzna: Szukam kobiety.

Ja: To nie burdel.

Mężczyzna: Nie to mam na myśli. Szukam swojej dziewczayny. Zniknęła.

Ja: Rozmawiał pan z mundurowymi?

Mężczyzna: Tak, ale oni nie zrobią niczego przed upływem dwudziestu czterech godzin. Myślę, że się pokłóciliśmy. Ja (zdejmując nogi z biurka): A pokłóciliście się? Mężczyzna (ponuro): Tak.

Ja: O co? O innego mężczyznę? O kogoś, z kim pracuje? Mężczyzna (ciągle ponuro): Tak.

Ja: Ostatnio dużo pracuje? Spędza za dużo czasu z tym kolegą? Mężczyzna: Tak.

Ja: Czarno to widzę, ale to pańska forsa. Możemy spróbować ją znaleźć. Szczegóły proszę przekazać tej starszej kobiecie, która tam siedzi.

- Świetne, prawda? - zapytała Helen. - Szczególnie ta linijka o burdelu, co? I o tym, że to jego forsa. Cyniczne, no nie?

- Tak, bardzo dobre.

- Jutro napiszę dalszy ciąg. Chyba mogłybyśmy nawet to wystawić. Teraz lepiej będzie, jeśli przygotuję się do pracy.

Około dziesiątej wieczorem znów pojawiła się w moich drzwiach ubrana do pracy obserwacyjnej (czarne, obcisłe ciuchy, które rzekomo miały być nieprzemakalne, ale nie są).

- Potrzebujesz świeżego powietrza - oświadczyła.

- Już go dzisiaj zażywałam. - Nie miałam najmniejszego zamiaru siedzieć w mokrych krzakach jednaście godzin, podczas gdy ona będzie próbowała robić zdjęcia niewiernym mężom wychodzącym z mieszkań swoich kochanek.

- Ale chciałabym, żebyś ze mną poszła.

Chociaż trudno było różnić się od siebie bardziej niż Helen i ja, byłyśmy sobie bliskie; może dlatego że byłyśmy tymi dwiema młodszymi. Jakikolwiek zresztą byłby powód tej bliskości, Helen traktuje mnie niczym przedłużenie siebie; tę część, która wstanie, aby w środku nocy podać jej szklankę wody. Jestem jej kumpelką/zabawką/niewolnicą/przyjaciółką i, rzecz jasna, wszystko, co posiadam, automatycznie jest jej własnością.

- Nie mogę - powiedziałam. - Jestem ranna.

- Wielkie rzeczy, nie przesadzaj!

Nie próbowała być okrutna. Rzecz w tym, że moja rodzina nie popiera nadmiernego sentymentalizmu. Uważają, że przesadna tkliwość jeszcze bardziej człowieka rozbija. Szorstkość i żadnej taryfy ulgowej - oto ich *modus operandi*.

Pojawiła się mama i Helen zwróciła się do niej ze skargą.

- Ona nie pójdzie. Będziesz musiała pójść ty.

- Nie mogę - odparła mama, teatralnie mrugając oczami w moją stronę, jakbym była umyślowo chora... i ślepa. - Lepiej zostanę tutaj.

- Och, wielka afera! - narzekała Helen - Wychodzę, żeby spędzić całą noc, siedząc w mokrych krzakach, i żadnej z was to nie obchodzi.

- Oczywiście, że nas obchodzi. - Mama*wyjęła coś z kieszeni i dała to Helen.
- Cukierki do ssania z witaminą C. Zapobiegają bólom gardła.

- Nie. - Helen odsunęła się, potwierdzając tym coś, co podejrzewałam: faktycznie lubiła te bóle gardła, stanowiły bowiem pretekst, żeby pozostać w łóżku, jeść lody i być niemiłą dla innych.

- Weź witaminę C.

- Nie.

- Weź witaminę C. - Nie.

- WEŹ TĘ CHOLERNĄ WITAMINĘ C!

- Chryste, nie bądź taka marudna. W porządku. Ale to nie działa.

Gdy wyszła, trzaskając drzwiami, mama sięgnęła po kartkę papieru i podała mi ostatnią tego dnia dawkę pigułek.

- Dobranoc, śpij dobrze - powiedziała, dodając z niepokojem: - Niechętnie zostawiam cię samą tu, na dole, gdy my wszyscy jesteśmy na górze.

- Tak jest dobrze, mamó. To znaczy... z moim kolanem... łatwiej mi być na dole.

- To moja wina! - wybuchła z nagłą emocją. Obwiniła siebie? Skąd jej to przyszło do głowy?!

- Gdybyśmy mieszkali w jakimś bungalowie! Wtedy moglibyśmy być razem. Oglądaliśmy jeden, no wiesz, twój ojciec i ja, zanim przyszedł na świat. Taki parterowy dom. Ale stał trochę za daleko od jego pracy. I trochę śmiesznie tam pachniało. A teraz żałuję!

Po raz drugi w ciągu jednego dnia widziałam mamę czymś poruszoną. Zwykle była twarda jak steki, które smażyła, dopóki nie poprosiliśmy, żeby tego nie robiła.

- Mamo, jest mi bardzo dobrze. Nie oskarżaj się i nie czuj się winna.

- Jestem matką, więc poczucie winy należy do moich obowiązków. - W kolejnym wybuchu lęku zapytała: - Nie miewasz koszmarów?

- Nie, mamo, nie miewam żadnych koszmarów. W ogóle nic mi się nie śni. - To chyba przez te pigułki.

Zmarszczyła brwi.

- To niedobrze - stwierdziła. - Powinnaś mieć koszmary. Postaram się - obiecałam.

Grzeczna dziewczynka. - Pocałowała mnie w czoło i zgasiła światło. - Zawsze byłaś grzeczną dziewczynką! - zawołała z czułością od drzwi. - Czasami dziwną, ale dobrą.

Rozdział 7

W rzeczywistości wcale nie jestem dziwna... cóż... w każdym razie nie bardziej niż inni. Ja tylko nie jestem taka jak reszta mojej rodziny. Wszystkie cztery moje siostry są hałaśliwe, wybuchowe i, same by to przyznały, uwielbiają porządną awanturę. Czyli okropną awanturę. W istocie każdy rodzaj awantury; zawsze widziały w sprzeczce idealny środek komunikacji. Spędziłam życie, obserwując je niczym mysz, która obserwuje kota, zwinięta w kłębek i cicha jak drobniutka kruszynka, mając nadzieję, że jeśli nie zdają sobie sprawy, iż tam jestem, to nie zaczną ze mną walczyć.

Moje trzy starsze siostry - Claire, Maggie i Rachel - są podobne do mamy: wysokie, wspaniałe kobiety ze zdecydowanymi poglądami. Mnie wydają się jakąś inną rasą i pilnuję tego, aby nigdy nie wdawać się w żaden spór z nimi, ponieważ najmniejsza rzecz, jaką powiem, roztrzaska się na skałach ich hałaśliwej, zdecydowanej, niewzruszonej pewności.

Claire, pierworodna, właśnie skończyła czterdziestkę. Mimo to pozostaje upartą optymistką, która „naprawdę wie, jak się bawić” (eufemistyczne określenie „nieokiełznanego zwierzęcia towarzyskiego”). W przeszłości życie przyniosło jej pewien niewielki problem, gdy mąż, protekcyjny James, zostawił ją w dniu, w którym urodziła ich pierwsze dziecko. Załamało ją to na... och, jakieś pół godziny, potem się pozbierała. Poznała następnego faceta, Adama, i miała dość zdrowego rozsądku, by wziąć kogoś, kto jest młodszy od niej i łatwo go skłonić do posłuszeństwa. Dopilnowała też, żeby był ciemnowłosym, przystojnym byczkiem z pięknymi, szerokimi ramionami i, zdaniem Helen (nie pytajcie), wspaniałym, dużym fiutem... Oprócz Ka-te, tego „porzuconego dziecka”, Adam i Claire mają dwoje kolejnych dzieci i mieszkają w Londynie.

Druga siostra: Maggie, lizuska. Trzy lata młodsza od Claire, wyróżnia się tym, że nie chce być rozmyślnie przeciwna. Ale (a to jest wielkie ALE) potrafi się postawić i kiedy przyjdzie jej do głowy jakiś pomysł, bywa uparta jak osioł. Maggie mieszka w Dublinie, niecałą milę od mamy i taty.

Potem idzie Rachel, rok młodsza od Maggie, środkowa w naszej piątce. Jeszcze zanim wszędzie zaczął towarzyszyć jej Luke, wywoływała lekkie zamieszanie; była seksowna, zabawna, trochę niesforna, a jej mały problem był dość duży, naprawdę. Prawdopodobnie najgorszy z wielu. Przynajmniej do czasu mojego. Kilka lat temu, gdy zamieszkała w Nowym Jorku, nabrała upodobania do tego „diabelskiego łupieżu” (kokainy). Wszystko zrobiło się okropne i po dramatycz-

nej próbie samobójczej wylądowała w pewnej kosztownej irlandzkiej klinice odwykowej.

Bardzo kosztownej. Mama wciąż mówi, jak ona i tato mogliby za te pieniądze pojechać Orient Expressem do Wenecji i przez miesiąc mieszkać w apartamencie w Cipriani, po czym zawsze dodaje szybko, choć nie całkiem przekonująco, że nie można wyceniać szczęścia dziecka.

Trzeba jednak przyznać, że historia Rachel to prawdopodobnie największy sukces rodziny Walshów. Mniej więcej rok po leczeniu Rachel poszła do college'u, skończyła psychologię, a potem uzyskała magisterium z nauk humanistycznych na dodatkowych studiach i obecnie pracuje w ośrodku rehabilitacyjnym w Nowym Jorku.

Po latach spędzonych w kokainowym świecie poza świadomością wielkie znaczenie ma dla niej bycie „realną”. Ambicja godna pochwały. Jedynym minusem jest to, że potrafi być trochę zapamiętała. Często mówi z aprobatą o ludziach pracujących nad sobą. Kiedy zaś jest ze swoimi „uzdrowionymi” przyjaciółmi, czasami żartują z ludzi, którzy nigdy nie byli na terapii. „Co? Chcesz powiedzieć, że ona wciąż ma osobowość, którą nadali jej rodzice?” To ma być żart. Jeśli jednak zdrapie się z Rachel tę żarliwość, to bez zbytniego trudu odkryje się w niej dawną osobę, która jest bardzo wesoła.

Następna z kolei jestem ja; trzy i pół roku młodsza od Rachel.

Potem jest zamykająca listę Helen, która ma swoje humory. Ludzie ją lubią i boją się jej. Jest prawdziwym oryginałem: nieustraszona, nietaktowna, niedyplomatyczna i rozmyślnie przeciwna. Na przykład: kiedy zakładała swoją agencję detektywistyczną (Lucky Star Investigations), mogła ją ulokować w pięknym domu przy Dawson Street, z portierką i wspólną recepcjonistką, ale usadowiła się w czynszowej kamienicy pokrytej graffiti, gdzie wszystkie sklepy mają stale opuszczone żaluzje, a za-kapturzone wyrostki o szemranym wyglądzie śmigają

wokół na rowerach, dostarczając znięte kawałki białego papieru. Coś niewymownie ponurego i przygnębiającego, ale Helen to lubi.

Mimo że jej nie rozumiem, Helen jest dla mnie niczym bliźniaczka; mroczna bliźniaczka. Jest bezwstydną, odważną wersją mnie. I mimo kpin, jakie sobie zawsze ze mnie robi (nie ma w tym nic osobistego, ona nabija się ze wszystkich), jest tak lojalna, że gotowa się bić.

W istocie wszystkie moje siostry są tak lojalne: choć wszystko jest w porządku, gdy obsmarowują się wzajemnie, zabijają każdego innego, kto by tego spróbował.

Ach tak, no dobrze, w porządku... twierdziły, że mam przywidzenia, i wołały „Ziemia wzywa Annę” czy coś w tym rodzaju, ale mówiąc szczerze, miało to swoje powody: było oczywiste, że niezbyt podoba mi się rzeczywistość. Zastanawiałam się zresztą, dlaczego miałyby się podobać komukolwiek, bo ani przez chwilę nie robiła na mnie przyjemnego wrażenia. Wykorzystywałam każdą okazję do ucieczki, jaka była mi dana (czytanie, spanie, zakochiwanie się, projektowanie w myślach domów, w których miałam własny pokój i nie musiałam go dzielić z Helen), a nie byłam najbardziej praktyczną osobą, jaką można by spotkać.

A potem, oczywiście, były ozdobione frędzlami spódnice...

Z zawstydzeniem przyznaję, że od czasów „nastoletnich” miałam różne długie, hippisowskie spódnice z frędzlami, niektóre nawet z... o Boże... naszytymi kawałkami lusterek. Dlaczego? Dlaczego??? Byłam młoda i głupia. Wiem, że wszyscy mamy się czego wstydzić w naszym młodzieńczym „stylu”. Te okropnie ubrane szkielety w naszych szafach... Ale mój okres wierności tamtej szaleńczej modzie trwał niemal dziesięć lat.

A na dodatek jako piętnastolatka przestałam chodzić do fryzjera, po tym jak zrobił ze mnie jakąś Cindy Lauper. (To były lata osiemdziesiąte, więc nie mogę

go winić, nie znał nic lepszego). Jednak te lusterkowe spódnice i włosy w nieładzie to naprawdę drobiazgi w porównaniu z... historią pewnego zwrotu grzecznościowego.

ZWROT GRZECZNOŚCIOWY

Jeśli jeszcze nie słyszeliście tej opowieści, a prawdopodobnie słyszeliście, bo najwyraźniej wie o tym cały świat i wszyscy święci, oto ona: gdy ukończyłam szkołę, tato załatwił mi pracę w pewnym biurze konstrukcyjnym. Ktoś był mu winien jakąś przysługę i panowało przekonanie, że musiała to być całkiem duża przysługa.

No więc siedzę w tym biurze, pracuję najlepiej, jak mogę, starając się być miła dla budowlańców, którzy przychodzą po zaliczki, aż pewnego dnia pan Sheridan, główny szef, rzuca mi na biurko czek i mówi: „Poślij go do Billa Prescottta i dołącz jakiś zwrot grzecznościowy, coś miłego, no wiesz...”.

Na swoją obronę powiem, że miałam wtedy dziewiętnaście lat, nic nie wiedziałam o języku administracji, i ów czek, na szczęście, został wycofany, zanim wysłano go na pocztę z moim miłym liścikiem („Szanowny Panie Prescott, chociaż nigdy Pana nie spotkałam, wierzę, że jest Pan bardzo miłym człowiekiem. Wszyscy pracownicy wyrażają się o Panu z najwyższym uznaniem”).

Skąd miałam wiedzieć, że dołączanie zwrotów grzecznościowych bynajmniej nie obejmuje komplementowania kogokolwiek? Nikt mi tego nie powiedział, a ja nie byłam jasnowidzem (choć żałowałam, że nim nie jestem). Był to taki błąd, jaki mogła popełnić każda niewtajemniczona osoba, ale stał się głośnym wydarzeniem, które zajęło honorowe miejsce w rodzinnym folklorze i skryształizowało powszechną opinię na mój temat: byłam „dyżurnym dziwadłem”.

Oczywiście, nie wpływało to z niezyczliwości, ale nie było przyjemne.

Wszystko się jednak zmieniło, gdy poznałam Shane'a, moją bratnią duszę. (To było dawno; tak dawno, że można o tym mówić bez popadania w szyderstwo). Shane i ja byliśmy sobą zachwyceni, ponieważ myśleliśmy dokładnie w ten sam sposób. Zdawaliśmy sobie sprawę z przyszłości, jaka nas czeka (przykucie do jednego miejsca i nudnej, stresującej pracy z powodu konieczności spłacania hipoteki jakiegoś okropnego domu), więc postanowiliśmy, że spróbujemy żyć inaczej.

Podróżowaliśmy, co zostało źle przyjęte. Maggie mówiła o nas: „Powiedzieliby, że idą kupić kitkata, a następną wiadomością od nich byłaby informacja, że pracują w jakiejś garbarni w Istambule”, do czego nigdy nie doszło. (Chyba myślała o tym, jak kiedyś poszliśmy kupić puszkę soku ananasowego i ni z tego, ni z owego postanowiliśmy opłynąć łodzią wyspy greckie).

Mitologia rodziny Walshów sprawiła, że to wszystko brzmi tak, jakbyśmy, Shane i ja, byli parą leniwych nierobów, ale praca w fabryce puszek w Monachium była katorżnicza, zaś prowadzenie baru w Grecji zabierało mnóstwo czasu i -co jeszcze gorsze - wymagało uprzejmości dla ludzi, która jak powszechnie wiadomo, jest najtrudniejszym obowiązkiem na świecie. Ilekroć wracaliśmy do Irlandii, słyhać było: „Ho, ho, oto i oni, para śmierdzących hippisów, przyjeżdżają pasożytować, chowajcie cukierki”.

W gruncie rzeczy to do mnie nie docierało; miałam Shane[^], żyliśmy w kokonie naszego własnego świata i spodziewałam się, że tak będzie zawsze.

Potem Shane ze mną zerwał.

Poza smutkiem, samotnością, zranieniem i upokorzeniem, jakie zawsze czuje złamane serce, ja czułam się zdradzona: Shane miał teraz szacownie ścięte włosy i zajął się biznesem. Wprawdzie był to jakiś kapitalny biznes, coś co miało związek z muzyką elektroniczną i płytami kompaktowymi, ale po tym, jak pogardzał

tym systemem przez cały okres naszej znajomości, szybkość, z jaką skwapliwie z niego skorzystał, przyprawiła mnie o zawrót głowy.

Miałam dwadzieścia osiem lat, nic oprócz tych spódnic z frędzlami, i nagle wszystkie te lata, które spędziłam, przemieszczając się z kraju do kraju, wydały mi się stracone. To był straszny, naprawdę straszny okres, kręciłam się w kółko niczym przerażona, zagubiona dusza, i właśnie wtedy mąż Maggie, Garv, wziął mnie pod swoje skrzydła. Najpierw dał mi stałą pracę i choć przyznaję, że otwieranie poczty w firmie prawniczej nie jest szczególnie pasjonujące, był to jakiś początek.

Potem przekonał mnie, żebym poszła do college'u, i nagle moje życie znów nabrało tempa, szybko zmierzając w jakimś sensownym kierunku. W krótkim czasie zrobiłam prawo jazdy, kupiłam samochód, zaczęłam nosić „odpowiednie”, wymagające umiarkowanej pielęgnacji fryzury. Krótko mówiąc, nieco później niż większość ludzi jakoś się pozbierałam.

Rozdział 8

JAK AIDAN I JA SPOTKALIŚMY SIĘ PONOWNIE

Jakiś barczysty mężczyzna oplótł mój kark ramieniem przypominającym baleron i zakołysał mi przed twarzą małą plastikową torebką z białym proszkiem.

- Hej, Morticia, chcesz trochę koki?
- Nie, dziękuję - odpowiedziałam uprzejmie, uwalniając się z jego objęcia.
- Daj spokój - rzekł trochę za głośno. - Jesteśmy na imprezie.

Poszukałam drzwi. To było okropne. Wydawałoby się, że skoro trafiło się do zwykownego loftu wychodzącego na rzekę Hudson, z profesjonalnym systemem

dźwiękowym, mnóstwem drinków i tłumem ludzi, to jest się na wielkim przyjęciu.

Coś tu jednak nie działało jak należy, a ja obwiniałam o to Kenta, faceta organizującego tę imprezę. Był zapalonym bankierem, a to miejsce wypełniały hordy jego identycznych kumpli, oni zaś nie potrzebowali niczego, by umacniać własną pewność siebie, gdyż wystarczająco okropni byli *au naturel*, bez dodatku kokainy.

Wszyscy wyglądali wylewnie i jakoś desperacko, jakby najważniejszą rzeczą było to, żeby dobrze się bawić.

- Jestem Drew Holmes. - Mężczyzna znów pomachał mi torbeczką kokainy.
- Spróbuj, to jest świetne, spodoba ci się.

To był już trzeci facet, który proponował mi kokainę. Naprawdę nie mam pojęcia, jakim cudem oni odkryli narkotyki.

- Lata osiemdziesiąte nigdy nie zginą - powiedziałam. - Nie, dziękuję. Naprawdę.

- To dla ciebie zbyt szaleńcze, co?

- Masz rację; zbyt szaleńcze.

Rozglądałam się za Jacqui. To wszystko jej wina: ona pracowała z bratem Kenta. Widziałam tu tylko mnóstwo roz-wrzeszczanych pakerów o źrenicach jak talerze i sznurowatych dziewczyn pijących wódkę prosto z butelek. Później się dowiedziałam, iż Kent puścił wiadomość, że chce, aby ludzie przyprowadzili ze sobą takie dziewczyny, które były o krok od odwyku i znajdowały się w fazie skrajnego upodlenia. Ale jeszcze zanim się tego dowiedziałam, byłam przekonana, że to podły gnojek.

- Opowiedz mi o sobie, Morticia. - Drew Holmes wciąż tkwił u mego boku. - Czym się zajmujesz?

Nawet nie kryłam znudzenia. Znów to samo. Ta impreza była pełna cholernie namolnych ciekawskich, ale - na ich życzenie, mogłabym dodać - już wcześniej opowiedziałam o swojej pracy dwóm innym facetom i żaden z nich nie wysłuchał ani jednego słowa, bo tylko czekali, aż się zamknę, żeby mogli monologować o sobie i o tym, jacy są wspaniali. Kokaina naprawdę zabija sztukę konwersacji.

- Testuję obuwie ortopedyczne.

- Fantastycznie!!! - Głęboki oddech przed rozpoczęciem monologu. - A ja... ble ble ble... mnóstwo forsy... ja, mnie, mną, mi... sława... ble ble ble... promocja... ble... premia... harówka... ja... moje... mój drogi apartament... mój drogi samochód... moje drogie wakacje... moje drogie narty... ja, ja, ja, ja. JAAAAAA...

I właśnie wtedy jakaś kanapka - mignęła bardzo szybko, ale to chyba był miniburger - trafiła go w skroń, więc rozglądał się za sprawcą z oczami wybałuszonymi wściekłością. Odeszłam niepostrzeżenie. Postanowiłam wyjść. Dlaczego w ogóle tam przyszłam? No cóż, a dlaczego chodzi się na przyjęcia do ludzi, których się nie zna? Żeby poznać mężczyzn, oczywiście. Dość zabawne było jednak to - co u licha działo się z tymi planetami? - że przez kilka wcześniejszych tygodni byłam wprost oblegana przez mężczyzn. Nigdy w życiu nie doświadczyłam czegoś takiego.

Jacqui i ja poszłyśmy na taką ośmiominutową randkę, o której opowiadała mi Nita z biura Rogera Coastera, i miałam trzech kandydatów: przystojnego, interesującego architekta; rudowłosego piekarza z Queens, który nie był przystojniakiem, ale okazał się bardzo miły, i młodego, sprytnego barmana, który używał takich słów jak „gościowa” i „facio”. Każdy proponował randkę, więc umówiłam się ze wszystkimi trzema.

Zanim jednak zaczniecie myśleć: a) że jestem potrójną zdzirą (a właściwie poczwórna, bo jeszcze nie wspomniałam o „randce w ciemno”, którą zorganizowa-

wała mi Teenie) albo b) że cała ta sprawa doprowadziła do katastrofy... że było mi pisane takie wyeliminowanie i to, że zostanę z nikim, pozwólcie mi wyjaśnić zasady randkowania w Nowym Jorku, szczególnie zaś kwestię wyłączności lub jej braku. Tym, co ja uprawiałam, było randkowanie niezobowiązujące, a więc niezakładające wyłączności, co tutaj jest w pełni akceptowane.

W Irlandii natomiast jest tak, że ludzie zmierzają ku związkom. Zaczyna się od chodzenia na kilka drinków, potem idzie się na film, następnie wpada się na siebie na przyjęciu wydanym przez wspólnych przyjaciół i na pewnym etapie zaczyna się ze sobą sypiać; najprawdopodobniej właśnie od tego wieczoru (wtedy zazwyczaj potwierdza się prawo Murphy'ego: kobieta nie ma na sobie najlepszej bielizny itd.). Wszystko to jest bardzo przypadkowe i wynika z własnego biegu rzeczy, a siła napędu zależy od przypadkowych spotkań. I chociaż nie mówi się o wyłączności czy braku wyłączności, on jest definitywnie twoim chłopakiem. Gdybyś więc odkryła, że mężczyzna, z którym przez kilka ostatnich miesięcy dzielisz wieczory przy kominku i video, je uroczy obiad z kobietą, która a) nie jest tobą, b) nie jest jego krewną, byłabyś absolutnie uprawniona do wylania mu na głowę kieliszka wina i powiedzenia tej kobiecie, że „jeśli chce go sobie wziąć, to proszę bardzo”. W tym momencie można też kiwnąć małym palcem i powiedzieć: „choć właściwie nie warto, prawda?”.

Ale nie w Nowym Jorku. W Nowym Jorku pomyślałabyś: oto jeden z tych mężczyzn, z którymi spotykam się niezobowiązująco, je obiad z kobietą, z którą także spotyka się niezobowiązująco. Jakże jesteśmy cywilizowani... Nikt nikogo nie obleje winem, w istocie możesz nawet dosiąść się do nich na drinka. (Tak naprawdę nie, trzeba to wykreślić, nie sądzę, by dało się to zrobić. Może na papierze, ale nie w życiu, zwłaszcza jeśli on ci się podoba).

Jednak nie ma tego złego i w czasie takiej wolności od zobowiązań można coś zyskać; można co noc spać z innym mężczyzną i nikt nie nazwie cię „po-

szósną zdziwą". Mimo to ja (niezależnie od przychylności dla systemu) nie do-
tknęłabym żadnego z tych przerośniętych koleśków z tamtej imprezy. Przedziera-
łam się przez zatłoczony pokój. Gdzie, do diabła, podziała się Jacqui? Poczułam
trwogę, gdy drogę zablokował mi kolejny mężczyzna o następnym głupim imie-
niu, jakiś ma-chowaty Butch. Faktycznie, kiedy teraz o tym myślę, to naprawdę
mógł być Butch. Pociągnął mnie za sukienkę i odezwał się z roztargnieniem:

- Co to za ciuchy?

Miałam na sobie czarną, obcisłą sukienkę z dzianiny i czarne kozaczki, co nie
wydawało się niedorzecznym strojem na imprezę.

Dociekał dalej.

- Co słyhać w rodzinie Addamsów?

Najdziwniejsze było to, że jak dotąd nigdy w życiu nie dano mi do zrozumie-
nia, iż wyglądam jak Morticia. Dlaczego, dlaczego, dlaczego??? Chciałam, żeby
puścił moją sukienkę. Była rozciągliwa, ale już nie pierwszej młodości i bałam
się, że mogłaby stracić tę elastyczność i już nigdy nie odzyskać właściwego fa-
sonu.

- A zatem, gotycka dziewczyno - mówił dalej - co robisz, kiedy nie jesteś go-
tycką dziewczyną?

Zastanawiałam się, czy mu powiedzieć, że jestem trenerką ćwiczącą słonie w
mówieniu albo wynalazczynią odwróconego przecinka, gdy wtrącił się między
nas czyjś głos:

- Nie znasz Anny Walsh?

- A to kto? - zapytał Butch.

Słusznie, a to kto? Odwróciłam się. To był On. Facet, który wylał na mnie
kawę, którego zaprosiłam na drinka i który mi umknął. W narciarskiej czapce z
szalikiem i obszernej fu-fajce wniósł ze sobą chłodny wieczór, odświeżając at-
mosferę.

- Taaak, Anna Walsh. Ona jest...- spoglądał na mnie pytająco ...czarnoksiężnikiem?

- Asystentką czarnoksiężnika - poprawiłam. - Zdałam wszystkie egzaminy na maga, ale strój asystentki podoba mi się znacznie bardziej.

- Inteligentne! - orzekł Butch, ale nie spojrzałam na niego.

Patrzyłam na Aidana Maddoksa, który pamiętał moje nazwisko, choć od dnia, w którym się poznaliśmy, minęło siedem tygodni. Nie był dokładnie taki, jakim go zapamiętałam. Przylegające nakrycie głowy czyniło jego twarz bardziej wyrazistą, podkreślając szczególnie kości policzkowe i wąską szczękę. Miał też jakiś błysk w oczach, którego nie było w nich poprzednio.

- Ona znika - powiedział Aidan - a potem, w magiczny sposób, pojawia się ponownie.

Wziął mój numer telefonu, ale nie zadzwonił, a teraz przygaduje mi potwornie oklepanym frazesem, jakiego już dawno nie słyszałam. Spojrzałam na niego z chłodną ciekawością: co to za gra?

Jego twarz nie dała mi żadnej odpowiedzi, ale nie przestałam na niego patrzeć. Ani on na mnie. Wydawało się, że minęły wieki, gdy ktoś zapytał, dokąd wtedy wychodzę. Tym kimś był Butch. Byłam zdumiona, że on wciąż tam jest.

- Co? Wychodzę? Kiedy?

- No, kiedy tak magicznie znikasz! Hej, obudź się! - Mrugnął wesoło.

- Och, po prostu wychodzę na papierosa. - Odwróciłam się do Aidana i kiedy nasze oczy znów się spotkały, poczułam, że skóra mi płonie.

- Sprytne - rzekł Butch. - A przepiłowywanie na pół? Jak to się robi?

- Sztuczne nogi - odparł Aidan, ledwie poruszając ustami i nie spuszczając oczu z mojej twarzy.

Naprawdę czułam, jak uśmiech Butcha znika powoli.

- Wy się znacie? - Aidan i ja spojrzeliśmy na Butcha, a potem znowu na siebie. - Tak, znacie się.

Nawet gdybym nie wiedziała, że coś dzieje się ze mną i Aidanem, to sposób, w jaki Butch nas potraktował, był jakimś znakiem: dał za wygraną... a było wiadać, że z natury jest superambitny.

- Bawcie się, dzieciaki - powiedział nieco przybity. Tak więc Aidan i ja zostaliśmy zostawieni sami sobie.

- Podoba ci się ta impreza? - zapytał.

- Nie - odparłam. - Nie lubię tego.

- Tak... - Obrzucił wzrokiem pokój, oglądając go inaczej niż ja. - Co tu lubić?

Właśnie wtedy wcisnął się między nas jakiś niski, ciemnowłosy mężczyzna w typie tych, jacy podobali mi się, zanim poznałam Aidana

- Gdzie się wybierasz, kolego? Dopiero wpadłeś.

Na twarzy Aidana odmalowało się pytanie: czy kiedykolwiek zostawią nas w spokoju? Zaraz jednak się uśmiechnął.

- Anno, poznaj mego najlepszego kumpla, Leona. Leon pracuje z Kentem, na którego urodzinach dzisiaj jesteśmy. A to jest żona Leona, Dana.

Dana była niemal o głowę wyższa od Leona. Miała długie nogi, duży biust, burzę multikolorowych włosów i olśniewającą, równomiernie opaloną skórę.

- Cześć - powiedziała.

- Cześć - odparłam.

- Kiepskie przyjęcie, prawda? - z niepokojem zapytał mnie Leon.

- Cóż...

- To porządni ludzie - rzekł Aidan.

- To powiedz mi, co myślisz.

- Okay. Jest superkiepskie.

- Racja - westchnęła Dana i powachlowała się ręką. - Wmieszajmy się w tłum - powiedziała do Leona. - Im szybciej zaczniemy, tym szybciej będziemy mogli wyjść. Przepraszamy was.

- Wskoczmy, gdy już nie da się wytrzymać - rzucił Leon do Aidana, a potem znów zostaliśmy sami.

Czy sprawili to dwaj chichoczący mężczyźni, pędzący do łazienki z plastikowymi torebkami niczym para pensjonarek, czy też owe nieszczęsne dziewczyny wybierające masę drobiową z pasztecików i rozsmarowujące ją sobie na sukienkach, dość że Aidan zapytał:

- Anno, może byśmy stąd wyszli?

Może byśmy stąd wyszli? Spojrzałam na niego, zirytowana tą bezczelnością. Te wszystkie „nagle impulsy” czy „bądźmy ze sobą tu i teraz” są świetne, gdy się ma dziewiętnaście lat, ale ja miałam trzydzieści jeden i znikąd tak po prostu nie „wychodziłam” z nieznanymi mężczyznami.

- Pozwól mi tylko powiedzieć Jacqui, że wychodzę - odparłam.

Znalazłam ją w kuchni, pokazującą gromadce zasłuchanych ludzi, jak się przyrządza prawdziwy manhattan, i powiedziałam, że wychodzę. Zanim jednak wyszłam, musiałam wydobyć swój płaszcz spod jakiejś jęczącej pary uprawiającej seks w sypialni Kenta. Jeśli chodzi o kobietę, widziałam tylko jej nogi i buty, z których jeden miał gumę do żucia przyklejoną do podeszwy.

- Który to płaszcz? - zapytał Aidan. - Ten? Przepraszam was, kochani. Muszę tylko wyciągnąć ten...

Pociągnął i płaszcz wysunął się najpierw o centymetr, potem o następny, aż wreszcie, z finałowym szarpnięciem, wyslizgnął się i znaleźliśmy się w drzwiach.

W euforii ucieczki nie mogliśmy czekać na windę, więc napędzani nadnaturalną energią zbiegliśmy kilka pięter i wyskoczyliśmy prosto na ulicę.

Na początku października dni wciąż były słoneczne, ale noce chłodne. Aidan pomógł mi włożyć płaszcz; granatowe aksamitne paletko z namalowanym srebrzystym pejzażem (Dostałam je darmo. Przez krótki czas agencja McArthur robiła reklamę dla domu mody Fabrice & Vivien. W tym wspaniałym okresie, zanim się rozstaliśmy, ponieważ nie byli zadowoleni z naszych propozycji, z radością rozrzucali dookoła takie rzeczy. Franklin, człowiek, który prowadził ten interes, dostał je wszystkie, łącznie z płaszczem, ale będąc mężczyzną - choćby i pajacem - nie miał dla niego zastosowania, więc dał go mnie. Lauryn wciąż mówi o tym z goryczą).

- Podoba mi się twój wygląd. - Aidan cofnął się o krok, by dokładnie mnie obejrzeć. - Taaak...

Mnie jego wygląd także się podobał. W tej czapce, fufajce i wielkich buciorkach był uosobieniem Szyku Mężczyzny Pracującego. Nie, żebym zamierzała mu to powiedzieć, o nie. I dobrze, że Jacqui nie słyszała Aidana, gdyż uwaga o moich strojach była klasyczną reakcją Głoszącego Piórka (szczegóły podam później).

- Chciałabym wyjaśnić jedną rzecz - powiedziałam nieco uszczypliwie. - Ja nie „zniknęłam”. Ja wyszłam. Nie chciałeś bowiem pójść ze mną na drinka, pamiętasz?

- Chciałem. Chciałem od tej pierwszej chwili, gdy walnęłaś mnie głową. Ja tylko nie byłem pewien, czy...

- O przepraszam, to ty walnęłaś mnie głową. Czego nie byłeś pewien?

- Wszystkiego.

Dajmy temu spokój. Na chwilę.

Dwie przecznice dalej znaleźliśmy mały, dziwny, podziemny bar z czerwonymi ścianami i stołem bilardowym. Suchy lód kłębił się wokół naszych kolan (barman wyjaśnił, że próbują odtworzyć atmosferę wspaniałych czasów sprzed

zakazu palenia) i na prośbę Aidana opowiedziałam mu o swoim życiu „asystentki czarnoksiężnika”.

- Nazywają nas Cudowny Marvo i Gizelda. Gizelda to moje sceniczne imię. Jesteśmy bardzo znani na Środkowym Zachodzie. Sama szyję wszystkie swoje kostiumy; sześćset cekinów na jeden, i wszystko robię ręcznie. Kiedy to robię, wprowadzam się w stan medytacji. W rzeczywistości Marvo jest moim tatą, a naprawdę na imię ma Frank. Teraz ty opowiedz mi o sobie.

- Nie, ty opowiedz mi o mnie. Namyslałam się przez chwilę.

- Okay. Jesteś synem obalonego wschodnioeuropejskiego despoty, który ukradł swojemu narodowi miliony. - Uśmiechnęłam się trochę okrutnie. - Pieniądze są ukryte i teraz obydwaj ich szukacie. - W miarę dodawania przeze mnie coraz to gorszych szczegółów wydawał się coraz bardziej przerażony. Poczułam żal i trochę go zrehabilitowałam. - Jednak powodem, dla którego chcesz znaleźć te pieniądze, jest chęć zwrócenia ich twojemu zubożałemu narodowi.

- Dziękuję - powiedział. - Coś jeszcze?

- Masz dobre kontakty ze swoją pierwszą żoną, włoską tenisistką. I gwiazdą porno - dodałam. - Faktycznie sam byłeś doskonałym tenisistą, mogłeś nawet zostać zawodowcem, dopóki nie przeszkodziły temu urazy przeciążeniowe.

- Skoro o urazach mowa; jak twoja oparzona ręka?

- Dobrze. Z przyjemnością widzę, że ocknąłeś się z tej śpiączki, w którą cię wprowadziłam. Żadnych efektów ubocznych?

- Jak widać, żadnych. Sądząc z tego, jak ułożył się ten sobotni wieczór, wydaję się sprytniejszy niż kiedykolwiek, czyż nie?

Znów ten bostoński akcent i styl. Wydał mi się bardzo seksowny.

- Powiedz to jeszcze raz.

-Co?

- Sprytniejszy...

- Sprytniejszy niż kiedykolwiek, czyż nie? -Tak.

Wzruszył ramionami.

Ogarnęła mnie fala fizycznego pożądania, podobna do głodu, ale gorsza. Musiałam mieć się na baczności.

- Zagramy w bilard? - zaproponowałam.

- Grasz?

- Gram.

Zawarta w tym dwuznaczność i znaczące spotkanie oczu wyzwoliły we mnie coś głęboko ukrytego.

Po dwudziestu minutach wbijania bili do kołyszących się kieszonek, które przypominały mi jądra, pokonałam Aidana.

- Dobra jesteś - powiedział.

- Pozwoliłeś mi wygrać. - Puknęłam go w żołądek bilardowym kijem. - Nie rób tego więcej.

Otworzył usta, żeby zaprotestować, a ja wcisnęłam kij nieco głębiej. Przyjemnie twarde mięśnie brzucha. Patrzyliśmy na siebie przez kilka sekund, a potem w milczeniu odstawiliśmy kije.

Gdy o czwartej nad ranem zamknięto bar, Aidan zaproponował, że odprowadzi mnie do domu, ale mój dom był za daleko. Cztery przecznice.

- Nie jesteśmy już w Kansas, Toto - powiedziałam.

- Okay, weźmiemy taksówkę. Podrzucę cię.

Siedząc z tyłu i słuchając taksówkarza wrzeszczącego po rosyjsku przez telefon komórkowy, nie rozmawialiśmy ze sobą. Obrzuciłam go szybkim spojrzeniem; światła i cienie miasta przechodzące przez jego twarz uniemożliwiały mi dostrzeżenie jej wyrazu. Zastanawiałam się, co będzie dalej. Jedno wiedziałam: po ostatniej odmowie na pewno nie zaproponuję wymiany wizytówek ani spędzenia miłego wieczoru na mieście.

Zatrzymaliśmy się przed wejściem do mojego domu.

- Tutaj mieszkam.

Omawianie delikatnej kwestii „co dalej” powinno się raczej odbywać w cztery oczy, ale my musieliśmy siedzieć w taksówce, bo gdybyśmy wyszli bez zapłaconia za kurs, taksówkarz mógłby nas zastrzelić.

- Widzisz... chyba spotykasz się z innymi facetami - powiedział Aidan.

- Chyba tak.

- Czy możesz wpisać mnie do harmonogramu swoich spotkań?

Zastanawiałam się.

- Mogłabym to zrobić.

Ja nie pytałam, czy on spotyka się z innymi kobietami; to nie była moja sprawa (a przynajmniej tak należało twierdzić). Poza tym coś w sposobie, w jaki Leon i Dana zachowali się wobec mnie (przyjemni, ale nieszczególnie zainteresowani, jakby przez wiele lat Aidan przedstawiał im mnóstwo dziewczyn), dawało mi pewność, że tak jest.

- Dasz mi numer swojego telefonu? - zapytał.

- Już ci go dałam - odparłam i wysiadłam z taksówki. Jeśli tak bardzo chcesz mnie zobaczyć, to mnie znajdzie.

Rozdział 9

Obudziłam się w wąskim łóżku, w pełnym kanap frontowym pokoju, i przez kilka półprzytomnych minut próbowałam wyglądać przez okno. Pojawiła się starsza kobieta z psem; obserwowałam ją sennie. Potem mniej sennie. Uniosłam się: nie, to mi się nie śniło. Nieszczęsny pies wcale nie chciał tu załatwiać swojej

potrzeby, ale kobieta była nieustępliwa. Pies starał się iść dalej, ale właścicielka na to nie pozwalała.

- Tutaj!

Nie słyszałam, ale widziałam, jak to mówi. Dziwne.

Potem przyszła mama i uraczyła mnie solidnym śniadaniem: pół tostów, jedenaście winogron, osiem pigułek i aż sześćdziesiąt ziarenek ryżu, ponieważ musiałam ją przekonać, że czuję się coraz lepiej. Gdy mnie myła (przygnębiające zadanie z frotowymi ręcznikami i miednicą spienionej letniej wody), przystąpiłam do rzeczy.

- Mamo, postanowiłam wrócić do Nowego Jorku.

- Nie bądź śmieszna - powiedziała, dalej mnie opłukując.

- Moje blizny się goją, kolano może dźwigać ciężar, wszystkie sińce zniknęły...

To dziwne, naprawdę; miałam niezliczone skaleczenia, ale żadne nie było poważne. Chociaż moja twarz była czarna i granatowa, żadna z kości nie została złamana. Mogłam zostać stłuczona niczym skorupka jajka i spędzić resztę życia, przypominając kubistyczny obraz (jak ujęła to Helen). Wiedziałam, że jestem szczęściarą.

- Spójrz tylko, jak szybko odrastają mi paznokcie. - Machałam przed nią dłonią; straciłam dwa paznokcie i ból był, nie żartuję, nie do opisanego, znacznie gorszy niż ten, jaki czułam w złamanym ramieniu. Nawet oparte na morfinie środki przeciwbólowe nie zdołały całkiem go uśmierzyć; wciąż go czułam, był tylko trochę słabszy. W nocy budziłam się z palcami pulsującymi tak bardzo, że wydawały się spuchnięte do rozmiarów dyni. Teraz już prawie nie bolały.

- Masz złamaną rękę, córeńko. W trzech miejscach.

- Ale to były proste złamania i ręka już mnie nie boli. Powiedziałabym, że jest prawie w porządku.

- Och, jesteś teraz chirurgiem kości, tak?

- Nie, jestem specjalistką od marketingu urody i nie zdołam zatrzymać tej posady na zawsze. - Pozwoliłam, by ta myśl w nią zapadła, a potem wyszeptalam złowroźnie: - Nie będzie już żadnych bezpłatnych kosmetyków.

Nawet to nie podziałało.

- Nigdzie nie pojedziesz, córeńko.

A jednak dobrze wybrałam moment; tego popołudnia miałam cotygodniowe szpitalne badanie kontrolne i gdyby specjaliści stwierdzili poprawę, mama nie miałaby argumentów.

Po długim oczekiwaniu prześwietlono mi rękę. Tak jak myślałam, goiła się szybko i dobrze; temblak można było usunąć od razu, a gips zdjąć za dwa tygodnie.

Potem chirurg zajmujący się skórą stwierdził, że wyglądam tak dobrze, iż można już zdjąć szwy z policzka, czego nawet ja nie oczekiwałam. Bolało bardziej, niż się spodziewałam, a od kącika oka do kącika ust przebiegała zaogniona, czerwona, pomarszczona linia, lecz teraz, gdy moja twarz nie była już związana granatową nicią, wyglądałam znacznie, ale to znacznie bardziej normalnie.

- A co z operacją plastyczną? - zapytała mama.

- Za jakiś czas - odparł. - Jednak nie w tej chwili. Trudno powiedzieć, jak dobrze to wszystko będzie się goić.

Potem do doktora Chowdhury, by opukał i osłuchał moje organy wewnętrzne. Jego zdaniem wszystkie zasinienia i opuchnięcia ustąpiły. Powiedział też - powtarzał to przy każdej wizycie - jakie miałam niewiarygodne szczęście, że nic nie uległo przebiciu czy rozerwaniu.

- Córka mówi o powrocie do Nowego Jorku - wyrzuciła z siebie mama. - Proszę jej powiedzieć, że jeszcze nie powinna podróżować.

- Ależ jest w wystarczająco dobrym stanie, by pojechać do domu - rzekł doktor Chowdhury z niezaprzeczalną pewnością.

Mama wpatrywała się w niego i mimo że tego nie powiedziała, nawet nie wyszeptła pod nosem, jej „niech cię szlag, idioto” wisiało w powietrzu.

Jechaliśmy do domu w ponurym milczeniu. Przynajmniej mamy milczenie było ponure, bo moje było szczęśliwe i (nie mogłam się temu oprzeć) miało w sobie nutkę samozadowolenia.

- A co z twoim obolałym kolaniem? - zapytała mama z nagłym ożywieniem; nie wszystko było stracone. - Jak zdołasz wrócić do Nowego Jorku, jeśli nie możesz wchodzić po schodach?

- Zawrzyjmy umowę - powiedziałam. - Jeśli zdołam wejść na szczyt tych schodów, to znaczy, że na tyle wróciłam do zdrowia, by móc jechać do Nowego Jorku.

Zgodziła się, ponieważ sądziła, że nie mam szans, aby to zrobić. Nie miała jednak pojęcia, jak bardzo jestem zdecydowana, żeby wyjechać. Zrobiłam to więc, choć wejście na schody zabrało mi przeszło dziesięć minut, oblało potem i przyprawiło o lekkie mdłości z bólu.

Mama nie rozumiała jednak, że nawet gdybym nie była w stanie pokonać pierwszego stopnia, i tak bym wyjechała. Musiałam wrócić i zaczynałam popadać w panikę.

- Widzisz? - wysapałam, siadając na podeście. - Już mi lepiej. Z ręką, twarzą, bebechami, kolaniem... lepiej!

- Anno - powiedziała tonem, który mi się nie podobał, bo był taki smutny - nie chodzi przecież wyłącznie o fizyczne urazy.

- Wiem, mamó. Ale muszę wracać. Muszę. Nie mówię, że zostanę tam na zawsze. Może bardzo szybko przyjadę z powrotem do domu, ale nie mam wyboru. Muszę wracać.

Coś w moim głosie ją przekonało, gdyż najwyraźniej straciła pewność siebie.

- To jest ten nowy sposób, jak przypuszczam - powiedziała. - Zamykanie spraw. - Potem ze smutkiem mówiła dalej: - Za moich czasów nie było nic złego, jeśli zostawiało się je nieskończone. Po prostu rzucało się jakieś miejsce, nie wracało się i nikt nie sądził, aby było w tym coś złego. A jeśli człowiekowi pomieszało się w głowie, miewał koszmary i budził cały dom, biegając w środku nocy i wrzeszcząc wniebogłosy, sprowadzało się księdza, żeby odprawił nad nim modlitwy. Nie, żeby to kiedykolwiek pomogło, ale po prostu tak się robiło.

- W Nowym Jorku będzie przecież Rachel, która mi pomoże - uspokajałam ją.

- A może pomyślałabyś o wizycie u jakiegoś psychologa.

- U psychologa? - Zastanawiałam się, czy dobrze słyszę. Mama była całkowicie przeciwna wszelkiego rodzaju psychoterapiom. Nie wierzyła, że terapeuci nie nadużywają zaufania. Chociaż nie miała żadnego dowodu, uparcie twierdziła, że na przyjęciach raczą ludzi sekretami swoich klientów.

- Tak, u psychologa. Rachel mogłaby ci jakiegoś polecić.

- Hmm... - powiedziałam niewyraźnie, jakbym to rozważała, ale nie brałam tego pod uwagę. Opowiadanie o tym, co się zdarzyło, niczego by nie zmieniło.

- No dobrze, lepiej powiedzmy o wszystkim ojcu. Może się rozplakać, ale to zignoruj.

Biedny tato. W domu pełnym silnych kobiet jego zdanie w ogóle się nie liczyło. Zastałyśmy go przy oglądaniu rozgrywek golfowych w telewizji.

- Mamy dla ciebie pewną wiadomość. Anna zamierza wkrótce wrócić do Nowego Jorku - powiedziała mama.

Podniósł wzrok, zdumiony i niezadowolony.

- Dlaczego?

- Żeby zamknąć sprawę.

- Co to takiego?

- Naprawdę nie wiem - przyznała mama - ale najwyraźniej życie bez tego straci dla niej wszelką wartość.

- Czy nie za wcześnie na wyjazd? Co z jej złamaną ręką i obolałym kolaniem?

- Wszystko się goi. I im szybciej to załatwi, tym szybciej do nas wróci - odparła mama.

Potem przyszła pora, by powiedzieć to Hellen, ona zaś wpadła w rozpacz.

- Zbrodnia! - stwierdziła. - Nie jedź.

- Muszę.

- A ja sądziłam, że mogłybyśmy prowadzić ten interes razem, ty i ja. Mogłybyśmy być prywatnymi detektywami. Pomyśl, jaki byśmy miały ubaw.

To ona miałyby ubaw, leżąc wygodnie w ciepłym, suchym łóżku, gdy ja tkwiłabym w mokrych krzakach, odwalając za nią jej robotę.

- Raczej ja posłużę się tobą jako rzeczniczką urody - powiedziałam, a ona najwyraźniej to kupiła.

Posłano więc po Rachel, żeby zabrała mnie z powrotem.

Rozdział 10

Mimo iż czekałam, żeby się przekonać, czy Aidan Maddox znajdzie mój numer i do mnie zadzwoni, żyłam dalej swoim życiem, mając mnóstwo „szybkich” randek.

Chociaż na przykład Harris, interesujący architekt, okazał się trochę za bardzo interesujący, kiedy zaproponował, żebyśmy na naszej pierwszej randce zrobili sobie razem pedicure. Prawie wszystkie piszczały, że to było zachwycające i oryginalne i że najwyraźniej chciał, żebym się dobrze bawiła. Ja była pełna wątpliwości. Jeśli zaś chodzi o Jacqui, która nie miała czasu na takie bzdury, prawie wpadła w szal.

Zagroziła, że przejdzie przez salon i mnie zawstydzi; na szczęście tego wieczora pracowała, więc kiedy przyszedł czas i zasiadłam obok Harrisa, oboje wyglądaliśmy jak król i królowa, wyniesieni ponad salon na tronopodobnych wyściełanych fotelach ze stopami zanurzonymi w basenikach mydlanej wody. Nigdy nie byłam taka zadowolona. Dwie kobiety pochylały się przed nami, zajmując się naszymi stopami. Widziałam jedynie czubki ich głów, lecz byłam zbyt zawstydzona, aby w ich poddańczej, milczącej obecności prowadzić lekką konwersację. Harris jednak sprawiał wrażenie absolutnie odprężonego, pytając o moją pracę i opowiadając mi o swojej. Potem zdobył skądś shaker do cocktajli, nalał mi drinka i wzniosł swoją szklanę. Chryste, toast!

- Za zwycięstwo Metsów - powiedziałam szybko.

- Za ssanie paluszka - powiedział. O, nie, co to, to nie.

Miał swój pedicure. Fajnie. Nie mnie sądzić. Tylko proszę mnie w to nie wciągać.

Chyba zresztą tego nie planował.

- Nie pasujemy do siebie. Życzę ci wszystkiego najlepszego - rzekł całkiem miło, gdy tylko skończyliśmy i zapłaciliśmy za ten pedicure, po czym dziarsko odmaszerował na swoich świeżo wypielegnowanych stopach.

Przegrawszy jedną bitwę, ale nie całą wojnę, przygotowałam się na randkę następnego wieczora. Z Gregiem, piekarzem z Queensu. Chociaż był niezbyt ciepły październik, Greg zaproponował piknik w parku. Musiałam przyznać, że ci faceci z Nowego Jorku naprawdę grają w te randki.

Spotkaliśmy się zaraz po pracy, ponieważ Greg bardzo wcześnie chodził spać, gdyż musiał wstawać w środku nocy, żeby wypiekać chleb. Zresztą po siódmej trzydzięci byłoby za ciemno, żeby naprawdę widzieć siebie i to, co jemy. Kiedy więc szłam do parku, upierałam się, że jestem pełna nadziei. Co z tego, że było to trochę niezwykle? A gdzie mój duch przygody?

W parku zobaczyłam Grega czekającego z pledem w jednej ręce, wiklinowym piknikowym koszem w drugiej i, co odnotowałam z dreszczem zgrozy, z czymś w rodzaju idiotycznego słomkowego kapelusza na głowie.

To okropne, ale był znacznie grubszy, niż zapamiętałam z randkowania na czas. Wtedy dzielił nas stół i faktycznie widziałam tylko jego twarz i tors. Greg wydawał się potężny, ale nie aż tak przysadzisty. W całej okazałości był... był... podobny do wielkiej gruszki. Jego ramiona były normalnego rozmiaru, ale w okolicach talii najwyraźniej... eksplodował. Miał wielki brzuch i - choć mówię to z bólem serca, gdyż nie cierpię, kiedy mężczyźni mówią tak o kobietach - gigantyczny tyłek. Co ciekawe jednak, jego nogi wcale nie były takie złe i opadały łagodnie ku parze wąskich kostek.

- Anno, obiecałem ci ucztę zmysłów - powiedział, rozkładając na trawie pled i stawiając na nim wiklinowy kosz.

Byłam już przerażona.

Póллеżąc na pledzie, otworzył kosz, wyjął z niego bochenek, potem szybko zamknął wieko, ale zdążyłam zobaczyć, że w środku są tylko bochenki chleba.

- To na moim zakwasie - powiedział. - Pieczony według mojej własnej receptury.

Odłamał kawałek, w prawdziwie szarmancki sposób, i zwrócił się do mnie. Zrozumiałam; zaplanował uwiedzenie Przez chleb... Gdy tylko spróbuję jego arcydzieła, wpadnę w uniesienie i zakocham się w nim. Najwyraźniej miałam do czynienia z człowiekiem, który zbyt często oglądał *Czekoladę*.

- Zamknij oczy i otwórz usta...

O rany, zamierzał mnie karmić. Boże, to potworne, oglądał *Dziewięć i pół tygodnia*.

Ona jednak nawet nie pozwolił mi zjeść tego cholernego chleba. Obracał mi go ustach i mówił:

- Poczuj językiem tę chrupkość skórki. Tę szorstkość. -Poruszał nim tam i z powrotem, a ja kiwałam głową. Tak, czułam szorstkość. - Bez pośpiechu - przekonywał. - Rozkoszuj się.

O Boże, przecież to miejsce publiczne. Miałam nadzieję, że nikt na nas nie patrzy. Otworzyłam oczy i szybko je zamknęłam: kobieta spacerująca z psem pękała ze śmiechu. Trzymając ręce na kolanach, zaśmiewała się do łez.

Gdy Greg poczuł, że mój język został już odpowiednio pocięty chrupiącą skórką, zawołał:

- Smakuj! Poczuj sól ciasta, kwaśność drożdży! Czujesz? Skinęłam głową.

Tak, tak, słoność, kwaśność. Wszystko,

byle szybciej z tym skończyć.

- Czujesz coś jeszcze? - pytał Greg. Chyba nie.

- Słodycz? - podpowiadał.

Posłusznie pokiwałam. Tak, słodycz. Niech to się już skończy.

- Cytrusową słodycz? - pytał dalej.

- Tak - wymamrotałam. - Cytryna?

- Limonka - w jego głosie zabrzmiało rozczarowanie. -ale byłaś blisko.

Następnie był chleb z dodatkiem dojrzałego cheddara i czerwonej włoskiej cebuli, który musiałam wachać pół godziny, zanim pozwolono mi zjeść kawałek, a potem coś francuskiego, może *croissant*, w którym musiałam podziwiać dobre napowietrzenie ciasta, dające mu tę wyśmienitą lekkość.

Gwoździem programu był chleb czekoladowy, który Greg tak na mnie pokruszył, że małe kawałeczki czekolady, które zasypały mi spódnicę, mimo chłodnego wieczoru zdołały się rozpuścić.

Przez dziewięćdziesiąt długich, chłodnych minut Greg kazał mi lizać chleb, wachać chleb, patrzeć na chleb, pieścić chleb. Jediną rzeczą, jakiej mi nie kazał robić, było słuchanie chleba.

Nie było tam nic innego do jedzenia; żadnej surówki, żadnych pieczonych udek ani plastrów indyka.

- Żyjemy w czasach diet ubogich w węglowodany -napomknęła później Jacqui. - Czy on o tym nie słyszał?

Przegrana i, na tym etapie, całkiem pokonana, byłam w kiepskim nastroju, gdy następnego dnia ten cukierkowy barman zadzwonił do mnie do pracy.

- Mam wspaniały pomysł na randkę - powiedział. Słuchałam w milczeniu.

- Biorę udział w przedsięwzięciu polegającym na budowaniu domów dla biedaków w Pensylwanii; oni dostarczają materiały, a my robociznę...

Zawieszenie głosu, żebym go pochwaliła. Nie pochwaliłam. Trochę zmieszany mówił dalej.

-...jadę tam na weekend. Byłoby wspaniale, gdybyś ze mną pojechała. Moglibyśmy naprawdę dobrze się poznać i... no wiesz... zrobić coś dobrego dla biednych ludzi.

Altruizm: najnowsza moda. Wszystko wiedziałam o tych przedsięwzięciach. Odbywa się to zwykle tak, że grupa młodych nowojorskich ochlapusów zwała się na jakąś biedną prowincjonalną społeczność w Pensylwanii i nalega na zbudowanie kilku nieszczęsnych domów. Robią sobie urlop od wielkomiejskiego życia, szwendają się tu i tam, bawią się z elektrycznymi narzędziami i całymi nocami żłopią piwo, a potem wracają do Nowego Jorku i swoich wielopoziomowych apartamentów, zostawiając tych biednych ludzi z jakimś przeciekającym, nieszczelnym, krzywym domem, gdzie wszystkie meble przechylają się na bok, a jeśli jakiś ma kółka, to toczy się przez całą podłogę, aż uderza w przeciwległą ścianę.

„Coś się po sobie zostawia" to mantra tych facetów, którzy naprawdę mówią przez nią: „Drogie panie, zobaczcie, jakim cudownym jestem człowiekiem". To smutne, że wiele kobiet się na to nabiera i sypia z nimi na skinienie palca.

Ogarnęła mnie fala znużenia.

- Dziękuję za zaproszenie - powiedziałam - ale chyba nie. Miło było cię poznać, Nash...

- Nush.

- Przepraszam, Nush. Ale to chyba nie dla mnie.

- Trudno. Powodzenia.

- Wszystkiego dobrego.

Odłożyłam słuchawkę i obróciłam się do Teenie.

- Wiesz co? Mam dosyć tych nowojorczyków. Pieprzeni wariaci! Nic dziwnego, że muszą chodzić na takie „rekordowe randki”, nawet w tym mieście, w którym roi się od kobiet chodzących po ścianach w desperackiej potrzebie umawiania się z kimś. Kto słyszał o chodzeniu na randkę, żeby budować dom? Jaki pieprzony dom...

Dzwoniący telefon przerwał moją perorę. Wzięłam głęboki oddech.

- Dział marketingu Candy Girrl, mówi Anna Walsh.

- Witaj, Anno Walsh. Mówi Aidan Maddox.

- O, rany.

- Co ja zrobiłem?

- Dzwonisz, żeby prosić mnie o spotkanie? -Tak.

- W złym momencie. Właśnie przeklełam wszystkich nowojorczyków.

- To dobrze. Ja pochodzę z Bostonu. Zatem o co chodzi?

- Miałam niesamowity tydzień, z dziwacznymi randkami. Nie sądzę, żebym miała ochotę na kolejną.

- Randkę? Czy dziwaczną randkę? Pomyślałam chwilę.

- Dziwaczną randkę.

- No dobrze, A gdybyśmy poszli na drinka? Czy będzie wystarczająco zwyczajna?

- To zależy. Gdzie się wybierzemy? Do salonu kosmetycznego? Do zimnego parku? Na Księżyc?

- Myślałem raczej o jakimś barze.

- Dobrze. Na jednego drinka.

- A jeśli pod koniec tego drinka stwierdzisz, że ci to nie odpowiada, po prostu powiedz, że musisz już iść, bo w twoim mieszkaniu jest jakiś przeciek i ma przyjść hydraulik. Jak to brzmi?

- W porządku. Tylko jeden drink. A jaki będzie twój pretekst do zakończenia tego spotkania?

- Nie będę go potrzebował.

- Mógłbyś powiedzieć, że musisz wracać do biura, żeby skończyć przygotowania do porannej narady następnego dnia.

- Pomysłowe, ale chyba nie skorzystam.

Rozdział 11

Mama torowała sobie drogę do mojego łóżka.

- Właśnie rozmawiałam z Rachel. Będzie tutaj w Sobotę rano...

A więc za dwa dni.

-...i obie polecicie do Nowego Jorku w poniedziałek. Nadal jesteś pewna, że tego chcesz?

- Tak. Czy Luke przyjeżdża z nią?

- Nie. I dzięki Bogu - dodała mama, kładąc się. Obok mnie.

- Myślałam, że go lubisz.

- Lubię go. Zwłaszcza od kiedy zgodził się z nią ożenić.

- Sądziłam, że może od kiedy ona zgodziła się wyjść za niego.

Rachel i Luke mieszkali ze sobą od tak dawna, że nawet mama straciła nadzieję, iż Rachel „przestanie robić z nas wszystkich widowisko”. Wtedy, jakies

dwa miesiące temu, ku ogólnemu wielkiemu zdumieniu ogłosili zaręczyny. Początkowo ta wiadomość wprawiała mamę w desperację, gdyż doszła ona do wniosku, że jedynym powodem, dla którego pobierają się po tak długim czasie, musi być to, że Rachel jest w ciąży. Jednak Rachel nie była w ciąży, a pobierali się po prostu dlatego, że chcieli. Bardzo jestem rada, że zdecydowali się to ogłosić, bo gdyby czekali kilka lat dłużej, do-szliby do przekonania, że przez wzgląd na mnie i moją sytuację nie mogą tego zrobić. Jednak data została ustalona, hotel zarezerwowany - należał do przyjaciółki Rachel z dawnych czasów, która dała im korzystne warunki (mama była przerażona, kiedy to usłyszała: „Narkomanka! Tam będzie zupełnie jak w Chelsea Hotel”), a ponadto Rachel i Luke wiedzieli, że gdyby się teraz wycofali, ja czułabym się jeszcze gorzej.

- Skoro zatem lubisz Luke'a, to w czym problem?

- Po prostu się zastanawiam...

- Nad czym?

- Zastanawiam się, czy on nosi kalesony...

- O Boże...-jęknęłam słabo.

-...i jeśli stanę zbyt blisko niego, czy będę się czuła, jakbym chciała... jakbym chciała go ugryźć.

Spoglądała w sufit, pogrążona w jakiejś „lukocentrycznej” zadumie, gdy w drzwi pokoju wsunął głowę tata.

- Telefon.

Drgnęła lekko, potem zsunęła się z łóżka, a kiedy wróciła, była wyraźnie zmartwiona.

- To była Claire.

- Co u niej słyhać?

- Przyjedzie z Londynu w sobotnie popołudnie, oto co u niej słyhać.

- Czy to jakiś kłopot?

- Przyjeżdża, bo chce się spotkać z Rachel, aby ją prosić, żeby nie wychodziła za Luke'a.

- Ach... - Tak jak wcześniej prosiła mnie, żebym nie wychodziła za Aidana.

Może i była bezczelna, robiąc coś takiego, ale ja i bez tego miałam wątpliwości. Wiedziałam, że Aidan jest pewnym ryzykiem... chociaż nie w tym sensie, w jakim to się okazało.

Czy powinnam była posłuchać Claire? W ciągu ostatnich kilku tygodni spędzonych w ogrodzie na oglądaniu kwiatów, ze łzami spływającymi na rany, wiele o tym myślałam. No bo zobaczcie, do czego mnie to doprowadziło.

Wciąż zadawałam sobie pytanie, czy rzeczywiście lepiej jest kochać i stracić. Było to jednak głupie i bezsensowne pytanie, gdyż nie dano mi żadnego wyboru.

- Nie pozwolę, żeby Claire spieprzyła ten ślub - powiedziała mama.

- To nie jej wina.

Po tym, jak jej własny związek okazał się tak katastrofalny, Claire zaczęła wyszydzać małżeństwo jako „bzdet”. Mówiła też o kobietach traktowanych jak niewolnice i o tym, że nawet zdrady zredukowały nas do roli własności przechodzącej z rąk jednego mężczyzny do innego.

- Chcę mieć z głowy ten ślub - przyznała mama.

- Będziesz musiała kupić jakiś idiotyczny kapelusz. Następny.

- Idiotyczny kapelusz jest najmniejszym z moich zmartwień.

Helen wręczyła mi arkusz papieru.

- Odegramy mój scenariusz. Ty będziesz tym mężczyzną, dobrze? Czytaj jego słowa. Mamo, wejdź! - zawołała. - Robimy próbę.

Mama usiadła na krześle w Reprezentacyjnym Pokoju Frontowym, Helen wyciągnęła się na kanapie, kładąc stopy na wypolerowanym stoliku, a ja stanę-

łam na zewnątrz. Wszystkie trzymałyśmy w rękach strony scenariusza. Przeczytałam go szybko; nie uległ zmianie, odkąd widziałam go ostatnio.

Scena pierwsza: Mała dublińska agencja detektywistyczna. Dwie kobiety; jedna młoda i ładna (ja), druga starsza (mama). Młoda kobieta trzyma stopy na biurku. Starsza nie może siedzieć ze stopami na biurku z powodu artretyzmu w kolanach. Nieciekawy dzień. Spokój. Nuda. Tykanie zegara. Przed wejściem parkuje samochód. Do środka wchodzi mężczyzna. Przystojny. Rozgląda się dookoła.

Ja: Co mogę dla pana zrobić?

Mężczyzna: Szukam kobiety.

Ja: To nie burdel.

Mężczyzna: Nie to mam na myśli. Szukam swojej dziewczyny. Zniknęła.

Ja: Rozmawiał pan z mundurowymi?

Mężczyzna: Tak, ale oni nie zrobią niczego przed upływem dwudziestu czterech godzin. Myślą, że się pokłóciliśmy.

Ja (zdejmując nogi z biurka, mrużąc oczy i pochylając się do przodu): A pokłóciliście się?

Mężczyzna (ponuro): Tak.

Ja: O co? O innego mężczyznę? O kogoś, z kim pracuje? Mężczyzna (ciągle ponuro): Tak.

Ja: Ostatnio dużo pracuje? Spędza dużo czasu z tym kolegą? Mężczyzna: Tak.

Ja: Czarno widzę, ale to pańska forsa. Możemy próbować ją znaleźć. Szczegóły proszę przekazać tej starszej kobiecie, która tam siedzi.

- Bądź znudzona - instruowała mamę Helen.

Mama jednak wyglądała na zaniepokojoną. Zauważyła, że nie dano jej żadnego tekstu.

- Akcja! - zawołała Helen.

Weszłam, kuśtykając, i Helen wygłosiła swoją kwestię.

- Co mogę dla pana zrobić? Zerknęłam na kartkę.

- Szukam kobiety.

- To nie burdel - dialogowała Helen.

- Może ja mogłabym to mówić? - zapytała mama.

- Nie. Mów dalej, Anno.

- Nie to mam na myśli. Szukam swojej dziewczyny. Zaginęła.

- Rozmawiał pan z mundurowymi? - pytała Helen.

- Albo to - biadoliła mama. - Czy nie mogłabym mówić tego? - Nie.

- Tak, ale oni nie zrobią niczego przed upływem dwudziestu czterech godzin.

Myślą, że się pokłóciliśmy.

- A pokłóciliście się? - warknęła Helen. Zwiesiłam głowę.

- Tak.

- O co? - teraz Helen krzyknęła. - O innego mężczyznę?

O kogoś, z kim pracuje? - Tak.

- Ostatnio dużo pracuje? Spędza za dużo czasu z tym kolegą?

- Nie mogłabym mówić chociaż tego? - prosiła mama.

- Zamknij się.

- Tak - odparłam.

- Czarno widzę, ale to pańska forsa. Możemy spróbować ją znaleźć. Szczegóły proszę przekazać tej starszej kobiecie, która tam siedzi. Nie! - krzyknęła na koniec do mamy. - Tego zdania też nie możesz mówić, bo to ty jesteś tą starszą kobietą!

- Proszę podejść - zwróciła się do mnie mama - i przekazać mi wszystkie szczegóły.

- To zdanie nie jest nam potrzebne - orzekła Helen. - Przechodzimy do sceny drugiej.

Scena druga była znacznie krótsza.

Scena druga: mieszkanie zaginionej dziewczyny. Piękna młoda kobieta i starsza pani przeszukują je.

Na zewnątrz, w holu, mama i Helen z rękami wyciągniętymi przed siebie na wysokości oczu i palcami wskazującymi na spustach wyimaginowanych pistoletów czaiły się na zgiętych kolanach, wypinając brzuchy.

- Stać! - wrzasnęła mama, wymierzając kuchennym drzwicom potężnego kopniaka. Otwarte tą niewiarygodną siłą, uderzyły w coś, co okazało się tatą.

- Mój łokieć - jęknął, wyłaniając się zza tych drzwi, ściskając rękę i skręcając się z bólu. - Po co to zrobiłyście?

- Taaak... - powiedziała Helen do mamy. - Nie masz żadnego słowa w tym kawałku.

- Nie mam żadnego słowa w żadnym kawałku. Chcę powiedzieć „Stać!” - powiedziała mama. - I mówię „Stać!”.

Rozdział 12

Kiedy w sobotę rano przyjechała Rachel, pierwszą rzeczą, jaką powiedziała jej mama, było:

- Bądź rozpromieniona, na miłość boską; Claire przyjeżdża, aby ci powiedzieć, żebyś nie wychodziła za mąż.

- Naprawdę? - Rachel była rozbawiona. - Nie wierzę. Tobie, Anno, też to mówiła, nieprawdaż? - Po czym, uświadamiając sobie, że popełniła gafę, wycofała się, jakby ktoś ruszył na nią z pogrzebaczem, i szybko zmieniła temat. - Jak promiennie mam wyglądać?

Mama i Helen z powątpiewaniem przyglądały się Rachel.

Styl Rachel wydawał się powściągliwy; była smukła i bardzo nowojorska: kaszmirowe poncho, płócienne džinsy i superlekkie adidas, z tych, które można złożyć ośmiokrotnie i zmieścić w pudełku od zapalek.

- Zróbcie coś z jej włosami - zaproponowała Helen i Rachel posłusznie zdjęła kłamrę z czubka głowy, pozwalając fali ciemnych włosów spłynąć na plecy.

- No, panno Walsh, jesteś piękna - powiedziała kwaśno mama. - Uczesz je, uczesz je. I nie przestawaj się uśmiechać.

Rzecz w tym, że Rachel już była promienna. Ona zawsze promienieje. Ma w sobie jakąś aureę, jakiś pulsujący spokój z nikłą sugestią sekretnego mrocznego strumienia.

Potem mama dostrzegła Ten Pierścionek. Jak mogła nie zauważyć go do tej chwili?

- I wymachuj nim przy każdej okazji.

- Okay.

- No dobrze, obejrzyjmy go.

Rachel zdjęła pierścionek z szafirem, który po przepychance między mamą a Helen dotarł wreszcie do mamy.

- Od Janey - powiedziała gorąco mama, zaciskając dłoń w pięść i machając nią w powietrzu. - Długo czekałam na ten dzień.

Potem obejrzała pierścionek bardzo dokładnie, unosząc go pod światło i mrużąc oczy, jakby była ekspertem w dziedzinie sztuki jubilerskiej.

- Ile kosztował?

- Nie wasz interes.

- Daj spokój, powiedz - włączyła się Helen. -Nie.

- Miesięczną pensję powiedziała mama. - Co najmniej. Jeśli mniej, to znaczy, że on uważa cię za idiotkę. No dobrze! Czas, żeby się spełniły nasze życzenia. Najpierw Anna...

Mama dała mi pierścioneł, a Rachel powiedziała:

- Znasz zasady: obróć go trzy razy w stronę serca. Nie możesz życzyć sobie mężczyzny ani pieniędzy, ale możesz pragnąć bogatej teściowej.

I znów uświadomiwszy sobie, co powiedziała, poczuła się tak, jakby ktoś ponownie walnął ją pogrzebaczem.

- W porządku - powiedziałam. - W porządku. Nie możemy przecież wciąż chodzić wokół tego na paluszkach.

- Naprawdę? Skinęłam głową.

- Jesteś pewna? Zrobiłam to jeszcze raz.

- Okay, obejrzyjmy więc twoją kosmetyczkę.

Przez chwilę, gdy ściśnięta między Rachel, Helen i mamą razem z nim rozrzucałam kosmetyki, wszystko wydawało się normalne.

Potem udawałyśmy Claire.

- Małżeństwo jest po prostu pewną formą własności - powiedziała mama, naśladowując dydaktyczny głos Claire.

- Nie może się powstrzymać - stwierdziła Rachel. - Porzucenie i upokorzenie spowodowało u niej trwałe uraz.

- Zamknij się - to głos Helen. Psujesz zabawę. - Ruchomości! Oto, czym jesteśmy: ruchomościami!

Nawet ja się włączyłam.

- Myślałam, że małżeństwo polega na noszeniu ślicznej sukni i pozostawianiu w centrum uwagi.

-Nie przemyślałam wszystkich płciowo-politycznych uwarunkowań - wygłosiliśmy chórem wszystkie (łącznie z Rachel).

Śmiałyśmy się długo i chociaż wiedziałam, że w każdej chwili mogę wpaść w nieopanowany szloch, udało mi się tego uniknąć.

Gdy skończyłyśmy wyśmiewać się z Claire, Rachel zapytała nagle:

- O czym teraz będziemy rozmawiać?

- Miewam ostatnio zabawne sny - powiedziała nieoczekiwanie mama.

- O czym?

- Że jestem jedną z tych dziewcząt, które są tak dobre w kung-fu. Potrafię wykonywać te wszystkie wspaniałe kopniaki, kiedy obracasz się po okręgu, zrzucając głowy dwudziestu facetów.

- Dobra jesteś.

Jak to miło mieć matkę miewającą takie modne sny...

- Zastanawiałam się, czy potrafiłabym uprawiać tai bo. Może mogłabym ćwiczyć razem z Helen.

- Co masz na sobie w tych snach? - zapytała Rachel. - Specjalne piżamy kung-fu?

- Nie. - W głosie mamy brzmiało zaskoczenie. - Swoją zwyczajną spódnicę i sweter.

- Ach tak. - Rachel uniosła palec w geście mądrości. - To ma głęboki sens. Czujesz się strażniczką rodziny, a my potrzebujemy ochrony.

- Nie. Podoba mi się możliwość skopania wielu mężczyzn za jednym zamachem.

- Najwyraźniej jesteś w trudnym do zniesienia stresie. Przy tym wszystkim, co wydarzyło się Annie, to zupełnie zrozumiałe.

- To nie ma nic wspólnego z Anną! Ja po prostu chcę być superbohaterką, Aniołkiem Charliego, Larą Croft kobiecej samoobrony. - Mama była bliska łez.

Rachel uśmiechnęła się bardzo, bardzo uprzejmie - tym uprzejmym uśmiechem, który zabija - a potem poszła na górę, żeby się zdrzemnąć. Mama, Helen i ja leżałyśmy w milczeniu na moim łóżku.

- Wiecie co? - przerwała to milczenie mama. - Są takie chwile, kiedy myślę, że wolałam, gdy była na prochach.

Rozdział 13

Na naszą randkę z jednym drinkiem Aidan i ja poszliśmy do Lana's Place, cichego, ekskluzywnego baru z przyciemnionym światłem i stonowaną, wyrafinowaną muzyką.

- To miejsce jest dobre? - spytał Aidan, gdy usiedliśmy. - Nie nazbyt dziwaczne?

- Myślę, że tak odparłam. - Chyba że jest to jeden z owych lokali, gdzie co wieczór o dziewiątej personel zaczyna stepować.

O Boże - Aidan chwycił się za głowę - nie przyszło mi na myśl, żeby to sprawdzić.

- Czy otworzyć wodę sodową? - zapytała kelnerka, przyjmując nasze zamówienie.

- Nie, może będę musiała wyjść w pośpiechu... - powiedziałam, a gdy odeszła, dodałam -...jeśli ty okażesz się jakimś dziwadłem.

- Nie, bądź spokojna.

W istocie nie sądziłam, że mógłby nim być. Różnił się od tamtych facetów z organizowanych randek, co oczywiście nie oznaczało, że należy zbytnio mu ufać.

- Mamy podobne blizny. -Tak?

- Na prawych łukach brwiowych. Czyż nie jest to coś... szczególnego?

Uśmiechał się; nie powinnam traktować tego zbyt poważnie.

- Jak się dorobiłaś swojej? - zapytał.

- Bawiąc się na schodach w szpilkach mojej matki.

- Ile miałaś wtedy lat? Sześć? Osiem?

- Dwadzieścia siedem. Nie. Pięć i pół. Bawiłam się w hollywoodzki musical w wielkim stylu, spadłam ze schodów i na dole uderzyłam głową w konwektor.

W konwektor?

- To coś irlandzkiego. Z metalu. Musiano mi założyć trzy szwy. A ty od kiedy masz swoją?

- Od dnia, w którym się urodziłem. Wypadek z położną i parą nożyczek. Mnie też założono trzy szwy. Powiedz mi, czym się zajmujesz, gdy nie jesteś asystentką magika.

- Poszukujesz mnie realnej?

- Jeśli to jest w porządku. A jeśli zdołasz mówić szybko, z pewnością to docenię. Sugeruję to na wypadek, gdybyś postanowiła wyjść.

Tak więc opowiedziałam mu o swoim życiu. O Jacqui, Rachel, Luke'u, Prawdziwych Mężczyznach, sprawności Shake'a w grze na wyimaginowanej gitarze, o Neli (mojej sąsiadce z góry) i o jej dziwnej przyjaciółce. Opowiedziałam mu też o swojej pracy, o tym, jak lubię swoje produkty, i o tym, jak Lauryn ukradła mój pomysł na promocję sporządzanego z arniki i pomarańczy kremu na noc i przedstawiła go jako własny.

- Już jej nie lubię - powiedział. - Jak ci smakuje wino?

- Jest doskonale.

- Tylko pijesz je dziwnie wolno.

- Nie tak powoli, jak ty pijesz swoje piwo.

Kelnerka trzykrotnie pytała, czy mamy ochotę na coś do picia, i trzy razy odesłaliśmy ją z kwitkiem.

Po tym, jak w przyspieszonym tempie wprowadziłam Aidana w moje życie, on opowiedział mi o swoim. O tym, że wychował się w Bostonie, że on i Leon byli sąsiadami, oraz o tym, jak niezwykle w ich dzielnicy było to, że żydowski chłopiec i irlandzko-amerykański chłopiec są najlepszymi przyjaciółmi. Opowiedział mi też o swoim młodszym bracie, Kevinie, i o tym, jak ze sobą rywalizowali, będąc dziećmi („tylko dwa lata różnicy, a o wszystko toczyliśmy boje”). Mówił mi również o swojej pracy, o swoim koledze Martym, a także o dozgonnej miłości do drużyny Boston Red Sox. Na pewnym etapie tej opowieści skończyłam mój kieliszek wina.

- Poczekaj tę chwilę, aż skończę swoje piwo - powiedział i z godną podziwu flegmą rozciągnął wypicie tego ostatniego łyka na całą godzinę. Wreszcie, gdy nie mógł uniknąć konstatacji, że piwo się skończyło, spojrzął z żalem na swoją pustą szklankę. - No dobrze, to był ten jeden drink, na który się zgodziłaś. Co z instalacją hydrauliczną w twoim mieszkaniu?

Zastanowiłam się przez chwilę.

- W porządku.

- No i co? - zapytała Jacqui, gdy weszłam. - Świrus?

- Nie. Normalny.

- Dreszcz? Pomyślałam o tym.

- Tak... - Z pewnością był pewien dreszcz.

- Pieszczoty?

- Coś w tym rodzaju.

- Języczki?

- -Nie. - Pocałował mnie w usta. Krótkie uczucie żaru i stanowczości, a potem zniknął, zostawiając mnie z pragnieniem czegoś więcej.

- Podoba ci się? -Tak.

- Naprawdę? - zainteresowała się nagle. - W takim razie lepiej sama rzucę na niego okiem.

Zacisnęłam szczękę i wytrzymałam jej spojrzenie.

- Nie jest żadnym Głaszczącym Piórkiem.

- Sama to ocenię.

Wymyślony przez Jacqui „Test Głaszczącego Piórka” jest nader okrutną próbą, do której zniesienia nakłania wszystkich mężczyzn. Korzeniami sięga jej związku z pewnym mężczyzną, z którym przespała się przed laty. Przez całą noc wodził rękami po jej ciele w najłżejszy, piórkowy sposób, pieszcząc jej plecy, biodra, brzuch, a zanim w nią wszedł, zapytał delikatnie, czy naprawdę tego chce. Wielu kobietom to by się podobało; był delikatny, uważny i pełen szacunku. Jednak dla Jacqui to było okropne. Odrzucało ją. Mówiła, że to największy „odrzut” w jej życiu. O wiele bardziej wolałaby, żeby rzucił ją na jakiś twardy stół, zdarł z niej ciuchy i wziął bez otwarcie wyrażonej zgody. „Nie przestawał mnie głaskać w ten okropny, piórkowy sposób - opowiadała później, wzdragając się z odrazy - jakby wcześniej przeczytał się książek o tym, jak dawać kobietom to, czego pragną. Cholerne Głaszczące Piórko. A ja chciałam wyskoczyć ze skóry”.

Właśnie tak narodziło się to określenie. Sugerowało jakąś zniewieściałość, która natychmiast odzierała mężczyznę z sek-sapilu. To była okropna kategoria. Znacznie lepiej, zdaniem Jacqui, być pijanym damskim bokserem w brudnym podkoszulku niż Głaszczącym Piórkiem.

Jej kryteria były rozległe, bezlitosne i,., niepokojąco przypadkowe. Nie istniała żadna konkretna lista, ale oto kilka przykładów: mężczyźni, którzy nie jadali czerwonego mięsa, byli Głaszczącymi Piórkami. Mężczyźni, którzy używali balsamu po goleniu zamiast pospiesznie spryskiwać wrażliwą skórę piekącymi płynami, byli Głaszczącymi Piórkami (albo Chłopiętami). Mężczyźni, którzy mówili, że pornografia jest wykorzystywaniem kobiet, byli Głaszczącymi Piórkami

(albo kłamcami). Mężczyźni, którzy mówili, że pornografia jest w równym stopniu wykorzystywaniem mężczyzn, jak i kobiet, byli poza skalą. Wszyscy mężczyźni z San Francisco byli Głaszczącymi Piórkami. Wszyscy brodaci akademicy byli Głaszczącymi Piórkami. Mężczyźni, którzy pozostawali przyjaciółmi swoich eksdziewczyn, byli Głaszczącymi Piórkami. Zwłaszcza jeśli swoje dawne dziewczyny nazywali ekspartnerkami. Mężczyźni, którzy uprawiali pilates, byli Głaszczącymi Piórkami. Mężczyźni, którzy mówili: „Muszę natychmiast o siebie zadbać”, byli Płaczliwymi Głaszczącymi Piórkami. (Z tym nawet ja się zgadzałam).

Głaszczące Piórka miały wiele odmian i podgrup: mężczyźni, którzy ustępowali miejsca w metrze, byli Głaszczącymi Piórkami, jeśli... uśmiechali się do ciebie. Jeśli jednak, nie patrząc ci w oczy, mruknęli w stylu macho tylko słowo „miejsce”, byli w porządku.

Ponadto przez cały czas dochodziły nowe kategorie i podgrupy. Kiedyś stwierdziła, że pewien mężczyzna (do tej pory całkowicie „akceptowalny”) jest Głaszczącym Piórkiem z powodu sposobu, w jaki wymawia słowa „artykuły spożywcze”. Zresztą niektóre z jej wskazań wydawały się jawnie niedorzeczne: zdecydowała, że mężczyźni, którzy pomagają szukać zagubionych przedmiotów, są Głaszczącymi Piórkami, chociaż nikt inny oprócz wyjątkowej w tej kwestii purystki nie mógłby zaprzeczyć, że to dość użyteczna cecha, jaką może mieć mężczyzna.

(Zabawne, ale podejrzewałam, że seksowny Luke, który zrobił na niej takie wrażenie, jest Głaszczącym Piórkiem. Co prawda Luke nie wyglądał na żadne Głaszczące Piórko, a na krzepkiego, silnego mężczyznę, ale za skórzanymi spodniami i mocną szczęką kryła się uprzejmość i życzliwość, a nawet wrażliwość. Wrażliwość zaś jest najważniejszą cechą GP).

Dopiero wtedy, gdy sobie uświadomiłam, jak się boję, że Jacqui mogłaby zdyskredytować Aidana jako Głaszczące Piórko, zrozumiałam, jak bardzo mi się

podoba. Nie w tym rzecz, by opinie Jacqui na mnie wpływały, ale to trochę krępujące, gdy przyjaciółka gardzi twoim chłopakiem. Nie, żeby Aidan był moim chłopakiem...

Mój ostatni chłopak, Sam, był bardzo zabawny, ale pewnego straszego wieczoru został potraktowany tą samą miarą co wszystkie inne Głaszczące Piórka za zjedzenie niskotłuszczowego jogurtu truskawkowego i chociaż nie miało to nic wspólnego z naszym zerwaniem (nie mieliśmy trwać ze sobą przez całe wieki), to jednak trochę nam utrudniło życie.

Nigdy nie widziałam, aby jakieś Głaszczące Piórko zostało przeseregowane: kto raz został umieszczony w tej kategorii, zostawał w niej na zawsze. Jacqui przypominała rzymskiego cesarza w *Gladiatorze*: kciuk w górę alb kciuk w dół - los człowieka rozstrzyga! się natychmiast i nie było odwrotu.

- No więc kiedy znowu spotykasz się z tym Głaszczącym Piórkiem? - spytała Jacqui.

- Powiedziałam, że zadzwonię, kiedy będę w odpowiednim nastroju - odparłam nonszalancko.

A jednak to on zadzwonił do mnie dwa dni później i powiedział, że nie czekałby się mojego telefonu i tego, że pójdę z nim wieczorem na kolację. Z pewnością nie, powiedziałam; prześladowuje mnie, a ja mam własne życie. Ale może następnego wieczoru, gdyby chciał...

Cztery dni po tamtej kolacji poszliśmy do jakiegoś klubu jazzowego, ale nie było tak źle; muzycy robili przerwę co drugą piosenkę... czy raczej - co drugie coś, co przypominało piosenkę... więc mogliśmy porozmawiać. Potem, mniej więcej po tygodniu, poszliśmy na jakieś *fondue*.

Wcześniej jednak poszłam na randkę z kolegą Teenie (do Cirque du Soleil, okropny wieczór; cyrk to cyrk, a ubieranie go we francuską nazwę niczego nie zmienia), następnie spotkałam się z tym innym facetem o imieniu Trent, ale on

wyjeżdżał z miasta na trzy tygodnie, więc przesunęliśmy kolejną randkę na czas, kiedy wróci. Teoretycznie więc byłam otwarta na wszystkie propozycje, ale mężczyzną, którego widywałam najczęściej, był Aidan. Co nie znaczy, że był jedyny.

Zawsze pytał o wszystkich - o pracę Jacqui, o gitarowe ćwiczenia Shake - bo chociaż nikogo nie znał, wiedział dużo o ich życiu.

Nigdy nie wkraczaliśmy na poważny teren. Miałam wiele pytań; na przykład, dlaczego do mnie nie zadzwonił, gdy pierwszy raz dałam mu wizytówkę, albo dlaczego powiedział, że mnie pragnął, ale nie sądził, że mógłby mnie mieć. Nie zadałam ich jednak, bo nie chciałam wiedzieć. A raczej: jeszcze nie chciałam wiedzieć.

Mniej więcej na czwartej czy piątej randce Aidan wziął głęboki oddech.

- Nie przerażaj się, ale Leon i Dana chcą cię poznać, no wiesz, jak należy. Co o tym myślisz?

Pomyślałam, że raczej zjadłabym żywą dżdżownicę.

- Zobaczymy - odpowiedziałam. - Zabawne, że Jacqui też chce poznać ciebie.

- Okay - odpowiedział po krótkim namyśle.

- Naprawdę? Nie musisz się zgadzać. Powiedziałam jej, że cię nie zapytam, bo to mogłoby cię odstraszyć.

- Nie, spotkajmy się. Jaka ona jest? Spodoba mi się?

- Chyba nie.

- Dlaczego?

- Wiesz - odpowiedziałam - jak to jest, kiedy dwoje ludzi spotyka się pierwszy raz, a trzecia osoba, czyli ja, naprawdę chce, żeby się wzajemnie polubili, i mówi „polubicie się”? Ich oczekiwania są zbyt wysokie, więc rzecz kończy się rozczarowaniem i wzajemną niechęcią. Klucz tkwi więc w tym, by obniżyć oczekiwania. A więc nie, wcale ci się nie spodoba.

- Zatem we troje pójdziemy na kolację! - oświadczyła Jacqui.

Nie poszliśmy. Bo jeśli Jacqui i Aidan się nie polubią? Dwie czy trzy godziny uprawiania lekkiej konwersacji podczas wmuszania w siebie jedzenia przez zaciśnięte gardła... Okropność!

Rozwiązaniem mógł być szybki drink po pracy; przyjemny, swobodny i, przede wszystkim, krótki. Zdecydowałam się na Logan Hall, duży, gwarny, śródmiejski bar, którego hałas był wystarczający do przysłonięcia wszelkich potknięć w konwersacji. Zwykle był pełen ludzi z wyplątą, ożywionych lub wściekłych.

Umówionego wieczoru przyszedłam tam pierwsza i torując sobie drogę przez wiele barowych rozmów („...jest taka napalona...”, „...butelkę jacka danielsa w skarpetce, przysięgam...”, „...pod biurkiem, obciągała mu...”), zajęłam boks na balkonie. Jacqui pojawiła się tuż po mnie, a osiem minut później Aidana jeszcze nie było.

- Spóźnia się - w głosie Jacqui brzmiała aprobata.

- Tam jest. - Był na dole. Przedzierając się przez tłum, wydawał się trochę zagubiony. - Tutaj jesteśmy! - zawołałam.

Podniósł wzrok, zobaczył mnie i uśmiechnął się promiennie. . - Witaj! - rzekł bezgłośnie.

- Chryste, on jest wspaniały! - Jacqui była zdziwiona, ale zaraz poprawiła: - Co oczywiście niczego nie oznacza. Można mieć najprzystojniejszego faceta na świecie, ale jeśli nie zje barowych orzeszków, bo ma piórkowaty lęk przed zarzkami, to koniec.

- Zje orzeszki - powiedziałam krótko, po czym umilkłam, bo był już przy nas.

Pocałował mnie, usiadł tuż obok i skinął głową w stronę Jacqui.

- Czy życzą sobie państwo coś do picia? - Kelnerka rozłożyła serwetki, a potem ustawiła na środku stolika miseczkę z orzeszkami.

- Dla mnie saketini - powiedziałam.

- Dla mnie to samo - dodała Jacqui.

- A pan? - Kelnerka spojrzała na Aidana.

- Nie mam innego pomysłu - odparł - więc pomnóżmy to przez trzy.

Zastanawiałam się, jaki wniosek wyciągnie z tego Jacqui. Czy mieszane drinki nie były zbyt dziewczynskie? Czy nie byłoby lepiej, gdyby zamówił piwo?

- Zjedz orzeszki. - Jacqui podsunęła mu miseczkę.

- Chętnie, dzięki. Zerknęłam na Jacqui.

To był wspaniały wieczór. Bawiliśmy się tak dobrze, że zostaliśmy na drugiego drinka, potem na trzeciego, a potem Aidan uparł się, że zapłaci rachunek. To znowu mnie zaniepokoiło. Czy prawdziwy mężczyzna nie należałoby, żebyśmy podzielili ten rachunek na trzy?

- Dziękuję - powiedziałam. - Nie musiałeś tego robić.

- Tak, dzięki - powiedziała Jacqui, aja wstrzymałam oddech. Gdyby rzucił jakiś banał o przyjemności ze spędzenia wieczoru z dwiema tak uroczymi damami, bylibyśmy zgubieni.

Jednak Aidan powiedział po prostu „proszę bardzo” i z pewnością to zadziałało na jego korzyść w ostatecznym ustaleniu kategorii.

- Pójdźmy lepiej do toalety przed wielką wędrówką do domu - powiedziała Jacqui.

- Świetny pomysł. - Poszłam za nią, żeby zapytać: - No i co? Głaszczące Piórko?

- On?! - wykrzyknęła. - Stanowczo nie!

- To dobrze. - Byłam zadowolona, a nawet zachwycona, że Aidan przeszedł tę próbę.

- Założę się, że jest ostrym psem do trzymania na werandzie - dodała Jacqui z ciepłym podziwem, a wtedy mój uśmiech trochę się skrzywił.

Rozdział 14

W sobotnie popołudnie przed dom rodziny Walshów zajechała taksówka. W otwartych drzwiach najpierw ukazał się sandałek na wysokich obcasach, potem opalona noga (lekko pomarańczowa i ze smugami wokół kostki), za nią wystrzępiona dżinsowa minispódniczka i T-shirt z napisem „Mój chłopak wyjechał”, a na końcu burza włosów z pasemkami w kolorze wanilii. Przyjechała Claire.

- Ma czterdziestkę - powiedziała Helen z niepokojem -a wygląda jak włóczęga. Nigdy przedtem nie było z nią tak źle.

- Wygląda lepiej niż ta cholerna Margaret - powiedziała mama, kierując się do frontowych drzwi i witając Claire okrzykiem: - Z tyłu liceum, z przodu muzeum! Grzeczna dziewczynka, co?

Claire ze śmiechem wyskoczyła na podjazd, odsłaniając udo lekko tylko nannaczone cellulitem i wpadając w objęcia mamy.

- Nigdy przedtem nie wyglądałaś tak dobrze - stwierdziła mama. - Gdzie dostałaś taki T-shirt? Posłuchaj, może porozmawiałabyś z Margaret? Jest twoją młodszą siostrą, a wygląda starzej niż ja. Na moje oko, kiepsko z nią.

- Spójrz na siebie - rzekła pogardliwie Helen. - Ubrana jak mieszkanka przy-czepy samochodowej. Mając czterdziestkę!

- A wiesz, co się mówi o czterdziestce? - Claire położyła dłoń na ramieniu Helen.

- Że tyłek szaleje?

- Że życie się zaczyna! - wykrzyknęła jej prosto w twarz Claire. - Życie ZACZYNA SIĘ po czterdziestce! Czterdziestka jest nową trzydziestką! Wiek jest tylko liczbą. Jesteś tak młoda, jak się czujesz. Zatem pieprz to!

Obróciła się na wysokim obcasie i z promiennym uśmiechem chwyciła mnie w ramiona.

- Anno, kochana, jak się czujesz?

Prawdę mówiąc, czułam się wyczerpana. Claire była w domu zaledwie od kilku sekund, a już krzyki, afronty i gwałtowne zmiany nastroju ponownie pograżyły mnie w dzieciństwo.

- Wyglądasz o wiele lepiej - powiedziała, a potem zaczęła się rozglądać po holu, szukając Rachel. - Gdzie ona jest?

- W ukryciu.

- Nie jestem w żadnym PIEPRZONYM ukryciu. I nie oddaję się żadnej PIEPRZONEJ medytacji - rozległ się gdzieś nad nami głos Rachel. Wszystkie podniosłyśmy wzrok. Leżała brzuchem na podeście, wtykając nos między słupki poręczy. - Mogłaś sobie oszczędzić tej podróży, gdyż ja z pewnością za niego wyjdę, a ty jak godzisz swoje feministyczne zasady z tak krótką spódnicą?

- Nie ubieram się dla mężczyzn, tylko dla siebie.

- Taaak... akurat... - Mama uśmiechnęła się szyderczo. Wreszcie Rachel porzuciła ten dziecinny stan, do jakiego

wszystkie (szczególnie mama) powróciłyśmy z chwilą przyjazdu Claire, i znów stałyśmy się roztropne, pogodne i zgodne, by wysłuchać najstarszej siostry. Helen, mama i ja zapytałyśmy, czy mogłybyśmy w tym uczestniczyć, ale Rachel odparła, że wolałaby, gdyby nas nie było, więc Helen spuściła oczy i powiedziała, że my to, oczywiście, uszanujemy. Po chwili obie zamknęły się w sypialni, a nasza trójka wbiegła na schody (no dobrze, one wbiegły, a ja weszłam, utykając) i podsłuchiwałyśmy pod drzwiami, ale jeśli nie liczyć podniesionych niekiedy głosów, okrzyków „jak swoją własność!” i „jak przedmioty!” oraz irytujących pomruków zrozumienia wydawanych przez Rachel, szybko stało się to nudne.

Claire, której nie powiodła się próba wyperswadowania Rachel małżeństwa, mocno urażona wyjechała w niedzielny wieczór (po uprzednim wyczyszczeniu mojej kosmetyczki z ostatnich kilku szminek, gdyż jak powiedziała, ma na względzie nie tylko własne potrzeby, ale także potrzeby córek, pięć-cio- i jedena-stoletniej, które pragną robić wrażenie na rówieśnicach).

Tego wieczoru tato przyszedł do mnie, żeby porozmawiać... najlepiej jak po-
trafił.

- Tak... Gotowa do jutrzejszej podróży?

- Gotowa, tato.

-Cóż... tak... powodzenia... skoro wracasz i... tak... nie przestawaj chodzić -
powiedział stanowczo. - Tak... to pomoże twojemu kolanu.

Ilość wypowiedzianych „taków” była miarą jego zakłopotania. Tato gotów
był się położyć i umrzeć za mnie i całą rodzinę, ale nie chciał, nie potrafił, roz-
mawiać o uczuciach.

- Może kiedy wrócisz, zajmij się czymś, jakimś swoim hobby - zasugerował.

- Nie myśl o tym wszystkim. Tak... to mógłby być golf. To też byłoby dobre dla
twojego kolana, oczywiście.

- Dzięki, tatusiu. Pomyślę o tym.

- Pomyśl, to nie musi być golf - poprawiał się. - Może coś innego, jakies
damskie rzeczy. A my pewnie przyjedziemy w którymś momencie, żeby pomóc
przy weselu Rachel.

Na lotnisku mama przestudiowała tablicę odlotów, po czym przenosząc
wzrok ze mnie na Rachel, wykrzyknęła:

- Cholernie szkoda, że obie mieszkacie w Nowym Jorku! -Położyła ręce na
biodrach i wypięła pierś w naszą stronę. Przekonała Claire do podarowania jej T-

shirtu z napisem „Mój chłopak wyjechał” i wciąż się starała, by wszyscy zwracali na niego uwagę. - Czy któraś z was przeprowadzi się kiedyś gdzie indziej, żebyśmy mieli się gdzie zatrzymać? Zawsze podobało mi się brzmienie nazwy Sydney...

-...albo Miami - powiedział tato, po czym oboje uderzyli się biodrami i zaśpiewali *Witamy w Miami*.

- Pożegnajmy się - powiedziała chłodno Rachel.

- Ach, tak, oczywiście! - Byli trochę zaczerwienieni, potem oboje wzięli głęboki oddech i zaintonowali chór czułości i troski. - Anno, wyzdrowiejesz, kochanie. Dasz sobie radę. Uporasz się z tym. To wymaga czasu. Przyjeżdżaj do domu, kiedy tylko zechcesz. Rachel, daj słowo, że będziesz się nią opiekować.

Nawet Helen się starała.

- Szkoda, że wyjeżdżasz - powiedziała. - Nie myśl za dużo.

- Pisz do mnie - odparłam. - Informuj mnie na bieżąco o swoim scenariuszu i przysyłaj te zabawne e-maile o swojej pracy.

- Okay.

Jednak naprawdę osobliwą rzeczą było to, że mimo wszystkich życzeń, uścisków i słów zachęty nikt nie wspomniał o Aidanie.

Rozdział 15

Po stwierdzeniu, że Aidan byłby ostrym psem do trzymania na werandzie, Jacqui powiedziała mu:

- Zdałeś. Podobasz nam się. Możesz się z nami umawiać, kiedy zechcesz.

- Ach, dziękuję.

- Faktycznie, jutro wieczorem są urodziny przyjaciółki Neli. W Outhouse przy Mulberry Street. Przyjdźcie razem.

- Cóż, dobrze. - Spojrzał na mnie. - Dobrze?

- Dobrze.

Wzajemna sympatia między Jacqui i Aidanem trwała następnego wieczoru, gdy w rozkołysanym barze Jacqui wskazała jakiegoś adonisa opierającego się o ścianę.

- Spójrzcie, jaki wspaniały facet. Sam. Myślicie, że na kogoś czeka?

- Zapytaj go - poradził Aidan.

- Nie mogę tak po prostu podejść i zapytać.

- Chcesz, żebym ja to zrobił?

Oczy niemal wyszły jej z orbit. Chwyciła Aidana za rękę.

- Zrobiłbyś to?

- Jasne.

Patrzyliśmy, jak Aidan przepycha się przez tłum i mówi coś do adonisa; widziałyśmy, że adonis coś mu odpowiada, potem odwraca głowę, by rzucić okiem na nas. Dalej następuje krótka pogawędka, po której Aidan odwraca się, żeby wrócić... z adonisem.

- Słodki Jezu - szepnęła Jacqui - on tu idzie.

Niestety, adonis okazał się Burtem, z bliska miał jakąś dziwnie nieruchomą twarz i ani trochę nie interesowała go Jacqui, ale ta i tak uznała, że Aidan nie ma sobie równych.

Wielkie rzeczy. Wszyscy byli ze sobą w dobrych stosunkach. Ponieważ jednak Aidan dwukrotnie spotkał się z moimi przyjaciółmi, ja byłam zobligowana poznać Leona i Danę, a wcale się nie cieszyłam, że będę oceniana i będzie mi się wytykać wady. Jednak, w przeciwieństwie do poprzedniego spotkania, nie potraktowali mnie jak pustej lalki i spędziliśmy nieoczekiwanie (nieoczekiwanie przynajmniej z mojej strony) miły wieczór.

Następnie, kilka dni później, Prawdziwi Mężczyźni zorganizowali zabawę z okazji Halloween, na której przebrali się za siebie. Stałam, zastanawiając się, czy Aidan się pokaże, gdy ktoś, kto nagle pojawił się przede mną w prześcieradle na głowie, zawołał

-Uuuuuu!

- Daj spokój - powiedziałam.

Wtedy ta osoba uniosła prześcieradło i zawołała:

- Hej, Anno, to ja!

To był Aidan; piszczeliśmy ze zdumienia i zachwytu (nie dlatego, by zdumiewające było to, że się zobaczyliśmy, ale w ogóle). Rzuciłam się ku niemu, a on chwycił mnie w ramiona. Nasze nogi splotły się razem i przeszedł mnie dreszcz pragnienia. Aidan poczuł go także, gdyż jego oczy natychmiast spoważniały. Tkwiliśmy w sobie wzrokiem przez nieskończenie długą chwilę, po czym znajoma Neli wbiła diabelskie widły w tyłek Aidana i czar prysł.

To było moje siódme czy ósme spotkanie z Aidanem i na tym etapie ani razu nie próbował się na mnie rzucić. Na każdej randce wymienialiśmy jeden pocałunek. Rozwinał się od szybkiego i zdecydowanego do wolniejszego i czulszego, ale zawsze był jednym pocałunkiem. Czy pragnęłam, aby było ich więcej? Tak. Czy byłam zdziwiona jego powściągliwością? Tak. Panowałam jednak nad tym i coś powstrzymywało mnie przed wprowadzaniem Jacqui w osłupienie, ilekroć wracałam do domu z „niespełnionej” randki, zadrezczając się ze łzami w oczach: O co mu właściwie chodzi? Czy ja mu się nie podobam? A może on jest gejem? Katolikiem? Jednym z tych cholernych wyznawców teorii, że Prawdziwa Miłość poczeka?

Aidan zadzwonił następnego dnia po przyjęciu z okazji Halloween.

- Ostatni wieczór był zabawny - powiedział.

- Cieszę się, że dobrze się bawiłeś. Posłuchaj, w sobotę wieczorem Shake bierze udział w miejscowym konkursie udawanej gry na gitarze. Zamierzamy się tam pośmiać. Chcesz przyjść?

Pauza.

- Anno, czy moglibyśmy... porozmawiać? O Boże...

- Nie zrozum mnie źle. Ja naprawdę lubię Jacqui, Rachel, Luke'a, Shake'a, Leona, Danę, Nefl i przyjaciółkę Neli, ale chciałbym zobaczyć się z tobą. Czy możemy spotkać się tylko we dwoje?

- Kiedy?

- Możliwie najszybciej. Dziś wieczorem?

Zaczęło mnie ogarniać miłe uczucie lekkiego trzepotania w dole brzucha, które wzrosło, gdy Aidan powiedział:

- Przy Osiemdziesiątej Piątej Zachodniej jest taka miła włoska knajpka.

Przy Osiemdziesiątej Piątej Zachodniej było coś więcej niż miła włoska knajpka. On mieszkał przy Osiemdziesiątej Piątej Zachodniej.

- O ósmej? - zaproponował.

- Dobrze.

Uporaliśmy się z kolacją w zawrotnym tempie; półtorej godziny po przyjściu byliśmy przy kawie. Jak to się stało? Myślami nie byliśmy przy jedzeniu, oto jak!

Ja bardzo się denerwowałam... chociaż właściwie nie powinnam. Krótco po przybyciu do Nowego Jorku Jacqui i ja odbyłyśmy lekcje technik uwodzenia.

- W tym mieście tracimy grunt pod nogami - powiedziała wtedy Jacqui. - Nowojorskie kobiety są bardzo doświadczone. Jeśli nie nauczymy się tańczyć na rurze, nigdy nie znajdziemy facetów.

Zgodziłam się tylko dla zabawy. Czułam, że jeśli jakiś mężczyzna nie chce ze mną sypiać, bo nie będę jego prywatną tancerką, to może sobie dać spokój. Ta

lekcja była jednak bardziej interesująca, niż się spodziewałam, i dostałam parę przydatnych wskazówek, jak się rozbierać. (Kiedy zdejmujesz biustonosz, powinnaś zakreślić nim nad głową, jakbyś próbowała schwytać na łąso uciekające zwierzę, a kiedy zsuwasz majtki, musisz muskać palcami pupę i potrząsać nią dokładnie przed twarzą faceta).

Tak więc, w teorii, mogłabym zademonstrować jedną czy dwie seksualne sztuczki, ale kiedy Aidan owinał sobie moje włosy wokół jednego z palców i powiedział: „Chodźmy do mnie. Zobaczmy, kto wygrał kolejny odcinek *The Apprentice*, zanim udasz się w długą podróż do śródmieścia”, zjeżyły mi się wszystkie mikroskopijne włoski na karku i przestraszyłam się, że zwymiotuję.

Kiedy weszliśmy do jego mieszkania, zatrzymałam się w holu, nasłuchując.

- A gdzie Marty?

- Wszedł.

- Wszedł?

- Na długo? Chwila wahania.

- Na długo.

- Hmm... - Pchnęłam drzwi i weszłam do sypialni. Zobaczyłam uporządkowaną, świeżo wyprasowaną pościel, rozstawione w kilku miejscach świece.

Sypialnia pachniała łąką. - Twoja?

- Tak. - Wszedł za mną.

- I zawsze wygląda tak porządnie? Pauza.

-Nie.

Zerknęłam na niego i oboje roześmialiśmy się nerwowo. Potem wyraz jego twarzy stał się znacznie bardziej intensywny. Poczułam skurcz żołądka. Chodziłam po jego pokoju, sięgając po różne rzeczy i odkładając je z powrotem. Świece na nocnym stoliku wyprodukowała firma Candy Girrl.

- Och, Aidan, dostałbyś je ode mnie bezpłatnie.
- Anno... - rzekł cicho. Stał tuż obok. Nie słyszałam, kiedy podszedł. Podniosłam wzrok. - Dajmy spokój świecom.

Muskał dłonią mój kark pod włosami, przyprawiając mnie o elektryzujący dreszcz, a potem przysunął swoją twarz do mojej i mnie pocałował. Najpierw ostrożnie i niepewnie, a potem nagle naprawdę zapragnęliśmy tego i przytłoczyła mnie bliskość Aidana, szorstkość jego zarostu, żar ciała bijący przez cienką bawełnę jego koszuli. Przesunęłam kciukiem wzdłuż wąskiej linii jego szczęki, a potem powędrowałam palcami w dół kręgosłupa, aż dłonią oparłam się o wcięcie jego biodra.

Rozpięta koszula odsłoniła brzuch Aidana, płaski, umięśniony... i linię ciemnych włosów biegnącą w dół. Widziałam swoją dłoń sięgającą guzika jego dżinsów. To był odruch, każda by tak zrobiła.

Zamarliśmy; co teraz?

Dłoń drżała mi lekko. Podniosłam wzrok. Patrzył na mnie z błagalnym wyrazem twarzy. Zdałam sobie sprawę, że powoli rozsuwam zamek błyskawiczny. Elementy wzniesienia widoczne przez napiętą tkaninę. Płaski tył, drobna pupa, linia mięśni z tyłu ud... Był jeszcze wspanialszy, niż sądziłam. Pochylając się nad mną z napiętymi ramionami, rozbierał mnie, jakbym była prezentem.

- Jesteś taka piękna, Anno, taka piękna - powtarzał. Jego męskość była jak jedwab, delikatna i mocna między

moimi udami. Całował mnie wszędzie: od powiek po zagłębienia kolan.

Wszystkie nauki poszły w zapomnienie. Wcześniej naprawdę zamierałam zakręcić biustonoszem nad głową, ale w gorączce chwili całkiem o tym zapomniałam. Co innego było mi w głowie. Rzadko oddaję się mężczyźnie, gdy pierwszy raz z nim jestem, ale to, co ze mną robił, te powolne ruchy penisem po

moim ciele i w moim wnętrzu, ten żar, to pragnienie i ta rozkosz narastająca, rozpierająca...

Przyspieszyliśmy tempo, a ja pragnęłam więcej...

- Szybciej - błagałam. - Aidan, chyba dochodzę... Wchodził we mnie coraz szybciej, a ja wciąż rosłam i rosłam, zmierzając do szczytu, by po sekundzie czystej nicości eksplodować rozkoszą promieniującą na zewnątrz i wewnątrz przepływającymi przeze mnie falami. I wtedy doszedł on, powtarzając moje imię, z palcami wplecionymi w moje włosy, z zamkniętymi oczami i twarzą będącą obrazem bólu.

- Anno, Anno, Anno!

Potem żadne z nas długo nie mówiło ani słowa. Śliscy od potu i ogłuszeni rozkoszą leżeliśmy na prześcieradle. W myślach rozmawiałam sama ze sobą: *To niezwykle. Niewiarygodne!* Ale nie powiedziałam niczego; wszystko brzmiałoby jak banał.

- Anno?

-Tak?

Przesunął się na mnie i powiedział:

- To była jedna z najlepszych rzeczy, jakie mnie kiedykolwiek spotkały.

Jednak nie był to tylko udany seks. Wydawało mi się, że go rozumiem. Chyba mnie kochał. Zasnęliśmy spleceni; on z ręką zaciśniętą na moim brzuchu, ja z dłonią na jego biodrze.

Obudziłam się na odgłos filiżanki dzwierzącej tuż przy moim uchu.

- Kawa - powiedział. - Czas wstawać. Otrząsnęłam się z rozkosznego snu i próbowałam usiąść.

- Jesteś już ubrany - stwierdziłam zaskoczona.

- Taaak... - Nie patrzył mi w oczy. Usiadł w nogach łóżka, wkładając skarpetki, z nisko pochyloną głową, odwrócony plecami... Nagle byłam już całkiem rozbudzona.

Już to wcześniej przerabiałam i znałam zasady: traktuj to lekko, nie naciskaj go, daj mu swobodę... Niech to szlag. Zaslugiwałam na coś więcej.

- Nie zapomniałeś o jutrzejszym wieczorze? - powiedziałam, sącząc kawę. - Konkurs gitary? Idziesz?

- Nie będzie mnie w ten weekend - wymamrotał do swoich kolan, nie patrząc na mnie.

Zatkało mnie. Poczułam się tak, jakby mnie spoliczkowano.

- Muszę jechać do Bostonu - mówił dalej. - Uporządkować sprawy.

Wszystko jedno.

- Wszystko jedno? - Odwrócił się, zaskoczony.

- Tak, Aidan, wszystko jedno. Przespałeś się ze mną, mówisz mi różne rzeczy i teraz, nagle, wyjeżdżasz na weekend. Wszystko jedno. Zbladł.

- Anno, widzisz... sędzę, że nie czas teraz na to... Nadchodziło coś złego. Koniec mnie i Aidana. Akurat wtedy, kiedy naprawdę zaczynałam go kochać. Klapa.

- Na co? - zapytałam ostro.

- Cóż, co byś powiedziała, gdybyśmy... no wiesz... mieli siebie na wyłączność?

- Na wyłączność?

To brzmiało niemal jak propozycja zaręczyn.

- No tak; tylko ty i ja. Nie wiem, czy wciąż spotykasz się z innymi facetami... Wzruszyłam ramionami. Ja też nie wiedziałam. Miałam też znacznie ważniejsze pytanie.

- Czy ty wciąż spotykasz się z innymi dziewczynami? Pauza.

- Oto, dlaczego muszę pojechać do Bostonu.

Rozdział 16

W samolocie z Dublinu do Nowego Jorku moje obrażenia wywołały kilka porozumiewawczych szturchnięć, ale nie spowodowały takiego zamieszania, jakie z ich przyczyny powstało w drodze w tamtą stronę. Szczególnie gdy Rachel, moja gorliwa opiekunka, rzucała się na każdego pasażera, który zbyt uporczywie mi się przyglądał, i każdego poddawała psychoanalizie.

- Skąd ta fascynacja okaleczeniem? - zapytała gniewnie kogoś, kto nie przestawał obracać się w swoim fotelu, żeby na mnie spojrzeć. - Ze strachu?

- Przestań - powiedziałam. - Przecież to siedmiolatek.

Po wylądowaniu, odebraniu bagażu i wyjściu na zewnątrz poczułam się trochę dziwnie, gdy przyszło mi wsiąść do taksówki. Dosłownie trzęsłam się ze strachu, ale Rachel była stanowcza.

- To jest Nowy Jork; przez cały czas będziesz musiała korzystać z taksówek. Po bolesnym upadku, na pewnym etapie, trzeba ponownie dosiąść konia. Dlaczego nie miałabyś zrobić tego teraz, gdy jestem obok, aby się tobą opiekować?

Nie miałam wyboru: albo wsiadam do taksówki, albo na pokład samolotu wracającego do Irlandii. Z nogami jak z waty i z duszą na ramieniu wsiadłam do taksówki.

W drodze Rachel opowiadała o sprawach, które nie miały nic wspólnego z czymkolwiek, ale były zabawne same w sobie. Jedne znakomitości straciły na wadze. Inne przybrały. Ktoś uderzył swoją fryzjerkę. To mnie uspokajało.

Przejechaliśmy przez most wiodący na Manhattan. Byłam niemal zaskoczona, że wciąż istnieje, zajęty swoimi sprawami, ciągle jest Manhattanem, niezależnie od wszystkiego, co przytrafiło się mnie.

Potem znalazłyśmy się w mojej okolicy, tzw. Mid-Village. (Między urokiem West Village a nerwowością East Village, Mid-Village było terminem pośredników nieruchomości, próbujących nadać jakiś charakter miejscu, które w istocie nie miało go zbyt wiele. Pamiętając jednak o czynszach, jakich żądano na Manhattanie, Aidan i ja byliśmy niewyobrażalnie wdzięczni, mogąc mieszkać tutaj, a nie gdzieś w Bronksie).

Kiedy stanęłyśmy przed naszym domem, szok spowodowany jego widokiem sprawił, że ścisnęło mnie w żołądku tak mocno, iż przestraszyłam się, że zacznę rzygać.

Chociaż Rachel niosła mój bagaż, wdrapanie się na trzecie piętro z moim bolącym kolaniem było pewnym wyzwaniem, ale gdy tylko włożyłam klucz do zamka - a Rachel nalegała, żebym to ja otworzyła drzwi - poczułam, że ktoś jeszcze jest w mieszkaniu i niemal zemdlałam z ulgi: wciąż tu był. Och, dzięki Bogu! Tą osobą była jednak tylko Jacqui. Z życzliwości przyszła tutaj, żebym nie zdręczała się powrotem do pustego domu, ale moje rozczarowanie było tak dotkliwe, że musiałam sprawdzić wszystkie pokoje - na wszelki wypadek.

Niewiele zresztą było pokoi do sprawdzania. Pokój dzienny z wygospodarowanym z niego ciasnym aneksem kuchennym, maleńka łazienka (tylko kabina prysznicowa, bez wanny) i nasza ciemna sypialnia ze srebrzystą szklaną taflą wychodzącą na szyb świetlny (fundusze nie pozwoliły nam na posiadanie prawdziwego okna). Sprawiliśmy, że było tu przytulnie: śliczne, duże łóżko z rzeźbionym wezgłowie, kanapa tak szeroka, że mogliśmy na niej leżeć obok siebie, i niezbędne akcesoria, jak aromatyzowane świece i szerokoekranowy telewizor.

Kuśtykałam z jednego wnętrza do drugiego; zajrzałam nawet za zasłonę łazienkową, ale go tam nie było. Przynajmniej jego fotografie wciąż wisiały na ścianach; jakaś „troskliwa” dusza nie zdjęła ich, żeby wyrzucić.

Rachel i Jacqui udawały, że nie dzieje się nic dziwnego; potem Jacqui się uśmiechnęła, a ja spojrzałam na nią zaszokowana.

- Co się stało z twoimi... zębami?

- Prezent od Lionela 9. - Jakiś znany raper. - O czwartej nad ranem postanowił pokryć swoje zęby złotem. Ja znalazłam dentystę, który gotów był to zrobić. Lionel był tak wdzięczny, że zrobił mi prezent w postaci dwóch złotych siekaczy. Nie cierpię ich - powiedziała. - Wyglądam jak Dracu-la. Ale nie mogę ich usunąć, dopóki nie wyjedzie z miasta.

Rachel klasnęła w dłonie, udając dobry humor.

- Jedzenie! - krzyknęła. - Koniecznie trzeba jeść. Co zjemy?

- Pizzę? - zapytała mnie Jacqui.

- Proszę bardzo. To nie ja mam złote zęby. - Podałam jej ulotkę Andrettiego. - Zamówisz?

- Lepiej, jeśli ty to zrobisz - powiedziała Rachel. . Spojrzałam na nią ponuro.

- Przepraszam - powiedziała z zakłopotaniem - ale naprawdę tak będzie lepiej.

- Ilekroć ja zamawiam, nigdy nie przynoszą sałaty. \

- Jeśli o to chodzi...

Tak więc ja zadzwoniłam do Andrettiego i, jak przewidywałam, zapomnieli o sałacie.

- Mówiłam wam - powiedziałam ze słabą satysfakcją. - Ostrzegałam was.

Żadna z nich nie przyjęła jednak wyzwania. Gdy tylko uporałyśmy się zjedzeniem, Jacqui pokazała mi półmetrowy stos kopert.

- Twoja poczta.

Sięgnęłam po tę stertę, włożyłam ją do szafy i mocno zamknęłam drzwi. Kiedyś ją przejrzę.

- Nie... nie otworzysz jej?

- Nie teraz.

Pełna napięcia cisza.

- Dopiero przyjechałam - powiedziałam na swoją obronę. - Dajcie mi chwilę czasu.

Dziwnie było widzieć je obie sprzymierzone przeciwko mnie. Nie o to chodzi, że się nie lubiły, w każdym razie nie tylko o to; rzecz w tym, że mottem Rachel było: „Życie niekontrolowane nie jest warte życia”, podczas gdy Jacqui uważała, iż „Nie jesteśmy tu na długo, powinniśmy więc dobrze się bawić”.

Żadna z nich nigdy nie plotkowała ze mną o drugiej, ale gdyby to robiły, Rachel powiedziałaby, iż Jacqui jest zbyt powierzchowna, zaś Jacqui - że Rachel musi się wyluzować.

Sednem dzielących je różnic był Luke: Jacqui, gdyby przycisnąć ją do muru, przyznałaby, że sądzi, iż Rachel, ze swoim upodobaniem do wczesnego chodzenia spać, nie jest warta Luke'a. Samej Rachel jednak kiedyś się wyrwało, że jedyną słabością, jaka jej pozostała, jest seks, co natychmiast kazało mi wyobrazić sobie ją i Luke'a we wszystkich możliwych perwersyjnych kombinacjach, lecz przecież nie jest to czymś, o czym chce się myśleć zbyt wiele, gdy myśli się o kimś innym.

Po dłuższej chwili ciszy sama ją przerwałam.

- A więc jestem! - powiedziałam. - Co u ciebie, Jacqui? Skończyłaś już z Buzzem?

Buzz był eksfacetem Jacqui. Miał całoroczną opaleniznę, tony pewności siebie i mnóstwo pieniędzy. Był też niewiarygodnie okrutny: zwykł kazać Jacqui

godzinami czekać na siebie w barach i restauracjach, a potem wmawiać jej, że pomyliła termin albo miejsce spotkania.

Upierał się, że czarne jest białe, czyniąc to jedynie dla draki; próbował nakłonić Jacqui na orgietkę w trójkącie z prostytutką; jeździł czerwonym porsche (taki żaloszny szpaner) i kazał chłopakowi w myjni szorować opony szczoteczką do zębów.

Jacqui nie przestawała mówić, jaki z niego drań i że ma go dość... że, no nie, tym razem naprawdę ma go dość, ale... zawsze dawała mu jeszcze jedną szansę. Potem zerwał z nią dokładnie w sylwestra i była zdruzgotana.

Mnie jednak Jacqui nie dała szansy uzyskania odpowiedzi. Jakbym ja niczego nie powiedziała, odezwała się Rachel.

- Masz mnóstwo wiadomości na automatycznej sekretarce. Pomyślałyśmy, że może chciałabyś, aby ktoś tu był, kiedy będziesz je odsłuchiwać.

- Czemu nie - odparłam. - Proszę bardzo. Posłuchajmy. Tych wiadomości było trzydzieści siedem. Nagle z mroków przeszłości odzywali się wszyscy możliwi ludzie.

- Anno, Anno, Anno...

- Kto to jest?

-...tu Amber. Właśnie się dowiedziałam...

- Amber Penrose? Nigdy do mnie nie dzwoniła. Skasuj!

- Nie wysłuchasz zostawionej przez nią wiadomości? - zapytała Jacqui, obsługująca automatyczną sekretarkę.

- Nie ma potrzeby. Mogłabym napisać scenariusz. Przekonaj się, zapamiętam wszystkich, którzy zadzwonili - powiedziałam. - Zatelefonuję do nich. Skasuj! Następna!

- Anno... - szeptał ktoś - właśnie się dowiedziałem i nie mogę uwie...

- Trala-lala. Skasuj!

Rachel mruknęła coś pod nosem. Uchwyciłam słowa „wypiera z pamięci”.
Potem rzuciła:

- Przynajmniej zapisz nazwiska.

- Nie mam długopisu.

- Proszę. - Podała mi długopis i notes, który magicznie znalazł się akurat u niej, więc posłusznie zapisałam nazwiska wszystkich, którzy zatelefonowali, z czego zysk odniosłam taki, że nie musiałam wysłuchiwać ich wyrazów współczucia.

Potem Jacqui i Rachel kazały mi włączyć komputer i odnaleźć wszystkie e-maile: było ich osiemdziesiąt trzy. Przejrzałam adresy nadawców; interesował mnie tylko e-mail od jednej, konkretnej osoby, ale go nie było.

- Przeczytaj je.

- Nie ma potrzeby. Zrobię to później. A teraz, dziewczyno, przepraszam, muszę pójść spać. Jutro idę do pracy.

- Co?! - wykrzyknęła Rachel. - Nie szalej. Nie doszłaś do siebie ani fizycznie, ani emocjonalnie, na tyle, żeby wrócić do pracy. W ogóle nie przyjmujesz do wiadomości tego, co cię spotkało. Potrzebujesz poważnej pomocy. Poważnej!

Mówiła i mówiła, a ja tylko kiwałam głową.

- Przykro mi, że tak ci się wydaje - powiedziałam, tak jak ona zawsze mówiła do ludzi, którzy byli na nią wkurzeni. Po chwili nagle przestała perorować, spojrzała na mnie oczami zwięzonymi podejrzliwością i spytała: - Co ty kombinujesz?

- Rachel - powiedziałam - dziękuję ci za troskę i życzliwość, ale jedynym sposobem, aby wszystko było okay, jest to, żebym zachowywała się normalnie.

- Nie idź do pracy.

- Muszę.

- Nie idź do pracy.

- Już im powiedziałam, żeby mnie oczekiwali.

Teraz nastąpiło bezpośrednie starcie. Rachel była bardzo uparta, ale w tym momencie ja też. Czułam, że zaczyna się uginać, więc wykorzystałam swoją przewagę.

- Luke będzie się zastanawiał, gdzie jesteś.

Zacząłam kierować je ku wyjściu, ale, przysięgam na Boga, myślałam, że nigdy nie wyjdą. Rachel upierała się przy wygłoszeniu jakiejś mowy. Nawet odchrząknęła.

- Anno, nie znam tego piekła, przez które przechodzisz, ale kiedy przyznałam, że jestem narkomanką, poczułam się tak, jakby moje życie było skończone. Uporałam się z tym dzięki decyzji: nie będę myśleć o dalekiej przyszłości, nie będę myśleć nawet o przyszłym tygodniu, będę myśleć jedynie o dniu dzisiejszym. Podziel je na małe odcinki, a przekonasz się, że możesz robić coś przez jeden dzień, chociaż myśl o konieczności robienia tego przez resztę życia zabiłaby cię.

- Dziękuję, tak, to dobre. Wynoście się.

- Położyłam ci na łóżku tego pluszowego pieska - powiedziała Jacqui. - Żeby dotrzymywał ci towarzystwa.

- Piesia? Dziękuję.

Gdy tylko się upewniłam, że naprawdę wyszły i że nie wrócą w podskokach do drzwi, żeby mnie skontrolować, zrobiłam to, o czym marzyłam od wielu godzin: zadzwoniłam na komórkę Aidana.

Odezwała się tylko jego poczta głosowa, ale mimo to poczułam taką ulgę, słysząc jego głos, że dostałam skurczu żołądka.

- Aidan - powiedziałam. - Kochany, jestem znów w Nowym Jorku. W naszym mieszkaniu, więc wiesz, gdzie mnie znaleźć. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku. Kocham cię.

Potem napisałam do niego e-mail:

Do: Aidan_maddox@yahoo.com

Od: czarodziejka@yahoo.com

Temat: wróciłam

Kochany Aidanie!

To zabawne: pisać tak do Ciebie. Wcześniej chyba nigdy nie napisałam do Ciebie prawdziwego listu. Setki krótkich e-maili owszem - żeby zapytać, kto przynosi do domu kolację albo o której się spotkamy itp, ale nigdy tak jak dzisiaj. Znow jestem w naszym mieszkaniu, ale może już o tym wiesz. Rachel i Jacqui były tu za mną... Jacqui dostała prezent: dwa złote zęby od pewnego klienta... Zjadłyśmy pizzę od Andrettiego. Zapomnieli o sałacie, jak zwykle, ale dali nam dodatkową porcję sosu. Proszę cię, bądź dobry, nie obawiaj się, przyjdź do mnie albo jakoś się ze mną skontaktuj. Kocham Cię, Anna

Przeczytałam ponownie to, co napisałam. Czy to było wystarczająco lekkie? Nie chciałam, żeby wiedział, jak bardzo się denerwuję, ponieważ i bez tego na pewno było mu diabelnie trudno.

Zdecydowanie kliknęłam „wyślij”, uderzając w klawisz palcem wskazującym, i gwałtowny impuls bólu wystrzelił z odrastającego paznokcia w górę ręki. Boże, będę musiała pisać ostrożnie, posługując się dwoma palcami z obandażowanymi paznokciami. Ból przyprawił mnie o mdłości i w jednej chwili wyrwał z opływającej mnie fali uczucia - czegoś przypominającego złość lub smutek, że nie mogę ochronić Aidana, lecz tak ulotnego, że zniknęło, zanim zdołałam to uchwycić.

W sypialni po tej stronie łóżka, którą zajmował Aidan, leżał Piesio, pluszowa zabawka, którą dostał w dzieciństwie. Miał długie, kołyszące się uszy, cklive oczy oraz wierną, żarliwą i pełną uwielbienia minę, a jego karmelowa sierść była

tak gęsta, że przypominała wełnę jakiejś owieczki. Nie był pierwszej młodości (Aidan miał już przecież trzydzieści pięć lat), ale niezłe się trzymał jak na swój wiek.

- Co nieco miał zrobione - oświadczył kiedyś Aidan. - Podniesienie powiek, kolagenowe zastrzyki w celu ujędrnienia ogona i niewielka liposukcja uszu.

- No cóż, Piesiu - powiedziałam. - Mamy tu małą katastrofę. Nadeszła już pora, abym zażyła ostatnią w tym dniu porcję

pigułek, i pierwszy raz byłam wdzięczna wszystkim psychotro-pom: antydepresantom, środkom przeciwbólowym i tabletkom nasennym. Powrót do Nowego Jorku był trudniejszy, niż się spodziewałam, i potrzebowałam wszelkiej możliwej pomocy.

Jednak nawet pełna takiej ilości środków łagodzących, która zmogłaby słonia, nie miałam ochoty pójść spać. I wtedy nagle poczułam się tak, jakbym doznała elektrowstrząsu: na krześle w naszej sypialni zobaczyłam jego szarą sportową bluzę. Jakby właśnie ją zdjął i rzucił właśnie tam. Ostrożnie po nią sięgnęłam i powąchałam; zapach Aidana, który w niej pozostał, przyprawił mnie o zawrót głowy. Wtuliłam w nią twarz i ta intensywność jego obecności i nieobecności ścisnęła mnie za gardło.

Nie miała tego szczególnie cudownego zapachu jego szyi ani pachwiny, gdzie wszystko było silniejsze, słodsze i dziksze, ale już tego wystarczyło, abym padła na łóżko. Zamknęłam oczy, a pigułki wciągnęły mnie w rzekę snu. Jednak w tym półśnie, który poprzedza stan nieświadomości, otworzyła się jedna z owych strasznych szczelin i mignął mi przed oczami ogrom tego, co się stało. Wróciłam do Nowego Jorku, jego tutaj nie było, a ja byłam sama.

Rozdział 17

Spałam ciężko i bezsennie; prawdopodobnie dzięki pigułkom. Wznosiłam się przez pokłady świadomości, zatrzymując się na każdym przed zrobieniem następnego kroku, niczym nurek unikający emocjonalnych zakrętów jakiegoś nagłego, szokującego wybuchu przez powierzchnię snu. Zanim więc otworzyłam oczy, byłam całkiem spokojna. Aidana przy mnie nie było i ja to rozumiałam.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam, było włączenie komputera i sprawdzenie poczty z nadzieją na odpowiedź od Aidana. Wskaźnik mówił, że mam pięć nowych wiadomości, więc przestałam oddychać, a serce zabiło mi desperacką nadzieją. Pierwsza była propozycją zakupu biletów na koncert Justina Timberlake'a; druga, od Leona, mówiła, że słyszał o moim powrocie i prosi o telefon; trzecia, od Claire, że o mnie myśli; czwarta okazała się ofertą powiększenia penisa, a ostatnia -jakimś zablokowanym wirusem. Jednak od Aidana - nic.

Niepocieszona, mozolnie powlokłam się pod prysznic i byłam zaszokowana, stwierdzając, że z trudem mogę zmoczyć ciało, nie mówiąc o włosach. Próbowaliście kiedyś wziąć prysznic, nie mocząc jednej ręki? Przez ostatnich osiem czy dziewięć tygodni wszystko robiono za mnie i to tak, że nie zauważyłam, jak bardzo jestem niesprawna. Doświadczyłam więc kolejnego z tych okropnych przebłysków jasności: byłam całkowicie zagubiona, na każdym poziomie.

Sięgnęłam po żel pod prysznic i nagle wspomnienie uderzyło mnie jak cios: to był nowy peeling firmy Candy Girrl. Tamtego ostatniego dnia przed wieloma tygodniami testowałam go na sobie. Wyszorowałam się tymi pachnącymi ziarenkami limy i pieprzu i wyszłam spod prysznicza.

- Czy ładnie pachnę? - zapytałam Aidana. Posłusznie mnie powąchał.
- Wspaniale. Chociaż jeszcze ładniej pachniałaś przed dziesięcioma minutami.
- Ale dziesięć minut temu pachniałam wyłącznie sobą.
- No właśnie!

Musiałam mocno trzymać się umywalki, zaciskając na niej zdrową rękę z kostkami zbielełymi jak emalia, dopóki to wrażenie nie minęło.

Czas się ubrać. Moje już ciche serce biło trochę wolniej, a Piesio spoglądał życzliwie. Kompletnie wariactwo, wieszak po wieszaku i półka po półce pełne kolorowych butów, torebek i... najgorsze ze wszystkiego... kapeluszy. Stojąc w obliczu swoich trzydziestych trzecich urodzin, byłam na to o wiele za stara. Potrzebowałam jakiegoś awansu, abym mogła nosić kostiumy.

Do: Aidan_maddox@yahoo.com

Od: czarodziejka@yahoo.com

Temat: szurnięta dziewczyna wraca do pracy

Dzisiejszy strój: czarne zamszowe botki, różowe siatkowe pończochy, czarna markowa sukienka z krepdeszynu w białe kropki, różowy płaszczyk o długości trzy czwarte (też markowy) i dziewczęca torebka. Jakies śmieszne nakrycie głowy? Słyszę, jak zadajesz to pytanie. Oczywiście: czarny beret noszony na bakier. Wszystko razem trochę przygaszone, ale dziś powinno mi to ująć na sucho. Naprawdę chciałabym otrzymać jakąś wiadomość od Ciebie. Twoja dziewczyna,
Anna

Aidan zawsze miał coś do zarzucenia moim służbowym strojom. Ironią zaś było to, że on próbował „przełamać” swoje konserwatywne garnitury śmiesznymi krawatami i skarpetkami (nadruki Warhola, różowe różyczki, bohaterowie kreskówek), a ja rozpaczliwie pragnęłam być poważna i stosownie ubrana.

Zaglądamy co internetu, wpadłam na pewien pomysł: przeczytam horoskop Aidana, żeby zobaczyć, czy mogę uzyskać jakąś wskazówkę, co się z nim dzieje. Internetowy horoskop „Gwiazdy online” dla Skorpiona mówił:

Zazwyczaj masz filozoficzny stosunek do zmian, ale ostatnio nawet ty zostałeś przytłoczony przez wydarzenia. Wiele dramatów tego miesiąca osiągnie swą kulminację w okolicach czwartkowego całkowitego zaćmienia księżyca. Do tego czasu zbadaj wszystko, ale nie podejmuj żadnych zobowiązań.

Zaniepokoiło mnie to „nawet ty zostałeś przytłoczony przez wydarzenia”. Poczulałam się bezradna, a potem zła. Chciałam, żeby powiedziano mi coś kojącego, więc cofnęłam się kilka stron wstecz i kliknęłam „Gwiazdy dzisiaj”.

Słońce świeci na tę część twojej karty, która związana jest z czystym pobbaniem samemu sobie. Dziś zapragniesz odsłonić swoje hedonistyczne upodobania. Dopóki to jest dozwolone i nikogo nie krzywdzi, możesz się bawić!

To również mi się nie spodobało. Nie chciałam, żeby swoje hedonistyczne upodobania odsłaniał z kimś innym niż ze mną. Kliknęłam więc na „Gorące możliwości”.

Oprzyj się pokusie wskrzeszania gasnących planów, związków i namiętności. Zaczynasz nowy cykl i w nadchodzących tygodniach dowiesz się o wielu ekscytujących propozycjach!

Jeszcze czego! Nie chciałam, żeby dowiadywał się o jakichkolwiek ekscytujących propozycjach, jeśli to nie ja miałabym być jedną z nich. Rozłączyłam się (gdyż istniało pewne niebezpieczeństwo, że mogłabym tak siedzieć przez cały dzień, aż znalazłabym horoskop, który wprowadziłby mnie w lepszy nastrój), po czym zostawiłam krótką wiadomość na jego komórce i w końcu wyszłam z domu. Na ulicy stwierdziłam, że drzę. Nie byłam przyzwyczajona, żeby samotnie

chodzić do pracy. Zawsze razem jeździliśmy metrem, Aidan wysiadał na Trzydziestej Czwartej, a ja jechałam dalej, do Pięćdziesiątej Dziewiątej.

I czy Nowy Jork zawsze był tak hałaśliwy? Te samochodowe klaksony, przekrzykujący się ludzie, pisk autobusowych hamulców... a to dopiero Dwunasta. Jak głośno będzie dalej?

Zacząłam iść w stronę metra, a potem przystanąłam, zastanawiając się, jak będzie na dole. Wszędzie schody w górę i w dół, a kolano już mnie bolało i to znacznie gorzej niż w Dublinie. Zażyłam tylko połowę dawki środków przeciwbólowych, gdyż nie chciałam zaczynać od przysypiania na zebraniach, i pewnym szokiem było odkrycie, ile cierpienia mogą naprawdę uśmierzyć środki przeciwbólowe.

Ale jak inaczej miałam się dostać do pracy? Wzdrygnęłam się na myśl o wsiadaniu do taksówki. Poradziłam sobie z tym, wracając z lotniska, ponieważ była przy mnie Rachel, ale przerażała mnie perspektywa, że znajdę się w niej sama. Nie mogąc podjąć decyzji, w pułapce, w jakiej się znalazłam, rozważałam wszystkie możliwości. Wrócić do domu i spędzić tam samotnie cały dzień? To było najmniej pociągające.

Po bliżej nieokreślonym czasie spędzonym na chodniku, obdarzana zaciekawionymi spojrzeniami przechodniów, przywołałam taksówkę i w jakimś półsen- nym stanie wsiadłam do niej. Naprawdę mogłam to zrobić? Strach był przemoż- ny; oczami ogromnymi jak spodki wpatrywałam się we wszystkie inne samocho- dy, wzdrygając się i kurcząc, ilekroć któryś z nich podjechał zbyt blisko, jakby samo moje spojrzenie miało je powstrzymać od najechania na mnie. Nagle, z od- czuciem, jakby ktoś walnął mnie w pierś - z odczuciem, które niemal zatrzymało mi serce - zobaczyłam Aidana. Siedział w autobusie, który stanął na skrzyżowa- niu. Widziałam go tylko z ukosa, ale to z całą pewnością był on; jego włosy, jego kości policzkowe, jego nos. Cały miejski zgiełk nagle zanikł, pozostawiając je-

dynie dalekie, niewyraźne, statyczne brzęczenie, ale gdy wydobyłam pieniądze i sięgnęłam do klamki drzwiczek taksówki, autobus ostro ruszył do przodu. W panice odwróciłam się i spojrzałam przez tylną szybę.

- Proszę pana! - zawołałam do taksówkarza, ale my też ruszyliśmy i odjechaliśmy dość daleko. Było za późno, żeby zawrócić, a sznur samochodów jadących w przeciwnym kierunku był gęsty. Straciłam spokój; nigdy go nie złapię.

- Słucham?

- Już nic.

Trzęsłam się; to był szok nieoczekiwanego spotkania. Po co miałby siedzieć w tym autobusie? Jechał w zupełnie złą stronę, jeśli zmierzał do pracy.

To nie mógł być on. To musiał być ktoś, kto wyglądał jak on. Naprawdę jak on.

A jeśli to jednak był on? Jeśli to była moja jedyna szansa, żeby go zobaczyć?

Rozdział 18

Strażnik-ochroniarz nie mógł uwierzyć, że wróciłam. Żaden pracownik agencji McArthur on the Park nie wziął wcześniej tak długiego „wolnego”. Nigdy; ani na urlop, ani na „wyjazd do Arizony”, gdyż większość tych, którzy „wyjechali do Arizony”, nie wracała do pracy. Nie wolno im było wrócić.

- Hej, Morty, zobacz, irlandzka Anna wróciła.

- Naprawdę? Irlandzka Anno, myśleliśmy, że dali ci kopa w tyłek. O rany, co się stało z twoją twarzą?

Delikatnie „przybili piątkę” mojej zabandażowanej prawej dłoni, po czym włączyłam się do tłumu zmierzającego ku windom, by wcisnąć się do ciasnego metalowego pudła, gdzie każdy trzymał swój kubek z kawą, unikając spojrzenia innych.

Na trzydziestym ósmym piętrze drzwi windy otworzyły się z cichym szelestem. Z trudem przedarłam się do przodu i wyskoczyłam jak piłka pingpongowa. Kremowy dywan był gruby i miękki, samo powietrze pachniało luksusem, a jakiś niewidzialny głos mówił: „Witaj po powrocie, Anno”. Niemal wyskoczyłam ze skóry. To była Lauryn Pike, moja kierowniczką, która wyglądała tak, jakby stała tu, czekając, przez całą noc. Niepewnie wyciągnęła rękę, jakby zastanawiała się, czy objąć mnie współczująco, a potem się rozmyśliła. Byłam zadowolona. Nie chciałam, żeby ktokolwiek mnie obejmował. Nie chciałam, żeby mnie pocieszało.

- Wyglądasz wspaniale! - powiedziała. - Naprawdę wypoczęta. Włosy ci odrosły. A zatem?! Gotowa do pracy, tak?

Wyglądałam okropnie, ale gdyby to stwierdziła, musiałaby traktować mnie ulgowo.

Dobrze, teraz o Lauryn. Jest chuda, koścista i zawsze zmarznięta, ma bardzo owłosione ręce i okropny, prawie tak samo włochaty brązowy sweter, który nosi w biurze, zawsze wyciągając go i otulając swoje niedożywione ciało, gdyż próbuje się nim ogrzać. Płonie maniakalnym zapalem i ma wyłupiaste oczy, niczym jakiś nawiedzony mormon (a może jest to tylko skutek nadczynności tarczycy?). Gdybym to ja była wydawcą miesięcznika poświęconego urodzie i zobaczyłabym Lauryn wchodzącą, żeby wcisnąć mi jakiś artykuł o Candy Girrl, ukryłabym się pod biurkiem, czekając, aż wyjdzie. Mimo to Lauryn zyskuje wielu odbiorców. Podobnie z mężczyznami: niezależnie od jej wyłupiastookiej kościstości, kanciastych łokci i guzowatych kolan często zabierana jest przez różnych przystojniaków na weekendy na wyspach. Wyobraźcie to sobie!

Nie mogę tego zrozumieć, gdyż znalezienie mężczyzny w Nowym Jorku nie jest rzeczą łatwą nawet dla niewyłupia-stookiej kobiety; takie poszukiwania da się porównać z ociężałym przemierzaniem przez oszalałe bandy kobiet dymiące-

go, zniszczonego, postapokaliptycznego miasta w nadziei na znalezienie najmniejszej krztyny czegoś przydatnego, jak czynili to ludzie z *Mad Maks*a. I nie w tym rzecz, by Lauryn była tak wspaniałą osobą. Praca znaczy dla niej tak wiele, że cudzy sukces odbiera jako własną porażkę. Cisnęła pustą butelką po coli o ścianę, gdy tusz do rzęs firmy Lancôme ukazał się w „Lucky” w tym samym miesiącu co tusz Candy Girl.

Nagle ogarnął mnie okropny strach, że nie wytrzymam powrotu do pracy, ale powiedziałam:

- Jestem gotowa, Lauryn.

- Świetnie! Bo właśnie teraz wiele się u nas dzieje.

- Muszę być na bieżąco.

- Jasne. I daj mi znać, Anno, jeśli nie będziesz mogła sobie poradzić. - Nie powiedziała tego z serdeczności. Chciała wiedzieć, kiedy będzie musiała mnie wyrzucić. - A kiedy ta sprawa... ta sprawa twojej twarzy... kiedy z twoją twarzą będzie lepiej? - pytała dalej. Tu nie akceptowało się zewnętrznej niedoskonałości. - I ręka? Kiedy zdejmy ci gips? - Potem zauważyła zabandażowane palce. - A to co?

- Brak paznokci.

- O Jezu... - jęknęła - Zaraz zwymiotuję. Usiadła i oddychała głęboko, ale nie zwymiotowała. Aby wymiotować, trzeba mieć coś w żołądku, w jej przypadku nie było więc na to wielkich szans.

- Musisz coś z nimi zrobić. Idź gdzieś, do kogoś... Przyklej je. Dzisiaj.

- Tak, dobrze, ale... W porządku.

Jakiś błysk srebra przyciągnął moją uwagę... To była Teenie! W srebrnym kombinezonie wciśniętym w pomarańczowe winylowe botki sięgające do kolan. Włosy miała dzisiaj niebieskie. Musiały pasować do połyskliwej niebieskiej szminki. Teenie jest Koreanką i osobą kompletnie szurniętą. Mimo to, spośród

wszystkich pracowników agencji, właśnie ona jest moją ulubienicą i prawdziwą przyjaciółką. Nawet telefonowała do mnie do Irlandii.

- Anna! - wykrzyknęła. - Wróciłaś! Och, masz śliczne włosy. Urosły! - Razem dyskretnie odsunęłyśmy się od Lauryn i Teenie zapytała cicho: - Jak się czujesz, kochana?

- Dobrze.

- Na pewno? - Podniosła niebieską, błyszczącą brew. Spojrzałam spod oka na Lauryn; była zbyt daleko, żeby usłyszeć.

- No dobrze, może nie całkiem, ale... Teenie, jedynym sposobem, abym przez to przeszła, jest udawanie, że nic się nie zmieniło.

Nie chciałam niczyjego współczucia; współczucie oznaczało, że to stało się naprawdę.

- Zjemy razem lunch?

- Nie mogę. Lauryn mówi, że muszę coś zrobić z paznokciami: przykleić tipsy.

- Co się z nimi stało?

- Zeszły. Ale odrastają tak szybko, jak mogą. -Ojej!

- No cóż, odrosną - powiedziałam, zmierzając do swojego biurka.

To była moja najdłuższa nieobecność w pracy i choć wszystko wydawało się znajome, okazało się całkiem inne. Moja zastępczyni (lub zastępczynie) przedstawiała moje rzeczy. Fotografie Aidana ktoś włożył do szuflady, co mnie na krótko, lecz dotkliwie rozzłościło. Wyjęłam ją i z trzaskiem postawiłam na miejscu, na którym zawsze stała. A mówili, że to ja nie chcę się mierzyć z rzeczywistością!

- O rety, Anno, wróciłaś! - To była Brooke Edison. Dwudziestodwuletnia Brooke mieszka z mamusią i tatusiem w trzydziemowym mieszkaniu na gór-

nym Manhattanie. Codziennie zamawia limuzynę, żeby dostać się do pracy. Nie jeździ metrem, ani nawet taksówką, ale klimatyzowanym lincol-nem z barkiem i eleganckim kierowcą. W istocie Brooke nie musi pracować. Po prostu tak spędza czas, czekając, aż ktoś włoży jej na palec wielki brylant, zabierze do Connecticut, gdzie kupi jej okazale combi i obdarzy trojgiem idealnych, utalentowanych dzieci.

Została zatrudniona jako stażystka, osoba od ciężkiej roboty, takiej jak wkładanie do kopert próbek dla czasopism. Zawsze jednak musi wychodzić z pracy wcześniej, a przychodzi później, ponieważ uczestniczy w różnych imprezach dobroczynnych lub je kolację z prezesem Guggenheima albo w helikopterze Davida Harta odbywa przejażdżkę do Hamptons.

Jest miła, uczynna, całkiem inteligentna i wszystko robi perfekcyjnie. Kiedy robi. Co, jak powiadam, nie zdarza się często.

Ariella trzyma ją dlatego, że Brooke zna dosłownie wszystkich. Ludzie bowiem zawsze są albo jej chrzestnymi, albo najlepszymi przyjaciółmi jej tatusia, albo jej dawnymi nauczycielami gry na fortepianie.

Do mojego biurka doszła przez prywatną szkołę dla dziewcząt w Europie, kołysząc gęstymi, błyszczącymi, naturalnie pięknymi włosami, które tryskały zdrowiem uprzywilejowanej, zamożnej osoby. Ma fantastyczną skórę i nigdy nie nakłada makijażu, co byłoby powodem do wylania z pracy mnie i Teenie, ale nie jej. To samo dotyczy jej ubrań. Brooke nie jest ani trochę szurnięta. Dzisiaj miała na sobie spodenki z surowego kaszmiru i słodki, także kaszmirowy sweterek. Nie sądzę, aby wiedziała, że istnieją inne tkaniny, a plotka głosi, że nigdy w życiu nie kupiła niczego od Zary. Zakupy robi w złotym trójkącie „trzech salonów na B”: Bergdorf, Bar-neys i Bendel. Czasami ciuchy kupuje jej tatuś: zabiera swoją córeczkę na weekendowe szaleństwa i mówi: „Zrób tatusiowi przyjemność i po-

zwól, że ci kupię tę fantastyczną torebkę/haftowany japoński płaszcz/włoskie sandały".

To nie żadne domysły, lecz reportaż z rzeczywistego wydarzenia. Pewnej soboty Franklin był w Barneys, wydając tam pieniądze na swego młodego (i nie mającego grosza przy duszy) chłopaka, Heńka, mając nadzieję, że tamten go nie zostawi, i nagle widzi Brooke i starego Edisona (który jest bogaty jak nabab), oglądających markowe torebki Chloe. Najpierw Franklin pomyślał, że ten starszy gość jest przyjacielem Brooke, ale kiedy usłyszał, jak ekspedient mówi „witamy, panie Edison”, o mało się nie wyrzygał. Powiedział, że to niemal pedofilskie, prawie kazirodcze. Nie sądzę, by naprawdę to miał na myśli. Franklin jest po prostu fenomenalnie niegodziwy. Nienawidzi wszystkich z wyjątkiem Heńka, a czasami myślę, że jego także nienawidzi. (Henk jest „młodą żoną” Franklina - chudym chłopakiem o przebiegłych oczach, w dżinsach wiszących na nim nieprzyzwoicie nisko i odsłaniających wąski, muskularny brzuch. Ma rozjaśnione, kremowo-srebrzysto--miodowe włosy, które układa sobie w szalony stojący czub w prestiżowym salonie Frederica Fekkai. Nie ma pracy, prawdopodobnie dlatego, że troska o włosy zabiera mu bardzo dużo czasu. Franklin finansuje te wszystkie loki-fioki, ale od czasu do czasu Henk nie wraca na noc i spędza je ze swoimi koleśkami - chłopcami do wynajęcia. Naprawdę lubię Heńka, który jest bardzo zabawny, ale gdyby był moim chłopakiem, łykałabym szesnaście xanaków dziennie).

W dodatku do swojego niezmiennego kaszmiru Brooke zawsze nosi przynajmniej pięć „drobiazgów” od Tiffany'ego. Pomyślcie tylko; wszyscy noszą coś od Tiffany'ego. To konieczność. Chyba poproszono by was o opuszczenie Nowego Jorku, gdybyście tego nie dopełnili.

Wyciągnęła rękę (z krótkimi, zadbanymi, wypolerowanymi paznokciami) i nawet nie mrugnawszy okiem na widok mojej blizny, powiedziała z brzmącą szczerze serdecznością:

- Anno, tak mi przykro, że to się stało.

- Dziękuję.

Odeszła, nie rozwodząc się nad tym; krępująca sytuacja załatwiona z właściwą stosownością. Brooke zawsze załatwia wszystko z właściwą stosownością. Jest najstosowniejszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam. Dokładnie również wie, jak się ubierać zależnie od okoliczności, i odpowiedni strój zawsze znajduje się w jej garderobie. W trzech wersjach. Żyje w świecie sztywnych reguł i ma pieniądze, żeby ich przestrzegać. Często się zastanawiam, ją to jest być nią.

Brooke ma identyczną kumpelkę, Bonnie Bacall, która „pracuje” w mieszczącej się w tym samym gmachu firmie Freddie & Frannie. Są naprawdę bardzo miłymi dożgonnymi przyjaciółkami, a jeśli nawet czasami bywają przykre albo okrutne, to nie dlatego, że chcą takie być. W przeciwieństwie do Lauryn.

- W porządku, dziewczyny! - krzyknęła Lauryn. - Skoro Anna skończyła już swoje rozmowy, może poświęćcie nieco waszego cennego czasu na zebranie w Candy Girl? - powiedziała sarkastycznie.

Przez cały dzień wszyscy na mnie patrzyli, choć nie bezpośrednio. Kiedy na korytarzu albo w łazience spotykałam dziewczyny z innych firm, rzucały mi przelotne spojrzenia, a gdy tylko wyszłam, na pewno szeptały na mój temat. Jakby to wszystko była moja wina. Albo jakby było zaraźliwe. Próbowałam to rozładować, uśmiechając się do nich, ale wtedy szybko odwracały wzrok, trochę przerażone.

Na szczęście, ponieważ to jest Nowy Jork, nikogo to naprawdę nie obchodziło. Przez chwilę będę obiektem ciekawości, a potem stracą zainteresowanie.

W południe Franklin zabrał mnie do sanktuarium Arielli, żebym mogła jej podziękować za to, że tak długo trzymała dla mnie posadę. Cała ściana wypełniona była jej zdjęciami w towarzystwie sławnych ludzi.

Ubrana w swój „markowy” jasnoniebieski kostium, przyjęła moją wdzięczność powolnym skinieniem głowy z na wpół zamkniętymi oczami. Nie było nic bardziej niepokojącego niż Ariella z jej stylem *capo di tutti capi*.

- Może kiedyś ty będziesz mogła zrobić coś dla mnie. - Albo miała chroniczną chrypkę, albo rozmyślnie przybrała sposób mówienia Don Corleone („Potrzebuję pewnej przysługi, czy mogę na ciebie liczyć?”).

Bardzo ciężko dla ciebie pracuję, chciałam odpowiedzieć. Zanim to wszystko się stało, miałam lepsze wyniki niż którakolwiek z twoich pracowników, i zamierzam osiągać je znowu. Nie płaciłaś mi za ani jedną sekundę mojej nieobecności, a jej powodem nie był mój kaprys.

- Oczywiście, Ariello - odpowiedziałam.

- I zrób coś z włosami.

Skinęła na Franklina, odzianego w nieskazitelną garnitur, dając w ten sposób sygnał, żeby mnie wyprowadził.

Na korytarzu Franklin postukał się wypielegnowanym palcem w czoło między brwiami, gdzie znajdowałaby się głęboka zmarszczka, gdyby co sześć tygodni nie wstrzykiwano mu tam botoksu.

- O Boże! - westchnął. - Czy tylko mnie, czy również tobie Ariella wydaje się lekko... psychiczna?

- Nie bardziej niż zwykle, ale ja chyba nie jestem dziś najlepszym sędzią w tej kwestii.

Zrobił współczującą minę.

- Wiem, dziecinko. Jak się czujesz, koleżanko?

- W porządku.

Nie było sensu mówić nic więcej. Franklina ani trochę nie interesują problemy innych ludzi. Jest w tym jednak całkowicie szczery, a ja nie mam nic przeciwko temu.

- A co u ciebie? Co porabia Henk?

- Doprowadza mnie do ruiny i łamie mi serce. Mam dla ciebie dowcip: jaka jest różnica między fiutem a premią?

- Henk obciągnie ci premię?

- No właśnie.

- To ty dostajesz premię?

- Ech... - Poklepał mnie po ramieniu i przybrał zwyczajną minę. - Dojdiesz do siebie, dziecinko...

Będę musiała.

Fakt, że Franklin jest przezabawny i chętny do rozmowy o swoim życiu osobistym, nie czyni go moim przyjacielem. Jest moim szefem. W istocie zaś jest szefem mojej szefowej. (Lauryn mu donosi).

-...i słyszałaś, co powiedziała Ariella: zrób coś z włosami. Umów się z którymś z fryzjerów u Perry'ego K.

Właśnie tego było mi trzeba: nedorzecznie skomplikowanej fryzury, gdy tylko jedną rękę miałam sprawną.

W przerwie na lunch próbowałam „zrobić coś” z paznokciami, ale gdy zdjęłam bandaż, manicurzystka zzieleniała i stwierdziła, że są o wiele za krótkie, aby mogła przykleić do nich akrylowe tipsy. Kiedy wróciłam z tą złą wiadomością, Lauryn zachowała się tak, jakbym kłamała.

- Ta dziewczyna powiedziała, żebym wróciła za miesiąc -protestowałam słabo. - Wtedy mi je przyklei.

-Zrób cokolwiek. Aha, nowa kampania... ciekawa jestem twoich weekendowych sugestii.

Gdy Lauryn powiedziała, że ciekawa jest moich weekendowych sugestii, w istocie miała na myśli to, że oczekuje w pełni zrealizowanej kampanii, wraz z informacjami prasowymi, ulotkami, kosztorysem i umową podpisaną przez Scarlett Johansson, która zapewnia, że jest tak wzruszona, mogąc być nową twarzą Candy Girrl, iż zgadza się na to za darmo.

- Zobaczę, co mogę zrobić. - Ruszyłam do swego biurka i zaczęłam przeglądać wszystkie dane.

Dopiero późnym popołudniem mogłam przejrzeć moją pocztę elektroniczną. W przeciwieństwie do domowej, poczta biurowa została otwarta i udzielono na nią odpowiedzi. Przejrzałam wszystkie e-maile. Najwięcej przyszło od redaktorek czasopism poświęconych urodzie, z prośbami o produkty, którym te zachłanne krowy prawdopodobnie nigdy nie poświęciłyby miejsca na łamach, albo od ludzi, z którymi wspólnie robiłam różne kampanie, wreszcie od George'a (Pana Candy Girrl), z jego własnymi, głupimi pomysłami. I wtedy nagle serce omal nie wyskoczyło mi przez gardło: oto e-mail, na który czekałam! Wytluszczona czarna czcionka... a więc nowa i jeszcze nieprzeczytana wiadomość... wiadomość od Aidana.

Do: AnnaW@CandyGirrl.com

Od: Aidan_maddox@yahoo.com

Temat: dziś wieczorem

Próbowałem zadzwonić, ale twój telefon był zajęty. Chciałem cię złapać, zanim wyjdę. Do zobaczenia wieczorem. Nic ważnego; po prostu chciałem ci powiedzieć, że cię kocham i że będę cię kochać zawsze, i zawsze, i zawsze, bez względu na to, co się dzieje. Aidan xxxix

Przeczytałam tę wiadomość ponownie. Co to znaczy? Chciał się ze mną spotkać dziś wieczorem? Wtedy spostrzegłam datę: 16 lutego, a dzisiaj był 20 kwietnia. Ta wiadomość nie była nowa: cała adrenalina przebiegająca przez moje nieszczęsne, pełne nadziei ciało natychmiast opadła. Byłam idiotką i mogłam winić jedynie lekarstwa. Ta wiadomość musiała nadejść po tym, jak wyszłam, żeby się z nim spotkać tamtego wieczoru, przed dziewięcioma tygodniami, a ponieważ była wyraźnie osobista, personel jej nie otworzył i pozostawił, abym sama ją przeczytała.

Rozdział 19

PIERWSZE SPOTKANIE Z MADDOKSAMI

- Jak spędzasz Święto Dziękczynienia? - zapytał Aidan.
- Nijak. - Nie zastanawiałam się nad tym.
- Chcesz pojechać do Bostonu i spędzić je z moją rodziną?
- Hm, w porządku, dzięki. Jeśli jesteś pewien? Odpowiedziałam powściągliwie, ale wiedziałam, że to wielka sprawa. Chociaż nie tak wielka, jak sądziłam. Kiedy opowiedziałam o tym w pracy, wszyscy byli zdumieni.
- Od jak dawna jesteście ze sobą?
- Od piątku.
- Od zeszłego piątku? Masz na myśli ten piątek, który był pięć dni temu?! To stanowczo za wcześnie!

W świetle niepisanych reguł nowojorskiego randkowania robiłam falstart, jeśli nie minęło przynajmniej siedem tygodni. Bezpośrednie przejście od deklaracji wyłączności do spotkania z jego rodziną było zakazane... W istocie dotychczas uważano to za wręcz niemożliwe. Było absolutnie niezgodne z zasadami. Praw-

dziwie niekonwencjonalne. Wysoce nieodpowiednie. Do niczego dobrego to nie doprowadzi, przewidywano, z dezaprobatą kręcąc głowami.

- To dopiero za cztery tygodnie - protestowałam.

- Trzy i pół.

Nie potrzebowałam ich pesymizmu. Miałam własne obawy: Aidan opowiedział mi o Janie.

To powinno być tematem jakiejś późnonocnej spowiedzi, ale okoliczności sprawiły, że było wyznaniem poranka; poranka po owej nocy, gdy pierwszy raz spaliśmy ze sobą i Aidan wydał mi się dziwny. Spóźniłam się przez to do pracy, ale się tym nie przejmowałam. Musiałam wiedzieć.

Oto, w czym rzecz: Aidan i Janie spotykali się z sobą od stu lat. Wychowywali się w Bostonie, w odległości kilku mil, i razem chodzili do szkoły. Potem rozjechali się do różnych uczelni i związek się rozpadł za obopólną zgodą, ale kiedy trzy lata później wrócili do Bostonu, wszystko znów się zaczęło. Mając po dwadzieścia kilka lat, byli zakochaną parą i nawzajem stali się częścią swoich rodzin; Janie spędzała z Mad-doksami letnie wakacje w Cape Cod, a Aidan przyjeżdżał z Janie do domu jej rodziny w Bar Harbor. Przez te wszystkie lata Aidan i Janie zrywali kilka razy i próbowali umawiać się z innymi, ale zawsze do siebie wracali.

Minął czas i wynieśli się od rodziców (ale nie zamieszkali razem), a aluzje do małżeństwa ze strony rodzin zaczynały trochę ciążyć, gdy - mniej więcej osiemnaście miesięcy przed naszym spotkaniem - firma Aidana przeniosła go do pracy „w mieście”. (Każdy mówi „w mieście”, gdy ma na myśli Nowy Jork, co wydaje się trudne do zrozumienia, ponieważ Boston też nie jest wiochą zabita deskami).

Był to pewien wstrząs, ale Aidan i Janie nie przestawali powtarzać sobie, że dzieli ich tylko godzina lotu, że będą się widywać w każdy weekend, a jednocze-

śnie Aidan będzie się rozglądać za inną pracą w Bostonie, Janie zaś będzie szukać zajęcia w Nowym Jorku. Tak mówi Aidan.

- Możesz się domyślić, co się stało - powiedział.

Faktycznie, wciąż próbowałam to sobie wyobrazić. Tamtej pierwszej nocy, kiedy prosił, bym umieściła go w swoim harmonogramie, robił wrażenie, że jest wolny - aczkolwiek w pewnym nie całkiem wyłącznym sensie - ale czyżbym dała się zrobić w cudzego faceta?

- Ledwie płacisz za taksówkę na Manhattanie, a już wyciągasz swojego kumpla i przetrząsacie bary w poszukiwaniu chętnych?

Roześmiał się z odrobiną smutku.

- Niezupełnie. Ale tak; sypiałem z innymi kobietami.

W swojej obronie nie przerzucał winy na liczne pokusy oferowane przez Nowy Jork: wyjątkowo piękne, bezwstydne kobiety, które pobierały lekcje, ucząc się takiego kręcenia biustonoszem nad głową, jakby się zarzucało lasso na ruchliwej ulicy.

- Nikogo nie winię oprócz siebie powiedział żałośnie. -Miałem ochotę biczować się ze wstydu. To stare, katolickie poczucie winy, które dopada człowieka za każdym razem. Nie śmiej się, ale zrobiłem coś, czego nie robiłem od stu lat: poszedłem do spowiedzi.

- Ach tak. To znaczy, że jesteś... praktykującym katolikiem? .

- Raczej synem marnotrawnym. Ale cholernie źle bym się czuł, gdybym czegoś nie spróbował.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Janie zasłużyła na coś znacznie lepszego z mojej strony -powiedział. - Jest wspaniałym człowiekiem, bardzo porządną osobą. W każdej sytuacji widzi coś pozytywnego, wcale nie będąc jakąś głupią Polyanną.

O Boże, miałam stanąć oko w oko z żyjącą świętą.

- Właśnie tego pierwszego dnia, kiedy oblałem cię kawą, podjąłem rano świeże zobowiązanie... kolejne... że będę całkowicie wierny Janie. Naprawdę miałem taki zamiar.

A więc dlatego był taki dziwny, kiedy poprosiłam go o spotkanie. Nie powiedział: „Dziękuję, ale nie...”, ani: „Och, to mi pochwala, ale...”. Zamiast tego wysłał fale rozpaczy.

- Więc co się stało? - zapytałam ze złością. - Jestem twoim kolejnym wyrzutem sumienia? Zapowiada się kolejna wyprawa do konfesjonału?

- Nie. Wcale nie! Mniej więcej miesiąc później, kiedy pojechałem do Bostonu, Janie powiedziała, że powinniśmy trochę od siebie odpocząć.

O!!!

- Tak. I chociaż nie powiedziała tego wprost, dała mi do zrozumienia, że wie o tych innych kobietach.

- O!!! - jeszcze raz.

- Tak. Ona zna mnie bardzo dobrze. Powiedziała, że za długo ze sobą chodzimy i że to jest przerwa albo próba. Ostatnia próba, żeby się przekonać, czy naprawdę jesteśmy dla siebie właściwymi osobami, rozumiesz? Spotkać innych ludzi, uwolnić się od siebie, a potem zobaczyć, dokąd to zaprowadzi i mnie, i ją.

- I co?

Podarłem twoją wizytówkę. Byłem tak przerażony, że do ciebie zadzwonię, iż zmusiłem się do zniszczenia tej wizytówki tego samego dnia, gdy mi ją dałaś. Jednak nie mogłem przestać o tobie myśleć. Zapamiętałem, jak się nazywasz i gdzie pracujesz, ale pomyślałem, że już za późno na ten telefon. Wiesz, ja omal nie zrezygnowałem z pójścia na to przyjęcie i kiedy cię tam zobaczyłem, właśnie to kazało mi uwierzyć w Boga. Widząc cię... poczułam się tak, jakby mnie ktoś walnął kijem baseballowym. - Był blady jak ściana. - Nie chcę cię wystraszyć,

Anno, ale nigdy nie czułem niczego takiego w związku z kimkolwiek innym, nigdy...

Nie powiedziałam ani słowa. Czułam się winna. Ale nie mogłam się też oprzeć uczuciu... pewnej... dumy. Trochę mi to pochlebiało.

- Chciałem porozmawiać z Janie przed rozmową z tobą. Nie wiedziałem, czy będziesz zainteresowana wzajemną wyłącznością... nie cierpię tego głupiego sformułowania... ale jeśli chodzi o mnie i Janie, to „wzajemna wyłączność” jest pod każdym względem całkowicie zakończona. Jednak czuję się kiepsko, że ty dowiadujesz się o tym przed nią.

A jak ja się czułam?

Będąc płytką dziewczyną, chciałam wiedzieć, jak Janie wygląda. Musiałam wyjątkowo mocno zaciskać usta, żeby powstrzymać się od pytania, ale to nie skutkowało i bardzo niewyraźnie, cicho wyrwało mi się przez zęby: mmmjaakonawyyglądaaa...

- Co? Ach... jak ona wygląda? - Nagle wydał się skonsternowany. - Hm... no wiesz, miło... ma... - wykonał nieokreślony gest ręką -...włosy... kręcone włosy... - Przerwał. - Cóż, miała. Ostatnio chyba są proste.

No tak, nie miał pojęcia, jak ona wygląda. Był z nią tak długo, że właściwie już na nią nie patrzył. Jakaś potężna intuicja ostrzegła mnie jednak, że popełniłabym błąd, nie doceniając tej kobiety i siły przywiązania Aidana. Dzielili ze sobą piętnaście lat i on, jak bumerang, wciąż do niej wracał.

Aidan pojechał do Bostonu, a mnie przez cały weekend lekko mdliło; sprzeczne myśli ścigały się ze sobą w niekończącym się kręgu. W czasie konkursu gitarowego Shake zarzucił mi, że nie zwracam uwagi na jego występ, i miał rację: wpatrywałam się w przestrzeń i myślałam, jak Janie to przyjmie... Nie chciałam być odpowiedzialna za czyjeś nieszczęście. I jak bardzo podobał mi się Aidan? Wystarczająco, by pozwolić, żeby dla mnie zakończył piętnastoletni

związek? A jeśli tylko go zwodziłam? Albo jeśli zmienił zdanie i wróci do Janie? To mnie przeraziło; naprawdę mi się podobał. Naprawdę bardzo mi się podobał. A jeśli nie był po prostu niewierny Janie, ale nałogowo narowisty? Będzie lepiej, jeśli zamiast myśleć, że to ja będę tą, która go wyleczy, w te pędy pognam w przeciwną stronę.

Następnie wróciłam do zastanawiania się, co czuje Janie...

- Przyjęła to całkiem dobrze - oświadczył Aidan od progu w niedzielny wieczór.

- Naprawdę? - zapytałam z nadzieją.

- Jakoś tak napomknęła... no, wiesz... że chyba sama też mogłaby kogoś spotkać.

To brzmiało jak balsam... przez pół sekundy. Wiadomo, jacy tępi bywają mężczyźni; niewątpliwie Janie robiła wszystko, co w jej mocy, żeby ocalić twarz, lecz właśnie w tym momencie prawdopodobnie odkręcała kran z gorącą wodą i z łazienkowej szafki wyjmowała brzytwę.

Gdy samolot pełen ludzi wracających do rodzin na Święto Dziękczynienia wylądował na bostońskim lotnisku Logana, zapytałam Aidana:

- Powiedz mi jeszcze raz, ile dziewczyn, nie licząc Janie, przywoziłeś już do domu na Święto Dziękczynienia.

Zastanawiał się długo, licząc coś na palcach i mamrocząc pod nosem kolejne numery, aż w końcu odpowiedział:

- Ani jednej!

Ten dialog przez ostatnie cztery tygodnie był częścią naszej rutyny, ale teraz, gdy naprawdę przyleciałam do Bostonu, zrobiło mi się słabo.

- Aidan, to nie żarty. Nie powinnam tu przyjeżdżać. Wszyscy mnie znienawidzą, ponieważ nie jestem Janie. Ulice będą pełne wściekłych bostończyków obrzucających kamieniami samochód, a twoja matka napluje mi do zupy.

- Będzie dobrze. - Ścisnął mi palce. - Polubią cię, zobaczysz.

Mama Aidana, Dianne, zabrała nas z lotniska i zamiast cisnąć we mnie czymkolwiek z okrzykiem „Podstępna niszczycielka!”, uściskała mnie i powiedziała: „Witaj w Bostonie”.

Była przemiła; trochę roztrzepana, samochód prowadziła nierówno i plotła trzy po trzy. W końcu jednak dojechaliśmy do jakiejś podmiejskiej dzielnicy, która wcale nie różniła się od tej, z jakiej ja pochodziłam; zarówno w kategoriach demograficznych, jak i pod względem samochodów stojących na podjazdach i wścibskich sąsiadek gapiących się jak niezyczliwe wiejskie idiotki, itd., itp...

Dom również wydawał się znajomy: z tymi strasznymi dywanami w zawijasy, okropnymi wyściełanymi meblami, wystawionymi na pokaz sportowymi trofeami, paskudnymi obrazami i porcelanowymi bibelotami. Poczułam się jak u siebie.

Postawiłam swój bagaż na podłodze w holu i pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, była wisząca na ścianie fotografia młodszego niż obecnie Aidana, obejmującego obiema rękami dziewczynę opierającą się o niego plecami. Natychmiast zrozumiałam, że to Janie. A więc tak wyglądała? No wiecie: sam uśmiech i szczęście, bo jak ludzie zwykle wyglądają na fotografiach? Zwłaszcza na tych, które wystawia się w srebrnych ramkach. Poczułam się trochę niepewnie, zanim do mnie dotarło, że jest piękna: długie, ciemne loki (urody jej włosów nie oszczędził nawet nowojorski czub na głowie i jakiś zielony lakier) i olśniewające zęby w szerokim uśmiechu.

Wyraźnie jednak, sądząc po owej fryzurze oraz jasnym spojrzeniu i niewinnym wyglądzie Aidana, zdjęcie to zrobiono dawno, więc może... okropnie się zestarzała.

Ktoś krzyknął: „Tato, już są!”, a potem otworzyły się drzwi i stanął w nich ciemnowłosy, dobrze zbudowany, bardzo roześmiany i wyjątkowo rezolutny młodzieniec.

- Cześć, jestem Kevin, młodszy brat.

- A ja jestem Anna..

- Och, tak, wszystko o tobie wiemy. - Błysnął ku mnie uśmiechem. - O rany! Masz może siostrę?

- Tak - pomyślałam o Helen - ale nią prawdopodobnie byłbyś przerażony.

Nie zrozumiał, że nie żartowałam, i roześmiał się uprzejmym, gromkim śmiechem.

- Zabawna jesteś. To naprawdę śmieszne.

Następnie pojawił się pan Maddox: tyczkowaty facet o niewyraźnym, drżącym głosem. Ucisnął mi rękę, ale powiedział niewiele. Nie przyjął tego osobiście; Aidan ostrzegł mnie, że kiedy jego ojciec rozmawia, zwykle mówi o Partii Demokratycznej.

Kevin się uparł, że zanieś mi torbę do pokoju, który był bliźniaczo podobny do pokoju gościnnego w domu moich rodziców. Mogliby dokonać „wymiany kulturalnej” i umieścić taką informację na zewnętrznej stronie drzwi: jaskrawe zasłony, pasująca do nich jaskrawa narzuta i szafa pełna starych, cudzych ciuchów, z kilkoma centymetrami wolnego miejsca i dwoma wieszakami przeznaczonymi na moje. Na szczęście miałam tu spędzić tylko jedną noc (nie wykorzystując okazji, gdyż Aidan i ja postanowiliśmy wcześniej nie przesadzać ze wszystkim przy pierwszej wizycie).

Wtedy ją zobaczyłam. Na toaletce. Kolejną fotografię Aidana i Janie. Zdjęcie „w ruchu”. Zwróceni ku sobie, uchwyceni na ułamek sekundy przed pocałunkiem. Tym razem w fotografii nie było żadnej sztywności... Aidan ręką odgarniał jej włosy...

Znowu mnie zemdliło i po kilku minutach uporczywego wpatrywania się w tę fotografię położyłam ją obrazkiem w dół. Nie zasnęłabym w tym pokoju, obserwowana przez przedpocałunkową fotografię Aidana i Janie. Lekkie pukanie do drzwi sprawiło, że podskoczyłam z poczuciem winy. Do środka weszła Dianne z naręczem jakichś rzeczy.

- Świeże ręczniki! - Natychmiast zauważyła leżącą fotografię. - Cholera! Och, Anno! Stoi tu od lat; tak długo, że już jej nawet nie widzę. To było okropnie nietaktowne z mojej strony. - Sięgnęła po nią, wyniosła z pokoju i wróciła z pustymi rękami. - Przepraszam cię za to - powiedziała. - Naprawdę.

Nie była to sytuacja w stylu pani Danvers. Dianne sprawiała wrażenie, że naprawdę jest jej przykro.

- Gdy będziesz gotowa na kolację, zejdź na dół. Kolacja była prawdziwie świąteczna: olbrzymi indyk oraz

mnóstwo ziemniaków i warzyw, a do tego wino i szampan. Oczywiście kryształowe kieliszki i świece. Atmosfera była bardzo przyjazna, więc miałam niemal stuprocentową pewność, że pani Maddox nie napluła do mojej zupy. Wszyscy miło gawędzili. Nawet starszy pan Maddox opowiedział jakiś dowcip, a chociaż był to dowcip o Partii Demokratycznej i w ogóle go nie zrozumiałam, roześmiałam się uprzejmie.

Była tylko jedna rzecz: nie wszystkie z licznych fotografii wiszących na ścianach salonu były zdjęciami Aidana i Janie, ale znajdowało się ich tutaj wystarczająco dużo, by przyprawić mnie o lekkie dreszcze. Z upływem lat włosy Janie stały się krótsze. To dobrze. Mężczyznom podobają się kobiety z długimi wło-

sami. Trochę również przytyła, ale wciąż wyglądała bardzo radośnie i przyjemnie, jak kobieta, która cieszy się sympatią innych kobiet.

W trakcie przetykania kolejnego kęsa indyka spostrzegłam jeszcze jedną fotografię, której wcześniej nie zauważyłam, i znów ścisnęło mnie w gardle. Upiłam łyk wina, aby sobie pomóc, i wtedy starszy pan Maddox zapytał:

- Janie, kochanie, czy możesz mi podać pieczone ziemniaki?

Że co?

Rozejrzałam się na boki, ale ponieważ półmisek z pieczonymi ziemniakami stał przede mną, a starszy pan Maddox spoglądał w moją stronę, doszłam do wniosku, że to ja muszę być osobą, do której się zwraca. Posłusznie podsunęłam półmisek. Kevin obdarzył mnie pocieszającym mrugnięciem oka, zaś Aidan i Dianne wydawali się przerażeni i każde z nich mruknęło „przepraszam”. Jednak dwie sekundy później Dianne powiedziała.

- Ach, Aidan, spotkaliśmy ojca Janie w sklepie z narzędziami. Prosił, żeby ci powiedzieć, że ukończył już tę szopę i żebyś przyszedł ją zobaczyć. Ileż to czasu upłynęło od chwili, kiedy zaczęliście ją budować?

Potem niewyraźnym głosem odezwał się starszy pan Maddox.

- Pewnie chciałbyś wiedzieć, co on robił w tym sklepie z narzędziami? - zapytał Aidana. Nagle był ożywiony i rozbawiony... zapewne wskutek wypicia drinka. - Kupował farbę! Oto, co robił. Białą farbę, mówiąc ściśle. Na ich dom w Bar Harbor. Zostawił go na jedno lato, tak jak go prosiłeś, ale wciąż nie możemy sobie wyobrazić, co wam przyszło do głowy, żeby pomalować ten dom na różowo.

Zaróżowiony z rozbawienia, przeniósł wzrok z Aidana na mnie, i wtedy w jego oczach zamigotała panika. Przecież to nie jest Janie.

Po kolacji Aidan i ja siedzieliśmy w pokoju. Atmosfera była nieco napięta.

- To nie jest moje miejsce. Nie powinnam tu przyjeżdżać.

- Ależ nie! Powinnaś. Naprawdę powinnaś. To się ułoży. Bardzo cię przepraszam za ojca. On jest trochę... on nie chce być prostaki, żyje we własnym świecie.

Siedzieliśmy w milczeniu.

- O czym myślisz? - zapytał.

- O tym dywanie. - Miał jakiś śmieszny, spiralny wzór. - Wpatrując się w niego wystarczająco długo, doznaje się wrażenia, jakby miało się oczy na sprężynach.

- A mnie się wydaje, że podłoga to unosi się ku mnie, to znów opada.

Siedzieliśmy w kojącej ciszy, wpatrując się w dywan, i nagle znowu byliśmy przyjaciółmi.

- Wszystko będzie dobrze - rzekł Aidan. - Tylko daj temu trochę czasu. Proszę.

- Dobrze - odparłam. - Moi rodzice też traktowali Sha-ne'a jak członka rodziny.

- Lubili go?

- Cóż... nie... prawdę mówiąc, nie cierpieli go. Mimo to jednak traktowali go jak rodzinę.

Następnego dnia pojechaliśmy do centrum handlowego, ponieważ tylko to można zrobić, przebywając w domu rodziców nowego chłopaka i żyjąc w obawie, że usłyszysz się kolejne wspomnienia o jego byłej dziewczynie. Wciąż natykałam się na rozmowy w rodzaju: „Pamiętasz te wakacje na Cape Cod?

I nas wszystkich w tej przyczepie kempingowej? Pamiętasz, jak Janie zrobiła to czy tamto...”.

Kiedy jednak znaleźliśmy się w tym centrum, poweselałam, bo gdy byłam z dala od domu, nawet te sklepy, które zwykle uważałam za marne, nagle stawały się ekscytujące. Weszłam do Duane Reade, Expressu i całej masy innych byle jakich miejsc. Aidan kupił mi souvenir z Bostonu (miniaturkę miasta w szklanej kuli ze „śniegiem”), a potem powiedział:

- Chyba powinniśmy wracać.

Wsiedliśmy więc do samochodu i właśnie wyjeżdżaliśmy z parkingu, kiedy to się stało. Zanim jeszcze Aidan mimowolnie powiedział coś śmiesznego, spostrzegłam nagle emanujące z niego napięcie.

Patrzyłam przez okno, wędrując wzrokiem z jednej strony na drugą i desperacko pragnąc zobaczyć to, co on dostrzegł. Zmierziała ku nam jakaś kobieta. Jechaliśmy jednak dość szybko i już prawie ją minęliśmy, gdy moja intuicja zawołała: Obejrzyj się, obejrzyj się szybko!

Błyskawicznie obróciłam głowę i spojrzałam przez ramię. Oddalająca się od nas kobieta nosiła dzinsy na całkiem szerokiej (nie mogłam się oprzeć odnotowaniu tego!) pupie. Oczywiście powinnam być dumna, że Aidan należy do tych facetów, którzy nie dyskryminują dziewczyn z dużymi tyłkami, ale ja miałam co innego na myśli. Była dość wysoka i miała proste, ciemne włosy sięgające do ramion. Miała też ładną torebkę, widziałam takie w butiku Zara. Prawdę mówiąc, sama byłam bliska kupienia sobie identycznej, ale już wcześniej kupiłam bardzo podobną. Patrzyłam na nią, aż zniknęła na parkingu.

Odwróciłam się i sztywno usadowiłam w samochodowym fotelu.

- To była Janie, prawda?

Gdyby okłamał mnie w tym momencie, nie byłoby dla nas żadnej przyszłości. Skinął głową z pewną determinacją.

- Tak, to była Janie.

- Zbieg okoliczności.

- Tak.

Po powrocie do domu państwa Maddoksów, pijąc kawę przed wyjazdem na lotnisko, zauważyłam w biblioteczce kilka opasłych albumów fotograficznych i nagle wyobraziłam sobie, jak wysuwają się z półek, jak otwierają się ich strony i fotografie wlatują, wypełniając pokój niczym stado ptaków. Setki przelatujących wokół mnie i wplątujących się w moje włosy zdjęć, które dokumentowały niezliczone wydarzenia z życia Aidana i Janie: Aidan i Janie na uroczystości ukończenia szkoły; Aidan i Janie na kolacji z okazji trzydziestych urodzin Aidana; Aidan i Janie na przyjęciu-niespodziance, które Aidan wydał z okazji promocji Janie; Aidan i Janie na szkolnym balu; Aidan i Janie po zwycięstwie w turnieju gry w kręgle; Aidan i Janie w czasie wakacji na Jamajce; wspólne gotowanie małży w Cape Cod, pożegnalne przyjęcie przed wyjazdem Aidana do Nowego Jorku; malowanie domu w Bar Harbor na różowo...

W czasie powrotnego lotu prawie nie rozmawialiśmy ze sobą. Ta wizyta była okropną pomyłką, ryzykiem wartym podjęcia, które jednak się nie opłaciło. Aidan był pod wieloma względami wspaniałym facetem, ale miał zbyt wielki bagaż i zbyt wiele niedokończonych spraw. Jego miejsce było w Bostonie z Janie i powiedziałam sobie, że bez względu na cokolwiek zawsze będzie do niej wracał, a ona zawsze przyjmie go z powrotem. Zbyt wiele razem przeżyli, zbyt wiele mieli ze sobą wspólnego.

Był szarozielony z napięcia i w taksówce z lotniska tak mocno trzymał mnie za rękę, że bolały mnie palce. Próbował wymyślić jakiś sposób, aby mi powiedzieć, że wszystko skończone, ale nie było takiej potrzeby, gdyż ja sama dobrze wiedziałam, o co chodzi.

Gdy taksówka zatrzymała się przed moim domem, pocałowałam Aidana w policzek i powiedziałam:

- Uważaj na siebie.
- Anno? - zawołał za mną, wychylając się z auta.
- Tak?
- Anno, wyjdiesz za mnie?

Wpatrywałam się w niego bardzo długo, po czym powiedziałam:

- Weź się w garść.

I zatrasnęłam drzwiczki samochodu.

Rozdział 20

Do: Aidan_maddox@yahoo.com

Od: czarodziejka1@yahoo.com

Temat: To Ci się spodoba!

Przychodząc do pracy (przedwczoraj rano) spotkałam Tabithę z agencji Bergdorf Baby. Spojrzała na moją bliznę i powiedziała: Cześć, ale niesamowite! Gdy zrozumiała, że blizna jest prawdziwa, dosłownie odskoczyła z przerażenia. Cofnęła głowę tak daleko, że praktycznie oparła ją między łopatkami. Potem poszła prosto do łazienki. Chyba ją ścięło. Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. Kocham Cię, Twoja Anna

Do: Aidan_maddox@yahoo.com

Od: czarodziejka1@yahoo.com

Temat: To też Ci się spodoba!

Ludzie w pracy myślą, że byłam „w Arizonie”. W drodze powrotnej z lunchu z Teenie spotkałam w windzie dziewczynę z EarthSource.

Powiedziała, że nie widziała mnie jakiś czas, na co ja odparłam, że byłam poza miastem. Myślałam, że wszyscy wiedzą, co się stało, ale przypuszczam, że dziewczyny z EarthSource są szurnięte. To przez tę dietę opartą na fasoli mung! Zapytała, jak długo mnie nie było, więc powiedziałam, że blisko dwa miesiące, na co ona obrzuca mnie wymownym spojrzeniem i mówi coś bezgłośnie, aż musiałam pochylić się bliżej do jej grubo tkanego bezrękawnika i zapytać: Przepraszam, co mówiłaś? Więc ona robi to jeszcze raz, a ja tym razem łapię wreszcie, że mówi: Raz na jakiś czas. No cóż... Mam nadzieję, że u Ciebie okay. Wciąż o Tobie myślę. Kocham Cię, Twoja Anna

Wysyłałam mu dwa czy trzy e-maile dziennie, utrzymując je w tonie lekkim i beztroskim. Nie chciałam obwiniać go za to, że rozpaczliwie pragnę go usłyszeć. Lepiej po prostu zostawić otwarte linie komunikacji, aby skontaktował się ze mną, kiedy będzie mógł. Każdego dnia sprawdzałam też jego horoskop, próbując uzyskać pewien wgląd w to, jak może się czuć. Horoskop „Gwiazdy Online” powiedział:

Nie pozwól, aby czyjeś potrzeby zbliżenia zmusiły cię do pospiesznych decyzji. Ponieważ najprawdopodobniej nie poznasz wszystkich możliwości do początku maja, będą musiały poczekać.

Nie podobał mi się ten horoskop, więc poszukałam „Gorących Możliwości”.

Zaabsorbowane pracą Skorpiony czeka podróż za ocean. Możliwe, że poznasz kogoś atrakcyjnego, kto mówi innym językiem. Czymkolwiek lub kimkolwiek

się okaże, z zadowoleniem stwierdzisz, że świat jest całkiem przyjemnym miejscem.

Ten nie podobał mi się wcale! Chciało mi się płakać. Szybko kliknęłam „Gwiazdy Dzisiaj”.

Spróbuj robić plany, a spotkasz jedynie frustrację. Bądź wolnym duchem, a w połowie maja nabierzesz takiej pewności siebie, że będziesz się dziwić, dlaczego w ogóle się martwiłeś.

To było lepsze. Żadnych atrakcyjnych nieznajomych. Wsunęłam stopy w szpiczaste granatowe czółenka, ale u drzwi mieszkania przystanąłam, a potem wróciłam do telefonu. Chciałam zadzwonić na jego komórkę. Znowu. Przyjemność posłuchania jego głosu, nawet jeśli był to tylko nagrany komunikat, przypominała rozkoszowanie się kawałkiem czekolady, gdy ma się nieprzepartą ochotę na coś słodkiego.

Rozdział 21

Wpatrując się w monitor, wypilałam łyk kawy. Nie, kawa nie pomogła; początek wciąż był okropny. Skasowałam go i gapiłam się w pusty ekran, pragnąc znaleźć inspirację. Starłam się napisać komunikat prasowy dla kampanii Eye Eye Captain, naszych nowych metod upiększania oczu, i próbowałam jakiejś gry o buncie, słonej wodzie, piractwie, rumie i innych sprawach okrętowych, ale to nie działało.

Tego ranka w drodze do pracy znów widziałam Aidana. Tym razem szedł wzdłuż Piątej Alei w marynarce, której nie znałam. Znajdował czas, aby kupo-

wać nowe ciuchy, ale nie miał go tyle, żeby zadzwonić do mnie? I znów taksówka jechała zbyt szybko, więc nie kazałam kierowcy się zatrzymać. Teraz jednak rozpaczliwie tego żałowałam i ten żal przeszkadzał mi w koncentracji. A może to tylko środki przeciwbólowe. Coś wypełniało mi głowę... kompletną pustką.

Wystukałam słowa „Eye, Eye, Captain” i nie miałam absolutnie nic więcej do powiedzenia. Boże, ja naprawdę musiałam się pozbierać. Przecież nie byłam na podrzędnym stanowisku Młodszej Asystentki Działu Księgowości (którą była teraz Brooke). Byłam Zastępczynią Wiceprezesa do spraw reklamy i miałam konkretne obowiązki.

JAK AWANSOWAŁAM

Tamtego lata, gdy zatrudniłam się w Candy Girrl, nasz podkreślający wargi błyszczący Lodowy Sorbet sprzedawano na całym świecie, a przy ladach z kosmetykami toczyły się walki. No cóż, tak naprawdę ich nie było. W Seattle doszło tylko do niewielkiej bójki między dwiema siostrami o ostatni błyszczący Candy Girrl na Północnym Zachodzie. Rozstrzygnięto ją jednak dość przyjaźnie, ustalając, że ta, która dostała błyszczący, zaopiekuje się wieczorem dziećmi tej drugiej. Jednak pewnej inteligentnej dziewczynie (mnie) udało się przekształcić ten incydent w (niemal) niezwykłą wiadomość dla mediów. Wydałam komunikat prasowy z dużym nagłówkiem Wielka Bitwa Candy Girrl i los się do mnie uśmiechnął, ponieważ podchwyciły to redakcje „New York Post” i „New York Sun”, następnie media regionalne, a potem mały sekcja CNN. To był sierpień i nic innego się nie działo. Jednak do tego czasu zrobiono już tyle szumu, że przy stoiskach Candy Girrl naprawdę odbywały się przepychanki. Przy stoisku Bloomingdales na Manhattanie pewna kobieta ramieniem odepchnęła inną, a odepchnięta zawołała: „Patrzcie ją! Przecież to nawet nie jest pani kolor!”.

Potem Jay Leno robił sobie żarty (niezbyt śmieszne, ale kogo to obchodzi) o ludziach, którzy mierzą do siebie z pistoletów przy stoiskach Candy Girrl, i ostateczny efekt reklamowej wrzawy był taki, że... awansowałam. Wendell - osoba, którą zastąpiłam - została przeniesiona do Visage, naszej francuskiej marki, i z zadowoleniem zrzekła się różowych kapelusików i zabawnych pantofelków na rzecz wąskich spódniczek i wściekle dopasowanych żakiecików.

Jeszcze raz napisałam „Eye, Eye, Captain”. Byłam naprawdę przerażona. To był mój trzeci dzień od powrotu do pracy i wciąż nie spłodziłam czegoś tak prostego jak skromny komunikat prasowy. Uświadomiłam sobie, iż liczyłam na to, że krótki, mocny wstrząs powrotu do pracy wrzuci mnie w normalność, ale tak się nie stało. Niczym we śnie czułam, że próbuję biec, mając nogi z ołowiu. Moja głowa odmawiała myślenia, ciało było obolałe, i w ogóle odnosiłam wrażenie, że świat stracił równowagę

Czterdzieści minut później tekst na ekranie mojego monitora głosił:

Weź to na pokład, koniecznie!

Możesz żeglować po szerokich oceanach,

ale Eye Eye Captain

będzie najskuteczniejszym,

najbardziej zaawansowanym

środkiem ochrony oczu, jaki znajdziesz.

Ciemne kręgi? - Zniknęły!

Poranne opuchnięcia? - Za burtą!

Bruzdy i zmarszczki? - Niech zginą marnie!

A ta papuga na twoim ramieniu?

Sorry, to twój problem.

Teenie spojrzała przez moje ramię na ekran.

- Ho, ho, ho - powiedziała ze współczuciem.

- Zobaczyłabyś inne moje próby...

- To twój pierwszy tydzień po powrocie, wypadłaś z rytmu.

- Jestem na silnych lekach.

- Będzie lepiej. Chcesz, żeby ci pomóc?

Teenie robiła wszystko, co mogła, żeby mi pomóc, ale miała własne kłopoty: była odpowiedzialna za asortyment Candy For A Baby i Candy Man. Trzeba jednak zauważyć, że mając jedynie dwanaście produktów w linii dziecięcej i dziecięć w męskiej, nie miała takiej odpowiedzialności jak ja. (Pięćdziesiąt osiem produktów w niezliczonych liniach kolorystycznych. Najwyraźniej wprowadzaliśmy coś nowego co tydzień).

Wpadła Lauryn.

- Gotowe? - wrzasnęła.

- Już idę - powiedziałam.

Teenie zdążyła wyszeptać mi do ucha:

- Najpierw metabolizuje się tłuszcz, potem tkanki pozbawione tłuszczu, następnie mięśnie, a na końcu organy wewnętrzne. W tym momencie ciało w istocie trawi siebie. Czy ta głupia baba w ogóle coś je?

Teenie wieczorowo studiowała medycynę i lubiła dzielić się swoją wiedzą.

Wydrukowałam moje gówniane dzieło, i ruszyłam do biurka Lauryn, gotowa odegrać tę upokarzającą scenę. Odpowiedzialność za reklamę Candy Girrl była rozłożona między mnie i Lauryn następująco: ja wykonywałam całą robotę i występowałam ze wszystkimi pomysłami, podczas gdy ona uprzykrzała mi życie, zarabiała pięćdziesiąt procent więcej niż ja i zbierała wszystkie zaszczyty.

Ja miałam drugorzędne obowiązki: wiercenie dziury w brzuchu wydawcom pism poświęconych urodzie, zabieranie ich na lunch, wmawianie im, jak cudowne są produkty Candy Girrl, i przekonywanie, żeby wydrukowali na swoich stronach czterowersową wiadomość o nas razem z fotosem. To była ogromnie ważna część mojej pracy; przestrzeń na łamach, jaką zdołałam uzyskać, dokładnie mierzono, a potem porównywano z kwotą, jaką należałoby wydać na reklamę w takiej samej przestrzeni.

Mój tegoroczny próg miał być dwanaście procent wyższy niż w zeszłym roku, ale straciłam wartość dwumiesięcznych przedsięwzięć podczas pobytu w Irlandii. Trudno będzie to nadrobić. Czy Ariella lub Candace i George Biggly potraktują mnie ulgowo? Prawdopodobnie nie. Obiektywnie patrząc, dlaczego mieliby to robić?

Dałam Lauryn mój komunikat prasowy do kampanii reklamowej produktu Eye Eye Captain. Wystarczył jeden rzut okiem.

- To jest gówno. - Cisnęła mi go z powrotem.

Wspaniale. Zawsze musiałam przedstawiać jej przynajmniej dwie próbki; najpierw odrzucała pierwszą propozycję, następnie drugą, a potem zwykle akceptowała tę pierwszą.

Chociaż to pewnie nieprzyjemne, ale dobrze było wiedzieć, na czym stoję.

Siedziałam w pracy prawie do wpół do ósmej, a kiedy dotarłam do domu, czekał na mnie e-mail od matki; coś, co przedtem nigdy się nie zdarzyło.

Do: *czarodziejka* [@yahoo.com](mailto:czarodziejka@yahoo.com)

Od: Walshowie1@eircom.net

Temat: Kobieta z psem Kochana Anno!

Mam nadzieję, że trzymasz się dobrze. Tylko pamiętaj, że możesz wrócić do domu, kiedy zechcesz, i że się tobą zajmiemy. Piszę w związku z tą kobietą z psem, który „załatwił swoją sprawę” przed naszą bramą.

(O Boże, jakąż puszkę Pandory właśnie otworzyłam?!)

Przyznam, że wszyscy sądziliśmy, iż coś wymyślasz pod wpływem tych swoich leków, ale stwierdzam, że się myliłam.

Ja i Helen obserwowałyśmy ją przez kilka ostatnich poranków i stało się dla nas jasne, że ona naprawdę zachęca swego psa, żeby siusiał przed naszą bramą. Chciałam tylko, żebyś była na bieżąco. Jeszcze jej nie zidentyfikowałyśmy. Jak wiesz, jest leciwą kobietą, a wszystkie stare kobiety wyglądają tak samo. Jak również wiesz, twoja siostra ma silnie powiększającą lornetkę, za którą zapłacił ojciec. Jednak mi jej nie da i mówi, że muszę zapłacić jej stawkę godzinową. To chyba nie fair. Jeśli będziesz z nią rozmawiać, to zechciej jej powiedzieć, że tak powiedziałam, a jeśli ona powie coś o tożsamości tej kobiety, to daj mi znać.
Twoja kochająca Mama

Rozdział 22

W niespełna tydzień po tym, jak pierwszy raz poprosił mnie o rękę, Aidan uczynił to ponownie, tym razem z pierścionkiem wykonanym przez pewnego jubilera; pierścionkiem, o którym niegdyś powiedziałam, że mi się podoba. Z białego złota, z delikatną obrączką i siedmioma brylantami, był naprawdę bardzo ładny, a ja byłam okropnie wkurzona.

- Daj spokój - rzuciłam. - Spędziliśmy jeden kiepski weekend. Reagujesz przesadnie.

Pospieszyłam do domu i zrelacjonowałam Jacqui, co się stało.

- Pierścionek? - wykrzyknęła. - Wychodzisz za mąż!

- Nie wychodzę za mąż.

- Dlaczego nie?

- A dlaczego miałabym to zrobić?

- No... bo ci się oświadczył? - Potem cierpko dodała: - To był żart. Taki sobie.

Więc dlaczego nie chcesz wyjść za tego faceta?

Nieskładnie wyrzucałam z siebie powody.

- Powód A: ledwie go znam, a większą część swojego życia spędziłam impulsywnie i jestem tym wykończona; powód B: Aidan niesie w sobie zbyt duży bagaż, a ja nie chcę faceta z drugiej ręki; powód C: jak ty, Jacqui Staniforth, sama powiedziałaś, a założę się, że masz rację, prawdopodobnie jest „psem, którego trudno będzie utrzymać na werandzie”. A jeśli nie będzie mi wierny?

- Faktycznie wcale nie chodzi o któryś z tych powodów - powiedziała Jacqui. - Chodzi o to, że ty jesteś dziecinnie staroświecka. To znaczy, że gdy każda inna „singielka” w twoim wieku byłaby zachwycona, poślubiając kogokolwiek, nawet trójjokiego karła, który musi golić nos, ty wciąż jesteś wystarczająco naiwna, aby sądzić, że nie powinnaś wychodzić za pierwszego mężczyznę, który ci się oświadczy. Tak, ledwie go znasz! Tak, dźwiga duży bagaż! Tak, może mieć kłopot z utrzymaniem swego „wacka” w spodniach! Ale przede wszystkim, Anno Walsh, nie masz zielonego pojęcia, jaką jesteś szczęściarą!

Czekałam, aż skończy krzyczeć. Przepraszam - powiedziała, zaczerwieniona, oddychając głośniej niż zwykle. - Trochę się... podekscytowałam. Naprawdę przepraszam, Anno. Fakt, że mężczyzna ma tylko dwoje oczu, jest normalnego

wzrostu i w jego wieku nie rosną mu włosy w nosie, wcale nie jest powodem, by za niego wychodzić za mąż. Wcale.

- Dziękuję.

- Ale ty go kochasz - stwierdziła. - A on kocha ciebie. Wiem, że to stało się szybko. Ale jest poważne.

Gdy następnym razem wyjął pierścionek, powiedziałam:

- Przestań, proszę cię.

- Nie mogę się powstrzymać.

- Dlaczego chcesz się ze mną ożenić?

Westchnął.

- Mogę wyliczyć powody, ale to wciąż nie wyrazi dostatecznie czegoś takiego jak to, że: ładnie pachniesz, jesteś odważna, lubisz Piesia, jesteś zabawna, inteligentna, naprawdę śliczna, lubię, jak wymawiasz różne słowa, podoba mi się twój sposób myślenia i to, że możemy rozmawiać o wysłaniu mojej mamie urodzinowego prezentu do Bostonu, a ty nagle mówisz: „Nie można wyglądać seksownie, gdy liże się znaczek”. - Rozłożył ręce w geście bezradności. - Ale chodzi o coś znacznie, znacznie, znacznie większego.

- Jaka jest różnica między tym, co sądzisz o mnie, a tym, co sądziłeś o Janie?

- Nie zmieniam zdania o Janie, ponieważ ona jest wspaniałą osobą, ale nie ma porównania... - Strzelił palcami - No dobrze, już mam! Czulaś kiedyś naprawdę straszny ból zęba? Taki okropny, który niczym elektryczny prąd wdziera ci się do głowy i uszu, tak namacalnie dotkliwy, że niemal go widzisz? Tak? No więc przenieś tę samą intensywność na miłość. Właśnie z taką intensywnością myślę o tobie.

- A Janie?

- Janie? Z Janie to jest tak jak wtedy, kiedy uderzysz głową w niski sufit. Przykre, ale nie można powiedzieć, żeby było nie do zniesienia. Czy to, co mówię, ma jakiś sens?

- Dziwne, ale ma.

Oczywiście, wiedziałam, że kiedy pierwszy raz go spotkałam, coś zaiskrzyło. Następne spotkanie, gdy przypadkowo wpadliśmy na siebie po siedmiu tygodniach, wyglądało jak „znak”, że przeznaczone jest nam być razem, ale ja nie chciałam żyć „znakami”, lecz faktami.

Fakt 1) Nie mogłam zaprzeczyć, że poważnie zakłócił mój spokój duszy; mimo że uparcie twierdziłam, iż ledwie się znamy, czułam, że znamy się wyjątkowo dobrze.

W dobrym sensie.

Fakt 2) Myślałam o nim inaczej niż kiedykolwiek o którymkolwiek innym mężczyźnie. Podejrzewałam, a nawet się obawiałam, że jestem w nim okropnie zakochana.

Fakt 3) Ceniłam lojalność, a Aidan pod wieloma względami był wyjątkowo lojalny: zaakceptował Jacqui, Rachel, nawet Luke'a i Prawdziwych Mężczyzn, do których zwracał się per „gościu” tylko po to, aby się dopasować. Świętował moje zawodowe zwycięstwa i zapalał niechęcią do Lauryn, zanim ją poznał.

Fakt 4) Nie zamierzałam dać się zmylić fizycznej stronie rzeczy, bo podobać może nam się każdy. Tak się jednak złożyło, że my naprawdę nie mogliśmy odebrać rąk od siebie.

Na papierze wszystkie punkty zostały odhaczone. Problemem była Janie. Nie mogłam wybaczyć Aidanowi, że ją rzucił.

- Rzucił ją dla ciebie! - zawołała Jacqui, gdy podzieliłam się z nią swymi obawami.

- Jednak to okropne. Był z nią od wieków, a mnie zna zaledwie od pięciu minut.

- Posłuchaj - powiedziała otwarcie. - Naprawdę mnie posłuchaj. Często słyszy się o ludziach, którzy chodzą ze sobą latami, potem się rozstają i dwa dni później poślubiają kogoś innego. Widziałyśmy to, prawda? Pamiętasz Faith i Hala? Zerwała z nim po jedenastu latach, a on natychmiast, tak się wydawało, ożenił się z tą Szwedką, i wszyscy mówili, że mu odbiło, ale oni wciąż są razem, mają troje dzieci i wydają się szczęśliwi. Kiedy ludzie działają tak szybko, każdy mówi: „To potrwa miesiąc”, ale często się mylą, bo to się udaje. Mam wrażenie, że z wami tak będzie. Nie musisz być z kimś wcześniej przez sto lat, żeby mieć pewność. Czasami ma się ją natychmiast. Znasz to powiedzenie: „Kiedy się wie, to się wie”.

Skinęłam głową. Tak, słyszałam je.

- Zatem wiesz? -Nie.

Westchnęła ciężko. -O Boże...

- Przez cały czas, kiedy byłem z Janie - powiedział Aidan - nigdy jej nie prosiłem, żeby za mnie wyszła. Ona też nie mówiła o małżeństwie.

- Nie obchodzi mnie to - odparłam. - Jestem wystarczająco wkurzona tak szybkim i tak intensywnym związkiem z tobą, ale to całe gadanie o małżeństwo naprawdę mnie wykańcza.

- Dlaczego jesteś taka przerażona?

- Och, no wiesz, ze wszystkich oczywistych powodów: już nigdy nie będę mogła przespać się z kimś innym, nie chcę być połówką zadowolonej z siebie pary, która kończy zdania za „swoją drugą połowę”, i tak dalej, i tak dalej.

Naprawdę jednak bałam się tego, że może się nie udać, że Aidan może odejść z kimś jeszcze innym, albo - co bardziej prawdopodobne - wrócić do Janie, a wtedy ja będę całkiem zdruzgotana. Gdy kocha się kogoś tak bardzo, jak najwyraźniej ja kochałam Aidana, ból mógłby być wielki.

- Boję się, że to wszystko może się potoczyć naprawdę okropnie - przyznałam. - Ze skończy się na wzajemnej nienawiści oraz utracie wiary w miłość, nadzieję i te wszystkie wspaniałe rzeczy. Nie zniosłabym tego. Wtedy stałabym się wypacykowaną alkoholiczką, która pije martini na śniadanie i próbuje sypiać z ratownikiem z basenu.

- Anno, nic nie pójdzie źle, obiecuję. Będzie dobrze. Jesteśmy dobrym materiałem, ty i ja. Najlepszym. Uwierz.

Czasem wierzyłam. Co oznaczało, że - niczym pośpiechu, z jakim biegłabym na szczyt wysokiego budynku, żeby po prostu wyskoczyć - najbardziej ze wszystkiego bałam się, że mogłabym powiedzieć „tak”.

- W porządku, skoro nie chcesz za mnie wyjść, to może zechcesz pojechać ze mną na wakacje?

- Nie wiem - odparłam. - Będę musiała zapytać Jacqui.

- Albo-albo - brzmiała konkluzja Jacqui. - To może być totalna katastrofa: znaleźć się w obcym kraju, nie mając sobie nic do powiedzenia. Powiedziałabym jednak: zaryzykuj.

Oznajmiłam mu, że pojedę, pod warunkiem że nie będzie mnie prosił, żebym za niego wyszła.

- Załatwione - odparł.

Na Boże Narodzenie pojechałam do Irlandii, a kiedy wróciłam, wyjechaliśmy na sześć dni do Meksyku.

Po chłodnej i ponurej zimie w Nowym Jorku biały piasek i błękit nieba był tak olśniewający, że niemal oślepił i przyprawiał o ból oczu. Jednak najlepsze ze wszystkiego było to, że miałam Aidana pod ręką przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Seks, seks i znowu seks. Z samego rana, późno w nocy i o każdej porze pomiędzy.

Aby od czasu do czasu musieć wyjść z łóżka, zwiedziliśmy zakurzone miasteczko i postanowiliśmy odbyć kurs nurkowania dla początkujących, prowadzony przez dwóch ćpunów rodem z Kalifornii. Był tani jak barszcz i, z perspektywy czasu, chyba powinno nas to zastanowić. Podobnie jak klauzula, którą musieliśmy podpisać, stwierdzająca, że za śmierć, okaleczenie wskutek ataku rekinów, posttraumatyczny stres, kontuzje palców, złamania paznokci, utratę protez i w ogóle za nic innego nie ponoszą żadnej odpowiedzialności.

My jednak mieliśmy to w nosie i bawiliśmy się doskonale, stłoczeni w niewielkim basenie ćwiczeniowym z dziewięcioma innymi początkującymi, układając kciuki i palce wskazujące w literę O, chichocząc przy tym i popychając się, jakbyśmy wrócili do szkoły.

Trzeciego dnia zabrano nas na pierwsze nurkowanie w morzu i chociaż byliśmy na głębokości niespełna pięciu metrów, znaleźliśmy się w innym świecie. W świecie spokoju, gdzie słyhać tylko odgłos własnego oddechu, a wszystko porusza się z powolną gracją. Pływanie w błękitnej wodzie sprawiało wrażenie, że jest się pochwyconym w błękitne światło. Woda była przejrzysta jak szkło i promienie słońca przenikały aż do dna, żeby oświetlić biały piasek oceanicznego podłoża.

Byliśmy urzeczeni. Trzymając się za ręce, przepływaliśmy obok delikatnych koralowców i ryb we wszystkich możliwych kolorach: żółtych w czarne kropki, pomarańczowych w białe paski i tych zabawnie przezroczystych bez żadnego koloru. Ławice ryb w zgodnym ordynku mijały nas bezgłośnie, kierując się gdzie

indziej. Aidan wskazał na coś, więc podążyłam wzrokiem za jego palcem. Rekiny. Trzy z nich, trzymające się brzegu rafy, wyglądały niemile i ponuro, jakby nosiły skórzane marynarki. Rekiny rafowe nie są niebezpieczne. Zazwyczaj. Tak czy inaczej, serce biło mi trochę szybciej.

Potem, dla zabawy, wyjęliśmy ustniki i wykorzystaliśmy zapasowe rurki, stając się jednością, w sposób, w jaki powietrzni kochankowie w filmach z lat trzydziestych łączyli się ramionami i pili szampana ze swoich kieliszków (a zawsze były to te płytkie kieliszki-szampanki ze śmiesznie szerokimi brzegami, z których szampan rozpryskuje się na wszystkie strony).

- To było niesamowite - zachwycił się później Aidan. - Zupełnie jak w *Gdzie jest Nemo?*. A wiesz, co to jeszcze oznacza, Anno? To oznacza, że mamy coś wspólnego...

Pomyślałam, że to sygnał, iż znów poprosi mnie o rękę, więc tylko spojrzałam.

- No co? - zapytał.

- Nic - odpowiedziałam.

Ostatni dzień był „wielkim finałem”. Wrzucali nas wszystkich na głębsze wody, co obejmowało przechodzenie przez dekompresję w czasie wyjścia na powierzchnię. Oznaczało to, że

co półtora metra trzeba było czekać przez dwie minuty, aż w jakiś sposób wyreguluje się zawór powietrzny. Wcześniej ćwiczyliśmy to na płytszych wodach, ale tym razem wszystko miało być naprawdę.

Na łodzi sprawy się skomplikowały. Aidan był przeziębiony i miał katar, a chociaż udawał, że jest całkiem zdrowy, instruktor to zauważył i nie pozwolił mu nurkować.

- Nie będziesz w stanie wyrównać ciśnienia w uszach. Przykro mi, człowieku, ale nie możesz zejść pod wodę.

Aidan był tak zawiedziony, że postanowiłam, iż ja również nie zejść pod wodę.

- Wolę wrócić do kabiny i kochać się z tobą. Nie robiliśmy tego od godziny.

- A może byś zanurkowała, a potem wróciła do kabiny i kochała się ze mną? Możesz przecież mieć i jedno, i drugie. Idź, Anno, byłaś tak podekscytowana tym nurkowaniem; opowiesz mi o tym wszystkim po powrocie.

Ponieważ Aidan nie mógł nurkować, musiałam znaleźć innego „kolesia” (nie cierpię słowa „koleś”, chyba że używa się go jako obelgi, np. „co z tobą, koleś?”).

„Zakolesiowałam” się więc z mężczyzną, który czytał na plaży „Codependent No More”, pismo poświęcone walce ze współzależnościami. Przyjechał na wakacje sam i był „zako-lesiony” z instruktorem.

Przed skokiem z burty wydano nam ostatnie instrukcje, po czym skoczyliśmy w ten inny, cichy świat. Pan Współzależ-niony nie trzymał mnie za rękę, z czego byłam zadowolona, bo ja również nie chciałam trzymać jego dłoni. Płynąc obok siebie, byliśmy blisko oceanicznego dna od kilku minut (tam na dole trudno zachować wycucie czasu), gdy uświadomiłam sobie po dwóch ostatnich wdechach, że z mojego przewodu nie wychodzi powietrze. Wzięłam następny wdech, by się upewnić, ale nic się nie działo. Było to niczym zaskoczenie, jakiego doświadczam, gdy pojemnik lakieru do włosów okazuje się pusty: to jest coś, o czym się myśli, że nigdy się nie stanie. Naciskam i naciskam na tę dyszę, myśląc, że to absolutnie niemożliwe, by pojemnik był pusty, a potem uświadamiam sobie, że lepiej, jeśli przestanę to robić, chyba że chcę, aby to choler-stwo eksplodowało.

Wskaźnik mówił, że pozostało mi powietrza na dwadzieścia pięć minut, ale z pojemnika nic nie wychodziło; widocznie tuba była zablokowana. Próbowałam wykorzystać przewód zapasowy i poczułam pierwsze ukłucie strachu, gdy z niego również nic się nie wydobyło.

Zatrzymałam Pana Współzależnionego i wykonałam znak „brak powietrza” (tnący ruch po szyi - znak, jakim posługuje się mafia, mówiąc, że trzeba się „zająć” jakimiś ludźmi). Kiedy jednak podpłynęłam, aby sięgnąć po dodatkowy przewód jego pojemnika i zażyć tlenu, zauważyłam, że go nie ma! Nie ma dodatkowego przewodu powietrza! Cholera! Nawet w szoku zrozumiałam, co się stało: już wcześniej go odłączył, aby zademonstrować swój brak współzależnienia. Prawdopodobnie w myślach powtarzał sobie z dumą: chodzę sam; nie jestem zależny od nikogo i nikt nie jest zależny ode mnie.

No cóż, to było trudne, gdyż wiedząc, że porzucił gdzieś dodatkowy przewód, będzie musiał dać mi dojście do swojego ustnika. Dałam mu odpowiedni sygnał, ale kiedy zabierał się do wyjęcia go z ust, wpadł w panikę. Widziałam to nawet przez jego maskę. Wiedział, że trzeba to zrobić, ale kiedy taka konieczność zaistniała naprawdę, nie zdołał.

Współzależny był zbyt przerażony, że sam może zostać bez powietrza choćby przez kilka sekund. Jedną ręką strzegąc swego powietrznego przewodu, popieszczyliście zmierzał ku powierzchni, drugą dając mi znak „do góry”. Ku mojemu przerażeniu zaczął odpływać, wciąż ochraniając swój zapas powietrza.

Pozostali już wcześniej ruszyli do przodu. Widziałam, jak znikają w oddali. Nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc. *To się nie dzieje. Boże, proszę, spraw, żeby to się nie stało.*

Byłam na głębokości czternastu metrów pod powierzchnią oceanu i nie miałam powietrza. Czulałam cały ciężar przygniatającej mnie wody. Aż do tej chwili była absolutnie lekka, a tu nagle mogła mnie zabić.

Przerażenie było tak okropne, że czulałam się jak w sennym koszmarze. Powierzchnia, myślałam. Musiałam wydostać się na powierzchnię.

Zmierzając na powierzchnię, kopiąc nogami, rozrywając płuca, pędziłam ku górze i łamiąc wszystkie zasady, myślałam: umieram z własnej winy za to, że się wdałam w ten przeceniony kurs nurkowania.

Co półtora metra miałam czekać przed dwie minuty dekompresji. Mowy nie ma o dwóch minutach, ja nie miałam dwóch sekund!

Wierzgnęłam obok zdumionej ławicy barwnych ryb, modląc się, by dotrzeć na powierzchnię. Krew szumiała mi w uszach, a w głowie przemykały różne obrazy. Zrozumiałam co się dzieje: przed oczami przewijało mi się całe moje życie. Cholera, pomyślałam, ja naprawdę umieram.

Życie nie ukazywało mi się kolejnymi rozdziałami, ale nieoczekiwanymi punktami; sprawami, o których nie myślałam od lat (jeśli w ogóle o nich myślałam). Takimi jak matka, która mnie urodziła, a ja pomyślałam, jakaż to była wspaniała rzecz, jaki wielkoduszny akt. Następną osobą, która mi się pojawiła, był Shane: byłam z tym facetem o wiele za długo.

Dlaczego musiałam umrzeć? Cóż, a dlaczego nie? Na świecie żyło sześć miliardów ludzi, a ja byłam równie nieznacząca jak wszyscy inni. Ludzie umierali przez cały czas, więc dlaczego nie miałabym umrzeć ja?

Właściwie szkoda, bo gdybym mogła kolejny raz spróbować swego błahaego, krótkiego życia, to...

I właśnie wtedy, kiedy sądziłam, że głowa mi pęknie, przerwałam błękitną linię, która oddziela te dwa światy. Uderzył mnie gwar i blask, fala trzepnęła mnie w ucho. Zrywając maskę z twarzy, łykałam cudowny tlen, zdumiona, że nie umarłam.

Następną rzeczą, jaką pamiętam, było to, że leżałam na dnie łodzi, wciąż desperacko wciągając powietrze, a Aidan pochylał się nade mną. Jego twarz wyrażała połączenie przerażenia i ulgi. Z gigantycznym wysiłkiem zdołałam się odezwać.

- Dobrze - wyszeptałam - wyjdę za ciebie.

Rozdział 23

W ciemności obudził mnie jakiś łoskot. Serce biło mi mocno i szybko. Światło zapaliło się, zanim zrozumiałam, że je włączyłam. Byłam przerażona i całym rozbudzona. Leżałam na kanapie. Przysnęłam tu w ciuchach, w których chodzę do pracy, gdyż starałam się w nieskończoność oddalać moment, w którym musiałam chodzić do łóżka sama.

Coś mnie obudziło. Co ja usłyszałam? Odgłos klucza w drzwiach? Może frontowe drzwi naprawdę otworzyły się i zamknęły? Wiedziałam tylko to, że nie jestem sama. Mówi się przecież, że kiedy ktoś jest w pobliżu, człowiek czuje się jakoś inaczej.

To musiał być Aidan. Wrócił. Mimo podekscytowania byłam też trochę przestraszona. Kątem oka spoglądając przez okno, zobaczyłam coś ruchomego, coś szybkiego i niewyraźnego. Obróciłam głowę, ale niczego tam nie było.

Wstałam. W pokoju dziennym nikogo, w kuchni nikogo, powinnam zajrzeć do sypialni... Otwierając drzwi, spociłam się ze strachu. Sięgnęłam do kontaktu niemal sparaliżowana z przerażenia, że jakaś ręka może w ciemności chwycić moją dłoń. Czym był ten wysoki, wąski kształt obok szafy? Nacisnęłam kontakt i gdy pokój zalało światło, mroczny i złowrogi kształt okazał się nie bardziej groźny niż nasz zwykły regał na książki.

Słyszając własny dyszący oddech, włączyłam światło w łazience i odciągnęłam zasłone prysznicową, która wydała ostry szelest. Tutaj również nie było nikogo.

Więc co mnie obudziło?

Uświadomiłam sobie, że go czuję. Ta niewielka przestrzeń była nim wypełniona. Panika wróciła, a ja rozbieganymi oczami szukałam... czego? Bałam się

spojrzeć w lustro, żeby nie zobaczyć tam kogoś spoglądającego na mnie. Właśnie wtedy ujrzałam, że jego saszetka z przyborami toaletowymi zsunęła się z gęsto zastawionej półki na kafelki. Wszystko z niej wypadło, a jedna buteleczka się rozbiła. Przykucnęłam: to nie Aidana czułam, lecz jego płyn po goleniu.

W porządku, ale jak to się stało, że ta saszetka spadła? Te mieszkania były stare i wysłużone; ktoś trzaskający drzwiami mógł wywołać fale wstrząsowe wystarczająco silne, aby z półki w cudzym mieszkaniu spadło coś na podłogę. Nie ma tu żadnej tajemnicy.

Poszłam po szczotkę, żeby pozamiatać rozbite szkło, ale w kuchni czekał na mnie inny zapach; zapach czegoś słodkiego, kruchego i przytłaczającego. Nerwowo wciągnęłam powietrze. To był jakiś świeży kwiat. Znałam ten zapach, tylko nie mogłam... tak, rozpoznałam go. To lilie, zapach, którego nie cierpię... taki ciężki i stęchły jak śmierć.

Rozglądałam się wokół ze strachem. Skąd dochodził? Przecież w mieszkaniu nie było żadnych świeżych kwiatów. Jednak ten zapach był nieodparty. Nie wymyśliłam go sobie. Był prawdziwy, realny, a powietrze było gęste i przesłodzone.

Gdy zmiotłam rozbitą butelkę, bałam się ponownie zasnąć, więc włączyłam telewizor. Żeglując przez kanały kablowe, trafiłam na odcinek *Nieustraszonego*, którego jeszcze nie widziałam. W końcu zapadłam w jakiś półsen, w którym mi się śniło, że nie śpię, a Aidan otwiera drzwi i wchodzi do środka.

- Aidan, wróciłeś! Wiedziałam, że wrócisz.

- Nie mogę zostać długo, dziecinko - rzekł - ale mam ci coś ważnego do powiedzenia.

- Rozumiem. Więc powiedz.

- Zapłać czynsz, termin już minął.

- To jest ta ważna rzecz.

-Tak.

- A ja myślałam...

- Wezwanie jest w szafie, razem z pozostałą pocztą. Przykro mi, wiem, że nie chcesz jej otwierać, ale znajdź to jedno. Nie strać naszego mieszkania. Bądź dzielna, maleńka.

Rozdział 24

- Anno, gdzie jesteś? - To była Rachel.

- W pracy.

- Jest dziesięć po ósmej w piątkowy wieczór! To twój pierwszy tydzień po powrocie, powinnaś się wzmacniać powoli.

- Wiem, ale mam tak dużo do zrobienia i całkiem mnie to pochłania.

Poświęcenie połowy ubiegłej nocy na oglądanie *Nieustraszonego* zamiast na sen nie pomogło. Przez cały dzień byłam półprzytomna; wyczerpana i niemrawa; Lauryn zwała wszystko na mnie, Franklin wyżywał się na mnie, żeby obciąć mi włosy, a na dodatek jakaś mała, zdecydowana banda dziewczyn z EarthSource sądziła, że jestem alkoholiczką.

Jedna z nich (Koo? Aroon? Wszystkie miały idiotyczne imiona) w piątek rano podeszła prosto do mojego biurka i zaprosiła mnie na jakieś spotkanie w porze lunchu... ściśle mówiąc, na spotkanie AA... z jakimiś innymi „rekonwalescentkami z McArthura”.

Poczułam, że serce opadło mi aż do stóp w błyszczących tenisówkach na kortnie. To znużenie!

- Dziękuję - wydusiłam. - To bardzo miło z twojej strony - chciałam zwrócić się do niej po imieniu, ale nie byłam pewna, jak brzmi, więc musiałam zastąpić je jakimś ogólnym „Ooo” - ale ja nie jestem alkoholiczką.

- Wciąż w stadium wypierania? - Przykry ruch głową z długimi, prostymi włosami. - Poddaj się, żeby zwyciężyć,

- - Anno, poddaj się, żeby zwyciężyć.

- W porządku. - Po prostu łatwiej było się zgodzić.

- Uda się, jeśli nad tym popracujesz, więc popracuj, jesteś tego warta. Jeśli chcesz pić, to twoja sprawa; ale jeśli chcesz przestać, to nasze zadanie.

- Dziękuję, jesteś cudowna.

A teraz spieprzaj, zanim Lauryn tu przyjdzie.

- Kilku Prawdziwych Mężczyzn ma przyjść, żeby zagrać w scrabble - rzekła Rachel. - To może być dobry sposób, żebyś znów zaczęła spotykać się z ludźmi. Co ty na to?

Co ja na to? Nie chciałam być sama. Ale również nie chciałam być z kimś innym. Ten paradoks miał sens; po prostu chciałam być z Aidanem.

W ciągu czterech dni od powrotu do Nowego Jorku miałam tyle różnych zaproszeń, ilu nie dostałam przez całe życie. Wszyscy byli fantastyczni, ale mimo to jedynymi osobami, z którymi mogłam się spotkać, były Jacqui i Rachel (która przyszła z Lukiem). Było mnóstwo ludzi, do których jeszcze musiałam wrócić; Leon i Dana, Ornesto, nasz Wesoły Chłopiec (sąsiad z góry), matka Aidana. No dobrze, wszystko w swoim czasie...

Wyłączyłam komputer i na Pięćdziesiątej Ósmej Ulicy wskoczyłam do taksówki. Na ulicach wszystko stawało się trochę łatwiejsze. Po drodze zadzwoniłam do Jacqui, żeby zabrać ją ze sobą.

- Scrabble z Prawdziwymi Mężczyznami? O nie, ale dziękuję za zaproszenie.

Poza Lukiem, Jacqui nie miała czasu dla pozostałych Prawdziwych Mężczyzn.

Luke wprowadził mnie do środka. Chociaż jego rockowe włosy są teraz trochę krótsze niż wtedy, gdy pierwszy raz spotkał Rachel, wciąż nosi dzinsy, tylko odrobinę za ciasne. Jego krocze nieodmiennie przyciąga mój wzrok. Nie mam nad tym żadnej kontroli. Trochę przypomina to sposób, w jaki wszyscy zaczęli zwracać się w rozmowie do mojej blizny, a nie do mnie.

- Wchodź - zaprosił moją bliznę. - Rachel właśnie bierze szybki prysznic.

- Świetnie - powiedziałam do jego krocza.

Mieszkanie Rachel i Luke'a znajduje się w strefie kontrolowanych czynszów w East Village. Jest obszerne jak na nowojorskie standardy, co oznacza, że można stać na środku salonu i nie móc dotknąć wszystkich czterech ścian. Mieszkają w nim już dawno, niemal pięć lat. Jest bardzo przytulne, wygodne i pełne rzeczy mających swoje znaczenie: patchworko-wych narzut i poduszek wyhaftowanych przez uzależnionych, którym pomagała Rachel, muszelek przywiezionych przez Luke'a z pikniku dla uczczenia czwartych „urodzin” czystej i trzeźwej Rachel, i innych tego rodzaju przedmiotów. Lampy rzucają miękkie światło, a powietrze pachnie ciętymi kwiatami w wazonie na małym stoliku.

- Piwo, wino, woda? - zapytał Luke.

- Woda - odpowiedziałam jego kroczu. Bałam się, że jeśli zacznę pić, to nie przestanę.

Rozległ się dzwonek.

- To Joey - powiedział Luke. Joey jest jego najlepszym przyjacielem. - Jesteś pewna, że będziesz się dobrze czuła w jego towarzystwie?

Starłam się mówić do twarzy Luke'a, naprawdę się starałam, ale oczy po prostu zjeżdżały po jego piersi, spiesząc w stronę tej wypukłości.

- Nie ma problemu - odpowiedziałam.

Kilka sekund później wkroczył Joey, zamknął za sobą drzwi jakimś zabawnym obrotem stopy, chwycił krzesło z oparciem, obrócił dookoła, przyciągnął ku

sobie i posadził się na nim twarzą do oparcia, a wszystko to bez rozdarcia dżinsów czy zgniecenia genitaliów. Z pełnym wdziękiem.

- Cześć, Anno, przykro mi w związku z twoim... no wiesz... to okropne. - Był jedyną osobą, która nie zabijała mnie uprzejmością. Odpowiadał mi.

Obdarzył moją bliznę długim, bezczelnym spojrzeniem, potem wyjął paczkę papierosów, puknął pudełko w jakiś dziwny sposób i jeden papieros przekoziółkował w górę wprost do jego ust. Płynnym łukiem drasnął zapałką o ścianę z czerwonej cegły i właśnie miał zapalić papierosa, gdy z drugiego pokoju dobiegł bezcielesny głos Rachel.

- Joey, odłóż go.

Zamarł zaskoczony z zapaloną zapałką w dłoni.

- Nie wiedziałem, że ona jest już w domu - wymamrotał przez trzymany w ustach papieros.

- Och, już jestem. Wyrzuć go, Joey. Natychmiast!

- Cholera - rzekł, machając zapałką, gdyż zaczęła parzyć mu palce. Powoli odłożył papierosa do pudełka, a potem usiadł... nie mam na to innego słowa... ponuro.

Nie miało to jednak nic wspólnego z wydanym przez Rachel zakazem palenia. Joey zawsze jest taki.

Jego charakterystyczny humor wiąże się z rozczarowaniem tym światem. Wielu ludzi po pierwszym z nim spotkaniu pyta jadłowicie:

- A cóż to za palant z tego Joeya?

Joey potrafi być poważnie i niepotrzebnie okropny. Na przykład, gdy ktoś ma radykalnie nowoczesną fryzurę i wszyscy inni wznoszą ochy i achy, Joey prawdopodobnie powie: „Sue, masz kupę forsy”. Innym razem nie mówi nic, po prostu siedzi w jakiejś grupie, obserwując wszystkich zwięzionymi oczami, z ustami w ponurym grymasie, podczas gdy coś - jakiś mięsień? żyła? - pulsuje mu w

szczęce. W rezultacie wielu kobietom wydaje się atrakcyjny. Zawsze wiem, że przekraczają tę granicę, jaka dzieli przekonanie, że jest ponurym palantem, od ochoty na niego, gdy mówią: „Wcześniej tego nie zauważyłam, ale Joey wygląda trochę jak Jon Bon Jovi, prawda?”.

Z tego co wiem, nigdy nie był w żadnym długotrwałym związku, ale sypiał z wieloma osobami. Niektóre z nich mi o tym mówiły. Moja siostra Helen, na przykład, zaliczyła go jako część swojego programu „Złap i puść”. Powiedziała, że „jest niezły w te kloki”, co było doprawdy wielką pochwałą.

Rachel twierdzi, że Joey ma „wściekłe problemy”. Inni, którzy nie znają się na takich sprawach jak wściekłe problemy, mówią, że „ten Joey mógłby się nauczyć jakichś manier”.

Kilka minut później zobaczyłam przybycie Gaza i Sha-ke'a - czempiona gitary. Robili, co mogli, żeby nie patrzeć na moją bliznę. Osiągnęli to dzięki patrzeniu w jakiś punkt około pół metra nad moją głową, gdy ze mną rozmawiali. Obaj chcieli dobrze. Gaz, milutki, łysiejący brzuchacz piwny... niezbyt błyskotliwy, ale mniejsza z tym... przyciągnął mnie do swego miękkiego brzucha i zamknął w ciasnym uścisku.

- To straszne, Anno.

- Taaak... - rzekł Shake, odrzucając kudłatą grzywę, z której jest słusznie dumny, ruchem, któremu zawdzięczał swój przydomek. - To wykańcza. - Potem także mnie objął, chociaż faktycznie na mnie nie spojrzał.

Przetrwałam to. Trzeba było to zrobić. Teraz, kiedy wróciłam, wcześniej czy później spotkałabym wszystkich, których znam, a pierwsze spotkanie zawsze byłoby właśnie takie.

- Hej, Anno, wiesz, dzięki za tę piankę do włosów z twojej firmy - powiedział Shake. - Jest fantastyczna. Dodaje objętości!

- Podziałała, prawda? - Dałam mu ją przed kilkoma miesiącami. Miał obsesję na punkcie fryzury i chciał, żeby była możliwie najokazalsza na finał konkursu gitarowego.

- A ten lakier, kochana! Nazywamy go hardrockowym.

- Cóż, to świetnie. Powiedz, kiedy będziesz potrzebował więcej.

- Dzięki.

Rachel wyłoniła się z łazienki w obłoku lawendy. Przechodząc obok Joeya uśmiechnęła się słodko, a on spojrzał na nią spode łba. Gdy chłopcy utkwili w scrabble i piwie, my zwinęliśmy się w łagodnie oświetlonym kącie kanapy i Rachel zrobiła mi masaż nieobolałego ramienia.

Właśnie zaczynałam przysypiać, gdy znów rozległ się dzwonek. Ku memu zaskoczeniu była to Jacqui. Wpadła do tego mieszkania pełna blasku, z błyskiem i potokiem słów: właśnie przywrócono do normalności jej pokryty złotem ząb, ktoś dał jej coś Louisa Vuittona i była w drodze na jakąś prywatną wizytę.

- Cześć. Pomachała Prawdziwym Mężczyznom przy stole. - Nie zabawię tu długo, ale ponieważ to prywatne spotkanie odbywa się dwie przecznice stąd, to pomyślałam, że wpadnę, żeby się przywitać i sprawdzić, jak się ma scrabble.

- Jakże jesteśmy zaszczyceni? - zapytał przeciągle Joey, dłubiąc w zębach wykałaczką.

Jacqui wzniosła oczy do góry.

- Joey, rozjaśniasz każdy pokój, z którego wychodzisz - powiedziała, po czym podeszła do mnie i Rachel. - Dlaczego on jest zawsze taki okropny?

- On sam siebie bardzo nie lubi - odparta Rachel.

- Wcale mu się nie dziwię - powiedziała Jacqui.

- Obraca tę niechęć ku innym - mówiła dalej Rachel.

- Nie rozumiem. Dlaczego nie może być po prostu normalny? Zresztą, chrzań to. Już mnie nie ma. Przepraszam za najście. Życzę miłego wieczoru! - zawołała przez stół. - Wszystkim oprócz Joeya.

Jacqui wyszła, gra w scrabble rozpoczęła się od nowa, a mnie pół godziny później ogarnęła dziwna panika: nagle nie byłam w stanie przebywać z tymi ludźmi ani chwili dłużej.

- Chyba już pójde - powiedziałam, starając się, aby w moim głosie nie zabrzmiał niepokój.

Luke i Rachel spojrzeli na mnie z troską.

- Zejde na dół i wsadzę cię do taksówki - rzekła Rachel.

- Nie, jesteś nieubrana, ja to zrobię - oświadczył Luke.

- Ależ nie, proszę, czuję się doskonale. - Tęsknie spojrzałam na drzwi. Wybuchłabym, gdybym zaraz nie wyszła.

- Skoro jesteś pewna.

- Jestem pewna.

- Co robisz jutro? - zapytała Rachel.

- Po południu idę z Jacqui na zakupy - wyrzucałam z siebie słowa.

- Może wieczorem poszlibyśmy do kina?

- Tak - entuzjasmował się Luke. - W Angelice grają udoskonaloną cyfrową wersję *Północ-Północny Zachód*.

- Świetnie, tak, doskonale - powiedziałam już prawie bez tchu. - Zatem do jutra.

- Dobranoc.

- Dobranoc.

A potem otworzyły się drzwi i byłam wolna. Puls zwolnił, oddychałam swobodniej. Stałam na chodniku i czułam, że panika słabnie. Wróciła, gdy pomyśla-

łam: Boże, jakie to okropne, że nie mogę być nawet z własną siostrą. A teraz muszę wrócić do pustego mieszkania.

Cholera; nie mogłam być z ludźmi i nie chciałam być sama. Nagle zmieniła się perspektywa mojego widzenia, jakbym znalazła się w kosmosie, obserwując świat. Widziałam niezliczone miliony ludzi oddanych własnemu życiu, a potem zobaczyłam siebie: straciłam swoje miejsce we wszechświecie. Zamknął się i miejsca dla mnie nie było nigdzie.

Byłam zagubiona jeszcze bardziej, niż kiedykolwiek sądziłam, że to w ogóle możliwe.

I wtedy znów znalazłam się na chodniku. Co ja mam robić?

Zaczęłam iść. Kuśtykałam tułacza, okrężną drogą, aż wreszcie dotarłam do swojego domu, bo nie było innego miejsca, do jakiego mogłabym pójść. U podnóża schodów, gdzie traciłam kilka kolejnych sekund na odnalezienie w torebce kluczy, usłyszałam się czyjś głos.

- Słoneczko, zaczekaj.

To był Ernesto, nasz sąsiad z góry, idący ulicą w jaskrawoczerwonym, pedalskim garniturze. Niech to szlag.

Chwycił mnie i mówił z wyrzutem:

- Dzwoniłem do ciebie. Nagrałem się tysiąc razy.

- Wiem, Ernesto, przepraszam, jestem po prostu trochę...

- O rany! Co z twoją twarzą! Boże, słoneczko, to okropne! - Praktycznie przesuwając nosem po mojej bliźnie, jakby wciągał działkę koki, a potem przyciągnął mnie do siebie i zamknął w bolesnym uścisku. Na szczęście Ernesto jest bardzo zapatrzony w siebie i nie trzeba było wiele czasu, by skierował swą uwagę z powrotem ku sobie. - Wracam do domu tylko na chwilę i zaraz wychodzę, żeby się rozejrzeć za - zrobił pauzę na okrzyk - gorącymi mężczyznami! Wpadnij i pogadaj ze mną, gdy będę się przebierać w strój wieczorowy.

- Dobrze.

W urządzonym w stylu tajskim mieszkaniu Ornesta, tuż obok złotego Buddy, znajdowała się fotografia przybita do ściany kuchennym nożem. Przedstawiała twarz jakiegoś mężczyzny, a ów nóż wbity był dokładnie w jego otwarte, śmiejące się usta. Ornesto zauważył, że przyglądam się tej fotografii.

- O mój Boże, całkiem cię to ominęło. Ma na imię Bradley. Myślałem, że to coś prawdziwego, ale nie uwierzyłybyś, co ten człowiek mi zrobił.

Ornesto miał okropnego pecha z mężczyznami. Zawsze go zdradzali, okradali z kosztownych drobiazgów albo wracali do żon. Co się stało tym razem?

- Pobił mnie.

- Naprawdę?

- Nie widzisz mojego podbitego oka? Zademonstrował mi je z dumą. Dostrzegłam tylko lekko

purpurowe zasinienie obok brwi, ale Ornesto był z niego tak zadowolony, że przesyciłam swój głos współczuciem.

- To okropne.

- Mam też dobrą wiadomość: zacząłem brać lekcje śpiewu! Mój terapeuta mówi, że potrzebuję czegoś twórczego. -Ornesto, co zaskakujące, jest pielęgniarzem weterynaryjnym. - Mój nauczyciel śpiewu twierdzi, że mam prawdziwy talent. Mówi, że nigdy nie widział nikogo, kto by tak szybko pojął właściwe oddychanie.

- Cudownie - powiedziałam ogólnikowo. Nie ma sensu okazywać zbyt wielkiego zainteresowania: Ornesto jest wspaniałym człowiekiem, jeśli chodzi o nowe pasje. W ciągu tygodnia pokłóci się z nauczycielem i całkiem obróci przeciwko śpiewaniu.

Rozglądałam się dookoła; poczułam coś... i wtedy zauważyłam go na stole. Wielki bukiet kwiatów. Lili.

- Masz lilie - powiedziałam.

- Tak, próbuję być dobry sam dla siebie, rozumiesz? Tak wielu facetów po kolei potraktowało mnie okropnie. Jedynym człowiekiem, na którym mogę polegać, jestem ja i tylko ja.

- Kiedy je kupiłeś? Zastanawiał się przez chwilę.

- Wczoraj. Coś nie tak?

- Nie, wszystko w porządku.

Zastanawiałam się, czy to lilie Ornesta czułam minionej nocy. Ten zapach mógł dojść do mojej kuchni przez kanał wentylacyjny. Czy właśnie tak się stało? Czy nie miało to nic wspólnego z Aidanem?

Rozdział 25

Przyśnił mi się ślub w bieli.

To był jeden ze snów, z jakich człowiek zrywa się w środku nocy zlany potem, z sercem bijącym jak młotem. Sen -koszmar.

Widziałam wszystko. Miesiące sprzeczek z matką o brokoły. I ten dzień, gdy próbuję wywalczyć sobie drogę między siostrami (wszystkie były moimi druhnami), żeby dostać się do lustra i nałożyć makijaż, i muszę przekonać Helen, żeby zdjęła moją suknię. I ojca, który wiodąc mnie przez kościelną nawę, mamrocze: „Czuję się jak głupek w tej kamizelce”, a potem, w momencie „oddawania panny młodej”, mówi: „Oto ona. Weź ją sobie i spieprzaj w podskokach”.

Nic jednak nie przyczynia się do unaocznienia pewnych spraw lepiej niż otarcie się o śmierć.

Gdy doszłam do siebie po tamtym wyjściu z morskiej głębi (musiałam spędzić chwilę w czymś dekompresującym, a następnie poświęcić znacznie więcej

czasu na przyjęcie służalczych przeprosin Współuzależnionego; najwyraźniej cały ten incydent okropnie go rąbnał; nigdy w życiu nie spotkałam nikogo tak... małego), zatelefonowałam do matki, aby jej podziękować, że mnie urodziła.

- A jaki miałam wybór? - powiedziała. - Byłaś tam, więc w jaki inny sposób zamierzałaś wyjść?

Wtedy powiedziałam jej, że wychodzę za mąż.

- Akurat! Nie wierzę.

- Nie, mamo, naprawdę wychodzę za mąż. Poczekaj, masz go na linii.

Wręczyłam Aidanowi telefon. Wyglądał na przestraszonego.

- Co mam powiedzieć?

- Powiedz, że chcesz się ze mną ożenić.

- W porządku. Dzień dobry, pani Walsh. Czy mogę poślubić pani córkę? - Słuchał przez chwilę, a potem oddał mi telefon. - Chce rozmawiać z tobą.

- Tak, mamo?

- Co mu dolega?

- Nic.

- Nic oczywistego, chcesz powiedzieć. Ma jakąś pracę?

- Tak.

- Jest uzależniony?

- Nie.

- No, no, to wyłom w tradycji. Jak się nazywa?

- Aidan Maddox.

- Irlandczyk.

- Nie, Amerykanin pochodzenia irlandzkiego. Z Bostonu.

- Jak John F. Kennedy.

- Jak Kennedy - przyznałam. Dla jej pokolenia Kennedy był równie ważny jak papież.

- No i zobacz, co się z nim stało.

Z rozdrażnieniem powiedziałam do Aidana:

- Moja matka nie pozwoli mi wyjść za ciebie, bo mogą ci odstrzelić głowę, gdy będziesz jechać w kawalkadzie limuzyn z opuszczonymi dachami przez Dallas.

- Chwileczkę! - odezwała się mama. - Niczego takiego nie powiedziałam. Ale to bardzo zaskakujące. A twoja lista... impulsywnych pomysłów jest bardzo długa. Jak to się stało, że nie wspomniałaś o nim, spędzając z nami Boże Narodzenie?

- Wspomniałam. Powiedziałam, że mam chłopaka, który wciąż prosi, żebym za niego wyszła, ale Helen parodiowała Stephen'a Hawkinga jedzącego lody w rożku i nikt mnie nie słuchał. Jak zwykle. Posłuchaj, zadzwoń do Rachel. Poznała Aidana. Poręczy za niego.

Pauza. Rozmyślnie długa pauza.

- Czy Luke go poznał?

- Tak.

- To zapytam o niego Luke'a.

- Zapytaj.

- Czy my naprawdę się pobieramy?

- Jasne.

- Zatem zrobmy to szybko - powiedziałam. - Za trzy miesiące. Licząc od kwietnia?

- Dobrze.

Według nowojorskich reguł randkowania następnym krokiem po etapie „wyłączości” są zaręczyny. Zwykle dzieje się to po trzech miesiącach. W zasadzie z chwilą rozpoczęcia okresu wyłączności kobiety włączają stopery, a gdy tylko

rozlega się sygnał dziewięćdziesiątego dnia, krzyczą: „Już! Czas minął! Gdzie mój pierścionek?”.

Jednak Aidan i ja pobiliśmy wszelkie rekordy. Okres od „wyłączości” do zaręczyn skróciliśmy do dwóch miesięcy, a tylko trzem miesiącom pozwoliliśmy upłynąć między zaręczynami a ślubem. I nawet nie byłam w ciąży.

Ale po otarciu się o śmierć pod morskimi falami byłam pełna takiego zapału i wigoru, że czekanie na cokolwiek wydawało mi się bezsensowne. Ta nagła potrzeba robienia wszystkiego natychmiast minęła po kilku tygodniach, ale wtedy chwyciłam każdy dzień.

- Gdzie to zrobimy? - zapytał Aidan. - W Nowym Jorku? W Dublinie? W Bostonie?

- Ani tu, ani tam - odparłam. - Pojedźmy do Mount Clark. Na zachodnim wybrzeżu Irlandii - wyjaśniłam. - Każdego lata jeździliśmy tam na wakacje. To rodzinne strony mojego ojca. Są prześliczne.

- W porządku. Jest tam jakiś hotel? Zadzwoń. Zatelefonowałam więc do hotelu w Knockavoy i żołądek

ścisnął mi się alarmująco, gdy usłyszałam, że mogą nas przyjąć. Odłożyłam słuchawkę i cofnęłam się.

- Chryste - powiedziałam do Aidana. - Właśnie załatwiłam nasze wesele. Zaczynam zwymiotuję.

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Problem menu postanowiłam zostawić mamie z powodu wielkich wojen brokułowych na weselu Claire. (Impas trwał niemal tydzień: mama mówiła, że brokuły są pretensjonalne i właściwie to nic innego jak „napuszony kalafior”, a Claire wrzeszczała, że jeśli nie może mieć swojego ulubionego warzywa na własnym weselu, to kiedy będzie mogła je zjeść?). Ja zaś rozumiałam, że jedzenie na weselach zawsze jest okropne, więc

po co się kłócić, czy goście będą zniesmaczeni brokułami, czy niejadalnym kalaflorem.

- Działaj, mamó - powiedziałam wspaniałomyślnie. - Menu to twoja działka.

Jednak pola minowe leżą w najbardziej niewinnie wyglądających krajobrazach. Popęłniłam błąd, sugerując, że powinniśmy wybrać wersję wegetariańską, i to ją ruszyło: nie uznawała wegetarianizmu. Upierała się, że to kaprys i że ludzie praktykują go jedynie dlatego, iż rozmyślnie chcą być dziwaczni.

- Dobrze, dobrze, wszystko jedno - oświadczyłam. - Mogą jeść bułki.

O wiele bardziej niepokoiła mnie kwestia druhny. W istocie czułam, że nie poradzę sobie z czterema siostrami kłócącymi się o kolor, fason i pantofle. Jednak jakimś fantastycznym zrzędzeniem losu Helen nie zgodziła się być druhną z powodu przesądu mówiącego, że jeśli jest się druhną więcej niż dwa razy, to nigdy nie będzie się panną młodą.

- Nie w tym rzecz, bym cokolwiek planowała - powiedziała - ale chcę mieć otwarte drzwi.

Mama, usłyszawszy to, zabroniła Rachel wystąpienia w roli druhny, ponieważ mogłoby to przekreślić perspektywę jej małżeństwa z Lukiem. Po wielkim „spotkaniu na szczycie” postanowiono więc, że nie będę miała żadnej druhny, ale trójka dzieci Claire - nawet jej synek, Luka - będzie rzucać kwiatki i trzymać bukiety.

Następnie kwestia sukni... Miałam wizję tego, czego chcę: ciętej ze skosu atlasowej szaty, ale nigdzie nie mogłam takiej znaleźć. W końcu została zaprojektowana i uszyta przez jakąś znajomą Dany; kobietę, która zwykle szyła firanki.

- Już widzę te nagłówki - mówił Aidan. - „Nowojorska panna młoda w sukni nieznanego projektanta”.

No i, oczywiście, lista gości.

- Zgodzisz się, żebym zaprosił Janie? - zapytał Aidan.

To było podchwytliwe pytanie. Naturalnie, że nie chciałam jej obecności, jeśli miała złamane serce i jeśli w chwili, gdy padnie pytanie: „Czy ktoś się sprzeciwia”, miałaby zerwać się na równe nogi i krzyknąć „TO POWINNAM BYĆ JA!”. Ale byłoby miło, gdybyśmy się poznały i zachowały jak należy.

- Jasne. Musisz ją zaprosić.

Tak więc zrobił to, ale dostaliśmy uprzejmy list z podziękowaniem za zaproszenie i wyjaśnieniem, że ponieważ ślub jest w Irlandii, nie będzie mogła w nim uczestniczyć.

Nie wiem, czy poczułam ulgę, czy nie. Po prostu nie wybierała się na nasz ślub i to wszystko.

Ale to nie było wszystko.

Kiedy bowiem weszłam na naszą internetową listę prezentów, zobaczyłam, że ktoś o nazwisku Janie Sorensen kupił nam jakiś prezent. Przez chwilę zastanawiałam się, kim, u licha, jest Janie Sorensen? Potem pomyślałam: to Janie! Janie Aidana. Co nam kupiła? Klikałam jak szalona, by się tego dowiedzieć, a kiedy zobaczyłam, poczułam się tak, jakby ktoś walnął mnie w żołądek. Janie kupiła nam komplet kuchennych noży. Naprawdę ostrych, szpiczastych, niebezpiecznych. Fakt; umieściliśmy je na naszej liście, ale dlaczego nie mogła nam kupić kaszmirowej narzuty albo dwóch puchatych poduszek, które również na niej były? Siedziałam, gapiąc się na ekran monitora. Czy to było ostrzeżenie? Czy może ja widziałam w tym zbyt wiele?

Później ostrożnie opowiedziałam o tym Aidanowi, ale on się roześmiał.

- To typowe dla jej poczucia humoru.

- Zatem to było rozmyślne?

- O tak, prawdopodobnie. Ale nie ma się czego bać. Miało się wydarzyć jeszcze więcej.

Niespełna dwa tygodnie później, w piątkowy wieczór, byłam w mieszkaniu Aidana, przeglądając jadłospisy restauracji oferujących dania na wynos i głośno czytając mu propozycje na wspólną kolację. Ściągał krawat i jednocześnie otwierał pocztę, kiedy coś w jednej z kopert go zaszokowało. Poczułam to, siedząc po drugiej stronie pokoju.

- Co się stało? - zapytałam, patrząc na list w jego dłoni. Odpowiedział po chwili, podnosząc wzrok.

- Janie wychodzi za mąż.

- Co?

- Janie wychodzi za mąż. Dwa miesiące po naszym ślubie. Bacznie obserwowałam jego reakcję. Uśmiechnął się szybko.

- To świetnie, po prostu wspaniale powiedział. Wydawał się szczerze zadowolony.

- Za kogo wychodzi?

Wzruszył ramionami.

- Za jakiegoś Howarda Wicka. Nigdy nie słyszałem o tym facecie.

- Jesteśmy zaproszeni?

- Nie. Biorą ślub na Fidżi. Tylko najbliższa rodzina. Zawsze mówiła, że jeśli wyjdzie za mąż, zrobi to na Fidżi. - Ponownie przeczytał list. - Naprawdę się cieszę.

- Mają listę prezentów? - zapytałam.

- Nie wiem - odparł - ale jeśli tak, to możemy im posłać garrotę, no wiesz, taki hiszpański kołnierz do duszenia skazańców, albo coś podobnego. Może jakąś gustowną wielką maczetę?

Mimo podzielenia się obowiązkami zorganizowanie wesela oznaczało trzy okropnie stresujące miesiące. Wszyscy mówili, że to nasza wina, że nie daliśmy sobie dość czasu, ale podejrzewałam, że gdybyśmy dali sobie nawet rok, stres rozszerzyłby się na cały ten okres, więc mielibyśmy okropnie stresujący rok zamiast tych trzech miesięcy.

Wszystko warte było owego stresu.

Pewnego jasnego, wietrznego, błękitnego poranka, w kościele na wzgórzu Aidan i ja wzięliśmy ślub. Żonkile o jaskra-wozółtych kwiatach kołysały się w rześkiej bryzie. Otaczała nas wiosenna zieleń łąk, a w oddali połyskiwało spienione morze.

Na zdjęciach zrobionych przed kościołem uśmiechają się mężczyźni w lśniących butach i kobiety w pastelowych sukienkach. Wszyscy jesteśmy piękni i bardzo, bardzo szczęśliwi.

Rozdział 26

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Temat: Magnum PI

Anno, dzieje się coś strasznego. Musisz pomóc, ale nie mów nikomu. Oto ta straszna prawda: mam wąsy. Pojawiły się nie wiadomo skąd. To nie może być menopauza, bo mam dopiero dwadzieścia dziewięć lat. To musi być ta cholerna praca. Siedzenie w zimnych, mokrych krzakach zmienia mnie w zwierzę, które porasta mnóstwem sierści, by utrzymać ciepło. W tej chwili mam tylko meszek i wyglądam jak Thomas Magnum, ale to tylko kwestia czasu, zanim będę podobna do jednego z tych facetów z zespołu ZZ Top z brodami do kolan. Lubię swoją pracę. Nie chcę jej rzucać. Co można zrobić w sprawie moich wąsów? Przyślij

mi jakieś produkty. Przyślij wszystko, co masz. Sprawa życia i śmierci. Twoja owłosiona siostra, Helen PS. Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku.

Firma Candy Girrl nie produkowała kosmetyków depila-cyjnych. Jeszcze nie. W jej planach zdominowania świata była to tylko kwestia czasu. Odpowiedziałam na e-mail, sugerując Helen, żeby rozjaśniała meszek, i dodałam, że z wielką niecierpliwością czekam na najnowszy odcinek jej scenariusza.

Do: Aidan_maddox@yahoo.com

Od: Czarodziejka1@yahoo.com,

Temat: ciuchy na poniedziałek

Czerwony, haftowany kaftan z jedwabiu (ta, jak ją nazywałeś, chińska sukienka), ze skróconymi džinsami i lakierowanymi tenisówkami. Włosy mam upięte do góry chińskimi pałeczkami w sprytniej próbie uniknięcia kapelusza. Już szósty dzień go nie noszę. To mój mały, cichy bunt. Zastanawiam się, ile czasu minie, zanim ktoś to zauważy, a wierz mi - zauważą.

Naprawdę chciałabym, żebyś się odezwał.

Kocham Cię,

Twoja Anna

Kiedy weszłam do biura, Franklin omiół mnie szybkim spojrzeniem, zatrzymując je nieco dłużej na włosach. Wiedział, że czegoś brakuje, ale był zbyt zaferowany, by stwierdzić czego. Była to bowiem pora na PPP (Poniedziałkowe Poranne Posiedzenie). Półtorej godziny w piekle byłoby lepsze.

Przygotowując je. Franklin zaganiał swoje „dziewczęta” -pracujące dla firm Candy Girrl, Bergdorf Baby, Bare, Kitty Loves, Katie, EarthSource, Visage i Warpo (marki, która była jeszcze bardziej skrajna niż Candy Girrl - chciałybyście

zobaczyć, co one muszą nosić... żyłam w strachu, że zostanę włączona do ich zespołu).

Dobra robota - pochwalił Tabithę. Nowe serum na noc firmy Bergdorf Baby miało wspaniałą recenzję i, co znacznie ważniejsze, fotografię w niedzielnym wydaniu „New York Ti-mesa”.

- Musimy odzyskać poziom, drogie panie - rzekł do mnie i do Lauryn.
- Tak, ale... - zaczęła Lauryn.
- Znam wszystkie powody - odparł Franklin. - Mówię tylko, że musicie dogonić. Dojść na szczyt.

Lauryn obdarzyła mnie twardym spojrzeniem z ukosa; miała dla mnie plan. Próbowwała zająć cały mój czas swoimi pomysłami, chociaż ja musiałam zacząć gromadzić tytuły i fotosy na strony poświęcone urodzie i odzyskiwać swój poziom. Która z nas miała zwyciężyć?

Weszliśmy do sali posiedzeń. Byłyśmy tu wszystkie. Czternaście firm. Niektóre z nas ścisnęły gazety i magazyny. Były tu szczęściary; te, który zdołały zyskać jakieś miejsca. Nawet ja miałam jedną czy dwie strony. Nie w gazetach, oczywiście. Wyglądało na to, że kiedy mnie nie było, nikomu się nie chciało zadreć wydawców wizytami i spotkaniami. Nie wiedziałam, co naprawdę robiły te osoby „na zastępstwie”. Jednak z powodu długiego procesu wydawniczego tych najlepszych magazynów, niektóre ze spotkań odbytych przeze mnie przed kilkoma miesiącami przyniosły owoce... niczym rośliny, których bulwy sadi się we wrześniu, a zakwitają dopiero wiosną.

Osoby tłoczące się pod ścianą próbowały stać się niewidzialne; niemal czuło się zapach strachu. Nawet ja, ku swemu zdziwieniu, byłam zaniepokojona. Myślałam, że po tym, co się wydarzyło, żaden publiczny opieprz w pracy mnie nie dotknie. Najwyraźniej jednak był to jakiś odruch Pawłowa; obecność w tej sali w poniedziałkowy poranek wyzwalała we mnie strach.

Poniedziałkowe poranki były okropne. Wiedziałam, że są okropne wszędzie i dla wszystkich, ale dla nas były one wyjątkowo okropne, ponieważ nasz sukces lub porażka zależały od tego, co się ukazało w weekendowych dodatkach do gazet. To było takie oczywiste.

Czasami, gdy jakiś redaktor działu urody je spławiał i nie dostawały spodziewanego miejsca na reklamę, niektóre dziewczęta wymiotowały przed tym zebraniem.

Gdy zajmowałyśmy miejsca, Ariella nas ignorowała. Siedziała u szczytu długiego stołu, przerzucając strony luksusowego magazynu. Potem zobaczyłam, co to takiego... Wszystkie zobaczyłyśmy to jednocześnie: najnowsze wydanie miesięcznika „Femme”. Cholera. Jeszcze nie było go w kioskach. Miała egzemplarz sygnalny i żadna z nas nie wiedziała, co w nim jest. Ale zamierzała nam powiedzieć.

- Moje panie! Wchodźcie, podejdźcie bliżej. Spójrzcie, co widzę. Widzę reklamy Clarins. Widzę Clinique. Widzę Lancôme. Widzę nawet ten pieprzony Revlon. Ale nie widzę...

Która? To mogła być każda z nas. Ale która miała być dzisiaj?

- Visage!

Biedna Wendell. Wszystkie spuściłyśmy oczy, zawstydzone, ale jakże zadowolone, że to nie my.

- Zechcesz ze mną o tym porozmawiać, Wendell? - zapytała Ariella. - O najdroższej kampanii, jaką kiedykolwiek robiliśmy? Dokąd właściwie wysłaliśmy te pijawkowate piękności? Mogłabyś mi przypomnieć?

- Na Tahiti. - Głos Wendell był ledwie słyszalny.

- Na Tahiti? Tahiti! Nawet ja nie byłam na tej cholernej Tahiti! I nie mogły nam dać jakiegoś marnego kawałka strony? Co jej zrobiłaś, Wendell? Wyrzygałaś się na nią? Przespałaś się z jej facetem?

- Była gotowa dać nam ćwierć strony, ale ci z Tokio Babe właśnie wprowadzili swój nowy krem pod oczy i jej naczelny tego nie uwzględnił, ponieważ oni reklamują się agresywnie.

- Nie tłumacz się. Podstawowa zasada: jeśli miejsce dostaje ktoś inny, to znaczy, że ty przegrałaś! Jesteś kiepska! Przegrałaś, Wendell, nie dlatego, że nie pracowałaś wystarczająco ciężko, lecz dlatego, że nie sprawiałaś, aby cię wystarczająco polubili. Nie jesteś osobą wystarczająco sympatyczną. Przybrałaś na wadze?

- Nie, ja...

- No cóż, COS jest nie w porządku!

Przykre, ale prawdziwe. Tak wiele w działaniach reklamowych zależało od relacji interpersonalnych. Jeśli redaktor działu urody cię lubił, miałaś większą szansę, że twoja firma wywalczy sobie drogę na szczyt piramidy. Ale niewiele można było zrobić, gdy jakaś wielka firma groziła cofnięciem reklamy za dwadzieścia tysięcy dolarów, jeśli nie zapewni się jej dobrego miejsca ogłoszeniowego.

Po głównym punkcie programu - upokorzeniu Wendell -przeszliśmy do Spraw Innych. Był to punkt, w którym Ariella wystawiała do walki jedną firmę przeciwko drugiej. Jeśli jedna pracowała dobrze, było to okazją do podkreślenia niepowodzeń tej drugiej. Lubiła też napuszczać Franklina na Mary-Jane, koordynatorkę pracy pozostałych siedmiu działów. Potem wszystko się kończyło, aż do następnego tygodnia.

Wychodząc, niektórzy mruzcili:

- Nie było tak źle. Dzisiaj była w porządku. Najlepszą rzeczą w PPP było to, że gdy już się skończyło, cały tydzień mógł być tylko lepszy.

Rozdział 27

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Temat: Wąsy

Rozjaśnianie nie pomaga. Blond, ale wciąż są. Wyglądam jak niemiecki gwiazdor porno. Mama nazywa mnie Gunter-grunter.

Jest wstrząśnięta. Rada?

Twoja owłosiona siostra, Helen

RS. Skąd ona się zna na gwiazdach porno?

* * *

Do: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahooie

Od: Czarodziejka1@yahoo.com

Temat: Wąsy

Spróbuj pianki.

* * *

Do: Aidan_maddox@yahoo.com

Od: Czarodziejka1@yahoo.com

Temat: powrót do zdrowia

Dzisiaj zdjęto mi gips z przedramienia. W ogóle nie wygląda jak moje. Jest mizerne, trochę skurczone i prawie tak owłosione jak ręce Lauryn. Kolano mie-
wa się całkiem dobrze (i nie jest owłosione). Nawet paznokcie mi odrastają. Tyl-
ko ta twarz. Kocham Cię, Twoja dziewczyna, Anna

* * *

Do: Aidan_maddox@yahoo.com

Od: Czarodziejka1@yahoo.com

Temat: mam na imię Anna

Dzisiaj ktoś zostawił na moim biurku plan spotkań

Anonimowych Alkoholików. Anonimowo.

Twoja dziewczyna, Anna

* * *

Do: Aidan_maddox@yahoo.com

Od: Czarodziejka1@yahoo.com

Temat: Nowa fryzura!

Błagałam Sailora o proste strzyżenie, ale powiedział, że uroda wymaga poświęceń, i zrobił szczotkowane do przodu „trendy” kudły. Jedyłą ich zaletą jest to, że zasłaniają moją bliznę.

Jeśli jednak spróbuję je zdmuchnąć, skończy się to katastrofą i będę musiała znowu nosić kapelusze. Oczywiście wszystko odbyło się w wielkiej konspiracji.

Kocham Cię,

Twoja dziewczyna, Anna

Przez cały tydzień pracowałam po dwanaście, trzynaście godzin dziennie, i jakoś tak czas zleciał i zrobił się piątkowy wieczór, ale jeszcze zanim po wejściu do domu odłożyłam klucze, ujrzałam oskarżające błyski diody telefonicznej sekretarki. O rany! Wiadomości! Ile ich było? Z nogami wrośniętymi tam, gdzie

stałam, wychyliłam się połową ciała, aby zobaczyć na wyświetlaczu, ile ich jest. Trzy. Spojrzałam na przyjazny pysk Piesia i powiedziałam:

- Założę się, że wszystkie są od Leona.

Zasypał mnie wiadomościami. Dosłownie zasypał. Miałam w pracy kilka podbramkowych sytuacji, gdy nie ujawniał swego numeru, ale jak dotąd zdołałam uniknąć rozmowy z nim. Będę musiała wkrótce oddzwonić; było tylko kwestią czasu, zanim pojawiłby się osobiście lub, co jeszcze gorsze, nasłał na mnie Danę. Jednak po prostu nie mogłam się na to zdobyć. Jeszcze nie.

Zamiast do telefonu, ruszyłam więc do komputera i... serce mi zabiło, gdy zobaczyłam, że mam dwie nowe wiadomości. Wstrzymałam oddech i czekałam, skamieniała w nadziei. Pierwszy e-mail był jednak od Helen.

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Temat: pianka

Zapach palonego mięsa! Już odrastają, kłujące i... i... podobne do cholernej szczeciny! Zmieniam się w mężczyznę!

Zasugerowałam, żeby spróbowała wosku. Drugi e-mail przysłała mama! Dwa w jednym?! Co się mogło stać?

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Walshowie1@eircom.net

Temat: wąsiki Helen

Co Ty kazałaś Helen zrobić z tą cholerną pianką depilującą? Boże Wszechmogący, ten zapach! Nawet ludzie dzwoniący do drzwi o nim mówią. Ten chłopak, który rozwozi mleko (bezczelny szczeniak), powiedział, a cytuję go dokładnie

nie: „O Jezu, proszę pani, puściła pani bąka?”. Możesz to sobie wyobrazić! Przecież ja nigdy w życiu nie puściłam bąka!

Jeśli chodzi o kobietę z psem, dużo się dzieje. Dziś rano się „zaczaiłam”. Zwykle pojawia się dziesięć po dziewiątej, więc byłam przygotowana. Gdy tylko się pojawiła, udałam, że wystawiam pojemniki na śmieci, co jak sądziłam, było niezłym pretekstem, mimo że pojemniki wystawia się w poniedziałki i jest to zajęcie Twojego ojca.

„Odpowiednia pora” — powiedziałam znacząco, mając na myśli: „Odpowiednia pora, by pani pies obsikiwał furtkę obcych ludzi”. Na co ta kobieta pociąga smycz i mówi: „Pospiesz się, Zoe”. No i już wszystko wiemy! Co za imię dla psa! Potem stało się coś strasznego: ta kobieta obrzuciła mnie spojrzeniem. Nasze oczy się spotkały... a jak wiesz, Anno, ja nie miewam urojeń, ale... zrozumiałam, że jest zła. Twoja kochająca Mama

P.S. Za dwa tygodnie ja i Twój ojciec wybieramy się na czternaście dni do Algarve. Będzie przyjemnie. Oczywiście nie tak miło jak w weneckim Cipriani, ale przyjemnie. Podczas naszej nieobecności Helen będzie mieszkać z „Mag-gie” i „Garvem”, jak wciąż uparcie ich nazywasz. To oznacza, że trudno będzie mieć na oku tę kobietę, ale zważywszy, jak obrzydliwie na mnie spojrzała, prawdopodobnie nic się złego nie stanie.

Po przeciwnej stronie pokoju błyskająca dioda telefonicznej sekretarki nadal mnie oskarżała. *Daj mi spokój, daj mi spokój*. Dlaczego mnie tak dręczysz? Chciałabym usunąć te cholerne wiadomości bez czytania ich, ale telefoniczna sekretarka by mi na to nie pozwoliła, więc nacisnęłam klawisz „play”, a potem poszłam do łazienki, słysząc, jak odtwarza nagraną wiadomość.

- Anno, tu Leon. Wiem, że to dla ciebie będzie trudne, ale dla mnie również nie będzie to łatwe. Muszę się z tobą zobaczyć... - Aby zagłuszyć jego głos, puściłam wodę z siłą Niaga-ry, tak że przemoczyła mi sukienkę. Odsunęłam się, policzyłam do dwudziestu trzech, potem ostrożnie zakręciłam kran, ale słyszałam, jak dalej mówi: - ...mój ból także... - więc szybkim skretem nadgarstka znów wypuściłam z kranu ulewę, policzyłam do siedmiu, przykręciłam ponownie, lecz usłyszałam: -...możemy pomóc sobie nawzajem... - więc jak najszybciej uwolniłam potop.

Trochę przypominało to wyłapywanie sygnałów radiowych. Z Radia Leon.

Gdy wreszcie skończył to, co miał do powiedzenia, na palcach wyszłam z łazienki i nacisnęłam klawisz „delete”.

- Wszystkie wiadomości zostały skasowane - zameldowała automatyczna sekretarka.

- Dziękuję - odparłam.

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Temat: Moje wąsy

Wydepilowałam woskiem. Jeszcze gorzej! Katastrofa! Górna warga, gładka i dziwna, sprawia, że reszta twarzy wydaje się superowłosiona. Wyglądam jak ci okropni faceci, którzy mają brody, ale nie noszą wąsów: afrykańscy farmerzy albo pakistańscy imamowie.

RS. Nie chcę już żadnych rad!

Na sobotni wieczór Rachel „zaprosiła” mnie do siebie i Luke'a, co było ofertą, której nie mogłam odrzucić. Jeśli nie chciałam usłyszeć wykładu o najlepszych intencjach.

Dość przyjemnie spędzałam tam czas, dopóki, po kilku godzinach, nie ogarnęła mnie panika, która zaczynała mi się wydawać przerażająco znajoma: musiałam wyjść.

Rachel pozwoliła mi wyjść dopiero po dokładnym wypyтaniu mnie o plany na niedzielę, ale wszystko miałam zaplanowane: Jacqui załatwiła dla siebie i dla mnie wizytę w jednodniowym spa zwanym Cocoon. Powiedziała, że to mi dobrze zrobi.

Rzeczywiście, to było dobre. Poza aromaterapeutką, która powiedziała, że jestem najbardziej spiętą osobą, z jaką kiedykolwiek pracowała, i pedicurzystką narzekającą, że nie będzie w stanie pomalować mi paznokci u nóg, jeśli nie przestanę kręcić stopą.

A później nadeszła niedzielna noc; przeżyłam kolejny weekend. Jednak zamiast uczucia ulgi, byłam ogarnięta straszną rozpaczą. Coś musiało się wkrótce wydarzyć.

Rozdział 28

I wydarzyło się. Wreszcie pokazał się Aidan.

Gdy dwa i pół tygodnia po moim powrocie z Irlandii siedziałam w pracy przy biurku, mozoląc się nad kwartalnym arkuszem kalkulacyjnym, po prostu wszedł. Radość, która ogarnęła mnie na jego widok, otuliła mnie niczym ciepło południowego słońca. Byłam wzruszona.

- W samą porę! - zawołałam.

Usiadł na rogu biurka i uśmiechnął się szeroko. Wydawał się jednocześnie zachwycony i onieśmielony.

- Cieszysz się, że mnie widzisz? - zapytał.

- Boże, Aidan, jestem taka szczęśliwa! Nie mogę w to uwierzyć! Bałam się, że cię już nigdy nie zobaczę! - Miał na sobie te same rzeczy co w dniu naszego pierwszego spotkania. - Ale jak ci się to udało?

- A jak myślisz? Po prostu tu wszedłem.

- Ależ, Aidan... - właśnie mi się przypomniało -...ty przecież nie żyjesz.

Ocknęłam się gwałtownie. Byłam na kanapie. Światła z ulicy oświetlały pokój purpurowym blaskiem. Z zewnątrz dochodził jakiś harmider ludzkich głosów i basowe dudnienie jakiejś limuzyny, które pulsowało pode mną, dopóki po zmianie świateł nie ruszyła dalej.

Zamknęłam oczy i wróciłam prosto do tego samego snu.

Aidan już się nie uśmiechał, był zdenerwowany i zdezorientowany.

- Nikt ci nie powiedział, że nie żyjesz? - zapytałam.

- Nie.

- Właśnie tego się bałam. Więc gdzie byłeś?

- Kręciłem się tu i ówdzie. Widziałem cię w Irlandii...

- Naprawdę? Dlaczego nic nie powiedziałaś?

- Byłaś z rodziną, nie chciałem się wtrącać.

- Ale teraz ty jesteś moją rodziną.

Następnym razem obudziłam się o piątej rano. Za żaluzjami cytrusowym blaskiem jaśniał już dzień, ale na ulicy jeszcze panowała cisza. Zapragnęłam porozmawiać z Rachel. Była jedyną osobą, która mogła mi pomóc.

- Przepraszam, że cię budzę.

- Nie spałam. - Prawdopodobnie kłamała, ale być może mówiła prawdę. Czasami wstaje o świcie, żeby przed pracą iść na spotkanie AN (Anonimowych Narcomanów).

- Dobrze się czujesz? - Z całej siły starała się powstrzymać ziewnięcie.

- Czy możesz się ze mną spotkać?

- Oczywiście. Teraz? Mam przyjść?

- Nie. - Desperacko pragnęłam wyjść z domu.

- Może w Jenni? - Była to jakaś kawiarnia otwarta całą dobę. Rachel, z powodu swojej sytuacji, zna mnóstwo całodobowych kawiarni. - Spotkajmy się tam za pół godziny.

Włożyłam na siebie jakieś ciuchy i wybiegłam z mieszkania; nie mogłam w nim wytrzymać ani chwili dłużej.

Z okna taksówki widziałam go, jak idzie ulicą, ale tym razem wiedziałam, że to nie on.

Dotarłam do Jenni o wiele za wcześnie, zamówiłam kawę ze śmietanką i próbowałam podsłuchiwać gwałtowną rozmowę, która toczyła się między czterema mizernymi, przystojnymi mężczyznami odzianymi w czerń. Niestety, złowiłam tylko pojedyncze słowa: „...rośnie”, „...daj spokój”, „...odrobina sosu teriyaki, koleś”.

Potem przyszła Rachel.

- Niedawno tu byłam - powiedziała, spoglądając nerwowo na tych chłopców. - Powrót do wspomnień. - Usiadła i zamówiła zieloną herbatę. - Dobrze się czujesz, Anno? Czy coś się stało?

- Znów przyśnił mi się Aidan.

- To normalne, to jedna z tych rzeczy, które się zdarzają. Jak to, że wszędzie go widzisz. No więc, co ci się śniło?

- Śniło mi się, że on nie żyje, że umarł. Pauza.

- Bo on nie żyje, Anno.

- Wiem. Kolejna pauza.

- Nie jesteś sobą, Anno. Naprawdę nie postępujesz tak jak zawsze. Bardzo mi przykro, ale udawanie, że wszystko jest takie jak dawniej, nie zmieni tego, co się stało.

- Ale ja nie chcę, żeby umarł. Oczy Rachel wypełniły się łzami.

- Oczywiście, że nie chcesz! Był twoim mężem, mężczyzną...

- Rachel, proszę cię, nie mów „był”. Nie cierpię tego czasu przeszłego. To nie sobą, lecz nim się przejęłam. Tak się boję, że się wkurzy, kiedy się dowie, co się wydarzyło. Będzie taki wściekły i przerażony, a ja nie mogę mu pomóc. Rachel - powiedziałam i nagle nie zdołałam tego powstrzymać - Aidan nie zniesie tego, że nie żyje.

Rozdział 29

Rachel wydawała się skonsternowana. Jakby mnie nie słuchała. Uświadomiłam sobie, że jest w szoku. Czy było ze mną tak źle?

- Mieliśmy tak wiele planów - powiedziałam. - Zamierzaliśmy dożyć osiemdziesiątki. Martwił się o mnie, chciał się mną opiekować, a jeśli nie może, to zwariuje. Rachel, przecież był taki silny i zdrowy, prawie nigdy nie chorował. Jak on wytrzyma to, że nie żyje?

- No... cóż... jak by ci to... - To się nigdy dotychczas nie zdarzyło. Rachel zawsze miała jakąś teorię na temat dolegliwości emocjonalnych. - Anno, to jest dla mnie za trudne. Potrzebujesz profesjonalnej pomocy; kogoś, kto się w tym specjalizuje. Jakiegoś specjalisty od żalu. Przyniosłam ci książkę o syndromie żałoby, która mogłaby ci pomóc, ale naprawdę musisz udać się do jakiegoś specjalisty...

- Rachel, jak po prostu chcę z nim porozmawiać. To wszystko. Nie potrafię znieść myśli, że jest w jakimś okropnym miejscu i nie może się ze mną skontaktować. Chodzi mi o to, gdzie on jest? Dokąd poszedł?

Jej oczy robiły się coraz większe, a na twarzy malował się coraz poważniejszy niepokój.

- Anno, naprawdę sędzę...

Mężczyźni w czerni wychodzili i gdy mijali nasz stół, jeden z nich dostrzegł Rachel i szybko zareagował.

Miał mizerną twarz, skórę znaczoną starymi bliznami trądzikowymi, udreżone brązowe oczy i długie czarne włosy. Nie wydawałby się obcy w składzie Red Hot Chili Peppers.

- Cześć! - powiedział. - Znam cię? Spotkania u Świętego Marka? Rachel, prawda? Jestem Angelo. Co porabiasz? Wciąż rozdarta?

- Nie - ucięła Rachel z tak silnym niezadowoleniem, że prawie można je było zobaczyć, jak przecina powietrze.

- I co, wyszłaś za tego faceta?

- Tak - odparła jeszcze ostrzej, ale nie mogła się oprzeć wyciągnięciu w jego stronę ręki, żeby podziwiał wspaniałą pierścionek.

- O rany! Mężatka. No cóż, gratulacje. Szczęściarz z niego. Potem spojrzał na mnie. Z wyrazem głębokiego współczucia.

- Och, dziewczynko - powiedział. - To okropne, co?

- Podśluchiwałaś naszą rozmowę? - Ostrość w głosie Rachel przybrała na sile.

- Nie. Ale to coś... - wzruszył ramionami -...oczywistego. - Do mnie zaś rzucił: - Po prostu weź jedną działkę dziennie.

- Ona nie jest uzależniona. To moja siostra.

- To nie jest żaden powód, by nie wzięła jednej działki dziennie.

Poszłam do pracy, myśląc: Aidan nie żyje, Aidan umarł. Faktycznie aż do tej chwili sobie tego nie uświadamiałam. To znaczy: wiedziałam, że odszedł, ale nie wierzyłam, że na zawsze. Przeszłam przez korytarz niczym duch, a kiedy Franklin zawołał: „Dzień dobry, Anno, jak się czujesz?“, poczułam, że odpowiadam:

„Dobrze, poza tym, że mój mąż umarł, a byliśmy małżeństwem niecały rok. Tak, wiem, że wszyscy o tym wiecie, ale ja właśnie to rozumiałam”.

Wyszliśmy na kolację, tylko on i ja, a najgorsze w tym wszystkim było to, że wspólne wyjścia na kolacje były czymś, co robiliśmy rzadko. Restauracje były na towarzyskie wieczory z innymi, ale kiedy chodziło tylko o mnie i o niego, woleliśmy tulić się na kanapie i dzwonić po dania na wynos.

Gdybyśmy tamtego wieczoru zostali w domu, Aidan by żył. I rzeczywiście omal nie zostaliśmy. Aidan zamówił stół w Tamarind, ale prosiłam, by odwołał tę rezerwację, ponieważ dwa dni wcześniej byliśmy na kolacji z okazji Walentynek, ale wydawało się, że to dla niego ważne, więc się zgodziłam.

Czekałam więc przed domem, żeby mnie zabrał, gdy zaalarmowana trąbieniem klaksonów i wykrzykiwanymi przekleństwami zobaczyłam żółtą taksówkę, przebijającą się przez trzypasmowy korek i zmierzającą w moim kierunku. No i oczywiście był tam Aidan, robiący wystraszoną minę i migający ku mnie siedmioma palcami. Siedem na dziesięć. Uwaga, wariat! Nasza własna skala oceny taksówkarzy-wariatów.

- Siedem? - mruknęłam. - Nieźle.

Roześmiał się, czym sprawił mi przyjemność. Przez ostatnie dwa czy trzy dni był w kiepskim nastroju; kilka dni wcześniej miał jakąś rozmowę służbową, która popsuła mu humor.

Taksówka zahamowała, zatrzymując się obok mnie. Wskoczyłam do środka i zanim zatrzęsnęły się moje drzwiczki, byliśmy z powrotem w sznurze samochodów. Upadłam na Aidana, a on zdążył mnie pocałować, zanim rzuciło mnie w przeciwną stronę.

- Siedem na dziesięć? - powiedziałam. - Takiego jeszcze nie mieliśmy. Przyznaj.

Potrząsną głową z podziwem i odparł szeptem:

- Jest naprawdę niezły, Anno. Widział księżną Dianę w swoich lokalnych delikatesach, kupującą litrową coca-colę i dwanaście pączków.

- Jakich?

- Mieszanych. A w zeszłym roku zobaczył twarz Martina Luthera Kinga w jakimś pomidorze. Brał od swoich sąsiadów po pięć dolarów za rzut okiem, do czasu, aż ten pomidor zgnił.

Bez ostrzeżenia przejechaliśmy zygzakiem przez Pięćdziesiątą Trzecią i z wielką siłą rzuciło nas na prawe drzwiczki. Chwyciłam Aidana.

- No i oczywiście - dodał Aidan - istnieje pewna zaleta jazdy jego taksówką: obejmowanie się na ostrych zakrętach.

Dziwnym trafem wypadek nie nastąpił z winy naszego „taksówkarza z siódemką”. W istocie okazało się, że nie było niczyjej winy. Przebijając się przez gęsty w godzinach popołudniowego szczytu sznur samochodów, Aidan i ja przeszliśmy do prozaicznej rozmowy o stanie naszego mieszkania i o tym, jaką świnia był nasz gospodarz. Byliśmy kompletnie nieświadomi wydarzeń rozgrywających się na skrzyżowaniu: kobiety niespodziewanie przebiegającej przez jezdnię, ormiańskiego taksówkarza gwałtownie skręcającego, żeby uniknąć uderzenia w tę kobietę, i jego przedniego koła trafiającego w plamę oleju z samochodu, który rozbił się wcześniej i rozrzucił swoje bebechy na drodze. W tej błogiej nieświadomości mówiłam właśnie: „Moglibyśmy pomalować te...”, gdy przeszliśmy w inny wymiar. Z brutalną siłą inna taksówka wryła się w bok naszej, a jej przedni zderzak próbował się wbić w nasze tylne siedzenie... Było to coś, co zdarza się tylko w najgorszym śnie. W głowie mi trzeszczało i zgrzytało, a potem zakreśliło nami na drodze, jakbyśmy byli na jakiejś diabelskiej karuzeli.

Szok był i nadal jest nie do opisanego, a ta siła złamała Aidanowi miednicę i sześć żeber oraz śmiertelnie uszkodziła wątrobę, nerki, trzustkę i śledzionę. Wi-

działam to wszystko w zwolnionym tempie: roztrzaskane szkło, spadające niczym srebrzysty deszcz, rozrywający się metal, gwałtowne wytryśnięcie krwi z ust Aidana i ten wyraz zdumienia w jego oczach... Nie wiedziałam, że umiera, nie wiedziałam, że za dwadzieścia minut nie będzie żył; po prostu myślałam, że powinniśmy być wściekli; że jakiś palant, jadąc o wiele za szybko, walnął w bok naszej taksówki.

Na ulicy ludzie krzyczeli, ktoś wołał: „Jezu, Jezu Chryste!”. Obok mnie kręciły się czyjeś nogi i stopy. Zauważyłam parę czerwonych botków na wysokich obcasach. Czerwone botki są pewną deklaracją, pomyślałam mgliście. Wciąż pamiętam je tak wyraźnie, że mogłabym je bezbłędnie wskazać pośród wielu podobnych. Niektóre szczegóły zapisały się we mnie na zawsze.

Naprawdę byłam szczęściarą, mówili później wszyscy. „Szczęściarą”, bo Aidan wziął na siebie całe uderzenie. Zanim pęd tego drugiego został wyhamowany przez ciało Aidana, zostało mu tyle siły, by złamać mi prawą rękę i przemieścić kolano. Oczywiście były też drugorzędne obrażenia: metal z dachu wygiął się, rozerwał i wyciął głęboką bruzdę w mojej twarzy, a rozrywająca się blacha drzwiczek zerwała mi dwa paznokcie. Ale ja nie zginęłam.

Nasz kierowca nie miał nawet zdraśnięcia. Kiedy to niekończące się wirowanie wreszcie ustało, wysiadł z taksówki i spojrział na nas przez dziurę, gdzie zwykle było jego okno, a potem się cofnął i pochylił. Zastanawiałam się, co robi. Sprawdza opony? Potem, z odgłosów, jakie wydawał, zrozumiałam, że wymiotuje. „Karetka jest w drodze, kolego”, powiedział jakiś męski głos, a ja nie wiedziałam, czy naprawdę to słyszę, czy to tylko moja głowa. Od jakiegoś czasu wszystko było dziwnie spokojne.

Aidan i ja patrzyliśmy na siebie z wyrazem niedowierzania.

- Dobrze się czujesz, maleńka? - zapytał.

- Tak, a ty?

- Też - odparł, ale jego głos był dziwny, jakiś bulgoczący. Na koszuli i krawacie miał lepkie, ciemnoczerwone plamy krwi, co mnie przygnębiło, bo to był taki ładny krawat, jeden z tych, które Aidan lubił najbardziej.

- Nie przejmuj się tym krawatem - powiedziałam. - Kupimy drugi.

- Czy coś cię boli? - zapytał.

- Nie. - W tym momencie nic nie czułam. Dobry stary szok, wspaniałą opiekun, przeprowadza nas przez to, co jest nie do wytrzymania. - A ciebie?

- Trochę. - Właśnie wtedy zrozumiałam, że boli go bardzo.

Gdzieś z daleka usłyszałam syreny, były coraz bliższe i coraz głośniejsze, potem zawyły tuż obok nas i gwałtownie zamilkły. *To dla nas. Nigdy nie sądziłam, że coś takiego nam się przydarzy.*

Aidana wyjęto ze zmiażdżonej taksówki, oboje zostaliśmy umieszczeni w karetce i wszystko wyraźnie przyspieszyło. W szpitalu położono nas na osobnych wózkach i wieziono przez korytarze, a sądząc ze sposobu, w jaki wszyscy zwracali na nas uwagę, byliśmy tu najważniejszymi ludźmi.

Udzieliłam szczegółowych informacji dotyczących naszych ubezpieczeń, z krystalicznie fotograficzną pamięcią podając nawet numery polis. Nie miałam pojęcia, że je znam. Proszono mnie, żebym coś podpisała, ale nie mogłam tego zrobić z powodu złamania prawej ręki, więc powiedziano, że wszystko w porządku.

- Kim pani jest dla tego pacjenta? - zapytano mnie. - Żoną? Przyjaciółką?

- Jedną i drugą - odparł Aidan bulgoczącym głosem.

Kiedy szybko wieźli go na salę operacyjną, wciąż nie wiedziałam, że jest umierający. Wiedziałam, że jest ranny, ale nie miałam pojęcia, że nie da się go uratować.

- Zróbcie wszystko, żeby był okay - powiedziałam chirurgowi, niskiemu, smagłemu mężczyźnie.

- Przykro mi - powiedział - To się prawdopodobnie nie uda.

Usta otworzyły mi się ze zdziwienia. Słucham?! Pół godziny temu byliśmy w drodze na kolację. A teraz ten opalony facet mówi, że „to się prawdopodobnie nie uda”!

I nie udało się. Aidan zmarł bardzo szybko. Zaledwie po dziesięciu minutach.

Wtedy dopadł mnie ból ręki, ramienia, twarzy i kolana. Byłam we mgle takiego cierpienia, że ledwie pamiętałam, jak się nazywam, a próba zrozumienia, że Aidan umarł, przypominała próbę wyobrażenia sobie jakiegoś kompletnie nieznanego koloru. Pokazali się Rachel z Lukiem; widocznie ktoś do nich zadzwonił. Kiedy jednak ją zobaczyłam, pomyślałam, że oni także ulegli jakiemuś wypadkowi - bo z jakiego innego powodu mieliby się znaleźć w szpitalu? - i byłam zdezorientowana tym zbiegiem okoliczności. Chyba wtedy podano mi jakieś środki, prawdopodobnie morfinę, i dopiero w tym momencie pomyślałam, by zapytać o tego drugiego kierowcę; tego, który w nas walnął.

Nazywał się Elin. Miał złamane obie ręce, ale nie odniósł innych obrażeń. Wszyscy stanowczo twierdzili, że to nie była jego wina. Wielu świadków uparcie utrzymywało, że „nie miał wyboru” oprócz gwałtownego skrętu, aby uniknąć uderzenia tej kobiety, i że to był zwyczajny pech, iż ta plama oleju została akurat na tym kawałku jezdni.

W szpitalu spędziłam dwa dni i jedyne, co pamiętam, to nieprzerwany strumień ludzi. Rodzice Aidana i Kevin przylecieli z Bostonu. Mama, tato, Helen i Maggie - z Irlandii. Przyszli też Dana i Leon (który płakał tak bardzo, że też dostał jakieś środki) oraz Jacqui, Rachel, Luke, Ornesto, Teenie, Franklin, Marty, koledzy Aidana z pracy i dwóch policjantów, którzy wzięli ode mnie jakieś oświadczenie. Nawet Elin, ten kierowca, też przyszedł. Trzęsąc się i płacząc, z obydwoma rękami w gipsie, usiadł obok mojego łóżka i przeproszał, przeproszał, przeproszał... Nie było żadnego sposobu, abym mogła znienawidzić tego

człowieka; do końca życia będą nękać go koszmary i prawdopodobnie już nigdy nie usiądzie za kierownicą. Ale litość nad Elinem pozostawiła mnie w pewnej rozterce: kogo w takim razie mogłam winić o śmierć Aidana?

Potem znaleźliśmy się w samolocie do Bostonu, a potem na pogrzebie, który przypominał nasze wesele, tyle że w wersji z koszmarnego snu. Droga przez kościelną nawę na inwalidzkim wózku i oglądanie dawno niewidzianych twarzy wydawały się snem, w którym całkiem odmienni ludzie jakoś niewytłumaczalnie zgromadzili się razem.

Potem znów byłam w samolocie, następnie w domu w Irlandii spałam w pokoju dziennym, aż wreszcie wróciłam do Nowego Jorku i dopiero teraz stawiałam czoło temu, co się naprawdę wydarzyło.



CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział 1

Dorothea K. Lincoln pisze:

Gdy mniej więcej tydzień po śmierci mojego męża siedziałam w pokoju, przeglądając „National Enquirer” - tylko na czytaniu mogłam się skupić - przez otwarte okno wpadł motyl. Nieskazitelnie piękny, w misterne czerwono-błękitno-białe wzory. Przyglądałam się w zachwycie, jak fruwa po pokoju, przysiadając na wieży stereo, na donicach z kwiatami (jakby przypominając mi, żeby je podlać) i na dawnym fotelu męża. Potem przyfrunął do egzemplarza „National Enquirer” i tak ciężko na nim usiadł, że wydawało się, iż mówi „Niu, niu, Dorothea!”. (Ciekawe, mój zmarły mąż nie zgadzał się na prenumeratę tego czasopisma).

W telewizji pokazywano właśnie wiadomości ze świata, ale motyl zawisł nad pilotem. Wydawało się, że coś do mnie mówi. Czyżby chciał, żebym zmieniła kanał? „Cóż, w porządku, kochanie, powiedziałam, spróbuję”.

Przerzucałam kolejne kanały, a kiedy doszłam do Fox Sports, motyl przysiadł na mej dłoni, jakby łagodnie mówiąc, żebym się zatrzymała. Potem usiadł mi na ramieniu i przez pół godziny oglądał US Open, a pokój wypełnił się głębokim spokojem. Kiedy Ernie Els doszedł do trzech uderzeń poniżej normy, motyl wzbił się w górę, pofrunął do okna, na chwilę zawisł w bezruchu, jakby się żegnał, i odleciał w rozległą błękitną dal. Nie miałam wątpliwości, że to była wizyta złożona mi przez mojego zmarłego męża. Mówił mi, że wciąż jest ze mną i że zawsze ze mną będzie.. Kilka innych owdowiałych osób opowiadało o podobnych odwiedzinach.

Odłożyłam książkę, wyprostowałam się, rozejrzałam po swoim pokoju i pomyślałam: „Gdzie jest mój motyl?”.

Minęło już niemal pięć tygodni od mojej porannej rozmowy z Rachel w całodobowej kawiarni i niewiele się zmieniło. Wciąż pracowałam długo i nieefektywnie, wciąż sypiałam na kanapie, a Aidana wciąż nie było.

Wpadłam w codzienną rutynę: budziłam się o świcie, dzwoniłam do Aidana na jego komórkę, szłam do pracy na przynajmniej dziesięć godzin, znów telefonowałam do Aidana, wymyślając rozbudowane opowieści, w których on wcale nie umarł, kilka godzin płakałam, potem zasypiałam, budziłam się i robiłam to wszystko od nowa.

Płacz przynosi wielkie ukojenie, ale trudno ustalić pory na łzy, bo twarz wymaga dużo czasu na powrót do normalnego wyglądu. Łzy poranne są niebezpieczne, bo okropnie wyglądam w pracy. Z tego samego powodu nie można płakać w porze lunchu. Najlepsze były wieczory. Nie mogłam się ich doczekać.

Pokonywałam kolejny dzień i jedynym, co trzymało mnie przy życiu, była nadzieja, że jutro będzie łatwiej. Ale nie było. Każdy dzień był dokładnie taki sam. Okropny, niewiarygodny. Jakbym przez niewłaściwe drzwi mojego życia wchodziła do jakiegoś mieszkania, gdzie wszystko jest identyczne, poza jedną wielką różnicą.

Miałam nadzieję, że za sprawą powrotu do Nowego Jorku i codzienności, takiej jak praca i przyjaciele, koszmar zniknie. Ale nie zniknął. Praca i przyjaciele stali się jego częścią.

Tego ranka, jak każdego, obudziłam się strasznie wcześnie. Jak zawsze przez ułamek sekundy zastanawiałam się, co takiego strasznego się zdarzyło. Potem sobie przypominałam.

Położyłam się znowu, z tęym, uporczywym bólem w kościach, o którym pomyślałam, że właśnie tak można odczuwać reumatyzm albo artretyzm. Gdy te bóle pojawiły się pierwszy raz, myślałam, że chyba złapałam jakiś wirus albo że są to uboczne skutki wypadku. Lekarz jednak powiedział, że to, co czuję, jest „fizycznym bólem żałoby”, że to „normalne”. Był to dla mnie pewien szok. Zdawałam sobie sprawę, że trzeba się spodziewać bólu emocjonalnego, ale ból fizyczny był dla mnie czymś nowym.

Wyglądałam również okropnie: paznokcie wciąż mi się rozdwajały, włosy były matowe i połamane, i mimo dostępu do wszelkich kosmetyków peelingujących i nawilżających, jakich można zapragnąć, skóra łuszczyła mi się drobnymi szarymi strzępkami.

Łyknęłam dwa prochy przeciwbólowe i włączyłam telewizor, ale nie mogąc znaleźć niczego, co by przyciągnęło moją uwagę, przerzucałam *Nigdy nie wróćę*. Wspaniały tytuł, pomyślałam. Wesolutki. W sam raz na poprawienie nastroju osobie właśnie owdowiałej.

Była to jedna z tych licznych książek przychodzących pocztą od Claire z Londynu, które Ernesto zostawia mi przed drzwiami albo osobiście wręczają mi je Rachel, Teenie, Marty, Neli, nawet przyjaciółka Neli, i choć z trudem mogłam się skoncentrować na tyle, żeby przeczytać chociaż jeden akapit, zauważyłam, że motyw motyla pojawia się często. Jeśli jednak o mnie chodzi, nie widziałam żadnych motyli.

Dziwnym trafem nie przepadałam za motylami. Trudno było mi się do tego przyznawać, bo wszyscy lubią motyle, więc antypatia do nich przypomina niechęć do delfinów lub truskawek. Dla mnie jednak motyle były nieco podstępne; przecież wszystkie były ćmami w haftowanych zakieciakach. Ćmy zaś, owszem, były odrażające, a ich skrzydła wydawały niemły, szeleszczący odgłos, ale przynajmniej były szczerze; były brązowe, nudne i głupie (żeby tak bez wahania lecieć w płomienie!).

Ogólnie rzecz biorąc, niewiele przemawiało na ich korzyść, ale przynajmniej nie udawały, że są kimś innym.

A co z tą kobietą i jej kochającym, władcym mężem? Faktycznie: niu, niu... Nieźle jej zalazł za skórę. I jak mogłabym uwierzyć kobiecie, która mówi, że coś jest „nieskazitelnie” piękne?

Jednak od chwili, gdy zaczęłam czytać te książki, wszędzie szukałam motyli, gołębi albo dziwnych kotów, których wcześniej nie było. Rozpaczliwie pragnęłam jakiegoś znaku, że Aidan wciąż jest ze mną, ale jak dotąd niczego nie widziałam.

Ludzie mówią, że tym, czego nie można znieść, jest nieodwracalność śmierci. Mnie zaś najbardziej dręczyło to, że nie wiedziałam, dokąd Aidan poszedł. Nie miałam bowiem wątpliwości, że gdzieś musi być.

Wszystkie jego przekonania, myśli, refleksje, wspomnienia, nadzieje, uczucia; to wszystko, co było wyłącznie jego; to wszystko, co czyniło go niepowtarzalnym człowiekiem, nie mogło po prostu zniknąć.

Zrozumiałam, że skremowane ciało nie zawiera już jego esencji, ale jego osobowość, jego dusza, czy jakkolwiek chcecie ją nazwać - ona przecież nie mogła się po prostu rozwiać.

Było w nim zbyt wiele, aby po prostu zniknąć: to, że nie lubił *Buszującego w zbożu*, choć całemu światu książka się podobała; ten trochę śmieszny sposób chodzenia, gdyż jedną nogę miał nieco dłuższą do drugiej; to, że śpiewał przy goleniu jak smurfy... Był taki żywotny i pełen... tak, pełen życia - że gdzieś musiał być, problemem było tylko jego znalezienie.

Wciąż widziałam go na ulicy, ale teraz pogodziłam się z tym, że to nie on. Nadal czytałam jego horoskop. Nadal rozmawiałam z nim w myślach. Nadal wysyłałam do niego e-maile i dzwoniłam na jego komórkę, ale rozumiałam, że się nie odezwie. Czasami jednak zapominałam, że umarł. Faktycznie tylko na kilka chwil; zwykle, gdy wieczorami wracałam z pracy i nagle łapałam się na tym, że czekam, by pojawił się w drzwiach, albo gdy wydarzyło się coś zabawnego i myślałam: muszę to opowiedzieć Aidanowi. A potem ogarniało mnie przerażenie - oblewałam się potem i czarne plamki krążyły mi przed oczami - lecz to mijało.

Daleki od przyziemności, od życia, odszedł do jakiegoś miejsca, gdzie nigdy nie zdołam go odnaleźć.

Aż do tej chwili zawsze myślałam, że najgorszą rzeczą, jaka może nam się zdarzyć, jest gwałtowne zniknięcie kogoś, kogo kochamy.

Jednak to było gorsze. Gdyby został uwięziony lub uprowadzony, lub nawet gdyby zwiął, miałabym nadzieje, że kiedyś wróci.

Czułam też trudne do zniesienia brzemie winy. Jego życie zostało przerwane tak brutalnie i tak przedwcześnie, podczas gdy ja wciąż tu byłam, żywa i zdrowa;

pracowałam i miałam wszystko, by się tym cieszyć. Ciało Aidana przejęło całe uderzenie tej katastrofy, tak iż czułam, że on umarł, abym ja żyła, i to było najstraszniejsze uczucie. Jakbym to ja pozbawiła go reszty życia. I naprawdę uważałam też, że byłoby lepiej, gdybym to ja umarła, bo było mi za bardzo wstyd przeżywać swoje życie, skoro on nie żył.

Fantazjowałam, że wciąż żyje. Ze gdzieś, w jakimś równoległym wszechświecie, nie umarł... Ze tamtego dnia ta druga taksówka w nas nie uderzyła, że nasze wspólne życie toczy się dalej gładko, że błogo przeżywamy razem przeznaczone nam cztery dziesięciolecia lub więcej, nie wiedząc czego szczęśliwie uniknęliśmy, na szczęście nieświadomi całego bólu, jaki został nam oszczędzony. W tych fantazjach wchodziłam w niewiarygodne szczegóły - w co byłam ubrana, o której szliśmy do pracy, co jedliśmy na lunch - i w nocy, gdy nie mogłam spać, właśnie owe fantazje dotrzymywały mi towarzystwa.

Lecz co z nim? Jak on się czuł? Nienawidziłam myśli, że przez to wszystko, przez co przechodził, musiał przejść sam, i wiedziałam, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by się ze mną skontaktować. Byliśmy jak papużki-nierozłączki, dzwoniliśmy i e-mailowaliśmy do siebie dziesięć razy dziennie, każdą sekundę wolnego czasu spędzaliśmy razem, więc wiedziałam, że gdziekolwiek teraz jest, ta rozłąka również dla niego będzie straszna. Oddałabym swoje życie, żeby wiedzieć, że z nim wszystko w porządku. *Gdzie jesteś?*

Na pogrzebie ksiądz plótł jakieś bzdury, że Aidan odszedł do „lepszego świata”. Kompletne bzdety. Takie bzdety, że wtedy chciałam to wykrzyczeć, ale byłam zbyt zabandażowana, wyciszona środkami uspokajającymi i otoczona przez członków rodziny, by móc to zrobić.

Przed Aidanem nie znałam śmierci. Jedynymi znanymi mi ludźmi, którzy zmarli, byli moi dziadkowie, ale ich śmierci można się było spodziewać: byli sta-

rzy. Normalna kolej rzeczy. A Aidan był młody, silny, przystojny. Jego śmierć była okropna.

Kiedy moi dziadkowie umarli, byłam za mała albo nie obchodziło mnie to wystarczająco, żebym się zastanawiała, czy naprawdę poszli do nieba (albo do piekła, bo babcia Maguire była zdecydowanie kandydatką do tego miejsca). Teraz byłam zmuszona, by myśleć o życiu pozagrobowym, i ten brak jakiegokolwiek pewności był przerażający.

Gdy byłam nastolatką, pragnęłam związku z jakąś istotą duchową. Nie z tym katolickim Bogiem, z którym się wychowałam, ponieważ ten sposób był po prostu zbyt nudny i wszyscy mogli go mieć (jeśli byli Irlandczykami), ale z tym nieuchwytnym, uniwersalnym Bogiem łapaczy snów, centrów energetycznych ciała i ziemi oraz spódniczek z frędzlami, które mi się podobały. Szczególnie dlatego, że można było dodawać do tego reiki, kryształy, amazońskie pnącza; lista rzeczy była niewyczerpana - wystarczyło, że nazywano je „duchowymi”. Fascynowały mnie zbiegi okoliczności i wszystko, co przyprawiało chociaż o niewielki dreszczyk, wszystko, co mogło uczynić moje życie naprawdę ekscytującym. Nauczyłam się odczytywać karty tarota i byłam w tym niezła. Byłam gotowa wierzyć, że dzieje się tak dlatego, iż mam zdolności parapsychologiczne, ale spoglądając wstecz, widzę, że odczytywałam je dlatego, iż przeczytałam instrukcję i dowiedziałam się, co oznaczają symbole, a zresztą większość dziewczyn tylko dlatego prosi o wróżby, że chce mieć chłopaka.

Skończyłam z tarotem kilka lat temu, ale nigdy nie przestałam wierzyć w nieuchwytny „coś”. Jeśli nie dostawałam tego, co chciałam - posady albo pary dzinsów we właściwym rozmiarze - zwykłam mawiać, że „nie tak miało być”, jakby istniało jakieś bóstwo, ktoś w rodzaju łagodnego animatora--lalkarza z jakimś scenariuszem dla nas wszystkich. Ktoś, kto dba o to, co nosimy.

Teraz, gdy byłam przyparta do muru, gdy to naprawdę miało znaczenie, stwierdziłam, że nie wiem, w co wierzę. Nie wierzyłam, że Aidan jest w niebie. Nie wierzyłam w niebo. Nie wierzyłam w Boga. Nie było czego się uchwycić.

Byłam gotowa, żeby wyjść do pracy, zadzwoniłam na jego komórkę, tak jak robiłam to każdego dnia, a potem z nagłej goryczy krzyknęłam w pustą przestrzeń:

- Gdzie jesteś? Gdzie jesteś? Gdzie jesteś??!

Rozdział 2

Do: Czarodziejka @yahoo.com

Od: Walshowiel @eircom.net

Temat: To drugie!

Kochana Anno!

Mam nadzieję, że trzymasz się dzielnie. Jeśli chodzi o tę starą babę z psem, to niech ją szlag trafi. Od kiedy wróciliśmy z Algarve, nie było o niej ani widu, ani słyhu i obwiniałybyś nas, myśląc, że ją zgubiliśmy. Jednak wygląda na to, że się po prostu tylko „przemieściła”. Dziś rano znów wróciła na dobre. Pojawiła się wcześniej i kazała swemu psu zrobić „to drugie”. Twój ojciec wdepnął w to, wychodząc po gazetę. Jak wiesz, nie jest on człowiekiem, którego łatwo skłonić do działania, ale to go ruszyło. Twierdzi, że się tym zajmie. Włączy do tego Helen i jej „narzędzia”. Na szczęście ona również jest bardzo zdenerwowana i mówi, że zrobi to za darmo. Twierdzi bowiem, że kazać psu sikać przed czyimś wejściem to jedno, ale psia kupa to już całkiem inny problem. Twoja kochająca Mama

P.S. O co to może chodzić? Jak wiesz, jestem kobietą, która nie ma wrogów. Czy to może być wina Helen? P.P.S. Tak czy inaczej mieliśmy pourlopową

chandré, szczególnie z powodu infekcji oparzenia słonecznego Twojego ojca, a z powodu tego psa jesteśmy teraz w bardzo kiepskim nastroju. Nie zrozum tego źle, ale mam nadzieję, że nie popadłaś w „izolację”, gdyż nie byłoby wielkiego sensu w Twoim przyjeździe do domu, bo z trudem sami się rozweselamy, co nie znaczy, że Cię nie kochamy.

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Temat: Opalony ojciec

Mama i Tata wrócili z Algarve. Tata okropnie opalony. Wygląda jak Śpiewający Detektyw. Bardzo zabawnie.

Rozdział 3

Przeszywające bóle obudziły mnie o zwykłej porze, czyli około piątej rano. Automatycznie połknęłam dwie pigułki przeciwbólowe, a potem leżałam bardzo spokojnie, zaciskając powieki i wyobrażając sobie, że jestem w łóżku, a Aidan leży obok mnie. *Muszę tylko wyciągnąć rękę i będę mogła cię dotknąć. Będiesz ciepły, rozespany i, nie budząc się jeszcze, opleciesz mnie ramionami i nogami.* Ta wizja była tak wyrazista i sugestywna, że niemal go czułam i wydawało mi się, że słyszę jego oddech, więc kiedy otworzyłam oczy i zobaczyłam, że nie jestem w łóżku, zaś w miejscu, gdzie powinien być Aidan, jest pustka, wyrwał się ze mnie krzyk. Wyłam jak zwierzę. Zwijając się w sobie i przyciskając do brzucha Piesia, próbowałam uśmierzyć ból. Kiedy to nie poskutkowało, włączyłam telewizor. *Dallas*. Dwa odcinki.

Skończyło się po siódmej. Wystarczająco późno, by przygotować się do pracy. Staralam się nie przychodzić tam przed ósmą, ale w niektóre dni nie mogłam znieść leżenia i byłam za biurkiem o wpół do siódmej.

Ciągle zajęcie, ciężka praca, pozostawianie za sobą kolejnych dni - to był jakiś sposób.

Czasami potrafiłam nawet zatracić się w pracy, wejść w jakąś inną sferę, która przejmowała wyobraźnię, i przestawałam być sobą. Na chwilę.

Trzeba jednak powiedzieć, że nie wszystko było przyjemne. Były na przykład Służbowe Obiady. Jeszcze zanim Aidan umarł, bałam się tych Obiadów. Zapraszanie redaktorek działów urody do eleganckich restauracji należało do moich zawodowych obowiązków. Musiałam to robić dwa lub trzy razy w tygodniu i zawsze było to trudne z powodu kwestii związanych z jedzeniem. Czasami dziennikarki przyprowadzały jakiegoś kolegę, zatem było nas nawet więcej do tego, by nie zjeść owego jednego wcześniej zamówionego deseru. Przypominało to walkę zawodowych bokserów; kto wymierzy pierwszy cios? Kto zje pierwszy kęs? Krążyłyśmy wokół siebie nieufnie, ale ponieważ ja byłam gospodynią, protokół dyktował, że to moje zadanie. Aczkolwiek musiałam być bardzo ostrożna, bo jeśli zjesz zbyt wiele, nie będą cię szanować.

Przez pierwszy miesiąc po moim powrocie do pracy oszczędzano mi Obiadów (nie z powodu współczucia, ale dlatego, że moja blizna wyglądała tak okropnie, iż Ariella nie chciała mnie nigdzie wysłać. Jednak dzięki kapsułkom witaminy E i grubej warstwie trwałego korektora teraz była już o wiele mniej widoczna, więc Obiady wróciły do służbowego menu.

Jedynym sposobem poradzenia sobie z tym stało się zabieranie ze sobą Brooke, przynajmniej wtedy, gdy była osiągalna. Brooke była naprawdę cholernym darem niebios. Jej niewiarygodna umiejętność wdzięcznego wprowadzania ludzi w dobry nastrój przesłaniała moje nerwowe i niezręcznie marionetkowe próby od-

grywania roli gospodyni. Bez cienia przechwałki w głosie olśniewała wszystkich szczegółami swego wykwintnego życia, a ja próbowałam się uśmiechać i wmuścać jedzenie w swoje odporne gardło. Czasami, a zdarzało się to trochę za często jak na moje upodobania, zapominałam o zjedzeniu pierwszego kęsa deseru (ciastka z czekoladowym kremem albo czegośkolwiek innego, co zostało zamówione) i siedziałam, wpatrując się w środek stołu, aż wreszcie Brooke mówiła: „No cóż, nie wiem jak wy, moje drogie, ale ja chyba będę musiała spróbować tych pyszności”, dając hasło do puszczenia w ruch widelców.

Zmusiłam się do wejścia pod prysznic, a potem sięgnęłam po telefon, żeby zadzwonić na komórkę Aidana, i właśnie wtedy to się stało. Zwinięta w fotelu, przygotowałam się na balsam jego głosu, lecz zamiast nagranej przez niego formuły powitania rozległo się zabawne bipnięcie. Czyżbym wystukała zły numer? Już przeczuwałam nieszczęście; ręce mi się trzęsły tak bardzo, że z trudem mogłam stukać w przyciski. Wstrzymując oddech i modląc się, żeby wszystko było w porządku, czekałam na jego głos, ale znów usłyszałam ten śmieszny sygnał: komórka Aidana została odcięta.

Ponieważ nie zapłaciłam rachunku.

Aż do tej chwili myślałam, że jego telefon wciąż działa za sprawą aktu jakiejś kosmicznej uprzejmości. Działo się to jednak po prostu dlatego, że Aidan opłacił abonament z góry. Teraz zaś telefon został wyłączony, gdyż ja nie zapłaciłam rachunku.

Z wyjątkiem czynszu nie zapłaciłam żadnych rachunków. Leon i ja mieliśmy porozmawiać o mojej sytuacji finansowej, ale on nie był w stanie przestać płakać choćby na tyle czasu, żebyśmy mogli to zrobić.

Z trudem oddychając, przerażona, wystukałam numer biura Aidana, ale ktoś inny - ktoś, kto nie był nim, oczywiście - odpowiedział: „Tu biuro Andrew Russella”. Odłożyłam słuchawkę. Niech to szlag.

Niech to szlag, cholera, niech to szlag...

Poczułam się tak oszołomiona, że pomyślałam, iż chyba zemdleję.

Jak mam się teraz z tobą skontaktować? - zapytałam w pustkę.

Liczyłam na tę odbywaną dwa razy dziennie pogawędkę, byłam pewna, że dwa razy dziennie usłyszę dźwięk jego głosu. Oczywiście, że nie odpowiadał. Ale to pomagało. Sprawiało, iż niemal wierzyłam, że nadal jesteśmy w stałym kontakcie.

Gwałtowna potrzeba rozmowy z Aidanem stała się nagle tak ogromna, że moje ciało nie mogło jej znieść. W ciągu dwóch sekund byłam zrana potem i musiałam pobiec do łazienki, żeby wymiotować.

Minęło dziesięć, może piętnaście minut, a ja, opierając głowę o chłodną porcelanę, wciąż nie mogłam się podnieść. Musiałam z nim porozmawiać. Oddałabym wszystko, co mam, byłabym gotowa sama umrzeć, żeby tylko porozmawiać z nim przez pięć minut.

Rozdział 4

Wzięłam drugi prysznic, ubrałam się (sukienka Pucci w wirujące wzory i marynarka od Goodwill), ale było tak późno, że zadzwoniłam do Lauryn i powiedziałam, iż pójde prosto na spotkanie o dziesiątej. Zaopatrzyłam się w promocyjne artykuły dla „You Glow Girl!”. (Błyszczycy. Nic więcej nie można o nim mówić. „Miękką” promocją to znaczy nie wydać na nią niezbyt wiele pieniędzy). Mając ograniczone fundusze, myślałam o kupieniu redaktorom lamp (żeby wyraźnie wskazywały na „blask” tematu).

Moim „spotkaniem o dziesiątej” był hurtownik na Czterdziestej Pierwszej Zachodniej, który sprowadzał niezwykle lampy; takie, które wyglądały jak aureole - przypina się je do lusterka i wtedy w odbiciu wyglądasz jak święta, a gdy za tobą znajdują się „skrzydła” wysokiego fotela, stajesz się aniołem - jeśli potrafisz upozować się odpowiednio.

Taksówka zatrzymała się po niewłaściwej stronie ulicy i gdy czekałam, żeby przejść na drugą, zobaczyłam mężczyznę, którego znałam, i automatycznie skinęłam głową na powitanie. Potem uświadomiłam sobie, że nie pamiętam, skąd go znam, i przestraszyłam się, że mogę mieć do czynienia z Przypadkiem Sławnej Osoby. Pewnego dnia zdarzyło się to Rachel: zatrzymała na ulicy Susan Sarandon i przepytowała ją, gdzie się spotkały. Czy chodziły do tego samego fitness klubu? Była przyjaciółką Billa? A może spotkały się u dermatologa? Potem, słabym głosem, Rachel powiedziała: *Thelma i Louise* i wycofała się, zawstydzona.

Jednak tajemniczy mężczyzna przystanął, żeby ze mną pogadać.

- Cześć, maleńka - powiedział. - Jak się miewasz?

- Dobrze - odpowiedziałam desperacko.

- Siostra Rachel? Jestem Angelo. Poznaliśmy się pewnego ranka w kawiarni Jenni.

Jak mogłam go zapomnieć? Miał tak niezwykle wygląd, z tą chudą, wymizerowaną twarzą, czarnymi, głęboko osadzonymi oczami i magnetyzmem w stylu Red Hot Chili Peppers.

- Sprawy mają się lepiej? - zapytał.

- Nie. Czuję się podle. Zwłaszcza dzisiaj.

- Masz ochotę pójść na kawę?

- Nie mogę, mam spotkanie.

- Weź mój numer. Zadzwoń do mnie, jeśli zechcesz pogadać.

- Dziękuję, ale ja nie jestem narkomanką.

- W porządku. Nie będę miał ci tego za złe. Nabazgrał coś na jakimś kawałku papieru. Niemrawo

przyjęłam ten świstek.

- Mam na imię Anna - powiedziałam.

- Anna - powtórzył. - Uważaj na siebie. A tak przy okazji: fajne ciuchy.

- Cześć - powiedziałam, pozwalając skrawkowi papieru spaść na dno torebki.

Poszłam na swoje spotkanie, ale nie byłam w odpowiedniej formie. I wyszłam z niego bez żadnych ustaleń.

Wracając, rozglądałam się za taksówką, gdy jakiś facet wręczył mi ulotkę. Zwykle wrzucam je do najbliższego kosza na śmieci, ponieważ w tych stronach zawsze reklamują one wyjątkowe wyprzedaże, by złapać turystów. Ale na tę jedną coś kazało mi spojrzeć.

KRÓLESTWO PARAPSYCHOLOGII

Odkryj swoją przyszłość

Otrzymasz odpowiedzi z drugiej strony

Od medium z prawdziwym darem jasnowidzenia

Zadzwoń!

Na dole był numer telefonu i imię - Morna - i nagle ogarnęła mnie ekscytacja bliska gorączki. *Otrzymasz odpowiedzi z drugiej strony.* Znieruchomiałam na środku chodnika, powodując minikarambol przechodniów.

- Krowa - rzucił jeden z nich.

- Turystka - dodał inny, a była to jeszcze gorsza obelga.

- Przepraszam, bardzo przepraszam - powiedziałam i wyszłam z potoku ciał, chroniąc się w drzwiach jakiegoś sklepu. Wyciągnęłam z torebki telefon komór-

kowy i palcami drżącymi z nadziei wystukałam numer. Zgłosiła się jakaś kobieta.

- Czy rozmawiam z Morną? - zapytałam.

-Tak.

- Chciałabym prosić o spotkanie.

- Może pani przyjść teraz? Mam wolny termin.

- Oczywiście! Tak! Naturalnie! - Któż by się przejmował pracą?

Morna skierowała mnie do mieszkania znajdującego się dwie ulice dalej.

Gdy jechałam podskakującą windą, krew pulsowała mi tak mocno, że wyobrażałam sobie, co się czuje, gdy ma się atak serca.

Na Czterdziestej Drugiej, z ulotką, która nie reklamowała żadnej „fantastycznej” sprzedaży... jakie miałam szanse? I to bezzwłoczne spotkanie z Morną? Czy to na pewno miało się zdarzyć? Przez chwilę pozwoliłam sobie dać upust swojej największej nadziei: *Aidan, a jeśli ona dotrze do ciebie? Jeśli naprawdę nawiążemy kontakt? Jeśli będę musiała do ciebie przemówić?*

Niemal we łzach podniecenia, nadziei i desperacji dotarłam do mieszkania Morny i nacisnęłam dzwonek.

Zza drzwi rozległ się czyjś głos.

- Kto tam?

- Anna. Telefonowałam przez kilkanaście minutami. Dobiegł mnie szczepek łańcucha, zgrzytanie kluczy obracających się w ciężkich zamkach, i wreszcie drzwi się otworzyły.

W swoim stanie przesadnej nadziei wyobrażałam sobie Mornę w powłóczystych, ozdobionych koralikami szatach, ze źle uczesanymi siwiejącymi włosami i ciężkim makijażem wokół mądrych, starych oczu, żyjącą w słabo oświetlonym mieszkaniu pełnym purpurowych pluszowych narzut i ozdobnych lamp.

Jednak to była zwyczajna kobieta, prawdopodobnie po trzydziestce, w granatowym dresie. Włosy mogłaby umyć, a tego, czy jej oczy istotnie wyglądają mądrze i sędziwie, nie wiedziałam, gdyż unikała kontaktu wzrokowego.

Jej mieszkanie również okazało się pewnym rozczarowaniem: w rogu włączony telewizor, w którym akurat oglądała talk-show Montela, dziecięce zabawki rozrzucone na podłodze i bardzo mocny zapach tostów.

Morna ściszyła telewizor i wskazała mi stołek przy śniadaniowym stole.

- Pięćdziesiąt dolarów za piętnaście minut - powiedziała. To dużo, ale byłam tak bardzo podekscytowana.

- W porządku - powiedziałam.

Mój oddech przeszedł w krótkie, zduszone westchnienia, więc pomyślałam, że Morna zauważy ten ekstatyczny stan i potraktuje mnie odpowiednio do owego rozgorączkowania. Ona jednak po prostu usiadła po przeciwnej stronie stołu i wręczyła mi talię kart tarota.

- Przełoż. Przerwałam.

- Zamiast wróżenia z kart może spróbujesz się skontaktować - co powinnam powiedzieć? - z kimś, kto umarł.

- To za dodatkową opłatą. -Ile?

- Pięćdziesiąt? - Bacznie mi się przyglądała. Zawahałam się. Nie chodziło o pieniądze. Było to nagłe, niemiłe podejrzenie, że dałam się złapać; że ta kobieta nie jest żadnym medium, ale zwykłą oszustką żerującą na naiwnych turystach.

- Czterdzieści - obniżyła cenę, potwierdzając moje podejrzenia.

- Nie chodzi o pieniądze - odparłam, bliska łez. Nadzieja przerodziła się w rozczarowanie. - Jeśli nie jesteś medium, powiedz mi, proszę. To ważne.

- Jasne, że jestem medium.

- Wchodzisz w kontakt ze zmarłymi? - domagałam się odpowiedzi.

- No pewnie. Chcesz iść dalej?

Co było do stracenia? Skinęłam głową.

- No dobrze, zobaczmy, co my tu mamy... - Przycisnęła palce do skroni. - Jesteś Irlandką, prawda?

- Prawda.

Żałowałam, że nie powiedziałam, iż jestem Uzbeczką. Poczułam się nieswojo, podając jej informacje, do których nie doszła drogą parapsychologii, ale nie chciałam zrobić niczego, co by to udaremniło.

Obrzuciła szybkim spojrzeniem moje ciuchy i blizny, a potem jej wzrok spoczął na obrączce.

- Mam kogoś.

Moja ekscytacja gwałtownie wzrosła.

- Jakaś kobietę.

Gorączka opadła.

- Twoją babcię.

- Którą babcię?

- Mówi, że na imię ma... Mary?

Pokręciłam przecząco głową. Żadna babcia nie miała na imię Mary.

- Bridget?

Kolejny przeczący ruch głową.

- Bridże?

- Nie - rzekłam przepraszająco. Nie znoszę, gdy ludzie robią coś głupiego.

Czuję się zakłopotana za nich.

- Maggie? Ann? Maeve? Kathleen? Sinead?

Morna wymieniła wszystkie irlandzkie imiona, o jakich kiedykolwiek słyszała, oglądając *Córkę Ryana* lub kupując płyty Sinead O'Connor, ale nie trafiła na imię żadnej z moich babć.

- Przepraszam - powiedziałam, nie chcąc, żeby się zniechęciła i poprosiła, żebym wyszła. - Nie przejmuj się imieniem. Powiedz mi coś innego, co jeszcze widzisz?

- W porządku, nie zawsze podają mi właściwe imię, ale ona jest niewątpliwie twoją babcią. Widzę ją wyraźnie. Mówi, że jest bardzo szczęśliwa, słysząc o tobie. Jest maleństwem, tańczy dokoła, w botkach i kwiecistym fartuszk na marszczoną spódnicę. Ma siwe włosy upięte w kok i małe okrągłe okulary.

- To chyba nie jest moja babcia - powiedziałam. - Wydaje mi się, że to babcia z komputerowej gry *Beverly Hillbillies*.

Nie chciałam być złośliwa. Po prostu zbyt wiele było we mnie desperacji i nadziei, a jednocześnie poczucia straty czasu.

Poza tym, jeśli kiedykolwiek spotkało się babcię Maguire, z jej czarnymi zębami, fajką i upodobaniem do szczucia nas psami, albo babcię Walsh z jej skłonnością do wydawania groźnych pomruków, gdy próbowało się zabrać jej perfumy (piła je, ilekroć znajdowano inne butelki i ich zawartość wylewano do zlewu), to nigdy nie pomyli się ich z babcią opisaną przez Mornę.

Morna spojrzała na mnie, zaniepokojona moim sarkazmem.

- Zatem z kim chcesz rozmawiać?

Otworzyłam usta i wzięłam głęboki, pełen lęku oddech, który przeszedł w szloch.

- Z moim mężem. Mój mąż zmarł. - Łzy płynęły mi po twarzy. - Chcę rozmawiać z nim.

Grzebałam w torebce, szukając chusteczek higienicznych, a Morna znów przycisnęła palce do skroni.

- Przykro mi - powiedziała. - Nic nie widzę. Jednak jest pewien powód.

Uniosłam głowę. Jaki powód?

- Masz złą energię. Ktoś obłożył cię czymś strasznym i właśnie dlatego spotykają cię te wszystkie okropne rzeczy.

Co???

- Masz na myśli jakąś klątwę?

- Klątwa jest mocnym słowem... Nie chcę go używać, ale... tak, to chyba jest klątwa.

- Cholera!

- Nie denerwuj się, dziecino. - Pierwszy raz się uśmiechnęła. - Mogę ją zdjąć.

- Naprawdę?

- Jasne. Nie obdarzam takimi okropnymi wieściami, jeśli nie mogę pomóc.

- Dziękuję. O mój Boże, dziękuję. - Przez chwilę myślałam, że zemdleję z wdzięczności.

- Wygląda na to, że miałaś tu dzisiaj przyjść.

Skinęłam głowę, ale czułam, że krew krzepnie mi w żyłach. A gdybym dzisiaj nie znalazła się w tej części miasta? A gdyby nie wręczono mi tej ulotki? A gdybym wrzuciła ją prosto do kosza na śmieci?

- Co się dzieje? Możesz zdjąć ją ze mnie teraz? - Z trudem łapałam oddech.

- Tak, możemy zrobić to zaraz.

- Wspaniale! Możemy zaczynać?

- Jasne, ale musisz zrozumieć, że zdejmowanie klątwy tak ciężkiej jak ta, która ciąży na tobie, będzie kosztować.

- Ach tak? Ile?

- Tysiąc dolarów.

Tysiąc dolarów?! To ostudziło mój entuzjazm i przywróciło do rzeczywistości. Ta kobieta była cwana oszustką. Jaka jej czynność miałaby kosztować tysiąc dolarów?!

- Musisz to zrobić, Anno. Twoje życie tylko się pogorszy, jeśli się z tym nie uporasz.

- Moje życie zdecydowanie się pogorszy, jeśli wyrzucę tysiąc dolarów.

- Okay, pięćset dolarów - rzekła Morna. - Trzysta? W porządku: dwieście dolarów i zdejmuję z ciebie tę klątwę.

- Jak zdołasz za dwieście dolarów zrobić teraz to, za co jeszcze przed minutą chciałaś tysiąc?

- Ponieważ ja, dziecinko, boję się o ciebie. Musisz zrzucić z siebie tę klątwę teraz, bo przydarzy ci się coś naprawdę strasznego.

Przez chwilę znowu mnie miała. Zmroził mnie strach. Ale co mogło się zdarzyć? Najgorsze, co w ogóle mogło przyjść mi do głowy, już się zdarzyło. Lecz jeśli naprawdę ciążyła na mnie jakaś klątwa? Jeśli właśnie dlatego Aidan umarł...?

Zawieszone między trwogą a sceptycyzmem moje myśli biegały tam i z powrotem, gdy nagle zakłóciły je głosy dzieci walących w drzwi gdzieś w głębi mieszkania.

- Mamo, możemy już wyjść? - wołały.

Wróciwszy do zdrowych zmysłów, opuściłam to miejsce najszybciej, jak mogłam. Byłam tak wściekła, że w drodze na dół kopnęłam w ścianę windy. Wściekałam się na Mornę i na siebie, że byłam taka głupia. I wściekałam się na Aidana, że umarł i postawił mnie w takiej sytuacji. Znalazłszy się z powrotem na ulicy, nie przywołałam taksówki, lecz pędziłam całą drogę do Central Parku, gnana rozpaloną furją, roztrącając ramionami innych przechodniów (przynajmniej tych niskich), nie przepaszając i obrzucając Nowy Jork najgorszymi słowami.

Chyba płakałam, bo na skrzyżowaniu z Times Square jakaś dziewczynka pokazała na mnie palcem i powiedziała:

- Spójrz, mamusiu, jakaś wariatka.

Może jednak zrobiła to z powodu mego stroju.

Zanim dotarłam do biura, zdołałam ochłonąć. Zrozumiałam, co się stało: miałam pecha. Spotkałam szarlatana; kogoś, kto żerował na bezbronnych ludziach i... robił to naprawdę kiepsko, bo byłam bezbronna jak cholera, a jednak nie dałam się nabrać.

Gdzieś daleko stąd jest jakiś prawdziwy jasnowidz, który skontaktuje mnie z tobą. Muszę tylko go znaleźć.

Rozdział 5

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Walshowiel@eircom.net

Temat: Płonąca Alaska

Kochana Anno!

Wierzę, że miałaś dobry weekend. Jeśli zobaczysz Rachel, zechciej jej powiedzieć, że „płonąca Alaska” jest pięknym deserem. Kelnerzy zapalają ją zimnymi ogniami, gaszą światła i wnoszą na salę. Jak wiesz, nie jestem skora do wzruszeń i zachwytów, ale kiedy podano ją do naszej ostatniej kolacji w Portugalii, wyglądało to tak pięknie, że łzy napłynęły mi do oczu. Twoja kochająca Mama

Przypuszczałam, że „płonąca Alaska” ma coś wspólnego z weselem. Rachel miała wyjść za mąż dopiero w marcu przyszłego roku, ale obie - mama i ona - już sobie dogryzały. W żaden sposób nie chciałam się w to włączać; krzyżowy ogień na froncie weselnego menu mógł być bardzo nieprzyjemny.

A jednak omal się nie wygadałam tego wieczoru, ponieważ Rachel pojawiła się niespodziewanie w moim mieszkaniu, co nie mogło być bardziej nieodpowiednie, gdyż właśnie zaczynałam płakać.

- Witaj - przywitałam ją z rezerwą. Powinnam oczekiwać, że powie, iż unikałam jej przez cały weekend.

- Anno, martwię się o ciebie, musisz przestać pracować tak ciężko.

To był stały chwyt Rachel. Uparcie twierdziła, że wykorzystuję pracę jako pretekst, żeby nie widywać się z nią... ani z kimkolwiek innym. I miała rację; faktycznie wyglądało na to, że przebywanie z ludźmi jest dla mnie trudniejsze, a nie łatwiejsze. Najpoważniejszym wyzwaniem okazała się moja twarz; zachowanie jej „normalnego” wyrazu było ogromnie wyczerpujące.

Biedna Jacqui tak bardzo chciała poprawić mi nastrój, że ilekroć się spotykałyśmy, ona była uzbrojona w arsenał zabawnych opowieści ze swojej pracy, a ja wykończona od uśmiechania się i powtarzania: „Boże, ale ubaw!”.

- Pracowałeś przez cały weekend? - zawołała Rachel. -Anno, to okropne.

Co miałam powiedzieć? Przecież nie mogłam powiedzieć jej prawdy: że większość soboty i niedzieli spędziłam w Internecie, szukając ludzi o zdolnościach parapsychologicznych i prosząc Aidana, aby wskazał mi jakoś, których powinnam wykorzystać.

- To był nagły przypadek.

- Pracujesz z kosmetykami, jakie mogą z nimi być nagłe przypadki?

- Ty przecież nigdy nie wychodzisz bez błyszczyka do warg.

- Och, rozumiem... ten twój Wygląd! Przyszłam porozmawiać z tobą osobiście - powiedziała - gdyż nie wydaje mi się, żebym mogła do ciebie dotrzeć przez telefon. Myślę o dotarciu w sensie emocjonalnym, a nie telefonicznym.

Jakbym sądziła, że jest inaczej.

- Wiem, wiem. No więc powiedz mi, Rachel, co z weselem? - Gdyby nękała mnie zbyt mocno, powiedziałabym: Dwa słowa, Rachel. Płonąca Alaska.

- Chryste - odparła. - Wesele. Nie pytaj - dodała i wykrzyknęła z urazą: - Luke i ja chcieliśmy zorganizować niewielką uroczystość. Z ludźmi, których lubimy. Z ludźmi, których znamy. Mama chce zaprosić pół Irlandii: tysiące dalekich krewnych i każdego, komu kiedykolwiek skinęła głową na polu golfowym.

- Może nie przyjadą. Może uznają, że to za daleko.

- Dlaczego sądzisz, że pobierzemy się w Nowym Jorku? - Roześmiała się złowrogo. - Zresztą nie sądz, że odwrócisz moją uwagę. Przyszłam tutaj, bo martwię się o ciebie. Nie możesz wciąż uciekać w pracę i udawać, że nic się nie stało. Musisz to wszystko odczuć. Wtedy poczujesz się lepiej. Masz dietetyczną colę?

- Nie wiem. Zajrzyj do lodówki. Zrobiłaś coś z brwiami?

- Przyciemniłam je.

- Ładne.

- Dziękuję. Ćwiczenie przed ślubem, żeby zobaczyć, czy jestem uczulona. Nie chcę, żeby w tym wielkim dniu twarz spuchła mi jak poduszka. - Przestała chodzić i nadstawiła ucha. - Co to za hałas?

W sąsiednim mieszkaniu ktoś wywrzaskiwał: Guuuuaalda-aaa...

- To Ornesto. Ćwiczy.

- Co ćwiczy? Napędzanie ludziom pietra?

- Śpiewanie. Bierze lekcje. Jego nauczyciel twierdzi, że ma talent.

- Saaaantaaaa Luciiiiijaaaaaa... .

- Często to robi?

- Najczęściej nocami.

- To ci chyba nie daje spać?

Rachel jest trochę przeczulona na punkcie san. Mówienie

jej, że i tak prawie nie śpię, nie miało sensu.

- Znalazłaś tę colę?

- Nie. Tu prawie niczego nie ma. Kompletna pustka. Anno, musisz się udać do jakiegoś terapeuty.

- Żeby pomógł mi kupić dietetyczną colę?

- Posługiwanie się humorem jest klasyczną techniką odpierania. Znam miłą terapeutkę traumy żałobnej. Bardzo profesjonalna. Nie przekaże mi niczego, co jej opowiesz, obiecuję. Nawet nie będę pytać.

- Spotkam się z nią - odparłam.

- Naprawdę? Świetnie!

- Pójdę do niej, kiedy poczuję się trochę lepiej.

- Och, na miłość boską! To jest właśnie to, o czym mówię! Widzę, że wszystkie godziny wkładasz w pracę, próbując zapomnieć...

- Nie, nie próbuję zapomnieć! - Cóż za okropny pomysł; to była ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzyła. - Próbuję -jak to powiedzieć? - próbuję dotrzeć jak najbliżej - przerwałam, a potem mówiłam dalej - jak najbliżej punktu, w którym będę mogła pamiętać, nie czując tego zabójczego bólu.

Gromadziły się we mnie dni, tygodnie, miesiące... Był już niemal środek czerwca, Aidan zmarł w lutym, a ja wciąż czułam się tak, jakbym właśnie się obudziła z jakiegoś koszmarne snu, jakbym była zawieszona w tym stanie ogłuszenia i paraliżu, między snem a jawą, w którym usiłowałam, ale nie mogłam pojąć normalności.

- Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa...

- Boże, to znowu on. - Rachel nerwowo spojrzała na sufit. - Nie wiem, jak ty to znosisz, naprawdę nie rozumiem.

Wzruszyłam ramionami. Ja to nawet lubiłam. Miałam w nim trochę towarzystwa bez konieczności spotkań. Wciąż pukał do moich drzwi, lecz ja nigdy nie

odpowiadałam, a kiedy spotykaliśmy się w korytarzu, mówiłam, że zażywam mnóstwo tabletek nasennych i właśnie dlatego go nie słyszę. Kłamstwo wydawało się lepsze; łatwo było go zranić.

- Aaaaaaaaleeeeeeeee jego kłaaaaaaamstwa nie ukryją tego, czego ty, czego ty się boooooooooisz!

- Muszę cię o coś zapytać - powiedziała Rachel. - Czy masz myśli samobójcze?

- Nie. - Wpatrywałam się w jej zatroskaną twarz. - Dlaczego o to pytasz? Powinam?

- Cóż... tak. To normalne: czuć, że nie można ciągnąć tego dalej.

- Boże, niczego nie robię właściwie.

- Och, nie bądź taka. A wiesz, dlaczego nie jesteś w samobójczym nastroju?

- Bo... bo... gdybym umarła... nie wiem, dokąd miałabym pójść. Nie wiem, czy poszłabym do tego samego miejsca, do którego poszedł Aidan, podczas gdy będąc tutaj, mam wrażenie, że jestem blisko niego. Czy to ma jakiś sens?

- Więc naprawdę tak myślisz?

Myśl o tym, by nie żyć, nieustannie błąkała się na obrzeżach mojej świadomości. Nie do tego stopnia, żebym podjęła jakieś zdecydowane i szybkie plany, ale jednak tam była.

- Tak, chyba tak.

- Och, to dobrze. Naprawdę dobrze - powiedziała z wyraźną ulgą. - Dzięki Bogu!

- To pocałuuuuuuunek ŚMIERCI! Od paaaaaaaana GOLDFINGERA!

- Chcesz, żebym ci dała zatyczki do uszu?

- Wszystko w porządku, dzięki.

- To serce jest ZIMNEEEEEEE. ON KOCHA TYLKO-OOOO ZŁO-TOOOOO!

- Boże, wychodzę. Wybierzmy się któregoś wieczoru na kolację.

- W środę spotykam się z Leonem i Daną - powiedziałam szybko.

- To dobrze, grzeczna dziewczynka. Weekend mam zajęty, ale spotkajmy się w czwartek. Dobrze?

Zmusiła mnie, żebym skinęła głową. Dobrze.

- Do widzenia.

Położyłam się na kanapie, starając się odzyskać płaczliwy nastrój. Na górze Ornesto nadal śpiewał na całe gardło, co wywołało wspomnienia: czasami Aidan i ja śpiewaliśmy. Nie było to żadne poważne śpiewanie, broń Boże, po prostu wygłupialiśmy się dla zabawy... Jak tamtego wieczoru, kiedy zadzwoniliśmy do Balthazara, składając zamówienie z dostawą do domu, a ja wpadłam w zachwyty.

- To wprost niewiarygodne! - mówiłam rozentuzjasmowana. - Balthazar jest jedną z najwspanialszych restauracji w Nowym Jorku; co ja mówię... jedną z najwspanialszych restauracji na świecie, a wcale nie zadzierają nosa i dostarczają dania pod drzwi.

- Ten Nowy Jork to fajne miejsce - rzekł Aidan.

- Tak - przyznałam mu rację. - W Irlandii nigdy byś tego nie dostał.

- Dlaczego więc tak wiele piosenek mówi o tym, jak przykro jest opuszczać Irlandię?

- *Entre nous, mon ami*, nie mam pojęcia. Myślę, że są idiotyczne.

Aidan, należąc do diaspory bostońsko-irlandzkiej, wiedział wszystko o smutnych piosenkach emigranckich, więc zaczął śpiewać *Spencil Hill*. Prawdopodobnie byłby całkiem dobrym piosenkarzem, ale trudno było to stwierdzić, gdyż śpiewał głosem smurfowym, chociaż nie była to pora śpiewania przy goleniu.

Pół życia dałbym, gdyby dzisiaj chociaż na parę chwil, porzucić wszystko, wrócić tam, gdzie stare Spencil Hill...

- Nie to...

Nagle porzucił głos smurfa i zaśpiewał donośnie:

Nie musi mi już nikt cerować spodni starych, bo mogę kupić w mig całkiem nowiutką parę.

- Hurra! - powiedziałam, klaszcząc w dłonie i próbując zagwizdać entuzjastycznie. - Jeszcze!

A jeśli Anna stwierdzi, że nie ma się w co ubrać, do najlepszego sklepu może się dzisiaj wybrać, i kupić sobie wszystko, na co ma ochotę, ale, przepraszam, to się wcale nie rymuje...

- Brawo! - zawołałam. - Irlandczycy tak nie mówią! Jeszcze!

- No dobrze. Ostatnia zwrotka. Ta smutna.

Syreny policyjne budzą co kilka chwil, gdyż mieszkam w Nowym Jorku, choć chciałbym w Spencil Hill.

Uklonił się nisko i pomknął do sypialni.

- Wróć! - wołałam. - To mi się podoba!

- Nie można tego śpiewać, nie mając na sobie jakiegoś paskudnego swetra.

Po chwili pojawił się ponownie w najokropniejszym wełnianym swetrze na całym świecie. Ten sweter był prezentem ślubnym od ciotki Imeldy, najambitniejszej siostry mamy. (Mama uparcie twierdziła, że ciotka wiedziała, iż jest okropny). Aidan wyglądał w nim, jakby miał ogromne brzuszysko.

- Wystroisz się w to? - Wymachiwał ku mnie tweedowym kaszkietem (także prezentem od ciotki Imeldy).

- Wystroję. Teraz moja kolej. Zaśpiewałam na tę samą melodię:

Prawdziwa wielka miłość wciąż czeka w County Clare, Manhattan dal mi większą, jedyną jakiej chcę. Tamten był mym kuzynem, więc dzidzius mógłby mieć zamiast paluszków pięciu u jednej rączki - sześć.

- O rany, dobra jesteś! - stwierdził Aidan. - Rymujesz! Rapujesz! Freestyle!

Przez cały wieczór wymyślaliśmy śpiewanki-rymowanki o wyższości Nowego Jorku nad Irlandią i o tym, że wcale nie jest nam przykro, iż znajdujemy się po przeciwnej stronie oceanu. Zwykle się nie rymowały, ale były zabawne. Przy najmniej dla nas.

Rozdział 6

Leon i Dana wysiadali z jednej taksówki przed Diegos, podczas gdy ja płaciłam za drugą. Idealne zgranie. Zdarzało się to bardzo często, gdy przyjeżdżałam z Aidanem i spotykaliśmy się we czwórkę.

Najwyraźniej spierali się o coś z taksówkarzem. Jak zwykle.

- Ładna jazda, stary, nie ma co! - powiedziała bardzo donośnie Dana, pochylając się do okienka kierowcy.

Dana jest głośna, nie znosi sprzeciwu i gdziekolwiek się pojawia, przyciąga ku sobie wiele uwagi. Jej ulubionym zwrotem jest: „To straszne!”. Wymawia go, mówiąc: „To straaasz-ne”, i robi to bardzo często, gdyż uważa, że straszne są ty-

siące rzeczy. Zwłaszcza w jej pracy. Dana zajmuje się wnętrzami i twierdzi, że wszyscy jej klienci mają koszmarny gust.

- Hej, ja to załatwię - nalegał Leon niezbyt przekonująco. Obok wysokiej Dany Leon wydawał się niski, pulchny

i niespokojny. A może on po prostu jest niski, pulchny i niespokojny.

- Nie dawaj mu napiwku, Leon - rozkazała Dana. - Leon, nie-dawaj-mu-napiwku! Jechał po prostu okropnie.

Leon, ignorując ją, pedantycznie odliczał banknoty.

- Cholera! - krzyknęła Dana. - On nie zasługuje na tyle! Jednak było już za późno: dłoń taksówkarza zacisnęła się na pieniądzach.

- No trudno. - Dana obróciła się na dwunastocentymetrowych szpilkach i potrząsnęła falą lśniących włosów.

Wtedy Leon zobaczył mnie i twarz mu pojaśniała.

- Witaj, Anno.

Leon i Aidan przyjaźnili się od dzieciństwa, ale w połączeniu z Daną i ze mną stanowiliśmy idealnie zgraną paczkę. Gdy Dana nie wykrzykuje, że wszystko jest straszne, i nie rzuca przekleństwami, jest ogromnie serdeczna i zabawna. Wyjeżdżaliśmy razem na weekendy, a zeszłego lata wspólnie spędziliśmy tydzień w Hamptons, w styczniu zaś pojechaliśmy na narty do Utah.

Raz w tygodniu chodziliśmy razem na kolację. Leon lubi jeść i ekscytuje się nowymi restauracjami. Uwielbialiśmy wymyślać dla siebie nawzajem zabawne alternatywne tożsamości: dozorczy w zoo, pop-idola, czarodziejki itd. Potem przechodziliśmy do ulubionego punktu programu: fantazjowania na własny temat. Leon chciałby mieć metr osiemdziesiąt wzrostu, służyć w wojsku i być mistrzem krav maga (czy czegoś takiego). Dana pragnęła być uległą żoną jakiegoś bogacza, którego nigdy nie ma, i rządzić w jego domu niczym dyrektorem general-

ny. A ja chciałam być Ariellą. Ale miłą. Aidan zaś marzył o tym, żeby być baseballistą w zespole Boston Red Sox.

Z jakiegoś powodu po powrocie z Dublina dłużej dochodziłam do spotkania z Leonem niż z kimkolwiek innym. Bałam się ujrzeć ogrom jego żalu, ponieważ wtedy ujrzalabym ogrom swojego własnego.

Problem tkwił w tym, że Leon chciał spotkać się ze mną równie desperacko, jak ja próbowałam tego spotkania uniknąć. Prawdopodobnie uważał mnie za zstępczynię Aidana.

Wciąż się wykręcałam, ale kilka tygodni temu ustąpiłam i zgodziłam się na spotkanie.

- Zamówimy stół w Clinton's Fresh Foods - oświadczył.

Byłam przerażona. Nie tylko myślą o wyjściu, ale wizją próby odtworzenia jednego z naszych dawnych wspólnych wieczorów.

- Może po prostu wpadnę do was do domu? - zapytałam.

- Przecież zawsze chodzimy do restauracji - odparł.

A myślałam, że to ja wypieram prawdę ze świadomości.

Wcześniej udało mu się skłonić mnie, bym kilka razy do nich przyszła i trzymając go za rękę słuchała, jak płacze i wspomina. Tego wieczoru, w próbie następnego kroku, mieliśmy pójść na kolację. Ale tylko do Diegos. Była to mała restauracja w pobliżu, do której zwykliśmy chodzić w te (rzadkie) tygodnie, gdy na Manhattanie nie otwarto żadnej nowej.

- Co mi przywiozłaś? - Dana spojrzała na reklamówkę z nadrukiem Candy Girrl w mojej ręce.

- Najnowsze produkty. - Wręczyłam jej prezent. Przerzuciła kosmetyki i bez entuzjazmu podziękowała.

Problem z kosmetykami Candy Girrl tkwił w tym, że nie były dla niej wystarczająco drogie.

- Kupujesz czasem jakieś lepsze? - zapytała. - Ja je uwielbiam.

- Możemy wejść do środka? - zapytał Leon. - Umieram z głodu.

- Ty zawsze umierasz z głodu.

Diego sam stał za barem i ucieszył się na nasz widok.

- Hej, witajcie! - Rozpromienił się, udając, że nie widzi mojej blizny. - Stolik dla czworga?

- Dla czworga - rzekł Leon, wskazując nasz stolik. - Zawsze tu siedzimy.

Diego zabrał się do podawania kart.

- Trzy - powiedziałyśmy jednocześnie Dana i ja.

- Cztery - rzekł Leon, po czym zapadła straszna cisza. - Chyba tylko trzy - rzekł w końcu.

- Trzy? - upewnił się Diego.

- Trzy.

Siedząc przy stoliku Leon mógł tylko płakać.

- Przepraszam, Anno - powtarzał, patrząc przez ręce mokre od łez. - Bardzo przepraszam.

Diego podszedł cicho i z pełnym szacunkiem.

- Czy mogę podać wam coś do picia? - zapytał stłumionym głosem.

- Pepsi - rzekł Leon, pociągając nosem. - Z plasterkiem limonki, nie cytryny. Jeśli nie ma limonki, to nie przynoś mi cytryny.

- Kieliszek chardonnay - zamówiła Dana.

- Dla mnie też.

Po przyniesieniu drinków Diego zapytał:

- Chcecie, żebym zabrał te karty dań?

Dłoń Leona wysunęła się błyskawicznie, by zatrzymać karty na stole.

- Chyba musimy coś zjeść.

- Nic go nie powstrzyma - stwierdziła Dana.

- W porządku - rzekł Diego. - Zawołajcie, gdy będziecie gotowi.

Leon spojrział na swoją szklanę, upił łyk i powiedział płacząco:

- Wiedziałem. To nie pepsi, to jest cola.

- Zamknij się i pij - odparła Dana

Leon bez słowa sięgnął po swoją kartę i uważnie ją studiował. Usłyszałyśmy, że ukryty za nią znowu płacze.

Udało mu się jednak pozbierać na tyle, by zamówić sarninę, lecz załamał się, precyzując zamówienie.

- Ale bez kaparów - mówił, niemal płacząc. - Nie... mo-oogę jeść... kaaapa-aarów...

- Wywołują w nim wzdęcia - powiedziała Dana.

- Dlaczego mówisz o tym głośno?

Gdy jedzenie zostało zamówione, Leon mógł się rozluźnić i naprawdę zapłakać.

- Był moim najlepszym przyjacielem, najlepszym kumplem, jakiego może mieć facet.

- Ona wie - powiedziała Dana. - Była jego żoną, pamiętasz?

- Przepraszam, Anno, ja wiem, że również dla ciebie to jest okropne...

- W porządku. - Nie chciałam się wdawać w tę rywalizację, które z nas dwojga rozpacza bardziej. Nie wiem, jak mi się to udało, ale nie pozwoliłam sobie myśleć, że Leon opłakuje Aidana. Po prostu płakał i nie miało to nic wspólnego ze mną.

- Dałbym wszystko, żeby cofnąć czas, żeby znów go zobaczyć, wicie? - Leon spojrział na nas pytająco z twarzą mokrą od łez. - Żeby tylko z nim porozmawiać.

To mi przypomniało, że potrzebuję jakiegoś medium. Dana może znać kogoś takiego. W swojej pracy spotyka przecież różnych ludzi.

- Czy ktoś z was zna ludzi o nadprzyrodzonych zdolnościach, cenionych jasnowidzów, poważne medium?

W jednej chwili łzy zatrzymały się w pół drogi na policzkach Leona.

- Medium?! Żeby porozmawiać z Aidanem?! O mój Boże, musisz za nim okropnie tęsknić... - Znow się rozplakał.

- Anno, jasnowidze i media to zwykły kit! - wykrzyknęła Dana. - Po prostu pic! Zedrą z ciebie pieniądze i na tym się skończy. Musisz się udać do terapeuty.

- Ja spotykam się ze swoim trzy razy w tygodniu. - Leon przestał płakać, żeby mi to powiedzieć. - Mówi, że robię postępy. - Potem łkał przez resztę wieczoru, przerywając tylko po to, żeby zamówić ciastko czekoladowe z lodami waniliowymi zamiast reklamowanych karmelowych. - Zbyt wiele smaków - powiedział do Diega ze łzawym uśmiechem.

Rozdział 7

... przywołała moją mamę, która mi powiedziała, gdzie schowała swoją obrączkę...

... musiałam we właściwy sposób pożegnać się z moim bratem i wreszcie odzyskać spokój...

... byłam taka szczęśliwa, mogąc znow porozmawiać z moim mężem. Okropnie za nim tęskniłam...

W Internecie było mnóstwo podobnych świadectw i referencji. „Czy mogę im ufać? - pytałam Aidana. - Mogli napisać je sami. Ci jasnowidze mogą być równie okropni jak ta oszustka Morna. Czy nie możesz dać mi jakiegoś znaku? Nie możesz przysłać na przykład motyla, żeby wskazał tego właściwego?”

Niestety, żaden motyl nie pojawił się z pomocą. Potrzebowałam jakiejś osobistej rekomendacji, ale kogo mogłabym zapytać? Rzecz w tym, że nie chciałam, aby ludzie pomyśleli, iż jestem szurnięta. A pomyśleliby. Rachel, podobnie jak Dana, powiedziałyby, że potrzebna mi jest jakaś terapia. Jacqui zaś stwierdziłaby, że jeśli tylko zacznę częściej wychodzić, wkrótce poczuję się świetnie. Ornesto natomiast zawsze spotykał się z jasnowidzami, ale oni wciąż mu mówili, że mężczyzna z jego marzeń czeka tuż za rogiem. Nigdy nie wspominali, że ów mężczyzna jest już żonaty albo że będzie go bił czy okradał z cennych rzeczy.

Może ktoś w pracy wiedziałby o jakimś...? Teenie... nie; instynktownie czułam, że ona należy do „szkoły Dany” i uważa, że to „pic”. Brooke byłaby przerażona... Jej sfera nie wierzyła w nic. W nic innego poza sobą.

Jedynymi osobami z pracy, które mogłam brać pod uwagę, były dziewczyny z EarthSource - Koo albo Aroon, czy jak im tam było na imię - ale z drugiej strony nie mogłam ryzykować zbytniego spoufalenia się z nimi, żeby nie skończyć znalezieniem się wśród Anonimowych Alkoholików wbrew własnej woli.

Przygnębiona, zajrzałam do elektronicznej skrzynki pocztowej. Był w niej tylko jeden e-mail. Od Helen.

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Temat: Praca!

Anno, dostałam zlecenie! Odpowiednią pracę! W przestępczości! Ale afera!

Wszystko zaczęło się wczoraj. Siedzę w biurze, nic do roboty, z nogami na biurku, zastanawiając się, czy wyglądam jak prawdziwy detektyw i czy zdarzy się coś zamiast „sprawy tajemniczej psiej kupy”. Nagle - jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki lub za sprawą

nadprzyrodzonych sił - podjechał jakiś samochód i zaparkował na podwójnej żółtej. Kontrolerzy parkowania są tu bardzo ostrzy, więc czekałam na niezłą rozróbę. Potem spostrzegłam, że ten samochód wygląda podejrzanie. Nie wiem, skąd to wiedziałam, ale wiedziałam. Instynkt. Żadnych przyciemnionych szyb, ale tylne siedzenia osłonięte różowymi firaneczkami, takimi jak rolety austriackie, tylko mniejszymi. Zgroza. Myślę sobie: Chryste, gdy wysiadają dwa palanty. Ale draka! Potężne, krępe skórzane marynarki i wypchane kieszenie na piersiach, które wołają „spluwy!”, ale założę się, że mają tam tylko bagietki z serem. Tak czy owak, to nie to samo co zdenerwowane kobiety przyjeżdżające szpanerskimi furgonetkami i mówiące, że mężowie nie chcą już z nimi sypiać. Ci dwaj faceci wchodzą, a jeden pyta: Czy to pani jest Helen Walsh?

Odpowiadam: Ja! (Przyznaję, że powinnam powiedzieć: a kto chce wiedzieć?)

Nie mam teraz czasu, żeby opisać Ci to wszystko... ale się dzieje! Przesłuchania, spluwy, wymuszenie, „siła”, góry forsy... i chcą MNIE! Zamierzam opisać wszystko, co się dzieje, i Ci wysłać. To wszystko jest o niebo lepsze niż zakichany scenariusz. Znacznie bardziej ekscytujące. Przygotuj się na długi, emocjonujący e-mail.

Wszystko wydawało się trochę za bardzo naciągane, wróciłam więc do wyszukiwarki Google, wstukując takie tematy jak „rozmowa ze zmarłym” oraz „nieoszukańcze media”, i właśnie wtedy pojawił się:

KOŚCIÓŁ KOMUNIKACJI SPIRYTYSTYCZNEJ

Kliknęłam w tę stronę i okazało się, że to prawdziwy, działający zgodnie z prawem Kościół, który uznaje, że można komunikować się ze zmarłymi!

Nie mogłam w to uwierzyć!

Mieli kilka filii w okolicach Nowego Jorku. Większość znajdowała się na północy stanu albo w odległych miejscowościach, ale jedna mieściła się na Manhattanie, u zbiegu Dziesiątej i Czterdziestej Piątej. Na stronie internetowej znalazłam informację, że nabożeństwo odbywa się w niedzielę o drugiej.

Spojrzałam na zegarek: za kwadrans trzecia. No nie, właśnie przepadł mi ten tydzień! Zawylałabym ze złości, gdyby nie to, że zaalarmowałam tym Ornesta, który zbiegłby na dół i zawracał mi głowę. No dobrze, powiedziałam sobie, odychając głęboko i uspokajając się; pójdę tam w przyszłym tygodniu.

Na samą myśl o prawdziwej rozmowie z Aidanem zakreśliło mi się w głowie. Tak bardzo, że pomyślałam, iż mogę stawić czoło światu. Pierwszy raz od jego śmierci naprawdę chciałam zobaczyć ludzi.

Rachel zaszła się w jakimś ustroniu, więc zadzwoniłam do Jacqui. Najpierw na komórkę, bo zawsze gdzieś biegała, ale odezwała się poczta głosowa. Zatelefonowałam więc do jej mieszkania i podniosła słuchawkę.

- Nie mogę uwierzyć, że jesteś w domu - powiedziałam.

- Leżę w łóżku - odparła zduszonym głosem.

- Jesteś chora?

- Nie, płaczę.

- Dlaczego?

- Wczoraj wieczorem wpadłam na Buzza w SoHo House. Był z jakąś dziewczyną, która wyglądała jak modelka. Próbował mnie przedstawić, ale nie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywam.

- Oczywiście, że mógł - powiedziałam. - To jego typowe zagranie. Po prostu chciał cię zdenerwować.

- Naprawdę?

- Tak! Udając, że chociaż przez rok był twoim chłopakiem, jesteś tak niezna-
cząca, że nawet nie pamięta, jak ci na imię.

- Wszystko jedno. Tak czy inaczej, poczułam się jak groch przy drodze, więc
spędzam okropny dzień z opuszczonymi roletami.

- Ale jest śliczne słoneczne popołudnie. Nie powinnaś siedzieć w domu.

Roześmiała się.

- Przecież to moje słowa.

- Chodźmy do parku - powiedziałam. -Nie.

- Proszę.

- No dobrze.

- Boże, jesteś wspaniała. Taka... odporna.

- Wcale nie jestem odporna. Po prostu wypaliłam ostatniego papierosa, więc
tak czy inaczej musiałabym wyjść. Do zobaczenia za pół godziny.

Sięgałam po klucze, gdy zadzwonił telefon. Przystanąłam w drzwiach, żeby
się dowiedzieć, kto dzwoni.

- Cześć, skarbie - rozległ się kobiecy głos. - Mówi Dianne.

To pani Maddox, matka Aidana. Natychmiast poczułam się winna: nie zatele-
fonowałam do niej od dnia pogrzebu. Ona też do mnie nie dzwoniła. Prawdopo-
dobnie z tego samego powodu. W czasie mojego pobytu w Irlandii mama dzwo-
niła do niej kilka razy z informacjami o postępach mojej rekonwalescencji, ale -
choć mi tego nie mówiła - odniosłam wrażenie, że te rozmowy były nieco trudne.

- Telefonowałam do Irlandii, powiedziano mi, że już wróciłaś do Nowego
Jorku. Czy możesz do mnie zadzwonić? Powinniśmy porozmawiać o... o pro... o
prochach.

Głos jej się załamał na tym słowie. Słyszałam, że próbuje się opanować, ale
płakała. Gwałtownie odłożyła słuchawkę.

A niech to, pomyślałam. Będę musiała do niej zadzwonić. Wolałabym, żeby mi odgryziono ucho.

Park był pełen ludzi. Znalazłam jakieś miejsce na trawie i kilka minut później zjawiała się Jacqui. Była w naprawdę krótkiej dżinsowej sukience, blond włosy związała w koński ogon, a podkrążone oczy ukryła za wielkimi przeciwsłonecznymi okularami od Gucciego. Wyglądała wspaniale.

- Jest naprawdę okropnym facetem - powiedziałam na wstępie. - Ma idiotyczny samochód i jestem pewna, że używa tuszu do rzęs.

- Ale minęło już sześć miesięcy, odkąd zerwaliśmy, więc jak mogę się tak de-nerwować? Od dawna nawet o nim nie myślałam.

Leniwie wyciągnęła się na trawie twarzą do słońca.

- Jeśli chodzi o następnego chłopaka, to może weźmiesz pod uwagę jakieś Głaszczące Piórko? - zapytałam. - Taki przynajmniej nie będzie próbował namawiać cię na trójkąt z prostytutką.

- Nie mogłabym. Chybabym się wyrzygała.

- Ale ci wszyscy twardziele - powiedziałam bezradnie - są okropni.

Buzz, będący uosobieniem anty-Piórka, okazał się nikczemny.

Wzruszyła ramionami.

- Lubię to, co lubię. Nic na to nie poradzę. Myślisz, że mogę zapalić fajkę bez ryzyka ukamienowania przez bojowników o świeże powietrze? Jasne, spróbuję. - Zapaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko, wypuściła dym jeszcze głębiej, a potem powiedziała z rozmarzeniem: - Zresztą nigdy nie będę mieć następnego chłopaka.

- Oczywiście, że będziesz mieć.

- Nawet nie chcę - mówiła dalej. - To się nigdy przedtem nie zdarzało. Zawsze miałam fioła na punkcie posiadania chłopaka. A teraz po prostu nie mogła-

bym się pieprzyć. Na początku zawsze są mili, więc skąd można wiedzieć, że to palanty? Choćby ten Buzz... Na początku przysyłał mi tyle kwiatów, że mogłabym otworzyć kwiaciarnię! Jak mogłam się domyślić, że to największy sukinsyn wszech czasów?

-Ale...

-Zamiast tego kupię sobie psa. Widziałam te nowe: labra-doodle. Skrzyżowanie labradorów z pudlami. Są naprawdę świetne. Małe jak pudle, kudłate, ale mają pyski labradorów. Idealne miejskie psy. Wszyscy sobie kupują.

- Nie kupuj psa - odparłam. - To tylko jeden krok do posiadania czterdziestu kotów. Nie trać wiary, proszę.

- Za późno. Stało się. Buzz zbyt wiele razy mnie zawiódł. Chyba nigdy nie będę w stanie znów uwierzyć mężczyźnie. -Ujmując to bardzo przyziemnie, dodała: - Zaszкодził mi; mdli mnie - po czym zaczęła się śmiać. - O rany, mówię jak Rachel. Pieprzyć to. Bawmy się! Skończę papierosa i idziemy na lody.

- Dobrze.

Jacqui nie przestaje mnie zdumiewać. Gdybym miała jedną setną jej zdolności powracania do formy, byłabym zupełnie inną osobą.

Zostałyśmy w parku aż do osłabnięcia słonecznego żaru, po czym wróciłyśmy do mnie, zamówiłyśmy tajskie jedzenie i obejrzałyśmy *Wpływ księżycy*, znając na pamięć większość dialogów.

Było jak za dawnych czasów.

W pewnym sensie.

Rozdział 8

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie Temat: Praca!

Tak więc, jak już mówiłam, do biura weszły dwa krzepkie palanty i jeden mówi: Ty jesteś Helen Walsh? Ja: Przecież widać!

(Anno, w tym momencie muszę Ci powiedzieć, że będę relacjonować wiele rozmów. Mogę nie robić tego słowo w słowo, ale pozwól, że wyjaśnię: powtarzam jak papuga, ale NIE PRZESADZAM).

Palant nr 1: Jeden ze znanych nam dżentelmenów chciałby zamienić z tobą słówko. Mamy instrukcję, żeby przywieźć cię do niego. Wsiadaj do auta.

Ja (śmiejąc się do rozpuku): Nie wsiadam do samochodu z dwoma mężczyznami, których nigdy przedtem nie widziałam... Może spróbujcie w sobotni wieczór, kiedy będę po szesnastu drinkach... A poza tym nie wsiadę do samochodu z austriackimi firankami (pamiętasz, już pisałam, że na tylnej szybie były okropne różowe zasłony).

Palant nr 1 (rzucając na biurko plik pieniędzy, starannie przeliczoną paczkę owiniętą w banderolę, tak jak owijają je w bankach): A teraz wsiądziesz do tego samochodu?

Ja: Ile tam jest?

On (przewracając oczami, ponieważ powinno się umieć to poznawać po grubości paczki): Patyk.

Ja: Chcesz powiedzieć: tysiąc euro?

On: No.

(Cholera, ale numer! Przeliczyłam i naprawdę był tam tysiąc!)

On: Więc jak, wsiądziesz do samochodu?

Ja: To zależy. Dokąd jedziemy?

On: Czeka na nas Mr Big.

Ja (podekscytowana): Mr Big? Ten z *Seksu w wielkim mieście*?

On: (ze znużeniem): Ten cholerny serial wpakował w kłopoty bossów zbrodni na całym świecie. Ksywa „Mr Big” ma wywoływać strach i przerażenie, a tymczasem wszyscy myślą o tym beztrojskim eleganciku...

Ja (przerywając):...który uprawia seks przez telefon. I jest właścicielem winnicy w Napa.

Palant nr 2 (pierwszy raz otwierając usta): Sprzedaje ją. (Ja i Palant nr 1 obracamy się w jego stronę).

Palant nr 2: Sprzedaje winnicę, wraca na Manhattan i kupuje mieszkanie z Carrie.

Wyglądał tak, że mógłby zacząć mnie tłuc, gdybym się nie zgodziła, więc się zgodziłam. Zresztą ma rację. Palant nr 1: Wypróbowaliśmy kilka nowych nazwisk. Przez jakiś czas nazywał się Mr Huge, ale to się nie przyjęło. Nazwisko Ginormous utrzymało się tylko przez jeden dzień. Więc wróciliśmy do Mr Biga, ale ilekroć dostajemy jakąś nową robotę, musimy przeżywać scenariusz tego cholernego *Seksu w wielkim mieście*. Wsiadaj do samochodu. Ja: Nie wsiadę, dopóki mi dokładnie nie wyjaśnicie, dokąd jedziemy. I nie sądzcie, że skoro jestem niska, to możecie mną dyrygować. Znam taekwondo. (Bytam przecież na jednej lekcji z mamą).

On: Tak? Gdzie chodzisz? Na Wicklow Street? Ja tam prowadzę kurs; zabawne, ale nigdy cię nie widziałem. Zresztą, jedziemy do sali bilardowej przy Gardiner Street, gdzie chce z tobą pogadać najpotężniejszy człowiek dublińskiej przestępczości.

Cóż, kto by się oparł takiemu zaproszeniu?

Przestałam czytać. Czy mówiła serio? Przypominało to raczej jakiś jej scenariusz. Chociaż, prawdę mówiąc, było znacznie lepsze. Odpowiedziałam:

Do: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Od: Czarodziejka1@yahoo.com

Temat: Bujdy?

Helen, ten e-mail, który mi przysłałaś, to prawda?! Czy to wszystko naprawdę się zdarzyło?!

Odpisała natychmiast:

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Temat: Żadne bujdy!

Prawda. Jak Boga kocham.

W porządku, pomyślałam, ciągle nie całkiem przekonana, i wróciłam do czytania.

Usiadłam z przodu, obok Palanta Nr 1. Nr 2 musiał siedzieć z tyłu.

Ja (do Palanta nr 1): Masz jakieś imię?

Palant nr 1: Colin.

Ja: A ten drugi?

On: Nie ma, ale dostanie.

Ja: Czyim pomysłem były te austriackie zasłony?

On: Mr Biga.

Ja: Istnieje jakiś Mr Big?

On (z wahaniem): Już niedługo może nie istnieć. Właśnie dlatego szef chce cię zobaczyć.

A ja myślę, o cholera! Sądziłam, że to może być początek całkiem nowego zajęcia, zamiast siedzenia w mokrych krzakach. Jedyna różnica będzie taka, że mokre krzaki będą własnością narkotykowych pośredników i alfonsów, przez co wcale nie staną się bardziej ekscytujące. Mokry krzak to mokry krzak. Witajcie z powrotem, moje wąsiki.

Podjechaliśmy przed obskurną salę bilardową z paskudnym pomarańczowym oświetleniem. Colin wprowadził mnie do boksu z pomarańczowymi siedzeniami. Dlaczego baronowie podziemia nie mogą spędzać czasu w przyjemniejszych lokalach, takich jak choćby bar lodowy w Czterech Porach Roku? Z kanapy w boksie uniósł się niski, schludny mężczyzna. Miał porządnie przystrzyżony szczeciasty wąsik, całkiem jak mój, gdy jest w pełnym rozkwicie.

On (podnosząc wzrok): Helen Walsh? Proszę usiąść. Napije się pani czegoś?

Ja: A co pan pije?

On: Mleko.

Ja: A ja miętową granitę.

Nie cierpię jej, smakuje jak pasta do zębów, po prostu ,chciałam być niemila.

On: Kenneth, podaj mojej znajomej miętową granitę.

Kenneth (barman): Kieliszek czego?

Mr Big: Kieliszek niczego! Granitę z miętą. No dobrze, panno Walsh, przejdźmy do interesów. Nic, co zostanie tu powiedziane, nie wyjdzie dalej, mówię to pani w całkowitym zaufaniu. Jasne?

Ja: Mhmmmm...

(Niewyraźnie, bo zaraz po powrocie do domu zamierzałam opowiedzieć to mamie, a teraz opowiadam Tobie). Ja (wskazując na Golina): A co z nim?

Mr Big: Colin jest w porządku. Nie mamy przed sobą tajemnic. Dobrze, no więc sprawa jest taka... Następnie spuścił głowę, zakrywając rękami oczy, jakby

miał się rozplakać. Rzuciłam podekscytowane spojrzenie na Colina, który wydawał się zatroskany.

Colin: Szefie, dobrze się pan czuje? Może woli pan to zrobić kiedy indziej?

Mr Big (donośnie pociągając nosem i „biorąc się w garść"): Nie, nie, wszystko w porządku. Pani Walsh, chcę, żeby pani wiedziała, że kocham moją żonę, Dettę. Ale ostatnio stała się bardzo... jak by to ująć... daleka, i coś mi podpowiada, że chyba spędza trochę za dużo czasu z Raceyem O'Grady. Trudno było mi się skupić, bo słyszałam, jak personel barowy pogrąża się w panice: miętowa granita... co to, do cholery, takiego... może to jest jedno z tych nowych piw... zajrzyj do piwnicy, Jason...

Ja (wołając): Posłuchajcie, wszystko w porządku, wezmę po prostu dietetyczną colę. (Zwracając się z powrotem do Mr Biga:) Przepraszam, pan coś mówił: Speedy McGreevy. On (marszcząc brwi): Speedy McGreevy? Speedy McGreevy nie ma z tym nic wspólnego. A może ma? (Zwęża oczy). Co pani wie? Kto to mówi? Ja: Nikt. Pan to powiedział.

On: Nie powiedziałem Speedy McGreevy. Powiedziałem Racey O'Grady. Speedy McGreevy uciekł do Argentyny. Ja: Pomyliłam się. Idźmy dalej.

On: Racey i ja rozwijaliśmy się powoli przez kilka ostatnich lat. On ma swoją działkę, ja mam swoją. Jedną z moich specjalności zawodowych jest oferowanie ochrony. Przez chwilę myślałam, że ma na myśli usługi ochroniarskie, ale potem uświadomiłam sobie, że chodzi mu o wymuszenia. Dziwne, ale poczułam lekkie mdłości.

On: Zatem, aby pani wiedziała, z jakim człowiekiem ma tutaj do czynienia, panno Walsh, proszę pozwolić, że pani opowiem. Nie jestem jakimś tępakiem, który pojawia się na budowie z kilkoma kumplami z żelaznymi prętami i rozgląda się, żeby pogadać z brygadzystą. Jestem wytrawnym biznesmenem. Mam liczne kontakty w ministerstwie urbanistyki, wśród prawników i w bankach. Jestem

ustosunkowany. Z góry wiem, co się wydarzy, więc wszystko jest dopięte, zanim zostanie położona pierwsza cegła. Jednak gdy w ostatnich sześciu tygodniach spotykałem się z przedsiębiorcami, aby zawrzeć nasze zwykłe umowy, dwukrotnie powiedzieli, że są już chronieni. To jest dla mnie bardzo interesujące, panno Walsh, gdyż bardzo mało osób zna z góry te plany. Większość z nich nawet nie dostała jeszcze akceptacji.

Ja: Skąd pan wie, że nie ma jakiegoś przecieku w biurze planowania? Albo wśród przedsiębiorców?

On: Bo to wymagałoby istnienia kilku przecieków z różnych źródeł. Zresztą wszystkich... (znaczące wahanie) prosiliśmy o wyjaśnienia. Byli czyści.

Ja: I pan sądzi, że Racey jest tym, który na choma wpycha się w pańską... hm... dziatkę? Dlaczego on?

On: Bo mi powiedziano, że tak było.

Ja: Zatem, co się pana zdaniem dzieje?

On: Mniej paranoiczny facet niż ja mógłby pomyśleć, że Detta mnie wypytuje, biegnie z tymi wiadomościami do Raceya i oboje mnie załatwiają. Ja: A jeśli ona to robi?

On: To nie pani sprawa. Ja chcę tylko, żeby pani dostarczyła mi dowodów, że ona i Racey są razem. Ja nie mogę śledzić Detty. Ona zna wszystkich chłopaków i wszystkie samochody.

Właśnie dlatego wbrew wielu radom sprowadzam outsidera.

Ja: Skąd się pan o mnie dowiedział?

Pomyślałam, że widocznie jestem legendą prywatnych detektywów w Dublinie.

On: Ze stron ogłoszeniowych

Ja (rozczarowana): Ach, tak...

On: Jeśli chodzi o Detkę, to kobieta z klasą.

Pomyślałam o różowych firankach w samochodzie. Chyba nie...

On: Detta pochodzi z dublińskiej arystokracji kryminalnej. Jej ojcem był Chinner Skinner.

Powiedział to tak, jakbym powinna o nim słyszeć.

On: Chinner był człowiekiem, który otworzył drzwi Irlandii dla heroiny. Wszyscy mamy u niego dług wdzięczności. Mówię to, żeby powiedzieć, iż Detta nie jest głupia. Ma pani broń?

Byłam zaskoczona, że powiedział to tak po prostu. Nie myślą, co mówią?

Ja: Nie mam.

On: Dostarczymy. Myślę, nie wiem...

On (nalegając): To dla mnie przyjemność.

Ja (sądząc, że lepiej udawać przez chwilę): W porządku.

Anno, jak wiesz, nie uznaję strachu, to wynalazek mężczyzn, którzy mają pieniądze i dobre posady, ale gdybym go znała, to wtedy poczułabym go na pewno.

Ja: Dlaczego miałabym potrzebować broni?

On: Bo ktoś może do pani strzelać.

Ja: Na przykład kto?

On: Na przykład moja żona. Na przykład jej cholerny przyjaciel Racey O'Grady. Na przykład matka jej przyjaciela... To ona wszystkiego pilnuje. Tessie O'Grady. Nic jej nie umknie. Colin (odzywając się nieoczekiwanie): Legenda dublińskiej zbrodni.

Mr Big (marszcząc brwi): Jeśli będę potrzebował twojej pomocy...

Potem Mr Big wstał. Był nawet niższy, niż sądziłam. Miał bardzo krótkie nogi.

Mr Big: Teraz mam spotkanie. Colin podrzuci pani później niezbędne materiały: broń, pieniądze, zdjęcia Detty, Raceya, wszystko, co trzeba. Jeszcze jedno,

panno Walsh. Jeśli pani to spieprzy, będę zły. A gdy ostatnio ktoś mnie rozzłościł - kiedy to było, Colin? w zeszły piątek? - to go ukrzyżowałem na tym stole bilar-dowym.

Ja: Pan osobiście? Czy jeden z pańskich asystentów?

On: Ja osobiście. Nigdy nie proszę moich ludzi o zrobienie czegoś, czego nie byłbym gotów zrobić własnymi rękami.

Ja: Ależ dokładnie to samo wydarzyło się w filmie *Przyzwoity przestępca*. Nie mógł pan wykorzystać własnej wyobraźni i ukrzyżować go na czymś innym? Na przykład na kontuarze baru?

Żeby odcisnąć na nim swój osobisty ślad. Nikt nie lubi papug. Spojrzał na mnie z rozbawieniem i - powiadam Ci, Anno -dobrze, że nie uznaję strachu, bo w przeciwnym razie narobiłabym w majtki.

I tym frapującym akcentem opowieść się kończyła. Gorączkowo przejecha-łam kursorem w dół, żeby sprawdzić, czy jest coś więcej, ale nie było. Niech to szlag. Bardzo mi się podobało. Niezależnie od tego, jak się upierała, że każde słowo jest prawdziwe, wiedziałam, że mocno przesadza. Helen była jednak tak zabawna, nieustraszona i pełna życia, że trochę jej radości spłynęło na mnie.

Rozdział 9

Znowu spojrzałam na zegarek. Minęły tylko cztery minuty od chwili, gdy ostatni raz sprawdzałam, która jest godzina. Jak to możliwe? Miałam wrażenie, że co najmniej piętnaście.

Chodziłam - prawdę mówiąc: z nerwową ekscytacją biegałam - po mieszka-niu, czekając, aż nadejdzie pora, aby wyjść do owego kościoła spirytystów na ich

niedzielną mszę. Trzeba było wielkiej powściągliwości, by nie mówić o tym nikomu: Rachel, Jacqui, Teenie ani Danie. Jedyne strach, że mogłyby mnie poćwiartować, kazał mi milczeć.

Chodziłam tam i z powrotem z salonu do sypialni, pertraktując z Bogiem, w którego już nie wierzyłam. *Jeśli dzisiaj Aidan się pokaże i porozmawia ze mną, to... to... Co? Znowu w ciebie uwierzę? To chyba uczciwa propozycja, prawda?*

- Widzisz? - mówiłam do Aidana. - Widzisz, co obiecałam. Widzisz, jak daleko jestem gotowa się posunąć. Więc lepiej się pokaż.

LR

Wyszłam z domu o wiele za wcześnie. Wsiadłam z metra na skrzyżowaniu Czterdziestej Drugiej z Siódmą i dalej szłam przez miasto, mijając aleje - Siódmą, Ósmą i Dziewiątą - z żołądkiem skurczonym ze zdenerwowania.

Im bardziej zbliżałam się do Hudsonu, tym bardziej przygnębiający i portowo-magazynowy stawał się krajobraz. Ta część miasta była zupełnie innym światem niż Piąta Aleja. Budynek, niższe i bardziej ściśnięte, przyciskały się na chodniku, jakby się bały, że ktoś je zburzy. Tutaj zawsze było chłodniej i nawet powietrze wydawało się inne, ostrzejsze.

Z każdym krokiem na zachód narastało we mnie zdenerwowanie: tu nie mogło być żadnego kościoła. Co powinnam zrobić? - zapytałam Aidana. - Iść dalej? Poczulałam się jeszcze gorzej, gdy wreszcie znalazłam budynek. Z pewnością nie wyglądał jak kościół. Raczej jak jakiś zaadaptowany magazyn. Nie najlepiej zaadaptowany. Popeniłam jakiś okropny błąd.

Napis na ścianie w holu informował jednak, że Kościół Komunikacji Spirytystycznej mieści się na czwartym piętrze. Ten kościół naprawdę istniał!

Jacyś ludzie przeszli obok mnie, więc przepełniona nagłym szczęściem pobiegłam i wcisnęłam się za nimi do windy. Były tam trzy kobiety mniej więcej w tym samym wieku co ja. Wyglądały całkiem normalnie: jedna trzymała reklamówkę, przysięgłabym, Marca Jacobsa, druga zaś, co zauważyłam po chwili, miała paznokcie pomalowane prawie mnie zatkało -lakierem Candy Girrl o nazwie „chickachickachicka” (jasno-żółty). Ze wszystkich marek na całym świecie wybrała właśnie tę? Przypadek? Potraktowałam to jako Znak.

- Które piętro? zapytała reklamówka Marca Jacobsa. Stała najbliżej przycisków.

- Czwarte - odpowiedziałam.

- Tak jak my. - Uśmiechnęła się. Odwzajemniłam uśmiech.

Najwyraźniej rozmawianie ze zmarłymi w niedzielne popołudnie było czymś bardziej powszechnym, niż wcześniej przypuszczałam.

Wyszłam za nimi z windy i pustym korytarzem przeszłam do pokoju pełnego innych kobiet. Wszystkie zaczęły się witać, a jakaś egzotycznie odziana postać podeszła do mnie. Miała długie, ciemne włosy, nagie ramiona, długą spódnicę z falbanami (przypominającą mi moje młode lata) i tony filigranowej złotej biżuterii na szyi i wokół talii, a także na nadgarstkach, ramionach i palcach.

- Cześć - powiedziała. - Taniec brzucha?

- Słucham?

- Przyszłaś tutaj, żeby się uczyć tańca brzucha? Dopiero wtedy spostrzegłam, że pozostałe kobiety w tym pomieszczeniu też noszą długie, odsłaniające brzuch spódnice i ozdobne pantofelki, a moje trzy współpasażerki z windy przebierają się ze zwyczajnych ubrań w zdobne dzwoneczkami fatałaszkami.

- Nie, ja przyszłam do Kościoła Komunikacji Spirytystycznej.

Teraz zapanowała taka wrzawa, jakiej nigdy nie spotkałam. Całą salę wypełniło jedno nieskoordynowane dzwonienie, gdyż wszystkie zebrały się wokół, żeby na mnie popatrzeć.

- To nie tutaj - powiedziała najważniejsza z dam. - Prawdopodobnie dalej, wzdłuż korytarza.

Pod spojrzeniem filigranowych dziewcząt wycofałam się. Na korytarzu sprawdziłam numer na drzwiach: 506. Rozmowy ze zmarłymi odbywały się w sali 514.

Szłam przez korytarz, mijając sale po obydwu stronach. W jednej kilka leciwych kobiet śpiewało *Gdybym był bogaczem*, w innej cztery osoby skupiały się wokół czegoś, co wyglądało jak scenariusz, a w jeszcze innej jakiś mężczyzna o głębokim barytonie śpiewał o wietrznym mieście, a ktoś akompaniował mu na rozklekotanym pianinie.

Całe to miejsce zalatywało amatorskim teatrem.

Musiałam trafić pod niewłaściwy adres. Jak to możliwe, by mieścił się tu jakiś kościół? Jeszcze raz spojrzałam na kawałek papieru: sala 514... i była sala 514. Na samym końcu korytarza. Wcale nie wyglądała jak kościół; po prostu powsta sala z kręgiem dziesięciu czy jedenastu twardych krzeseł na zakurzonej, pełnej drzazg podłodze.

Niepewnie zastanawiałam się, czy powinnam wyjść, a ściślej: jakie to wszystko jest szalone?

Jednak powstrzymała mnie nadzieja. Nadzieja i desperacja. Trzeba przyznać, że przyszłam wcześniej. Wyjątkowo wcześniej. A jeśli odbyłam tę drogę, to przecież mogłam zobaczyć, czy przyjdzie także ktoś inny.

Usiadłam na ławce w korytarzu i czekałam, obserwując przebieg wydarzeń w innych salach.

Ośmiu półnagich młodzieńców, dwa rzędy po czterech, stepowało na gołych deskach, śpiewając, że wypucują jakiegoś faceta, a jakiś muskularny starszy mężczyzna wykrzykiwał taneczne instrukcje.

- I OBRÓT, i SHIMMY, i W PRZÓD, i OBRÓT, uśmiech, chłopaki, UŚMIECH, do cholery, i OBRÓT, i SHIMMY, i... w porządku, stop muzyka, STOP, STOP!

Rozklekotane pianino ucichło.

- Brandon, kochanie - rzekł z irytacją starszy mężczyzna - co się dzieje z twoim shimmy? Czekam na to... - pochylił się do przodu i wykonał pięknie płynny ruch ramieniem - a nie na to... - niezgrabnie potrząsał górną częścią ciała, jakby próbował torować sobie drogę przez tłum.

- Przepraszam, Claude - odparł jeden z chłopców, najwyraźniej Brandon, ów nieszczęsny wykonawca shimmy.

- Oto, na co czekam - powiedział władczy tonem Claude i przeszedł do demonstracji: wznosił się i wirował na czubkach palców oraz wykonywał szerokie skoki w powietrze, przez cały czas szczerząc się przerażającym sztucznym uśmiechem. Skończył, kłaniając się z udawaną unізonością do samej podłogi i unosząc ręce za plecami niczym skrzydła samolotu.

- Przepraszam - rozległ się czyjś głos - czy pani przyszła na spirytyzm?

Odwróciłam głowę. Jakiś młody facet, chyba tuż po dwudziestce, patrzył na mnie z przejęciem. Widziałam, że dostrzegł moją bliznę, ale nie okazał żadnej wyraźnej odrazy.

- Tak - powiedziałam ostrożnie.

- To świetnie! Zawsze miło widzieć jakąś nową twarz. Mam na imię Nicholas.

- Anna.

Wyciągnął rękę, a widząc jego młodość i kolczyk w brwi, nie byłam pewna, czy proponuje mi normalny uścisk ręki, czy jakiś zabawny, młodzieżowy, ale okazało się, że to zwyczajny, bezpośredni gest.

- Zaraz powinni przyjść inni.

Nicholas był chudy i żyłasty; dzinsy po prostu na nim zwisały. Miał ciemne, postawione na lakier włosy, czerwone trampki i T-shirt z napisem „Bądź nieustraszony. Bądź naprawdę nieustraszony”. Kilka plecionych bransoletek owijało się wokół jego nadgarstka. Nosił też co najmniej trzy masywne srebrne pierścionki, a na przedramieniu tatuaż, który rozpoznałam, bo był akurat bardzo modny: sanskrycki symbol, który oznaczał coś w rodzaju „słowo jest miłością” czy „miłość jest odpowiedzią”.

Wyglądał najzupełniej normalnie, ale tak właśnie było w Nowym Jorku: obłąkanie objawiało się we wszystkich kształtach i rozmiarach. Atakowało znie-nacka. W innych miejscach wygląda to prościej: wariaci wrzeszczą na ulicy na

niewidzialnych wrogów albo idą do apteki po żel Bonjela odziani w kostium Napoleona.

Nicholas skinął w stronę chłopaków odbywających próbę *Południowego Pacyfiku*.

- Sława kosztuje - rzekł - i właśnie tu zaczyna się ponosić te koszty.

Wyglądał normalnie, mówił normalnie. I nagle zapytałam siebie: dlaczego nie miałby po prostu być normalny? Ja na przykład przyszedłam tutaj, a przecież nie byłam nienormalna, tylko po prostu pogrążona w smutku i rozpacz.

I teraz, gdy ktoś wreszcie się pojawił, byłam żądna odpowiedzi.

- Nicholas, czy... byłeś tu... już przedtem? - Tak.

- A ta osoba, która wywołuje...

- Leisl.

-...Leisl. Czy ona naprawdę komunikuje się z... - nie chciałam powiedzieć „z umarłymi” -...ze światem duchów?

- Tak - odparł z zaskoczeniem. - Naprawdę.

- Przekazuje wam wiadomości od ludzi... z tamtej strony?

- Tak, naprawdę ma jakiś dar. Mój ojciec zmarł dwa lata temu i dzięki Leisl przez te ostatnie dwa lata rozmawiałem z nim częściej niż przez całe życie. Teraz, gdy umarł, mamy ze sobą o wiele lepszy kontakt.

Ni stąd, ni zowąd poczułam się niemal chora z napięcia.

- Mój mąż umarł - wyrzuciłam z siebie. - Naprawdę chcę z nim porozmawiać.

- Jasne. - Nicholas skinął głową. - Ale wiesz, rzecz w tym, że Leisl nie jest telefonistką. Jeśli ktoś nie chce być wezwany, ona nie może go gonić i polować jak pies.

- Byłam u pewnej kobiety - mówiłam bardzo szybko. - Ktoś mi powiedział, że jest osobą o zdolnościach parapsycho-logicznych, ale okazała się naciągaczką.

Stwierdziła, że spoczywa na mnie jakaś klątwa, a ona może ją zdjąć za tysiąc dolarów.

- O rany, trzeba uważać. - Z żalem potrząsnął głową. - Jest mnóstwo oszustów żerujących na ludzkiej wrażliwości. Leisl prosi tylko o tyle, by starczyło na czynsz. A oto i ona.

Leisl była niską kobietą o krzywych nogach, obładowaną torbami z zakupami. W jednej z nich zobaczyłam porcję laza-nii, które rozmrażały się, pokrywając ścianki torby kropelkami wody. Włosy kobiety nosiły ślady nieudanej trwałej ondulacji.

Nicholas dokonał prezentacji.

- To jest Anna, jej mąż zginął.

Leisl natychmiast odłożyła swoje torby i objęła mnie mocno, przyciągając do szyi moją twarz, wskutek czego oddychałam przez nieprzeniknioną gęstwinę jej włosów.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie.

- Dziękuję - wymamrotałam przez garść włosów, bliska łez z powodu jej uprzejmości.

Uwolniła mnie z uścisku i powiedziała:

- A oto Mackenzie.

Odwróciwszy się, zobaczyłam dziewczynę, idącą korytarzem, jakby szła po wybiegu na pokazie mody. Księżniczka Park Avenue, z rozpuszczonymi złotymi włosami i torebką od Diora, w sandałkach na obcasach tak wysokich, że większość ludzi skreśliłaby sobie (lub zwichnęła, nie wiadomo, co gorsze) na nich kostkę.

- Ona tu przychodzi? - zapytałam.

- Co tydzień.

Sądząc z jej wyglądu, nawet nie powinna być w Nowym Jorku. Powinna aż do września rezydować w jakiejś posiadłości w kolonialnym stylu gdzieś w Hamptons. Nastrój mi się poprawił. Mackenzie mogła sobie pozwolić na najlepsze medium, jakie można kupić, a zdecydowała się przychodzić tutaj. Leisl musiała więc być dobra.

Za Mackenzie podążał jakiś niezdarny, niemal dwumetrowy facet o zielonobiałej twarzy, w garniturze grabarza.

- To Zombie Fred, żywy trup - szepnął Nicholas. - Chodź, pomóżmy przygotować salę.

Leisl włączyła magnetofon z przejmującą muzyką wiolonczelową i właśnie zapalała świece, gdy zaczęli napływać inni.

Zjawiała się puciołowata, źle ubrana dziewczyna (prawdopodobnie młodsza ode mnie, ale wyglądająca na kompletnie zrezygnowaną). Przyszedł też jakiś starszy dżentelmen, niski i wytwornie wypomadowany, a także kilka starszych pań z nerwowymi tikami i taliami ściśniętymi elastycznymi pasami. Jedna z nich miała ciekawe sandały; wyglądały, jakby zrobiono je z opony samochodowej. Im dłużej na nie patrzyłam, tym bardziej mi się podobały. Nie dlatego, że chciałybym je nosić (dość miałam idiotyzmów w pracy), ale były naprawdę interesujące.

Gdy wszedł następny mężczyzna, Nicholas ścisnął mnie za rękę.

- To jest Mitch. Jego żona zginęła. Macie dużo wspólnego. Chodź, przedstaw się was sobie.

Poprowadził mnie przez salę.

- Mitch, to jest Anna. Jej mąż zmarł... kiedy? Przed kilkoma miesiącami? Oskubała ją jakaś naciągaczka, mówiąc, że ciąży na niej klątwa. Pomyślałem, że mógłbyś jej pomóc. Opowiedz Annie o Neris Hemming.

Mitch i ja skrzyżowaliśmy spojrzenia i poczułam się tak, jakby poraził mnie prąd. On zrozumiał; jedyny, który zrozumiał. Patrzyłam mu prosto w oczy, a przez nie w jego przygnębioną, osamotnioną duszę, i rozpoznawałam ten widok.

Rozdział 10

Wszyscy siedzieli i trzymali się za ręce. Ja zdołałam się wślizgnąć między kobietę w oponowych sandałach i wypomadowanego faceta. Cieszyłam się, że nie muszę trzymać ręki Zombie Freda. Było nas dwanaścioro, łącznie z Leisl. Migotliwe świece w ciemnej sali i mroczna wiolonczelowa muzyka w tle tworzyły odpowiedni nastrój. Z pewnością było to miejsce, gdzie umarli czuliby się dobrze.

Leisl zrobiła małe wprowadzenie, witając mnie i mówiąc o głębokich oddechach oraz koncentracji, a także wyrażając nadzieję, że „Duch” dostarczy to, czego każdemu potrzeba. Potem pozwolono nam przestać trzymać się za ręce.

Cisza, która zapadła, trwała i trwała, i trwała... a we mnie narastało rozgoryczenie. Kiedy to cholerstwo się zacznie? Otworzyłam jedno oko i prześlizgnęłam się wzrokiem po kręgu twarzy, słabo widocznych w blasku świec.

Mitch patrzył na mnie; nasze spojrzenia spotkały się i zawisły w powietrzu. Szybko znów zamknęłam oko.

Gdy Leisl wreszcie przemówiła, aż podskoczyłam.

- Mam tu jakiegoś wysokiego mężczyznę... Otworzyłam oczy i chciałam podnieść rękę, jakbym była w szkole. To dla mnie! To dla mnie!

-...ktoś bardzo wysoki, potężny, czarnowłosey... Serce mi zamarło. Nie dla mnie.

- To wygląda jak moja mama - powolnym, gardłowym głosem powiedział Zombie Fred.

Leisl szybko dokonała ponownej analizy.

- Fred, przepraszam, tak, to jest twoja mama.

- Zbudowana jak porządna kamienica - wyrzucił z siebie Fred. - Mogłaby być zawodowym bokserem.

- Prosi cię, abys był ostrożny przy wsiadaniu do metra. Mówi, że nie zwracasz uwagi i możesz się poślizgnąć.

Po chwili ciszy Fred zapytał:

- To wszystko?

- To wszystko.

- Dzięki, mamó.

- Teraz mam ojca Nicholasa. - Leisl odwróciła się twarzą do Nicholasa. - Mówi... przepraszam, to są jego słowa, nie moje... że jest na ciebie wkurwiony.

- Co w tym nowego? - zaśmiał się Nicholas.

- Czy masz jakąś trudną sytuację w pracy?

Nicholas twierdząco skinął głową.

- Twój tata mówi, że obwiniasz tego drugiego faceta, ale musisz się zastanowić, czy nie ponosisz częściowej odpowiedzialności za to, co się dzieje.

Nicholas przeciągnął się, unosząc ręce nad głowę, a potem podrapał się po piersi.

- Może tak... - odparł z namysłem. - Prawdopodobnie ma rację. Koszmarna sprawa. Dzięki, tato.

Zapadła jeszcze głębsza cisza, a potem pojawił się ktoś dla kobiety w oponowych sandałach, która miała na imię Barb, i kazał jej włączyć do diety olej rzepakowy.

- Już go używam - niecierpliwie powiedziała Barb.

- Więcej oleju rzepakowego - dodała szybko Leisl.

- Dobrze.

Innej starszej damie zmarły mąż kazał „dalej robić kolejną dobrą rzecz”, matka niegustownie ubranej dziewczyny powiedziała jej, że wszystko zmierza ku dobremu, Juan, ten wypomadowany facet, dostał wiadomość, że ma żyć dniem dzisiejszym, a żona Mitcha powiedziała, że jest zadowolona, widząc, że w tym tygodniu jest trochę bardziej uśmiechnięty.

Nic nieznaczące, mgliste komunały. Gadanina kojąca, ale wcale nie z „tamtego świata”.

Same bzdety, myślałam z goryczą, i właśnie wtedy Leisl powiedziała:

- Anno, mam coś dla ciebie.

Zrobiło mi się gorąco; o mało nie zwymiotowałam, chodziłam po sali. Dziękuję, Aidan, dziękuję.

- To kobieta. - Cholera! - Jakaś starsza kobieta, mówi do mnie bardzo głośno.

- Leisl wydawała się nieco zmieszana. -Prawie krzyczy. I stuka laską w podłogę, żebym słuchała uważnie.

Boże, to mogła być babcia Maguire! Właśnie tak zwykła postępować, gdy z nami zamieszkała: ilekroć musiała iść do łazienki, stukała laską w podłogę swojej sypialni, aby ktoś przyszedł na górę i jej pomógł. Wtedy my na dole ciągnęliśmy zapalki. Bałam się jej. Wszyscy się baliśmy. Zwłaszcza jeśli dawno nie udawała się na dłuższe posiedzenie.

- Mówi o twoim psie.

Musiała minąć chwila, zanim wyjąkałam:

- Ja nie mam prawdziwego psa. Tylko pluszaka.

- Myślisz, żeby sobie kupić.

- Ja? Nie.

Mackenzie pisnęła podekscytowana:

- Ja mam psa. To musi być do mnie.

- W porządku. - Leisl zwróciła się do Mackenzie. - Duch mówi, że twój pies musi więcej biegać, robi się gruby.

- Przecież spaceruję z nim codziennie. No, może nie tyle ja, ile... wyprowadzacz. Chyba nie myślicie, że mogłabym mieć grubego psa.

Leisl wydawała się w to wątpić i rozejrzała się po sali. Czy jest tu ktoś inny z grubym psem? Nikt.

To jest kit, pomyślałam. Cholerny, pieprzony kit.

Nagle otworzyły się drzwi i do środka wdarło się oślepiające światło, a za nim czterech czy pięciu pulchnych chłopców, śpiewających: „Oaaakk-la-homa! Gdzie te...! Och, przepraszam". Niesamowite, ale wszyscy wyglądali identycznie. Nastrój prysł i poczułam się trochę głupio.

- Czas minął - powiedziała Leisl. Ludzie wrzucali zwinięte dolarowe banknoty do miseczki, wstawali i zdmuchiwali świece.

Rozdział 11

W korytarzu poczułam się zdruzgotana i nie zdołałam tego ukryć.

- I jak? - zapytał Nicholas. Zdecydowanie pokręciłam głową. Nie.

- Widzę, że nie - przyznał ze smutkiem. - Wygląda na to, że na ciebie nie działało.

Leisl podbiegła i chwyciła mnie.

- Tak mi przykro, kochanie, naprawdę chciałam, by przeszło przeze mnie coś dobrego dla ciebie, ale ja nie mam żadnej władzy nad tymi sprawami.

- A gdybyśmy spróbowały... spotkać się indywidualnie? -zapytałam, bo może gdyby nie owi zmarli krewni tych wszystkich ludzi, wrzeszczący do jej ucha wieści o oleju rzepakowym i inne bzdury, Aidan miałby szansę, żeby się przebić.

Leisl jednak ze smutkiem pokręciła głową.

- Jeśli chodzi o mnie, indywidualne spotkania nie działają. Potrzebuję energii grupy...

Za to jedno ją szanowałam. Niemal jej zaufałam.

-...ale czasami otrzymuję wiadomości w nieoczekiwanych porach, na przykład kiedy jestem w domu i oglądam *Curb Your Enthusiasm*. Jeśli będzie to wiadomość dla ciebie, to ją prześlę.

- Dzięk...

Urwałam w pół słowa, gdyż jej ciało bez ostrzeżenia zeszywniało, a oczy się zaszklily.

- Och, teraz dostaję wiadomość dla ciebie. Co ty na to? Kolana mi się ugięły.

- Widzę złotowłosego chłopczyka - powiedziała. - W kapeluszu. Czy to twój syn? Nie, to nie twój syn, twój... siostrzeniec?

- Mój siostrzeniec, J.J., ale on żyje.

- Wiem, ale jest dla ciebie ważny.

Dziękuję za powiedzenie mi czegoś, co już wiem, mruknęłam w myślach.

- Stanie się jeszcze ważniejszy...

Co to miało znaczyć? Ze Maggie umrze, a ja będę musiała wyjść za Garva i być macochą dla J.J. i Holly?

-...Przykro mi, kochanie, nie wiem, co to znaczy. Ja tylko przekazuję wiadomość.

Odchodząc korytarzem ze swoimi lazaniami, wyglądała na kablakowatych nogach, jakby odbywała chaplinowski spacer.

- Co to było? - zapytał Nicholas.

- Powiedziała, że mój siostrzeniec.

- Nie twój zmarły mąż?

- Nie.

- Okay, podejźmy do Mitcha.

Mitch pogrążony był w dyskusji z Barb, kobietą w oponowych sandałach, która była naprawdę fajna, zważywszy, że miała prawdopodobnie dobrze po sześćdziesiątce (równie śmieszna jak te sandały wydawała się jej torba na zakupy, która wyglądała, jakby zrobiono ją na szydełku z taśm magnetofonowych).

- Mitch opowie ci o Neris Hemming - obiecał Nicholas. - Ona często występuje w telewizji i nawet pomogła policji znaleźć jakąś zamordowaną dziewczynę. Jest tak dobra, że mówi głosem żony Mitcha. Mitch! - zawołał. - Podejdź tu, kolego.

- Idź i pogadaj - powiedziała Barb chropowatym głosem.

- Ja wyjdę na zewnątrz na papierosa. Kto by pomyślał? Maszerowałam obok doktora Kinga w ruchu obrony praw obywatelskich. Stoczyłam niezły bój w rewolucji kobiecej. I patrzcie na mnie: muszę ukrywać się w wejściu jak sztubak, żeby zapalić papierosa. Dlaczego to wszystko tak źle się skończyło?

- Roześmiała się zrzędliwie. - Do zobaczenia za tydzień.

Mitch podszedł do nas.

- W porządku - rzekł do mnie Nicholas. - Opowiedz mu wszystko.

Przełknęłam ślinę.

- Mój mąż zmarł, więc przyszedłam tu dzisiaj z nadzieją, że nawiążę z nim kontakt. Chciałam z nim porozmawiać. Dowiedzieć się, gdzie jest. - Ścisnęło mnie za gardło. - Sprawdzić, jak się czuje.

Mitch wszystko zrozumiał, widziałam to.

- Opowiedziałem jej o tym, że poszedłeś do Neris Hemming - wyjaśniał Nicholas. - Skontaktowała się z twoją żoną i nawet zaczęła mówić jej głosem, prawda?

Mitch uśmiechnął się lekko w odpowiedzi na entuzjazm Nicholasa.

- Nie mówiła jej głosem, ale... tak, naprawdę rozmawiałem z Trish. Byłem u wielu podobnych osób, ale tylko ona to dla mnie zrobiła.

Serce biło mi bardzo szybko. Zaszło mi w ustach. .

- Masz numer jej telefonu?

- Oczywiście. - Wyjął notes. - Ale jest bardzo zajęta. Prawdopodobnie będziesz musiała długo czekać na spotkanie z nią.

- W porządku.

- I będzie cię to kosztować. Bolesnie. Dwa tysiące dolarów za trzydzieści minut.

Byłam zaszokowana. Dwa tysiące dolarów to przerażająca kwota. Moje finanse były w strasznym stanie. Aidan nie miał polisy na życie... cóż, ja też nie... Przecież żadne z nas nie miało najmniejszego zamiaru umierać, a czynsz za nasze mieszkanie był tak wygórowany, że opłacanie go teraz z jednej pensji pochłaniało ją niemal co do centa. Oszczędzaliśmy, żeby kupić jakieś mieszkanie na własność, ale te pieniądze były zamrożone na lokacie na kolejny rok, więc żyłam z kart kredytowych i robiłam dobrą minę, ignorując rosnące długi. Z chęcią jednak zabrnęłabym w następny dług dla owej Neris Hemming... Nie przejmowałam się. ile to kosztuje.

Mitch przeglądał swój notes, wyraźnie zakłopotany.

- Tu go nie ma. Przysięgłbym, że go mam. Zawsze to samo, wciąż wszystko gubię...

Ja też. Tak często byłam pewna, że coś mam w torebce, a potem odkrywałam, że tego nie mam. Poczułam kolejną nić porozumienia z Mitchem.

- Z pewnością znajdę ten numer - powiedział. - Musi być gdzieś w mieszkaniu. Może dam ci go za tydzień?

- Podam ci swój telefon. Czy mógłbyś zadzwonić, gdy go znajdziesz?

- Jasne. - Wziął moją wizytówkę.

- Czy mogę cię o coś zapytać? - zagadnęłam. Dlaczego przychodzisz tutaj po spotkaniu z kimś tak dobrym?

Patrzył w dal, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Po rozmowie z Trish za pośrednictwem Neris byłem w stanie uwolnić się od wielu rzeczy. Ale... nie wiem... lubię tu przychodzić. Leisl jest dobra na swój własny sposób. Nie trafia w dziesiątkę co tydzień, ale ma dość wysoką średnią. A ci ludzie rozumieją, jak to jest... Wszyscy inni sądzą, że już powinienem się z tym uporać. Przychodząc tutaj, mogę być sobą. - Włożył moją wizytówkę do portfela. - Zadzwoń do ciebie.

- Zadzwoń, bardzo proszę - powiedziałam. - Bo nie miałam zamiaru wracać.

Rozdział 12

Później, w domu, zastanawiałam się jednak, czy Leisl mogła być bliska czegoś. Ta duchowa „postać”, „głos”, czy jak to nazwać, naprawdę trochę przypominała babcię Maguire. No i ten pies... Wiem, że to trochę naciągane, to gadanie o moim (niestety nieistniejącym) psie, ale babcia Maguire trzymała charty.

Mówiono, że z nimi spała. W sensie - no, rozumiecie, co mam na myśli. Choć, gdy teraz o tym myślę, przypominam sobie, że powiedziała mi to Helen i nigdy nie uzyskałam potwierdzenia z bardziej wiarygodnego źródła.

Ilekcio odwiedzialiśmy babcię Maguire, w chwili, gdy wysiadałam z samochodu, wołała: „Chodź, Gerry; chodź, Martin” (nazwała je tak na cześć Gerry'ego Adama i Martina McGuinnessa), a dwa chude stworzenia wypadały z domu i przypierały mnie do muru, łapami z obu stron mojej twarzy, szczekając tak, że pękały mi bębniaki w uszach.

Babcia Maguire skręcała się ze śmiechu.

- Nie daj poznać, że się boisz! - wrzeszczała, tak się przy tym śmiejąc, że musiała walić laską w ziemię. - One czują strach, czują strach.

Wszyscy mówili, że babcia Maguire to Osoba z Charakterem, ale tylko dlatego, że nie puszczała na nich psów. Gdyby było inaczej, nie byłiby tacy skorzy do określania jej tym mianem.

A to napomknienie Leisl o małym, złotowłosym siostrzeńcu w kapeluszu? Nie każdy miał siostrzeńca. Z lekkim niepokojem zaczęłam się martwić o J.J. A jeśli Leisl dawała mi jakieś ostrzeżenie? A jeśli coś złego działo się z J.J.? Obawa nie przestawała mnie dręczyć, aż w końcu nie miałam innego wyboru jak zadzwonić i sprawdzić, czy wszystko w porządku, mimo że w Irlandii była pierwsza w nocy.

Telefon odebrał Garv.

- Obudziłam was? - wyszeptałam. Odpowiedział szeptem.

-Tak.

- Bardzo przepraszam, Garv, ale czy mógłbyś coś dla mnie zrobić? Mógłbyś sprawdzić, czy J.J. dobrze się czuje?

- W jakim sensie?

- Czy żyje. Czy oddycha.

- Dobrze, zaczekaj przy telefonie.

Nawet gdyby Aidan nie umarł, Garv by mi ustąpił. Był miły. Odłożył na bok słuchawkę, więc usłyszałam szept Maggie.

- Kto to?

- Anna. Chce, żebym sprawdził, jak się czuje J.J.

- Dlaczego?

- Po prostu.

Trzydzieści sekund później Garv był z powrotem.

- Wszystko w porządku. J.J. czuje się świetnie.

- Przepraszam, że was obudziłam.

- Nie szkodzi.

Czułam się trochę głupio, gdy się rozłączałam. Wszystko przez Leisl.

Ledwie odłożyłam słuchawkę, ogarnęło mnie przemożne pragnienie, żeby porozmawiać z Aidanem. Klikając wściekle, szukałam Neris Hemming w Internecie. Miała własną stronę z setkami wyrazów uznania. Były też szczegółowe informacje o jej trzech książkach - nie wiedziałam, że w ogóle jakieś napisała; chciałam od razu biec do najbliższej księgarni - oraz informacja o zbliżającym się tournée po dwudziestu siedmiu miastach. Zamierzała odbywać wielotysięczne imprezy w takich miejscach jak Cleveland w stanie Ohio i Portland w Oregonie, ale ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu nie wybierała się do Nowego Jorku.

Najbliższym miejscem było miasto Raleigh w Karolinie Północnej. Pojadę, pomyślałam z nagłą determinacją. Wezmę jeden wolny dzień i polecę. Potem odkryłam, że spotkanie jest odwołane, i uderzyła we mnie kolejna fala żalu.

Pragnąc umówić się na indywidualne spotkanie, klikałam we wszystkie linki, dopóki nie stało się jasne, że nie ma sposobu skontaktowania się z nią przez Internet. Musiałam więc dostać jej numer od Mitcha

Rozdział 13

Próbowałam sobie przypomnieć, czy ja i Aidan kłóciliśmy się ze sobą. Myślę, że musieliśmy się kłócić. Nie wolno mi wpaść w pułapkę przeistaczania go w jakiegoś świętego, dlatego że umarł. Najważniejsze jest to, by zapamiętać go takim, jaki był naprawdę. Jednak nie przypomiinałam sobie żadnych poważnych wybuchów; żadnych wrzasków czy fruujących talerzy.

Oczywiście zdarzały się między nami nieporozumienia i sprzeczki: ja miewałam sporadyczne ataki zazdrości o Janie, a Aidan zaciskał zęby i stawał się gburowaty na każdą wzmiankę o Shanie.

Właśnie tak było tamtego ranka, gdy szykowaliśmy się do wyjścia do pracy, a on miał jakiś problem z włosami.

- Tak nie wyjdę - narzekał, starając się zapanować nad którąś upartą kępką.

- To nie ma znaczenia - powiedziałam. - Wyglądasz uroczo z tym sterczącym kosmykiem.

Rozjaśnił się na krótko, a potem powiedział:

- Och, ty masz pewnie na myśli ten irlandzki urok; urok chłystka, a nie urok amerykański.

- Uroczy to znaczy zachwycający.

- Nie chcę być uroczy ani zachwycający - odparł wnerwiony. - Chcę dobrze wyglądać. Chcę być przystojny jak George Clooney.

Odstawił tubkę z żelem do włosów na półkę z nieco większą siłą, niż było to konieczne, co mnie rozzłościło i zarzuciłam mu próżność, on zaś powiedział, że chęć, by wyglądać jak George Clooney, nie świadczy o próżności, lecz jest czymś normalnym, na co odparłam: „Czyżby?”, a Aidan rzekł: „Tak!”. Po czym, naburmuszeni, kontynuowaliśmy poranne ablucje w całkowitym milczeniu. Jednak był to wczesny poranek, a poprzedniego wieczoru późno poszliśmy spać, więc byliśmy zmęczeni, a musieliśmy iść do pracy, choć wcale nam się nie chciało, zatem w tych okolicznościach cała sprawa była zrozumiała.

Były też inne rzeczy: doprowadzałam go do szaleństwa, kiedy bawiłam się wrastającymi włoskami na swoich nogach.

To było wspaniałe... wyciskanie i wyskubywanie... obrzydliwe, wiem, ale czy jest coś bardziej satysfakcjonującego...? A on mówił: „Anno, proszę cię, nie znoś, kiedy to robisz”. No co ja: „Przepraszam” - i udawałam, że przestałam, ale robiłam to dalej, ukrywając się za gazetą albo za poduszką. Po chwili Aidan mówił: „Wiem, że wciąż to robisz”. Ja zaś odpałam: „Nie mogę się powstrzymać! To moja sprawa, moje... hobby, pomaga mi się odprężyć”.

„Nie możesz wypić kieliszka wina?" - odpowiadał, a ja, wściekła, wychodziłam do sypialni, dzwoniłam do kogoś i dłużyłam dalej ku zadowoleniu mego serca. Jakiś czas później wyłaniałam się w szczytowej formie i znów byliśmy przyjaciółmi.

Był też taki epizod, gdy jesienią pojechaliśmy do Vermont, żeby zobaczyć, jak zmieniają się liście, i stwierdziłam, że Aidan robi za dużo zdjęć. Uważałam, że postanowił sfotografować każdy najdrobniejszy liść w tym stanie i ilekroć naciskał przycisk migawki i uwalniał terkoczący dźwięk, czułam, że mam tego dość.

Jednak mimo różnic nie było tak źle i nawet najgorsza sprzeczka, do jakiej między nami doszło, dotyczyła czegoś naprawdę głupiego: rozmawialiśmy o miejscach wakacyjnych wyjazdów i powiedziałam, że nie chciałabym, aby prysznice były na powietrzu. Aidan zapytał dlaczego, więc opowiedziałam mu historię o tym, jak Claire miała taki prysznic w obozie safari w Botswanie i przyłapała pawiana, który ją obserwował, oddając się starej, dobrej masturbacji.

- To niemożliwe - oświadczył Aidan. - Ona zmyśla.

- Nie zmyśla - odparłam. - Jeśli Claire powiedziała, że coś takiego się zdarzyło, to na pewno tak było. Ona nie jest taka jak Helen.

(Faktycznie wcale nie miałam pewności, czy tak było w tym przypadku. Claire nie cofała się przed ubarwieniem opowieści).

- Pawian nie zareagowałby w ten sposób na kobietę - upierał się Aidan. - To mogłoby się zdarzyć tylko wtedy, gdyby obserwował pawianicę.

- Pawianica nie brałaby prysznica.

- Wiesz, o co mi chodzi.

Wtedy cała sprawa przerodziła się w problem pod hasłem: „Chcesz powiedzieć, że moja siostra nie spodobałaby się pawianowi?", ale mieliśmy ciężki ty-

dzień w pracy, oboje byliśmy marudni i z ochotą wdaliśmy się w sprzeczkę o czymkolwiek.

Na tym jednak - szczerze! - kończyły się nasze kłótnie.

Skoro już mowa o siostrach: nadszedł kolejny e-mail od Helen o jej nowej pracy.

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Temat: Praca!

Ten palant Colin przywiózł mi spluwę... ciężką, ekscytującą. Wyobraź sobie: ja i spluwa!

Miałam do niego mnóstwo pytań. Najważniejsze: Jak naprawdę nazywa się Mr Big? (Pamiętaj proszę, że powtarzam jak papuga).

Colin: Harry Gilliam.

Ja: Naprawdę sądzisz, że coś się dzieje z jego żoną i tym Raceyem O'Grady?

Colin: Tak. Prawdopodobnie. Jeśli to jest prawda, Harry będzie okropnie wkurzony. Ma fiota na punkcie Detty.

Detta Big jest damą i Harry zawsze uważał, że jest za dobra dla niego. A teraz chodźmy.

Ja: Dokąd?

On: Na strzelnicę.

Ja: Po co?

On: Po to, żebyś nauczyła się strzelać.

Ja: A cóż w tym trudnego? Po prostu celuję i pociągam za spust.

On (ze znużeniem): Daj spokój, chodź.

Pojechaliśmy do zabawnego bunkra na wzgórzach dublińskich, pełnego usmarowanych, gapiących się w jeden punkt facetów, którzy wyglądali tak, jakby każdy trzymał w ogródku własny oddział bojówkarzy. Byłam niezła. Kilka razy trafiłam w cel (szkoda, że nie w swój, ha, ha, ha!). Strasznie bolało mnie ramię. Nikt mi nie powiedział, że strzelanie boli strzelających. Cóż, zastrzelonych boli na pewno (ha, ha, ha).

PS. Nie denerwuj się. Wiem, że jesteś w tym momencie śmiertelnie wkurzona, ale obiecuję ci, że: a) nie dam się zastrzelić, b) nikogo nie zastrzelę.

Opowieść o spluwie mnie zatrwożyła, więc ta obietnica była pewną ulgą. Dopóki nie zobaczyłam drugiego post scriptum.

PPS. Może tylko paru okropnych facetów...

Tak czy inaczej, rozśmieszyło mnie to. Prawdopodobnie nie należało traktować jej zbyt poważnie. Bóg jedyny wiedział, jak bardzo to ubarwiła. Lub wymyśliła.

Rozdział 14

Poniedziałkowy poranek. Co oznacza PPP, czyli Poniedziałkowe Poranne Posiedzenie. I oto przyszedł Franklin, klaskaniem w dłonie zgarniając swoje dziewczyny.

Idąc do sali posiedzeń, Teenie wsunęła mi rękę pod ramię. Wyglądała dziś niemal normalnie, w srebrzystej sukience w stylu Barbarelli i długich, srebrzystoszarych butach, sznurowanych aż do kolan. Tylko posrebrzane ochraniacze na

łokcie i kolana, jakie noszą deskorolkarze, były dowodem prawdziwego szaleństwa.

- Do dzieła - powiedziała. - Gotuj się na upokorzenie!

- Degradację na oczach równych tobie - dodałam.

- I podkopywanie przez pomniejszych.

Nam łatwo było się śmiać; my radziłyśmy sobie dobrze.

Ja dostawałam dobre zamówienia. Nic wielkiego, ale na Poniedziałkowych Porannych Posiedzeniach zawsze miałam kilka rzeczy do pokazania i omówienia po każdym weekendzie. Może w redaktorach działów urody budziłam współczucie swoją okaleczoną twarzą i zmarłym mężem. Zapewniam, nie wykorzystywałam tego, ponieważ coś takiego mogło się łatwo obrócić przeciwko tobie: widziano by mnie jako osobę zagrażającą swoim pechem i oszpeconą twarzą firmie Candy Girrl.

Zwykle po zakończeniu PPP pojawia się uczucie, że nowy tydzień może być tylko lepszy. Ale nie dzisiaj. Dzisiejszy dzień był „dniem zero” dla Eye Eye Captain. Dzisiejszy dzień był dniem, w którym sto pięćdziesiąt zestawów Eye Eye Captain miało być zapakowanych i gotowych do dostarczenia jutro wszystkim kolorowym magazynom i gazetom. Ta chwila miała zasadnicze znaczenie: nie mogły być wysłane dzisiaj, nie można było wysłać ich pojutrze. To musiało być jutro. Dlaczego? Bo Lauryn wypróbowywała nową taktykę w stylu partyzanckim. Zamiast normalnej dotychczasowej promocji -dostarczania wszystkim redaktorom mnóstwa wcześniejszych informacji - próbowaliśmy czegoś wręcz przeciwnego. Starannie wybrała moment, by mieć pewność, że Eye Eye Captain dotrze na biurko każdego ważnego redaktora tuż przed oddaniem do druku ich pisma. Chodziło o to, żeby ich kompletnie olśnić czymś świeżym i nowym, sprawić, by sądzili, że wpadli na nowy produkt, wskutek czego wyrzuci-

liby coś innego i dali nam miejsce. Wprawdzie była to gra wysokiego ryzyka, ale Lauryn uparcie twierdziła, że musimy spróbować.

To mogło się sprawdzić, ponieważ pomysł był nowatorski: zestaw do ochrony i pielęgnacji skóry wokół oczu. Trzy różne produkty, z których każdy współdziała z dwoma pozostałymi dla wzmocnienia skuteczności wszystkich (tak mówiono). W skład zestawu wchodziły: chłodzący żel do likwidacji opuchlizny i worków pod oczami, rozświetlający korektor w sztyfcie do maskowania ciemnych kręgów i puszysty mus wygładzający zmarszczki.

Pozostał tylko jeden maleńki problem: zestawy produktów nie dotarły jeszcze od wytwórców z Indianapolis. Były w drodze. Z całą pewnością. Miały być u nas do jedenastej. Ale jedenasta nadeszła i minęła. Lauryn odbyła historyczną rozmowę telefoniczną i otrzymała zapewnienie, że kierowca jest w Pensylwanii i będzie u nas najpóźniej o pierwszej. Pierwsza przeszła w drugą, potem w trzecią i wreszcie w czwartą. Najwyraźniej kierowca ciężarówki zgubił drogę wjazdu na Manhattan.

- Pieprzony kmiot! To jest pieprzone szaleństwo! - wrzeszczała Lauryn. Potem rzuciła słuchawkę i spojrzała na mnie. W jakimś sensie wszystko było z mojej winy. Wdaliśmy się w to, ponieważ ośmieliłam się mieć wypadek samochodowy i przez dwa miesiące nie było mnie w pracy.

Było już po piątej, gdy wielkie kartonowe pudła zostały wniesione do sali posiedzeń. Nie patrzyliśmy sobie w oczy, gdyż wszyscy myśleli tylko o jednym: kto zostanie do późna... do późnej nocy... i to zrobi?

Brooke wybierała się na jakąś imprezę dobroczynną, by coś ochraniać (wieloryby, Wenecję, a może słonie o trzech nogach). Teenie miała szkołę (zresztą to i tak nie było jej zadanie).

Musiałam to być ja. Tylko ja.

Wszyscy byli tak przyzwyczajeni, że pracuję do późna, iż nawet nie spytali, czy mam jakieś plany, ale gdy to się stało, ja zamierzałam spotkać się z Rachel. Wymknęłam jej się w czasie weekendu, wymawiając się nadmiarem pracy, a teraz naprawdę musiałam pracować. Dziewczyna z nadgodzinami.

- Czy ktoś ma coś przeciwko temu, żebym odbyła szybką rozmowę telefoniczną, odwołującą moje spotkanie z siostrą?

Zabrzmiało to tak sarkastycznie, że wymieniono zdumione spojrzenia. Od czasu do czasu nieoczekiwanie dopadały mnie wybuchy tak wściekłego, niemal palącego gniewu, że cisnęły mi się na usta najgorsze słowa.

- Ależ... nie... oczywiście... załatw to - powiedziała Lauryn.

Teenie pomogła mi otworzyć pudła i wysypać produkty na stół w sali posiedzeń, a Brooke, muszę jej oddać sprawiedliwość, włożyła sto pięćdziesiąt informacji dla prasy w sto pięćdziesiąt miękkich kopert, mimo że wyszła na większą część popołudnia, ponieważ jej ciocia Genevieve (która nie była prawdziwą cicią, tylko jedną z niezmiernie bogatych przyjaciółek jej matki) wydawała dla niej lunch w prywatnej sali restauracyjnej u Pierre'a.

A potem wszyscy wyszli. W budynku zapanowała cisza, szumiały tylko komputery. Spojrzałam na materiały rozłożone na konferencyjnym stole i ogarnęłam mnie żal.

Widzisz, jak oni mnie traktują?

Zaczęłam od wyłożenia wnętrza wszystkich kopert arkuszami srebrnej lamy. Trwało to aż do ósmej; pracowałam wolniej niż zwykle z powodu paznokci. Potem zmieniłam się w ludzki automat. Na jednym końcu stołu przyklejałam do koperty drukowaną nalepkę, potem ruszałam, by z pierwszego stosu sięgnąć chłodzący żel do worków pod oczami, z drugiego rozświetlający korektor, a z trzeciego mus kryjący zmarszczki, i wrzucałam je do miękkiej koperty. Następ-

nie sięgałam po garść srebrnych gwiazdek, rozsypywałam je na wierzchu, zaklejałam kopertę, ciskałam ją w kąt i wracałam do początku.

Wpadłam nawet w pewien rytm. Nalepka-pak-pak-pak--koperta-gwiazdki-zamknąć-fruuu. Nalepka-pak-pak-pak-ko-perta-gwiazdki-zamknąć-fruuu. Nalepka-pak-pak-pak-koper-ta-gwiazdki-zamknąć-fruu...

Było to bardzo kojące i długo płakałam, zanim to w ogóle zauważyłam. Właściwie nawet nie tyle płakałam, ile samo mi się płakało. Łzy spływały mi po twarzy bez żadnego udziału z mojej strony... żadnego zanoszenia się płaczem, żadnego przetykania łez, żadnego drżenia ramion. Było to bardzo spokojne. Płakałam przez cały czas i chociaż łzy rozmazały tusz na nalepce adresowej magazynu „Femme”, żadnej innej szkody nie wyrządziły.

Zanim skończyłam, była północ, ale sto pięćdziesiąt pakunków czekało na poranny transport do adresatów.

Taksówkarz, który wiózł mnie do domu, był dobry i szalony. Miał ogromne wąsy i długie, kręcone włosy, o których non stop nawijał. Powiedział, że jest podobny do Samsona: cała jego moc tkwiła we włosach, a wszystkie jego „niewiasty” próbowały je obciąć, gdyż „chciały go osłabić”. W dzie-sięciostopniowej skali szalonych taksówkarzy bez trudu dostałby siódmkę, może nawet siódmkę z plusem, a ja czułam, że został przysłany przez Aidana: była późna noc, pracowałam szesnaście godzin bez przerwy, więc chciał mnie rozbawić.

Rozdział 15

Nadszedł kolejny e-mail od Helen.

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Temat: praca

Pierwszy dzień obserwacji Detry Big. Skulona w krzakach ogrodu za jej dużym domem w Stillorgan, z lornetką wycelowaną w jej sypialnię.

Ma około pięćdziesiątki, kragły tyłek, duże cycki i pomarszczony dekolt. Blond włosy do ramion, podkreślane termolokami. Nosi wysokie obcasy, kremową dzianinową (boucle?) spódnicę i sweter. Nie dostrzegłam żadnych zgrubień ani cellulitu w okolicy jej tyłka, nawet przy zoomie nastawionym na „max”. Widocznie nosi pas wysmuklający i ściągający. Wygląda jak starzejąca się prezen-terka wiadomości.

Za dziesięć dziesiątą włożyła płaszcz. A więc wyjście. Podjechał samochód, duży srebrny beemer (wóz cierpiący na brak osobowości), i udała się do miejscowego kościoła. Poszła na mszę! Usiadłam z tyłu, zadowolona, że nie muszę tkwić w krzakach. Później pojechała po gazety, kupiła „Heralda”, „Take A Break”, karton papierosów Benton & Hedges i paczkę miętówek (ekstra mocnych). Potem wróciła do domu, a ja do czuwania w krzakach.

Włączyła czajnik, zrobiła herbatę i siedziała przed telewizorem, paląc i wpatrując się w przestrzeń. O pierwszej wstała, a ja pomyślałam: Proszę, niech wyjdzie. Ale ona po prostu zjadła talerz zupy z tostem, a potem wróciła przed telewizor i znów siedziała, paląc i gapiąc się w przestrzeń. Około czwartej wstała, więc pomyślałam: No proszę, a jednak! Ale nie wyszła, wzięta się za odkurzanie. Naprawdę. Słyszałaś kiedyś coś bardziej zwariowanego?

Skończywszy odkurzanie, Detta wróciła do kuchni, włączyła czajnik, zrobiła herbatę, a potem siedziała, paliła i znów gapiła się w przestrzeń. Boże, mam nadzieję, że jutro będzie trochę bardziej ekscytujące.

I e-mail od mamy...

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Walshowie1@eircom.net

Temat: Przestępczość zorganizowana.

Kochana Anno!

Źle się dzieje. Helen już się nie zajmuje naszą „domową” sprawą (tzn. psią kupą). Jest zbyt pochłonięta nowym zleceniem.

„Tyranizuje” nas tym, gdyż współdziała ze znanymi przestępcami.

Gdybym przypuszczała, po tym wszystkim, co poświęciliśmy dla waszej edukacji, że właśnie tak skończy moja najmłodsza córka, nigdy nie posłałabym żadnej z was do szkoły. Posiadanie niewdzięcznego dziecka jest groźniejsze niż ukąszenie węża. Ona mówi, że ta osoba, którą obserwuje, żona tego „barona przestępczego podziemia” ma ładne ciuchy jak na starszawą panią. Czy to może być prawda? I że w jej domu jest naprawdę czysto? I że sama sprząta? Czy to rzeczywiście możliwe, czy Helen po prostu próbuje mnie zdenerwować? Próbowałam posługiwać się jej aparatem fotograficznym, ale to jest aparat cyfrowy i ani ja, ani twój ojciec nie zdołaliśmy go rozgryźć. Więc jak mamy złapać tę starą babę na gorącym uczynku? W poniedziałek znowu wróciła do swoich dawnych sztuczek. Jeśli będziesz rozmawiać z Helen, może spróbujesz ją przekonać, żeby nam pomogła? Wiem, że jesteś „pogrążona w smutku”, ale może ciebie posłucha.

Twoja kochająca Mama

Rozdział 16

Plama czerwieni wprawiła mnie w zdumienie. Krew. Okres. Pierwszy od wypadku.

Prawie nie zauważyłam, że nie pojawia się co miesiąc; nie martwiłam się, ponieważ gdzieś w zakamarkach umysłu wiedziałam, że dzieje się tak wskutek szoku i okropnych przeżyć. Ani przez chwilę nie podejrzewałam, że mogę być w ciąży, ale teraz, z jakąś straszną ulgą, uświadomiłam sobie kolejny aspekt odejścia Aidana.

Nie urodzę twojego dziecka. Nie powinniśmy byli czekać. Powinniśmy starać się o nie od razu. Ale skąd mieliśmy wiedzieć?

Nawet o tym rozmawialiśmy. Pewnego ranka, tuż po ślubie, ja się ubierałam, a Aidan leżał na łóżku z nagim torsem i rękami pod głową.

- Anno - powiedział - dzieje się coś niesamowitego.

- Co? Kosmici lądują na sąsiednim dachu?

- Nie, posłuchaj: od dzieciństwa miłością mojego życia była drużyna Boston Red Sox. Już nią nie jest. Teraz oczywiście jesteś nią ty. Wciąż się nimi interesuję i chyba wciąż ich lubię, ale już ich nie Kocham. - Wszystko to mówił w łóżku, w jakiś poważny, uduchowiony sposób, wpatrując się w sufit. - Przez cały ten czas nigdy nie chciałem mieć dzieci. A teraz chcę. Z tobą. Chciałbym mieć miniaturową wersję ciebie...

-...a ja chciałabym mieć miniaturkę ciebie. Ale, Aidan, żebyśmy nie zapomnieli, ja mam szaloną rodzinę i w każdej chwili mógłby się pojawić jakiś samotny szalony gen.

- Dobrze, dobrze, byłoby fajnie. A poza tym musimy myśleć o Piesiu. Piesio potrzebuje dziecka. - Oparł się na łokciu i oświadczył: - Mówię poważnie.

- O Piesiu?

- Nie, o tym, żebyśmy mieli dziecko. Możliwie najszybciej. Co o tym myślisz?

Pomyślałam, że bardzo bym chciała.

- Ale jeszcze nie teraz. Wkrótce. Niebawem. Powiedzmy, za dwa lata. Kiedy kupimy odpowiednie mieszkanie.

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Walshowiel@eircom.net

Temat: Tak nie może być

Kochana Anno!

Mam nadzieję, że trzymasz się dobrze. Nie wiem, czy poczujesz się lepiej, czy gorzej na wieść, że u nas również dzieje się bardzo źle. Dziś rano przy naszej furgonce pojawiła się kolejna psia kupa. To przypomina życie w stanie obłąkania. Na szczęście twój ojciec tym razem w nią nie wdepnął, ale zrobił to mleczarz, co go wyjątkowo rozzłościło, a nasze stosunki z nim są już wystarczająco niedobre od czasu, gdy skreśliliśmy mleko z powodu idiotycznej diety, którą Helen nam zarekomendowała, a której przestrzegaliśmy przez pięć minut, nim twoja siostra zrozumiała, że lody też są mleczne. Tym razem dość trudno było go przekonać, żeby wrócił. Twoja kochająca Mama.

Rozdział 17

Przez cały tydzień siedziałam jak na szpilkach, czekając, aż ten facet, Mitch, zadzwoni do mnie z numerem telefonu Neris Hemming, ale dni mijały bez żadnej wiadomości. Powzięłam więc pewien plan: jeśli nie zadzwoni do niedzieli, pójdę tam jeszcze raz. Dzięki temu poczułam się mniej przerażona i mniej bezsilna. Potem przypomniałam sobie, że to świąteczny weekend, 4 lipca, więc co będzie, jeśli on wyjedzie? I znów wpadłam w panikę i bezsilność.

W pracy był to okropny tydzień. Byłam wściekle wkurzona i chociaż moje przemieszczone kolano oficjalnie miało się lepiej, stałam się bardzo niezdarna, jakby jedna strona mego ciała była cięższa od drugiej. Wciąż uderzałam się o wszystko, wpadłam z filiżanką kawy na szufladę biurka Lauryn, na zebraniu przewróciłam się o ścieralną tablicę i chwyciłam Franklina za jaja. Właściwie tylko je musnęłam, ale on wciąż robi z tego jakieś okropne żarty.

Wszystkie te wypadki były jednak niczym w porównaniu z katastrofą Eye Eye Captain, ponieważ płacząc, rozmazałam nalepkę adresową magazynu „Femme”, która stała się nieczytelna, wskutek czego przeznaczony dla nich pakiet został nam zwrócony przez kurierów we wtorkowe popołudnie, więc nie zdążyliśmy go dostarczyć przed przekazaniem numeru do druku. Lauryn wciąż miała usta zaciśnięte z wściekłości. Każdego ranka, gdy wychodziłam z windy, ledwie postawiłam jeden but na dywanie, a ona już krzyczała na cały korytarz:

- Czy wiesz, jaki wysoki jest nakład „Femme”? Czy wiesz, jak wiele kobiet to czyta?

Potem dołączał się Franklin, wyjąc, że bez swoich klejnotów mężczyzna jest niczym.

Kiedy w piątkowe popołudnie weszłam do najbliższego sklepiku po zapasy na swój wieczór płakania, wreszcie zrozumiałam, dlaczego jestem taka wkurzona. Umierałam z gorąca. Niewielki sklepik przypominał rozgrzany piec.

- Strasznie gorąco! - powiedziałam do sklepikarza.

Nie spodziewałam się odpowiedzi, bo nie sądziłam, że mówi po angielsku, ale on odparł:

- Gorąco! Tak! Fala upałów! I to od wielu dni. Od wielu dni? O czym on mówi?

- Co za... kiedy się zaczęła ta fala upałów?

- Słucham?
- Kiedy? Którego dnia zaczął się ten upał?
- W czwartek...
- W czwartek? - To nie tak źle.
- Nie, we wtorek.
- We wtorek? - upewniałam się przerażona.
- W niedzielę.
- To nie było w niedzielę.
- No... któregoś dnia, nie pamiętam.

Zaniepokojona, powoli szłam do domu z torebką słodczy. Ta sprawa z falą upałów nie wyglądała dobrze. Byłam tak pogrążona i zamknięta w sobie, że chociaż ją zauważyłam, nie zauważyłam jej wystarczająco.

Gryzł mnie pewien niepokój: czy to możliwe, że przez cały tydzień, zajmując się pracą i nosząc ciuchy nieodpowiednie dla takiej temperatury... śmierdziałam?

* * *

Po trzech godzinach snu obudziłam się w sobotni poranek ze strużką potu we włosach. Cholera. Więc to prawda: nadeszła fala upałów i lato. Ogarnęło mnie przerażenie.

Nie chcę, żeby to było lato. Lato jest o wiele za daleko od dnia, w którym umarłeś.

Przedtem myślałam, że chciałabym, aby minęło tyle czasu, żebym mogła o nim myśleć bez zabijającego mnie bólu, ale teraz, gdy nastał lipiec, pragnęłam, by wiecznie trwał luty.

Ludzie mówią, że czas leczy rany. Ja jednak nie chciałam być wyleczona, bo gdyby tak się stało, czułabym się, jakbym go porzuciła.

Powalona przez duchotę, nie miałam siły się ruszyć. Należało włączyć klimatyzator, ale to potężne urządzenie było wielkości telewizora. Zeszłej jesieni Aidan odstawił je na wysoką półkę w salonie. Znow ogarnęło mnie przerażenie.

Nie ma cię tutaj, żeby je zdjąć.

Te osobliwe chwile, kiedy zapominałam na ułamek sekundy, że Aidan umarł, były błędem, ponieważ potem musiałam przypominać sobie wszystko od nowa. Szok zawsze uderzał mnie z taką samą siłą.

Kiedy to się stanie łatwiejsze? Czy kiedykolwiek stanie się łatwiejsze? Myślałam o innych ludziach, których wciąż nawiedzało przerażenie: o ocalonych z holocaustu, o ofiarach gwałtów, o ludziach, którzy stracili całe rodziny. Często wiedli życie, które wydawało się normalne. Na jakimś etapie z pewnością przestali sądzić, że wszystko jest istnym koszmarem.

Udręczona duchotą, smutkiem i mijającymi sekundami, powiedziałam mu wreszcie: *Najwyraźniej to nie smutek mnie zabija, ale potęga żaru.* Zmusiłam się, żeby wstać i poszukać klimatyzatora. Był na najwyższej półce. Nawet stojąc na krześle, nie mogłabym go dosięgnąć, a gdybym mogła, i tak był za ciężki, żebym zdołała go ruszyć.

Musiałam poprosić Ornesta. Wiedziałam, że jest w domu, bo przez ostatnie dziesięć minut śpiewał na cały głos.

Otworzył mi drzwi odziany w szorty-ogrodniczki ze złotej lamy i kwieciste klapki.

- Wyglądasz wspaniale - powiedziałam.

- Wejdz - zaprosił mnie. - Posłuchajmy pewnej pieśni. Potrząsnęłam przecząco głową.

- Potrzebuję mężczyzny. Ornesto szeroko otworzył oczy.

- Cóż, dokąd pójdziemy, by znaleźć jednego z nich, kochanie?

- Ty będziesz musiał to zrobić.

- Nie wiem - odparł z powątpiewaniem. - A co ten „mężczyzna” musi zrobić?

- Znieść z najwyższej półki mój klimatyzator i wmontować go w okno.

- Wiesz co, weźmy Bubbę z góry, żeby nam pomógł.

- Bubbę...?

- Bubbę, czy jak tam on się nazywa... To wielki facet. Nosi okropne ciuchy. I nie będzie się przejmował, że je przepoci. Chodźmy. - Ornesto ruszył na górę i zapukał do drzwi z numerem dziesięć.

- Kto tam? - rozległ się podejrzliwy, głęboki głos. Ornesto i ja spojrzeliśmy na siebie i dostaliśmy nieoczekiwanego ataku śmiechu.

- Anna. Anna spod szóstki - powiedziałam zduszonym głosem i skinęłam na Ornesta.

- I Ornesto spod ósemki.

- Czego chcecie? Zaprosić mnie na garden party? Sposób, w jaki to powiedział, dał nam pretekst do śmiechu.

- Nie, proszę pana - odparłam. - Zastanawiałam się, czy mógłby mi pan pomóc przenieść klimatyzator.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich potężny pięćdziesięcio-parolatek w podkoszulku.

- Potrzebuje pani silnego faceta?

- Hmrara, tak...

- Już dawno żadna kobieta mi tego nie mówiła. Wezmę tylko klucze.

Wszyscy troje zeszliśmy do mojego mieszkania, gdzie pokazałam mu stojący na półce klimatyzator.

- Nie powinno być problemu - rzekł Bubba.

- Ja pomogę - obiecał Ornesto.

- No jasne, synku. - Zabrzmiało to mile.

Bubba wdrapał się na krzesło, które Ornesto trzymał w teatralnej pozie, dostarczając też wielu głosowych zachęt typu „trzymasz go”, „tak”, „jeszcze trochę”, „trochę dalej”, „jeszcze kawałek”, „uff...”.

Po chwili klimatyzator był już na dole, został doniesiony do okna, wstawiony i - niczym za sprawą czarodziejskiej różdżki - do mieszkania wpłynęło miłosiernie chłodne powietrze. Jaka ulga!

Podziękowałam mężczyźnie wylewnie.

- Może napije się pan piwa? Wyciągnął rękę.

- Eugene.

- Anna.

- Piwa napiję się z przyjemnością.

Na szczęście miałam jakieś. Jedno. Dosłownie jedno. Bóg wie, od jak dawna stało w lodówce.

Eugene oparł się o kuchenny bufet i szukając daty ważności piwa, zapytał:

- Co się stało z tym facetem, który tu mieszkał? Wyprowadził się, czy co?

Nastąpiła krótka przerwa. Ornesto i ja spojrzeliśmy na siebie.

- Nie - odparłam. - Był moim mężem.

Umilkłam. Nie mogłam się zmusić do powiedzenia tego słowa. Śmierć to temat tabu. Wszyscy wyrażali mi współczucie z powodu „tragedii”, „bolesnej straty”, ale nikt nie użył słowa „śmierć” ani „umarł”, ani „zmarły”, co często spełniało mnie okropnym pragnieniem, by powiedzieć donośnie: „Aidan umarł. Jest martwy. Nie żyje, zmarł, zmarł, zmarł, zmarł, zmarł, zmarł, zmarł, ZMARŁ. To tylko słowo... nie ma się czego bać!”. Ale nic nie mówiłam; to nie ich wina. Nie uczono nas, jak sobie radzić ze śmiercią. Mimo że spotyka każdego. Mimo że jest jedyną rzeczą w życiu, jakiej możemy być pewni. Wzięłam głęboki oddech i wyrzuciłam z siebie to słowo.

- Umarł.

- Och, tak mi przykro, dziecko - powiedział Eugene. -Moja żona też umarła. Jestem wdowcem już blisko pięć lat.

O mój Boże. Nigdy nie myślałam o tym w taki sposób.

- Jestem wdową - powiedziałam i zaczęłam się śmiać.

To może się wydawać dziwne, ale właśnie wtedy pierwszy raz użyłam tego słowa na określenie samej siebie. Wyobrażenie, jakie miałam o „wdowach”, podsuwało obraz starych, zreumatyzowanych wieźm, odzianych w czarne pelerynki. Łączyła mnie z nimi jedynie pelerynka, ale moja była różowa.

Śmiałam się i śmiałam, aż łzy spływały mi po twarzy, ale to był najgorszy rodzaj śmiechu i chłopcy byli wyraźnie przerażeni.

Eugene przyciągnął mnie do siebie, a potem Ornesto oplótł nas ramionami i trwaliśmy w niezwykłym, serdecznym grupowym uścisku.

- Będzie lepiej - zapewniał mnie Eugene. - To naprawdę dobrze robi.

Rozdział 18

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Temat: Robota!

Wstyd przyznać, Anno: śledzenie Detty Big jest najgorszą robotą wszech czasów! Jej rozkładem dnia można by regulować zegarek: każdego ranka dziesięć minut przed dziesiątą wychodzi z domu, by pójść na mszę o dziesiątej. Każdego cholernego ranka! Trudno w to uwierzyć; pochodzi z przestępczej dynastii - wyłudzenia, wymuszenia i Bóg wie co jeszcze - a codziennie rano chodzi na mszę. Potem idzie do kiosku, kupuje papierosy i inne rzeczy. Czasem zgrzewkę coli w

puszkach, czasem nowy numer „Hello!” albo plastry z opatrunkiem. Potem wraca do domu, włącza czajnik, robi herbatę, siada przed telewizorem, pali i gapi się w przestrzeń. Pewnego ranka, po mszy, poszła do kiosku i do DROGERII, gdzie kupiła plaster na odciski. Myślałam, że dostanę zawału serca!

Pewnego dnia wyjechała w beemerze, a ja się modliłam, żeby spotkała się z Raceyem O’Grady. Ale pojechała tylko do pedikiurzystki, widocznie ma kłopoty z odciskami. Potem dom, czajnik, herbata, papierosy, telewizor.

Innego popołudnia poszła się przejść na molo. Szybko chodzi, mimo odcisków. Po dojściu na koniec mola usiadła na ławce, zapaliła papierosa, pogapiła się w przestrzeń, po czym wróciła. Nic zdrożnego. Po prostu zażywanie ruchu. Chociaż niektórzy mogą uważać, że to złe.

Wygląda na to, że byłaby dobra w karty; że mogłaby człowieka oskubać. Mnóstwo drobnych zmarszczek wokół ust, od tych wszystkich fajek. Wiele czasu poświęca na zmienianie konturówki do ust. Lubi słońce, stąd ta pomarszczona skóra. Jednak nie zrozum mnie źle. Atrakcyjna kobieta, zważywszy na jej wiek i w ogóle.

Tylko ta konieczność obserwowania jej w ciągu dnia. Harry pracuje od dziewiątej do piątej. Od poniedziałku do piątku. Mówi, że nie ma sensu być baronem przestępczości, jeśli się nie ma ustalonych godzin pracy. Sąsiedzi myślą, że on pracuje w przemyśle odzieżowym. Tak więc, chociaż nuda jest zbrodnią, przynajmniej wieczory i weekendy ma się dla siebie.

PS. Jak sobie radzisz? Myśl pozytywnie - Aidan przynajmniej nie opuścił cię dla innej kobiety. Wolałabym, żeby ktoś umarł, niż zrobił mi świństwo. Zresztą, gdyby ktoś zrobił mi świństwo, to bym go zabiła, więc rezultat byłby taki sam.

Nadesłane przez kogoś innego, takie słowa byłyby okropnie bezduszne. Ale to była Helen. Oznaczały więc płynące prosto z serca współczucie.

Rozdział 19

Wciąż nie miałam wiadomości od Mitcha, więc w niedzielny poranek poddałam się temu co nieuchronne i byłam gotowa ponownie pójść do owego kościoła spirytystów. Znow przyszłam za wcześnie, ale były już dwie dziewczyny, czekające na ławce. Nie przypominałam ich sobie z poprzedniego tygodnia, więc usiadłam obok i uśmiechnęłam się ostrożnie. Po przeciwnej stronie korytarza chłopcy z *Południowego Pacyfiku* odbywali swoje ćwiczenia.

Po chwili, wychodząc z sali, objawił się... tak, nie odda tego żadne inne słowo... no więc objawił się niewysoki, przystojny facet i rzekł do dziewczyny siedzącej najbliżej drzwi:

- Jestem Merrill Dando, reżyser. Masz swoje fotosy?

Aktorki! Nic wspólnego z kościołem spirytystycznym. Dobrze, że nic nie powiedziałam.

Dziewczyna wręczyła Merrillowi dużą kopertę, a on zabrał ją do pokoju. Usłyszałam podniesione głosy i po krótkiej chwili dziewczyna wyłoniła się bez swoich fotografii. Po niej została zabrana ta druga.

Spojrzałam na zegarek. Zaraz zaczynają przychodzić inni. Ścisnęło mnie w żołądku na myśl o niewyobrażalnym: co będzie, jeśli Mitch dzisiaj nie przyjdzie? Jeśli nigdy nie dostanę numeru telefonu Neris Hemming? Nie dopuszczałam ta-

kiej myśli. Musiał przyjść. Musiałam mieć ten numer. Druga aktorka wyszła i zniknęła w korytarzu.

- No dobrze. - Merrill skierował we mnie obydwie wskazujące palce i obrócił tak, jakby je we mnie wkręcał. - Jesteś ostatnia. - Obrzucił mnie szybkim spojrzeniem. - Gdzie masz swoje zdjęcie?

- Nie mam zdjęcia. Westchnął ciężko.

- Nikt ci nie powiedział, żebyś przyniosła chociaż jedno?

- Nie. - Bo przecież nikt mi tego nie powiedział.

- Co się stało z twoją twarzą?

- Wypadek samochodowy. Wciągnął powietrze.

- Okay, zrobmy jednak przesłuchanie.

Omyłkowo zostałam wzięta za aktorkę. Wprowadzono mnie do sali, gdzie Merrill wręczył mi jakiś scenariusz, a ja pomyślałam: cholera, czemu nie? W pewnym sensie było to łatwiejsze niż próba wyjaśniania sytuacji.

Przebiegłam wzrokiem kartkę; rzecz okazała się jakimś ckliwym melodramatem z Południa, namiastką sztuki Tennessee Williamsa, zatytułowaną *Słońce nigdy nie wschodzi*.

W zakurzonej sali za stołem na kozłach siedzieli dwaj brodacie faceci. Merrill przedstawił ich jako producenta i kierownika odpowiedzialnego za obsadę.

- No dobrze - rzekł. - Szybkie streszczenie fabuły. Dwie siostry. Kiepsko im się wiedzie. Ojciec właśnie wyciągnął kopyta, pozostawiając je w długach po uszy. Potrzebują jakiegoś mężczyzny, żeby ożenił się zjedną i wyciągnął je z nędzy. Jednak Marti-ne, ta ładna, ostro tankuje. Ty jesteś Martine, a ja jestem Edną, nieładną starszą siostrą... bo tylko my w tym gramy, rozumiesz?

„Edna” i ja miałyśmy siedzieć na „ganku” zrobionym z dwóch pudeł, wachlując się w okropnym upale. Ponieważ dzień był naprawdę gorący, zadanie było łatwe.

Scena pierwsza

Podnosi się kurtyna, dwie młode kobiety siedzą na ganku domu w stylu plantatorskim, który wykazuje oznaki zaniedbania.

Jedna z kobiet - Martine - jest przekwitłą, niepocieszoną piękną, sączącą ze szklaneczki i patrzącą w pustkę, druga - Edna - starsza, wydaje się bardziej męska w typie. Jest wczesny wieczór.

EDNA: Widzę, że Taylor już nie przychodzi.

Martine obraca się i spogląda obronnie.

MARTINE: Jestem kobietą, którą uczono sztuki konwersacji z eleganckimi gośćmi.

Edna nerwowo wykręca dłonie.

EDNA: Jesteś czarująca dla swoich rozmówców, siostrzyczko, naprawdę czarująca. Ale goście już nie przychodzą. A jeśli niebawem nie zlecimy naprawy dachu, to cały ten kram spadnie na nasze głowy niczym klątwa. *Martine upija ze szklaneczki kolejny łyk.*

MARTINE: O Boże, jaki upał... mogłabym się po prostu położyć na tym stopniu i spać do sądnego dnia.

Edna obrzuca szklaneczkę Martine ciężkim spojrzeniem.

MARTINE: Na miłość boską, nie patrz na mnie w ten sposób!

EDNA: Dzień i noc pijesz whisky naszego biednego zmarłego taty. Moja siostra staje się pijaczką!

MARTINE: Nie jestem pijaczką. *(Przyklada do skroni delikatną białą chusteczkę).* Jestem tylko zmęczona, zmęczona, tak bardzo zmęczona...

Przeczytałam rolę Martine i pomyślałam, że zrobiłam to całkiem dobrze. Szczególnie to ostatnie, „bardzo zmęczone” zdanie.

- Dobrze. - W głosie Merrilla brzmiało zaskoczenie. - Tak, bardzo dobrze.
- Bardzo dobrze - powiedzieli brodaci faceci.
- Jak można się z tobą skontaktować?

Dałam Merrilowi jedną z moich służbowych wizytówek z logo firmy Candy Girrl.

- Wspaniała wizytówka! Okay, musimy się zbierać. Banda dziwaków w każdą niedzielę odbywa tu jakiś seans... Zaraz zaczną się schodzić, jakbyś chciała ich zobaczyć.

Twarz mi płonęła. Nie powiedziałam ani słowa.

Podobnie jak przed tygodniem Nicholas przyszedł jako pierwszy. Napis na jego koszulce głosił dziś: „Śmierć przed hańbą”.

- Wróciłaś! Super!

Byłam tak poruszona, iż nie miałam serca powiedzieć mu, że wyjdę, gdy tylko dostanę ten numer od Mitcha.

- Czy Mitch przychodzi co tydzień? - zapytałam.

- Prawie co tydzień. Większość z nas przychodzi prawie co tydzień.

Dopóki byliśmy sami, postanowiłam zaspokoić swoją ciekawość.

- Powiedz mi, dlaczego przychodzi tutaj Mackenzie? Z kim próbuje nawiązać kontakt?

- Szuka zagubionego testamentu, który pozostawiłby to ogromne dziedzictwo jej stronie rodziny. Czas biegnie. Ona traci na nią ostatnie dziesięć milionów dolarów.

- Nie wierzę.

- W co?

- W to wszystko.

- Uwierz. Spróbuj. To zabawne. - Roześmiał się. - Spójrz na mnie; ja wierzę w największe wariactwa i naprawdę dobrze się bawię.

- W jakie?

- We wszystkie. W akupresurę, w aromaterapię, w uprowadzenia przez przyszłów z kosmosu, w rządowe próby tuszowania faktów, w potęgę medytacji, w to, że Elvis żyje i pracuje w Taco Bell w Północnej Dakocie... Nazwij to, jak chcesz. Ja w to wierzę. Możesz pytać.

- Hmm... w reinkarnację?

-Tak.

- W to, że Kennedy został zabity przez CIA? -Tak.

- Ze piramidy zostały zbudowane przez istoty z innej planety?

-Tak.

Baczenie mnie obserwował, niemal wychodząc ze skóry, by znów powiedzieć „Tak”, gdy na korytarzu pojawiła się Leisl. Na mój widok zajaśniała jak Times Square.

- Anna! Tak się cieszę, że wróciłaś! - Wciągnęła mnie w swoją okropną trwałą. - Naprawdę wierzę, że w tym tygodniu dostaniesz jakąś lepszą wiadomość.

Steffi, ta niegustownie ubrana dziewczyna, która przyszła po niej, uśmiechnęła się nieśmiało i powiedziała, że się cieszy, widząc mnie znowu; podobnie zrobiła Carmena, jedna z owych leciwych dam w elastycznych pasach, a potem olśniewająca Mackenzie. Nawet Zombie Fred wyraził radość z mojej obecności.

Czułam w stosunku do nich wielką falę ciepła i wdzięczności, ale... gdzie był Mitch?

Korytarzem zbliżali się Wypomadowany Juan, kapitalnie wyglądająca stara Barb i kilka kolejnych elastycznych pasów. Wszyscy oprócz Mitcha.

Sala była już przygotowana, świece zapalone, my zajęliśmy swoje miejsca w kręgu, a wciąż nie było żadnego znaku. Właśnie się zastanawiałam, czy zapytać Nicholasa o numer Mitcha, gdy otworzyły się drzwi.

To był on.

- W samą porę - powiedziała Leisl.

- Tak... przepraszam - rzekł, przebiegając wzrokiem krąg i zatrzymując spojrzenie na mnie. - Anno, przepraszam, że nie zadzwoniłem. Zgubiłem twoją wizytówkę. Jestem bałaganiarzem - przyznał - ale mam ten numer.

Wręczył mi kawałek białego papieru, a ja go rozwinęłam i wpatrywałam się w zapisany numer. Dziesięć cyfr, które zawiodą mnie do Aidana. Tak, mogłam to zrobić od razu...

Ale zostałam. Wszyscy okazali mi tyle serdeczności, że czułam, iż wychodząc, byłabym nieuprzejma. Teraz, gdy tam byłam i wiolonczelowa muzyka brzmiała na cały regulator, zaczęłam mieć nadzieję, że coś może się zdarzyć. *Bo co będzie, jeśli dzisiaj jest ten dzień, kiedy postanowisz się pokazać, a ja w tym czasie pójdę zrobić sobie pedicure?*

Rozdział 20

Pierwsza wiadomość była dla Mitcha.

- Trish jest tutaj - powiedziała Leisl z zamkniętymi oczami. - Wygląda dzisiaj jak anioł. Tak ślicznie, szkoda, że nie możesz jej zobaczyć. Mitch, ona prosi, żebym ci powiedziała, że wszystko będzie dobrze. Mówi, że zawsze będzie z tobą, ale musisz iść dalej.

Mitch wyglądał okropnie ponuro.

-Jak?

- To się stanie, jeśli się na to otworzysz.

- Cóż, nie jestem na to otwarty - odparł Mitch. - Trish -rzekł i wstrząśnięta słuchałam, jak zwraca się bezpośrednio do niej - nie pójdę dalej, ponieważ nie chcę cię zostawić.

Zapadła cisza i wszyscy poruszyliśmy się nieco niezręcznie. Po chwili Leisl przemówiła ponownie.

- Barb, kim jest Phoebe?

- Phoebe? - wykrzyknęła Barb swoim chropawym głosem. - Kto to wiedział? Była jedną z moich kochanek, dzieliłyśmy się pewnym facetem, sławnym malarzem. Skromność nie pozwalała mi wchodzić w szczegóły. W każdym razie ona była jego żoną, ja go pieprzyłam, potem obie się go pozbyłyśmy i byłyśmy ze sobą. Przez jakiś czas. Ha, ha, ha! Więc o co chodzi, Phoebe?

- Nie spodoba ci się to.

- Skąd wiesz?

- No dobrze - westchnęła Leisl. - Przykro mi to mówić, Barb, ale Phoebe chce ci powiedzieć... ja ją tylko cytuję... że on cię nigdy nie kochał, to był tylko seks.

- Tylko seks? Co to znaczy „tylko”? Seks jest najważniejszy. Wszystko kręci się wokół seksu.

- Idźmy dalej - powiedziała szybko Leisl.

To szaleństwo, pomyślałam. Jakieś pozagrobowe kłótnie kochanek. Nie powinnam tu przychodzić. Jestem normalna i przy zdrowych zmysłach, a ci wszyscy ludzie to wariaci...

Wtedy Leisl powiedziała:

- Widzę jakiegoś mężczyznę...

Żołądek podskoczył mi do gardła. Cofnął się zresztą, gdy Leisl skończyła zdanie.

Frazer. Komu to imię coś mówi?

- Mnie! - zawołała Mackenzie w tej samej chwili, gdy Leisl rzekła: - Mackenzie, to do ciebie. Mówi, że jest twoim stryjem.

- Stryjecznym dziadkiem! Świetnie! No więc gdzie jest ten zaginiony testament, stryjeczny dziadku Frazer?

Leisl słuchała przez chwilę, a potem przekazała wiadomość.

- On mówi, że nie ma żadnego testamentu.

- Ale przecież musi być jakiś testament! Leisl potrząsnęła głową.

- On wydaje się absolutnie pewny.

- Ale jeśli nie ma testamentu, to skąd mam wziąć pieniądze?!

- Mówi, żebyś poszukała jakiejś pracy... - Po tych słowach Leisl zrobiła przerwę, by wysłuchać głosu, który słyszała tylko ona -...albo wyszła za jakiegoś bogatego faceta. To szokujące! - dodała.

Opalona twarz Mackenzie poczerwieniała.

- Przekaż mu ode mnie, że jest pijanym dupkiem, który o niczym nie ma pojęcia, i połącz mnie ze stryjeczną babcią Morąg! Ona będzie wiedziała.

Leisl siedziała z zamkniętymi oczami.

- Połącz mnie ze stryjeczną babcią Morąg! - poleciła Mackenzie, jakby Leisl była jej osobistą sekretarką.

Zrobiło mi się bardzo żal Leisl: przekazywać to wszystko, czego ludzie nie chcą słyszeć, i być obwinianą, mimo że wiadomości rzekomo pochodziły z zaświatów...

- Odszedł powiedziała Leisl - i nikt inny się nie pojawia.

- To są brednie! - wykrzyknęła Mackenzie. Sapała przez następną chwilę, psiocząc, że powinna być teraz w Hamptons (wiedziałam!), ale przyszła tu, żeby pomóc swojej rodzinie i...

- Ccciii... - rzekł Wypomadowany Juan. - Trochę szacunku.

Mackenzie przysłoniła usta ręką.

- Tak mi przykro. - Potem ściszyła głos do szeptu. - Przepraszam, przepraszam, Leisl.

Leisl siedziała nieporuszona. Nie otworzyła oczu ani na chwilę.

- Anno - powiedziała powoli - ktoś chce z tobą rozmawiać.

Czoło natychmiast pokryło mi się potem.

- To mężczyzna...

Zamknęłam oczy i zacisnęłam palce. Proszę, Boże. Och, proszę, Boże...

ale to nie jest twój mąż. To jest twój dziadek. Znowu ci dziadkowie!

- Mówi, że ma na imię Mick...

Cholera! Nie miałam dziadka o imieniu Mick. Ale... zaraz, zaraz, pomyślałam, a ojciec mamy, ten nieszczęsny mąż babci Maguire... jak on miał na imię? Nie pamiętałam go, ponieważ...

-...nie znałaś go. Mówi, że zmarł krótko po twoim przyjściu na świat.

Wszystkie włoski na rękach mi się zjeżyły i dreszcz przeszedł mi po plecach.

- To prawda. O mój Boże! Czy spotkał Aidana? Tam, na górze? Tam, gdziekolwiek są?

Leisl zmarszczyła brwi, a palce przyciskała do skroni.

- Przykro mi, Anno. Nadchodzi ktoś inny, jakaś kobieta. Już go nie słyszę...

Chciałam zeskoczyć z krzesła, chwycić ją za głowę i krzyknąć: „Na miłość boską, sprowadź go z powrotem! Dowiedz się czegoś o Aidanie. Proszę!”.

- Przykro mi Anno, on odszedł. Wróciła kobieta z laską, ta gniewna kobieta z zeszłego tygodnia, która mówiła o psie.

Babcia Maguire? Nie byłam w nastroju, by rozmawiać z tą starą wiedźmą. Prawdopodobnie to ona odstraszyła dziadka Micka. Zanim uświadomiłam sobie, że zamierzam to powiedzieć, słowa same wyskoczyły mi z ust:

- Powiedz jej, żeby się odpieprzyła! Leisl obruszyła się raz, a potem drugi.

- Ma wiadomość dla ciebie.

- Jaka?

- Mówi: „Sama się odpieprz!”. Oniemiałam.

- Och... - W głosie Leisl zabrzmiało rozdrażnienie. Nastrój w sali był wyjątkowo niesprzyjający.

- Bardzo mi przykro - powiedziała Leisl. - Dzisiejszy dzień był bardzo dziwny. To jest zwykle bardzo miłe miejsce, dziś jest w nim jednak dużo złej energii. Czy mamy przerwać?

Postanowiliśmy kontynuować seans i pozostałe wiadomości - od taty Nicholasa, od matki Steffi i od męża Fran - nie budziły już żadnych kontrowersji.

Potem skończył się czas seansu, chłopcy ćwiczący Oklahomę potrzebowali miejsca, i dopiero na korytarzu dopadłam Mitcha.

- Bardzo dziękuję za to - wskazałam na kawałek papieru. - Czy miałbyś coś przeciwko... czy mogę cię spytać, jak przebiega takie spotkanie z Neris? Co cię do niej naprawdę przekonało?

- Kilka spraw osobistych, o których nikt inny nie mógł wiedzieć. Trish i ja wymyśliliśmy dla siebie nawzajem specjalne imiona - uśmiechnął się nieco zakłopotany - i Neris mi je podała.

To brzmiało przekonująco.

- Czy Trish ci powiedziała, gdzie jest? - To było moją obsesją: gdzie jest Aidan.

- Zapytałem, ale odpowiedziała, że nie może tego opisać w żaden zrozumiały dla mnie sposób. Powiedziała też, że nie chodzi o to, gdzie jest, lecz o to, c z y m się stała, ale że zawsze jest ze mną. Zapytałem ją, czy się boi, ale odparła, że nie. Powiedziała, że jest jej smutno ze względu na mnie, ale jest szczęśliwa tam, gdzie się znajduje. Ze wie, iż to trudne, ale że muszę spróbować przestać o niej myśleć jako o życiu przerwany, bo było ono spełnione.

- Co się stało Trish?

- Jak umarła? Tętniak. Pewnego piątkowego wieczoru wróciła z pracy, jak zwykle. Była nauczycielką, nauczycielką angielskiego. Około siódmej powiedziała, że czuje zawroty głowy i mdłości, przed ósmą zapadła w śpiączkę, a o wpół do drugiej nad ranem, już na oddziale intensywnej terapii, umarła. - Przerwał. Podobnie jak Aidan, Trish umarła młodo i nagle. Nic dziwnego, że Mitch wydawał mi się tak bliski.

- Nie można było niczego zrobić wcześniej. Badania nic nie wykazywały. Wciąż nie mogę w to uwierzyć. - W jego głosie brzmiało zdumienie. - To się stało tak szybko. Za szybko, żeby w to uwierzyć, rozumiesz?

Rozumiałam.

- Jak dawno to się stało?

- Blisko dziesięć miesięcy temu. We wtorek minie dziesięć miesięcy. A teraz - zarzucił sobie torbę na ramię - idę na siłownię.

Wyglądał, jakby często chodził na siłownię. W jego ramionach i torsie było tyle skumulowanej siły, jakby podnosił ciężary. Może w ten sposób sobie radził.

- Powodzenia z Neris - powiedział. - Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Rozdział 21

Zadzwoiłam pod numer Neris Hemming, gdy tylko doszłam do domu, ale telefoniczna sekretarka poinformowała mnie, że ich biuro pracuje od poniedziałku do piątku, w godzinach od dziewiętej do osiemnastej. Odłożyłam słuchawkę o wiele za mocno, w jednym z tych nagłych ataków wściekłości, i krzyknęłam: Och, Aidan!

Zalana potokiem łez, trzęsłam się z rozgoryczenia, bezsilności i strasznego pragnienia.

Po kilku minutach otarłam twarz i powiedziałam pokornie:

- Przepraszam.

Powtórzyłam to „przepraszam” do każdej fotografii Aidana w mieszkaniu. Przecież to nie jego wina, że biuro Neris Hemming ma wolne niedziele. A to był świąteczny weekend, więc prawdopodobnie jutro też ich nie będzie.

Zadzwonię z pracy we wtorek, postanowiłam. Tak się bałam, że zgubię ten numer, iż zapisałam go w kilku, miałam nadzieję, niespodziewanych miejscach, na wypadek, gdyby ktoś włamał się do mojego mieszkania i postanowił ukraść wszystkie numery Neris Hemming. Umieściłam go w notesie, zapisałam na recepcie, schowałam do szuflady z majtkami i ulokowałam w różnych innych miejscach. Co teraz?

Zebrałam siły, żeby zadzwonić do rodziców Aidana; Dian-ne telefonowała podczas mojej nieobecności. Jakoś - a nie miałam pojęcia, jak to się stało, bo to była ostatnia rzecz, jakiej chciałam - popadłyśmy w pewną rutynę, polegającą na tym, że telefonowała do mnie w każdy weekend. Wystukałam ich numer, zaciśnęłam powieki i błagałam w myślach: żeby cię nie było, żeby cię nie było, proszę, żeby cię nie było... ale, niech to szlag, Dianne podniosła słuchawkę.

- Och, Anno - westchnęła.

- Jak się masz, Dianne?

- Okropnie, Anno. Naprawdę okropnie. Myślę o Świącie Dziękczynienia.

- Ale teraz jest dopiero lipiec.

- Nie chcę go obchodzić w tym roku. Myślałam, żeby gdzieś wyjechać, na jakieś wakacje, do miejsca, gdzie nie mają Świąta Dziękczynienia. To czas dla rodziny. Nie mogę tego znieść.

Zaczęła cicho szlochać.

- Stracić dziecko to najbardziej nieznośny ból. Ty jeszcze kogoś poznasz, a ja już nigdy nie odzyskam swojego dziecka.

To zdarzyło się kilka razy w czasie naszych rozmów. Wciągała mnie w rywalizację w bólu: kto ma większe prawo do załamania: matka czy żona?

- Nikogo nie poznam - powiedziałam.

- Ależ mogłabyś, Anno, takie jest moje zdanie, mogłabyś.

- Jak się miewa pan Maddox? - Nigdy nie myślałam o nim jako o człowieku, który ma jakieś imię.

- Radzi sobie na swój sposób. Pogрузzył się w pracy. Więcej emocjonalnego wsparcia miałabym od jakiegoś trzylatka. - Zaśmiała się jakoś przerażająco. - Wiesz, chyba mam tego dość.

Byłam całkiem pewna, że wiem, co będzie dalej. Wciąż ta sama, stara śpiewka. Pojedzie do jakiegoś ustronia dla kobiet, gdzie wszystkie biegają nago, wypacykowane na niebiesko, i wielbią boginię kobiecości, dumne, że ich cycki sięgnęły brzuchów. Gdy nie tańczą w jakiejś wycince przy świetle księżycy, robią sobie niezły ubaw z mężczyzn, tak że kiedy wróci do Bostonu, przestanie malować swoje siwe włosy i robić obiady dla pana Maddoksa. Mogłaby nawet kupić harleya, ostrzyć włosy na jeża i z grupą Lesby na Jednośladach wziąć udział w Paradzie Gejów.

- Muszę kończyć, Dianne. Trzymaj się. O prochach porozmawiamy kiedy indziej.

Wciąż ich nie podzieliłyśmy.

- Tak - powiedziała ze znużeniem. - Jak chcesz.

Załatwione, do następnego tygodnia! Co za ulga! Z uczuciem lekkości i swobody zadzwoniłam do mamy; musiałam się dowiedzieć, czy miałam dziadka o imieniu Mick. A jeśli miałam...? Czy to czyniło z Leisl prawdziwe medium? Wiedziała, że radzi sobie z wiadomościami dla innych, ale znała ich losy, wiedziała, co chcą usłyszeć.

Jednak o mnie wiedziała bardzo mało. Wyobrażacie sobie, jak trudno byłoby znaleźć irlandzką rodzinę z mężczyzną o imieniu Mick? Szczęśliwy traf? A jak wytłumaczyć to, że ja nigdy go nie spotkałam? Kolejny szczęśliwy traf?

Mama odebrała telefon, ziewając.

- Halo?

- To ja, Anna.

- Anno, kochanie, co się stało?

- Nic. Dzwonię, żeby pogawędzić.

- Pogawędzić?

- Tak. Co w tym złego?

- Bo wszyscy wiedzą, że w niedzielny wieczór o tej porze oglądamy *Midsummer Murders*. Wtedy nikt nie dzwoni.

- Przepraszam, nie wiedziałam. W porządku, zadzwonię później.

- Daj spokój, mów. Myśmy to już widzieli.

- No dobrze. Kojarzysz męża babci Maguire? Pauza.

- Masz na myśli mojego ojca?

- Tak!!! Przepraszam, mamo, tak. Jak miał na imię? Michael? Mick? Kolejna pauza.

- Dlaczego chcesz to wiedzieć? Czego chcesz się dowiedzieć?

- Niczego. Mick? Tak czy nie?

- Tak - powiedziała z ociąganiem.

Przeszedł mnie dreszcz. O mój Boże, Leisl musiała być na jakimś tropie.

- A ja nigdy go nie poznałam? Umarł mniej więcej wtedy, gdy przyszedłam na świat?

- Dwa miesiące później.

Poczułam mrowienie w całym ciele. Z pewnością było to coś więcej niż tylko szczęśliwy traf Leisl. Lecz jeśli naprawdę rozmawiała ze zmarłymi, to dlaczego Aidan się nie zgłosił...?

- Co się dzieje? - zapytała podejrzliwie mama.

-Nic.

- Co się dzieje??? - tym razem głośniej.

-NIC!

Rozdział 22

Dzięki łańcuszkowi zmyślnych kłamstw - Rachel powiedziałam, że wybieram się do Teenie, Teenie powiedziałam, że ^sPędzam ten dzień z Jacqui, a Jacqui, że z Rachel – zdołałam uniknąć konieczności uczestniczenia w świątecznym grillo-waniu na dachach oraz w pokazach sztucznych ogni w poniedziałek i wspaniale spędziłam czas, siedząc w powiewie klimatyzatora i oglądając powtórki *Diuków Hazzardu* i *MASH*.

Lubiłam, a właściwie uwielbiałam przebywać w naszym mieszkaniu. Właśnie tu czułam się najbliżej Aidana. Bóg wie, przez co przeszliśmy, żeby je zdobyć. Wiem, że truizmem jest mówienie o tym, jak trudno jest zdobyć półprzyzwoite mieszkanie na Manhattanie, ale to prawda. „Duże, jasne, przestronne mieszkanie” było świętym Graalem, a płaciło się kupę forsy za każdy centymetr kwadratowy podłogi i okna. „Ciasna, ponura klitka, daleko od stacji metra” była tym, w czym kończyła większość ludzi pragnących tu zamieszkać.

Po zaręczynach zaczęliśmy się rozglądać za jakimś mieszkaniem, ale znalezienie czegoś było niemożliwe. Po tygodniach bezowocnych poszukiwań, pewnego wieczoru, przechodząc obok wystawy pośrednika handlu nieruchomościami, zobaczyliśmy zdjęcie „jasnego i przestronnego loftu”. W okolicy, która nam

się podobała, i - co znacznie ważniejsze - z czynszem, na jaki mogliśmy sobie pozwolić.

Porwani przecuciem, że jest to nasze przeznaczenie, umówiliśmy się na obejrzenie tego miejsca następnego dnia. To jest to, pomyśleliśmy. Wreszcie mieliśmy mieć dom! Byliśmy tacy pewni, że przynieśliśmy ze sobą pieniądze za pierwsze dwa miesiące. Chyba trudno nas winić za to, że uważaliśmy to za niezły pomysł.

- Będziemy normalną parą - powiedziałam, gdy wsiedliśmy do metra. - Będziemy mieć fajne mieszkanie, będziemy zapraszać przyjaciół na kolacje, a w weekendy będziemy poszukiwać antyków. (Miałam jedynie mgliste pojęcie o tym „poszukiwaniu antyków”, ale wszyscy to robili).

Kiedy jednak weszliśmy do tego mieszkania, ujrzeliśmy tam dziewięć innych par, które również je oglądały. Mieszkanie było tak małe, że ledwie się tam mieściliśmy, a gdy dwadzieścia osób napierało i z urazą się przepychało, ustawiając się w kolejce, by zajrzeć do szaf i sprawdzić prysznic, pośrednik obserwował wszystko z rozbawieniem. W końcu zaklaskał w dłonie i poprosił o uwagę.

- Czy wszyscy dokładnie obejrzel? Chór potakiwań.

- Podoba się państwu, prawda? Zgiełk akceptacji.

- W porządku, jest jak jest. Wszyscy państwo są wspaniałymi ludźmi. Ja wrócę teraz do swojego biura, a pierwsza para, która zjawi się u mnie z trzymiesięcznym czynszem w gotówce, dostanie to mieszkanie.

Wszyscy zamarli. Ten facet nie mógł przecież powiedzieć...? Ale mógł: mieszkanie dostanie para, która pokona pozostałych kandydatów w przebyciu czterdziestu siedmiu przecznic w najkrótszym czasie.

Przypominało to jakiś reality show i już trzech czy czterech facetów zaklino- wało się w drzwiach, próbując wybiec.

Aidan i ja patrzyliśmy na siebie ze zgrozą; to było obrzydliwe. I w ułamku sekundy zobaczyłam, na co się zanosi: Aidan zamierzał rzucić się w ten ścisk, podobny do młyna na boisku rugby. Wiedziałam, że nie chce, ale był gotów zrobić to dla mnie. Zanim ruszył ku drzwiom, powstrzymującym gestem położyłam mu rękę na piersi.

- Wolałabym mieszkać w Bronksie - powiedziałam, ledwie poruszając ustami i kątem oka wskazując na ten młyn.

- Rozumiem, kapitanie - odpowiedział równie cicho, lecz z głębokim zrozumieniem.

Mieszkanie opustoszało. Jedynymi osobami, które pozostały, byliśmy my i pośrednik. Inni desperacko wzywali taksówki albo zbiegali po schodach do metra, gotowi przeskakiwać bramki, albo biegli, a raczej pędzili, przez czterdzieści siedem przecznic.

- Wychodzimy pooo-wooo-liiii... - powiedziałam Aidanowi.

- Doooo wyjsciaaa...

Pośrednik spostrzegł naszą niespieszną przechadzkę. Ostro spojrzął, odrywając wzrok od czegoś, co robił ze swoją teczką. Chyba się w nią spuszczał, stwierdziliśmy później.

- Hej! Ludzie, lepiej się ruszcie! Nie chcecie tego mieszkania?

Aidan wytrzymał jego wzrok i odpowiedział z takim smutkiem, jakby mu współczuł.

- Nie tak strasznie, koleś.

Na ulicy zaczęłam żałować naszej pryncypialnej postawy. Dopiero wtedy zrozumiałam, że nie mamy tego mieszkania (w mojej wyobraźni już się tam wprowadziliśmy, mieszkaliśmy, i nawet kupiłam jakąś roślinę).

Aidan ścisnął mnie za rękę.

- Dziecinko, wiem, że jesteś wkurzona, ale coś wymyślimy. Znajdziemy jakieś mieszkanie.

- Wiem.

Czerpałam dziwną ulgę ze świadomości, że Aidan i ja stanowimy jedność, że cenimy te same wartości.

- Żadne z nas nie ma morderczych instynktów - powiedziałam.

Jakbym go uderzyła. Wzdrygnął się.

- Przepraszam, dziecinko - rzekł.

- Ależ nie - odparłam. - Nie, nie cierpię tego wszystkiego. Ludzie z takimi instynktami są zwykle odrobinę dziwaczni. Są podenerwowani, nie potrafią się relaksować.

- Taaak... zauważyłaś, że za szybko jedzą?

- Żenią się tylko wtedy, kiedy mają „okienko” między rozgrywkami tenisowymi.

- Mają też nałogowy tik wymieniania co cztery minuty służbowych wizytówek.

- Rozwodzą się za pośrednictwem e-maila.

- Nie, sms-a.

- A my nie chcemy być tacy, prawda?

Jednak wciąż potrzebowaliśmy jakiegoś miejsca do życia.

- Musimy myśleć poważniej - powiedziałam.

- Nie, musimy myśleć sprytniej. Mam pewien plan...

Wyjaśnił: gdy następnym razem to samo biuro nieruchomości będzie prezentować jakieś mieszkanie, na które moglibyśmy sobie pozwolić, my będziemy przygotowani - w kieszeni trzymiesięczny czynsz w gotówce, a na zewnątrz czekająca taksówka.

-...upewnimy się, że ten facet widzi mnóstwo ludzi, a szczególnie mnie. Kiedy już będzie wyglądać, że zbliża się czas, gdy zbierze wszystkich, ja udam, że ktoś dzwoni na moją komórkę, i wyjdę na zewnątrz, żeby odebrać telefon. Zaraz po wyjściu zbiegnę na ulicę, wsiądę w taksówkę i pojadę do jego biura. Miejmy nadzieję, że nie zauważy mojej nieobecności.

- Ale kiedy wróci do swego biura, ty już tam będziesz, lecz ja jeszcze nie zdążę przyjechać - powiedziałam. - Czy nie musimy występować jako małżeństwo? Czy to nie jest wbrew jakimś przepisom?

- To są tylko jego głupie przepisy, nie możemy być aresztowani za ich łamanie. No dobrze, myślę, myślę... Mam! -Pstryknął palcami - Kiedy dotrę do jego biura, powiem, że powód, dla którego cię nie ma, jest taki, iż jesteś pielęgniarką i zatrzymałaś się, żeby pomóc jakiemuś człowiekowi, który dostał zawału serca przed galerią handlową. Tak... - Z namysłem pokiwał głową. - Tak mu powiem. Ten facet da nam mieszkanie z poczucia winy.

- Mam nadzieję, że nie budzą się w tobie mordercze instynkty - powiedziałam w trwodze.

- Tylko ten raz. Zobaczmy, czy to poskutkuje. Dziwne, ale poskutkowało.

Chociaż nie dokładnie w taki sposób, na jaki liczyliśmy. Pośrednik powiedział do Aidana:

- Wiem, że oszukujesz, wiem, że kłamiesz. Ale podoba mi się, że masz jaja. Możesz kupić to mieszkanie.

-Poczułem się skalany - wściekał się później Aidan. -Brudny, rozumiesz? „Podoba mi się, że masz jaja”!!! Zostałem ściągnięty do jego poziomu.

- Tak, tak, to okropne - przyznałam. - Ale mamy mieszkanie! Mamy gdzie mieszkać! Machnij na to ręką.

Rozdział 23

- Biuro Neris Hemming.

- O mój Boże, nie mogę uwierzyć, że wreszcie się dodzwoniłam! - byłam tak poruszona, że nie mogłam przestać mówić. - Jestem w pracy, dzwoniłam od wielu godzin i wciąż odpowiadała automatyczna sekretarka, a potem, dokładnie w tej sekundzie, gdy wybiła dziewiąta, od razu było zajęte, i tak się przyzwyczyłam do wystukiwania numeru i odkładania słuchawki, że gdy pani odpowiedziała, to już prawie ją odkładałam...

- Czy mogę prosić o pani nazwisko, kochanie?

- Anna Walsh.

Wiedziałam, że to szaleństwo, ale wyobrażałam sobie, że kiedy usłyszy moje nazwisko, odpowie: „Ach tak, Anna Walsh”, potem przerzuci jakieś papiery na biurku, zawierające wiadomości od zmarłych, i powie: „Tak, jest tu dla ciebie wiadomość od jakiegoś faceta o nazwisku Aidan Maddox. Powiedział, żeby ci przekazać, że jest mu przykro, iż umarł tak niespodziewanie, ale cały czas jest przy tobie i nie może się doczekać, żeby z tobą porozmawiać”.

- Anna Walsh - klikały klawisze, gdy wprowadzała moje nazwisko do komputera.

- Pani nie jest Neris, prawda?

- Nie, jestem jej asystentką i nie mam ani odrobiny zdolności parapsychologicznych. Proszę mi podać numer telefonu i e-mail.

Podalam, ona zaś powtórzyła je dokładnie i powiedziała:

- Dobrze, skontaktujemy się.

Ja jednak nie chciałam kończyć tej rozmowy; potrzebowałam czegoś.

- Widzi pani, mój mąż umarł. - Łzy zaczęły spływać mi po twarzy, więc pochyliłam głowę, żeby Lauryn tego nie zobaczyła.

- Rozumiem, kochanie, rozumiem.

- Naprawdę myśli pani, że Neris będzie w stanie mnie z nim skontaktować?

- Jak już powiedziałam, kochanie, skontaktujemy się.

- Tak, ale...

- Miło się z panią rozmawiało.

Rozłączyła się... i przyszedł Franklin, klaszcząc w dłonie i zagarniając dziewczyny na Poniedziałkowe Poranne Posiedzenie, mimo że to był wtorek.

Wciąż miałam całkiem dobre wyniki, więc doznałam lekkiego wstrząsu, gdy Ariella z prezydialnego miejsca przy stole zwróciła się do mnie.

- Co się z tobą dzieje, Anno?

Cholera. Pomyślałam, że znalazłam się w zasięgu kontroli radarowej: efektywna, ale nie tak efektywna, by nie zwrócić uwagi Arielli.

Jednak te wszystkie długie godziny, jakie tu włożyłam, opłaciły się i mogłam udzielić przyzwoitej odpowiedzi.

- Największym przedsięwzięciem, nad którym teraz pracuję, jest udział Candy Girrl w Super Sobocie w Hamptons.

Super Sobota była słynną, odwiedzaną przez znakomitości kwestą na cele charytatywne. Zaczęła się jako promocyjna sprzedaż artykułów takich projektantów jak Donna Karan, a przez ostatnie dziesięciolecie rozrosła się do jednego z wielkich wydarzeń w kalendarzu Hamptons. Publiczność (ale stanowili ją mieszkańcy Hamptons, więc była to publiczność naprawdę bardzo wyselekcjonowana) musiała płacić za wejście dużo, kilkaset dolarów - ale gdy się tam weszło, można było kupić prawie za darmo fantastyczne designerskie ciuchy; były tam reklamowe prezenty, kosmetyczne zabiegi, loterie i rewelacyjne torby ze słodyczami wręczane przy wyjściu.

- Nasze stoisko jest dwa razy większe niż w zeszłym roku, rozdajemy torby plażowe Candy Girrl, a przede wszystkim przekonałam Candace, żeby przyjechała i zrobiła pokazy makijażu. Jej obecność powinna być wielką atrakcją.

Ariella nie znajdowała w tym niczego, co mogłaby skrytykować, więc zwróciła się do Wendell.

- Ty też przygotowujesz Super Sobotę, tak? Załatwiasz przyjazd jakiegoś sławnego artysty makijażu?

- Przyjedzie dr De Groot - odparła Wendell.

Dr De Groot, kosmetolog specjalizujący się w pielęgnacji skóry, był najbardziej niesamowicie wyglądającym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Był naprawdę przerażający. Z pewnością zabierał pracę do domu. Przypuszczaliśmy, że wypróbowuje chemiczne peelings i wstrzyknięcia na sobie. Może nawet wykonuje drobne zabiegi chirurgiczne przed łazienkowym lustrem. Wiedziałam, że z moją okaleczoną twarzą jestem doskonałą osobą do rozmowy, ale naprawdę każdy, kto spotkał tamtego faceta, nie chciałby już nigdy korzystać z jego metod.

- Ten upiór opery? - zapytała Ariella. - Postaraj się go namówić, żeby założył jakąś torbę na głowę.

Wendell szybko skinęła głową.

- Załatwione.

Ariella najwyraźniej osłabła. Nie miała na kogo wrzasnąć; dziś wszystkie byłyśmy za dobre.

- Do roboty. - Skinęła na nas. - Idźcie stąd, jestem zajęta. Po powrocie do swego biurka zastałam wiadomość czekającą w poczcie głosowej.

- Cześć! To Merrill Dando z Merrill Dando Productions! W sobotę wzięłaś udział w castingu i spodobała nam się twoja Martine...

Proponują mi rolę!

-...nie na tyle, żeby zaproponować ci tę rolę... Wydawało nam się, że naprawdę nie wyeksponowałaś całej desperacji Martine.

Już otworzyłam usta. Co za tupet! Jeśli ktokolwiek rozumiał desperację, to właśnie ja. Nie miało to jednak nic wspólnego z jakością mojej desperacji, lecz z moją okaleczoną twarzą.

- Spotkamy się z inną aktorką, ale jeśli to nie wypali, będziemy w kontakcie.

Wcale nie zależało mi na tej roli, ale ich krytyka mojej desperacji i odrzucenie twarzy położyło się cieniem na tym dniu. Kiedy jednak wróciłam do domu, czekał na mnie e-mail i nagle słońce wyszło zza chmur.

Do: Czarodziejka@yahoo.com

Od: Paranormal_Productions@yahoo.com

Odp: Neris Hemming

Przyjęliśmy pani prośbę o osobisty kontakt z Neris Hemming. W związku z wypełnionym programem zajęć pani Hemming będzie zajęta przez kilka miesięcy. Gdy pojawi się jakiś wolny termin, jej biuro skontaktuje się z panią w celu zorganizowania półgodzinnego spotkania telefonicznego. Opłata za czas pani Hemming wyniesie 2500 dolarów. Akceptujemy wszystkie karty kredytowe.

Znacznie podrożało od czasu, gdy Mitch z nią rozmawiał. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie... Byłam poruszona, że oddzwonili. Gdybym tylko mogła porozmawiać zaraz...

Do: Paranormal_Productions@yahoo.com

Od: Czarodziejka@yahoo.com

Temat: Kilka miesięcy?

Co to znaczy „kilka miesięcy”?

Chodziło mi o to, że określenie „kilka miesięcy” było zbyt nieprecyzyjne. Musiałam zacząć planować, musiałam zacząć odliczać dni do chwili, gdy będę z tobą rozmawiać.

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: ParanormaLProductions@yahoo.com

Odp: Kilka miesięcy?

Zwykle oznacza to dziesięć do dwunastu tygodni, ale nie ma gwarancji, podajemy ten termin w przybliżeniu. Proszę o tym pamiętać, podejmując jakiegokolwiek kroki prawne.

Co??? Ludzie występowali na drogę sądową z powodu nie-uzyskania rozmowy z Neris w obiecany terminie? Ale przecież wiedziałam, jak bardzo ja sama jestem zdesperowana; mogłam zrozumieć ludzi tracących głowę, jeśli byli nastawieni na rozmowę z ukochaną osobą w konkretnym, ustalonym dniu, a do tej rozmowy nie dochodziło.

Był tam również załącznik pełen postanowień dodatkowych. Sformułowano go w zawiłym żargonie prawniczym, ale sedno tkwiło w tym, że gdyby nie usłyszało się od Neris tego, co chciało się usłyszeć, nie można było obarczać jej odpowiedzialnością, i chociaż ona mogła odwołać spotkanie z dowolnego powodu, jeśli samemu nie przyszło się w umówionym terminie, pieniądze nie podlegały zwrotowi.

Był również e-mail od Helen.

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Temat: znużenie!

Przełom! Detta pojechała do Donnybrook i weszła do sklepu ze „straszными” ciuchami. Znasz ten typ: małe butiki dla bogatych starych bab. Mają egzotyczne nazwy, takie jak „U Moniki” albo „U Lukrecji”, tylko kilkanaście artykułów na wieszakach i bandyckie ekspedientki, które mówią: „Te śmierdzące drogie ciuchy pochodzą z Włoch. Faaantaaastyczne, czyż nie?”, albo „Ta żółta będzie na tobie śliczna, Anette, naprawdę, podkreśla twoje zęby”.

Nie weszłam tam, kręciłam się na zewnątrz jak bezdomna, ponieważ: a) miejsca było za mało i Detta by mnie zauważyła, b) kiedy się przekroczy próg takiego sklepu i próbuje wyjść bez kupienia czegokolwiek, strzelają ci w plecy ze snajperskiego karabinu.

Rozdział 24

Piątek, 9 lipca, moje urodziny. Trzydzieste trzecie. Jakby tego było mało, zamiast cieszyć się miłym, spokojnym wieczorem w domu, wypłakując sobie oczy, byłam zmuszona przetrwać „wspaniałe wielkie wyjście”.

Rachel chciała mieć pewność, że moje pierwsze urodziny bez Aidana będą miłym wydarzeniem: miła restauracja i miłe prezenty z miłymi ludźmi, którzy mnie lubili. To byłby koszmar.

Błagałam ją, żeby to ponownie przemyślała. Przypomniałam jej, jak trudne jest dla mnie każde wydarzenie towarzyskie, a takie, w którym ja byłabym „bohaterką wieczoru”, byłoby dla mnie niemal nie do zniesienia, ale ona pozostała niewzruszona.

Spóźniona wróciłam z pracy. Do przyjscia Jacqui, która miała mnie zabrać, pozostało dziesięć minut, a ja nie byłam ani trochę gotowa do wyjścia. Nie miałam nawet pojęcia, od czego zacząć. Zęby, postanowiłam. Wyszczotkuję zęby. Ale kiedy sięgnęłam po szczoteczkę, okropny ból, niczym strumień prądu, przeszył mi rękę i żebra oraz przebiegł przez kości nóg. Wciąż miałam bóle podobne do reumatyczno-artretycznych, ale w ostatnich kilku dniach dołączyły do nich te przeszywające wstrząsy. Lekarz znów powiedział, że to „normalne”, że to część etapu rozpacz. Dzwonek. Przyszła wcześniej.

- Niech to szlag! - Cisnęłam szczoteczkę do umywalki. Jacqui obejrzała mnie i powiedziała:

- Och, świetnie, jesteś gotowa.

W istocie wciąż miałam na sobie rzeczy, w których chodzę do pracy (różowa spódniczka-balerinka, różowa koszulka, ażurowe rajstopy i baletowe pantofle haftowane w kwiatki), ale ponieważ moje służbowe stroje były bardziej wyjściowe niż wyjściowe stroje większości ludzi, stwierdziłam, że jestem gotowa.

Gdy taksówka płynęła w strumieniu samochodów piątkowego wieczoru, ja myślałam tylko o Aidanie. *Jestem w drodze na spotkanie z tobą. Będiesz tu dziś wieczorem. Przyjedziesz do restauracji prosto z pracy. Będiesz w granatowym garniturze, zdejmiesz krawat, a kiedy Jacqui i ja wejdziemy do środka, mrugniesz do mnie, żeby pokazać, że wiesz, iż muszę być dobrze wychowana i najpierw przywitać się ze wszystkimi innymi; że ty i ja nie możemy natychmiast czulić się ze sobą. Ale to mrugnięcie powie wszystko. Powie: zaczekaj tylko, aż złapię cię w domu...*

-...możesz?

Jacqui prosiła mnie o coś.

- Jakiś dobry krem przeciwsłoneczny - powtórzyła. -Z filtrem... przynajmniej 20. Możesz mi jakiś zwędzić?

- Jasne, jaki tylko zechcesz.

Potem próbowałam znów wrócić w głąb siebie. *Będziemy uprzejmie rozmawiać ze wszystkimi, ale ty zrobisz coś drobnego i intymnego, coś, o czym tylko ja będę wiedziała... może przejdiesz obok mnie i szybko muśniesz moją dłoń albo...*

Jacqui powiedziała coś jeszcze i natychmiast powróciła niechęć. Tak bardzo lubiłam przebywanie w głębi siebie, że przebywanie z innymi stawało się coraz trudniejsze. Byłam pogrążona w cudownie radosnych myślach, a potem mówiono coś i znów wciągano mnie w tę rzeczywistość, w której nie było Aidana.

- Przepraszam. Co?

- Jesteśmy na miejscu - powtórzyła.

- Ach tak - powiedziałam zaskoczona.

Prowadzona przez Jacqui, jakbym była więźniem na jednodniowej przepustce, weszłam do restauracji La Vie en Seine, gdzie czekał tłum: Rachel, Luke, Joey, Gaz, Shake, Teenie, Leon, Dana, siostra Dany, Natalie, a także stary kumpel Aidana - Marty, oraz Neli, dzięki Bogu bez swojej dziwnej przyjaciółki. Stali wokół, pijąc szampana, a na mój widok udawali, że nie są zażenowani. Ożywili się nieco i ktoś zawołał z nadmierną jowialnością: „Oto nasza jubilatka!”. Ktoś inny wręczył mi kieliszek, który próbowałam wypić jednym haustem, ale te szam-panki są tak wąskie, że musiałam odchylić głowę do tyłu i szkło przykleiło się do mojej twarzy, zostawiając idealne kółko na policzkach i nosie.

Wszyscy się uśmiechali i patrzyli na mnie (ludzie zawsze byli albo wielce radośni, albo wielce zatroskani, nikt nie mógł być normalny), a mnie nie przychodziła do głowy ani jedna rzecz, którą mogłabym powiedzieć. To było gorsze, znacznie gorsze, niż przewidywałam. Czułam, że stoję w środku świata, a wszyscy i wszystko coraz bardziej się oddala.

- Zajmijmy miejsca - powiedziała Rachel.

Przy stole bolały mnie policzki od trzymania uśmiechu. Sięgnęłam po kolejny kieliszek szampana (nie byłam pewna, czy to mój, ale nie mogłam się powstrzymać) i wypiałam tyle, ile mogłam, starając się, by znów nie zassał mi twarzy. Aż do tej chwili unikałam picia, ponieważ się bałam, że mogłabym nadmiernie je polubić. Wyglądało na to, że miałam rację.

Ścierając z brody krople szampana, uświadomiłam sobie, że obok cierpliwie stoi kelner, czekając, by wręczyć mi menu.

- O Boże, przepraszam, dziękuję mruknęłam, myśląc: zachowuj się normalnie, zachowuj się normalnie.

Jacqui opowiadała mi, jak trudno utrzymać labradoodla; było ich bardzo mało, handlowano nimi na czarnym rynku, a kilka nawet uprowadzono właścicielom i sprzedano. Próbowałam skupić uwagę, ale na wprost niej siedział Joey i śpiewał piosenkę z *Dziewczyn z wyższych sfer*, zmieniając słowa oryginału na złośliwości o Jacqui: „kręci się tylko wokół bogatych i sławnych...”.

Był okropnie nieprzyjemny (nic niezwykłego), ale teraz naprawdę wkładał w to wyjątkowo dużo pracy. Zwykle nie można było namówić go do śpiewania. Wtedy zrozumiałam; o mój Boże... Jacqui mu się podobała.

Kiedy to się zaczęło?

Jacqui miała wprawę w ignorowaniu go, ale ja miałam nerwy na wierzchu.

- Joey, mógłbyś przestać? Musiałam to powiedzieć.

- Co... Och, przepraszam.

Pozwalałam sobie na wiele: wszyscy musieli być dla mnie mili. Nie mówiono, jak długo będzie to trwać, więc mogłam korzystać.

- To ten głos, tak? - zapytał Joey. - Niemuzykalny. Zawsze taki byłem. Ludzie pytani o to, jaką szczególną moc chcieliby posiadać, zawsze odpowiadają, że chcieliby być niewidzialni. A ja chciałbym umieć śpiewać.

- Wiesz co, Gaz? - Łyknęłam ze szklaneczki i żar rozlał się po moim wnętrzu. - Mam takie... wrażenie... że spoglądam na świat przez niewłaściwy koniec lunety. Czułeś kiedyś coś takiego? Nie, nie odpowiadaj, bo na pewno z uprzejmości powiesz, że czułeś. Powiedzieć ci, jak to jest? Bardzo często, nie tak jak dziś wieczorem, chociaż to okropny wieczór, jest tak, jakby moje widzenie świata było zakłócone tym, że inni patrzą znacznie dalej, wiesz, co mam na myśli? - Wypiłam kolejny, głęboki łyk martini. - Na poły normalnie czuję się tylko w pracy, ale dlatego, że tam nie jestem prawdziwą sobą, lecz gram pewną rolę. Powiedzieć ci, o czym myślałam, gdy patrzyłam na tę piękną kobietę? Myślałam, że pewnego dnia wszyscy będziemy martwi, Gaz. Ona, ja, Rachel, Luke i ty, Gaz, tak, ty także. Wcale cię nie wybieram, Gaz, proszę, nie myśl tak, wiesz, jak cię lubię. Mówię tylko, że pewnego dnia będziesz martwy. I to nie musi być za czterdzieści lat, czy ile tam sobie wyliczyłeś. Gaz, możesz zniknąć jak... - Próbowałam pstryknąć palcami, ale mi się nie udało. Czyżbym już się upiła? - Nie chcę być makabryczna, Gaz, mówiąc, że możesz paść trupem w każdej chwili, ale to prawda. Spójrz na Aida-na; umarł, a był młodszy od ciebie, Gaz, o kilka lat. Jeśli on mógł umrzeć, to może umrzeć każde z nas, łącznie z tobą. Nie zamierzam być makabryczna, Gaz...

Mam mgliste wspomnienie jego zdesperowanej twarzy, gdy tak głądziłam, i głądziłam, i głądziłam... Obserwowałam siebie, jakbym znajdowała się poza własnym ciałem, ale nic nie mogłam zrobić, żeby się powstrzymać.

- Mam trzydzieści trzy lata, Gaz - mówiłam dalej. - Trzydzieści trzy. Dzisiaj. A mój mąż nie żyje, więc wypiję kolejne martini, bo jeśli nie można pić martini, gdy mąż nie żyje, to kiedy można pić?

Trułam coś w tym duchu przez jakiś czas. Dostrzegłam wymianę spojrzeń między Gazem i Rachel, ale dopiero wtedy, gdy Rachel wstała i z przesadną wesołością powiedziała, że idzie do mnie, bo przez cały wieczór nie miała okazji,

żeby ze mną pogadać, zrozumiałam, że jestem obiektem litości i ludzie gotowi są zapłacić łapówkę, byle tylko nie siedzieć obok mnie.

- Tak mi przykro, Gaz, bardzo przepraszam. - Chwyciłam go za rękę. - Nie mogę się powstrzymać.

- Daj spokój. Nie ma za co przepraszać. - Delikatnie pocałował mnie w głowę, ale potem niemal rzucił się do ucieczki. Kilka sekund później siedział przy barze, wychylając bursztynowy trunek jednym potężnym haustem. Potem szklaneczka uderzyła o wypolerowane drewno, a gdy powiedział coś barmanowi, ponownie się napełniła trunkiem o barwie bursztynu i znów została wychylona do dna kolejnym haustem.

Wiedziałam, nikt nie musiał mi mówić, że tym bursztynowym płynem była whisky Jack Daniel's.

Rozdział 25

W sobotni poranek obudziłam się ze strasznym kacem. Chciało mi się płakać, miałam dreszcze; okropne, niby-reu-matyczne bóle były gorsze niż zwykle, a rozdzierający niczym porażenie prądem ból zdawał się palić mi kości.

Dręczyło mnie pragnienie.

Dawne nawyki odchodzą z trudem. Chciałam otrzeć się o Aidana i powiedzieć: „Jeśli wstaniesz i przyniesiesz mi trochę dietetycznej coli, będę twoim przyjacielem do końca życia”.

Przez głowę przeleciały mi obrazy z minionej nocy: widziałam, jak zameczam ludzi, wygłaszając do nich długie, bełkotliwe monologi o śmiertelności, i skuliłam się z zażenowania.

Po chwili mój wstyd zmieszał się ze sprzeciwem. Przecież mówiłam Rachel, że nie potrafię znieść ludzi; ostrzegałam ją. Jednak wstyd zwyciężył i nie miałam

nikogo, kto by mi powiedział, że poprzedniego wieczoru nie zrobiłam z siebie pi-jackiego widowiska, że naprawdę nie byłam taka okropna...

On zawsze był dla mnie taki dobry, ilekroć miałam kaca.

- Chciałabym, żebyś tu był - powiedziałam w pustkę. - Naprawdę mi cię bra-kuje. Naprawdę, naprawdę, naprawdę, naprawdę, naprawdę brak mi ciebie.

Przez cały czas, odkąd umarł, nigdy nie czułam się bardziej samotna, a wspomnienie tego, co robiłam o tej porze w zeszłym roku, było niemal nie do zniesienia. Miałam takie cudowne urodziny.

Kilka tygodni wcześniej zapytał mnie, jak chciałabym je świętować.

- Pojedźmy gdzieś. Zaskocz mnie. Ale to musi być miejsce, które nie jest związane z kosmetykami. Ani sklepami z antykami.

- Nie lubisz sklepów z antykami? - W jego głosie brzmiało prawdziwe zasko-czenie, ale miał do niego prawo. Przynajmniej dwie niedziele kazałam mu spę-dzić na „wyprawie śladem antyków” po całym stanie z parami takimi jak my.

- Próbowałam. - Zwiesiłam głowę. - Naprawdę próbowałam, ale lubię czyste, nowoczesne rzeczy, a nie śmierdzące stare rupiecie, przeżarte przez korniki. I jeszcze jedno - dodałam - nie chcę wyjeżdżać za daleko od Nowego Jorku. W piątkowe wieczory są straszne korki.

- Zamówienie przyjęte.

Kilka tygodni później, w urodzinowy wieczór, zabrał mnie z pracy limuzyną (normalną, a nie dwunastoosobową, dzięki Bogu), a cel podróży było tak tajny, że Aidan naprawdę zawiązał mi przepaskę na oczach. Jechaliśmy całe wieki i myślałam, że musimy być co najmniej w New Jersey. Nagle okropnie się prze-straszyłam, że może zabiera mnie do Atlantic City, i zaczęłam rzucać się na nie-go z pazurami.

- Już niedaleko, maleńka.

Kiedy jednak zdjął mi z oczu opaskę, wciąż byliśmy w Nowym Jorku, a dokładnie mniej więcej dwadzieścia przecznic od naszego mieszkania. Przed modnym hotelem SoHo, z dziennym spa i restauracją z trzymiesięczną listą oczekujących, chyba że jest się hotelowym gościem, bo wtedy automatycznie przeskakuje się kolejkę. Mniej więcej cztery miesiące wcześniej organizowałam tu promocję pewnego produktu i wróciłam do domu zachwycając się urodą tego miejsca. Zawsze chciałam tu przenocować, ale jak mogłam to zrobić, skoro mieszkałam tak niedaleko?

Kiedy wysiadłam z samochodu, byłam niemal chora z emocji.

- Właśnie tu chciałam być bardziej niż gdziekolwiek indziej na całym świecie! - powiedziałam Aidanowi. - Aż do tej chwili nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak okropnie tego pragnę.

- Dobrze. Miło to słyszeć - mówił spokojnie, ale wyglądał tak, jakby za chwilę miał pęknąć z dumy.

Zjedliśmy kolację we wspaniałej restauracji, a dwa następne dni spędziliśmy w łóżku, wyłaniając się spośród prześcieradeł jedynie na szybki wypad do Prądy. (Postanowiłam darować sobie dzienne spa, na wypadek gdyby próbowali sprzedać mi produkty). To było naprawdę magiczne.

A teraz spójrz na nas...

Zeszłego wieczoru, choć byłam tak pijana, wyczułam nastrój panujący wokół stołu. Jest równie okropna jak zawsze, myśleli. Nawet gorsza. To zabawne, można by sądzić, że po pięciu miesiącach już się trochę pozbierała...

Może po pięciu miesiącach istotnie powinnam się już trochę pozbierać? Leon pozbierał się wyraźnie. Był o wiele weselszy i mógł przebywać w moim towarzystwie, nie płacząc. Zresztą on miał Danę. Nie stracił wszystkiego.

Jeszcze jeden obraz z poprzedniej nocy stanął mi przed oczami: moja rozmowa z Shakiem o eliminacjach do następnego konkursu gitarowego.

- Graj - namawiałam go. - Graj całym sercem. Graj całym sobą, Shake. Bo jutro możesz być martwy. Nawet dzisiejszej nocy możesz umrzeć.

Przytakiwał mi gorliwie, ale odskoczył szybko, gdy wspomniałam o możliwej bliskości jego śmierci.

Rachel nie przestawała przesuwac mnie od osoby do osoby, póki za mocno czegoś nie popsułam. Podejrzewam jednak, że byłam źródłem niewielkiej paniki, ponieważ po kolacji, gdy staliśmy na ulicy, zastanawiając się, co robić dalej,

Prawdziwi Mężczyźni po pijanemu podbijali atmosferę i wykrzykiwali, że jeszcze jest wczesnie, więc będą grać w scrabble aż do wschodu słońca. Nawet niski Leon odchylił głowę do tyłu i wył do nieba. Wszyscy byli w nastroju wycia do księżyca i w euforii łapania życia za jaja.

- Wystraszyłam ich - powiedziałam głośno. - Aidan, wystraszyłam ich. - Nagle okazało się to zabawne i... kojące. Zrobiliśmy to razem. - Wystraszyliśmy ich.

Bóg jeden wie, co znalazł, nie zostałam, żeby się przyglądać. Z rękami pełnymi ozdobnie opakowanych aromatyzowanych świeczek - każdy dał mi jedną jako urodzinowy prezent - urwałam się po cichu i beztrosko, z wdzięcznością unikając wielkiej sceny „wczesnego wyjścia pogrążonej w smutku kobiety”.

Było za wczesnie, żeby dzwonić do kogoś i dowiadywać się, co mnie ominęło, więc ponownie zasnąłam (bardzo rzadki przypadek, może spróbuję częściej mieć kaca), a kiedy znów się obudziłam, czułam się lepiej.

Włączyłam komputer. W skrzynce odbiorczej był e-mail od mamy.

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Walshowiel@eircom.net

Temat: Wielu szczęśliwych powrotów!

Kochana Anno!

Mam nadzieję, że trzymasz się dobrze i świętujesz swoje urodziny. Pamiętam ten dzień przez trzydziestoma trzema laty.

Żałujemy, że nie ma Cię tutaj. Kupiliśmy tort na twoją cześć. Czekoladowy tort „Victoria”. Była tu sprzedaż na utrzymanie kościoła protestanckiego i chociaż niechętnie ich wspieram, . nie mogę zaprzeczyć, że mają złote ręce do pieczenia ciast. Twoja kochająca Mama

P.S. Jeśli zobaczysz Rachel, zechciej jej powiedzieć, że żadna z moich sióstr, ŻADNA, nie słyszała o cukrowych strzelających groszkach.

P.P.S. Czy to prawda, że Joey ma ochotę na Jacqui? Pewien mały ptaszek (Luke) mówi, że była jakaś „afera” na Twoim urodzinowym przyjęciu. Czy to prawda, że Joey ukradł z jej scrabble jedną z kostek A, włożył sobie w spodnie i powiedział, że jeśli chce ją odzyskać, to przecież wie, gdzie szukać?

P.P.P.S. Czy to było w jego spodniach, czy w slipach? Bo jeśli to były slipy, to mam nadzieję, że później tę kostkę umył. To wylęgarnia bakterii. Nigdy nie wiadomo, co można złapać. Szczególnie od Joeya. Jest taki... „aktywny”.

O mój Boże, Aidan, co nas ominęło? Siedziałam, gapiąc się w ekran, i po chwili zadzwoniłam do Rachel.

- Mama przysłała mi e-mail.

- Ach tak? Jeśli o cukrowych groszkach...

- Nie. O Joeyu i...

- Chryste, on był skandaliczny! Wciąż pisał na tablicy takie słowa jak „seks” i „napalony”, a potem znacząco spoglądał na Jacqui. Od kiedy zaczęła mu się podobać?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia! To zbyt dziwaczne. Mama pisze, że włożył sobie w bokserki jedną z kostek A, którymi grała Jacqui.

- Nie, to nieprawda.

- Więc dlaczego pisze, że...
- To była jedna z kostek J. Za osiem punktów. -1 co się stało?
- Powiedział, że jeśli chce ją odzyskać, to wie, co musi zrobić. Z całym uznaniem dla Jacqui: podwinęła rękaw, poszukana i odzyskała tę kostkę.

Do: Walshowiel@eircom.net

Od: Czarodziejka1@yahoo.com

Temat: Scrabble w spodniach?

Nie, Joey nie ukradł jednej z kostek A, którymi grała Jacqui, nie wrzucił jej sobie do spodni i nie powiedział, że jeśli chce ją odzyskać, to wie, gdzie szukać. Ukradł jej jedną z kostek J, wsadził sobie do spodni i powiedział, że jeśli chce ją odzyskać, to wie, gdzie szukać. Kochająca Anna

P.S. To były bokserki, nie spodnie. P.P.S. Faktycznie odzyskała tę kostkę.
P.P.P.S. Nie wiem, czy ją umyła.

Do.Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Walshowiel@eircom.net

Temat: Scrabble w spodniach?

Ojciec się zdenerwował. Przez pomyłkę przeczytał Twój ostatni e-mail, myśląc, że to do niego (choć kto w ogóle do niego pisze?). Mówi, że już nigdy nie będzie mógł spojrzeć na Jacqui.

Nie jest sobą. To wszystko przez tę psią pogodę. Twoja kochająca Mama

P.S. Więc naprawdę sięgnęła tam i wyciągnęła tę kostkę? Jest twardsza, niż się wydaje, skoro tak. Ja byłabym do tego zdolna, gdyż w „poprzednim życiu” zwykłam oporządzać indycze „podroby”, ale nie wszyscy mieliby na to ochotę.
P.P.S. Myślałam o „kalamburze”, jaki Jacqui ułożyła w bokserkach Joeya.

Sięgnęłam po telefon. Musiałam porozmawiać z Jacqui. To niewiarygodne: ona i Joey?! Ale odebrała jej cholerna automatyczna sekretarka. Okropność!

- Gdzie jesteś? W łóżku z Joeyem? Na pewno nie? Zadzwoń do mnie!

Taką samą wiadomość zostawiłam jej na komórce i krążyłam po domu, gryząc paznokcie i próbując zabić czas. Tak było, ilekroć dokonywałam jakiegoś odkrycia... miałam dziesięć paznokci do obgryzania. Jakoś, choć nie zwracałam na to uwagi, dwa brakujące mi odrosły.

Pięć po piątej po południu Jacqui wreszcie się odezwała.

- Gdzie jesteś? - zapytałam.

- W łóżku. - Jej głos brzmiał sennie i seksownie.

- W czyim łóżku?

- W moim.

- Jesteś sama?

Roześmiała się i odpowiedziała. -Tak.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Byłaś sama przez całą noc?

- Tak.

- I cały dzień?

- Tak.

Zdawkowo zapytałam:

- Ostatni wieczór był fajny?

- Tak.

Wtedy nadzwyczaj zdawkowo, niewiarygodnie zdawkowo, powiedziałam:

- Przyszło ci kiedyś na myśl, że Joey wygląda trochę jak Jon Bon Jovi?

Parsknęła śmiechem. Ale, co ciekawe, nie odpowiedziała.

- Wpadnę do ciebie - powiedziała.

Pojawiła się w białych, obciętych dżinsach (Donna Karan) ¹ obcisłej białej podkoszulce (Armani) prezentując długie, opalone nogi i ramiona, z przewieszoną przez ramię torbą (Balanciaga) w kolorze aqua metalik, której cena odpowiadała przeciętnemu miesięcznemu czynszowi (prezent od wdzięcznego klienta). Miała splątane, przygniecione włosy. Sprawiała wrażenie, że wciąż ma na sobie makijaż z wczorajszego wieczora, ale wyglądała nieźle. Tusz do rzęs i cienie rozmazały się tak, że oczy jej pociemniały i zachęcały. Wyglądała, jeśli to możliwe, jak naprawdę seksowna deska do prasowania (w pozycji pionowej).

Powiedziałam jej to. Tak, nawet ten kawałek o desce do prasowania. Gdybym ja tego nie powiedziała, zrobiłaby to sama.

Zlekceważyła moje słowa.

- W ciuchach wyglądam w porządku, ale kiedy pierwszy raz widzi się mnie w biustonoszu i majtkach, można się trochę przestraszyć.

- A kto po raz pierwszy będzie cię widzieć w majtkach i biustonoszu?

- Nikt.

- W ogóle nikt?

- Nie.

- W porządku. Chodźmy na pizzę.

- Świetny pomysł - niewielkie wahanie - ale najpierw muszę wpaść do Rachel i Luke'a. Zostawiłam coś zeszłej nocy.

Spojrzałam na nią bacznie.

- Co? Zdrowy rozsądek?

- Nie - odpowiedziała z odrobiną rozdrażnienia. - Mój telefon komórkowy.

Wymruczałam jakieś przeprosiny.

Ale kiedy przyszłyśmy do Rachel i Luke'a, któż nam się objawił, rozciągnięty na ich sofie i markotnie stukający butami w ich ceglana ścianę?! Joey!

- Wiedziałaś, że on tu będzie? - zapytałam Jacqui. -Nie.

Na widok Jacqui Joey usiadł wyprostowany i przeczesał do tyłu włosy, próbując doprowadzić się do porządku.

- Cześć, Jacqui! Zostawiłaś tu zeszłej nocy swój telefon komórkowy. Dzwoniłem do ciebie. Dostałaś moją wiadomość? Powiedziałam, że wpadnę z nim do ciebie, jeśli chcesz.

Spojrzałam na Jacqui. Więc wiedziała, że on tu jest. Ale ona nie patrzyła na mnie.

- Oto on. - Joey podskoczył i zdjął go z półki.

Było to całkiem zabawne: widzieć go, jak się stara być miły.

- Dzięki. - Jacqui wzięła telefon i ledwie spojrzała na Jo-eya. - Anna i ja idziemy na pizzę. Wszyscy możecie się do nas przyłączyć.

- A potem - zapytałam - może zagramy w scrabble?

Na słowo „scrabble” wydarzyło się coś zabawnego, jakby w pokoju nastąpił wzrost napięcia. Między Jacqui i Joeyem coś iskrzyło.

- Żadnego scrabble - powiedziała Rachel, psując nastrój -Muszę się wyspać.

Jacqui i ja wracałyśmy taksówką do domu, siedząc w milczeniu. W końcu ona odezwała się pierwsza.

- No, wal. Wiem, że chcesz coś powiedzieć.

- Mogę zadać pytanie? Mama mówi, że włożyłaś rękę do jego spodni, żeby odzyskać swoją kostkę scrabble...

- O Jezu! - Ukryła twarz w dłoniach. - Skąd mama Walsh o tym wie?!

- Myślę, że Luke jej powiedział, ale to nie ma znaczenia; ona najwyraźniej wie o wszystkim, ale ja zastanawiam się, czy to było przyjemne?

Zastanowiła się chwilę.

- Całkiem przyjemne.

- Całkiem przyjemne? Po prostu całkiem przyjemne?
- Po prostu całkiem przyjemne.
- A on był miękki czy... no, wiesz?
- Miękkawy, kiedy zaczęłam. Twardy, kiedy skończyłam. Znalezienie tej kostki zajęło mi chwilę.

Błysnęła ku mnie nieoczekiwanym kokieteryjnym uśmiechem.

- Może zechcesz o czymś pomyśleć - powiedziałam.
- O czym?
- Na innych swoich mężczyzn narzekasz, że zawsze są mili na początku, dobrze skrywając fakt, że są draniami. Z Joeyem przynajmniej wiesz, na czym stoisz. Jest cholernym palantem, który nigdy nie udaje, że jest kimś innym.

Jacqui zamyśliła się, a potem powiedziała:

- Wiesz, Anno, to naprawdę nie jest rekomendacja.

Rozdział 26

- Aidan? Spotkanie spirytystów? Powinnam dzisiaj pójść?

Żaden głos nie udzielił mi odpowiedzi. Nic się nie wydarzyło. Aidan nadal uśmiechał się z fotografii w ramce, zastygły w jakiejś dawnej chwili.

- W porządku - powiedziałam. - Zróbmy tak. - Wyrwałam stronę z jakiejś gazety i zmiełam ją. - Cisnę tę papierową kulę do kosza, który tam stoi. Jeśli chybię, zostanę w domu. Jeśli trafię, pójdę.

Zamknęłam oczy i rzuciłam. Kiedy je otworzyłam, papierowa kulka leżała na dnie kosza.

- Dobrze - powiedziałam. - Wygląda na to, że chcesz, żebym poszła.

Najpierw musiałam znaleźć jakąś wymówkę dla Rachel, ponieważ wciąż było bardzo gorąco i chciała iść na plażę. Powiedziałam jej, że zamierzam spędzić ten dzień w spa, z czego wydawała się dość zadowolona.

- Ale następnym razem powiedz o tym mnie albo Jacqui, wtedy jedna z nas pójdzie z tobą.

- Świetnie, doskonale - odparłam z ulgą, że mam wreszcie święty spokój.

Nicholas już czekał w korytarzu. W tym tygodniu jego T-shirt mówi! „Pies jest moim drugim pilotem”. Czyta! książkę zatytułowaną *Tajemnice Syriusza* i popełniłam błąd, pytając o jej treść.

- Przed pięcioma tysiącami lat na Ziemi zjawili się amfi-biotyczni, wodno-ładowi przybysze z kosmosu i przekazali plemieniu Dogonów z zachodniej Afryki sekrety wszechświata, obejmujące istnienie pewnej gwiazdy towarzyszącej Syriuszowi, gwiazdy tak ciemnej, że w istocie niewidzialnej...

- Dzięki! Wystarczy! Okay, wierzysz, że księżna Diana pracuje w jakimś barze w Nowym Meksyku?

- Jasne. I wierzę też, że zamordowała ją rodzina królewska Oto, jaki jestem dobry w wierzeniu. Ja naprawdę wierzę.

- I w to, że Roosevelt wiedział wcześniej o ataku na Pearl Harbor, ale pozwolił, żeby do niego doszło, gdyż chciał włączyć Amerykę do wojny?

- Jasne.

- I w to, że sfalszowano lądowanie na Księżycu?

- Też.

Niebawem przyczłapał Zombie Fred, który - choć wszyscy inni niemal gotowali się z gorąca - miał na sobie swój czarny garnitur i tylko odrobinę się spocił. Następnie pojawiła się Barb.

Opadła na ławkę obok mnie, rozsuwając uda, po czym uniosła rąbek spódnicy i wachlowała się energicznie.

Przynajmniej tu będzie trochę powietrza. To nie dzień, żeby nosić bieliznę - dodała.

O Boże. Czyżby właśnie mi powiedziała, że nie nosi majtek? W głowie mi się zakręciło. Oto, do czego zredukowała mnie śmierć Aidana: do pałętania się z takimi dziwakami.

Ale czy oni byli dziwakami? (Oprócz Zombie Freda, który był tak dziwaczny, jak tylko to możliwe). Czyż nie byli po prostu złamanymi ludźmi? Albo zbankrutowanymi, jak w przypadku Mackenzie.

- Tylko nie mów facetom. - Barb mrugnęła i wskazała brzeg swojej sukienki.
- Przywiodłoby ich do szaleństwa, gdyby wiedzieli, że jestem bujnie owłosiona.

Nie byłam pewna, czy „facetami” są Nicholas i Zombie Fred, ale nic nie powiedziałam.

Sukienka Barb była rozpinana i rozchylała się na biodrach. Nie chciałam patrzeć, robiłam wszystko, co mogłam, żeby się powstrzymać, ale to było tak jak z Lukiem i jego krocem, pociąg był po prostu za silny. Całkowicie wbrew mojej woli, rzuciłam okiem na jej łono.

- Barb - powiedziałam trochę piskliwie, stanowczo wbijając wzrok w jej twarz
- co sprowadza cię tutaj w każdą niedzielę?

- Przychodzę tu, ponieważ wszyscy ciekawi ludzie, których znałam, nie żyją. Przedawkowanie prochów, samobójstwa, morderstwa, mówię ci! - Zabrzmiało to tak, jakby chciała powiedzieć, że dzisiaj ludzie nie wiedzą, jak umierać porządnie. - A mnie nie stać nawet na dwie sekundy czasu Neris Hemming.

- Chciałabyś z nią porozmawiać?

- Jasne. To naprawdę jest Ktoś! - Serce we mnie rosło. Jeśli Barb, z jej chropowatym głosem i zrzędlivością, powiedziała, że Neris Hemming naprawdę jest Kimś, to z pewnością tak musi być. - Jeśli ktokolwiek potrafi sprowadzić do ciebie męża, to na pewno jest to Neris Hemming.

- Rozmawiałaś z nią? - Przyszedł Mitch.

- Z jej biurem. Powiedziano mi, że będę mogła z nią rozmawiać za dziesięć do dwunastu tygodni.

- Ach, to wspaniale!

Wszyscy byli zgodni, że to fantastyczne. Ich życzenia były tak serdeczne, a ekscytacja tak prawdziwa, że zapomniałam, iż to, co świętują, jest naprawdę bardzo niezwykle.

Wszyscy weszliśmy do sali i Leisl rozpoczęła seans. Stryjeczna babka Morąg przyszła do Mackenzie i stale powtarzała, że nie ma żadnego testamentu. Ojciec Nicholasa udzielił mu rady w sprawie pracy (wydawał się miłym facetem i naprawdę nim był). Zona Wypomadowanego Juana kazała mu jadać właściwie. Mąż Karmeli powiedział, że powinna pomyśleć o wymianie kuchenki, gdyż ta jest niebezpieczna. Potem Leisl powiedziała:

- Barb, ktoś chce rozmawiać z tobą. Czy mógłby to być... - wydawała się trochę niepewna - Wolfman?

- Wolfman? Ach, Wolfgang! Mój mąż. No dobrze, jeden z mężów. Czego chce? Znowu żyć cudzym kosztem?

- Mówi... czy to ma jakiś sens? Nie sprzedawaj jeszcze obrazu. Zyska na wartości.

- Powtarza mi to od lat - gderała Barb - a ja muszę żyć, rozumiesz.

Do końca tej godziny nikt do mnie nie przyszedł, ale podekscytowana kontaktem z Neris Hemming, nie miałam nic przeciwko temu.

Pożegnałam się ze wszystkimi i szłam prosto do windy, dołączając do jakiejś grupy tańca brzuchem, gdy ktoś z tyłu zawołał mnie po imieniu. Obróciwszy się, zobaczyłam Mitcha.

- Musisz teraz gdzieś iść? Pokręciłam przecząco głową.

- Masz na coś ochotę?

- Na przykład na co?

- Nie wiem. Na kawę?

- Nie, nie mam ochoty na kawę - powiedziałam. Zaczynałam odczuwać mdłości. Obawiałam się, że będę musiała zacząć pić ziołowe herbatki i narażę się na zmianę w jedną z tych agresywnie spokojnych osób, które piją napary z mięty i rumianku.

Twarz Mitcha nawet nie drgnęła. W najlepszym razie jego oczy były oczami człowieka, który stracił wszystko. Odmowa Pójścia na kawę nawet go nie musnęła.

- Chodźmy do zoo. - Nie miałam pojęcia, dlaczego to powiedziałam.

- Do zoo?

- Tak.

- Do tego miejsca ze zwierzętami?

- Tak. Jedno jest w Central Parku.

- Dobrze.

Zoo było pełne splecionych zakochanych par i wlokących się rodzin ze spacerowymi wózkami, dziećmiakami i lodami. Mitch i ja, chodzące rany, nie wyróżniliśmy się; dopiero jeśli podeszło się naprawdę blisko, można było zobaczyć, że się różnimy.

Zaczęliśmy od sekcji Zwierząt Deszczowych Lasów Tropikalnych, którymi były głównie małpy, człekokształtne, czy jak tam one naukowo się nazywają. Niezły wybór. Zwisały z drzew, iskały się albo gburowato patrzyły przed siebie, ale było ich zbyt wiele i jedynymi, które przyciągnęły moją uwagę, były te z jaskrawoczerwonymi pośladkami, którymi kręciły w stronę tłumu.

- Wyglądają, jakby goliły tyłki - powiedział Mitch.

- Albo jakby robiły sobie brazylianę - spojrzałam na niego, żeby zobaczyć, czy muszę mu wyjaśnić, co to jest, ale sprawiał wrażenie, że wie.

Gdy się przyglądaliśmy, jeden z tych czerwonytyłkich spadł z gałęzi, a dwa następne naśmiewały się z niego, wydając przy tym piskliwe dźwięki, czym ogromnie rozbawiły tłum. Ludzie rzucili się z aparatami fotograficznymi i rozdzielono mnie od Mitcha. I dopiero wtedy, kiedy się za nim rozglądałam, uświadomiłam sobie, że naprawdę nie wiem, jak wygląda.

- Jestem tutaj - usłyszałam, więc się odwróciłam i uświadomiłam sobie, że patrzę w te studnie beznadziei. Próbowałam dodać kilka innych szczegółów na przyszłość: miał bardzo krótkie włosy i granatowy T-shirt... chyba nie nosił go przez cały czas... był trochę starszy niż ja, pewnie dobiegał czterdziestki.

- Idziemy dalej? - zapytał.

Odpowiadał mi. Nie potrafiłam długo koncentrować się na czymkolwiek. Znaleźliśmy się w Kręgu Polarnym.

- Trish lubiła niedźwiedzie polarne - powiedział - chociaż wciąż jej mówiłem, że to bezwzględni kolesie. - Patrzył na nie. - Mimo że miło wyglądają. Jakie jest twoje ulubione zwierzę?

Całkiem mnie zaskoczył. Nie byłam pewna, czy w ogóle mam jakieś ulubione zwierzę.

- Pingwiny - odparłam. Mogłyby być. - Tak bardzo się starają. Bycie pingwinem musi być trudne; nie można latać, ledwie można chodzić.

- Ale można pływać.

- Ach, tak. Wiesz, zapomniałam o tym.

- Jakie było ulubione zwierzę Aidana?

- Słoń. Ale tu nie ma słoń. Żeby je zobaczyć, trzeba jechać do zoo w Bronksie.

Dotarliśmy do basenu lwów morskich, gdzie za chwilę miała się rozpocząć pora karmienia. Olbrzymi tłum, złożony głównie z grup rodzinnych, zgromadził się w pełnej napięcia atmosferze oczekiwania.

Kiedy trzech mężczyźni w wysokich gumowych butach i czerwonych kombi-
nezonach pojawili się z wiadrami ryb, atmosfera stała się niemal histeryczna.

- Tutaj! Tutaj! - Ciała napierały na barierę, powietrze wypełniło się trzaskiem
migawek setek aparatów fotograficznych, a dzieci podnoszono do góry, żeby le-
piej widziały.

- Tam jest jeden! Tam!

Ogromne, błyszczące, szaro-czarne cielsko gwałtownie wyskoczyło z wody,
wyciągając się po rybę, a potem uderzyło brzuchem w taflę basenu, wzniesając
wielką falę, rozchodzącą się ku jego bokom. Tłum jęknął uuuoooouu, dzieci
piszczały, aparaty błyskały, zignorowane lody się topiły, a w środku tego
wszystkiego Mitch i ja przyglądaliśmy się beznamiętnie, jakbyśmy byli sylwet-
kami wyciętymi z tektury.

- Tu jest jeszcze jeden, tu jest następny! Mamo, zobacz, drugi!

Drugi lew morski był jeszcze większy niż pierwszy i plusk, z jakim wrócił do
wody, wywołał taką falę, że połowa publiczności została opryskana. Nikt się nie
przejął. To była część widowiska.

Poczekaliśmy, aż czwarty lew zjadł swoją rybę, a potem Mitch spojrzał na
mnie.

- Idziemy dalej?

- Jasne.

Odeszliśmy od ludzi, którzy wciąż stali zauroczeni i zniewoleni tym widokiem.

- Co dalej?

Spojrzałam na plan. Cholera. Pingwiny. Będę musiała udawać, że jestem za-
chwycona ich widokiem, bo są moimi ulubionymi zwierzętami.

Entuzjazmowałam się najlepiej, jak umiałam, a potem Mitch zasugerował,
byśmy poszli dalej. Rozmawialiśmy bardzo mało. Nie czułam się z tym dobrze,
ale nic o nim nie wiedziałam oprócz tego, że jego żona umarła.

- Masz jakąś pracę? - zapytałam, ale wypadło to trochę obcesowo.
- Tak - odparł.

Szliśmy dalej. Nie powiedział nic więcej. Po pewnym okresie milczenia nagle przystanął. Nawet się roześmiał.

- O mój Boże! Powinienem ci powiedzieć jaką. Po to zapytałaś. Nie myślałaś przecież, że żyję z zasiłku.

- Nie... - wybąkałam. - Jeśli nie chcesz...

- Oczywiście, że chcę. To normalne pytanie. Ludzie je zadają. Jezu, nic dziwnego, że nie jestem już zapraszany na kolacje. Co za bałwan ze mnie!

- Wcale nie - powiedziałam. - A ja jestem osobą, która zapomniała, że pingwiny pływają.

- Projektuję i instaluję domowe systemy audio-wideo. Mogę opowiedzieć ci więcej, o ile będziesz chciała tego słuchać. To technika.

- Nie, w porządku, dziękuję... Nie mogłabym wystarczająco mocno skupić uwagi, żeby zrozumieć... Hej, przegapiliśmy Klimat Umiarkowany... śnieżne małpy, czerwone pandy, motyle, kaczki.

- Kaczki?

- Tak, kaczki. Nie możemy ich opuścić. Chodźmy.

Poszliśmy z powrotem, bez entuzjazmu podziwialiśmy zwierzęta Klimatu Umiarkowanego, podjęliśmy decyzję odpuszczenia sobie małego zoo i nagle wszystko zaczęło wyglądać znajomo. Wróciliśmy do miejsca, z którego wyruszyliśmy. Zrobiliśmy jedno wielkie koło.

- To wszystko? - zapytał Mitch.

- Na to wygląda.

- W porządku. Idę na siłownię. - Zarzucił sobie torbę na ramię i ruszył do wyjścia. - Do zobaczenia w następną niedzielę?

- Okay.

Czekałam, aż zniknie. Mimo że spędziłam z nim kilka ostatnich godzin, cierpiałam z powodu strachu przez Syndromem Falszywego Pożegnania: kiedy nie zna się kogoś zbyt dobrze i mówi się coś serdecznego na pożegnanie, może nawet całuje, a następnie nieoczekiwanie wpada się na siebie pięć minut później na przystanku autobusowym, w metrze albo na tym samym odcinku ulicy, próbując złapać taksówkę. Nie wiem dlaczego, ale to jest zawsze krępujące, bo ta przyjemna, swobodna konwersacja, jaką odbyło się zaledwie pięć minut wcześniej, całkiem się rozwiąła, nastrój jest napięty i patrząc na szyny modlimy się: niech to metro już przyjedzie, niech to metro już przyjedzie...

Potem, kiedy metro lub taksówka wreszcie przyjeżdża, żegnamy się jeszcze raz i próbujemy się uśmiechać, mówiąc wesoło: „Do zobaczenia ponownie”, ale to pożegnanie nie jest już tak miłe jak poprzednie i zastanawiamy się, czy powinniśmy się pocałować jeszcze raz, i jeśli to robimy, to wydaje się fałszywe, a jeśli nie, czujemy, jakbyśmy skończyli na złej nucie. Niczym suflet, udane pożegnanie może się odbyć tylko raz. Pożegnanie nie może być odgrzewane.

Czekając aż będzie superbezpiecznie, by wyjść, obserwowałam normalnych ludzi, wciąż napływających do zoo, i myślałam o Mitchu. Jaki był przedtem? Albo jaki będzie w przyszłości? Wiedziałam, że nie widzę go takiego, jaki jest naprawdę. Nie widzę go prawdziwego. W tym momencie cały był żałobą. Jak ja. Ja nie byłam teraz prawdziwą Anną.

Uderzyła mnie pewna myśl: chyba już nigdy nie będę znowu prawdziwą sobą. Bo jedynym, co przywróciłoby wszystkie sprawy na właściwe tory, byłoby to, żeby Aidan nie umarł, a to nie mogło się zdarzyć. Czy miałam wstrzymać oddech na zawsze, czekając, aż świat odzyska równowagę?

Spojrzałam na zegarek. Mitcha nie było od dziesięciu minut. Zmusiłam się, by policzyć do sześćdziesięciu, potem uznałam, że mogę spróbować. Na ulicy rozejrzałam się kilkakrotnie na wszystkie strony, ale nigdzie go nie było. Zatrzy-

małam taksówkę i kiedy dotarłam do domu, poczułam się całkiem dobrze. Z tą niedzielą poradziłam sobie najlepiej.

Rozdział 27

Zanim dotarłam do swego biurka, szybko wpadłam do damskiej toalety i zastałam tam osobę pochyloną nad jedną z umywalek i wypłakującą sobie oczy. W poniedziałkowy poranek nie było nic niezwykłego w tym, że ktoś płacze; kabiny były prawdopodobnie pełne dziewcząt wymiotujących dlatego, że nie miały się czym wykazać na Poniedziałkowym Porannym Posiedzeniu. W zaskoczenie wprowadził mnie jednak fakt, że tą płaczącą osobą była Brooke Edison (ubrana w jakiś elegancki, szarobeżowy lniany kostium, podczas gdy ja miałam na sobie jasnoczerwoną garsonkę w stylu lat pięćdziesiątych, z żakietem z dekoltem „w łódkę” i wąską spódniczką, sięgającą do kostek skarpetki w różyczki, różowe pantofle bez pięty i torebkę w kształcie piętrowego domu).

- Brooke! Co się stało?

Nie mogłam uwierzyć, że ona płacze. Pomyślałam, że osobom z tak elitarnych kręgów nie wolno okazywać emocji.

- Och, Anno... - płakała. - Miałam drobną sprzeczkę z moim tatą.

O mój Boże! Brooke Edison miewa sprzeciżki z ojcem? Przyznaję: wydało mi się to odrobinę fascynujące. Dobrze wiedzieć, że inni ludzie też mają problemy. A może Brooke jest bardziej normalna, niż sądziłam...

- To o suknię od Givenchy.

- *Haute couture* czy *prêt-à-porter*?

- Och... - Najwyraźniej nie zrozumiała pytania. - *Haute couture*, jak sądzę. I...
i...

- I on nie chce ci jej kupić - podpowiadałam, szukając w swojej „domkowej” torebce paczki chusteczek. Były wytłaczane w pantofelki, co mnie zaszokowało. Ten idiotyzm naprawdę miał mnie w uścisku.

- Ależ nie! - powiedziała, spoglądając na mnie szeroko otwartymi oczami. - Chodzi o to, że tato chce mi ją podarować, a ja powiedziałam, że mam już dość fantastycznych sukien w swojej garderobie.

Patrzyłam na nią, czując ssanie w żołądku.

- Powiedziałam, że tak wiele biedy jest na świecie i że naprawdę nie potrzebuję kolejnej sukni, ale on odparł, że nie rozumie, co złego jest w tym, iż chce, aby jego dziewczynka pięknie wyglądała. - Nowe łzy trysnęły jej z oczu. - Mój tato jest moim najlepszym przyjacielem, wiesz? Nie wiedziałam, ale skinęłam głową.

- Więc to okropne, kiedy między nami się nie układa.

- Cóż, lepiej już pójdę - powiedziałam. - Trzymaj te chusteczki.

Bogaci są naprawdę inni, pomyślałam; to pieprzone dziwolągi.

Pospieszyłam do biura, gotowa podzielić się tym spostrzeżeniem z Teenie.

Tego wieczoru dostałam e-mail od Helen.

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Kolejny wyłom w rutynie!

Detta zjadła lunch w restauracji z „dziewczynami”; trzema innymi kobietami, mniej więcej w jej wieku, może również zamężnymi z bossami przestępczości? Torebki Chanel z pozłocanymi rączkami. Zdemoralizowane. A ja znowu musiałam

łam szwendać się po ulicy niczym bezdomna, zaglądając przez okno, i tym razem ktoś próbował kupić ode mnie metadon.

Ani śladu Raceya O'Grady. Aby się upewnić, weszłam do środka pod pretekstem skorzystania z toalety (pomyśl tylko, w tym zawodzie robisz siusiu, wykorzystując każdą okazję), a te cztery siedziały w obłoku perfum, popijały drinki i trajkotały o mężach. Gdy wchodziłam, jedna z nich - zapadnięte oczy, czarne włosy, paznokcie jak szpony - piszczała: „W ciemności nie znalazłby własnego tyłka”. Kiedy wychodziłam, druga, z twarzą jak japońska mandarynka (gruba, pomarańczowa, z wielkimi porami), mówiła: „Więc mu powiedziałam, proszę bardzo, przeleć mnie, ale ja idę spać!”.

Wyły ze śmiechu. Wszystkie oprócz Derry. Nie paliły, ale tylko dlatego że tam nie wolno. Sądząc po jej wyglądzie, na pewno zapaliłaby, gdyby mogła. Uśmiechała się z roztargnieniem i patrzyła w przestrzeń. Zrobiłam kilka fotek telefonem komórkowym, na wypadek, gdyby interesowały Harry'ego, ale jak mogłyby go zainteresować? To jest cholernie nudne, ale coś Ci powiem, Anno, ptacq mi za to cholernie dobrze.

Przyszedł też e-mail od mamy.

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Walshowiel@eircom.net

Temat: ostatnie wiadomości

Nic się nie dzieje. Żadnych cholernych wiadomości. Helen spędza cały czas w krzakach (Mr Big). Wciąż jesteśmy gnębieni psią kupą; w tym tygodniu dwa razy. W sobotę wybieram się do Knock; minął już jakiś czas, odkąd byłam na pielgrzymce, i czuję, że jest mi potrzebna, ponieważ jestem zdenerwowana taką

ilością jadu skierowanego do mnie. Chcę poświęcić to Misterium Smutku Tobie, Anno, aby nasz dobry Bóg, przyniósł Ci spokój i akceptację nowej sytuacji.

Twoja kochająca Mama

P.S. Czy Jacqui powiedziała już to o Bonie Von Jodi? P.P.S. Powiedz Rachel, że jeśli chce się ubrać w suknię kremową, to niech się tak ubierze. To jej ślub. Rzecz w tym, że moim zdaniem w ślubnej sukni kremowej zawsze wygląda trochę „brudno”. Ale to moje zdanie.

- Cześć, Anno. - Jakiś mężczyzna zostawił mi wiadomość. - Mówi Kevin. Jestem w mieście w interesach.

To brat Aidana. Serce mi zamarło.

Biedny Kevin. Lubiłam go, ale nie mogłabym się z nim spotkać. Właściwie nawet nie znałam go zbyt dobrze. Co byśmy sobie powiedzieli? „Przykro mi, że twój brat nie żyje”. „Dzięki za współczucie, cóż, przykro mi, że twój mąż nie żyje”?

Wystarczająco trudno było mi w każdy weekend rozmawiać przez telefon z panią Maddox, a cóż dopiero mówić o spędzeniu całego wieczoru w towarzystwie Kevina.

- Będę tu przez cały weekend - mówił dalej. - Moglibyśmy zjeść jakąś kolację. Zadzwoń do mnie.

Patrzyłam bezradnie na telefon. Przepraszam, Aidan, wiem, że to twój brat, ale będę niegrzeczna i mu nie odpowiem.

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Temat: Wiadomość

Dzisiaj Colin zawiózł mnie limuzyną z austriackimi firankami na spotkanie z Wielkim Harrym.

Ja (do Harry'ego): Siedzę Dettę od kilku tygodni, ale ona w ogóle nie spotyka się z Raceyem O'Grady. On: Więc?

Ja: Więc chcę założyć podsłuch w jej telefonach i potrzebuję pańskiej pomocy, jeśli chodzi o jej komórkę. Potrzebne mi też kopie jej rachunków telefonicznych.

On (z niezadowoleniem): Nie wydaje mi się to właściwe. To będzie naruszenie jej prywatności.

Ja (myśląc: co za palant): Płaci mi pan, żebym ją śledziła od rana do wieczora i meldowała, ilekroć zapala papierosa...

On (teraz zatrwożony): Co? Znow popała?

Ja: Popała? Nie przestaje!

On: Ale powiedziała, że przestała. Musi przestać, ze względu na wysokie ciśnienie. Ile pali?

Ja: Przynajmniej dwadzieścia dziennie. Codziennie po porannej mszy kupuje paczkę papierosów, ale może w domu ma jeszcze więcej.

On (wyraźnie słabnąc): Widzisz, ona mnie okłamuje, ale zostawmy jej telefony w spokoju. Obserwuj ją dalej. O Jezu, Anno, ta nuda mnie zabija.

Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl.

Do: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Od: Czarodziejka @yahoo.com

Temat: Colin

Helen, jak wygląda Colin?

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Temat: Colin

Potężny, krzepki, ciemnowłosy, seksowny. Niezły. Najbardziej podoba mi się, gdy wkłada spluwę za pasek dżinsów. Podoba mi się widok jego seksownego brzucha i miejsca, do którego wsuwa rękę. No i niżej, oczywiście...

Oto różnica między Helen a mną. Ja bym się bała, że ze spluwą wsuniętą za pasek mógłby przypadkowo postrzelić się w swój flet.

...Twoim następnym pytaniem będzie to, czy mi się podoba? Tak. Czasami jednak mówi o porzuceniu przestępczości i wejściu na prostą drogę, a wtedy myślę, że to palant. Seksowna bestia czy naiwny palant? Trudny wybór.

Rozdział 28

- Rachel, ty musisz pójść na plażę - powiedziałam -bo jeśli nie dostaniesz swojej porcji słońca, możesz popaść w depresję i znów sfiksować na punkcie narkotyków, jak subtelnie nazywa to Helen.

- Tak, ale... - W głosie Rachel brzmiała bezradność.

- A ja nie mogę iść z powodu mojej blizny - oświadczyłam, nie dopuszczając do żadnej dyskusji.

- Tak mi przykro - rzekła Rachel z poczuciem winy.

- Wszystko w porządku, jest świetnie.

I było. Chciałam iść do kościoła spirytystów. Bardzo szybko stało się to moja niedzielną rutyną. Polubiłam ludzi, którzy tam przychodzili; byli bardzo uprzej-

mi, ja zaś nie byłam dla nich Anną z Katastrofą... cóż, może byłam... bo oni wszyscy także mieli swoje katastrofy. Nie byłam inna.

Jednak nie powiedziałam o tym nikomu, ani Rachel, ani Jacqui; one by nie zrozumiały. Może nawet próbowałyby mnie powstrzymać. Na szczęście Rachel odczepiła się ode mnie, ponieważ niezmiennie trwał upał, a Jacqui pracowała w tak nieregularnych godzinach, że często byłam wolna także od niej. Jeśli zaś chodzi o Leona i Danę, oni zawsze chcieli się spotykać ze mną tylko wieczorami, kiedy mogliśmy pójść gdzieś na kolację.

Wszyscy już byli i siedzieli na ławkach w korytarzu.

- Świetnie! Oto panna Ania - zawołał na mój widok Nicholas, którego T-shirt mówił dziś: „Winona jest niewinna”.

Mitch, niedbale oparty o ścianę, wysunął się do przodu, żeby mnie zobaczyć.

- Cześć, orzeszku. Wyciągnął nogę, żeby dotknąć mnie stopą. - Jak minął tydzień?

- Och, wiesz - odparłam. - A jak twój?

- Tak samo.

Zajęliśmy swoje miejsca w kręgu krzeseł, zabrzmiała wiolonczelowa muzyka i kilka osób dostało wiadomości, ale dla mnie nie było żadnej.

Potem Leisl powoli zwróciła się do mnie.

- Anno... znów widzę tego złotowłosego chłopczyka. Z inicjałem J.

- Bo ma na imię J.J.

- On naprawdę chce z tobą porozmawiać.

- Ale on żyje! Może ze mną rozmawiać, kiedy chce! - zawołałam, a potem przyparłam Leisl do muru: - Dlaczego miałabym dostawać wiadomości od mojego siostrzeńca, który wciąż żyje, czy od mojej okropnej babci, a nie od Aidana?

- Nie potrafię na to odpowiedzieć, Anno. - Jej oczy pod kręconymi włosami były takie życzliwe.

- Nie ma jakiegoś okresu oczekiwania, zanim z kimś, kto umarł, można zacząć się kontaktować, prawda?

- Z tego co wiem, nie - odparła.

- A próbowałaś ZGE? - mruknęła Barb. - Zjawiska Głosu Elektronicznego?

- Co to jest?

- Nagrywanie głosów umarłych.

- Jeśli to jest jakiś żart...

- Żaden żart! - Wszyscy inni wiedzieli o ZGE, ożywione głosy mówiły: - To dobry pomysł, Anno. Powinnaś spróbować.

- Jak to się robi? - zapytałam niechętnie.

- Na zwykłym magnetofonie - powiedziała Barb. - Weź nową kasetę, włóż ją do odtwarzacza, wyjdź z pokoju, wróć po godzinie i odtwórz wiadomości!

- Pokój musi być cichy - dodała Leisl.

- Trudno znaleźć taki w Nowym Jorku - rzekł Nicholas.

- Trzeba mieć pozytywne, pogodne, czułe nastawienie - to znowu Leisl.

- O to również trudno.

- Należy to robić po zachodzie słońca, wieczorem, przy pełni księżyca - dorzuciła Mackenzie.

- Najlepiej podczas burzy - uzupełnił Nicholas - z powodu efektu grawitacyjnego.

- Nicholas, naprawdę nie jestem w nastroju do twoich szurniętych teorii.

- Ależ nie - odezwało się kilka głosów. - To nie jest jedna z jego szurniętych teorii!

- Co to jest szurnięta teoria? - To był głos Carmeli.

- Istnieje rzeczywista podstawa naukowa - rzekł Nicholas. - Zmarli funkcjonują na falach o takich długościach, które działają na znacznie wyższych częstotliwościach niż nasze. Możemy więc słyszeć ich na taśmie, choć nie słyszymy ich wtedy, gdy mówią do nas bezpośrednio.

- Robiłeś to? - zapytałam.

- Jasne.

- I twój ojciec przemówił do ciebie?

- Jasne. Chociaż trudno było usłyszeć. Może będziesz musiała przyspieszyć taśmę albo bardzo ją zwolnić, kiedy będziesz odsłuchiwać.

- Tak, czasami mówią naprawdę szybko - powiedziała Barb - a czasami mówią wooolnooo. Trzeba słuchać naprawdę uważnie.

- Prześlę ci e-mailem wszystkie instrukcje - powiedział Nicholas.

Zwróciłam się do Mitcha.

- Próbowalesz tego?

- Nie, ale tylko dlatego że rozmawiałem z Trish za pośrednictwem Neris Hemming.

- Kiedy jest najbliższa pełnia księżyca? - zapytała Mac-kenzie.

- Właśnie minęła - odparł Nicholas.

- Och, to okropne! - zgodzili się wszyscy.

- Ale następna będzie za niespełna cztery tygodnie. Wtedy będziesz mogła to zrobić.

- W porządku. Dzięki. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Ruszyłam do wyjścia, zastanawiając się, czy Mitch również wyjdzie.

Dogonił mnie, zanim doszłam do windy.

- Hej, Anno, spieszysz się dokądś?

- Nie.

- Masz na coś ochotę?

- Na przykład na co? - Byłam ciekawa, z czym wyskoczy.
 - Co byś powiedziała na pójście do Metropolitan Museum of Art?
- Czemu nie? Mieszkam w Nowym Jorku od trzech lat i nigdy tam nie byłam.

Przebywanie z Mitchem miało wiele zalet zarezerwowanych zwykle dla przebywania z samą sobą - nie musiałam nieustannie się uśmiechać, gdyby czuł się niezadowolony z mojej prawdziwej twarzy - ale bez rzeczywistej samotności. Szybko przechodziliśmy od obrazu do obrazu i prawie nie rozmawialiśmy. Chwilami byliśmy nawet w innych salach, ale wiązała nas jakaś niewidzialna nić.

Kiedy obejrzeliliśmy wszystko, Mitch spojrział na zegarek.

- Popatrz. - Jego głos był zadowolony i niemal uśmiechnięty. - To trwało dwie godziny. Dzień prawie się kończy. Udanego tygodnia, Anno. Do zobaczenia w następną niedzielę.

- Anno, odbierz telefon. Wiem, że tam jesteś. Jestem na zewnątrz i muszę z tobą porozmawiać.

To była Jacqui. Podniosłam słuchawkę.

- Co się stało?

- Pozwól mi wejść.

Nacisnęłam przycisk domofonu i usłyszałam, jak wbiega po schodach. Kilka sekund później, niemal łamiąc nogi, wpadła z rozpaczą na twarzy.

- Ktoś umarł? - Teraz była to zawsze moja pierwsza reakcja.

To ją zastopowało.

- No... nie. - Twarz jej się zmieniła. - Nie, to taka... zwyczajna... sprawa.

Nagle poczuła do mnie żal. Cokolwiek to było, dla niej było ogromne, a ja pomniejszałam to do rangi czegoś banalnego, ponieważ mój mąż umarł i niczyje problemy nie mogły się z tym równać.

- Przepraszam, Jacqui. Przepraszam. Wejdz i usiądź...

- Nie, to ja przepraszam, straszę cię w taki sposób...

- W porządku, obu nam przykro. Powiedz, o co chodzi. Usiadła na kanapie, pochylając się do przodu, z rękami na

udach i mocno ściśniętymi kolanami. Wpatrywała się w jakiś daleki punkt, przez dobrą chwilę pogrążona w milczeniu. W końcu powiedziała. Jedno słowo.

- Joey...

Cóż, przynajmniej teraz mogłam odpowiedzieć mamie.

- ...czyli, jak go nazywam, Wkurzony Joey. - Westchnęła ciężko - Wykończyłam się w jego mieszkaniu.

- Co robiliście?

- Graliśmy w scrabble.

Scrabble w niedzielne popołudnie! Poczulałam się lekko dotknięta tym wykluczeniem. Ale kto mógł ich winić? Choćby nie wiem jak usilnie mnie zapraszali, wciąż odmawiałam.

- Nawet na niego nie patrzyłam - mówiła dalej - tylko tak, kątem oka, i nagle pomyślałam, że wygląda... że wygląda jak... - przerwała, biorąc drżący, smętny oddech, i wybuchła -jak Jon Bon Jovi!

Ze wstydu ukryła twarz w dłoniach.

- Daj spokój, wszystko w porządku - powiedziałam łagodnie. - Mów dalej. Jon Bon Jovi.

- Wiem, co to znaczy - przyznała. - Widziałam, jak to się dzieje z innymi kobietami. W jednej chwili mówią, że wydaje im się, iż wygląda trochę jak Jon Bon Jovi, czego nie zauważyły wcześniej, a w następnej już im się podoba. A ja nie chcę, żeby mi się podobał. Myślę, że jest głupcem. I nawet niezbyt miłym, wiesz? Wkurza mnie to.

- Przecież nie musi ci się podobać. Wystarczy zdecydować, że nie.

- Czy to takie proste?

- Tak!

No cóż, może.

- Mamo?

- Która to z was?

- Anna. Westchnienie.

- Jakież wieści o Jacqui i Joeyu?

- Tak, naprawdę! Właśnie dlatego dzwonię.

- Mów! Opowiedz nam!

- Jacqui uważa, że on wygląda jak Jon Bon Jovi.

- A nie mówiłam? Zabawa skończona.

- Wcale nie. Jacqui łatwo się nie poddaje.

- On okrywa miłość złą sławą.

- Też tak sądzę.

- To z piosenki - syknęła. - Piosenki dla Prawdziwych Mężczyzn. Tych Gunsów albo Leopardów, czy jak tam oni się nazywają. Żartowałam.

- Przepraszam - powiedziałam. - Przepraszam.

- A kupiła już tego psa? Tego labradopudła, czy jak mu? -Nie.

Nabycie głowicy jądrowej byłoby łatwiejsze, powiedziała. I skąd mama wie o jej psie?

- No i dobrze, biedne stworzenie nie zyskałoby jej uwagi teraz, gdy ma ochotę na Joeya.

- Nie ma.

- Ma, tylko jeszcze o tym nie wie.

Rozdział 29

Kilka wieczorów później, przypadkiem (ale przypadkiem, który najwyraźniej miał się zdarzyć, szczególnie odkąd coraz więcej czasu spędzałam na oglądaniu kanału spirytystycznego) zobaczyłam w telewizji Neris Hemming! Nie był to po prostu jeden z jej programów, ale sylwetka, półgodzinny program specjalny. W kablówce, ale co z tego? Pod czterdziestkę, z włosami do ramion, w niebieskiej sukience-bezrękawniku siedziała zwinięta w fotelu, rozmawiając z niewidocznym dziennikarzem.

- Zawsze miałam zdolność widzenia i słyszenia „innych” -powiedziała cichym głosem. - Zawsze miałam przyjaciół, których nikt poza mną nie widział. I wiedziałam, że coś się stanie, zanim się stało. Mama się na mnie wściekała.

- Ale stało się coś, co ją zmieniło - podpowiadał niewidoczny dziennikarz. - Czy może nam pani o tym opowiedzieć?

Neris zamknęła oczy, żeby sobie przypomnieć.

- Był to zwyczajny poranek. Właśnie wyszłam spod prysznicza i wycierałam się ręcznikiem, gdy... trudno to opisać, ale wszystko się zamgliło i już nie byłam w łazience. Znalazłam się w innym miejscu. Byłam na powietrzu, na autostradzie. Widziałam i czułam gorącą smołę pod stopami. W odległości około dziesięciu metrów ode mnie płonęła wielka ciężarówka i żar był bardzo silny. Czułam zapach benzyny i czegoś jeszcze, czegoś naprawdę okropnego. W ogniu stało też mnóstwo innych samochodów, a najgorsze było to, że na autostradzie leżały rozrzucone ciała. Nie widziałam ich kształtu. To było okropne. I nagle znów byłam w swojej łazience, wciąż trzymając ręcznik. Nie wiedziałam, co się ze mną działo. Myślałam, że zwariowałam. Byłam przerażona. Zadzwoiłam do mamy i opowiedziałam jej, czego doświadczyłam, a ona była naprawdę zdenerwowana.

- Nie uwierzyła?

- Nie! Uważała, że sfiksowałam. Chciała zawieźć mnie do szpitala. Tego dnia nie poszłam do pracy. Rozchorowałam się na żołądek i wróciłam do łóżka. Później, wieczorem, włączyłam telewizor. Kanał informacyjny podał wiadomość o

LR

straszny wypadku, do jakiego doszło na autostradzie międzystanowej, i zobaczyłam dokładnie to, co widziałam wcześniej. Ekspłodowała wielka ciężarówka przewożąca chemikalia, inne samochody się zapaliły, zginęło kilka osób... Nie mogłam w to uwierzyć. Naprawdę się zastanawiałam, czy zwariowałam.

- Ale nie zwariowała pani? Neris potrząsnęła głową.

- Nie. Potem rozległ się telefon. To była moja mama. Powiedziała: „Neris, musimy porozmawiać”.

Wiedziałałam o tym, czytałam o tym w jej książkach, ale wspaniale było usłyszeć to z jej własnych ust.

Wiedziałałam też, co wydarzyło się później. Mama Neris postanowiła przestać jej mówić, że jest wariatką, a zamiast tego zaczęła organizować jej występy. Teraz pracowała dla niej cała rodzina. Ojciec był jej kierowcą, młodsza siostra pracowała w biurze rezerwacji, a były mąż - choć dla niej nie pracował - skarżył ją o miliony, co było niemal równie dobre.

- Ludzie mówią mi, że chcieliby mieć zdolności parapsychologiczne - powiedziała Neris. - Ale, wiecie co, to trudna droga. Nazywam ją błogosławioną klątwą.

Potem na ekranie pojawił się fragment jednego z jej występów. Neris, stojąc samotnie na wielkiej scenie, wydawała się bardzo mała.

- Mam... mam coś dla... Czy mamy tu dziś wieczorem kogoś o imieniu Vanessa?

Kamera pokazuje rzędy publiczności i gdzieś, niemal na samym końcu, potężnie zbudowana kobieta podnosi rękę i wstaje. Porusza ustami, ale Neris mówi:

- Poczekaj chwilę, kochanie, aż dotrze do ciebie mikrofon. Asystentka przeciska się między siedzeniami, a kiedy potężna kobieta trzyma już mikrofon, Neris zadaje pytanie.

- Czy możesz nam podać swoje imię? Masz na imię Vanessa?

- Tak, mam na imię Vanessa.

- Vanesso, Scottie chce ci powiedzieć „cześć”. Czy to **coś** oznacza?

Łzy płyną po twarzy Vanessy, która coś mamrocze.

- Powtórz, kochanie.

- Był moim synem.

- To prawda, kochanie. Chce, żebyś wiedziała, że on nie cierpi. - Neris przykładła sobie rękę do ucha i kontynuuje przekazywanie wiadomości. - Mówi, że-
bym ci powiedziała, że miałaś rację w sprawie roweru. Czy to **coś** oznacza?

- Tak. - Vanessa kiwa głową. - Powiedziałam mu, że jeździ za szybko.

- Cóż, teraz to wie. Mówi, żeby powiedzieć: „Mamo, miałaś rację”. Tak więc, mamo, ostatnie słowo należy do ciebie.

Vanessa uśmiecha się przez łzy.

- W porządku, kochanie? - pyta Neris.

- Tak, dziękuję, dziękuję. - Vanessa siada na swoim miejscu.

- Nie, to my dziękujemy, że podzieliłaś się z nami swoją historią. Gdybyś mogła oddać mikrofon...

Vanessa wciąż mocno trzyma mikrofon. Oddaje go z niechęcią.

Powrót do Neris siedzącej w fotelu.

- Niemal wszyscy ludzie przychodzący do mojego programu pragną usłyszeć wieści od swoich bliskich, którzy odeszli. Ci ludzie pogrążeni są w ogromnym psychicznym bólu i ja mam wobec nich pewien obowiązek. Jednak czasami - tu wydała z siebie lekki śmiech - jeśli wiele głosów z tamtego świata próbuje się przedrzeć jednocześnie, muszę powiedzieć: uspokójcie się, chłopaki, ustawcie się w kolejce!

Byłam urzeczona. Sprawiała, że wszystko wydawało się takie zwyczajne, takie możliwe... Byłam poruszona jej pokorą. Jeśli ktoś mógł skontaktować mnie z Aidanem, to właśnie ta kobieta.

Na ekranie pojawił się fragment kolejnego programu Neris z udziałem publiczności. Miała na sobie inną suknię, więc musiało to być inne wydarzenie.

- Mam wiadomość dla mężczyzny o imieniu Ray - powiedziała ze sceny, przeczesując wzrokiem widownię. - Czy mamy jakiegoś Raya? Chodźże, Ray, wiemy, że tu jesteś.

Wstał jakiś duży mężczyzna. Miał na sobie obszerną koszulę w kratę i wielki, wsiowy czub, usztywniony błyszczącym żelem; wydawał się zażenowany.

- Ty jesteś Ray?

Skinął głową i ostrożnie wziął mikrofon od asystentki.

- Ray - Neris się śmiała - powiedziano mi, że nie wierzysz, w żadne parapsychologiczne brednie. Czy to prawda?

Ray powiedział coś, czego nie było słyhać.

- Powiedz to do mikrofonu, kochanie.

Ray się pochylił i mówił do mikrofonu tak, jakby zeznawał pod przysięgą w procesie o morderstwo.

- Nie, psze pani, nie wierzę.

- Nie chciałeś przyjść tutaj dzisiaj, prawda?

- Nie, psze pani, nie chciałem.

- Jednak przyszedłeś, bo ktoś cię o to prosił, prawda?

- Tak, psze pani, Leeanne, moja żona.

Kamera przesunęła się teraz na kobietę siedzącą obok niego, skurczone małżeństwo z podobną do cukrowej waty czupryną tapirowanych blond włosów. To prawdopodobnie Leeanne.

- Wiesz, kto mówi mi to wszystko? - zapytała Neris.

- Nie, psze pani.

- Twoja mama.

Ray nie powiedział ani słowa, tylko spuścił głowę, co było sposobem, w jaki twardy wsiok próbuje zwalczyć emocje.

- Nie miała lekkiej śmierci, prawda? - zapytała Neris łagodnie.
- Nie, psze pani. Miała raka. Ból był naprawdę okropny.
- Jednak teraz już nie czuje bólu. W miejscu, gdzie się znajduje, jest jej, jak mi mówi, „lepiej niż po morfinie”. Chce, żebym ci powiedziała, że cię kocha i że dobry z ciebie chłopak, Ray.

Łzy płynęły po rumianych policzkach Raya, a widzom pokazano kilka innych osób, które też płakały.

- Dziękuję, psze pani - rzekł ochryple Ray i usiadł, otrzymując oklaski z playbacku i brawa od ludzi siedzących wokół niego.

Następnie pokazano ludzi wychodzących do foyer i mówiących takie rzeczy jak:

- No to co, że mówiłem, że nie wierzę tej kobiecie. Nie jestem aż tak dumny, żeby nie przyznać, że się myliłem.

Jakiś hałaśliwy nowojorczyk powtarzał:

- Niewiarygodne, naprawdę, niewiarygodne... Ktoś powiedział:

- Fantastyczne, niesamowite. A inna osoba dodała:

- Dostałam wiadomość od męża. Jestem taka szczęśliwa, że dobrze się czuje.

Dziękuję pani, pani Neris.

To wszystko podsyciło moją ekscytację. Będę ją miała dla siebie przez całe pół godziny. Pół godziny, żeby porozmawiać z Aidanem.

Rozdział 30

Do: Czarodziejka@yohoo.com

Od: [Szcześliwa_Gwiazda_PI@yafiOO.le](mailto:Szczesliwa_Gwiazda_PI@yafiOO.le)

Temat: Piekielny tydzień.

Boże, Anno, katastrofalny tydzień. W zeszłą sobotę mama pojechała do Knock, przywiozła wodę święconą w butelce po mineralnej i zostawiła ją w kuchni. W niedzielę rano, gdy trochę mnie suszyło z powodu ilości tego, co wypiałam poprzedniego wieczoru, wyłopałam ją do dna, zanim sobie uświadomiłam, że ma obrzydliwy smak i coś w niej pływa. Dwie godziny później wołałam o wiadro, rzygając dookoła siebie. Umierałam. Mdłości, żółć, wszystko naraz. Katastrofa. Gorsza niż jakikolwiek kac. Leżąc na łazienkowej posadzce i trzymając się za brzuch, błagałam, by wyciągnięto mnie z tego nieszczęścia.

W poniedziałek rano nadal wymiotowałam na całego.

W żaden sposób nie mogłabym siedzieć przez dziesięć godzin w krzakach u Detty. Lekarz, który przyszedł, stwierdził, że się poważnie zatrulałam i że będę „wyłączona” przez cztery – pięć dni.

Zadzwoiłam do Colina i powiedziałam, że mi przykro i przepraszam. Roześmiał się i mówi: powiem Harry'emu, ale jemu się to nie spodoba.

Za kilka sekund zadzwonił Harry, wrzeszcząc i mówiąc o „więcej niż sowitej zaliczce” (to prawda), jaką mi wypłacił, i o tym, co będzie, jeśli właśnie dzisiaj Detta spotka się

w hotelowym pokoju z Raceyem O’Grady, a mnie tam nie będzie, żeby to nagrać, i że to naprawdę go zdenerwuje, a ja przecież wiem, co się dzieje z ludźmi, którzy go denerwują. (Przybija ich do stołu bilardowego, na wypadek, gdybyś zapomniała). Poprosiłam więc, żeby chwilę zaczekał przy telefonie. Poszłam do łazienki, zwymiotowałam, po czym wróciłam i powiedziałam, że coś wykombinuję. Co mogłam zrobić? Musiałam posłać mamę. Zresztą i tak marzyła o tym, żeby zobaczyć ciuchy i dom Detty. Wychodzi więc z lornetką, kanapkami i papierowym kubkiem na wypadek, gdyby ją przypilito, i traf chciał, że w czwartek Detta publicznie spotkała się z Raceyem O’Grady. (Może myliłam się, myśląc,

że Wielki Harry cierpi na urojenia paranoidalne). Spotkali się w restauracji w Ballsbridge; nie można wybrać bardziej znanej niż ta. Mieli nawet dość przyzwoitości, by siedzieć przy oknie.

Mama zrobiła im mnóstwo zdjęć telefonem komórkowym, po czym wróciła do domu i wprowadziłyśmy je do komputera, a ja właśnie wtedy odkryłam, że mama nie wie, jak działa komórkowy aparat fotograficzny. Robiła zdjęcia, używając niewłaściwej strony komórki, więc mamy mnóstwo fotek jej spódnicy, rękawa i połowy twarzy.

Po prostu dno. Naprawdę myślałam, że nadszedł czas ukrzyżowania. Zastanawiałam się nad ucieczką z kraju, a potem pomyślałam, do diabła, jakież okropne może być to ukrzyżowanie? Zadzwoiłam więc do Colina, który zabrał mnie do Harry'ego, a on przyjął to zaskakująco dobrze.

Westchnął tylko, długo patrzył w swoją szklankę mleka, a potem powiedział: takie rzeczy się zdarzają nawet w najlepiej kierowanych organizacjach. Prowadź dalej to śledztwo.

Jednak, mówiąc szczerze, Anno, mam już dość. Nudna robota, poza tymi momentami, kiedy się obawiam, że będę przybita do bilardowego stołu. Jediną sprawą, która pozostaje w tym interesująca, jest Colin.

Powiedziałam więc Harry'emu, opierając się na opisie mamy, że Detta była na pewno z Raceyem. Czy nie można dokonać konfrontacji z Detta? A on na to: zwariowałaś? Masz jakiś trop? Nikt nie wdaje się w taką sytuację, mając niepewne oskarżenia. Nic się nie dzieje, dopóki nie mam dowodu. Później Colin powiedział mi, że Harry psychicznie zaprzecza tej sytuacji. Żaden dowód nie będzie wystarczający. Innymi słowy; będziemy robić tę cholerną robotę do końca świata. Mama zażądała forsy za tydzień pracy. Musiałam też obiecać, że będę czekać na kobietę z psem i zrobię zdjęcia.

Nadszedł również e-mail od mamy.

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Walshowiel@eircom.net

Temat: Ukrzyżowanie

Kochana Anno!

Mam nadzieję, że trzymasz się dobrze. Miałam okropny tydzień. Helen wypita przywieziona przeze mnie z Knock święconą wodę, a ja ją obiecałam Nuali Freeman, która wydawała się naprawdę zirytowana, gdy opowiedziałam jej, co się stało. Czyż można ją winić? Była dla mnie bardzo uprzejma, przywożąc mi przemycone DVD z *Pasją*, kiedy sama pojechała do Medjugore (czy jak to się nazywa). Tak czy inaczej, Helen się rozchorowała. Zaproponowałam, że zawiadomię jej zleceniodawcę, iż jest chora, ale się wściekła i powiedziała, że kiedy się pracuje dla bossa przestępczości, nie można się usprawiedliwiać chorobą. Powiedziała, że muszę ją „osłaniać”. Kiedy jest w kłopotach, przychodzi do mnie. W porządku. Jak to się mówi, przystawiłam jej nóż do gardła i powiedziałam, że będę śledzić tę Dettę, jeśli mi obieca, że zrobi zdjęcia tej starej babie i jej psu, gdy poczuje się lepiej. Wyobraź sobie, że dała mi słowo. Myślałam, że Detta będzie jakąś biuściastą „dziewczyną gangstera”, a jej dom okaże się czymś w rodzaju burdelu. Tymczasem jej dom jest bardzo gustowny, a ciuchy, co można powiedzieć na pierwszy rzut oka, kosztują fortunę. Niechętnie to przyznaję, ale jest we mnie „zielonooki potwór zazdrości”. Potem zrobiłam fotografie Raceya O’Grady złą stroną telefonu komórkowego i Helen znów się wściekła, mówiąc, że Mister Big ją ukrzyżuje, więc będzie musiała zwiewać z kraju. Potem się uspokoila i powiedziała, że ona to p (oczywiście nie powiedziała „p”, tylko całe słowo) i zażyje lekarstwo. Ojciec powiedział, że jest bardzo dzielna i że on jest z niej dumny, a ja pomyślałam, że powinno się ją zamknąć w szpitalu psychia-

trycznym, że ukrzyżowanie to nie żarty, sam Pan by się przeraził, i zadzwoniłam do Claire, żeby się dowiedzieć, czy mogłaby zapewnić jakąś kryjówkę w Londynie. Ale Claire powiedziała, że nie, bo Helen będzie próbowała się „spiknąć” z Adamem, i że może (cytuje) „się odpieprzyć”.

Zresztą Helen udała się na spotkanie ze swoim pracodawcą, który jej nie ukrzyżował, więc przypuszczam, że wszystko dobre, co się dobrze kończy. Jednak między tą porażką, starą babą i święconą wodą z Knock, ja nie czuję się sobą. Chociaż zrobiłam połówki fotografii, Helen dała mi trochę „krwawicy” i teraz próbuję jakiejś zakupowej „terapii”, żeby zobaczyć, czy nabiorę odrobinę otuchy.

Twoja kochająca Mama

P.S. Coś nowego o Joeyu i Jacqui? Nigdy bym nie pomyślała, że kiedykolwiek będą parą, ale najdziwniejsi ludzie łączą się ze sobą.

Rozdział 31

Gdy Mitch i ja staliśmy cierpliwie w kolejce, przyglądałam się dziewczynie pobierającej pieniądze przy wejściu. Miała na sobie kostium baleriny, motocyklowe buty i szpiczaste okulary w stylu lat pięćdziesiątych z diamentowymi skrzydełkami. Wzdrygnęłam się, bo jej dziwaczny strój przypominał mi o pracy.

Mitch i ja na zmianę sugerowaliśmy sobie jakiś rodzaj co-niedzielnej wybieczki. W tym tygodniu była moja kolej i przyszło mi do głowy coś specjalnego: quiz w Washington Square, moim lokalnym parku. Zorganizowano go w celu dobroczynnym, aby zebrać pieniądze na wentylator, wózek inwalidzki czy coś w tym rodzaju (trudno mi było skupiać się na szczegółach) dla jakiegoś biednego chłopca, któremu ubezpieczenie już nie płaciło.

Dzisiejsza sesja była bardzo spokojna. Mitch nie dostał wiadomości od Trish; ja nie dostałam wiadomości od nikogo, nawet od babci Maguire, a Mackenzie w

ogóle się nie pokazała. Może stwierdziła, że dość już tego, i wyjechała do Hamp-
tons, gdzie było jej miejsce, by znaleźć bogatego męża, jak sugerował jej stry-
jeczny dziadek Frazer.

- Następni! - powiedziała Dziewczyna w Diamentowych Okularach.

Mitch i ja wystąpiliśmy do przodu.

- W porządku. - Przykleiła nam nalepki na piersi i wręczyła mi jakiś formu-
larz. - Jesteście drużyną numer osiemnaście. Gdzie są wasi partnerzy?

Nasi partnerzy? Mitch i ja obróciliśmy się ku sobie. Co powinniśmy powie-
dzieć?

- Dwoje pozostałych? - naciskała. - Tych dwoje, którzy będą z wami?

- Ja... mmm... - Skinęłam głową w stronę Mitcha, a on patrzył na mnie z
otwartymi ustami.

Dziewczyna była zakłopotana naszą reakcją i zniecierpliwiona.

- Drużyna składa się z czterech osób, a ja widzę tylko was dwoje.

- Och, Boże. Racja, oczywiście! Nas jest tylko dwoje.

- Tak czy inaczej dwadzieścia dolarów. Na cel dobroczynny.

- Jasne. - Podałam jej banknot.

- Szansa wygranej jest większa, gdy drużynę stanowią cztery osoby.

- To nieprawda - rzekł Mitch.

Torowaliśmy sobie drogę przez radosne grupy gawędzących ludzi, siedzących
w słońcu na trawie, aż znaleźliśmy miejsce, żeby usiąść. Wtedy spojrzałam na
Mitcha.

- Już prawie powiedziałam, że umarli.

- Ja też.

- Wyobrażasz to sobie? „Gdzie są wasi partnerzy?” „Umarli!” Umarli - po-
wtórzyłam i wielka kula rozbawienia wyskoczyła mi z żołądka. - „Gdzie są wasi
partnerzy?” „Umarli!”

Śmiałam się tak bardzo, że musiałam się położyć. Zanosłam się śmiechem. Śmiałam się i śmiałam, i śmiałam, i śmiałam, aż usłyszałam zatroskany głos jakiegoś nieznajomego.

- Czy ona dobrze się czuje?

Z całej siły próbowałam wziąć się w garść.

- Mitch, tak mi przykro - powiedziałam, prostując się i ocierając łzy ze skroni. - Naprawdę bardzo przepraszam. Wiem, że to wcale nie jest zabawne, że to...

- W porządku. - Poklepał mnie po plecach.

Moja twarz przybrała swój zwykły wyraz, ale od czasu do czasu myślałam „umarli!” i wtedy ramiona znów zaczynały mi się trząść.

Mitch spojrział na zegarek.

- Niedługo powinno się zacząć.

Zauważyłam, że podobnie jak ja, Mitch nie mógł znieść ani chwili, która nie była zaplanowana i czymś wypełniona.

Jak na zawołanie pojawił się jakiś mężczyzna odziany w błyszczący garnitur, z mikrofonem i arkuszem, który wyglądał na zestaw pytań. Wszyscy podnieśli wzrok.

- Wygląda na to, że jesteśmy gotowi - rzekł Mitch. Właśnie miałam powiedzieć, że to dobrze, gdy dotarł do mnie jakiś krzyk, niesiony ciepłym wiatrem.

- Hej, to Anna!

Jezu Chryste! Rozejrzałam się wokół. To był Ornesto z dwoma innymi „wesołymi chłopcami”, których rozpoznałam, bo widywałam ich, gdy wchodzili po schodach do jego mieszkania lub wychodzili stamtąd, oraz sympatycznym Eugene, który przeniósł mój klimatyzator. Eugene w obszernej, niewyprasowanej koszuli spojrział znacząco na Mitcha, pokazał mi podniesiony do góry kciuk i zachęcająco pokiwał głową. Och, nie! On myślał, że ja i Mitch...

Ornesto wspiął się na palce. Był już w drodze. Patrzyłam na niego z przerażeniem. Jakaż byłam głupia! Powinnam pomyśleć, że ludzie, którzy tu przyjdą, mogą mnie znać. Nie w tym rzecz, bym miała cokolwiek do ukrycia. Między mną a Mitchem niczego nie było, ale ci ludzie mogą nie rozumieć...

- Panie i panowie - zahuczał przez mikrofon głos Błyszczącego Garnituru. - Czy jesteście gotowi? - Obrócił stojak mikrofonu.

- Ornesto, wróć! - wołali „weseli chłopcy”. - Zaczynamy. Pogadasz z nią później.

- Wracaj, wracaj! - powtarzałam w myślach. - Wracaj. Na chwilę zastygł, zawieszony przez jakieś niewidzialne struny niezdecydowania, a potem, ku mojej ogromnej uldze, wrócił do swoich kumpli.

- Kto to jest? - zapytał Mitch.

- Sąsiad z góry.

- Pytanie pierwsze - obwieścił Błyszczący Garnitur. - Kto powiedział: „Gdy słyszę słowo kultura, sięgam po rewolwer”?

- Wiesz? - zapytałam Mitcha.

- Nie, a ty? - Nie.

Siedzieliśmy, spoglądając bezradnie na siebie, podczas gdy wszystkie grupy wokół nas naradzały się energicznie.

- Göring - mruknęłam do Mitcha. - Hermann Göring.

- Skąd... skąd wiesz?

- Usłyszałam, jak to mówią. - Mrugnęłam oczami w stronę grupy siedzącej obok nas.

- Przerazające. Zapisz to.

- Następne pytanie. Kto wyreżyserował *Śniadanie u Ti/fit-ny'ego*?

- Wiesz? - zapytał Mitch

- Nie, a ty?

- Nie. - Zirytowana dodałam: - Te pytania są bardzo trudne.

- Dziewczyna przy wejściu miała rację - przyznał ze smutkiem Mitch. - Na pewno ma się większe szanse, jeśli jest się we czworo.

Siedzieliśmy w milczeniu, będąc jedynymi ludźmi w tym parku, którzy nie rozmawiali. Skoro ja nie znałam odpowiedzi i Mitch jej nie znał, to o czym mogliśmy dyskutować? Bezwstydnie nadstawialiśmy uszu ku grupom wokół nas.

- Blake Edwards - powiedział cicho Mitch. - Kto by to pomyślał?

Jakaś dziewczyna z najbliższej drużyny odwróciła się i obdarzyła nas niemiłym spojrzeniem. Usłyszała Mitcha. Powiedziała coś swoim kolegom i wszyscy popatrzyli na nas, a potem zbili się w ciaśniejszą grupkę, wyraźnie ścisząc głosy. Byliśmy zawstydzeni.

- To trochę niesportowo z ich strony - rzekł Mitch.

- Właśnie. Przecież chodzi o cel dobroczynny.

Fakt, iż nie mogliśmy usłyszeć odpowiedzi innych drużyn, był dla nas poważnym utrudnieniem, ale czasami sami znaleźliśmy odpowiedź.

- Co to jest *patella*?

- Coś kuchennego? - zapytał Mitch. - Do zdrapywania przypalonego ciasta?

- Masz na myśli szpatułkę. Patella to rzepka kolana - odparłam ze śmiechem. - Kiedy ci się przemieści, łatwo sobie przypomnisz, jak się nazywa.

- Jak brzmi nazwa stolicy Bhutanu?

Wszyscy mamrotali coś niezadowoleni, nie wiedząc nawet, gdzie leży Bhutan, nie mówiąc już o nazwie jego stolicy, ale Mitch był zachwycony.

- Thimpu.

- Naprawdę? - Tak.

- Skąd wiesz?

- Trish i ja spędziliśmy tam miesiąc miodowy.

Żadne z nas nie znało odpowiedzi na sześć następnych pytań, a potem Błyszczący Garnitur zadał jeszcze jedno:

- Legendarny baseballista Babe Ruth został sprzedany przez właściciela zespołu Boston Red Sox, żeby sfinansować pewien broadwayowski musical. Jak zatytułowany był ten musical?

Mitch bezradnie uniósł i opuścił ramiona.

- Jestem fanem Jankesów.

- W porządku - powiedziała podekscytowana. - Ja wiem. Ten musical to *No, No, Nanette*.

- Skąd wiesz?

- Aidan jest fanem Red Sox.

Nie. Źle powiedziałam. Aidan był fanem Red Sox. Przeszedł mnie dreszcz. Poczułam się tak, jakbym patrzyła z góry na samą siebie siedzącą w parku; jakbym wylądowała w jakimś niewłaściwym życiu. Co ja tu robiłam? Kim był mężczyzna, z którym tu przyszłam?

Podliczono wyniki i przeprowadzono loterię. Wszystkie nagrody były ufundowane przez lokalne przedsiębiorstwa. Ja wygrałam paczkę gwoździ (w różnych rozmiarach) i piętnastometrowy kabel, ufundowane przez firmę Hector, produkującą artykuły żelazne. Mitch wygrał bezpłatny piercing (dowolnej części ciała), ufundowany przez salon tatuażu.

Następnie ogłoszono wyniki quizu. Drużyna osiemnasta (Mitch i ja) wypadła dość kiepsko, zajęliśmy piąte miejsce od końca, ale nas to nie zmartwiło. Załtwiło nam to większą część niedzielnego popołudnia i tylko to się naprawdę liczyło.

No, dobrze rzekł Mitch, wstając i zarzucając na ramię swoją nieodłączną torbę. - Dzięki. Idę na siłownię. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

- Tak, do zobaczenia - chętnie się pożegnałam, bo chciałam, żeby wyszedł z parku, zanim zjawi się Ornesto.

Ornesto zjawił się w jednej chwili, pełen radości, do której miał powody: jego drużyna była czwarta, a na loterii wygrał bezpłatny roczny abonament do chemicznej pralni.

- Och, już poszedł? Hej, Anno, kim był ten mężczyzna, z którym przyszłaś?

- Nikim.

- Och, nie jest nikim; z całą pewnością jest kimś.

- Nie jest. Jest wdowcem. Jak Eugene.

- Ależ dziecinko, on w niczym nie przypomina Eugene'a. Widziałem te ramiona. Czy on ćwiczy?

Niechętnie wzruszyłam ramionami: tak, ćwiczy.

- Proszę cię, Ornesto. - Naprawdę nie chciałam, żeby Rachel czy Jacqui dowiedziały się o Mitchu; mogłyby pomyśleć, że to jakiś romans, co przecież było takie dalekie od prawdy. - On stracił żonę. My po prostu...

-...pocieszamy się wzajemnie. Wiem. - Sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że zabrzmiało to plugawo.

Jedyną pociechą, jaką miałam z Mitcha, było to, że rozumiał, jak się czuję. Furia podeszła mi do gardła, niemal pałąc język. Wrzasnęłam na Ornesta jakimś szczególnym szeptem, ponieważ byliśmy w miejscu publicznym.

- Jak śmiesz!

Twarz mi płonęła, a oczy wychodziły z orbit. Zrobił duży, przerażony krok wstecz.

- Kocham Aidana! - krzyczałam, szepcząc. - Bez niego jestem zdruzgotana. Nie mogłabym nawet pomyśleć o tym, żeby być z innym mężczyzną. Nigdy.

Rozdział 32

Nowa linia środków do demakijażu firmy Candy Girrl została nazwana „Czysta i Pogodna”, a ja miałam dobry pomysł na reklamę prasową; zrobiłabym ją w formie „dwunastu kroków”. Znałam jednak tylko ten pierwszy:

1) Przyznaliśmy, że jesteśmy bezsilni wobec alkoholu i przestaliśmy kierować własnym życiem.

Zmieniłam go na:

1) Przyznałyśmy, że jesteśmy bezsilne wobec naszego tłustego T-zone i przestałyśmy panować nad własną skórą.

Byłam dość zadowolona, ale żeby posunąć się dalej, potrzebowałam wszystkich dwunastu kroków. Zatelefonowałam do Rachel, lecz jej nie zastałam, więc - niechętnie - zapytałam o nie Koo/Aroon pracującą dla firmy EarthSource. Otworzywszy szufladę swojego biurka, wręczyła mi niewielką broszurę.

- Znajdziesz je na pierwszej stronie - powiedziała.

- Potrzebne mi są do reklamy prasowej - wyjaśniłam pośpiesznie.

- Jasne - odparła.

Gdy tylko odeszłam, obróciła się do jednej ze swoich koleżanek, a ich gorączkowe szepty i pełne nadziei spojrzenia przyprawiły mnie o trwogę. Cholera. To było głupie. Naprawdę głupie. Znów otworzyłam puszkę Pandory i teraz myślę, że zamierzam przyznać, iż jestem alkoholiczką.

Potem oddzwoniła Rachel, więc wyjaśniłam, w jakiej sprawie do niej telefonowałam.

- Postępujesz niestosownie, używając dwunastu kroków do reklamy makijażu.
- Demakijażu - odparłam.
- Wszystko jedno.

Odłożyła słuchawkę. Musiałam zacząć od początku. Kierowana nagłym impulsem zadzwoniłam do Jacqui.

- Jak rozwija się sytuacja z Joeyem? - zapytałam.

- Och, świetnie. Patrzę na niego, przyznaję, że jest podobny do Jona Bon Jovi, ale to nie ma znaczenia. Nie mam na niego najmniejszej ochoty.

- Dzięki Bogu! - Nagle, w przyływie szalonej sympatii, naprawdę zapragnęłam ją zobaczyć. - Może miałabyś na coś ochotę dziś wieczorem? - zapytałam. - Mogłybyśmy obejrzeć jakiś film na wideo.

- Och, nie. Dziś nie mogę.

Czekałam, że powie mi dlaczego, ale skoro tego nie zrobiła, sama spytałam.

- Co dzisiaj robisz?

- Gram w pokera.

- W pokera?!

- Tak.

- Gdzie?

- U Gaza.

- U Gaza? Chcesz mi powiedzieć, że w mieszkaniu Gaza i Joeya?

Niechętnie przyznała, że tak; przypuszczała, że Joey dzieli mieszkanie z Gazem.

- Mogę przyjść? - zapytałam.

Myślałam, że będzie zachwycona. Od miesięcy wierciła mi dziurę w brzuchu, żebym częściej wychodziła z domu.

Rzecz w tym jednak, że Gaza tam nie było. Był tylko Joey i nie wydawał się ani trochę zadowolony, że mnie widzi. Nigdy nie był zadowolony, widząc mnie. Tym razem jednak był to inny rodzaj niezadowolenia.

- Gdzie jest Gaz? - zapytała i fl.

- Wyszedł.

Spojrzałam na Jacqui, ale ona unikała mojego wzroku.

- Przyjemnie tu - stwierdziłam - - Piękne świece. Zapach ylang-ylang... bardzo zmysłowy. A jak się nazywają te kwiaty?

- Rajskie ptaki - mruknął Joey-

- Cudowne. Mogę zjeść jedM z tych truskawek? Nerwowa pauza.

- Poczęstuj się.

- Pyszne! Dojrzałe i soczyste- Spróbuj, Jacqui. Chodź tu, pozwól, że cię nakarmię. Do czego jest ten szal, Joey? Czy to przepaska na oczy?

Zrobił jakiś gniewny gest, mający chyba oznaczać „nie mam pojęcia”.

- No dobrze, już wychodzę - powiedziałam.

- Zostań - odezwała się Jacqui, spoglądając na Joeya. - My tylko gramy w pokera.

- Tak... zostań - powiedział Joey z najmniejszą dozą entuzjazmu, jaka tylko jest możliwa.

- Proszę, zostań - mówiła Jacqui. - Naprawdę, Anno, to wspaniale widzieć, że wracasz do normalnego życia.

- Ale... jesteś pewna? - Tak.

- Chyba powinnam. Bo jak byście grali w pokera we dwoje?

- Cóż, teraz jest nas już troje - rzekł kwaśno Joey.

- To prawda - powiedziałam. - Ale czy będziesz miał coś przeciwko temu, abyśmy nie grali w pokera? - zapytałam. - Po prostu nie jest dla mnie. Nie można

grać w niego naprawdę dobrze, jeśli się nie pali... Trzeba odpowiednio mrużyć oczy. Zagrajmy w coś innego. W remibrydża.

- Remibrydż to jest to - rzekł Joey po długim milczeniu.

Usiedliśmy przy stole i Joey rozdał po siedem kart dla każdego z nas. Pochyliłam głowę i wpatrywałam się w nie z wysiłkiem.

- Czy moglibyśmy zapalić światło? - zapytałam po chwili. - Nie widzę kart.

Joey się podniósł, z kwaśną miną nacisnął kontakt i ponownie opadł na krzesło.

- Dzięki - mruknęłam. W jasnym świetle górnej lampy wszystkie te kwiaty, świece i truskawki nagle wydawały się nieco zawstydzone.

- Przypuszczam, że teraz powinienem wyłączyć muzykę, żebyś mogła się skoncentrować - powiedział.

- Nie. Ja naprawdę lubię *Bolero* Ravela.

Było mi przykro, że rujnuję tę romantyczną scenę, ale wcześniej nie miałam pojęcia, że będę przeszkadzać. Przecież Jacqui dała mi do zrozumienia, że będzie tu Gaz. A poza tym zarówno ona, jak i Joey nalegali, żebym została, mimo że żadne z nich wcale tak nie myślało.

Podniosłam wzrok znad swoich faktycznie doskonałych kart i przyłapałam Joeya, jak otwarcie wpatruje się w Jacqui. Przypominał zjeżonego kota; był za-hipnotyzowany. Ona była trudniejsza do rozgryzienia: nie wpatrywała się w niego tak, jak on gapił się na nią, lecz nie była sobą, a jej myśli z pewnością nie skupiały się na kartach, gdyż to ja wciąż wygrywałam.

- Remi! - wołałam radośnie pierwszych kilka razy, ale potem stało się to krępujące, zaś jeszcze później trochę nudne.

Ponieważ wieczór nie był udany, skończył się wczesnie.

- Przynajmniej biedny Gaz może już wrócić do domu, dokądkolwiek odesłał go Joey - powiedziałam do Jacqui, gdy czekałyśmy na windę.

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi - broniła się.

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Temat: Wielkie nowiny.

Mam dwa tygodnie wolnego od Detty, dzięki ci, Boże.

Wyjeżdża do Marbelli z „dziewczynami” (ich łączny wiek to jakieś trzy tysiące lat, jeśli to ta grupa, z którą ją widziałam przy lunchu).

Harry: Nie sądz, że pojedziesz tam z nią na dwa opłacone tygodnie wakacji.

Ja: Mówi pan, jakbym chciała pojechać do tej dziury.

On (urazony): A co w niej złego?

Ja: Pełno tam przestępców noszących zbyt dużo złota kupionego z nieuczciwie zdobytych zysków. Costa de la Zbrodnia.

On: Nie wiedziałem, że klasa średnia ma taką opinię o Marbelli. Uważaliśmy, że nam zazdrości. Detta ją uwielbia.

Coś podobnego... (tego nie powiedział). Jednak nie myśl, że będziesz miała święty spokój. Miej na oku Raceya O’Grady. Upewnij się, że on zostaje w kraju.

* * *

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Walshowie1@eircom.net

Temat: Zdjęcia!

Kochana Anno!

Mam nadzieję, że czujesz się dobrze, i przepraszam za biadolenie w moim ostatnim liście. Wreszcie mamy zdjęcia tej kobiety i jej suczki, która wabi się Zoe. Helen ukryła się w żywopłocie i „wypstrykała” całą rolkę. Chciała krzyk-

nać: „Mamy cię, paniusiu!”, ale powiedziałam, żeby tego nie robiła. Ostrożność przyniesie nam korzyść. W najbliższą niedzielę wezmę najlepsze zdjęcia na mszę i zapytam ludzi, czy poznają tę kobietę albo Zoe. Boże, miej w opiece biedną Zoe; to nie jej wina. Psy nie wiedzą, co jest dobre, a co złe. Świadomość mają ludzie i właśnie ona jest tym, co odróżnia nas od zwierząt. Chociaż Helen mówi, że różnica polega na tym, iż zwierzęta nie mogą nosić wysokich obcasów. Muszę też jednak przyznać, że cała ta sprawa wprawiała mnie w zakłopotanie. Najwyraźniej ta baba ma nam coś za złe. Twoja kochająca Mama

* * *

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Temat: Racey O'Grady

Racey O'Grady mieszka w Dalkey, prestiżowej dzielnicy.

Dziwne. Myślałam, że wszyscy baronowie przestępczego podziemia mieszkają po sąsiedzku, by móc przez cały dzień wpadać do siebie, żeby pożyczyć garść nabożów albo poprosić, żeby mieć na oku ich zakładnika, bo oni muszą wyskoczyć do sklepu, i tak dalej. Racey, prywatnie bardzo czujny, ma wielki dom na własnym terenie, elektroniczne bramy i wysokie mury z ostrymi kolcami na górze.

Zaparkowałam przy drodze, ale przez cały dzień nikt nie wszedł ani nie wyszedł. Nawet listonosz. Znudziło mnie to. Poważnie się bałam, że Racey mógł pojechać do Marbelli i że ja też będę musiała tam jechać. Potem, o piątej, bramy się otworzyły i wychodzi Racey. Dobrze się prezentuje na żywo. Opalony, błękitnooki, sprężysty w ruchach. Niestety, nosi beżoworóżowe buty w bandyckim guście, koszulę rozpiętą pod szyją i złoty łańcuch. Wygląda jak trener piłkarski,

ale znacznie, znacznie lepiej niż Mr Big. Niósł dużą torbę. Byłam przekonana, że ma w niej piły, obcegi i inne narzędzia tortur, ale on szedł na siłownię. Poszłam za nim (pieszo) do klubu Killiney Castle, gdzie mnie nie wpuszczono, gdyż nie jestem członkiem, więc powiedziałam, że zastanawiam się nad członkostwem, i zapytałam, czy mogę zostać oprowadzona. Okay, powiedziano i pokazano mi siłownię, w której był Racey, piekielnie szybko pedałuący żyłastymi nogami na bieżni. Sama niewinność. Wyszedł po długim czasie, znów poszłam za nim, przesiedziałam kolejną godzinę w samochodzie, a potem pomyślałam: pieprzę te cholerne podchody, facet najwyraźniej nie pojedzie tego wieczoru do Marbelli, więc wracam do domu.

Rozdział 33

Jadąc metrem, Mitch i ja potraćaliśmy się ramionami w milczeniu. Wracaliśmy z parku rozrywki na Coney Island, gdzie raczyliśmy się przejażdżkami, trochę zbyt ponuro. Ale i tak było dobrze. Nie pojechaliśmy tam dla zabawy, lecz dla zabicia czasu.

Pociąg metra wziął jakiś wyjątkowo ostry zakręt i oboje niemal spadliśmy ze swoich miejsc. Kiedy wyprostowaliśmy się ponownie, nagle zapytałam:

- Jaki byłeś przedtem?
- Przedtem...?
- No tak; jakim byłeś człowiekiem?
- A jaki jestem teraz?
- Bardzo cichy. Niewiele mówisz.

- Sądzę, że mówiłem więcej. - Zastanawiał się nad tym. - Tak, rozmowy...
Miałem własne poglądy, lubiłem rozmawiać. Bardzo. - W jego głosie brzmiało
zaskoczenie. - O zwykłych sprawach, o filmach, o wszystkim.

- Uśmiechałeś się?

- Teraz się nie uśmiecham? W porządku. Tak, uśmiechałem się. I śmiałem. A
ty jaka byłaś?

- Nie wiem. Szczęśliwsza. Bardziej pogodna. Pełna nadziei. Nie byłam prze-
rażona. Lubiłam przebywać wśród ludzi...

Westchnęliśmy i ponownie pogrążyliśmy się w milczeniu. W końcu ja się
odezwałam.

- Myślisz, że kiedykolwiek znów będziemy tymi ludźmi, którymi byliśmy?
Zastanowił się nad tym.

- Ja tego nie chcę. Byłoby to tak, jakby Trish nigdy nie istniała.

- Wiem, co masz na myśli; ale Mitch, czy my już zawsze będziemy tacy?

- Jacy?

- Jak... duchy? Jakbyśmy także umarli, tylko ktoś zapomniał nam o tym po-
wiedzieć.

- Poczujemy się lepiej. - Po chwili dodał: - Z czasem poczujemy się lepiej, ale
inaczej.

- Skąd wiesz?

Uśmiechnął się.

- Bo wiem.

- W porządku.

- Zauważyłaś, że się uśmiechnąłem?

- Naprawdę? Zrób to jeszcze raz. Ułożył twarz w superpromienny uśmiech.

- No i jak?

- Gospodarz wielkiego teleturnieju. „Koło Fortuny”.

- Praktyka. Oto, czego potrzebuję.

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Walshowiel@eircom.net

Temat: wiadomości z ostatniej chwili

Na mszy nikt nie poznał tej baby z fotografii. Zabiorę jej zdjęcia, gdy będę szła grać w golfa i w brydża, a jeśli nadal niczego się nie dowiem, zadzwonię do telewizji i zapytam, czy mogę posłać je do któregoś z tych programów o przestępstwach: „Pora przestępstw”, „Wieczór przestępstw”, czy jak tam one się nazywają. Helen nazywa je „Syp na swoich sąsiadów”. Pani Big wróciła z Marbelli i od jutrzejszego poranka Helen znów będzie siedzieć w żywopłocie.

Twoja kochająca Mama

Rozdział 34

- A zatem to dzisiaj wieczorem? - zapytał Nicholas. - Pełnia księżycy?

- Tak - odparłam bardzo cicho, przyciskając telefon do twarzy. Siedziałam w pracy i chociaż było nieprawdopodobne, aby ktokolwiek przypuszczał, że rozmawiam o nagrywaniu głosu mojego zmarłego męża, nie zamierzałam tego ryzykować.

- Masz magnetofon?

- Tak. - Specjalnie go kupiłam.

- I wiesz, że nie możesz zacząć przed zachodem słońca?

- Tak, wszystko wiem. - Nicholas przesłał mi e-mailem ogromną ilość informacji o elektronicznym zjawisku głosowym. Ku memu zdziwieniu kilka naukowych badań wydawało się traktować je poważnie.

- Masz to jak w banku! -Co?

- Telewizyjna pogodynka mówi, że istnieje osiemdziesiąt procentowe prawdopodobieństwo popołudniowej burzy z piorunami. To bardzo zwiększy możliwość rozmowy Aida-na z tobą.

- Naprawdę? - Wnętrznosci ścisnęły mi się z niemal nieznośnego podniecenia.

- Tak, naprawdę. Powodzenia. Zadzwoń do mnie.

Byłam tak podekscytowana, że nie potrafiłam usiedzieć na miejscu. Nie mogłam też pracować, a tylko chodzić i wyglądać przez okno. Późnym popołudniem niebo gwałtownie spurpurowiało i wezbrało, a powietrze zrobiło się duszne i stojące.

Teenie podniosła wzrok znad biurka.

- Wygląda, jakby zbierało się na burzę. Byłam tak poruszona, że musiałam usiąść.

Niebo ciemniało coraz bardziej, a ja chciałam, by nadal czerniało, i kiedy pierwszy pomruk burzy przetoczył się nad Manhattanem, wydałam z siebie westchnienie ulgi. Kilka sekund później chmury rozdarła błyskawica i otworzyły się niebiosy. Wsłuchując się w szum ulewnego deszczu spadającego na miasto, drżałam z oczekiwania; nawet usta mi drżały. Gdy zadzwonił telefon, ledwie mogłam mówić.

- Dział reklamy Candy Girrl. Mówi Anna Walsh. To znowu Nicholas.

- Teraz wierzysz? - wołał.

Pełnia księżycy i burza - powiedziałam tępo. - Jakie są szanse, że zdarzą się jednocześnie?

- Faktycznie większe, niż ci się wydaje - odparł. - Wiesz przecież, jak pełnia księżycy wpływa na przyływy...

- Przestań, przestań!

- Przepraszam.

Następny był telefon od Mitcha.

- Powodzenia dziś wieczorem

- Wierzysz, że burza i pełnia zdarzają się jednocześnie? -zapytałam.

- Nie, to musi być jakiś znak. Zadzwoń do mnie później, jeśli będziesz miała ochotę porozmawiać.

Wszystkie taksówki na Manhattanie były zajęte, więc przemokłam do nitki, biegnąc od stacji metra do mieszkania, bo nawet torebka trzymana nad głową nie zapewniała żadnej ochrony. Nie, żebym się przejmowała; byłam wręcz uszczęśliwiona. Chodziłam po mieszkaniu, osuszając włosy ręcznikiem i zastanawiając się, którą godzinę mogłabym oficjalnie uznać za „po zachodzie słońca”.

Gdy zaczęła się burza, dzień przeszedł w noc, ale obawiałam się, że to, iż na zewnątrz panuje ciemność, wcale nie musi oznaczać, że jest „po zachodzie słońca”. Słońce mogło zostać odstraszone przez burzę i błyskawice, ale wcale nie musiało zająć.

Nie byłam pewna, ile w tym sensu, ale instrukcje przesłane przez Nicholasa były bardzo szczegółowe - nagrania nie wolno zacząć przed „zachodem słońca” - a ja nie mogłam sobie pozwolić na żadne niedokładności, ponieważ na następną pełnię księżyca musiałabym czekać kolejne cztery tygodnie.

Oczekiwanie na to, by porozmawiać z Aidanem, zabijało mnie, ale zmusiałam się, by zaczekać do dziesiątej; w normalnych okolicznościach o tej porze już dawno byłoby po zachodzie słońca.

Magnetofon postawiłam w sypialni, gdyż tam było znacznie ciszej niż w pokoju frontowym, który wychodził na ulicę. Pomruki burzy już ustały, ale z nieba wciąż padał deszcz.

Aby mieć pewność, że wszystko dobrze działa, przeprowadziłam próbę głosu.

- Raz, dwa, raz, dwa... - powtórzyłam kilka razy. Czułam się jak technik grupy rockowej, ale należało to zrobić. Następnie wzięłam głęboki oddech i powiedziałam do mikrofonu: - Aidan, proszę, przemów do mnie. Ja teraz... wyjdę na chwilę, a kiedy wrócę, mam nadzieję usłyszeć jakąś wiadomość od ciebie.

Wyszłam na palcach i usiadłam we frontowym pokoju, kręcąc stopą i spoglądając na zegarek. Poświęciłam na to godzinę. Gdy minęła, na palcach poszłam z powrotem do sypialni. Taśma dobiegła końca. Przewinęłam ją i nacisnęłam „play”, modląc się przez cały czas: *Proszę, Aidan, błagam, Aidan, zostaw mi jakąś wiadomość, proszę, Aidan, proszę...*

Podskoczyłam, gdy na początku usłyszałam swój własny głos, ale potem nie nadeszło nic. Nastawiałam uszu, by usłyszeć cokolwiek, ale był tam tylko szelest ciszy.

Nagle z taśmy dobiegł jakiś wysoki, piskliwy krzyk; słaby, ale wyraźnie słyszalny. Wzdrygnęłam się ze strachu. O mój Boże. O mój Boże, czy to był Aidan? Dlaczego krzyczał? Serce biło mi jak młotem. Przyłożyłam ucho do głośnika i usłyszałam coś jeszcze. Zamazaną mieszaninę dźwięków z niezaprzeczalnym brzmieniem głosu. Złowiłam jakiś dźwięk, który mógł być słowem, a nie jękiem ducha.

Nie mogłam w to uwierzyć. To się działo, to naprawdę się działo, ale czy ja byłam na to gotowa? Krew szumiała mi w uszach, dłonie się pocily, nasady włosów mrowiły. Aidan skontaktował się ze mną, a ja musiałam tylko słuchać wystarczająco uważnie, by usłyszeć, co ma do powiedzenia. *Dziękuję, kochanie. Och, dziękuję, dziękuję, dziękuję.* Ten głos brzmiał znacznie wyżej niż głos Aidana. Mówiono mi, że to się może zdarzyć i że powinnam zwolnić przesuwanie taśmy, aby słyszeć lepiej. Wtedy jednak trudniej było wydobyć coś zrozumiałego, więc musiałam wrócić do normalnej prędkości, z napiętym dosłownie każdym mięśniem, desperacko pragnąc usłyszeć coś, co miałoby sens. Wciąż jednak

słyszałam jedynie jakiś dźwięk czy słowo, i nagle, znikąd, uchwyciłam całe zdanie. Nie było wątpliwości. Każde słowo słyszałam z krystaliczną wyrazistością. Zdanie to brzmiało:

- Komplet-nie mokry, ach! Komplet-nie mokry, ach!

To był Ornesto. Piętro wyżej. Śpiewał *Deszczową piosenkę*. Gdy tylko zrozumiałam, co to jest, wszystkie inne niewyraźne dźwięki natychmiast się uszeregowwały.

- Tralla la... Tralla la...

Przez chwilę nie czułam nic. Zupełnie nic.

Siedziałam w ciemnym pokoju. Nie umiałabym powiedzieć jak długo. Potem przeszłam przez salon i automatycznie włączyłam telewizor.

Rozdział 35

Do: Paranormal_Productions@yahoo.com

Od: Czarodziejka1@yahoo.com Temat: Neris Hemming

6 lipca kontaktowałam się z Wami w sprawie możliwości rozmowy z moim nieżyjącym mężem, Aidanem. Potwierdziliście, że moje spotkanie z Neris Hemming odbędzie się za 10-12 tygodni. Minęło już pięć tygodni i zastanawiam się, czy byłoby możliwe przesunięcie tego spotkania na wcześniejszy termin? Albo gdybyście chociaż wskazali mi konkretną datę, wtedy prawdopodobnie to wszystko byłoby łatwiejsze do zniesienia. Z góry wdzięczna za pomoc Anna Walsh

Wiedziona impulsem, szybko dopisałam post scriptum.

Przepraszam za swoją natarczywość. Wiem, że Neris jest okropnie zajęta, ale cierpię prawdziwe katusze.

Następnego dnia otrzymałam odpowiedź:

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Paranormal_Productions@yahoo.com

Temat: Neris Hemming

Nie ma możliwości przesunięcia spotkania na wcześniejszy termin. Obecnie nie można wskazać konkretnej daty. Wiadomości o terminach przekazujemy z mniej więcej dwutygodniowym wyprzedzeniem. Dziękujemy za zainteresowanie Neris Hemming.

Oniemiała z rozgoryczenia wpatrywałam się w monitor. Chciało mi się krzyzczyć, ale nie przyniosłoby to niczego dobrego.

- Zróbmy coś w sobotni wieczór - zaproponowała Jacqui.
- Co? Nie masz na oku żadnych dwuosobowych partyjek pokera?
- Przestań. - Zachichotała.
- Właśnie zachichotałaś.
- Nie, nie zachichotałam.
- Ależ tak, Jacqui. Myślała przez chwilę.
- Cholera. No dobrze, zróbmy coś w sobotni wieczór.
- Nie mogę. Pracuję przy Super Sobocie w Hamptons.
- Och! Ty cholerna szczęściaro! Wszyscy tak mówili, słysząc, co robię.
- Te fantastyczne designerskie ciuchy w superokazyjnych cenach! - ekscytowała się Jacqui. - Te upominki! No i te końcowe bankiety!

Ale ja tam pracowałam. A kiedy się pracuje, wszystko wygląda całkiem inaczej.

Rozdział 36

W oszołomieniu piątkowego popołudnia Teenie i ja siedziałyśmy w sznurze samochodów jadących „zderzak w zderzak” stanową autostradą biegnącą przez Long Island. Nasz samochód wypełniony był niezliczonymi pudłami produktów; leżały w bagażniku, na podłodze i na naszych kolanach. Musiałyśmy wieźć je osobiście, ponieważ powierzając je kurierom, miałyśmy pełne prawo się obawiać, że nie dotrą na czas. (Gdybyśmy zaś wysłały je dzień wcześniej, równie realna byłaby szansa, że dotarłyby... uszczuplone). Nie narzekałyśmy jednak: przynajmniej nie musiałyśmy jechać małym busem zabierającym po drodze innych pasażerów, tak jak w zeszłym roku.

Oczywiście oddychanie w spalinach miliona samochodów nie było przyjemne; jedno z okien musiało być otwarte, ponieważ trzy potężne stojaki-prospekty firmy Candy Girrl były zbyt długie, by zmieścić się w zamkniętym samochodzie.

- Nabawimy się raka płuc, zanim tam dojedziemy - mruknęła Teenie. - Widziałaś kiedyś płuca palacza?

-Nie.

- Och, straszne! - Z wyraźną przyjemnością zabrała się za krwawy opis, aż w końcu kierowca, potężny dżentelmen z żółtymi palcami nałogowego palacza, rzekł: - Czy możesz się zamknąć? Nie czuję się zbyt dobrze.

Było już po dziewiątej, gdy dotarłyśmy do hotelu Harbor Inn. Najpierw musiałyśmy sprawdzić apartament Candace i George'a, aby się upewnić, że jest wystarczająco wspaniały i że szampan, kosz owoców, egzotyczne kwiaty i własnej roboty czekoladki czekają na ich przybycie. Poprawiłyśmy kilka poduszek i, ni-

czego nie pozostawiając przypadkowi, wygładziłyśmy kołdrę na łóżku, po czym zjadłyśmy późną kolację i udałyśmy się do naszych pojedynczych koi na kilka godzin snu.

Następnego dnia byłyśmy w centrum ekspozycyjnym przed siódmą. Dla publiczności drzwi otwierano o dziewiątej i do tego czasu musiałyśmy urządzić sklepik firmy Candy Girrl.

Tuż po siódmej dotarła Brooke, która była w tej okolicy od środy, mieszkając z rodzicami w ich letniej rezydencji.

- Cześć, koleżanki! - zawołała. - Jak mogę pomóc?

Zabawne, że naprawdę chciała. Już po kilku sekundach balansowała na drabinie, mocując wielkie prospekty zwieszające się z sufitu. Potem wpadła na pomysł, jak dopasować poszczególne części czarnego, lakierowanego stołu ekspozycyjnego. Mówcie sobie co chcecie o bogaczach z poczuciem prawości, ale Brooke jest wyjątkowo praktyczna i uczynna.

Tymczasem Teenie i ja rozpakowywałyśmy pudło po pudle produktów firmy Candy Girrl. Przeprowadzałyśmy promocję Tarczy Ochronnej, naszej nowej serii kremów do opalania. W jej skład wchodziły (sztuczne) szklane buteleczki ze (sztucznymi) kryształowymi koreczkami, podobne do staroświeckich flakoników perfum. Same kremy były w odcieniach różu: ten z najwyższym faktorem ochrony (30) miał głęboki kolor burgunda, następnie seria stopniowo jaśniała, aż dochodziła do najniższego (4), w kolorze jasnoróżowym. Były wspaniałe.

Miałyśmy też setki firmowych T-shirtów i plażowych toreb do rozdania, niezliczone paczki próbek i wszystkie artykuły kosmetyczne dla Candace do jej „metamorfoz”.

Akurat wtedy, gdy umieściłyśmy na stole ekspozycyjnym ostatni błyszczący do ust, zjawiała się Lauryn.

- Cześć - powiedziała, przesuwając wzrokiem w nienasyconym pragnieniu znalezienia czegoś, co mogłaby skrytykować. Rozczarowana, gdyż nie znalazła niczego, skierowała uwagę ku tłumom, przyglądając im się niczym głodny myśliwy. - Idę tylko...

- Tak... - mruknęła Teenie, gdy Lauryn odeszła. - Znajdź jakiegoś sławnego ogiera do wyssania.

Brooke zapiszczała ze śmiechu.

- Wy, dziewczyny, jesteście takie zabawne!

O dziesiątej był już tłok. Tarcza Ochronna wzbudziła wielkie zainteresowanie, ale pytanie, które zadawali wszyscy, brzmiało:

- Czy ten krem sprawi, że skóra będzie różowa?

- Och, nie - powtarzałyśmy. - Ten kolor znika w zetknięciu ze skórą.

- Ten kolor znika w zetknięciu ze skórą.

- Ten kolor znika w zetknięciu ze skórą.

- Ten kolor znika w zetknięciu ze skórą.

Od czasu do czasu słychać było zaskoczony, wytworny głos, mówiący:

- Och, witaj Brooke! Ty pracujesz! To cudowne! Jak się miewa twoja mama?

Dobrze rozeszły się torby plażowe (choć nie tak szybko jak T-shirty, ale to nieistotne) i wszystkie trzy przeprowadziłyśmy kilkanaście minikonsultacji dotyczących typu skóry oraz ulubionych kolorów przed wmuszeniem porcji odpowiednich próbek pytającej kobiecie.

Nieustannie uśmiechałyśmy się i miałam okropne uczucie skurczu w zawiąsach szczęk.

- Zakwasy - powiedziała Teenie. - To się zdarza, gdy jakiś mięsień jest przepracowany.

Nie czułam upływu czasu, dopóki nie poczuła go Teenie.

- Cholera! - zawołała. - Dochodzi dwunasta. Gdzie ta kolejka kobiet marzących, by poznać Candace?

Prezentacje Candace miały się zacząć w południe. Już wcześniej reklamowaliśmy je w lokalnej prasie, a teraz informowano o nich co piętnaście minut przez głośniki, ale jak dotąd nikt się nie pokazał.

- Musimy zacząć bajerować ludzi - oświadczyła Teenie. Uwielbiała słowo „bajer”. - Jeśli nie ustawi się tu długa kolejka, wylądujemy na zielonej trawce.

- Okay, bajerujmy... - Słowa zamarały mi na ustach, gdy przez gwar tłumu przebił się jakiś nagły krzyk. Brzmiał tak, jakby wydało go małe dziecko.

Spojrzałyśmy na siebie. Co to było?

- Myślę, że właśnie przyjechał dr De Groot - powiedziała Teenie.

Rozdział 37

Lauryn pojawiła się ponownie.

- Żeby udawać przed Candace i George'em, że była tutaj przez cały ranek - cicho powiedziała Teenie.

- I co się dzieje? - zapytała Lauryn i kręcąc się nerwowo, sięgnęła po flakonik Tarczy Ochronnej, po czym zapytała, jakby pierwszy raz widziała ten kosmetyk:

- Ale to nie sprawi, że człowiek zrobi się różowy?

Brooke, Teenie i ja odpowiedziałyśmy zgodnym chórem:

- Ten kolor znika w zetknięciu ze skórą.

- Jeezu - rzekła urażona - nie musicie się na mnie wydzierać. O mój Boże! - Właśnie zauważyła, że przy naszym stoisku nie ma kolejki. - Gdzie są te tłumy?

- Zgarniamy je.

- W porządku. Nadchodzą.

Spojrzałam we wskazaną stronę. Do naszego stoiska zbliżały się cztery kobiety. Instynktownie jednak wiedziałam, że nie przychodzą tu po „metamorfozę” w stylu Candy Girrl. Wszystkie miały wspaniałe twarze, doskonale obcięte włosy i fantastyczne okulary przeciwsłoneczne. Wyglądały, jakby wyszły prosto od Ral-pha Laurena, i okazały się matką, dwiema starszymi siostrami i bratową Brooke.

Potem, przeczesując wzrokiem tłum, zobaczyłam jakąś osobę, którą znałam, ale nie mogłam sobie przypomnieć ani kto to jest, ani skąd ją znam. Aż wreszcie zaskoczyło: to była Mackenzie! Spłowiałe džinsy i męska biała koszula różniły się od tych efektownych ciuchów, w jakie stroiła się na niedzielne spotkania spirytystów, ale to z całą pewnością była ona. Nie widziałam jej od trzech czy czterech tygodni.

- Anno! - zawołała. - Wyglądasz cudownie! Cała na różowo!

Dziwne, ledwie ją znałam, ale Mackenzie czuła się jak moja dawno zaginiona siostra. Rzuciłam się w jej ramiona i objęłyśmy się mocnym uściskiem.

Naturalnie, pochodząc z wyższych sfer, Mackenzie znała wszystkich Edisonów, więc zaraz nastąpiła wymiana całusów i pytań o rodziców i wujków.

- Skąd wy się znacie, dziewczyny? - zapytała Lauryn i z oczami wytrzeszczonymi podejrzaniem przesuwiała wzrok ze mnie na Mackenzie.

Oczy Mackenzie błysnęły desperackim sygnałem. *Nie mów im, proszę, nie mów im.*

Nie bój się, odpowiedziałam błyskiem, *nic nie powiem.*

Ocalenie przed żenującą wymianą - „Skąd my się znamy, Anno?” „Naprawdę nie pamiętam, Mackenzie, jak myśmy się poznały?” - przyniosło nam przybycie Królowej Candace i Króla George'a.

Candace, wystrojona w czerń, sądziła, że Mackenzie i panie Edison są owym tłumem czekającym, by oddać się w jej ręce.

- Cóż, witajcie. - Niemal się uśmiechnęła. - Lepiej zacznijmy. - Wybrała panią, którą uznała za „dame A”, i wyciągnęła rękę. - Candace Biggly.

- Martha Edison.

- A zatem, Martho, czy zechcesz zająć miejsce, by poddać się metamorfozie i nowemu makijażowi? - Candace wskazała jej srebrzysto-różowy fotel. - Wy, drogie panie, będziecie musiały poczekać.

- Makijażowi? - W głosie pani Edison brzmiało zdumienie. - Ależ ja używam jedynie wody i mydła.

Zmieszana Candace spojrzała najpierw na jedną, później na drugą z sióstr Edison, a potem na bratową, i wydawała się nie zauważać, że wszystkie są klonami Marthy.

- Woda i mydło - powtarzały jak papugi - tak, woda i mydło. Do zobaczenia, Brooke, spotkamy się na pikniku „Chrońmy Łosia”.

- Mackenzie - powiedziała radośnie - a może ty?

- Cóż, czemu nie? - Posłusznie usiadła na fotelu i przedstawiła się Candace: - Mackenzie McIntyre Hamilton.

- Cóż, moje drogie - rzekł George do Candace - ja idę się rozejrzeć.

Teenie i ja wymieniliśmy spojrzenia, mówiące: idzie się podlizywać Donnie Karan. Brooke przechwyciła to spojrzenie i dostała potężnego ataku śmiechu.

- Oj, dziewczyny!

- Zamknijcie się - syknęła Lauryn - i zacznijcie gromadzić tłum.

Okazało się to jednak niemożliwe. Znaczna część przechodniów zamierzała uczestniczyć w pikniku „Chrońmy Łosia” i nie chciała oglądać pokazu makijażu. Z zadowoleniem przyjmowano firmowe torby plażowe Candy Girrl i bezpłatne próbki, ale nikt nie miał ochoty zasiąść na fotelu.

Candace przeciągała „metamorfozę” Mackenzie tak długo, jak było to możliwe, ale w końcu Mackenzie zeszła z fotela i przyparłam ją do muru.

-Zobaczymy się wkrótce? - zapytałam, niemal nie poruszając wargami.

Przecząco potrząsnęła głową.

- Chyba nie - powiedziała bardzo cicho. - Próbuję czegoś innego.

- Zdobycie bogatego męża?

- Tak, ale tęsknię za wami. Jak się miewa Nicholas?

- Hmmm, dobrze.

- Co miał na T-shircie w zeszłym tygodniu?

- „Jimmy Carter na prezydenta”. Roześmiała się głośno.

- Dobrze. Boże, on jest po prostu wspaniały. Ciasteczko... Czy to ja, czy może on jest trochę... gorący?

- Mnie o to nie pytaj.

- Jasne. Wybacz. - Westchnęła dość smutno. - Cóż, powiedz Nicholasowi, że go pozdrawiam. Wszystkich pozdrawiam.

Pożegnała się, a ja wróciłam do gromadzenia tłumu. Nadal nie miałyśmy chętnych, co było wystarczająco okropne, a potem ktoś powiedział:

- Wyskoczyły mi pryszczki, kiedy spróbowałam kremu na dzień Candy Girrl...

... i, o zgrozo, Candace to usłyszała. Cisnęła swój pędzelek do nakładania różu.

- Mam lepsze rzeczy do robienia z własnym czasem niż poświęcanie go na agresywną sprzedaż idiotkom. Mam też roczne obroty w wysokości trzydziestu czterech milionów dolarów.

Bałam się, że klientka zapadnie się pod ziemię. Niecierpliwie rozglądałam się dokoła, szukając George'a, ale on poszedł się podlizywać każdemu słynnego głupkowi, jakiego uda mu się znaleźć. Lauryn naturalnie także zniknęła.

- Mam ochotę na lody - powiedziała z rozdrażnieniem Candace.

- No... dobrze, przyniosę ci. Teenie i Brooke zostaną z tobą.

- Przykro mi, ale ja muszę już iść - odparła Brooke. - Przyrzekłam, że będę sprzedawać losy na tym łosiowym pikniku.

- Dobrze, cóż, dzięki, Brooke, byłaś dzisiaj prawdziwą gwiazdą. Do zobaczenia w poniedziałek.

- W środę - przypomniała mi. - Nie wracam do środy.

- Racja, w środę - powiedziałam, rzucając się w tłum w rozpaczliwym poszukiwaniu lodów.

Piętnaście frustrujących minut później wróciłam triumfalnie, niosąc jednego eskimo, jednego dove'a i trzy inne rodzaje lodów. Na wszelki wypadek.

Candace gburowato zaakceptowała eskimo i zajadała go, siedząc na wysokim stołku z brodą przyciśniętą do piersi. Wyglądała jak orangutan zostawiony w deszczu.

I właśnie to był oczywiście ów moment, gdy na chwilę wpadła Ariella, bawiąca z weekendową wizytą u przyjaciół w East Hampton. Nie wyglądało to dobrze. Na szczęście nie mogła zostać dłużej. Była bowiem w drodze na przyjęcie z grillem pod hasłem „Chrońmy Karibu”.

- Czy to coś innego niż piknik „Chrońmy Łosia”? - zapytała Teenie.

- Kompletnie - burknęłam.

Potem wszyscy wyszli i zostaliśmy tylko my: Teenie i ja.

- O co właściwie chodzi z tym łosiem? - spytała Teenie. - Nawet nie wiedziałam, że jest zagrożony. Albo karibu...

Wzruszyłam ramionami.

- Ja też nie. Może po prostu kończą im się rzeczy do chronienia.

Rozdział 38

- Anno, to ja, twoja mama. Sprawa jest pilna... Chwyciłam telefon. Komuś stało się coś złego. Tacie? J.J.?

- Co się stało? - zapytałam.

- Co to za historia z Jacqui i Joeyem?

Musiałam poczekać, aż moje serce zwolni nieco swój nagle przyspieszony rytm.

- Dlatego dzwonisz? Z powodu Jacqui i Joeya?

- Tak. Co się dzieje?

- Przecież wiesz. Ona podoba się jemu. On podoba się jej.

- Nie! Ona się z nim przespała. Podczas weekendu, kiedy ty byłaś w tym Hamptons.

Nie powiedziała mi.

- Nie wiedziałam - przyznałam cicho.

Z udawaną wesołością mama odpowiedziała pospiesznie:

- No jasne, przecież jest dopiero poniedziałkowy rano, napewno wkrótce ci powie. Bóg wie, kto nie spał z Joeyem?

- Ja z nim nie spałam.

- Ani ja. - Westchnęła ciężko. - Ale chyba wszystkie inne. Czy to była jedna noc?

- A skąd u licha mam to wiedzieć?

- Nie, to żart. Cała noc? Czy Joey podejmuje takie zobowiązania?

- Dobrze - odparłam. - No cóż, nie mogę ci pomóc. Nie wiem, co się dzieje.

Zapytaj Rachel.

- Nie mogę. Nie rozmawiamy ze sobą.

- O co poszło tym razem?

- O zaproszenia. Ja chciałam piękną srebrną kursywę na eleganckim białym papierze.

- A czego ona chce?

- Gałązki, sznureczki, muszelki i papirus. Czy mogłabyś z nią porozmawiać?

-Nie.

Pod drugiej stronie zapanowało trwożne milczenie.

- Ja jestem tą córką, której śmierć niedawno zabrała męża, pamiętasz?

- Wybacz, kotku. Przepraszam. Przez chwilę pomyliłam cię z Claire.

Dopiero gdy odłożyła słuchawkę, zaczęłam się zastanawiać, skąd wiedziała o Jacqui. Przypuszczałam, że od Luke'a.

Zaraz zadzwoniłam do Jacqui, ale nie odbierała żadnego z telefonów. Zostałam jej wiadomość, żeby zadzwoniła do mnie natychmiast, po czym poszłam do pracy, płonąć ciekawością.

Nie odezwała się przez całe przedpołudnie. Próbowałam skontaktować się z nią w porze lunchu, ale znów bez odpowiedzi. Po południu, gdy właśnie miałam zadzwonić ponownie, nagle na moje biurko padł jakiś cień. To był Franklin.

- Ariella chce cię widzieć - powiedział bardzo cicho.

- Dlaczego?

- Chodźmy.

- Dokąd?

- Do jej gabinetu.

O Boże, zostałam wyrzucona, wylano mnie.

No dobrze.

Franklin wprowadził mnie do środka. Byłam ogromnie zaskoczona, widząc tam już kilka osób: Wendell z Visage, Mary-Jane, koordynującą siedem kolejnych marek, i Lois, jedną z jej „dziewcząt”. Lois pracowała nad Essence, jedną z naszych bardziej wartościowych, delikatnych marek, choć nie tak okropnych jak EarthSource.

Czy to miało być zwolnienie grupowe?

Wokół biurka Arielli ustawiono w półkole pięć krzeseł.

- Siadajcie - powiedziała niczym Don Corleone. - Dobra wiadomość jest taka, że nie jesteście zwolnione. Jeszcze.

Śmiałyśmy się o wiele za głośno i o wiele za długo.

- Siadajcie, dzieci, to nie było takie zabawne. Pierwszą rzeczą, jaką musicie wiedzieć, jest to, iż sprawa jest superpo-ufna. Tego, co tu dzisiaj usłyszycie, nie wolno wam omawiać poza tym pokojem, z nikim, nigdzie, nigdy i w żaden sposób. Zrozumiano?

Zrozumiano. Byłam jednak zaintrygowana. Zwłaszcza dlatego że stanowiłyśmy tak nieprawdopodobną kombinację osób. Co miałyśmy ze sobą wspólnego, że stałyśmy się godne jakiegoś ogromnego sekretu?

- Formuła 12? - zapytała Ariella. - Słyszałyście o niej?

Skinęłam głową. Trochę słyszałam. Została sformułowana przez jakiegoś odkrywcę, który znalazł się w dorzeczu Amazonki, badając miejscowych, starając się opisać ich styl życia itp. Kiedy tubylcy ulegali zranieniom, robiono tam jakieś maści z korzeni i różnych roślin, a odkrywca zauważył, że rany szybko się goiły, a blizny były małe. Próbował sam zrobić taką maść, ale nie udawało mu się aż do dwunastej próby, stąd nazwa.

Uznano ją za leczniczą i próbowano uzyskać zezwolenie na jej stosowanie z Federalnego Urzędu Żywności i Leków, co było kwestią dalekiej przyszłości.

Ariella dokończyła opowieść.

- Tak więc, czekając na zezwolenie z urzędu, profesor Redfern, bo tak się ten facet nazywa, wpadł na pewien pomysł: pielęgnacja skóry. Używając tej samej formuły w rozcieńczonej postaci, stworzył krem na dzień. - Wręczyła każdej z naszej piątki gruby plik dokumentów. - Próby były fenomenalne. Przerosły oczekiwania.

Zabawne w Arielli jest to, że kiedy musi mówić przez dłuższy czas, przerywa ten doncorleone'owski cyrk. Widocznie jest to tylko poza, żeby ludzi przestraszyć. Wyobraźcie sobie, że to działa.

- Został on zakupiony przez Devereaux... - mówiła dalej. Devereaux jest potężną korporacją, która posiada kilkanaście firm w branży kosmetycznej; łącznie z Candy Girl, oczywiście. - Devereaux umacnia się dzięki temu. To będzie najbardziej pożądana marka na tej planecie. - Z półśmiechem przenosiła teraz wzrok z jednej z nas na drugą. - Zastanawiacie się, dokąd zmierzam? No dobrze, połączcie to wszystko: nasza agencja zabiera się za ich reklamę - zrobiła przerwę, byśmy mogły jęknąć z zachwyty - a ja chcę, aby każda z was trzech - wskazała kolejno mnie, Wendell i Lois - wystąpiła z prezentacją promocyjną. Osobną i odrębną.

Kolejna doniosła pauza. Trzeba przyznać, że to naprawdę było wspaniałe. Własna promocja. Całkiem nowej marki!

- Jeśli będą wystarczająco dobre, wciśniemy im wszystkie trzy. Jeśli zaś będą im odpowiadać, może zaczniecie prowadzić własne marki.

Och, to naprawdę byłoby zdumiewające. Promocja. Chociaż co musiałyby nosić dziewczyna promująca Formułę 12? Coś inspirowanego dorzeczem Amazonki?

- Ile mamy czasu? - zapytała Wendell.

- Za dwa tygodnie od dzisiaj wszystkie trzy przychodźcie do mnie.

Dwa tygodnie. Niezbyt dużo.

- To nam daje czas, aby wyeliminować wszystkie potknięcia przed prawdziwą prezentacją. Nie w tym rzecz, bym dopuszczała jakieś niedociągnięcia. - Ariella nagle znów stała się groźna. - I jeszcze jedno: robicie to w swoim prywatnym czasie. Przychodźcie tu każdego dnia, pracujecie jak zwykle, wkładając

tysiąc procent energii w swoje bieżące zadania, ale możecie zapomnieć o posiadaniu życia prywatnego przez najbliższe dwa tygodnie...

Miałam szczęście. Przecież własnego życia i tak nie miałam i, jak powiedziałam, nikt nie może o tym wiedzieć. Przybrała królewską pozę.

- Anno, Lois, Wendell, nie musicie mi mówić, jaki to dla was zaszczyt, prawda?

Energicznie potrząsnęłyśmy głowami. Istotnie, nie musiałyśmy.

- Czy wiecie, ilu ludzi pracuje dla mnie?

Nie, nie wiedziałyśmy, ale na pewno mnóstwo.

- Spędziłam wiele czasu z Franklinem i Mary-Jane, oceniając każdą z dziewcząt, i spośród wszystkich wybrałam waszą trójkę.

- Dziękujemy ci, Ariello - wymruczałyśmy.

- Ufam wam. - Ariella pierwszy raz uśmiechnęła się naprawdę ciepło. - Nie spieprzcie tego.

Franklin, odprowadziwszy mnie do biurka, szepnął mi prosto w ucho:

- Słyszałaś? Nie spieprz tego. Strach mnie obleciał.

Lauryn podniosła wzrok z niecierpliwym zainteresowaniem.

- Dostałaś wymówienie? -Nie.

- Ach tak. To po co chciała się z tobą widzieć?

- Po nic.

- Co jest w tej teczce?

-Nic.

Boże, miałam wykonywać wielką robotę potajemnie. Dzisiejszej nocy ty śpisz z wizją bezrobocia.

Już było mi przykro, że jestem jedną z wybranych.

Otworzyłam teczkę Formuły 12 i próbowałam zapoznać się z informacjami. Większość z nich stanowiły dane naukowe o biologicznych właściwościach roślin i o tym, dlaczego działały tak, jak działały. Były to informacje wysoce specjalistyczne i mimo że bardzo chciałam przejrzeć je tylko pobieżnie, nie mogłam tego zrobić, bo gdybyśmy dostali zielone światło, wtedy właśnie moim zadaniem byłoby zredukowanie tych informacji do zrozumiałych, krótkich tekstów dla redaktorów pism poświęconych urodzie.

Teczka zawierała również fotografię profesora Redferna, który wyglądał na sympatycznego badacza. Opalony, ze zmarszczkami wokół oczu, w kapeluszu i w jednej z tych kamizelek w kolorze khaki, które wydają się obowiązkowe dla takich facetów-odkrywców. Brodaty? Ależ oczywiście. Dość atrakcyjny, jeśli lubi się taki typ. Do wypromowania? Możliwe. Chyba moglibyśmy przedstawić go jako Indianę Jonesa *du jour*.

Znalazł się tam również mikroskopijny słoiczek samego „magicznego kremu”. Krem miał paskudny, musztardowo-żółty kolor z ciemnymi drobinkami, trochę jak „prawdziwe” lody waniliowe. Większość kremów do twarzy jest albo biała, albo jasnoróżowa, choć musztardowa żółć niekoniecznie była zła; mogła bowiem sprawić, że ten będzie się wydawał bardziej „naturalny”.

Jedną z przykrych rzeczy, jakie wiązały się z moją pracą, było to, że już nie wierzyłam w żadne obietnice przeciw-zmarszczkowe ani zapewnienia o cudownym działaniu. Dlaczego? To ja je pisałam. Mimo to pokryłam twarz cienką warstwą musztardowej żółci, a kilka minut później moja blizna zaczęła swędzieć. Pobiegłam do lustra, prawie spodziewając się, że zobaczę, iż ściągnięta skóra pokrywa się pęcherzykami i napina niczym coś, co w jakimś naukowym eksperymencie okropnie się nie udało. Jednak nie; nic niezwykłego się nie działo, a moja twarz wyglądała tak samo jak zawsze.

Zanim poszłam spać, jeszcze raz zatelefonowałam do Jacqui. Już się przyzwyczaiłam, że nie odpowiada, więc byłam bardzo zaskoczona, gdy podniosła słuchawkę.

- Halo... - odpowiedziała głosem lekko chropawym i zdyszonym.
- To ja. Co u ciebie i Joeya?
- Byliśmy w łóżku od piątkowego wieczora. Właśnie wyszedł.
- A więc podoba ci się?
- Anno, zwariowałam na jego punkcie.

Rozdział 39

Nalegała na uraczenie mnie opowieściami o tym, jaki wspaniały był ten seks. Seks, pomyślałam, powtarzając w myślach to słowo. Uprawianie seksu. Niemożliwe do wyobrażenia. Taka byłam martwa, taka odrętwiała.

Zabawne, że mimo iż moje libido całkiem wygasło, bardzo żałowałam, że Aidan i ja nie uprawialiśmy więcej seksu. To znaczy, kochaliśmy się często... cóż, normalnie. Cokolwiek to oznacza. Trudno określić ową normalność, gdyż ludzie w większości są tak paranoicznie przekonani, że wszyscy inni robią to rano, w południe i w nocy, iż sami kłamią w tej sprawie, zawyżając te liczby, zaś ludzie, których okłamują, także czują potrzebę kłamstw, więc bardzo trudno dojść do prawdy.

Aidan i ja uprawialiśmy seks dwa lub trzy razy w tygodniu, chociaż na początku robiliśmy to częściej; nawet dwa lub trzy razy dziennie. Wiem, że nie można nieskończenie tak właśnie się kochać: zdierać z siebie ubrania, brać wspólnego prysznic czy uprawiać seksu w miejscach publicznych i robić tego przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Byłoby się wykończonym, nie miało-

by się ani jednego guzika w ciuchach, a z publicznych miejsc mogłoby się trafić do aresztu.

Ku memu żalowi nigdy nie zrobiliśmy niczego okropnie zuchwałego i śmiałego; wszystko było dość zwyczajne. Ale może te urozmaicenia nie zdarzają się natychmiast. Może najpierw trzeba przejść przez cały ten prosty seks, by w ciągu dziesięciu lat przenieść się w inne rejony i znaleźć w samym centrum jakiejś rozpustnej, szampańskiej zamiany mężów.

Tym, co mnie dobijało, były wszystkie okazje, jakie zmarnowałam... niemal każdego ranka mojego życia z Aidanem. Szykując się do pracy, paradowałby nago, ze skórą wciąż wilgotną po wyjściu spod prysznic i kołyszącym się penisem, a ja przebiegałabym obok, szukając dezodorantu albo szczotki do włosów czy czegoś innego, i kątem oka zauważając jego zgrabną pupę oraz wklęsłość na bokach ud, myślałabym: Boże, on jest wspaniały. Od razu jednak pomyślałabym coś w rodzaju: wciąż nie oddałam do naprawy butów na obcasach i będę musiała włożyć inne, a to przekreśla całą moją koncepcję.

Poranki były wyścigiem z czasem, co nie powstrzymywało Aidana przed chwytnością mnie, gdy na wpół ubrana mijałam go w pędzie, ale niemal zawsze wyrывałam mu się, mówiąc: „Zostaw, wychodzimy, nie mamy czasu!”.

Najczęściej śmiał się i poddawał, ale pewnego ranka, krótko przed śmiercią, rzekł ze smutkiem:

- Nie robimy już tego rano.
- Nikt tego nie robi rano - odparłam. - Tylko takie dziwa-dła jak klan dyrektorów naczelnych z młodymi żonami lub kochankami. One zaś ulegają jedynie dlatego, że ich mężulkowie lub kochankowie obdarowują je drogą biżuterią. Tacy dyrektorowie robią to dlatego, że urodzili się ze zbyt dużą ilością testosteronu i gdyby nie uprawiali seksu, musieliby dokonać inwazji na jakiś kraj, czy coś w tym rodzaju.

- Tak, ale...
 - Daj spokój - poganiałam go. - Nie żyjemy w filmie *Radość seksu*.
 - A co się dzieje w tym filmie?
 - Przecież wiesz. Spontaniczność. - Zapięłam zamek spódnicy. - Ty byłbyś gotowy do pracy, tak jak teraz, a ja brałabym pianistą kąpiel w wannie.
 - Nawet nie mamy wanny.
 - Nieważne. Ja wystawiałabym palce w powietrze i namy-dlałabym się luksusowo, ty pochylałbyś się nad wanną, żeby mnie pocałować na do widzenia...
 - Już rozumiem. Pociągnęłabyś mnie za krawat...
 - No właśnie! Do wanny...
 - Ojej! Szaleństwo...
 - Żadne szaleństwo. Wpadłbyś w szal. Krzyczałbyś: „Na miłość boską, to garnitur od Hugo Bossa. W czym ja teraz, do cholery, pójdę do pracy?”. - Mówiąc to, gorączkowo przerzucałam zawartość szuflady, szukając biustonosza, i znalazłam go.
 - Patrz. - Aidan spojrzał na swoje krocze. Najwyraźniej wskazywał aktywność w tym rejonie.
- Zignorowałam to i mówiłam dalej.
- Powiedziałabyś: „Lepiej zetrzyjmy tę wodę, zanim sąsiad z dołu zobaczy zalany sufit i wpadnie tu, by uczyć nas pokory”.
- Aidan wciąż spoglądał na swoje krocze. Podążyłam za tym spojrzeniem ku kształtowi namiotu w jego spodniach. Zrobił gest w rodzaju: „A niech to, kochanie...”.
- Musimy iść do pracy - powiedziałam.
 - Nie. - Rozpiął mi biustonosz, który właśnie włożyłam.
 - Nie! - Próbowałam zapiąć go z powrotem.

- Jesteś piękna - łagodnie ugryzł mnie w kark - a ja pragnę cię tak baaaaardzo. Dotknij. - Sięgnął po moją rękę, a ja przez materiał poczułam erekcję jego członka; zgiętego, sprężystego i usiłującego się wyprostować. Czując mój dotyk, znacznie spęczniał.

Nagle zaczęło mi się to wydawać całkiem niezłym pomysłem, ale podjęłam ostatnią próbę zniechęcenia Aidana.

- Mam na sobie pomarańczowe majtki. Przypominały chłopięce spodenki; ja je lubiłam, Aidanowi się nie podobały.

- Nie obchodzi mnie to - odparł. - Po prostu je zdejmij. Zaraz.

Rzucił mnie na łóżko, zadarł do góry moją spódnicę, zahaczył palcami gumkę tych pomarańczowych majtek, ściągnął mi je aż do kostek i przewlekł przez stopy.

Pochylając się nade mną, rozluźnił krawat i rozpiął rozporek.

- Zaraz cię zerznę - szepnął.

Ściągnął spodnie i slipy, pozwalając penisowi wyskoczyć w pełnej erekcji. Położyłam dłonie na jego piersi, odepchnęłam go plecami na łóżko, z nierozpiętymi dolnymi guzikami koszuli, spodniami wokół kolan, jasną skórą na tle granatu garnituru i gęstwiną czarnych włosów łonowych.

Członek uniósł się w górę i Aidan sięgnął po mnie.

Zsunęłam się na niego, nagle bardzo rozgrzana, i trzymając wezglowie łóżka, zaczęłam kołysać się w górę i w dół. Ocierałam się o ten maszt, a moje piersi huśtały się nad jego twarzą. Chwycił ich sutki między swoje ostre zęby i z dłońmi zaciśniętymi na moich biodrach poruszał mną rytmicznie w górę i w dół owego masztu, coraz szybciej i szybciej.

Wezglowie skrzypiało jednocześnie z jego okrzykami, najpierw „Ach! Ach! Ach!”, a potem: „Och, tak, nie, tak!”. Z ostatnim AAAAACH! i dreszczem stanął we mnie, przyciągając mnie do siebie. Dyszał, drżał, i szarpał się.

- Wybacz, dziecinko - powiedział, kiedy znów mógł mówić. Wzruszyłam ramionami.

- Wiesz, co zrobić.

Obrócił mnie, wcisnął poduszkę pod pupę, rozsunał mi uda, a ja się uniosłam, by wyjść mu spotkanie.

Rozdział 40

Przysięgam Bogu, że zaraz następnego ranka wydało mi się, iż poprawił się stan mojej blizny. Nie miałam pewności, ale na wszelki wypadek ją sfotografowałam. Jeśli krem „Formuła 12” wywołał tak widoczną poprawę po jednym dniu stosowania, to jaka byłaby po czternastu? To mogło się przydać do mojej prezentacji.

Nie mogłam się zdecydować, w jaki sposób ją przeprowadzić, ale oczywiście nie chciałam, żeby pokryła się z propozycją Wendell czy Lois. Mogłam się domyślić, co zaproponuje Wendell, ponieważ znałam jej styl: Wendell szastała pieniędzmi. Każdy redaktor działu urody w Nowym Jorku poleciałby prywatnym samolotem do Brazylii, gdyby tylko Wendell miała z tym coś wspólnego.

Lois była pewną niewiadomą. Ponieważ marka, nad którą właśnie pracowała, była nieco „miękką”, zapewne pozostałaby przy takim podejściu i dalej kładła nacisk na składniki naturalne i tym podobne elementy.

Jeśli zatem aspekty „brazylijskości” i „naturalności” nowego kremu były już zajęte, co pozostało dla mnie?

Nic nie nadchodziło. Żaden wybuch inspiracji, żaden przypływ natchnienia. Tylko o tym myślałam, zajmowało mi to . głowę, zostawiając bardzo mało miej-

sca na myślenie o czymkolwiek innym. Coś jednak mi do niej przyjdzie. Coś będzie musiało przyjść.

Co ty sądzisz? - zapytałam Aidana. Jakieś pomysły? Boska inspiracja? Czy teraz, gdy nie żyjesz, nie mógłbyś się do czegoś przydać?

Jednak żaden głos mi nie odpowiedział. Wpatrywałam się w żółty słoiczek i myślałam.

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Temat: Rezultat!

Po cholera wie ilu tygodniach od chwili, gdy zaczęłam ją śledzić, wreszcie zrobiłam zdjęcie Detty w domu Raceya O'Grady. Mnóstwo zdjęć Detty rozmawiającej przez domofon w bramie, wjeżdżającej do środka, parkującej, wysiadającej z samochodu, dzwoniącej do drzwi, wchodzącej do środka... Wydrukowałam je błyskawicznie! Potem zadzwoniłam do Colina i kazałam mu po mnie przyjechać. Nigdy nie spotykam Harry'ego gdziekolwiek indziej poza tą salą bilardową, ale nie wolno mi jeździć tam samej. Muszę więc znosić to upokorzenie jazdy limuzyną z austriackimi firaneczkami i cmokania miejscowych chłopaków.

Harry jak zwykle siedział na zapleczu, popijając mleko. Położyłam przed nim fotografie.

Ja: Oto pański dowód. Teraz proszę mi zapłacić i zwolnić z tej nudnej roboty.

Harry (otwiera kopertę i przerzuca fotosy): Pracujesz dalej. Ja: Dlaczego?

On: Lubię mieć cię pod ręką. Ja: Czyżby?

(Przysięgłabym, że mnie nie cierpi).

On (ze znużeniem): Nie. Nie wiem, dlaczego to powiedziałem.

Ja: Rzygam tą robotą. Chcę odejść.

On: Nie możesz. Chcę, żebyś była do dyspozycji.

Ja: Ale ja chcę odejść. On: Bardzo kochasz swoją matkę, czyż nie? Ja (zaskoczona): Nie, nie bardzo. (Skąd mu to przysrio do głowy?) Grozisz mi? On: Tak.

Ja: Cóż, będziesz musiał spróbować czegoś mocniejszego niż grożenie mojej matce.

On: Więc kogo kochasz?

Ja: Nikogo.

On: Przecież musi się kogoś kochać. Albo lubić. Ja: Ja nie lubię, mówię ci. Moja siostra Rachel mówi, że ze mną jest coś nie w porządku, jakby czegoś mi brakowało. Ona: Jest psychoanalitykiem, tak?

Ja: Tak. (Wiem, że nie jest psychoanalitykiem, tylko tak się zachowuje).

On: No to się zna. Cholera. (Podpiera głowę rękami, co jest znakiem, że się zastanawia; potem podnosi wzrok). Potrzebuję lepszego dowodu niż to. Muszę mieć dowód, że są razem, jeśli kapujesz, o co chodzi. Ja: Masz na myśli, że się bzykają?

On (krzywiąc się): Za moich czasów kobiety miały pewne zasady.

Zapłacę ci podwójną stawkę. Co ty na to?

Ja (desperacko): To nie jest kwestia pieniędzy. Posłuchaj, Harry, ta praca musi być bardziej ekscytująca. Tracę ochotę do życia.

On: Przestań nazywać mnie Harrym. Okaż trochę respektu.

Ja: Faktycznie, Harry, myślałam o tym... Mr Big... Staram się patrzeć na to szerzej. Zamiast skupiać się na wielkości, może spróbowaliśmy czegoś innego.

On: Na przykład czego? Ja: Co powiesz na Mr Fear?

On (powoli kiwając głową): Mister Strach? Podobają mi się.

Ja: Spróbujemy tego przez jakiś czas i zobaczymy, czy się przyjmie?

On: Okay. (Do Colina): Słyszałeś? Przez jakiś czas będę się nazywać Mr Fear. Przekaż to chłopakom.

Ja (ponieważ bardzo chcę rzucić tę robotę): Harry, masz tu fotograficzny dowód: zdjęcie twojej żony z innym bossem świata przestępczego. Dlaczego mieliby się spotykać, gdyby nie robili czegoś podejrzanego?

On: Z wielu powodów. Mama Raceya, Tessie O'Grady, była przyjaciółką taty Detty, Chinnera Skinnera. Detta mogłaby być równie przyjazna.

Ja: Zatem Detta i Racey są starymi przyjaciółmi! Dlaczego śledzę starych przyjaciół?

Myślę, że jest stuknięty. Stuknięty i wściekły. A na dodatek obłąkany.

On: Nie, oni nie są starymi przyjaciółmi. Ich mama i tata byli starymi przyjaciółmi.

Ja: Ależ to jest całkiem niewinny powód, dla którego się spotykają.

On (przecząco kręcąc głową): Nie. Ponieważ doszło do pewnego sporu w związku z transportem broni z Bliskiego Wschodu i Skinner Chinner został sprzątnięty.

Colin: Wraz z większością śmietanki dublińskiego podziemia przestępczego.

On (rzucając Colinowi naprawdę wredne spojrzenie): Jeśli zechcę twojej opinii, to o nią poproszę. (Do mnie): Tak, wraz z większością najjaśniejszych gwiazd - Bennie-Ostrzem, Rasherem-Żyletą, Kościotrupem, Żelaznym Jimem. Wszystkie zgasły w ciągu dwóch tygodni. (Wzdycha). Najlepsi z najlepszych. Jednak największym szokiem był Chinner Skinner. Nikt się nie pieprzył z Chinnerem, jednak mówiono, że załatwiła go Tessie O'Grady. Nikt nigdy nie był w stanie tego udowodnić, ale tylko Tessie O'Grady miałyby odwagę to zrobić. Ja: Jak dawno to było?

On: Kopę lat... Dwanaście? Piętnaście? (Spogląda na Colina).

Colin: Czternaście minęło latem.

Ja: Zatem Detta i Racey są starymi przyjaciółmi, którzy stali się wrogami, a teraz znów mogą być przyjaciółmi? Niech to szlag.

RS. Kiedy mówiłam, że nikogo nie lubię, wcale nie miałam tego na myśli. Ciebie całkiem lubię. PPS. Nie mówię tego dlatego, że umarł ci mąż.

Rozdział 41

Nie znajdowałam sposobu na promocję Formuły 12. Po raz pierwszy opuściła mnie cała moja pomysłowość. Franklin zapytał, jak mi idzie.

- Dobrze - odparłam.

- No więc mi opowiedz.

- Wolałabym nie, jeśli można. Prezentacja nie jest jeszcze pełna, więc nie chcę, żebyś widział ją taką... niedorobioną.

- Olewasz mnie? - zapytał z nagłą złością.

- Nie, Franklin, przysięgam. Zaufaj mi. Nie przyniosę d wstydu.

- Bo zaręczyłem za ciebie w rozmowie z Ariellą.

- Wiem. Doceniam to. Jestem w tym dobra. Ale nie byłam.

Do niedzieli wciąż nic nie przychodziło mi do głowy, więc u Leisl żartobliwie poprosiłam grupę o pomoc.

- Jeśli ktoś pokaże się tu dzisiaj komuś z was, czy zechcecie zapytać, co winnam zrobić ze swoją prezentacją?

- Co zrobiłaś do tej pory? - zapytał Nicholas.

- Nic. Na nic nie wpadłam.

- Czy to ci czegoś nie mówi? - pytał dalej.

- A co ma mi mówić?

- Żeby nic nie robić.

- I dać się wyrzucić? Nie sędzę.

- Jak można wydobyć gęś z butelki?

- Jaką gęś?!

- To buddyjska opowieść o gęsi uwięzionej w butelce. Jak ją stamtąd wyciągnąć?
- Po pierwsze: jak się tam dostała? - zapytał Mitch. Nicholas się roześmiał.
- To nie ma znaczenia. Zatem, jak ją stamtąd wyciągnąć?
- Rozbić butelkę - rzekł Mitch.
- To jeden sposób. - Nicholas wzruszył ramionami, a potem spojrzał na mnie.
- Jakież inne sugestie?
- Wykurzyć ją - powiedziała Barb.
- Poddaję się - przyznałam. - Powiedz.
- To nie jest zagadka. Nie ma prostej odpowiedzi.
- Co? Zatem gęś pozostanie w butelce?
- Niekoniecznie. Jeśli poczekaś. Poczekać wystarczająco długo, a gęś tak schudnie, że wysunie się z butelki. Może też być karmiona, a wtedy urośnie i sama tę butelkę rozbije. Ty zaś nic nie musisz robić.
- Mały, jesteś bardzo mądry jak na swoje lata - rzekła Barb.
- Miałam nadzieję na bardziej praktyczną poradę - powiedziałam.

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od.Walshowie1@eircom.net

Temat: Rezultat!

Kochana Anno!

Mam nadzieję, że czujesz się dobrze. Wreszcie zidentyfikowałyśmy tę babę. Zabrałam fotografie, idąc na golfa, gdzie nikt jej nie znał, ale udało się przy brydżu. Rozpoznała ją Dodie McDevitt. Dość zabawne było to, że najpierw rozpoznała psa, który wabi się Zoe. Powiedziała: „To Zoe O’Shea, jak dwa razy dwa”. Gdy powiedziała: „Zoe”, pomyślałam, że chyba spadnę z krzesła. „Tak! - zawołałam. - Zoe! Zoe! Do kogo należy?” A ona na to: „Do Nan O’Shea”.

Dodie знаła nawet jej adres: Springhill Drive. Niezbyt daleko, ale to przecież dość długa droga do codziennego pokonywania przez tak małego psa. Nie jestem pewna, co teraz robić. Chyba muszę „udać się do jaskini Iwa” i stawić jej czoło. Jednak cokolwiek się stanie, chcę, abyś ty zachowała spokój.

Twoja kochająca Mama

Jedyną rzeczą, o jakiej mogłam myśleć, była Formuła 12, ale nie przychodził mi do głowy ani jeden pomysł. Nigdy nie doświadczyłam takiej blokady. Wiedziałam, że jeśli nic się nie zmieni, zawsze mogę zrobić promocję podobną do tej, jakie robi Wendell (prywatny samolot do Rio, wykwinne hotele, wyprawa do faweli), lecz nie miałabym do tego serca. Musiałam coś wymyślić. W przeszłości zawsze udawało mi się wyciągnąć jakiegoś królika z kapelusza. Jednak teraz, ku swemu przerażeniu, nie miałam żadnego pomysłu, a pozostało mi tylko sześć dni...

...pięć dni...

...cztery dni...

...trzy dni...

...dwa dni...

...jeden dzień...

...już dziś...

W dniu prezentacji przed Ariellą włożyłam mój jedyny spokojny kostium; ten, który miałam na sobie, kiedy pierwszy raz spotkałam Aidana, wtedy gdy wyłał na mnie kawę. Może dzięki niemu będę potraktowana poważnie. Omal nie umarłam ze zdumienia, gdy zobaczyłam nadzwyczajny szyk Wendell.

Miała na sobie żółty kostium. Żółty. Z piórami. Wyglądała jak Wielki Ptak. Z pewnością zamierzała prezentować jakiś karnawałowy temat. Szybko poszuka-

łam wzrokiem Lois, która wystroiła się w kamizelkę koloru khaki z mnóstwem kieszeni, podobną do tej, jaką nosił profesor Redfern. Motywem jej prezentacji z pewnością miała być droga odkrywcy.

Pięć minut przed dziesiątą Franklin dał nam znak skinieniem głowy, po czym wprowadził Wendell i mnie do sali konferencyjnej. Z przeciwnej strony szły Mary-Jane i Lois. Wendell i Lois ścisnęły pod pachami scenariusze. Ja nie miałam żadnego.

Cała nasza piątka spotkała się w drzwiach, gdzie Franklin i Mary-Jane stanęły naprzeciw siebie we wrogim starciu. Na całym piętrze wszyscy wyciągali szyje i gapili się; ta ściśle poufna prezentacja była jednym z najbardziej chronionych sekretów wszystkich czasów.

- Wejdźcie, proszę - powiedziała Shannon, asystentka Arielli. - Ariella czeka w środku. Ja będę pilnować drzwi.

Raczej trzymać nas tam, aby żadna nie wyszła, pomyślałam.

- Siadajcie, siadajcie! - wołała Ariella od szczytu stołu. - A teraz macie mnie zaskoczyć i wprowadzić w zdumienie.

Wendell wystąpiła jako pierwsza, ale to, co zaprezentowała, nie było żadną niespodzianką. Pragnęła lansować brazylijskość Formuły 12, zabierając dwunastu starannie wyselekcjonowanych redaktorów działów urody do Rio na karnawałowe ostatki.

- Zabawią się. Zawieziemy ich prywatnym samolotem... Wiedziałam! Prywatny samolot! Wiedziałam! Pokazała pierwszą stronę swego scenopisu: fotografię małego, luksusowego odrzutowca.

- Jest podobny do samolotu, jakim ich zawieziemy - wyjaśniała. - Potem każdego z nich umieścimy w eleganckim apartamencie jakiegoś pięciogwiazdkowego hotelu w Rio... To miasto ma ich dużo, jest więc z czego wybierać... - Po tych słowach odśloniła kolejną kartę: fotografię tamtejszego hotelu Hilton. Następną

było zdjęcie dużego pokoju hotelowego. - Oto przykład typowego pokoju; jednego z tych, w jakich zamieszkają. Potem przeberzemy ich w bajeczne karnawałowe kostiumy... - Kolejnymi stronami jej scenariusza były wizerunki gibkich, opalonych kobiet w skąpych kostiumach bikini i we wspaniałych, ozdobionych piórami fryzurach.

- Niech zgadnę - powiedziała Ariella. - To są kostiumy, jakie będą nosić.

Uśmiech Wendell nigdy nie gasi.

- Naturalnie! To będzie wyprawa, jakiej nigdy nie zapomną! Promocja będzie oczywista.

Uśmiechnęłam się zachęcająco i poczułam, że niegodziwością byłoby napomykać, iż Rio położone jest w odległości tysięcy mil od dorzecza Amazonki i że przez co najmniej sześć miesięcy nie będzie tam karnawałowych osłatków.

Lois była następna i, jak podejrzewałam, dokonywała swojej prezentacji nieco skwaszona. zaproponowała zabranie redaktorek (dwunastu, tak jak Wendell) wraz z profesorem Redfernem na spotkanie z tymi mieszkańcami dżungli, którzy wynaleźli Formułę 12.

- Pojedziemy do Rio, gdzie weźmiemy jakiś lekki samolot do dżungli. - Pierwszym elementem jej wizji była fotografia samolotu, który wyglądał bardzo podobnie do samolotu Wendell. Prawdopodobnie była to nawet ta sama maszyna, gdyż jej fotografię ściągnęły z tej samej strony służbowych samolotów. - Po wylądowaniu w dżungli - tu pojawiła się przed nami fotografia dżungli - odbędziemy trwającą pół dnia wędrówkę. Nasi goście zobaczą rośliny, z których wyrabia się produkt. - Teraz zobaczyliśmy fotografię jakiejś rośliny.

- Wędrowanie w dżungli? - przerwała Ariella. - Niezbyt mi się to podoba. A jeśli zostaną ukąszeni przez anakondę i wytoczą nam proces?

- Pijawki. Wiem coś o pijawkach - rzekł Franklin niemal do siebie. - I nietoperze. Wkręcają się we włosy - wzdrygnął się.

- Będziemy mieć przewodników - powiedziała Lois, szybko pokazując zdjęcie jakiegoś półnagiego, roześmianego mężczyzny z czarnymi zębami.

- Przyjemny - mruknął Franklin.

- Wszyscy dostaną odpowiednie ubranie. Takie jak to - Lois wskazała swoją kamizelkę. - Jest całkowicie bezpiecznie. Nasza wyprawa będzie czymś wspaniałym i całkiem innym. Te dziewczyny są tak zepsute przepychem i luksusem, że już zobojętniały na wszystko.

Z tym się zgadzałam.

- Poczują dumę, że przetrwały w dżungli. Zrobimy z tego wielki problem, mówiąc im później, że wcale nie byliśmy pewni, czy są dość twarde, a one docenią kontakt z inną kulturą.

To było dobre; lepsze niż sposób zaproponowany przez Wendell, chociaż propozycja Wendell była bezpieczniejsza.

A potem przyszła moja kolej. Wzięłam głęboki oddech i uniosłam mały słóczek, trzymając go między kciukiem a palcem wskazującym.

- Formuła 12. - Obracałam nim tak, by wszyscy mogli go widzieć. - Najbardziej rewolucyjny postęp w pielęgnacji skóry od czasu Creme de la Mer. W jaki sposób najlepiej go wypromować? Cóż, powiem wam. - Przerwałam i patrząc każdej osobie w oczy, obwieściłam. - W żaden! Nie robimy nic.

To przykuło ich uwagę: zwariowałam. Najwyraźniej kompletnie zwariowałam. Na twarzy Franklina malowało się przerażenie: aż do tej chwili pozwolił mi trzymać moją propozycję w sekrecie i teraz Ariella go zabije. Oczywiście, Wendell i Lois były zachwycone: połowa sprzeciwu załatwiona, a one nie musiały nawet kiwnąć palcem. Zanim jednak Ariella wstała z krzesła, żeby mnie ochrzcić, znów otworzyłam usta.

- Cóż, nie całkiem nic zablęślam. Przynajmniej próbowałam. Na jakiś czas wyszłam przecież z wprawy w takim błyszczeniu. - Myślę o szeptanej kampanii.

Ilekcroć jem lunch z jakąś redaktorką, wspominam mimochodem, że pojawi się nowy produkt do pielęgnacji skóry. Coś tajemniczego. Jeśli będą zadawać pytania, natychmiast przestanę się odzywać, mówiąc tylko, że to największa tajemnica, i błagając, żeby nikomu nic nie mówiły... ale kiedy o tym usłyszą, będą zaintrygowane.

Wszyscy przyglądali mi się bardzo uważnie.

- Te rośliny i korzenie, które tworzą Formułę 12, są bardzo rzadkie i nie można ich zsyntetyzować. Zatem ów produkt także będzie rzadki. Zamierzam podarować jeden słoiczek, tylko jeden mały słoiczek, redaktorce... powiedzmy... redaktorce działu urody w „Harpers Magazine”. Tylko jedna redaktorka działu urody w całych Stanach Zjednoczonych go dostanie. Dosłownie jedna. Nie prześlę jej tego pocztą, ani nawet przez posłańca. Przyniosę jej ten krem osobiście. Nie do jej biura; spotkamy się w jakimś bardziej neutralnym miejscu. Niemal tak, jakbyśmy robiły coś nielegalnego. - Teraz już ich miałam. - Dostanie go, jeśli obieca mi całą stronę. Jeśli tego nie zrobi, pójdę do kogoś innego. Prawdopodobnie do „Vogue”. Ten słoiczek powinien być wykonany z jakiegoś kamienia półszlachetnego, może z bursztynu lub turmalinu. Myślę o czymś niewielkim i ciężkim, czymś, co mieści się w mojej dłoni. Potężnym... wiecie jak? Jak niewielka bomba wielkiego mocarstwa.

Nikt się nie odzywał, lecz Ariella skłoniła głowę w ledwie widocznym geście aprobaty.

- Jest jeszcze coś - powiedziałam. - Słuchajcie uważnie. Żadnej promocji w wykonaniu gwiazd.

Franklin zbladł. Promowanie produktu przez gwiazdy wypełniało mu życie.

- Nikt nie dostanie tego darmo. Jeśli Madonna będzie mieć ochotę na ten krem, to za niego zapłaci...

- Nie Madonna - zaprotestował Franklin. - Nawet Madonna.

- To szaleństwo - mruknął.

- I żadnej reklamy - mówiłam dalej. - Formuła 12 powinna być zjawiskiem, którego zalety przekazuje się z ust do ust, aby ludzie byli przekonani, że uczestniczą w wielkiej tajemnicy. Szum powinien narastać powoli, aby w chwili, gdy wreszcie produkt pójdzie do sprzedaży, tylko w jednej amerykańskiej sieci, lista oczekujących była już pełna. Aby istniała lista oczekujących, by znaleźć się na liście oczekujących. Kobiety będą czekać na zewnątrz przed otwarciem sklepów. Słoiczki z Formułą 12 pojawią się na czarnym rynku. Kobiety będą rozgorączkowane. Formułą 12 stanie się najbardziej elitarną rzeczą w Nowym Jorku, a to oznacza, że będzie najbardziej elitarna na świecie. Nie pomogą pieniądze. Nie pomogą znajomości. Trzeba będzie czekać na swoją kolej... i ludzie będą czekać, bo Formuła 12 jest tego warta...

Z drugiej strony, każdy mógł po prostu zdecydować: pieprzyć to, nie dam z siebie robić wariata, składam zwykłe zamówienie w sklepie wysyłkowym. Istniało pewne ryzyko. Nie było gwarancji, że nowojorczyki wciągną się w to szaleństwo. Jeśli poczują, że są manipulowani, obrócą się przeciwko całej idei. Nie był to jednak odpowiedni moment, żeby o tym wspominać.

-...dziewięć miesięcy później zrobimy to samo z serum, a za następne sześć miesięcy z całą linią. Wtedy będziemy mieć krem pod oczy, balsam do ust, emulsję i mleczko do ciała oraz żel do peelingu.

Ariella wykonała kolejne z tych niemal niewidzialnych skinień. Było ono odpowiednikiem podskakiwania przy biurku i wołania: NO, DALEJ, ANNO!

- Ale to nie wszystko - powiedziałam, usiłując przybrać kpiarski ton.

Ach, tak?

- Mam coś ekstra. - Przerwałam, każąc im czekać, a potem wskazałam swoją bliznę. - Jak może zauważyliście, jestem szczęśliwą właścicielką paskudnie oszpeconej twarzy... -Pozwoliłam im na zakłopotane uśmiechy. - W ciągu dwóch

tygodni, jakie minęły, odkąd zaczęłam używać Formuły 12, nastąpiła ogromna poprawa. Tuż przed rozpoczęciem stosowania tego kremu zrobiłam zdjęcie bliźni. - Prawdę mówiąc, zrobiłam je dopiero po pierwszej nocy, ale to nie miało znaczenia. - Różnica jest już widoczna. Wierzę w ten produkt. Naprawdę wierzę. - Cóż, wypróbowałam go. - Kiedy zaprezentuję ten krem redaktorkom działów urody, będę żywym dowodem, że Formuła 12 jest wyjątkowa i niezwykła.

- Tak! - Ariella była pod ogromnym wrażeniem mojej propozycji. - Jeśli jednak rezultaty nie będą dość widoczne, zawsze możemy cię wysłać na drobną operację plastyczną.

Rozdział 42

Do: Czarodziejka@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Temat: Sparzony tyłek!

Minionej nocy zadzwonił Colin. Powiedział, że ma informacje, iż Detta jest w eleganckim mieszkaniu Raceya w Dalkey! Jestem zachwycona. Cholernie zachwycona. Może wreszcie ich zdemaskuję. Pojechałam tam szybko! Jednak dom Raceya wciąż ma te elektroniczne bramy i wysokie mury ze szpikulcami na górze. Jak pokonują to inni prywatni detektywi? Może mają małe, podręczne urządzenie do unieszkodliwiania takich bram? A może w wolnym czasie uprawiają wspinaczkę wysokogórską, więc potrafiliby zarzucić linę wokół jednego z tych szpikulców na szczycie muru i błyskawicznie znaleźć się w ogrodzie. Na moją korzyść działa jedynie to, że jestem bezczelna. Nacisnęłam więc guzik domofonu i czekałam. Po chwili jakiś kobiecy głos, poprzez trzaski, pyta: Kto tam?

Staralam się, aby w moim głosie brzmiała desperacja: Proszę pani, przepraszam, że niepokoję, ale miałam się spotkać ze swoim przyjacielem w Druid's Chair, lecz zabłądziłam, a strasznie mi się chce do toalety. Próbowałam dostać

się do innych domów wzdłuż drogi, ale mnie nie wpuszczono, więc zastanawiam się, czy pani uczyniłaby ten akt chrześcijańskiego . miłosierdzia i pozwoliła mi skorzystać ze swojej toalety. Ledwie mogę prowadzić samochód, tak okropnie chce mi się... Zatkąło mnie... brama się otwierała! Weszłam na podjazd, jakbym wstępowała do nieba. Otwarte frontowe drzwi jaśniały prostokątem światła.

W środku wszystko wydawało się przyjemne, zachęcające i przy odrobinie szczęścia... pełne Raceya i Detty w obciążających pozach. We frontowych drzwiach drobna kobieta... metr pięćdziesiąt wzrostu, bardzo stara... ze sto lat. Siwe loczki, okulary, bezkształtna tweedowa spódnica i rozciągnięty sweter, który na pewno sama zrobiła na drutach. Gospośia Raceya O'Grady?

Ona: Wejdz, biedactwo.

Ja (z prawdziwą wdzięcznością): Och, dziękuję pani.

Ona: Tędy.

(Wskazała mi schody wiodące w dół, ale ja chciałam wejść na górę, gdzie może złapałabym Dettę i Raceya na gorącym uczynku).

Ja: Proszę pani, przepraszam, bo mogę wydać się niewdzięczna, ale mam pewną „chorobę”. (Cofnęła się).

Ja: Nie, nie, to nie jest zaraźliwe. To rodzaj zaburzenia obsesyjno-kompulsywnego, polegającego na tym, że mogę używać tylko takich toalet, z których nie korzysta nikt inny. Ona (spoglądając z wahaniem): Cóż, jest tu łazienka przy jednym z dodatkowych pokoi, która nie jest zbyt często używana. Może być? Chodź za mną, pokażę ci ją. Ja: Nie ma potrzeby, by wchodziła pani po schodach na swoich leciwych nogach. Już i tak sprawiam pani wystarczający kłopot. Proszę mi tylko wskazać właściwy kierunek. Ona: Dobrze, proszę pójść na górę i iść prosto, drugie drzwi po prawej stronie. (Woła za mną:) I proszę nie pomylić tej łazienki z szafą, jak pewnej nocy uczynił to Racey, gdy wypił kilka piw.

Posztam do toalety, zdecydowana, że mogę też zrobić siusiu, skoro już tam byłam. Potem pokręciłam się wokół i otworzyłam drzwi pozostałych czterech pokoi, z aparatem fotograficznym w pełnej gotowości. Nikogo w żadnym z nich... Gdzie do diabła byli Racey i Detta? Ona (czekając u podnóża schodów): Załatwione? Ja: Załatwione.

Ona: Dopust Boży, czyż nie? Taki niepewny pęcherz. Ja: To prawda.

Ona: Ale te pieluchomajtki dla dorosłych są wspaniałe. Może ciasteczko?

W kuchni, prawdziwa kuchnia, błękitne urządzenia firmy Aga, solidny drewniany stół i suszone kwiaty wiszące do góry nogami. Fantastyczne ciasteczka. Belgijskie. Całe oblewane czekoladą (nie tylko z jednej strony), niektóre nawet owinięte w złoty papier.

Ja: Pyszne ciasteczka.

Ona: Pewnie. Trzeba mieć w życiu odrobinę luksusu, czyż nie? Jak się nazywasz, dziecinko? Ja: Helen. Ona: Helen jak?

Ja: Helen...yyy... (Już miałam powiedzieć „Helen Walsh”, ale przyszło mi do głowy, że to może nie jest najlepszy pomysł). Helen Keller.

Była to pierwsza rzecz, jaka przyszła mi na myśl: Helen Keller. Ona: Helen Keller? To mi brzmi dziwnie znajomo. Czy myśmy się już spotkały? Ja: Nie sądzę.

Ona: A ja jestem Tessie O’Grady. Jezu Chryste. Prawie się zakrztusiłam. To była słynna Tessie O’Grady, najniebezpieczniejsza kobieta w dublińskim podziemiu?! I czy to oznaczało, że Racey O’Grady mieszka ze swoją mamą? Szybko doszłam do siebie. Nie należy okazywać słabości.

Ja: Dziękuję, że pozwoliła mi pani skorzystać z toalety, Tessie. Jest pani prawdziwą chrześcijanką. (Starzy ludzie lubią, jak nazywa się ich chrześcijanami). Ja: Niczym święty Paweł w drodze do Damaszku, który pomógł Bogu wyłonić się z krzaka gorejącego, zanim spłonęła cała Biblia.

Ona: Nie przejmuj się. Weź czekoladki na drogę. (Bada zawartość pudełka).
Lubisz pomarańczowe? Ja: Nie. Nikt nie lubi. Ona: A miętowe? Ja: Bardzo.

Włożyła mi do kieszonki dwie miętowe czekoladki i poklepała je, omal nie trafiając na spluwę, a potem szła za mną do końca holu. Kiedy mijaliśmy półotwarte drzwi, zobaczyłam Raceya i Dettę! Siedzieli blisko siebie na kanapie w jasno oświetlonym salonie, pili herbatę, jedli ciasteczka (równie doskonałej jakości jak te w kuchni, z tego co zdążyłam zobaczyć) i oglądali serial *Cudowny dzieciak* (jeden z angielskich kanałów znów to powtarza).

W drzwiach jeszcze raz podziękowałam Tessie, a gdy doszłam do bramy, zawołała za mną zadziwiająco donośnym głosem, żebym uważała na siebie. Wtedy znów nagle ogarnęło mnie to uczucie: uczucie, że jeśli w ogóle jestem w stanie odczuwać strach, to tym, co teraz czuję, jest właśnie strach. Odwróciłam się. Tessie wciąż stała w oświetlonym holu i coś w sposobie, w jaki lampa na werandzie błysnęła na jej okularach, sprawiło, iż przyszedł mi na myśl doktor Józef Mengele.

Na końcu podjazdu wyszłam na zewnątrz i brama zaczęła się za mną zamykać. Czekałam do ostatniej sekundy, potem wślizgnęłam się z powrotem i wsunęłam plecak w miejsce, gdzie schodzą się jej skrzydła, żeby przerwać wiązkę elektroniczną, aby były otwarte i pozwoliły mi uciec. Sprytnie, co? Przecięłam trawnik, biegnąc w stronę salonu. Zasłony były zaciągnięte, ale nie całkiem stykały się w środku, więc miałam dobry widok. Detta i Racey siedzieli ramię przy ramieniu, nadal pijąc herbatę i nadal oglądając *Cudownego dzieciaka* (ludzie mają najdziwniejsze upodobania). Zrobiłam kilka zdjęć, a potem usłyszałam coś za sobą: jakieś groźne warknięcia.

Odwróciłam się. Psy. Dwa. Czarne bestie z czerwonymi oczami i cuchnącym oddechem. Niczym Claire z kacem. Widocznie Tessie zagwizdała na nie, gdy wpuszczała mnie do środka, ale teraz, gdy wyszłam, psy znów patrolowały

ogród. Nie cierpię wszystkiego i wszystkich, ale psów nie cierpię najbardziej. Warczały cicho, więc ja w okamgnieniu też warknęłam. No i proszę! Tego się nie spodziewały te głupie, śmierdzące bestie! Wy jesteście psami, powiedziałam, ale ja mam spluwę. Zobaczcie.

Powoli wyjęłam spluwę z kabury pod pachą i podsunęłam im pod nos. To jest spluwa, powiedziałam. Bardzo niebezpieczna. Może widziałyście ją w telewizji. Trenowałam na strzelnicy. Zastrzelę was i zabiję. Zrozumiano? Teraz powoli się wycofam z bronią wycelowaną w was, a wy zostaniecie tu, gdzie jesteście, zdeorientowane, ale posłuszne. Zostały. Ja nie przestawałam obracać spluwą w ich stronę i powtarzać: To jest broń. Żeby was zabić. Spluwa. Okropnie niebezpieczna.

Wycofując się przez nieskończenie długi, cholerny trawnik, wreszcie prawie dotarłam do bramy. I właśnie wtedy popełniłam błąd: zaczęłam biec. Psy też. Hej, myślały, więc jednak jest przerażona. Łapmy ją! Ujadając, pędziły przez trawnik i były tuż za mną, gdy stwierdziłam, że skrzydła tej cholernej bramy zamknęły się na moim plecaku i, o czym przekonałam się później, przecięły na pół wszystko, co znajdowało się w środku: tusze do rżęs, błyszczyki do ust i tak dalej.

Ciągnęłam za skrzydła bramy, mając nadzieję, że te cholerstwa nie zamknęły się całkiem, bo wtedy byłabym uwięziona z tymi bestiami. Ale było już za późno; jedna z nich mnie dorwała i trzymała pół mego tyłka między zębami.

Brama nieco ustąpiła, gdyż nieszczęsny, zgnieciony na pół plecak wciąż powstrzymywał ją od pełnego zamknięcia. Przecisnęłam się więc i pociągając ją za sobą, zamknęłam z hukiem.

Psy, mimo że za kratami, nie przestawały szczekać. Który z was mnie ugryzł, dranie? - krzyknęłam. Żadna z bestii się nie przyznała, więc postanowiłam zastrzelić obie, ale już i tak będąc w kłopotach, pomyślałam, że lepiej zwiewać,

ponieważ O'Gradeyowie słyszeli szczekanie i zaraz tu będą, żeby sprawdzić, co się dzieje (jeśli zdołają się oderwać od *Cudownego dzieciaka*).

Z bolącym tyłkiem ledwie mogłam usiąść za kierownicą, ale musiałam. Pojechałam do Dalkey, zaparkowałam i zadzwoniłam do Colina, żeby zdać krótką relację.

Ja: Nie stało się nic, co wskazywałoby na to, że mam coś wspólnego z Harrym, ale O'Gradeyowie będą podejrzliwi. Poza tym psy ugryzły mnie w tyłek i chyba potrzebne będzie szycie. Wiesz, gdzie jest najbliższa stacja pogotowia?

On: Szpital św. Wincetnego w Booterstown. Przyjadę, żeby dotrzymać ci towarzystwa.

Zanim przyjechał, byłam już zbadana.

Ja: Założą mi szwy i zrobią zastrzyk przeciwwężcowy.

Widząc, że nie mogę siedzieć, także stał. Solidarność.

Ja: Jeśli dostanę szczękościsku, Harry za to zapłaci.

On: Nie dostaniesz szczękościsku.

Uśmiechnął się i nagle pomyślałam; o rany, naprawdę się podoba! Dingdong!

Kiedy wreszcie z powrotem pozszywano mi tyłek (osiem szwów; gdyby ten pies zginął w płomieniach, można by wykorzystać odcisk na moim pośladku jako stomatologiczne świadectwo do jego identyfikacji), pojechaliśmy do mieszkania Colina. A tam...

Wpatrywałam się w ekran monitora: to nie było zabawne. Jej zabawy ze spluwami i pogryzienie przez psy - to nie żarty (zakładając, że wszystko było prawdą, ale skoro musiano założyć jej szwy, przyjąłam, że to prawda). Zaniepokojona, myślałam o tym, co robić; problem tkwił w tym, iż Helen jest tak przekorna, że gdybym ją poprosiła, aby była ostrożna, mogłaby postępować wręcz

przeciwnie. Może powinnam porozmawiać z mamą? Jednak sposób, w jaki mama traktowała wszystko - zastępując Helen w czasie choroby i tak dalej - kazał mi myśleć, że do tego również nie odniesie się z powagą. Ponieważ nie mogłam zdecydować się na najlepsze wyjście, postanowiłam nic nie robić, przynajmniej w tej chwili. Nękał mnie jednak niepokój: nie chciałam, by coś złego stało się jeszcze komuś spośród tych, których kochałam.

- Wspaniała wiadomość! - Franklin upajał się triumfem. - Ariella wybrała twoją propozycję! Pomysł Wendell zamierzamy wykorzystać także, dla bezpieczeństwa, ale twój podobał jej się najbardziej. - Zachichotał. - Muszę przyznać... na początku... myślałem... o Boże, ona zwariowała, co ja zrobiłem! Ale twój pomysł jest świetny. Absolutnie wspaniały! Mamusia jest bardzo szczęśliwa.

Rozdział 43

- Hej, Nicholas - wołałam, idąc korytarzem - dzięki za radę „buddyjskiej gęsi”. Pomogła!

Znalazłam się wystarczająco blisko, by zobaczyć, jak po-kraśniał z dumy.

- Naprawdę nic nie zrobiłaś?

- Niezupełnie. Jednak zrobiłam coś wielkiego, robiąc... prawie nic.

- Bomba!!! Opowiadaj.

- Dobrze - odparłam, zaabsorbowana jego T-shirtem, który dziś głosił: „Palanty odziedziczą ziemię”. - Nicholas, nigdy nie widziałam cię dwa razy w tej samej koszulce. Jak ty to robisz? Codziennie nosisz inny T-shirt z innym napisem czy tylko w niedziele?

Roześmiał się szeroko.

- Będziesz musiała spotykać się ze mną w ciągu tygodnia, żeby się tego dowiedzieć!

Pogodny nastrój nagle stał się krępujący. Uśmiech Nicholasa zgasł, a jego twarz powoli oblewała się rumieńcem.

- Och, przepraszam, Anno. - Skłonił ufarbowaną na pomidorowo głowę. - Flirtowałem z tobą, a to kompletnie niestosowne.

- Flirtowałeś? Posłuchaj, nie przejmuj...

- Chodzi o to, że ty i Mitch...

- Co?! Mitch?! O mój Boże, nie! Nicholas, to nie tak, że Mitch i ja... Wcale nie!

Masz coś przeciwko temu, że spędzam z Mitchem tak wiele czasu? Przecież wiesz, że jesteśmy tylko znajomymi, prawda? Wiesz, że tylko sobie pomagamy?

Byłam tak poruszona uwagą Nicholasa, że po seansie powiedziałam Mitchowi, iż nie mogę pójść dzisiaj na spacer. Czułam się paskudnie z powodu poczucia winy i nie mogłam uciec wystarczająco szybko. Po prostu zaczęłam iść w stronę domu. Chociaż wolałabym nie stanąć z tym twarzą w twarz, zrozumiałam, jak łatwo byłoby wpaść na niewłaściwy wniosek o mnie i o nim. Czemu bowiem byłam tak zażenowana, gdy Ornesto zobaczył nas razem w tamtym parkowym ązizie? I dlaczego nie powiedziałam Rachel ani Jacqui o Mitchu? Chodzi mi o to, że ja znałam prawdę i Mitch znał prawdę, ale... czy znał ją Aidan?

Aidan, jeśli masz coś przeciwko temu, po prostu daj mi znak, a już nigdy się z nim nie spotkam. Daj mi jakiś znak. Jakikolwiek. Dobrze, ułatwię ci to... będę wciąż chodzić tą ulicą, więc jeśli jesteś zły o Mitcha... to co powiesz... co powiesz na zrzućenie doniczki z jakiegoś okna prosto na moją drogę? Wolałabym, gdyby nie wylądowała na mnie, ale jeśli właśnie to pragniesz zrobić...

Chodziłam i chodziłam, ale nic się nie wydarzyło i zastanawiałam się, czy nie byłam zbyt konkretna. Może nie powinnam mówić, żeby zrzucił doniczkę. Może powinnam powiedzieć „coś”. Żeby „coś” spadło mi pod nogi.

No dobrze. Cokolwiek, nie tylko doniczka.

Nic jednak nie wylądowało ani na mnie, ani blisko mnie, ja zaś byłam tak rozpalona i zmęczona, że w końcu zatrzymałam taksówkę. Kierowca, jakiś młody Hindus, rozmawiał przez komórkę. Podałam adres i opadłam na miejsce dla pasażera, gdy nagle usłyszałam:

- Jesteś paskudnym, podłym facetem i zamierzam cię ukarać.

To kierowca, gadał do swego telefonu. Natychmiast usiadłam wyprostowana, paląc się, żeby podsłuchiwać.

- Ściągaj spodnie, draniu. Ukarzę cię!

- Przepraszam, z kim pan rozmawia?

Odwrócił się szybko, uniósł palec do ust, nie zostawiając ani jednego na kierownicy, po czym wrócił do swojej konwersacji.

- Zbiję cię za to, że jesteś taki okropny. Tak, biję cię, ty draniu. Pejczem biję cię w tyłek. Pejczem w tyłek. Bo jesteś okropny, okropny, sprośny i paskudny!

Och, Aidan, dałeś mi znak. Dziewiąty stopień w dziesięciostopniowej skali taksówkarzy-szaleńców! Zatem nie przejmujesz się w związku z Mitchem!

- Mocno będę cię bił, mocno. Pochyl się, a ja będę liczył uderzenia. Świst raz! Świst dwa! Świst trzy! Świst cztery! Świst pięć! Świst SZEŚĆ!

Szósty świst najwyraźniej doprowadził rzecz do finału: z telefonu dobiegł szloch, potem wszystko na jakiś czas umilkło, aż wreszcie kierowca powiedział:

- Dziękuję, sir. Cała przyjemność, sir. Proszę zadzwonić znowu.

Odłożył telefon, a ja, płonąca z ciekawości, zapytałam:

- O co chodziło?

- Świadczę usługi seksualne - odparł z pewną dumą.

- Pan?!

- Tak. Mężczyźni płacą mi za molestowanie i obrzucanie obelgami. Jednak muszę też prowadzić taksówkę. Mam liczną rodzinę w Pendżabie Wysyłam im...

- Przerwał mu świergot telefonu. Spojrzał na wyświetlacz i z lekkim znużeniem odpowiedział: - Dzień dobry, paniczu Thomasie. Co dziś robiłeś? Byłeś niegrzeczny? Bardzo?

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Walshowie1@eircom.net

Temat: Kobieta z psem

Kochana Anno!

Ona już przegina pałę. (Nigdy do końca nie rozumiałam tego określenia. Czy to coś wulgarne? Daj mi znać, żebym nie powiedziała tego na brydżu, jeśli to wulgarne). Znowu pojawiły się kupy.

Helen weszła w jedną w drodze do domu, cała „oszołomiona” (cóż za okropne określenie) od spania z tym Colinem, i wściekła się. Rzuciła mięsem przez bramę. „Chodź - mówi - spotkamy się z tym starym babskiem”. Wyruszyłyśmy natychmiast. Nacisnęłam dzwonek i Zoe zaczęła szczekać, a potem nagle przestała. Widocznie ta baba zobaczyła nas przez jakąś dziurkę i postanowiła udawać, że jej nie ma. Jeśli chodzi o Zoe, to jej współczuję. Zamknięta gdzieś i zakneblowana. Jakąś skarpetą albo może „bandaną”. Mogła się udusić. Helen krzyknęła przez skrzynkę na listy: „Wrócimy, ty stara wariatko! Wiedz, że jestem jednym z najlepszych prywatnych detektywów w Irlandii”.

W Irlandii! Nic nie powiedziałam, ale ta noc z Colinem najwyraźniej uderzyła jej do głowy. Twoja kochająca Mama

Zakochany Joey nieodparcie przyciągał uwagę. Zorganizowano nawet kolację tylko z tego powodu, że wszyscy chcieli zobaczyć tę wyjątkową parę, jaką stanowili Jacqui i Joey.

Nie chodziło o mnie, Rachel, Luke'a i Shake'a, lecz o wszystkich Prawdziwych Mężczyzn, którzy darzyli Joeya wielkim uznaniem. Nie mówiąc o Leonie i Danie, a także Neli i jej dziwnej przyjaciółce oraz o kilku osobach z pracy Jacqui. Nawet niektóre osoby z mojej pracy pytały, czy mogą przyjść: Teenie (która sto lat temu spała z Joeyem) i Brooke... Brooke Edison.

W sumie w pewien czwartkowy wieczór przyszedliśmy w dwadzieścia trzy osoby do restauracji Haiku na Lower East Side. (Wcześniej musieliśmy tam dzwonić, żeby przygotowali stół odpowiedniej wielkości).

Joey i Jacqui wtuleni w siebie siedzieli w środku długiego boksu, a reszta z nas odbyła odrobinę niestosownej przepychanki, żeby dostać miejsce możliwie najbliżej nich. Najwyżej cenione były te na wprost zakochanych.

- Przyjrzyj się twarzy zakochanego Joeya... - wyszeptała Teenie.

Dziwne: Joey wcale nie zaczął się uśmiechać ani robić nic w tym rodzaju, wciąż wyglądał na wkurzonego, ale kiedy przesuwiał palcem po skraju twarzy Jacqui albo gapił się w jej oczy, ta jego nerwowość wydawała się całkiem miła. A raczej całkiem seksowna. Emocjonalnością przypominał Heathcliffa, choć jego włosy nie były wystarczająco ciemne. Byłyby takie, gdyby przestał używać rozjaśniacza Sun-In (gorliwie temu zaprzeczał, chociaż wszyscy wiedzieliśmy), ale był przywiązany do złotobrazowego połysku.

- Będzie dobrze - powiedziała Teenie z radością.

I było. Przez całą kolację Joey i Jacqui byli nieustannie wpatrzni w siebie, szepcząc, chichocząc i karmiąc się nawzajem.

Jedynym człowiekiem, który nie uległ tej hipnozie, był Gaz; prawdopodobnie dlatego, że noc po nocy miał wgląd w sytuację w swoim własnym mieszkaniu.

Przechadzał się wśród nas, nosząc ponuro wyglądającą niewielką skórzaną torebkę. Wiedziałam, co w niej jest.

- Anno - powiedział. - Potrafię się uporać z twoim smutkiem. Uczę się akupunktury! - Otworzył zamek skórzanej torebki, demonstrując tkwiący w niej zestaw igieł. - Wiem, które nakłucia przyniosą ci ulgę.

- To cudowne. Dziękuję.

- Czy to znaczy, że pozwolisz mi to zrobić?

- Co? Teraz? O Boże, Gaz, nie. Gaz, nie teraz. Jesteśmy w miejscu publicznym. Nie mogę siedzieć w restauracji ze sterczącymi ze mnie igłami. Nawet jeśli jesteśmy w Lower East Side.

- Och, myślałem, że... Cóż, kiedy indziej? Może niebawem?

- Mmmmm... - Słyszałam, co się stało Luke'owi. Czuł się świetnie, dopóki Gaz nie zaproponował, że „podniesie mu poziom endorfin”, po czym Luke, zwinęty w pozycji embrionalnej na posadzce łazienki, nie mógł się zdecydować, czy wymiotuje, czy zemdleje.

- Stawiam też bańki - rzekł Gaz. - To kolejna chińska metoda leczenia. Rozgrzewam małe banieczki i przystawiam je do pleców. Wyciągają wszelkie toksyny.

Tak, o tym też słyszałam. Słyszałam również, jak trzymał te płonące banieczki zbyt blisko okna w mieszkaniu Rachel i Luke'a i udało mu się spalić firanki.

- Dziękuję, Gaz, ale... - wskazałam Jacqui i Joeya - w tej chwili nie potrafię się skoncentrować na niczym innym.

Faktycznie, wyglądali, jakby zamierzali wyjść.

Naprawdę zamierzali! Wstali, Joey cisnął kilka dwudziestek i... „przepraszamy, przepraszamy, przepraszamy”... torowali sobie drogę do wyjścia.

- Idą wcześniej do domu, żeby uprawiać seks, i wcale się nie przejmują, jak to wygląda - westchnęła rozmarzona Brooke Edison. - Nawet nie zostawiają dość

pieniędzy na pokrycie ich części rachunku, gdyż są tak zakochani, że sądzą, iż reszta świata będzie szczęśliwa, płacąc za nich. I oczywiście jesteśmy szczęśliwi.

- To miło z ich strony, że wyszli wcześniej - stwierdziła Teenie - ponieważ teraz będziemy mogli pogadać o nich. A zatem...?

Reakcje byty mieszane. Można by powiedzieć, że Prawdziwi Mężczyźni byli zakłopotani, gdyż Jacqui nie miała biustu. Ale przynajmniej była blondynką.

Jednak niemal wszyscy inni byli oczarowani.

- To wspaniale. - Brooke z błyszczącymi oczami klaskata w dłonie. - Prawdziwa miłość może zdarzyć się z każdym. Kto mówi, że on musi pracować na Wall Street! Mógłby być, powiedzmy, hydraulikiem albo budowlańcem!

Jej spojrzenie spoczęło na Shake'u, na jego bardzo opiętych dżinsach oraz wspaniałej czuprynie, i nagle zajaśniało nienasyconym blaskiem.

Rozdział 45

Fantastyczna wiadomość!

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Paranormal_Productions@yahoo.com

Odpowiedź: Neris Hemming,

Pani rozmowa telefoniczna z Neris Hemming jest zaplanowana na środę, 6 października, o godzinie 8.30. Odpowiedni numer telefonu zostanie Pani przesłany w odpowiednim terminie. Cena czasu Pani Hemming wynosi 2.500\$. Prosimy o wcześniejsze przekazanie informacji o Pani karcie kredytowej. Jednocześnie informujemy, że nie wolno dzwonić pod ten numer przed godziną 8.30, a rozmowa musi się skończyć punktualnie o godzinie 9.00.

Zadzwoiłam do Mitcha, żeby mu o tym powiedzieć. Byłam taka podekscytowana! Za dwa tygodnie będę rozmawiać z Aidanem!

Nie mogłam się doczekać. Nie mogłam się doczekać. Nie mogłam się doczekać.

Rozdział 46

Pochylony nad moim biurkiem Franklin rzucił ukradkowe spojrzenie na Lauryn i powiedział:

- Anno, wreszcie dostaliśmy z korporacji Devereaux potwierdzenie terminu prezentacji Formuły 12.

Uśmiechnął się z zadowoleniem, a ja nagle, czując zimny dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa, zrozumiałam, co się stanie. Jeszcze zanim podał tę datę, dokładnie wiedziałam, co powie.

- W przyszłą środę, 6 października, o 9.00 rano.

Ból przeszywał mi nogi. W środę 6 października rano miałam rozmawiać z Neris Hemming. To przypominało jakiś kosmiczny żart.

Nie będę mogła być na tej prezentacji. Musiałam mu to powiedzieć. Ale się bałam.

Powiedz to, no dalej, powiedz to.

- Przykro mi, Franklin. - Głos mi drżał. - Nie mogę tam być. Jestem umówiona na wizytę.

Jego oczy zmieniły się w igły lodu. Jaka wizyta mogła być ważniejsza niż to?!

- No... lekarska.

- Więc ją przełoż. - Franklin powiedział to tak, jakby cała sprawa została zamknięta.

Odchrząknęłam.

- To pilne.

Zmarszczył brwi, niemal zaciekawiony. Najpierw ginie jej mąż, teraz ona sama potrzebuje pilnej opieki medycznej. Jakiego pecha ma ta ofiara losu?

- Jesteś nam potrzebna na tej prezentacji - rzekł Franklin.

- Mogę tu być o dziewiątej trzydzieści.

- Jesteś nam potrzebna na tej prezentacji - powtórzył.

- Może nawet o dziewiątej piętnaście, jeśli nie będzie korków. - Oczywiście nie było na to szans.

- Chyba mnie nie słyszysz. Jesteś nam potrzebna na tej prezentacji - powiedział jeszcze raz, po czym odwrócił się do mnie plecami i odszedł.

Nie mogłam się skupić na pracy, więc drżącymi rękami sprawdziłam e-maile, żeby zobaczyć, czy jest w nich coś przyjemnego. Helen zagrożono śmiercią.

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Temat: Groźba śmierci.

O Boże, mnóstwo się dzieje. Dziś rano Colin przyszedł do mojego biura, żeby zawieźć mnie do Harry'ego z fotografiami Detry i Raceya w chwili, gdy przytuleni na kanapie piją herbatę i jedzą ciasteczka.

W następnej chwili jakiś potężny huk! Wystrzał! Wciąż dzwoni mi od tego w uszach. Szyba upadła na moje biurko, wszędzie pełno szkła. Ktoś właśnie próbował mnie zabić! Cholera! Colin (krzyczy): Padnij!

Potem poszedł zobaczyć, o co chodzi, ale ja usłyszałam pisk opon, a on za sekundę wrócił.

On: Zniknęli. Wygląda na to, że to chłopaki Raceya. (Kłęczy na podłodze, w odłamkach szkła, i przyciąga mnie ku sobie).

Już dobrze, dziecinko.

Ja: (odsuwając się): Co ty robisz?

On: Pocieszam cię.

Ja: Spadaj. Nie podoba mi się takie coś. Nie potrzebuję pocieszania. Niczego nie potrzebuję.

On: Nawet filiżanki herbaty?

Ja: Nie. Niczego.

Jezu! Przez otwór, w którym niegdyś było okno, widać delegację wściekłych matek, w legginsach, anorakach i pierścieniach papierosowego dymu, nadchodzących ze swoich mieszkań. Nie traciły czasu.

Josetta (najważniejsza z nich): Och, Helen, to porządna okolica!

Ja: Nieprawda. Wcale nie.

Ona: No dobrze, nieprawda. Ale strzały o wpół do jedenastej przed południem?!

Ja: Przepraszam. Jeśli następnym razem jacyś ludzie będą próbowali mnie zabić, poproszę ich, żeby poczekali do popołudnia.

Ona: Zrób to. Grzeczna dziewczynka. Odeszły.

Ja: O rany, ktoś właśnie próbował mnie zabić.

On: Daj spokój, to tylko ostrzeżenie. Na postrach.

Ja: Cóż, następnym razem mnie zabiją.

On: Tego nie robi się w ten sposób. Następnym razem, powiedzmy, zabiją ci psa. Tu się przestrzega pewnego protokołu.

Ja: Ale ja nie mam psa. Nie lubię zwierząt.

On: Hmm... Może spalą twój samochód. Samochód lubisz, prawda?

Ja (potakując): Zatem minie jeszcze trochę czasu, nim naprawdę spróbują mnie zabić? On: Tak, masz mnóstwo czasu.

To zaszło za daleko. Szybko wystukałam odpowiedź do Helen.

Do: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Od: Czarodziejka1@yahoo.com

Temat: Groźba śmierci

Helen, to już nie jest zabawne. Jeśli ktoś naprawdę próbował cię zastrzelić - a ja nawet sobie nie wyobrażam, żebyś kłamała w sprawie tak poważnej - to musisz natychmiast przerwać to wszystko! Natychmiast! Anna

Trzęsącymi się palcami kliknęłam „wyślij”, a potem nadałam e-mail do zespołu Neris Hemming, żeby się dowiedzieć, czy moją rozmowę z Neris można by przełożyć na następny dzień. Albo na wcześniejszy. Albo na wcześniejszą godzinę tego samego dnia. Lub późniejszą. Czy mogłaby się odbyć w jakimkolwiek innym terminie niż w środę, 6 października, o godz. 8.30. Nic się nie dało zrobić. Szybko odpowiedziano mi, że jeśli stracę ten termin, będę musiała wrócić na koniec kolejki i czekać obowiązkowe dziesięć do dwunastu tygodni, zanim znajdzie się jakiś następny.

A ja nie mogłam! Po prostu nie mogłam! Tak desperacko pragnęłam porozmawiać z Aidanem i tak długo czekałam, byłam taka cierpliwa.

Gdybym jednak nie zrobiła tej prezentacji, zostanę zwolniona. Co do tego nie było wątpliwości. Ale czyż nie dostałabym zawsze lepszej roboty? Prawdę mówiąc, chyba nie. Szczególnie gdyby potencjalni pracodawcy dowiedzieli się, dlaczego zostałam zwolniona: za to, że nie pokazałam się na najważniejszej prezentacji, jaką ta firma kiedykolwiek robiła. Poza tym moja praca miała dla mnie de-

cydujące znaczenie. Potrzebowałam jej; trzymała mnie przy życiu. Dawała mi powód do codziennego wstawania z łóżka i odrywała moje myśli od różnych rzeczy. Nie mówiąc już o tym, że mi za nią płacono, co było niezbędne do życia, gdyż tkwiłam po uszy w długach. Gdy tylko dostałam wiadomość od zespołu Neris Hemming, przeniosłam 2.500 dolarów na osobne konto, więc przynajmniej ta kwota była bezpieczna. Poza tym co miesiąc dokonywałam tylko minimalnych spłat kart kredytowych. Świetnie sobie radziłam z pokonywaniem strachu, ale myśl o pozostaniu bez pracy zniweczyła cały wysiłek. Czytałam gdzieś, że przeciętnego nowojorczyka tylko dwie wypłaty dzielą od znalezienia się na ulicy. Dopóki zarabiałam, mogłam funkcjonować, ale nawet kilka „bezpłatnych” tygodni mogło oznaczać ogólne załamanie. Prawdopodobnie musiałabym zrezygnować z mieszkania, a może nawet wrócić do Irlandii. A przecież nie mogłam tego zrobić. Musiałam pozostać w Nowym Jorku, żeby być bliżej Aidana. Musiałam więc uczestniczyć w tej prezentacji.

Potem poczułam oburzenie: a gdybym naprawdę była poważnie chora? Gdybym miała raka i w dniu prezentacji miałabym odbyć pierwszą sesję naświetlań ratujących życie? Czy Franklin nie był trochę niehumaniczny? Czy ta cała etyka pracy nie posunęła się zbyt daleko?

Próbowałam myśleć o innych sposobach obejścia tego problemu: mogłabym zatelefonować do Neris z komórki, z jakiejś kawiarni niedaleko biura, i być w pracy tuż po dziewiątej. W gruncie rzeczy mogłabym nawet odbyć tę rozmowę zza swojego biurka. Jednego wszakże nie mogłabym dokonać: nie potrafiłabym w pełni rozkoszować się rozmową z Aidanem.

Wszystko zaczęło się układać; podjęłam decyzję. W istocie nie miałam żadnych wątpliwości. Porozmawiam z Neris, a zrezygnuję z tej prezentacji.

Podeszłam do biurka Franklina.

- Możemy pogadać? Chłodno skinął głową.

- Franklin, nie mogę być na tej prezentacji, ale mógłby ją zrobić ktoś inny. Na przykład Lauryn.

- Potrzebujemy ciebie - odparł zirytowany. - To ty jesteś osobą z blizną. Lauryn jej nie ma. - Zamilkł na chwilę, a ja byłam pewna, że się zastanawiał, czy mógłby oszpecić Lauryn. Musiał jednak dojść do wniosku, że, cholera, nie może tego zrobić, gdyż zapytał: - A właściwie na co jesteś chora?

- To... hmm... sprawa ginekologiczna - pomyślałam, że najbezpieczniej będzie powiedzieć mężczyźnie właśnie to. W innych miejscach pracy to zawsze działało: kiedy chciałam mieć wolne popołudnie, żeby pójść na zakupy, mówiłam szefowi, że mam bóle miesiączkowe. Zazwyczaj zwalniali mnie błyskawicznie; widać było przerażenie, jakie ich ogarniało: tylko nie wymawiaj słowa „menstruacja”! Franklin jednak wyskoczył zza swego biurka, chwycił mnie i szybko pomknął ze mną przez inne biurka.

- Dokąd idziemy?

- Do szefowej.

O cholera! Jasna cholera! Niech to szlag!

- Ona mówi, że nie może odbyć prezentacji - powiedział bardzo donośnie. - Twierdzi, że ma umówioną wizytę lekarską. Powiada, że to coś ginekologicznego.

- Ginekologicznego? - zapytała Ariella. - Aborcja? -Spojrzała na mnie z bladoniebieską, elegancką furią - Opuszczasz moją prezentację Formuły 12 z powodu jakiejś cholernej aborcji?

- Nie! O mój' Boże, nie! Naprawdę nie! - Byłam przerażona tym, w co się wpakowałam; przerażona jej wściekłością, przerażona moimi kłamstwami i przerażona tym, co rozpętałam.

A jednak musiałam brnąć w kolejne kłamstwa. I to szybko.

- To... macica.

- Rak? - Pytająco przechyliła głowę i długo na mnie patrzyła. - Masz raka?

Sprawa była jasna: jeśli mam raka, pozwoli mi opuścić prezentację. Tylko wtedy. Ale ja nie mogłam się zdobyć na powiedzenie tego.

- Stan przedrakowy - wykrztusiłam, umierając ze wstydu, że to powiedziałam.

Kilka lat wcześniej Jacqui miała stan przedrakowy macicy. Wszyscy wtedy płakaliśmy, przekonani, że umrze, ale po niewielkim zabiegu, który nie wymagał nawet miejscowego znieczulenia, całkiem wróciła do zdrowia.

Nagle Ariella stała się bardzo spokojna. Niebezpiecznie spokojna. Jej głos ściszył się do gardłowego szeptu.

- Anno, czyż nie jestem dla ciebie dobra? Zemdlilo mnie.

- Oczywiście, Arie...

Jednak to jej nie powstrzymało. Musiałam wysłuchać całej przemowy.

- Czyż nie troszczyłam się o ciebie? Czy cię nie ubierałam, kiedy reprezentowaliśmy Fabrice & Vivien, zanim te niewdzięczne palanty poszły gdzie indziej? Czyż nie zapewniałam ci kosmetyków? Jadania w najlepszych restauracjach w mieście? Czy nie trzymałam dla ciebie stanowiska, kiedy twój mąż kupił farmę? Czyż nie przyjąłam cię z powrotem, chociaż na twarzy masz bliznę, która wystraszyłaby nawet dra De Groota?

Gdy wyrzuciła z siebie to ostatnie cholerne pytanie, ja też postawiłam je sobie w myślach:

- I tak mi się odpłacasz?

Rozdział 47

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Temat: Nie truj!

Wszystko w porządku! Wyluzuj! Fakt, że Aidan umarł, nie oznacza, że wszyscy umrzemy. Zresztą, pokazałam Harry'emu fotografie Detty pijącej herbatę z Raceyem.

On: Ach, nie ma w tym niczego seksualnego. Nic się tu nie dzieje, kompletnie nic. Więc ten przeciek musi pochodzić skądinąd. Colin, zacznij od początku.

Panno Walsh, z przyjemnością mówię, że teraz może pani odejść.

Ja: Dzięki za taskę. Antypatia jest wzajemna. (Z przyjemnością to powiedziałam). Cześć, Colin, miło się z tobą pracowało.

Pozostańmy w kontakcie.

(Obdarzyłam go lekkim uśmiechem. Wydawał się dość przygnębiony).

A więc już po wszystkim, żadnych strzałów, nie ma się o co martwić, duża dziewczynko.

Ulgę przyniosła mi wieść, że już nie pakuje się w niebezpieczeństwo (jeśli w ogóle w nim była). Zabawne, że teraz, gdy wszystko się skończyło, musiałam przyznać, iż trochę mnie ciekawiło, czy Detta naprawdę przekazywała Raceyowi sekrety Harry'ego. Było to dziwne, ponieważ przypominało raczej operę mydlaną niż prawdziwe życie, ale w przeciwieństwie do opery mydlanej zakończyło się dość nagle.

Przez następne dwa tygodnie Wendell i ja byliśmy poddawane niezliczonym próbom prezentacji, aby osiągnąć perfekcję. Ariella i Franklin brali nas w krzyżowy ogień pytań, udając, że są przedstawicielami firmy Devereaux. Zarzucali nas pytaniami o koszty, terminy, profil klientów, konkurencję... Przecież mogło nam być zadane każde możliwe pytanie. Potem sprowadzono kilka bardziej do-

świadczonej dziewczyn, by się przekonać, czy można zapytać o coś jeszcze, aby w wyznaczonym dniu nie było żadnych niespodzianek.

Przeszłam przez to, mimo że wiedziałam, iż mnie tam nie będzie.

Dopuściłam jednak Teenie do tajemnicy. Poszłyśmy na lunch i zobowiązałam ją do zachowania milczenia.

- Środowa prezentacja? Nie mogę jej zrobić.

- Co?!

- Ty ją zrobisz. Okryjesz się chwałą.

- Ależ... O mój Boże! Nie możesz! Ariella wpadnie w szal.

- Tak, i będzie potrzebowała kogoś, kto wykona to zadanie. Jestem pewna, że będziesz to ty. Nie pozwól, żeby Lauryn się w to wepchnęła.

Do: Czarodziejka1 @yahoo.com

Od: Walshowie1@eircom.net

Temat: Wszystko się wydało!

Kochana Anno!

Nigdy nie zgadniesz, kim jest Nan O'Shea. Próbuj. Nigdy na to nie wpadniesz. Podpowiem Ci. Wszystko przez Twojego ojca. Powinnam o tym wiedzieć. No, dalej: zgaduj. Jeszcze Ci nie powiem. Zgaduj, zgaduj! W końcu Ci powiem, chociaż... nigdy w to nie uwierzysz! Twoja kochająca Mama

W przeddzień prezentacji Wendell i ja zostałyśmy poddane ostatnim próbom. Około osiemnastej trzydzieści Ariella zakończyła dzień.

- W porządku, wystarczy - powiedziała. - Zachowajmy świeżość.

- Do jutra, Anno - rzekł Franklin znacząco.

- O bladym świcie - odparłam.

Jeszcze nie zdecydowałam, czy przyjdę po telefonicznej rozmowie z Neris, czy po prostu nigdy nie wrócę.

Na wszelki wypadek zabrałam z biurka fotografię Aida-na i włożyłam ją do torebki, po czym pożegnałam się z Teenie i Brooke.

Rozdział 48

Czułam, że ten wieczór poprzedza najważniejszy dzień mego życia. Nie mogłam skoncentrować się na niczym. Byłam podekscytowana, ale również pełna niepokoju.

Aidan, a jeśli nie przyjdiesz? Jak sobie poradzę? Gdzie mam stąd pójść?

Na dźwięk telefonu podskoczyłam. To był Kevin; włączyłam automatyczną sekretarkę.

- Anno - mówił - muszę z tobą porozmawiać. To bardzo pilne. Zadzwoń do mnie.

Ledwie to zarejestrowałam.

Jakiś czas później (nie mam pojęcia, ile go upłynęło) rozległ się dzwonek domofonu. Zignorowałam go, ale zadzwonił ponownie. Za trzecim razem odebrałam. Ktokolwiek to był, usilnie chciał ze mną rozmawiać.

To była Jacqui.

- Nigdy nie zgadniesz - powiedziała.

- Więc mi powiedz.

- Jestem w ciąży.

Ja gapiłam się na nią, a ona na mnie.

- No co? - zapytała.

- Co „co?”

- Wyglądasz dziwnie.

Czułam się dziwnie. Moje łono doznało czegoś w rodzaju ścisku.

- Zazdrościsz mi? - zapytała. Tak po prostu.

- Tak - odparłam. Tak po prostu.

- Przykro mi, a ja nawet nie chciałam być w tej pieprzonej ciąży. Czyż życie nie jest gówniane?

- Masz rację. Ale czy to trochę nie za szybko? Dopiero co się zakochałaś.

- Wiesz, kiedy to się stało? Pierwszej nocy. Pierwszej cholernej nocy! Kiedy ty byłaś w Hamptons. Możesz w to uwierzyć? Prezerwatywa wystrzeliła. Miałam zażyć tę pigułkę „dzień-po”, ale trzy kolejne dni spędziliśmy w łóżku i zapomniałam o niej, a potem było już za późno. To dopiero szósty tydzień, ale lekarze liczą od ostatniej miesiączki, więc oficjalnie ósmy.

- Czy Joey wie? Przecząco pokręciła głową.

- Nie, a gdy mu powiem, zerwie ze mną.

- Ależ on za tobą szaleje. Pokręciła głową.

- Dopamina. Teenie wytłumaczyła mi to na twoich urodzinach; ta dziewczyna dużo wie. Kiedy mężczyźni sądzą, że są zakochani, dzieje się tak tylko dlatego, że ich mózg wytwarza za dużo dopaminy. Zazwyczaj mija to po pierwszym roku, co wiele wyjaśnia. Ale jeśli mu powiem, że jestem w ciąży, założę się, że zakochanie przejdzie mu natychmiast.

-Dlaczego miałoby mu przejść?

- Joey nie chce ponosić odpowiedzialności.

-Ale...

-To za szybko. Ledwie się znamy. Gdyby to się zdarzyło po sześciu miesiącach, może bylibyśmy bardziej na to przygotowani, ale teraz to zbyt szybko.

- Porozmawiaj z nim o tym, może wszystko będzie dobrze.

- Może.

Zmusiłam się, żeby to powiedzieć, chociaż, o dziwo, wcale nie chciałam tego zrobić.

- Są przecież inne wyjścia.

- Wiem. Zastanawiałam się. - Pauza. - Zajście w ciążę nie jest taką okropną katastrofą, jaką byłoby pięć albo nawet trzy lata temu. Wtedy nie miałam ubezpieczenia ani grosza przy duszy i z pewnością zrobiłabym sobie skrobankę. Ale teraz... mam mieszkanie, dobrze płatną pracę - nie mogę zwalić winy na społeczeństwo, mówiąc, że za mało zarabiam - i wciąż zastanawiam się nad pomysłem posiadania dziecka.

- Cóż... Jacqui, urodzenie dziecka jest wielkim, zmieniającym życie wydarzeniem. To coś innego niż posiadanie labra-doodla. Prawdopodobnie nawet nie mogłabyś wykonywać swojej dobrze płatnej pracy. Jesteś pewna, że naprawdę to wszystko przemyślałaś?

- O tak! Ono będzie płakało, ja będę splukana - przerwała. - Splukana! Będę wyglądać jak wiedźma, niania będzie mnie okradać, ale to będzie fajne! Miejmy nadzieję, że urodzę dziewczynkę. Dziewczęce ciuszki są o wiele ładniejsze.

Potem wybuchła płaczem.

- Dzięki Bogu - powiedziałam. - To pierwsza normalna rzecz, jaką zrobiłaś.

Po jej wyjściu próbowałam zasnąć, ale nie udało mi się. Przysypiałam zaledwie i około piątej nad ranem całkiem się ocknęłam. Odczuwałam też gorszy ból niż zwykle. Czy miało to coś wspólnego z moim wyczulonym stanem emocjonalnym? Spojrzałam na zegarek, czekając na ósmą trzydzieści, kiedy wreszcie miałam porozmawiać z Aidanem. Żołądek podjeżdżał mi do gardła i czułam mdłości. Dla zabicia czasu przejrzałam e-maile.

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Temat: Pełne akty!

Nie uwierzysz, co się stało. Dziś rano w poczcie dostałam dużą kopertę pełną zdjęć Raceya i Detry pieprzających się na całego. Niczego nie pozostawiono wyobraźni; wszystko na wierzchu. Trzeba mieć mocny żołądek.

Zatem robili to cały czas. Harry miał rację, to ja się myliłam. Tylko dlaczego ktoś przysyła mi te fotografie właśnie teraz, gdy już nie zajmuję się tą sprawą?

Dzwonił Colin. Zapytałam go, co powinnam z tym zrobić.

Pogadajmy o tym, powiada, w łóżku.

Nie miej nic przeciwko temu, jeśli to zrobię, moja droga!

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Walshowiel@eircom.net

Kochana Anno!

Wiem, że masz w tej chwili trochę na głowie, ale muszę przyznać, że jestem nieco urażona, iż nie uznałaś za stosowne odpowiedzieć, czego się domyślasz. Wiem, że nasz tutejszy mały „dramacik” nie jest czymś tak ekscytującym jak to, co dzieje się w Nowym Jorku, ale sądziłam, że mogłabyś sprawić nam trochę przyjemności. No, dalej, zgadnij, kim jest Nan O’Shea. Postaraj się. Nigdy nie zgadniesz! Twoja kochająca Mama

P.S. Jeśli się nie domyślisz, bardzo się zirytuję.

Aby mieć ją z głowy, machnęłam jakąś półprzytomną odpowiedź.

Do: Walshowiel@eircom.net Od: Czarodziejka1@yahoo.com Temat:

Wszystko się wydało!

Nie wiem. Poddaję się! Czy to jakaś dawna dziewczyna taty?

Tak długo czekałam, żeby porozmawiać z Aidanem, iż zaczęłam wierzyć, że nigdy nie nadejdzie ósma trzydzieści. Jednak nadeszła. Czując zawrót głowy, spojrzałam na wskazówki zegarka: w magicznym układzie wskazywały właśnie tę godzinę. Sięgnęłam po telefon i wystukałam cyfry.

Po czterech dzwonekach odezwał się jakiś kobiecy głos, a ja tak się trzęsłam, że ledwie mogłam powiedzieć:

- Halo, czy to Neris?

- Taaak? - powiedziała ostrożnie.

- Dzień dobry, to ja, Anna Walsh, dzwonię z Nowego Jorku w sprawie mojej interpretacji głosu.

- Ach, tak. - W jej głosie brzmiało zakłopotanie. - Czy masz umówiony termin?

- Tak! Tak! Oczywiście. Dokonałam wpłaty. Mogę podać nazwisko osoby, która to załatwiała.

- Och, przepraszam kochanie. Mam tu robotników budowlanych. Upowiedziałam biuro. W żaden sposób nie mogę się teraz skupić na interpretacjach przekazu z tamtego świata.

Szok odebrał mi mowę. To nie mogło się zdarzyć. W moim aparacie zaczął klikać sygnał rozmowy oczekującej, ale go zignorowałam.

- Chce pani powiedzieć, że nie sprowadzi nikogo dla mnie?

- Nie teraz, kochanie.

- Ale mamy termin. Tak bardzo czekałam na nadejście tego dnia.

- Wiem, kochanie. Zadzwoń do biura. Przełożmy to.

- Ależ ja musiałam czekać aż trzy miesiące na wyznaczenie tego terminu i...

- Powiem im, żeby potraktowali cię priorytetowo.

- Nie ma więc żadnej szansy na szybkie zrobienie czegoś teraz?

- Nie, teraz z pewnością nie. - Jej ton wciąż był radosny, ale z jakąś żelazną nutą. - Zadzwoń do biura. Zajmą się tym.

Odłożyła słuchawkę.

Rozdział 49

Wpatrywałam się w telefon, a potem mieszanina wściekłości, rozczarowania i zawiedzionej nadziei wybuchła jednocześnie. W przeciwieństwie do okazjonalnych wybuchów okropnej złości, która zwykle mijała po jednym sarkastycznym zdaniu, zostałam przytłoczona całym zasobem białej gorączki i wściekłej furii... nie na Neris, lecz na Aidana.

- Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać? - krzyczałam. - Czemu mnie unikasz? Przecież stwarzam ci okazje. I dlaczego musiałeś umrzeć? Powinieneś postarać się bardziej, ty leniwy, beużyteczny DRANIU. Gdybyś kochał mnie wystarczająco, pozostałbyś przy życiu, trzymałbyś się swego życia. Ty pieprzony KUTASIE, ty po prostu się poddałeś.

Nacisnęłam ponowne wybieranie numeru, ale usłyszałam sygnał „zajęte”, co jeszcze bardziej mnie rozzłościło. To nie był przypadek.

- Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać? - wrzeszczałam. - Jesteś pieprzonym TCHÓRZEM, oto dlaczego! Miałeś WYBÓR, mogłeś ZOSTAĆ. Ale nie dość cię obchodziłam, nie dość mnie kochałeś. Bardziej byłeś zatroskany SOBĄ.

W końcu zabrakło mi słów i wciąż na nowo krzyczałam w dłonie, aż do bólu gardła, próbując wyrzucić z siebie wściekłość.

Nie mogłam zostać w mieszkaniu, było za małe, aby pomieścić moje uczucia. Wściekła, ruszyłam ku drzwiom. Mijając komputer, zobaczyłam, że nadszedł jakiś nowy e-mail. Nie wiedziałam, na co mam nadzieję, może na nowy termin rozmowy z Neris, ale to była tylko wiadomość od Helen.

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Temat: Pełne akty

Fotosy zostały pokazane Harry'emu. Colin powiedział, że ma prawo się dowiedzieć. Harry się załamał. Zabawne. Potem powiedział do Colina: udaję się do Dalkey, żeby zabić Raceya O'Grady. Wrócę za parę godzin, w zależności od ruchu na drodze. Ty zostajesz na gospodarstwie.

Stałam na ulicy i stwierdziłam, że nie mam dokąd pójść z wyjątkiem biura. Miałam gdzieś tę prezentację, ale jak zwykle bywa z takimi sprawami, natychmiast podjechała taksówka, niemal nie było ruchu, za to wszystkie światła były zielone. Nigdy w życiu nie dotarłam do pracy tak szybko.

Spokojnie przeszłam od windy do swojego biurka, nad którym głowa przy głowie pochylali się Franklin, Teenie i Lauryn.

- Stuknięta suka - mówiła Lauryn. - Nie powinniśmy pozwolić jej wrócić po tym jak jej mąż...

Franklin był blady jak ściana. Potem się odwrócił, zobaczył mnie, a ja prawie się roześmiałam, widząc wyraz jego twarzy. Poczuli zbyt wielką ulgę, żeby się złościć.

- Jesteś.

- Tak. Teenie, przepraszam, że cię mamiałam tym wszystkim.

- Nie ma sprawy - powiedziała. - To twoja prezentacja. Twoje dziecko. - Obdarzyła mnie całuskiem. - Ruszamy.

- Jeszcze ich nie ma - rzekł Franklin bez tchu, biorąc mnie pod rękę i szybko zmierzając do sali konferencyjnej.

- Jest! Triumfalnie pokazał mnie Arielli.

- W samą porę - mruknęła sarkastycznie. Mówiłam, że mam spotkanie - odparłam.

Wymienili spojrzenia mówiące: „Co się z nią dzieje?”. Wtedy jednak nadeszła wiadomość, że przedstawiciele koncernu Devereaux są już w windzie, i wszyscy przybrali radosne miny.

Wendell w swym stroju Wielkiego Ptaka wystąpiła pierwsza i zaprezentowała niezły, olśniewający pokaz. Potem przyszła kolej na mnie.

Oglądałam samą siebie zupełnie jakbym stała obok; byłam pełna adrenaliny, a mój głos brzmiał donośniej niż zwykle i zaśmiałam się odrobinę zbyt gorzko, kiedy wskazałam swoją bliznę, ale nic niewłaściwego się nie stało.

Na podchwytliwe pytania odpowiadałam z perfekcyjną swobodą; byłam w tym dobra po niezliczonych godzinach praktyki. Później prezentacje się skończyły, wymieniono uściski dłoni i kontrahenci wyszli.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi windy, wyszłam z sali konferencyjnej, pozostawiając Ariellę i Franklina wpatrujących się we mnie ze zdumieniem.

- Jak poszło? - zapytała Teenie, gdy znalazłam się przy swoim biurku.

- Nie mogła tego zrobić. Miała u siebie budowlańców.

- Słucham?!

- Ach, pytasz o prezentację? Świetnie.

- Dobrze się czujesz? ..

- Doskonale.

- To dobrze. Mam dla ciebie wiadomości. Dzwoniła Jacqui. Dziś wieczorem przekaże tę wiadomość Joeyowi. Czy ona ma chlamydię?

- Nie. Powiem ci, kiedy Joey się dowie.

- W porządku. Potem dzwonił Kevin. Znasz Kevina, brata Aidana?

Ze znużeniem skinęłam głową.

- Masz do niego zadzwonić. Zaraz. Powiedział, że to pilne.

- Bardzo pilne?

- No dobrze; nikt nie umarł. Zapytałam go. Zwyczajnie pilne, jak przypuszczam.

Zatem to prawdopodobnie Kevin usiłował dodzwonić się do mnie dzisiejszego ranka. Z nagłą ciekawością spojrzałam na wyświetlacz swojej komórki; miałam dwie wiadomości od niego.

Dlaczego Kevin chciał, żebym do niego zadzwoniła? Dlaczego było to takie pilne? I w jednej chwili zrozumiałam dlaczego. Kevin chciał ze mną rozmawiać z tego samego powodu, z którego Aidan nie chciał.

Niepokój, który od miesiący tkwił w głębi świadomości, nagle zaprzął mi umysł.

Miałam nadzieję, że to się nigdy nie zdarzy. Nawet zdołałam sobie to wmówić. Jednak cokolwiek to było, nagle przychodziło do głowy, a ja nie miałam siły, żeby to powstrzymać.

Musiałam porozmawiać z Leonem. Zadzwoniłam do niego do pracy.

- Leon, czy możemy się spotkać?

- Wspaniale! Co powiesz na piątek? Jest taka cejlońska re-stau...

- Nie, Leon. Muszę spotkać się z tobą teraz.

- Ale teraz jest dziesiąta trzydzieści. Jestem w pracy.

- Wymyśl coś. Jakieś zebranie. Ból zęba. Jesteś ważnia-kiem. Tylko na godzinę. Leon, proszę...

- A co z Daną?

- Nie o takie spotkanie mi chodzi, Leon. Czy możesz być w Dom's Diner za dwadzieścia minut?

- Okay.

Obwieściłam wszystkim wokół, że wychodzę na dziesięć minut. Wczesny lunch.

Lauryn nawet nie odpowiedziała. Nie obchodziło jej to. Narozrabiałam tak okropnie, niemal opuszczając prezentację, że prawdopodobnie i tak miałam być zwolniona.

Do: Czarodziejka@Oyahoo.com

Od: Walshowie1@eircom.net

Temat: Wszystko się wydało!

Kochana Anno!

Skąd, na miłość boską, się dowiedziałas? Czy to był szczęśliwy traf? Masz szósty zmysł? Czy może Helen Ci powiedziała? Tak, Nan O'Shea jest kobietą, którą Twój ojciec rzucił dla mnie. Nosi urazę w sercu przez te wszystkie lata. Ale ubaw, co? Kto by pomyślał, że ktoś żywi tak silne uczucia wobec Twojego ojca?

Wszystko się wydało, kiedy skłoniłam Twojego ojca, żeby pojechał ze mną do jej domu i stawił jej czoło. Zadzwoniliśmy, frontowe drzwi otworzyły się gwałtownie, a potem ta kobieta spojrzała na ojca i nogi się pod nią ugięły.

„Jack?” - zapytała, a on odparł: „Nan?”, na co ja zapytałam: „Znasz tę kobietę?”.

„O co chodzi, Nan?” - zapytał Twój ojciec, a ona odpowiedziała: „Wybacz, Jack”.

Na co ja: „Cholernie chciałabyś, ty stuknięta wariatko”, a Twój ojciec: „Ci-cho, ciii... ona jest zdenerwowana”.

Zaprosiła nas na herbatę, ojciec wdał się w pogawędkę, siadając i częstując się ciasteczkami, ale ja pozostałam „z rezerwą”. Niełatwo wybaczam.

Tak czy inaczej, wszystko się wydało. Była zrozpaczona, gdy Twój ojciec ją zostawił, i nigdy go nie zapomniała. Jak powiedziała Rachel, „nie poszła da-

lej". (Skóra cierpnie, gdy się słyszy, jak Rachel o tym mówi. To przyjemnie, że dziecko ma wykształcenie, ale czasami... Nie miej mi za złe, że dosiadam swego „ulubionego konia"). Zapytałam Twojego ojca, dlaczego nie rozpoznał tego nazwiska, na co on odpowiedział, że nie wie. Następnie zapytałam Nan O'Shea, dlaczego zaczęła nas dręczyć dopiero teraz, i ostrzegłam, by nie poszła w jego ślady i nie mówiła, że nie wie. Odpowiedziała, że przez wiele lat żyła „daleko". Z bliska ma wygląd zakonnicy, która skończyła służbę; jakby spędziła ten czas na misji, nękając tych nieszczęsnych czarnoskórych, ale okazało się, że mieszkała w Cork, od 1962 roku pracując dla ESB. Ostatnio przeszła na emeryturę i wróciła do Dublina. (Byłam zaszokowana, gdy pomyślałam, jak znacznie starsza jest ode mnie). Twój ojciec był przyjacielski i kiedy wychodziliśmy, Nan O'Shea powiedziała: „Może wpadniesz kiedyś na filiżankę herbaty, Jack?". „Nie, odparłam, z pewnością nie wpadnie. Jack, wracamy do domu".

Taki jest więc koniec tej historii. A jak Twoje sprawy?

Twoja kochająca Mama

Rozdział 51

Leon już był na miejscu. Wślizgnęłam się w brązowy plastikowy boks naprzeciwko niego i powiedziałam:

Leon, wiem, że to dla ciebie trudne, i jeśli musisz płakać, to się nie krepuj. Chcę ci zadać kilka pytań i błagam, żebyś był ze mną szczery. Nawet jeśli pomyślisz, że mnie zranisz.

Z niepokojem skinął głową. Nie była to jednak żadna wskazówka. Wszystko robił z niepokojem.

- Tego wieczoru, kiedy Aidan zmarł, zamierzał mi coś powiedzieć. Coś ważnego.

- Co to było?

- Nie wiem. On umarł, pamiętasz?

- Przepraszam, Myślałem, że chodzi ci... Skąd wiesz, że zamierzał powiedzieć ci coś ważnego?

- Zamówił dla nas stół w Tamarind.

Co w tym dziwnego? Tamarind jest „wykwintnym nocnym lokalem dla jajo-głowych i ich bankierów”. Dokładny cytat z *Zagata*, przewodnika po najlepszych nowojorskich restauracjach.

Leon, to dziwne, ponieważ Aidan i ja prawie nigdy nie chodziliśmy na kolację we dwoje. Zamawialiśmy coś do domu lub wychodziliśmy z tobą i Daną, albo z Rachel i Lukiem. Zresztą dwa dni wcześniej byliśmy na romantycznej kolacji, ponieważ był to wieczór walentynkowy, pamiętasz? -Tak.

- Spoglądając wstecz... Coś go zdenerwowało. Odebrał jakiś telefon na komórkę. Powiedział, że dzwonił ktoś z pracy, ale ja myślę, że nie, ponieważ był potem bardzo przybity, jakby coś zważyło go z nóg.

- W pracy to się może zdarzyć każdemu facetowi.

- Nie wiem, Leon, to wyglądało na coś większego. Był przygnębiony i... daleki. Starał się najlepiej jak mógł, szczególnie w ten walentynkowy wieczór, ale te rzeczy są tak tandetne i napuszone... Potem zarezerwował stół w Tamarind, a ja powiedziałam, że nie rozumiem, dlaczego tak szybko znów idziemy na kolację, ale nalegał, więc się zgodziłam.

- Boże, chciałbym, żeby Dana bardziej przypominała ciebie...

- Pamiętam jednak, że myślałam, iż jeśli znaczenie ma dla niego to, żebyśmy wyszli, aby porozmawiać... bo najwyraźniej nie wychodziliśmy dla jedzenia... - powstrzymałam Leona, nim zdążył coś powiedzieć - to wyjdziemy.

- Ale nie dotarliście tam.

-Nie. I jakoś o tym nie pamiętałam. To znaczy, nie całkiem. Nie zawsze. Ale... tyle innych rzeczy się wydarzyło. Leon, byłeś jego najlepszym przyjacielem. Czy Aidan mnie kochał?

-Dałby się za ciebie zastrzelić. - Straszna cisza. - Przepraszam, okropnie to zabrzmiało. Szalał za tobą. Ja i Dana znaleźliśmy go z Janie, ale ty i on byliście inni. To było prawdziwe.

-No dobrze, nadchodzi trudne pytanie. Jesteś gotowy? Lękliwe skinienie.

- Czy w tym okresie, kiedy Aidan umarł, zdradzał mnie? Wyglądał na zbulwersowanego.

-Nie!

- A skąd wiesz? Powiedziałałby ci?

- Oczywiście. Ilekroć miał poczucie winy, zawsze czuł potrzebę wyznania...

To prawda. Prawdopodobnie wypowiedziałby się przede mną, mniejsza o Leona.

- Zresztą jakoś bym się domyślił - powiedział Leon. - Byliśmy ze sobą bardzo blisko, wiesz przecież. Był moim najlepszym kumplem. - Głos mu się łamał.

- Najlepszym kumplem, jakiego facet może mieć.

Odruchowo sięgnęłam do torebki i podałam mu chusteczkę.

Ukrył w niej twarz i zaszlochtał, a ja pytałam siebie, czy mu wierzę. Tak, postanowiłam. Wierzę mu. Zatem o co chodziło?

Kiedy wróciłam do biura, w mojej poczcie głosowej była seria gorączkowych wiadomości od Kevina. Ostatnia mówiła:

- Przyjeżdżam, żeby spotkać się z tobą w Nowym Jorku jutro rano. Nie mogę być wcześniej. Anno, to poważna sprawa. Jeśli ktoś do ciebie zadzwoni, jakaś kobieta, której nie znasz, nie rozmawiaj z nią. Nie rozmawiaj z nią, póki nie przyjadę.

O mój Boże! Kolana mi się ugięły i opadłam na krzesło. Leon się mylił, a ja miałam rację. To było to, na co czekałam.

Czułam, że jest mi niedobrze, ale byłam spokojna. To się już stało.

Mogłam zatelefonować do Kevina i dowiedzieć się wszystkiego, ale nie chciałam tego robić. Zresztą wiedziałam. Chciałam swoje życie z Aidanem trochę dłużej pamiętać takim, jakim sądziłam, że było.

Rozdział 52

- Anno, Anno! - Franklin przywołał mnie do rzeczywistości, dziwnie mi się przyglądając. - Do gabinetu Arielli, natychmiast.

- Nie pali się... - Poszłam powoli. Miałam to gdzieś.

- Zamknij drzwi - powiedziała Ariella.

- Dobrze...

Usiadłam, nie czekając, aż mi pozwoli. Błysnęła jednym z tych swoich cholernych spojrzeń ku Franklinowi, który stał za mną.

No, dalej, wywal mnie. Bierz się do dzieła.

- No cóż, Anno - Ariella odchrząknęła - mamy dla ciebie pewną wiadomość.

- Nie wątpię.

Kolejne wymiana zdumionych spojrzeń.

- Firmie Devereaux odpowiada nasza propozycja.

- Och, to świetnie - odparłam nadzwyczaj dziarsko. - Wendell czy moja?

- Twoja.

- Ale chcecie mnie zwolnić. Więc mnie zwolnijcie.

- Nie możemy cię zwolnić. Spodobałaś im się. Ten facet, ich szef, Leonard Daly, uważa, że jesteś, cytuję: „fantastycznie odważna” i wręcz stworzona do prowadzenia szeptanej kampanii. Powiedział, że masz wiarygodność.

- To okropne.
- Dlaczego? Chyba nie odchodzisz? Myślałam o tym.
- Nie, jeśli tego nie chcecie. Chcecie? No, dalej, pomyślałam, powiedz to. -

Nie.

- Co: nie?

- Nie chcemy, żebyś odeszła.

- Dziesięć tysięcy więcej, dwie asystentki i grafitowe kostiumy. Zgadza się albo nie.

Ariella przełknęła ślinę.

- Na podwyżkę tak i asystentki też, ale na grafitowe kostiumy nie. Formuła 12 jest brazylijska, więc musimy mieć karnawałowe kolory.

- Grafitowe kostiumy albo odchodzę.

- Pomarańczowe.

- Grafitowe.

- Pomarańczowe.

- Grafitowe.

- No dobrze: grafitowe.

To była interesująca lekcja władzy. Jediną chwilą, gdy rzeczywiście ją mamy, jest ta, kiedy naprawdę nie obchodzi nas, czy ją mamy, czy nie.

- Zgoda - powiedziałam. - Oddaję się teraz odpoczynkowi wolnego dnia.

Dopiero po powrocie do domu przypominałam sobie o Helen. Jej sytuacja opisana w ostatnim e-mailu wyglądała trochę niebezpiecznie, ale wtedy nie potraktowałam tego poważnie.

Do: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Od: Czarodziejka1@yahoo.com

Temat: Dobrze się czujesz?

Co się dzieje?

Po chwili dostałam odpowiedź.

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Temat: Sensacja!

W biurze zastałam list wsunięty pod drzwi. Ktoś pisał: „Chcesz wiedzieć, kto przysłał te nagie zdjęcia Detty i Raceya? Chcesz wiedzieć, co naprawdę się dzieje?”. Cholernie chciałam.

List mówił, żebym pokazała się o dziesiątej wieczorem pod wskazanym adresem w dokach. Spojrzałam na plan: mieścił się tam jakiś magazyn. Byłam gotowa się założyć, że jest to opuszczony magazyn. Dlaczego to ujawnienie nie może mieć miejsca w przytulnym barze?

Włączyłam radio. Nadawano wiadomości. Najważniejszą z nich była strzelanina w Dalkey. Jakiś około pięćdziesięcioletni mężczyzna (Harry Fear) „strzelił kilka razy do innego mężczyzny” (Racey). Cel uniknął obrażeń i chociaż policja zjawiała się na miejscu bardzo szybko, uzbrojony bandyta nie został schwytany. Policja ostrzega ludzi, żeby się do niego nie zbliżali.

To było kompletnie absurdalne. Zwariowała, żeby wplątywać się w coś takiego; mogła skończyć jako ofiara strzelaniny!

Do: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Od: Czarodziejka1@yahoo.com

Temat: Sensacja!

Helen. NIE CHODŹ do tego magazynu! Tracisz poczucie rzeczywistości!
Obiecuj mi, że tam nie pójdziesz. Musisz zrobić wszystko, o co cię proszę, ponieważ umarł mi mąż. Anna

* * *

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Temat: Sensacja!

Och, pieprzysz!

Obiecuję.

* * *

Do: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Od: Czarodziejka1@yahoo.com

Temat: Sensacja

Dobrze!

Rozdział 53

Postanowiłam czekać. W pewnym sensie przypominało to powtórkę poprzedniego wieczoru, ale wtedy byłam pełna nadziei, a teraz przytłaczało mnie złe przeczucie.

Kevin znów dzwonił kilkakrotnie, ale nie podniosłam słuchawki; po prostu nie mogłam stanąć z tym twarzą w twarz. Powiedział, że przyjedzie z Bostonu o siódmej rano. Spotkam się z nim jutro. Jutro dowiem się wszystkiego.

Potem wpadła Jacqui; podzieliła się wiadomością z Joey-em. Fakt, że była tutaj, nie zapowiadał niczego dobrego.

Pokręciła głową.

- Dopamina wyparowała!

- No nie!

- Tak. On nie chce o tym wiedzieć.

- Na miłość boską! Jakby nie miał z tym nic wspólnego?! Potraktował cię okropnie?

- Nie okropnie. Był po prostu dawnym, niedopaminowym Joeyem.

- Więc był okropny.

- Tak, chyba tak. Ja wiedziałam, że on nie będzie tym zachwycony, ale miałam nadzieję, no wiesz...

Skinęłam głową. Wiedziałam. Jacqui opadła na kanapę i na dobre się rozszłochała, ja zaś mruczałam, jaki z niego palant. Po pewnym czasie zaczęła się śmiać, chociaż wciąż leciały jej łzy.

- „Wściekły” Joey - powiedziała, ocierając policzki wierzchem dłoni. - Co też mi przyszło do głowy, żeby się w nim zakochać?! Mówiono, że pakuje się w kłopoty. I wiesz co, Anno, będziesz musiała wspierać mnie w porodzie. Będziemy musiały razem chodzić do szkoły rodzenia, gdzie wszystkie pary będą myśleć, że jesteśmy parą lesbijek.

- Twarda jesteś.

- Głupia jestem. I nawet nie mogę zagłuszyć swoich smutków. Włącz *Dirty Dancing*, dobrze? To jedyna pociecha dostępna dla mnie przez osiem najbliższych miesięcy. Nie mogę pić, palić, jeść za dużo słodczy, kupować ładnych ciuchów ani uprawiać seksu, a jedynymi mężczyznami gotowymi przespać się ze mną będą ci odmieńcy, którzy gustują w ciężarnych kobietach. Pozostały mi tylko głupie filmy. Od kogo ta wiadomość?

Kłęczałam na podłodze, szukając płyty DVD.

-Co?

- Miga sygnał w twoim telefonie.

- Ach, to od Kevina, który jutro przyjeżdża do Nowego Jorku. - Byłam zdziwiona, jak normalnie brzmi mój głos. Nie powiedziałam Jacqui, o co chodzi; miała dość własnych zmartwień.

Po jej wyjściu poszłam spać i zasnęłam... powiedzmy, że zasnęłam, a kiedy wstałam około siódmej trzydzieści, czułam się tak, jakby czekała mnie egzekucja.

Rozdział 54

Umyłam się i ubrałam jak zwykle. Czułam suchość w ustach, więc wypiałam szklankę wody, ale natychmiast wróciła, a kiedy próbowałam wyszczotkować zęby, nacisk szczoteczki na język sprawił, że poczułam się zakneblowana.

Nie wiedziałam, co robić. Zanim przyjechał Kevin, wszystko było pod kontrolą. Zawarłam umowę z samą sobą: jeśli w którymś z kanałów znajdę odcinek serialu *Starsky i Hutch*, to go obejrzę. A jeśli nie znajdę? Cóż, wtedy pójdę do pracy.

Choć wydaje się to dziwne, w żadnym programie nie było tego serialu. Znalazłam mnóstwo innych - *Ulice San Francisco*, *Posterunek przy Hill Street*, *Cagney i Lacey* - ale umowa była umową. Pójdę do pracy i zobaczę, czy coś się zdarzyło. Może zmienili zdanie i ostatecznie postanowili mnie zwolnić, co z pewnością dostarczyłoby rozrywkę.

Zmusiłam się, by ruszyć ku drzwiom, i powoli zesłam po schodach. Z budynku właśnie wychodził listonosz. Pierwszy raz tego roku czuło się jesień: spadały liście, a w powietrzu był chłód i odrobina dymu.

Nie zwracałam sobie głowy otwieraniem skrzynki. Co mnie obchodzi, czy dostałam pocztę? Mimo to coś mówiło mi, żeby sprawdzić. Jednocześnie coś innego kazało mi iść dalej. Za późno. Już ją otwierałam, a tam czekał adresowany do mnie tylko jeden list. Jak mała bomba.

Na kopercie nie było adresu nadawcy. Dziwne. Już byłam trochę zaniepokojona. Jeszcze bardziej zaś, gdy zobaczyłam, że moje nazwisko i adres starannie wypisano... ręcznie. Kto w dzisiejszych czasach wysyła ręcznie pisane listy?

Rozsądna kobieta nie otworzyłaby tej koperty. Rozsądna kobieta wrzuciłaby ją do kosza na śmieci i poszła dalej. Ale kiedy ja w ogóle - poza krótkim okresem między dwudziestym dziewiątym a trzydziestym rokiem życia - byłam rozsądna?

Tak więc otworzyłam tę kopertę.

Była w niej karta, akwarelka przedstawiająca misę wędnących kwiatów. Tak cienka, że poczułam, iż kryje coś w środku. Pieniądze? A może czek, pomyślałam. Był to jednak czysty sarkazm i choć nikt nie mógłby mnie usłyszeć, na wszelki wypadek mówiłam te słowa wyłącznie w myślach.

I rzeczywiście, koperta coś w sobie kryła: fotografię. Fotografię Aidana. Dlaczego mi ją przysłano? Miałam już mnóstwo podobnych. Potem zobaczyłam, że się myliłam. To nie był on. I nagle zrozumiałam wszystko.

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział 1

Obudziłam się w niewłaściwym pokoju. W niewłaściwym łóżku. Z niewłaściwym mężczyzną.

Poza jedną małą lampką pokój pogrążony był w ciemności. Słuchałam jego oddechu, ale nie mogłam na niego patrzeć.

Musiałam stąd wyjść. Ukradkiem wyslizgnęłam się spomiędzy prześcieradeł, postanawiając go nie budzić.

- Witaj - powiedział. Nie spał. Uniósł się na łokciu. - Dokąd idziesz?
- Do domu. Dlaczego nie śpisz?
- Przyglądam ci się. Wzdrygnęłam się.
- Nie w tym sensie - powiedział. - Patrzę, żeby się przekonać, czy dobrze się czujesz.

Odwrócona do niego plecami, szukałam na podłodze swoich rzeczy, starając się ukryć nagość.

- Anno, zostań do rana.
- Chcę iść do domu.
- Jaką różnicę sprawi kilka godzin?
- Idę do domu. - Nie mogłam znaleźć biustonosza. Wstał z łóżka, a ja się cofnęłam; nie chciałam, żeby mnie dotykał.
- Wychodzę z sypialni, żebyś mogła się ubrać. Wyszedł. Widziałam jedynie jego nogi i tylko od kolan w dół.

Gdy wrócił, byłam ubrana. Podał mi filiżankę kawy.

- Pozwól, że zatelefonuję po taksówkę - powiedział.
- Dobrze. - Wciąż nie mogłam na niego patrzeć.

Wciąż wracał do mnie poprzedni dzień w całej swojej okropności. Przypomniałam sobie, jak zrywam z siebie ciuchy i krzyczę: „Zerznij mnie, zerznij mnie. Co to dla ciebie? Jesteś mężczyzną. Nie musisz angażować się emocjonalnie. Po prostu mnie zerznij!”. Leżałam naga na jego łóżku i wrzeszczałam: „No,

dalej!". Chciałam, żeby odpędził moją wściekłość, moją przegraną i moją rozpacz. Pragnęłam, aby odsunął mojego zmarłego męża, żebym już nigdy nie czuła bólu.

- Przyjechała taksówka.

Gdy wróciłam do domu, wschodziło słońce i wszystko pogrążone było w ciemny wczesny poranek. Chociaż poprzedniego dnia nie wypłam ani kropli, czułam się tak, jakbym miała najgorszego kaca w życiu.

Weszłam do cichego mieszkania, włączyłam światło, jeszcze raz wyjęłam z torebki tę kopertę i patrzyłam na fotografię chłopczyka, który był obrazem Aidana, ale nie był Aidanem.

Poprzedniego dnia, gdy stałam w progu, przyglądając się fotografii brzdąca w czapce drużyny Red Sox, to właśnie blizna na łuku brwiowym wszystko zdradziła. Aidan miał ją od urodzenia; ten niewielki ślad po skaleczeniu niemowlęcej skóry nigdy nie zniknął. Chłopczyk na fotografii miał dwie idealne brwi, bez żadnej blizny. Wtedy spojrzałam na datę widniejącą na zdjęciu. Wpatrywałam się w nią, myśląc: to nie może być prawda. Jednak wszystko we mnie wiedziało, że to jest prawda. Chłopczyk urodził się osiemnaście miesięcy wcześniej.

Wraz z fotografią nadszedł list; cienka karteczka okazała się dużym arkuszem papieru. Nie byłam zainteresowana czytaniem tego, co miała do powiedzenia autorka, chciałam tylko wiedzieć, kim jest. Spojrzałam na podpis i - zgadnijcie - ktoś inny mógłby to być, jak nie Janie.

Zrobiło mi się czarno przed oczami i czułam, że zwariuję. Miała go przez te wszystkie lata. Teraz miała jego syna. A ja nie miałam nic.

Natychmiast, w jednej chwili, wiedziałam, co zrobić.

Drżącymi w chłodzie poranka palcami wystukałam numer telefonu Mitcha.

- Telefon Mitcha - powiedział ktoś, kto nie był Mitchem.

- Czy mogę rozmawiać z Mitchem?

- Nie teraz - zachichotał ten ktoś. - Zawieszony pod sufitem montuje mikroelektronikę.

Nie przychodziła mi do głowy żadna odpowiedź; byłam za bardzo wściekła. To niech spieprza w dół.

- Proszę mu powiedzieć, że dzwoni Anna. I że to pilne. Bardzo pilne.

Jednak ten człowiek nawet nie krzyknął do Mitcha.

- Mitch ma pilną robotę - odparł. - Jak tylko skończy, powiem, żeby do pani zadzwonił.

Przerwałam połączenie i energicznie kopnęłam w próg, myśląc: kto, kto, KTO? Nie mógł to być żaden z Prawdziwych Meźczyzn. Jedynym wolnym był Gaz, a on mógłby spróbować mnie „uzdrowić”, rozniecając jakiś ogień.

Wtedy na to wpadłam. To nie miał być Mitch. To miał być Nicholas.

Rezolutny, miły Nicholas. On to zrobi.

Zatelefonowałam do niego do pracy - poczta głosowa. Na komórkę - poczta głosowa. Musiał więc być w domu. Zadzwoniłam do domu - poczta głosowa.

Nie mogłam w to uwierzyć. Po prostu nie mogłam uwierzyć. Pragnęłam tego. Dlaczego na mojej drodze znalazło się tyle przeszkód?

Wściekła, coś sobie przypominałam. Drżącymi rękami chwyciłam torebkę i wyrzuciłam na próg całą jej zawartość, przeglądając stos śmieci w poszukiwaniu tego kawałeczka papieru. Nie wierzyłam, że go znajdę. Chociaż musiałam.

I znalazłam. Zwinięty strzępek papieru. Numer mojego wybawiciela: numer Angela, Tego Angela, którego poznałam, będąc pewnego ranka w kawiarni z Rachel.

Zatem nie miał to być Nicholas. Miał to być Angelo.

Jednak pod jego numerem także odpowiedział nagrany komunikat.

- Nie ma mnie teraz. Wiesz, co robić - mówił jego głos.

- Angelo, mówi Anna. Jestem siostrą Rachel. Poznaliśmy się pewnego ranka w kawiarni, a potem spotkaliśmy się na Czterdziestej Piątej Zachodniej. Czy mógłbyś do mnie zadzwonić?

Nagrałam swój numer telefonu. Skończyłam połączenie, zgarnęłam wszystko z powrotem do torebki i usiadłam na progu. Nie myślałam o nikim innym. Zresztą nikogo już nie było. Chyba powinnam pójść do pracy.

Wtedy, jak zbawienie, zadzwonił telefon. Jeden z nich oddzwania! Który?

- Słucham?

To był jednak Kevin, którego głos brzmiał jakoś maniakalnie.

- Anno, jestem na lotnisku Kennedy'ego. Przyleciałem. Musimy porozmawiać.

- W porządku, Kevin. Wszystko wiem.

- Cholera. Chciałem ci to powiedzieć delikatnie! Ale nie przejmuj się tym! Będziemy walczyć o opiekę i wywalczymy ją! My będziemy go wychowywać, ty i ja, Anno. Gdzie chcesz się spotkać?

- Gdzie się zatrzymałeś?

- W hotelu Benjamin.

- Przyjadę prosto do hotelu. Tam się spotkamy.

Tak więc nie miał to być Mitch, Nicholas ani Angelo. Miał to być Kevin. Cóż, kto by przypuszczał? Zatrzymałam taksówkę i wsiadłam.

- Hotel Benjamin. Piętnasta Wschodnia - powiedziałam, po czym znów wyjęłam tę kopertę i wpatrując się w fotografię, którą zrobiono zaledwie cztery dni wcześniej, próbowałam sobie wyobrazić kolejność wydarzeń. Kiedy pierwszy raz spotkałam Aidana? Kiedy zaczęliśmy spotykać się „wyłącznie ze sobą”? Jaki był dokładny wiek tego dziecka? Wyglądało na osiemnaście miesięcy, ale mogło być duże jak na swój wiek, albo małe. Gdyby chłopczyk miał tylko, powiedzmy, szesnaście miesięcy, to co by z tego wynikało? Czy byłoby gorzej, gdyby miał

dziewiętnaście albo dwadzieścia miesięcy? A jeśli był wcześniakiem? W myślach miałam jednak chaos i nie mogłam ustalić żadnej linii czasowej.

Gdy zadzwonił telefon, niemal go nie usłyszałam, gdyż tkwił w czeluściach mojej torby.

- Cześć - powiedział jakiś głos. - Mówi Angelo. Dzwoniłaś do mnie?

- Angelo! Tak, Tu Anna, jestem siostrą Rachel, poznaliśmy się...

- Jasne, pamiętam. Jak się miewasz?

- Źle, okropnie.

- Może spotkamy się na kawie?

- Gdzie teraz jesteś?

- U siebie w domu. Na Szesnastej, między Trzecią a Czwartą.

Gdy spojrzałam przez okno taksówki, udało mi się skupić na numerach ulic wystarczająco długo, by zobaczyć, że jesteśmy na Czternastej.

- Jestem w taksówce w odległości dwóch przecznic - powiedziałam. - Mogę wpaść?

To nie miał być Kevin. To miał być Angelo.

Rozdział 2

Dźwięk dzwonka sprawił, że gwałtownie się ocknęłam, a każdą komórkę mego ciała przepełniał taki strach, iż myślałam, że dostanę jakiegoś ataku. Leżałam z fotografią chłopczyka na piersi i musiałam na chwilę przysnąć.

Wstałam na trzęsących nogach, a dzwonek zabrzmiał ponownie. Boże Wszechmogący! Która godzina? Dopiero ósma. Tak wcześnie mogła dzwonić tylko jedna osoba: Rachel.

Angelo poprzedniego dnia zatelefonował do niej, gdy stało się jasne, że ma do czynienia z kompletną wariatką. Pojawiła się wraz z Lukiem, a ja przedstawiłam jakąś pokrętną relację o fotografii i liście, które chcieli koniecznie zobaczyć. Po-

tem próbowali zabrać mnie do siebie, ale odmówiłam wyjścia i w końcu sami odjechali. Przypuszczałam jednak, że Angelo informował Rachel o moich posunięciach i dał jej znać, że pojechałam do domu.

Tak jak sądziłam, to była Rachel.

- Cześć - powiedziała.

- Cześć.

- Jak się czujesz?

- Tak dobrze, jak można się spodziewać, zważywszy że mój zmarły mąż był mi niewierny.

- Nie był niewierny.

- Nienawidzę go.

- Nie był niewierny. Przeczytaj ten list. Gdzie on jest? W torebce? Wyjmij go.

Pod jej baczny spojrzeniem niechętnie rozłożyłam list i próbowałam go czytać, ale słowa skakały po całym arkuszu papieru. Cisnęłam nim w Rachel.

- Sama go czytaj.

- Dobrze. Słuchaj uważnie.

Droga Anno,

Nawet nie wiem, jak zacząć ten list, więc chyba zacznę od początku. To jest list od Janie; Janie Wicks (z domu Sorensen), byłej dziewczyny Aidana. Spotkałyśmy się na pogrzebie Aidana, ale nie jestem pewna, czy mnie pamiętasz, ponieważ było tam dużo ludzi.

Nie wiem, jak wiele wiesz o tym, co się działo, więc po prostu wszystko Ci opowiem. Trudno to opisać, nie kreśląc przy tym własnego złego wizerunku, ale spróbuję. Aidan po wyjeździe z Bostonu do pracy w Nowym Jorku często wracał do domu na weekendy, ale ta „przejściowość” nie była dobra i po piętnastu czy szesnastu miesiącach spotkałam kogoś innego (Howiego, mężczyznę z którym te-

raz jestem zamężna). Nie mówiłam Aidanowi o Howiem (ani Howiemu o Aidanie), ale powiedziałam Aidanowi, że powinniśmy rozstać się na jakiś czas i zrezygnować z „wylącznieści”, po prostu, żeby się przekonać i zobaczyć, co dalej.

Tak więc przez pewien czas spotykałam się (i sypiałam) zarówno z Howiem, jak i z Aidanem... ilekroć przyjeżdżał z Nowego Jorku.

Potem stwierdziłam, że jestem w ciąży. (Stosowałam środki antykoncepcyjne, nie jestem kandydatką do talk-show Jerry'ego Springera, którego uczestniczki przychodzą, żeby udowodnić, kto jest ojcem ich dziecka, ale wygląda na to, że jestem tą jedną na dziesięć tysięcy...). Problem w tym, że nie wiedziałam, czy ojcem jest Aidan, czy Howie (wiem, że to brzmi okropnie).

Chciałam porozmawiać o tym z Aidanem, ale następnym razem przyjechał do Bostonu tylko po to, żeby ze mną zerwać. Spotkał kogoś innego (Ciebie), był zwiariowany na Twoim punkcie, chciał się z Tobą ożenić, było mu przykro, że zrywa ze mną w taki sposób, zawsze będziemy przyjaciółmi... Możesz sobie wyobrazić ten scenariusz. Miałam więc do wyboru: albo powiedzieć mu, że jestem w ciąży i pieprzę to całe gadanie o nim i o Tobie, albo wykorzystać okazję i mieć nadzieję, że jest to dziecko Howiego. Wykorzystałam okazję, Howie i ja pobraliśmy się, urodziłam małego Jacka i kochamy go do szaleństwa. Kiedy się urodził, nie był zbyt podobny do Howiego, ale również nie był podobny do Aidana, więc postanowiłam zachowywać się tak, jakby w ogóle nie było problemu.

Kiedy jednak Jack trochę podrośł, zaczął coraz bardziej przypominać Aidana. Przysięgam na Boga, że wydawało się, iż z każdym dniem jego rysy nabierają coraz większego podobieństwa do rysów Aidana. Nie mogłam myśleć o niczym innym i byłam po prostu chora z niepokoju. Wtedy to podobieństwo zauważyła moja mama i zwróciła mi na nie uwagę. Powiedziałam jej prawdę, ona zaś uświadomiła mi, że mam moralny obowiązek powiedzieć Aidanowi, iż ma syna, a pań-

stwu Maddoksom, że mają wnuka. (Całkiem szczerze? Wcale nie chciałam im tego mówić. Samolubnie bałam się o swoje małżeństwo z Howiem).

W każdym razie najpierw powiedziałam Howiemu. Było to naprawdę straszne, zwłaszcza dla niego. Wyprowadził się na pewien czas, ale teraz jest już z powrotem i staramy się wszystko poukładać. Potem zadzwoniłam do Aidana, który (jak każdy człowiek zastrzelony taką wiadomością) popadł w kompletny obłęd. Niepokoił się o Ciebie, był przerażony, że możesz pomyśleć, iż Cię zdradzał. Aby jednak sprawa była jasna: to się stało, zanim postanowiliście spotykać się wyłącznie ze sobą (co najmniej osiem tygodni wcześniej).

Przesłałam mu e-mailem kilka fotografii Jacka, żeby mógł zobaczyć to podobieństwo. Dzień czy dwa dni później Aidan miał ten wypadek i nie wiem, czy w ogóle powiedział Ci o Jacku.

Jeśli to wszystko spada na Ciebie jak grom z jasnego nieba, to naprawdę jest mi bardzo, bardzo przykro.

Byłam gotowa powiedzieć państwu Maddoksom o Jacku, ale kiedy dowiedziałam się o wypadku, nie wiedziałam, co zrobić, a moja mama powiedziała, że Dianne i Fielding...

- Fielding? Pan Maddox ma na imię Fielding? - zapytała Rachel, przerywając czytanie. - Zabawne, nigdy nie sądziłam, że w ogóle ma jakieś imię.

...nie czują się dobrze, że ta wiadomość może być dla nich zbyt dużym szokiem, więc powinnam poczekać, aż poczują się lepiej.

Jednak Dianne i Fielding wciąż nie czują się dobrze i właściwa pora, aby im o tym powiedzieć, jeszcze nie nadeszła. Wiele razy chciałam do Ciebie zadzwonić, żeby się dowiedzieć, czy wiesz o Jacku, i dać Ci znać, że mnie także brakuje Aidana. Był wspaniałym facetem. Najlepszym. Czulałam jednak, że nie mogę rozmawiać z Tobą o Jacku, póki nie powiem o nim Fieldingowi i Dianne. Sądziłam

też, że nie byłoby właściwe rozmawiać z Tobą o Aidanie i nie powiedzieć Ci o Jacku. Czy to ma jakiś sens?

W każdym razie po prostu czekałam na odpowiedni moment, żeby powiedzieć to wszystkim, ale - jak już prawdopodobnie wiesz - Kevin szybko to wyśledził. We wtorek wpadłam na niego w Pottery Barn (czyż to nie jest najbardziej nieprawdopodobne? Kevin Maddox w Pottery Barn?). Dawno go nie widziałam, więc się naprawdę ucieszyłam, ale potem Kevin zajrzał do wózka i wpatrywał się w Jacka tak, jakby zobaczył ducha. Zaraz też, tam, w Pottery Barn, zaczął krzyczeć: „ To jest syn Aidana! Aidan miał syna! Mama ma wnuka! Kto o tym wie? Czy Anna wie? Jak to się stało, że nikt mi nie powiedział?”. Potem zalał się łzami, więc próbowałam to wyjaśnić, ale przyszła ochrona i poproszono nas o wyjście.

Powiedziałam: „ Kevin, chodźmy na kawę, wszystko ci opowiem”, ale znasz Kevina: w gorącej wodzie kąpany. Wybiegł, krzycząc, że będzie się ubiegać o opiekę, a także, że zaraz do Ciebie zadzwoni i wszystko Ci powie. Przypuszczam więc, że miałaś już od niego przynajmniej jeden oszalały telefon.

Ja też chciałam do Ciebie zatelefonować, ale pomyślałam, że będzie lepiej, jeśli napiszę. Przynajmniej w ten sposób uniknę zmieszania.

Prawdopodobnie jest na to o wiele za wcześnie, ale może chciałabyś poznać Jacka? Kiedy tylko zechcesz. Mogłabym przywieźć go do Nowego Jorku, gdybyś Ty nie chciała przyjechać do Bostonu.

Jeszcze raz przepraszam za cierpienie, jakie być może wywołałam, mówiąc Ci o tym. Uznałam, że masz prawo wiedzieć i że ze świadomością, iż jakaś część Aidana żyje nadal, może trochę łatwiej będzie Ci znieść Twoją stratę.

Szczerze oddana Janie

- Widzisz więc - powiedziała Rachel. - Nie zdradził cię. Nie był niewierny.
- Nie obchodzi mnie to - odparłam. - Nienawidzę go.

Rozdział 3

Rachel informowała mnie na bieżąco o wszystkim, co się działo w moim życiu, odkąd wzięłam sobie samowolny urlop.

- Wciąż masz pracę. Rozmawiałam z tym Franklinem. Powiedziałam, że nie czujesz się dobrze.

- O Boże! - Ludzie z Devereaux i sam profesor Redfern bardzo chcieli się ze mną spotkać, abym zorganizowała i poprowadziła kampanię reklamową Formuły 12. To był moment całkiem nieodpowiedni na to, by „nie czuć się dobrze”. - Dostał ataku hysterii?

- Lekkiego. Potem zażył xanax. Faktycznie odbyliśmy całkiem poważną pogawędkę. Sugerował, żebyś do końca tygodnia i na cały następny tydzień wzięła wolne. Postaraj się pozbierać, powiedział.

- Pełnia dobroci serca. Dziękuję ci, Rachel, bardzo dziękuję, że się tym zajmujesz. Ze zajmujesz się mną. - Moja wdzięczność była ogromna. Gdyby nie porozmawiała z Franklinem, prawdopodobnie nie ośmieliłabym się ponownie pojawić w pracy. Teraz zaś przynajmniej miałam taką możliwość, gdybym chciała. Potem pomyślałam o czymś jeszcze.

- Chryste! Kevin! - Czy on wciąż tkwił w hotelu, czekając, że się tam pokażę?

- Wszystko załatwione. Rozmawiałam z nim. Opowiedziałam mu jakąś bajeczkę. Wrócił do Bostonu.

- Boże, dzięki, jesteś dla mnie taka dobra.

- Zadzwoń do niego.

- Która godzina? - Spojrzałam na zegarek. - Dwadzieścia po ósmej. Nie za wcześnie?

- Nie. Myślę, że czeka na wiadomość od ciebie. Był bardzo zaniepokojony.

Skrzywiłam się ze wstydu i sięgnęłam po telefon. Usłyszałam zaspany głos.

- Słucham, tu Kevin.

- Kevin, to ja, Anna. Tak mi przykro, bardzo cię przepraszam, że cię tak zostawiłam. Mocno mnie kopnęło.

- W porządku - powiedział. - Ja też wpadłem w szal, kiedy się dowiedziałem. Wyrzucono mnie z Pottery Barn. Możesz w to uwierzyć? Powiedziałem tym facetom: „Wyrzucano mnie już z lepszych miejsc niż to”.

Czekałam, że zacznie wrzeszczeć, jaka to suka z tej Janie i jak to oboje moglibyśmy ubiegać się o opiekę nad „małym Jackiem”, ale tego nie zrobił. Widocznie sytuacja z Janie uległa zmianie; przez noc wszystko jakoś się uspokoiło i teraz wszyscy byli kumplami.

- Wczoraj wieczorem poszliśmy zobaczyć małego Jacka; mama, tato i ja - mówił dalej. - Jest taki śliczny. Już kocha Red Sox. Dzisiaj znów go zobaczymy. Może przyjedziesz?

-Nie.

-Ale...

-Nie.

- A może na weekend? -Nie.

- Och, w porządku, Anno. Nie ma pośpiechu, potrzebujesz czasu. Ile tylko zechcesz. Ale on jest naprawdę taki miłutki. I zabawny, wiesz? Powiedziałem do Janie: „wezmę piwo”, a on na to: „wezmę piwo”, dokładnie takim samym głosem. To mógłbym być ja! I ma tego misia...

- Przepraszam, Kevin, ale muszę już kończyć. Cześć. Odłożyłam telefon.

- Chyba zechcesz przeprosić Angela. Angelo!

- Chryste! - Położyłam głowę na rękach. - Zwariowałam. Byłam szalona. Nie chciał się ze mną kochać.

- Oczywiście, że nie. Za jakiego mężczyznę ty go uważasz?

- Za męskiego mężczyznę. Skoro o tym mówimy, czy Joey już wrócił do Jacqui?

- Nie. I chyba nie zamierza.

- Co?! - Sądziłam, że będzie potrzebował kilku dni, żeby oswoić się z wiadomością o ciąży, a potem uda się do Jacqui, błagając ją, żeby przyjęła go z powrotem.

- Skurwiel – syknęłam.

Rozdział 4

Z tamtej chwili pamiętam tylko to, że bolały mnie kości, każda z osobna, gorzej niż kiedykolwiek. Bolały mnie nawet dłonie i stopy. Byłam milcząca i ponura niczym jakiś damski Joey, ale bez tych idiotycznych rockowych ciuchów. Usunęłam wszystkie fotografie Aidana; te wiszące na ścianach, stojące w ramach na telewizorze, tę z mojego portfela, i zesłałam je na zakurzoną Syberię Pod Łóżkiem. Nie chciałam żadnych pamiątek po nim.

Jedyną osobą, z którą chciałam przebywać, była Jacqui, która nie przestawała płakać.

- To tylko hormony - powtarzała między parkosyzmami szloch. - To nie Joey. Jestem absolutnie pewna. On jest wspaniały. To tylko hormony.

Kiedy nie byłam z Jacqui, chodziłam na zakupy i szaleńczo wydawałam pieniądze. Wydałam wszystko, łącznie z pieniędzmi na czynsz. Nie przejmowałam się. Wybuliłam fortunę na dwa grafitowe kostiumy, czarne szpilki, najdelikatniejsze pończochy i markową torebkę. O wiele za dużo. Ilekroć wypisywałam kolejny czek, myślałam o tych dwóch i pół tysiącach, które zapłaciłam Neris Hemming, i przeszywał mnie dreszcz. Powinnam ją dopaść i próbować odzyskać te pieniądze (choć na pewno napisano tam drobnym drukiem coś, co mówiło,

że nie mogłabym), ale nie chciałam mieć z nią nic wspólnego. Chciałam zapomnieć, że kiedykolwiek o niej słyszałam. Za nic w świecie nie chciałam ubiegać się o nowy termin. Wiedziałam, że to był nonsens. Rozmawianie ze zmarłymi. Co za głupota.

Wieczorami, z jakiegoś dziwnie masochistycznego powodu, oglądałam w telewizji rozgrywkę baseballu. Red Sox walczyli o mistrzostwo z St. Louis Cardinals. Nie wygrywali od 1919 roku - z powodu klątwy Babe Rutha - ale ja wiedziałam, z jakąś zimną, niewzruszoną pewnością, że w tym roku położą kres pasmu niepowodzeń. Wygrają, bo ten dupiek był tak głupi, żeby umrzeć i to stracić. Eksperci, dziennikarze i kibice Red Sox byli w ekstazie pragnienia, ich idole byli tak blisko, ale co będzie, jeśli nie wygrają?

Nie wątpiłam, że wygrają, i tak jak przewidywałam - zwyciężyli, a ja byłam jedyną osobą na świecie, której to nie zaskoczyło.

Radość fanów była trudna do opisanego. Wszyscy ci, którzy zachowali wiarę przez te stracone dziesięciolecia, zostali wreszcie nagrodzeni. Obserwowałam, jak dorośli mężczyźni płaczą, i płakałam razem z nimi. Obiecałam sobie, że robię to po raz ostatni.

-Ty głupi dupku - powiedziałam - gdybyś nie umarł, widziałbyś to zwycięstwo.

I to miała być moja ostatnia rozmowa z Aidanem.

Rozdział 5

W dniu, w którym dostałam list Janie, nadszedł też obszerny e-mail od Helen. Okłamała mnie, obiecując, że nie pójdzie do tego magazynu. Dlaczego byłam zaskoczona? Tym e-mailem znów wciągała mnie w swoją kryminalną opowieść,

ale ja - dowiedziawszy się, że Helen żyje - nie byłam zainteresowana szczegółami i przeczytałam go dopiero po dwóch tygodniach.

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: Szczęśliwa_Gwiazda_PI@yahoo.ie

Temat: Szczęśliwa, że żyję

Przepraszam, że Cię okłamałam. Ciekawość była zbyt wielka. Teraz opowiem Ci wszystko, co się stało, ale nie pamiętam każdego słowa ze stuprocentową dokładnością, więc jak zwykle będę powtarzać jak papuga, ale nie przesadzając, o co zawsze jestem oskarżana.

A zatem... o dziesiątej wieczorem poszłam pod ten adres w dokach, gdzie, jak się spodziewałam, mieścił się opuszczony magazyn. Okropny smród. Nierówne podłogi. Myszy. Weszłam na piętra. Na pierwszym, drugim i trzecim - nikogo, ale na czwartym jakiś kobiecy głos powiedział: No wejdz.

Pomyślałam, iż to musi być Tessie O'Grady, zwłaszcza że, mając wstęp do sypialni Raceya, mogła wziąć te gołe zdjęcia. Ale to nie była ona. To była Detta! W eleganckich spodniach, jedwabnej bluzce i ze spluwą. No proszę! - Siadaj - powiedziała.

Wskazała mi krzesło. Cóż, szczególne krzesło, naprawdę. Pojedyncze, drewniane krzesło pod gołą żarówką, ze splamionym krwią kablem owiniętym wokół nóg. Ja: Nie, dziękuję. Proszę posłuchać, przepraszam, że pokazałam te zdjęcia Harry'emu.

Ona (kręcąc głową, jakby nie mogła uwierzyć, jaka jestem gruba): To ja przystałam ci te zdjęcia.

Ja: Dlaczego?

Ona: Ponieważ nic oprócz zdjęć ze mną i Raceyem w łóżku nie przekonałoby Harry'ego, że jestem niewierna i zdradzam jego sekrety. Spotkanie z Raceyem na lunchu nie było wystarczające... I kto tu wypiera ze świadomości! Pomyśl tylko, twoja mama całkiem to schrzanita! Jesteśmy tam, siedzimy w najlepszym miejscu i okazuje się, że ona nie potrafi używać aparatu fotograficznego w telefonie komórkowym! Ja: Chciała pani być sfotografowana? Ona: (jak wąż): Jasssne. Ileż to okazji dawaliśmy ci oboje, Racey i ja?

Ja: Prawdę mówiąc, nie tak znów cholernie dużo. Cate wieki spędziłam w tym żywopłocie za pani domem. I dlaczego pani chciała, żebym pokazała te fotografie Harry'emu?

Ona: W nadziei, że może się zabije. Albo zabije Raceya i skończy za kratami.

Ja: Ależ Racey jest pani przyjacielem!

Ona (kiwając głową, jakby mówiła: „ty gruby głuptasku”): Racey nie jest moim przyjacielem.

Ja: No dobrze, zatem pani kolega.

Ona (z kolejnym kiwnięciem głową): To wszystko było zainscenizowane. Myślałaś, że jesteś wspaniałym małym detektywem, ale wybraliśmy cię, gdyż wiedzieliśmy, że nigdy nie dojdiesz do tego, co się naprawdę dzieje.

Śmialiśmy się z cię, kiedy siedziałaś w tym żywopłocie z lornetką i torebkami słodczy. Czy to było dla cię wystarczająco nudne? Podobała ci się msza każdego ranka?

I naprawdę sądziłaś, że Tessie O'Grady tak po prostu otworzy drzwi jakiejś nieznajomej pragnącej skorzystać z jej toalety? Czy ty wiesz, ile razy próbowano dokonać zamachu na życie tej kobiety?

Nic nie powiedziałam. Byłam zawstydzona. I zmieszana. Myślę, że dała mi do zrozumienia, iż dostałam tę pracę, ponieważ jestem głównianym detektywem. A kim byli owi „my”? Ci ze zdania „wybraliśmy cię”? Najwyraźniej nie byt to

Harry, więc chyba ktoś będący w cichej zмовie z Detta, kto mnie Harry'emu rekomendował.

Po podłodze przebiegł szczur lub coś równie śmierdzącego. Ja (po chwili):
Zatem jeśli Racey nie jest pani przyjacielem ani kolegą, to kim?

Ona (wyniośle): Racey O'Grady jest dla mnie nikim. Czy teraz usiądziesz?

Ja: Nie.

Ona: Dlaczego?

Ja: Bo mam szwy na tyłku. Poza tym mogłabyś mnie zastrzelić. Ona: To prawda, teraz...

Z otwartymi ustami spoglądała w stronę schodów. Ja również tam spojrzałam. Właśnie pojawiła się Tessie O'Grady, z uśmiechem, w swetrze i kapciach. Ze spluwą. Tessie (wołając radośnie): Dziewczęta! Nie byłam tutaj od wieków. Od dnia, gdy wykończyliśmy rodzinę Foleyów, jednego po drugim. (Rozgląda się z rozrzewnieniem). Ach, dawne, dobre czasy. (Skupia się na krześle) Nie mówcie, że to jest to samo krzesło! Och, to samo! Czyż to nie cudowne?

Detta (ze skamieniałą twarzą): Skąd wiedziałaś, gdzie mnie szukać?

Tessie: A gdzie indziej miałabyś przyjść? Nie masz wyobraźni. Nigdy nie miałaś. Dalej, Detta! Jestem przekonana, że właśnie mówiłaś tej Pannie z Malutkim Pęcherzem, iż Racey O'Grady nic dla ciebie nie znaczy. Detta: Nie, chciałam tylko...

Tessie: Ja ci powiem, co chciałaś! Wrobiłaś go. Jestem na ciebie wściekła, Detta. Chciałaś, żeby biedny Harry dostał bzika z zazdrości, i posłużyłaś się Raceyem. Harry mógł dziś zabić Raceya.

Detta: Racey ma się dobrze. Żadna krzywda mu się nie stała. Postarałam się, aby tak było.

Tessie: Jest zdenerwowany. Myślał, gdy związaliście się ze sobą, że to coś znaczy.

Detta: Aha, no cóż, zabiłaś mojego ojca.

Tessie (ze zniecierpliwieniem): Mówisz o dawnych urazach.

Detta: Posłuchaj, po prostu wyjdź i pozwól mi zabić tę panienkę.

Ja: Dlaczego chcesz mnie zabić?

Detta: Z powodu Colina.

Ja: Z powodu Colina? Co...? O mój Boże, czy Colin jest twoim synem?

Detta: Colin nie jest moim synem. On jest moim chłopakiem.

Ja: Twoim CHŁOPAKIEM?! Ależ on się kochał ze mną!

Detta: Właśnie dlatego zamierzam cię zabić Myślałam, że musi być okropną naiwniaczką: Colin jej chłopakiem!!! Nie wierzę!!! Wtedy Tessie zaczyna mówić: Tessie (do Detty): Jestem na ciebie wściekła również z innego powodu. Mam przyjaciela w banku; miły człowiek, naprawdę cudowny facet, członek Opus Dei. Jest bardzo dobry w robieniu modeli gmachów operowych z patyczków po lodach.

Naprawdę nadzwyczajny talent! I otóż, mówi mi, że dzisiejszego popołudnia wyczyściła kilka swoich kont i przeniosła środki do jakiegoś banku w Marbelli. Wyjeżdżasz, tak?

Detta (zwieszając głowę): Tak, przepraszam, Tessie, wyjeżdżam. Straciłam zainteresowanie, Tessie. Nie sądziłam, że kiedykolwiek usłyszę siebie mówiącą te słowa, ale cały ten interes... Nie wiem... straciłam do tego serce... Tessie (uprzejmie): Cóż, nie musisz pracować w ochronie. Mogłabyś spróbować ze spluwami. Albo z dziewczynami! Brylowałabyś we wspaniałym towarzystwie, Masz dobry gust, zawsze miałaś! Lubisz te rzeczy.

Detta: Ach, nie chodzi tylko o pracę, Tessie. Nie zniosę dłużej tutejszych zim. Kocham słońce. Colin chce wrócić do uczciwego życia. Myślmy o otwarciu jakiegoś baru. Może takiego z gadżetami U2, pamiątkami, gitarami, listami przebojów...

Tessie (z błyskiem dra Mengele w oku): Wiem, o co chodzi, Detto, ale w takim razie co z naszą umową?

Ja: Jaką umową?

Detta: Nie mów jej!

Tessie: Dlaczego?

Detta: Bo to nie jest jakiś amerykański film, gdzie wszystko wyjaśnia się przed zakończeniem.

Tessie: Powiem jej, Detto.

Detta: Powiesz jej tylko dlatego, żeby zrobić mi na złość.

Tessie: Na złość tobie?! Ty niemal doprowadziłaś do śmierci mojego syna dzisiaj po południu! Dobrze, Panno z Malutkim Pęcherzem. Detta obiecała mnie i Raceyowi, że Harry niebawem zniknie z pola widzenia. Nigdy nam nie powiedziała, że zamierza poświęcić Raceya i że wiąże się z Colinem. Rodzina O'Grady zamierzała okazać wsparcie tej nowej organizacji w zamian za niewielką renegocjację granic na naszą korzyść. Teraz wystawia nas do wiatru. Detta (poirytowana): A co cię to obchodzi? Ty chyba śpisz na forsie!

Tessie: Nie chodziło wyłącznie o pieniądze. To była kwestia... (tęskna pauza) krzty adrenaliny. Od lat nie było żadnej porządnej masakry... ponownego podziału Dublina, dreszczu wojny o wpływy... Tęskniłam za tym...

Ja: Będzie pani moją mentorką?

Tessie (przyglądając mi się bacznie): Zapowiadasz się bardzo słabo. Gdybyś wtedy strzeliła do psów, gdy cię ugryzły, byłabym zainteresowana.

Ja: Prawie to zrobiłam. Zamierzałam. Ale starałam się, żeby robota była wykonana.

Tessie (z miną pełną żalu): Rozumiem twój punkt widzenia. Ale prawdziwy psychopata nie troszczyłby się o pracę. Wtedy rozległ się odgłos kroków na schodach. Detta: Cholera!

Strzeliła do mnie, ale spudłowała o milę. Tessie: Zachowuj się, Detto. Na to Detta strzeliła do niej.

Korzystając z zamieszania, wybiegłam na schody, zbiegłam o jedno piętro i wpadłam na osobę idącą z przeciwka. To był Colin.

Colin (nagłoco): Chodź! Szybko! Wiejemy! (Zaczyna popychać mnie przed sobą w dół schodów, a z góry dobiega odgłos dwóch następnych strzałów).

Ja (galopując po schodach): Detta próbuje mnie zabić. On (galopując za mną): Wiem, robi się bardzo zazdrosna, odkąd zaczęła zmieniać swoje życie. To ona strzeliła w twoje okno.

Ja: Skąd wiedziałeś, gdzie przyjść dziś wieczorem?

On: Właśnie tutaj Detta zawsze sprowadza ludzi, żeby z nimi pertraktować.

Wypadamy na opustoszałą ulicę.

Samochód z austriackimi firankami pracuje na jałowym biegu Bozo siedzi za kierownicą. Colin wpycha mnie do środka, mówiąc, żeby Bozo natychmiast odwiózł mnie do domu.

Ja (zaskoczona): Nie jedziesz ze mną?

On: Nie.

Ja (jeszcze bardziej zaskoczona): Dlaczego nie?

On: No... widzisz... ja wyjeżdżam.

Ja (czując skurcz żołądka): Gdzie wyjeżdżasz?

On: Do Marbelli.

Ja:...z Detką?

On: Tak. Wracam do uczciwego życia, zamierzamy otworzyć jakiś bar...

Ja: Tak, tak, słyszałam, z gadżetami U2... Więc ją kochasz?

On: Tak, to wspaniała kobieta. Prawdziwa dama.

Ja: Ale ty i ja...

On: Ty i ja, Helen, zawsze będziemy mieć oddział ratunkowy szpitala św. Wincentego.

(Po tych słowach Colina Bozo ruszył w drogę).

No i co o tym myślisz, Anno? Jestem upokorzona. Czuję się jak idiotka. Myślałam, że Colin za mną szaleje, ale on był w zмовie z Detą. Prawdopodobnie to on zrobił te gołe fotografie. Myślałam, że jestem porządnym prywatnym detektywem, gdy odwalałam tę robotę w mieszkaniu O'Gradych, gdy tymczasem oni mi to ułatwiali. Paskudne chwile. Katastrofa.

- Widzisz?! - krzyknęłam do ekranu. - Oni wszyscy to dranie!

Rozdział 6

Ubrana w droższy z dwóch grafitowych kostiumów wróciłam do pracy.

- Jestem w dobrej formie - powiedziałam Franklinowi.

Miał ochotę powiedzieć: „Lepiej, żebyś była w najlepszej”, ale nie mógł; teraz byłam zbyt cenna, żeby mnie denerwować.

Pospiesznie skierował mnie prosto do gabinetu Arielli. Poleciała mi przyspieszyć prace z Formułą 12: szefowie koncernu Devereaux chcieli znać szczegóły harmonogram mojej „szeptanej” kampanii reklamowej - kiedy można się spodziewać ujawnienia marki? - jubiler pragnął porozmawiać ze mną o wizji bursztynowego flakonika, a dział marketingu chciał mojego wkładu w projekt etykiety...

- Masz przed sobą dużo pracy.

- Zaraz zorganizuję spotkania.

- Jeszcze jedna sprawa... - powiedziała Ariella. Odwróciłam się i utkwiałam w niej pytające spojrzenie; jedno z tych, jakie graniczą z niecierpliwością.

- Twoje stroje.

- Zgodziłyśmy się na grafitowe - przypomniałam. - Grafitowe albo odchodzę.
- Nie w tym rzecz. Twój plan sprowadza się do szeptanej kampanii reklamowej, tak? Do pogłosek o zdumiewającym, nowym produkcie, ale bez żadnych szczegółów, tak? Co oznacza, że musisz być „dziewczyną Candy Girrl” aż do ujawnienia Formuły 12. To zaś oznacza ciuchy dziewczyny Candy Girrl.

Otwarcie spiorunowałam ją wzrokiem: miała rację. Z zadowoleniem wzruszyła ramionami.

- W końcu to był twój dziwny pomysł.

- Jak długo będę musiała je nosić? - zapytałam.

- To jest twoja kampania. Ile czasu zajmie ci wywołanie jakiegoś szumu? Kilka miesięcy.

- Ale żadnych kapeluszy - oświadczyłam. - Nie noszę kapeluszy!

- Tak, kapelusze. Musisz postępować we właściwy sposób. Te wszystkie redaktorki kobiecych pism muszą myśleć, że wciąż jesteś dziewczyną z Candy Girrl. Jeśli się zorientują, że zostały wykiwane, będzie po wszystkim!

- Jeśli chcesz, żebym nosiła kapelusze, dopłać mi dziesięć tysięcy. Kolejne dziesięć tysięcy. Razem dwadzieścia.

Zwarłyśmy spojrzenia. Impas. Żadna z nas się nie poruszyła; potem odezwała się Ariella:

- Pomyślę o tym.

Obróciłam się na pięcie; pieniądze były moje.

Wolałabym uciąć sobie rękę niż wykonać ten telefon, ale wiedziałam, że dopóki nie przeproszę Angela, nie pozbędę się uczucia wstydu.

- Angelo, mówi Anna, siostra Rachel...

- Cześć, dziewczynko, jak się masz?

- Przepraszam.

- Daj spokój, zapomnij o tym.

- Nie, Angelo, tak mi przykro. Okropnie się wobec ciebie zachowałam. Jestem śmiertelnie zażenowana.

- Byłaś w szoku, ja to znam. Nie mogłabyś zrobić nic, czego ja nie miałbym już za sobą. Robiłem gorsze rzeczy. Przysięgam.

- Jakie? Naprawdę wpadłeś do mieszkania jakiejś całkowicie obcej osoby, domagając się seksu?

- No pewnie! Zresztą, ja nie byłem dla ciebie kompletnie obcą osobą.

- Dziękuję, że nie... no, wiesz... że mnie nie wykorzystałeś.

- Ach, dajże spokój! Byłbym nędzną namiastką mężczyzny, gdybym to zrobił.

- Dzięki, że nie mówisz, iż gdyby sprawy miały się inaczej, to... no, wiesz... skorzystałbyś z mojej oferty.

- O rany!

- Co?

- Ja właśnie tak myślałem.

W pracy żyłam podwójnym życiem. Dla większości ludzi wciąż byłam dziewczyną Candy Girrl, noszącą idiotyczne ciuchy i dostarczającą idiotyczne kosmetyki, ale jednocześnie byłam również tajną „agentką” Formuły 12, która odbywała intensywne spotkania z przedstawicielami konsorcjum Devere-aux, szczegółowo omawiającą plany kampanii reklamowej i dopracowującą promocję.

Każdą wolną chwilę spędzałam z Jacqui, czytając książki o pielęgnacji niemowląt i rozmawiając o tym, jakim palantem jest Joey.

Nie płakałam i nie byłam zmęczona; napędzał mnie płomień goryczy.

Nie załatwiłam nowego terminu rozmowy z Neris Hemming i, z dnia na dzień, przestałam chodzić na spotkania z Leisl. W pierwszą niedzielę zatelefonował Mitch.

- Brakowało cię dzisiaj, orzeszku.

- Chyba na pewien czas dam sobie spokój.
- Jak poszło z Neris Hemming?
- Źle, ale nie chcę o tym rozmawiać. Cisza.
- Powiadają, że złość jest dobra. Kolejna faza w procesie opłakiwania.
- Nie jestem zła. - Cóż, byłam, ale nie z powodów, o których myślał. Moja złość nie miała nic wspólnego z żadnym procesem opłakiwania.
- Więc kiedy cię zobaczę?
- Mam teraz dużo pracy...
- Jasne! Całkowicie to rozumiem, ale pozostajmy w kontakcie.
- Tak - skłamałam. - Pozostajmy

Potem zatelefonował Nicholas i odbyliśmy podobną konwersację. Przez kilka miesięcy obydwaj dzwonili regularnie, ale nigdy z nimi nie rozmawiałam i nigdy nie telefonowałam do nich. Nie chciałam pamiętać, jaką byłam idiotką, próbując rozmawiać ze zmarłym mężem. Wreszcie przestali dzwonić i odetchnęłam z ulgą; ten rozdział mojego życia był skończony.

Zamknęłam się niczym kwiat, gorzki pączek, mocno stulony na noc.

Byłam jednak daleka od rezygnacji z profesjonalizmu; przeciwnie - prawdopodobnie byłam teraz bardziej profesjonalna niż kiedykolwiek wcześniej. W istocie ludzie wydawali się lekko wytrąceni przeze mnie z równowagi. I właśnie to okazało się opłacalne, gdyż tuż przed Świętem Dziękczynienia w prasie ukazała się pierwsza intrygująca wzmianka o Formule 12. Opisano ją jako „milowy skok w dziedzinie pielęgnacji skóry”.

Rozdział 7

- Anno, to cud! - wołała zachwycona pani Maddox. - Byłam martwa, straciłam chęć do życia. A ten chłopczyk... Ja wiem, że to nie Aidan, wiem, że Aidan nie wróci, ale ten chłopczyk jest częścią Aidana.

Dianne całkiem porzuciła swoje plany na Święto Dziękczynienia, aby wyjechać co jakiegoś kobiecego ustronia, tańczyć nago i malować się na niebiesko pod księżycem w pełni. Zamiast tego wszystko było jak zwykle - indyk, najlepsze kryształki - ponieważ z wizytą przychodził „mały Jack”.

- Jest śliczny, po prostu śliczny. Proszę, powiedz, że przyjedziesz i go poznasz.

- Nie.

-Ale...

-Nie.

- Zawsze byłaś taką słodką dziewczyną.

- To było zanim się dowiedziałam, że mój zmarły mąż miał dziecko z inną kobietą.

- Przecież to się stało zanim Cię poznał! On cię nie zdradził!

- Dianne, muszę już kończyć.

- Rachel i Luke urządzają Święto Dziękczynienia - powiedziałam Jacqui. - Ty również jesteś zaproszona, ale...

- Tak, wiem. Joey też tam będzie, więc oczywiście nie przyjdę.

Zaproponowałam wspólny bojkot.

- Możemy spędzić to święto razem; tylko my dwie.

- Nie ma potrzeby. Mam inne zaproszenie. -Dokąd?

- Hmm... na Bermudy.

- Na Bermudy?! Tylko mi nie mów, że do rezydencji Jes-siego Cheadle'a! Jessie Cheadle, jeden z jej klientów, był właścicielem wytwórni płytowej.

- Nie inaczej.

- Jak się tam dostaniesz? Nie mów... wysłała samolot? Skinęła głową, zanosząc się śmiechem w odpowiedzi na moją zazdrość.

- Będzie tam personel do rozpakowania mojej walizki i kamerdyner do przygotowywania kąpieli w płatkach różanych. A kiedy będę wyjeżdżać, ponownie zapakują moją walizkę, przekładając każdą warstwę cienką bibułą. Pachnącą bibułą. Masz coś przeciwko mojemu wyjazdowi?

- Jestem zachwycona. Nie płaczesz już tak często, zauważyłaś?

- Taaak... To były tylko hormony - powiedziała, dodając: - ale on i tak jest gnojkiem. Spójrz! - Wskazała na siebie - Co we mnie jest złego?

- Nic. - Wyglądała fantastycznie; promienna i paradująca ze zgrabnym małym brzuszkiem. - Urosły ci piersi! Masz biust! - zauważyłam.

- Tak! Pierwszy raz w życiu! Wspaniale jest mieć cycki.

Drzwi otworzył Luke. Z czoła sterczała mu jakaś igła. Wyglądał jak jednorożec.

- To Gaz - wyjaśnił. - Gaz i jego akupunktura. Cieszymy się Świętem Dziękczynienia. Wejdz.

Przy stole siedzieli już Gaz i Joey oraz przyjaciele Rachel, Judy i Tergal. Shake'a nie było. Pojechał do Newport, żeby spędzić Święto Dziękczynienia z rodziną Brooke Edison. Widocznie Shake i Brooke uprawiali zdumiewający seks, gdyż powiedział Luke'owi, że ona jest „nieprzyzwoita”.

Wszystkim z czoł wystawały akupunktururowe igły. Jakby byli obcą radą wojenną ze Star Treka. Na mój widok Gaz podskoczył z igłą w gotowości.

- Żeby wywołać wzrost poziomu endorfiny.

- Okay - powiedziałam. - Do dzieła. Aleja pamiętam czasy, kiedy w tym samym celu nosiliśmy papierowe kapelusze.

Gaz wsunął mi igłę i zajęłam swoje miejsce. Wkrótce miała być podana kolacja. Starannie wybrałam moment; nie chciałam się spóźnić, ale również nie chciałam odbywać żadnej z owych przedkolacyjnych pogawędek.

Rachel wyłoniła się z kuchni z olbrzymią zapiekanką z warzyw z siekanymi orzechami i postawiła ją na stole. Gaz natychmiast się na nią rzucił.

- Zaczekaj chwilę - powiedziała Rachel. - Musimy odmówić modlitwę.
- Ach tak, przepraszam.

Rachel pochyliła głowę (dzwoniąc wklutą w czoło igłą o butelkę napoju z czarnej herbaty) i wygłosiła mówkę o tym, jacy jesteśmy szczęśliwi i wdzięczni nie tylko za tę pyszną kolację, ale za wszystkie wspaniałości naszego życia.

Wszyscy zgodnie pokiwali głowami z igłami połyskującymi w blasku świec.

- Jest to również pora - dodała Rachel - żeby przypomnieć sobie tych, których nie ma już z nami. - Po czym, unosząc szklanekę musującego soku jabłkowego, dodała: - Za nieobecnych przyjaciół! - I, jakby walczyła ze łzami: - Za Aidana!

- Za Aidana! - Wszyscy unieśli kieliszki. Wszyscy oprócz mnie. Usiadłam na swoim miejscu z założonymi rękami.

- Anno, to jest toast za Aidana. - Gaz był zgorszony.
- Wiem. Nie obchodzi mnie to. Miał dziecko z inną kobietą. -Ale...
- Jest na niego wściekła, że umarł - wyjaśniała Rachel.
- Aidan nie mógł temu zapobiec - powiedział Gaz.
- Jej gniew jest nielogiczny, ale nie bezpodstawny.

W tym momencie naprawdę poczułam się tak, jakbym była w jakimś odcinku *Star Treka*.

- Aidan nie mógł zapobiec swojej śmierci - powtórzył Gaz.
- Anna nie może zapobiec temu, jak się czuje.
- A może oboje byście się zamknęli - powiedziałam. - Nie dlatego nienawidzę Aidana, że umarł.

- Więc dlaczego go nienawidzisz? - zapytała Rachel.

- Po prostu go nienawidzę. Daj spokój, Gaz. Spuśćmy na to zasłonę...

Później zagadnął mnie Joey.

- Cześć, Anno.

- Witaj - mruknęłam, patrząc w podłogę. Robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby z nim nie rozmawiać.

- Co słyhać u Jacqui?

Podniosłam wzrok i patrzyłam na niego ze spokojnym, zimnym zdziwieniem. Gdybym umiała, wydełabym wargi, ale kiedy próbuję unieść jeden kącik ust, podnoszą się obydwie, co wygląda, jakbym cierpiała na zapalenie dziąseł.

- Co słyhać u Jacqui? Jeśli chcesz wiedzieć, co u słyhać u Jacqui, to dlaczego nie sięgniesz po telefon i sam jej o to nie zapytasz?

Gapił się na mnie długo, bardzo długo, ale to on pierwszy odwrócił wzrok. W tamtych dniach nikt nie wytrzymywał mojego wzroku.

- Dobrze - powiedział gniewnie. - Zadzwoń.

Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i zaczął naciskać klawisze, jakby to one osobiście go obraziły.

- Mam nadzieję, że nie próbujesz dzwonić do niej do domu, ponieważ jest na Bermudach, w posiadłości Jessiego Cheadle'a.

Przestał wystukiwać numery.

- W posiadłości Jessiego Cheadle'a?

- Tak. Sądziłaś, że spędza Święto Dziękczynienia, siedząc samotnie w mieszkaniu? Tylko ona i jej pozbawiony ojca płód?

- Jaki jest numer jej komórki? Zacisnęłam usta. Nie chciałam mu powiedzieć.

- W porządku - rzekł. - Mam go w domu. Możesz dać mi go teraz albo zadzwonię później.

Pokonana, wyrzuciłam go z siebie.

Kolejne serie cyfr wystukiwanych tym razem mniej agresywnie.

- Dzwoni, dzwoni! - powtarzał, jakby pierwszy raz w życiu korzystał z telefonu, po czym całe jego ciało przeniknęło rozczarowanie. - Poczta głosowa.

- Zostaw wiadomość, kretynie. Właśnie do tego służy poczta głosowa.

- Ech... - Zamknął komórkę. - Prawdopodobnie i tak nie chciałaby ze mną rozmawiać. - Rzucił mi wstydlive spojrzenie, ale moja twarz pozostała bez wyrazu. Nie wiedziałam, czy chciałaby z nim rozmawiać (obawiałam się, że prawdopodobnie by chciała), i nie wiedziałam, ile wypił; czy to nagłe zainteresowanie dobrem Jacqui minie, gdy tylko skończy się Święto Dziękczynienia i we znaki da mu się kac.

Gdy Jacqui wróciła do domu, dokładnie zrelacjonowałam jej cały ten epizod, ona zaś przypisała go nastrojowi święta.

- Urzęnięty idiota - dokładnie tak brzmiały jej słowa.

Rozdział 8

- Anno, ten nowy „olbrzymi skok” w dziedzinie pielęgnacji skóry? Co o nim wiesz? Mogłabym przysiąc, że mówiłaś coś o nim, gdy ostatnio jadłyśmy lunch.

Mój telefon dzwonił nieustannie: ciekawość dziennikarek z magazynów poświęconych urodzie rosła.

- Co o nim słyszałaś? - pytałam

- Ze czegoś takiego jeszcze nie widzieliśmy.

- Tak, ja też to słyszałam.

Przez cały grudzień rosła fama wokół Formuły 12. W szaleństwie bożonarodzeniowych zakupów, drinków, spotkań i przyjęć nasilały się szeptki i pogłoski.

„Słyszałam, że pochodzi z dżungli brazylijskiej”, „Czy to prawda, że produkuje to koncern Devereaux?”, „Podobno to jakiś superkrem, jak Creme de la Mer do dziesiątej potęgi.”

Ten moment był już blisko. Postanowiłam, że magazynem, do którego się zwrócimy, będzie „Harpers”, i umówiłam się na lunch z ich redaktorką działu urody, Blythe Crisp, na początku nowego roku.

- To będzie bardzo specjalny lunch - obiecałam jej.

- Koniec stycznia - poinformowałam koncern Devereaux. - Właśnie wtedy przedstawimy Formułę 12.

Pielegniarka przesuwiała skaner po pokrytym żelem brzuchu Jacqui.

- Wygląda na to, że masz dziewczynkę.

- Super! - Jacqui tak machnęła pięścią w powietrze z pozycji leżącej, że niemal dołożyła tej kobiecie. - Dziewczynka! Znacznie lepsze ciuszki! Jak ją nazwiemy, Anno?

- Joella? Jodi? Joannę? Jo?

- Wtedy Joey będzie wiedział, jak bardzo wciąż go Kocham - powiedziała Jacqui jakimś niemądrym tonem. -A może Narketta? Albo Narkella?

- Narkella!

Myśl o nazwaniu dziewczynki Narkella wydała nam się tak zabawna, że wybuchliśmy konwulsyjnym śmiechem, a im bardziej się śmiałyśmy, tym bardziej było to zabawne, aż wzajemnie chwyciłyśmy się kurczowo, z trudem przepaszając pielęgniarkę za nasze niestosowne zachowanie. Za każdym razem, gdy myślałyśmy, że atak śmiechu minął, jedna z nas mówiła: „Narkello, posprzątaj swój pokój”, albo: „Narkello, zjedz marchewkę” i znów wybuchaliśmy. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak się śmiałam i jakie to wspaniałe uczucie, jakby ktoś zdjął mi wielki ciężar z ramion.

- A jeśli Rachel i Luke zapytają nas o wynik? - zapytałam w taksówce wiozącej nas do domu.

- Co masz... och, myślisz, że mogą powiedzieć Joeyowi?

- Mhmmm.

Pomyślała o tym przez chwilę, a potem odpowiedziała mi niemal niecierpliwie:

- Przypuszczam, że na pewnym etapie będzie musiał się dowiedzieć, iż ma dziewczynkę. Tak - teraz stawała się arogancka - nie obchodzi mnie, co wie. Powiedz im, co chcesz. Powiedz im wszystkim o Narkelli.

- Świetnie. Doskonale. Po prostu nie chciałam zrobić czegoś niewłaściwego...

- Pozwoliłam, aby minęło kilka minut, a potem powiedziałam: - Ale, Jacqui, żadnych głupich imion.

- Na przykład jakich?

- Foofoo, Pompon, Jiggi czy coś w tym rodzaju. Nazwij swoje dziecko jakoś normalnie.

- Jak?

- Nie wiem. Normalnie. Jacqui, Rachel, Brigit... proszę cię, Jacqui.

Rozdział 9

- Gdzie jest to zaproszenie? - wrzeszczała mama. - Gdzie jest to cholerne zaproszenie?

W jadalni, nad resztkami bożonarodzeniowej kolacji, wymieniałam zdumione spojrzenia z Rachel, Helen i tatą. Przed chwilą mama odbyła telefoniczną rozmowę z ciocią Imeldą (swoją najambitniejszą siostrą) i teraz, krzycząc, ciskała różnymi rzeczami w kuchni.

Po chwili szeroko otworzyła drzwi jadalni i zatrzymała się w progu, oddychając ciężko, niczym nosorożec. W dłoni trzymała papirusowe ślubne zaproszenie, a jej oczy szukały oczu Rachel.

- Nie bierzecie ślubu w kościele - powiedziała posepnie.

- Nie - odparta spokojnie Rachel. - Jak napisaliśmy w zaproszeniu, otrzymamy błogosławieństwo w domu modlitewnym kwaków.

- Wmówiłaś mi, że to kościół, i muszę się dowiadywać od własnej siostry... która, nawiasem mówiąc, dostała na gwiazdkę lexusa... ja dostaję prasownicę do spodni, a ona lexusa... że nie bierzecie ślubu w kościele.

- Nigdy nie mówiłam, że to kościół. Po prostu postanowiłaś tak sądzić.

- A kto będzie udzielać tego tak zwanego - niemal wypluła to słowo - błogosławieństwa? Czy jest jakaś szansa, że może to być ksiądz katolicki?

- To mój przyjaciel, duchowny.

- Jaki duchowny?

- Niezależny.

- Masz na myśli jednego ze swoich przyjaciół z odwyku? - szydziła mama. - Mogłam się tego domyślać. Biorąc pod uwagę to i strzelające cukrowe groszki, nikt z mojej rodziny z całą pewnością nie przyjedzie. I dobrze.

Mama wściekała się tak do końca Bożego Narodzenia. Najbardziej złościło ją to, że nie ma możliwości nagięcia woli Rachel do swojej przez groźbę wycofania funduszy, ponieważ Luke i Rachel pokrywali większość kosztów.

- To jakiś żart! - piekliła się bezsilnie. - To nie ślub, to farsa! „Błogosławieństwo"! Na mnie niech nie liczy. A ja się martwiłam o kolor sukni! Skoro nie bierze ślubu w kościele, może nosić każdy kolor, jaki chce.

Nie wszyscy jednak byli zdenerwowani wieścią, że Rachel nie bierze ślubu w kościele. Tato był tym skrycie zachwycony, ponieważ uważał, że skoro nie jest

to „prawdziwy” ślub, to nie będzie musiał wygłaszać mowy. Rachel była pogodna i niewzruszona.

- Nie martwisz się? - zapytałam. - Nie przejmujesz się ślubem bez mamy i taty?

- Będzie tam. Naprawdę sądzisz, że by go opuściła? To by ją zabiło.

Ukryłam się w ckliwych filmach i czekoladowych ciasteczkach i liczyłam dni do powrotu do Nowego Jorku. Nigdy nie paliłam się do świąt Bożego Narodzenia, które zawsze wydawały się pociągać za sobą więcej awantur niż zwykle, ale te były dla mnie szczególnie trudne.

Janie przysłała mi świąteczną kartkę, którą była fotografią „małego Jacka” w czapce Świętego Mikołaja. Wciąż pisała, przysyłała zdjęcia i mówiła, że możemy się spotkać, kiedy tylko zechcę. Państwo Maddoksowie także mnie zadreżczali, żebym poznała „małego Jacka”, a ja wciąż odmawiałam. Nie chciałam go widzieć.

Rozdział 10

- Helikopter wystartował - powiedział człowiek z walkie-talkie. - Na pokładzie: Blythe Crisp. Przewidywany czas lądowania: dwadzieścia siedem po dwunastej.

Aby stworzyć wokół Formuły 12 niezbędną atmosferę spektaklu, zleciłam przywiezienie Blythe Crisp helikopterem z dachu budynku „Harpers” na pokład zakotwiczonego w nowojorskim porcie niemal czterdziestometrowego jachtu (wynajętego tylko na cztery godziny i to, niestety, bardzo drogie godziny).

Mimo zimna - był to 4 stycznia - i lekko wzburzonej wody uważałam, że jacht jest miłym akcentem, mającym posmak jakiegoś drobnego przemytu.

Wstałam i przemierzałam kabinę... tylko dlatego że mogłam. Nigdy przedtem nie byłam na jachcie tak dużym, by można było w nim spacerować. Prawdę mówiąc, chyba w ogóle nie byłam na żadnym jachcie.

Po kilku przyjemnych przejściach po pokładzie wydało mi się, że słyszę helikopter.

- Czy to on? - Nasłuchiwałam.

Mężczyzna z walkie-talkie spojrzał na swój wielki, czarny, wodoodporny i chyba odporny także na bombę atomową zegarek.

- Punktualny - oświadczył.

- Wszyscy na miejsca - powiedziałam. - Nie pozwólcie jej zmoknąć! - zawołałam za nim. - I nie zróbcie niczego, co mogłoby ją zirytować.

Już po minucie suchuteńka Blythe stukała po parkiecie holu butami na wysokich obcasach, zmierzając do głównego salonu, gdzie czekałam na nią z nalany już szampanem.

- Mój Boże, Anno, co to wszystko znaczy? Ten helikopter, ten... jacht?

- Całkowita dyskrecja. Nie mogłam ryzykować, że nasza rozmowa będzie podsłuchiwana.

- Dlaczego? O co chodzi?

- Usiądź, Blythe. Szampana? Czekoladowe Gumisie? - Wcześniej przeprowadziłam badania; lubiła czekoladowe Gumisie. - No dobrze: mam coś dla ciebie, ale chcę, żeby się znalazło w marcowym numerze „Harpers”.

Marcowy numer miał się ukazać pod koniec stycznia. Przeczając pokręciła głową.

- Och, Anno, wiesz, że nie mogę. Za późno, już zamknęliśmy marcowy numer. Za chwilę oddajemy go do druku.

- Pozwól, że ci pokażę, o co chodzi. - Klasnęłam w dłonie (naprawdę to mi się podobało; czułam się niczym jakiś czarny charakter w filmie o Jamesie Bondzie),

a kelner w białych rękawiczkach przyniósł na tacy ciężką szkatułkę i podał ją Blythe (wcześniej przeciwczyliśmy to kilkakrotnie).

Oślupiała ze zdumienia Blythe sięgnęła po nią, otworzyła i długo wpatrywała się w jej wnętrze.

- O mój Boże, to jest to! Superkrem wśród superkremów! Jest prawdziwy! To wszystko prawda!

No dobrze, nie było to lekarstwo na raka; był to tylko krem do twarzy, ale jednak ten moment był momentem triumfu.

- Pędzę przeredagować marcowy numer - powiedziała. Gdy helikopter wzbił się, by odwieźć ją do miasta, zatelefonowałam do Leonarda Dały z Devereaux.

- Załatwione.

- Weź sobie dzień urlopu.

To był żart, oczywiście. Miałam mnóstwo roboty i teraz, gdy Formuła 12 była bliska oficjalnego istnienia, musiałam zorganizować nasze biuro. Chciałam ulokować zespół Formuły 12 możliwie najdalej od Lauryn; nie była zadowolona, w ogóle nie była zadowolona, że wylądowałam na innym odcinku. Jeszcze mniej zadowolona była z tego, że zabieram ze sobą Teenie. Drugą moją asystentką była bystra, młoda iskierka o imieniu Hannah; podkradłam tę dziewczynę innej marce, oszczędzając jej życia w strasznych ciuchach. Jej wdzięczność była gwarancją lojalności.

29 stycznia marcowy numer magazynu „Harpers” pojawił się w sprzedaży i natychmiast spełnił swoją rolę. Ja zaś, piękny motyl Formuły 12, wyłoniłam się z poczwarki Candy Girl i paradowałam wokół w swoich grafitowych kostiumach.

Rozdział 11

- Spójrz na nie. To na pewno „wesołe dziewczynki” -mruknęła Jacqui.

- Tylko dlatego, że mają krótkie włosy? Nie można tak sądzić.

- Ale mają czuby, identyczne!

To był nasz pierwszy wieczór w szkole rodzenia i spośród ośmiu par tylko pięć było parami damsko-męskimi. Jednak Jacqui martwiła się, że ona jest jedyną kobietą, która została opuszczona przez ojca swego dziecka. Wyobraźcie sobie, Joey dzwonił do niej od czasu do czasu. W święta, w Nowy Rok i w swoje urodziny, czyli mówiąc ściślej - wtedy, jak słusznie stwierdziła Jacqui, kiedy po pijanemu robił się ckliwy - i zostawiał jej rozwlekłe, przepaszające wiadomości na automatycznej sekretarce. Jacqui nie odbierała jego telefonów i nigdy nie oddzwaniała, ale zaprzeczała, jakoby była silna.

- Gdyby zadzwonił do mnie w biały dzień i był trzeźwy, mogłabym z nim porozmawiać - powiedziała - ale nie zrobię z siebie idiotki, wierząc w wyznania miłości składane wtedy, kiedy jest pijany. Wyobrażasz sobie, że wierzę jego pijackim słowom i oddzwaniom?

Czasami wygłupiałyśmy się: ja byłam Joeyem zostawiającym bełkotliwe wiadomości na sekretarce Jacqui, a ona udawała słabszą wersję siebie i przecierając oczy, mówiła:

- Och, on naprawdę mnie kocha. Jestem taka szczęśliwa! Jestem najszczęśliwszą dziewczyną na świecie! Zaraz do niego zadzwonię!

Ja zaś udawałam że jestem Joeyem budzącym się z kacem i nerwowo spoglądającym na zegarek, gdy Jacqui mówiła: „dzyń, dzyń, dzyń”.

- Halo - mamrotałam, odbierając wyimaginowany telefon.

- Joey! - szczebiotała Jacqui. - To ja. Dostałam twoją wiadomość. Wiedziałam, że wrócisz. Jak szybko zwiążemy się węzłem małżeńskim?

Z jakiegoś powodu w tych scenariuszach zawsze mówiła o „węźle małżeńskim”, jakbyśmy grały w jakiejś sztuce historycznej.

Ciskałam niewidzialny telefon i rzucałam się do ucieczki, krzycząc, że żądam objęcia mnie programem ochrony świadków, po czym obie pokładałyśmy się ze śmiechu.

Jednak w szkole rodzenia Jacqui się nie śmiała. Wyglądała na bardzo skrępowaną i to nie tylko dlatego, że cała sprawa była nieznośnie krepująca. Instruktor-ka była tak dobra w jodze, że zakładała stopę za ucho, a na imię miała Quand-ado-ra, co - jak powiedziała - oznaczało „Prządka Światła” (nie powiedziała jed-nak, w jakim języku).

- W jej własnym dzikiej mowie - powiedziała później Jacqui. - Brzmi raczej jak „Prządka G...”.

Prządka Światła zachęcała nas, abyśmy usiadły po turecku w kręgu, i sącząc imbirową herbatę, przedstawiały się innym.

- Mam na imię Dolores, jestem porodową partnerką Celi. Jestem też siostrą Celi.

- Mam na imię Celia.

- Jestem Ashley, to będzie moje pierwsze dziecko.

- Mam na imię Jurg, jestem mężem Ashley i będę jej porodowym partnerem.

Kiedy doszliśmy do podejrzanych „wesołych dziewcząt”, Jacqui okazała szczególne zainteresowanie.

- Jestem Ingrid - przedstawiła się ciężarna, a kobieta siedząca obok niej po-wiedziała: - A ja jestem Krista, porodowa partnerka i kochanka Ingrid.

Jacqui szturchnęła mnie szpiczastym łokciem.

- Jestem Jacqui - powiedziała. - Mój chłopak zerwał ze mną, kiedy się dowie-dział, że jestem w ciąży.

- A ja mam na imię Anna. Jestem porodową partnerką Jacqui. Ale nie jestem jej kochanką. Nie, żeby to miało jakieś znaczenie...

- Przepraszam - przerwała Celia, wyraźnie zaniepokojona. - Nie wiedziałam, że będziemy się dzielić takimi informacjami. Czy powinnam powiedzieć, że posłużyłam się pewnym dawcą spermy?

- Hej, my też - oświadczyła Krista. - To nic wielkiego.

- Mówimy tak dużo albo tak mało, jak nam wygodnie - powiedziała Quand-adora w swoim stylu. - Dziś skupimy się na łagodzeniu bólu. Która z was planuje poród w basenie?

Dużo rąk uniosło się w górę. O rany, siedem! Jacqui była jedyną, która takiego porodu nie planowała.

- W basenach porodowych dostępny jest tlen i znieczulenie - wyjaśniała Quand-adora - ale przez sześć najbliższych tygodni będę się tu z wami dzielić kilkoma cudownymi technikami, żeby te rzeczy nie były wam potrzebne. A ty, Jacqui, myślałaś już o złagodzeniu bólu?

- No tak... o tym środku... wiesz, o tym epiduralu. Później Jacqui powiedziała, że pozostałe kobiety wcale nie patrzyły na nią z niechęcią: wyglądały raczej tak, jakby smuciły się w jej imieniu.

- W porządku - odparła Quand-adora. - A może zmienisz decyzję? Może otworzysz się na jakąś energię, która jest w tobie?

- No... jasne.

- Pierwszą rzeczą, jaką musicie zapamiętać, jest to, że ból jest waszym przyjacielem. Ból przynosi wam dziecko. Bez tego bólu dziecka by nie było. Zatem wszyscy zamknijcie oczy, znajdźcie swoje centrum, zacznijcie wyobrażać sobie ten ból jako siłę przyjazną, jako „wspaniałą złoty ładunek energii”.

Nie wiedziałam, że mam jakieś centrum, ale robiłam, co w mojej mocy, i po wyobrażaniu sobie przez dobre dwadzieścia minut nauczyłam się, jak masować dolną część kręgosłupa Jacqui, by przynieść jej ulgę w bólu, na wypadek gdyby

nie zadziałała wizualizacja. Potem pokazano nam technikę spowalniania porodu. Musieliśmy stanąć na czworakach, z pupami w powietrzu, dysząc jak psy w gorący dzień. Wszyscy musieli to robić, nawet osoby towarzyszące. Prawdę mówiąc, wszystko było dość zabawne, szczególnie to dyszenie. Chociaż, gdy się trzymało twarz na wprost dolnych rejonów innej kobiety (Celii, o ile pamiętam) było to raczej denerwujące.

Jacqui i ja dyszałyśmy spokojnie, a potem wymieniliśmy się spojrzeniami, wysunęłyśmy języki i robiłyśmy to mocniej.

- Wiesz co? - wyszeptała - Ten dupek nie wie, co traci.

Rozdział 12

Gdy tylko styczeń przeszedł w luty, rocznica śmierci Aida-na zaczęła się wyłaniać jak wielki cień. Z biegiem dni ten cień ciemniał. Żołądek podchodził mi do gardła i miałam chwile prawdziwej paniki, autentycznego oczekiwania, że może się wydarzyć coś strasznego.

16 lutego poszłam do pracy jak zwykle, ale z tym niezwykle wyrazistym wspomnieniem; ponownie przeżywałam każdą sekundę tego samego dnia minionego roku. Nikt w pracy nie pamiętał, co to za dzień; wszyscy dawno zapomnieli, a ja się nie paliłam, żeby im powiedzieć.

Nim jednak nadeszło popołudnie, miałam już dość. Wymyśliłam jakiś wywiad, wyszłam z pracy, poszłam do domu i zaczęłam milczące odliczanie minut i sekund do dokładnego czasu śmierci Aidana.

Zastanawiałam się, czy w momencie uderzenia przez tę drugą taksówkę pocuję to znowu, czy doświadczę jakiejś psychicznej powtórki akcji. Ale ten moment nadszedł, minął i nic się nie stało. Nie wydawało mi się to właściwe. Spo-

dziewałam się, że jednak coś nastąpi. Było to zbyt wielkie, zbyt potężne i zbyt straszne, żeby nic nie czuć.

Sekundy mijały, a ja przypominałam sobie nasze oczekiwanie w rozbitym samochodzie, przyjazd karetki, wyścig z czasem do szpitala, Aidana wiezionego do sali operacyjnej...

Coraz bliżej było do owej chwili, gdy umarł, i muszę przyznać, iż miałam desperacką... wręcz szaloną nadzieję, że gdy zegarek dotrze do owej sekundy, w której Aidan opuścił swoje ciało, otworzą się jakieś wrota między jego światem a moim i może się pojawi, a może nawet przemówi. Nic jednak się nie wydarzyło. Żaden wybuch energii, żaden nagły żar, żaden gwałtowny powiew wiatru. Nic.

Wyprostowana, siedziałam, gapiąc się w nicość, i myślałam: Co się dzieje?

Dzwonił telefon, oto co się działo. Ludzie, którzy przypomnieli sobie, co to za dzień, sprawdzali, czy ze mną wszystko w porządku.

Z Irlandii zadzwoniła mama i wydawała z siebie współczujące dźwięki.

- Jak sypiasz w tych dniach? - zapytała.

- Niezbyt dobrze. Nie udaje mi się spać dłużej niż dwie godziny bez przerwy.

- Niech cię Bóg ma w opiece. Cóż, mam dobrą wiadomość. Ja, twój ojciec i Helen 1 marca przyjeżdżamy do Nowego Jorku.

- Tak wcześnie? Do wesela pozostały ponad dwa tygodnie.

Boże...

- Myśleliśmy, że przedtem spędzimy tam krótkie wakacje. Mama i tato kochali Nowy Jork. Tato wciąż żałował, że

skończył się *Seks w wielkim mieście*, gdyż, jak twierdził, był to wspaniały serial, a ulubionym dowcipem mamy było pytanie: „Czy możesz mi pokazać drogę na Czterdziestą Drugą Ulicę, czy też mam się odpieprzyć?”

- Gdzie się zatrzymujecie? - zapytałam.

- Damy sobie radę. Pierwszy tydzień spędzimy u ciebie, a potem zobaczymy, czy znajdziemy jakichś nowych przyjaciół, którzy nas wezmą.

- U mnie?! Przecież moje mieszkanie jest bardzo małe.

- Nie takie znowu małe.

Nie to mówiła, gdy zobaczyła je po raz pierwszy, Wtedy powiedziała, że przypomina jej dziuplę z filmu *Być jak John Malkovich*.

- Prawie nas tam nie będzie - zapewniała. - Całe dni będziemy spędzać na zakupach.

Czyli w tych wszystkich sklepach z tanimi ciuchami, do których Jacqui i ja nie weszłybyśmy nawet gdyby nam przystawiano pistolety do głów.

- Ale gdzie będziecie spać? - zapytałam

- Ja i tatuś będziemy spać w twoim łóżku, a Helen może spać na kanapie.

- A co ze mną? Gdzie ja będę spać?

- Czy właśnie nie powiedziałaś mi, że prawie w ogóle nie sypiasz? Zatem to nie ma znaczenia, prawda? Masz jakiś fotel czy coś?

- Tak, ale...

- Ha ha ha, przecież tylko się z tobą drażnię! Jak moglibyśmy zatrzymać się u ciebie; tam się nawet mysz nie wślizgnie, nie mówiąc już o kocie. Zupełnie jak w tym filmie. Zatrzymujemy się w Gramercy Lodge.

- W Gramercy Lodge? Czy nie tam dopadło tatę zatrucie pokarmowe, kiedy ostatnio byliście w Nowym Jorku?

- Chyba tak, ale już nas tam znają. Ten hotel jest przydatny.

- Przydatny?! Do czego? Do złapania zatrucia pokarmowego?

- „Złapać” to można gripę, a nie zatrucie pokarmowe.

- Dobrze, dobrze, wszystko jedno. Nowe sztuczki.

Kilka dni później obudziłam się i poczułam... inaczej.

Nie wiedziałam, co to jest. Leżałam pod kołdrą i myślałam. Zmieniło się światło za oknem: teraz było jasnocytrynowe, wiosenne, po szarości zimy. Czy o to chodziło? Potem za uważałam, że nie czuję bólu. Pierwszy raz od roku nie obudził mnie ból kości, ale również nie to stanowiło ową różnicę. Nagle ją pojęłam: oto nadszedł dzień, w którym zakończyłam długą podróż... Wreszcie rozumiałam, że Aidan nie wróci i nie będzie wracać.

Wcześniej słyszałam opowieści starych żon, że potrzeba roku i jednego dnia, aby zrozumieć, naprawdę zrozumieć, że ktoś umarł. Trzeba przeżyć cały rok bez tego człowieka, doświadczyć życia bez niego; moich urodzin, jego urodzin, rocznicy naszego ślubu, rocznicy jego śmierci; i dopiero gdy taki rok będzie za nami, a my wciąż będziemy żywi, wtedy zaczniemy to rozumieć.

Długo sobie wmawiałam i starałam się wierzyć, że on wróci, że jakoś mu się to uda, ponieważ tak bardzo mnie kochał. Nawet kiedy byłam tak wściekła za małego Jacka, że przestałam z Aidanem rozmawiać, wciąż żywiłam nadzieję. Teraz wiedziałam, naprawdę wiedziałam, jakbym znalazła ostatni kawałek kończący obrazek z puzzli: Aidan nie wróci.

Pierwszy raz od dawna się rozplakałam. Po miesiącach wewnętrznego zmrozenia zaczęły mi płynąć ciepłe łzy.

Powoli szykowałam się do pracy, robiąc to znacznie dłużej niż zwykle, a gdy zamykałam za sobą drzwi, aby wyjść, usłyszałam w myślach głos Aidana: „Przyłóż im trochę, tym dziewczynom z L'Oreala”.

Kompletnie zapomniałam, jak każdego ranka zwykł mawiać coś podobnego, dając mi jakąś gorącą formę zachęty. A teraz sobie przypominałam.

Rozdział 13

Dostarczono pudła z naszą kolacją. Rachel postawiła stos różnych talerzy na środku stołu i zaczęła je podawać.

- Helen, twoje lazanie. - Wręczyła jej talerz. - Tata, kotlet wieprzowy. Mama, lazanie.

Postawiła talerz przed mamą, która zamiast podziękować wydeła dolną wargę.

- O co chodzi? - spytała Rachel. Mama mruknęła coś pod nosem.

- O co chodzi? - zapytała ponownie Rachel.

- Nie podoba mi się mój talerz - powiedziała mama, tym razem nieco głośniej.

- Jeszcze nie spróbowałaś.

- Nie jedzenie. Talerz.

- A co jest w nim złego? - Rachel zamarła z łyżką w dłoni.

- Chcę taki z kwiatowym wzorem. Ona ma taki! - Mama wściekłym skrzętem głowy wskazała Helen.

- Przecież twój talerz też jest ładny.

- Nie. Jest okropny. Z brązowego szkła. Chcę biały, porcelanowy, z niebieskimi kwiatkami. Taki, jaki ma ona.

- Ale... - Rachel była zakłopotana. - Helen, może...

- Nie ma mowy.

Rachel nie wiedziała, co począć. To był dopiero pierwszy wieczór mamy, taty i Helen w Nowym Jorku. Przed nimi były jeszcze dwa tygodnie, a już sprawiali kłopoty.

- Nie ma już żadnego talerza z niebieskimi kwiatami. Tata ma jedyny, jaki pozostał.

- Może wziąć mój - zaproponował tato - ale ja też nie chcę tego okropnego brązowego szkła.

- A zwykły biały może być?

- Będzie musiał.

Kotlet wieprzowy taty przełożono na biały talerz i zmiana została dokonana.

- Czy teraz wszyscy są zadowoleni? - zapytała sarkastycznie Rachel.

Wreszcie zabraliśmy się do jedzenia.

- Anno, jak się wie dzie twojej nowej marce? - spytał uprzejmie Luke.

- Dziękuję, doskonale. Właśnie dzisiaj „Boston Globe” opublikował ranking pięciu superkremów: przeciwzmarszczkowego Sisley's Global, Creme de la Mer, Cle de Peau, La Prairie i Formuły 12. Formuła 12 ma najwyższą ocenę. Napisali, że...

- No tak, ale twoja nowa grupa nie produkuje szminek ani niczego takiego, prawda? - Mama najwyraźniej uważała, że moje nowe stanowisko jest degradacją.

Na tym temat został zamknięty, lecz do mnie wróciło wspomnienie sposobu, w jaki Aidan świętował każdy mój sukces i jak śmiał się z moich rywali. Ileż to razy wracał do domu, wymachując gazetą i mówiąc coś w rodzaju: „Fantastyczne wiadomości. W »USA Today« krytykują ten nowy krem Chanel. Jakaś dziewczyna powiedziała, że zatkał jej pory. Wiwat! Przybij piątkę!”. Klap. „Jeszcze raz!” Klap...

Z tego nieoczekiwanie radosnego wspomnienia wyrwał mnie czyjś krzyk.

- Wyjdź stąd!

To była Helen: tato wszedł do zajętej przez nią łazienki.

- Powinniście mieć zasuwkę w tych drzwiach - powiedziała mama.

- Dlaczego? - zapytała Rachel. - Przecież wy nie macie zamka w drzwiach swojej łazienki.

- To nie nasza wina. Chcielibyśmy.

- To dlaczego go nie macie?

- Ponieważ Helen zacementowała dziurkę od klucza. Wszyscy umilkliśmy na wspomnienie tamtego dnia. Helen

dostała ten cement od budowlańców, którzy przerabiali sąsiedzki garaż na osobne mieszkanie dla tamtejszej babci, a kiedy skończyła cementowanie dziurki od klucza, przeszła do cementowania drzwi łazienki, zamykając w niej Claire, która siedziała w wannie, robiąc sobie „domowe spa”. Tata musiał spędzić kilka godzin na kolanach, gorączkowo wydłubując ten cement, a zanim została uwolniona, schody i podest pełne były zatroskanych sąsiadów i milczących budowlańców. Babcia z tamtego mieszkania, które stało się przyczyną całej afery, zaproponowała nawet, by odmawiać różaniec.

Do: Czarodziejka1@yahoo.com

Od: ParanormaLProductions@yahoo.com

Odpowiedź: Neris Hemming

Twoje przełożona rozmowa z Neris Hemming odbędzie się 22 marca o godzinie 14.30. Dziękujemy za zainteresowanie działalnością Neris Hemming.

- Nie jestem zainteresowana - odpowiedziałam monitorowi. - Neris Hemming może się odpieprzyć.

Po dwóch sekundach zapisałam datę i godzinę w kalendarzu. Nienawidziłam się za to, ale nie mogłam się oprzeć.

- Anno! Anno!

Spieszyłam się, biegnąc wzdłuż Pięćdziesiątej Piątej w drodze na lunch z redaktorką działu urody magazynu „Ladies Lounge”, gdy usłyszałam, że ktoś mnie woła. Odwróciłam się. Ktoś biegł w moją stronę: jakiś mężczyzna. Gdy się zbliżał, pomyślałam, że go znam, ale nie byłam pewna. Chyba go znam... Potem zo-

baczyłam, że to Nicholas. Miał na sobie obszerny zimowy płaszcz, więc nie mogłam zobaczyć, co głosi jego T-shirt, ale fryzura wciąż była urocza.

Zanim zrozumiałam, co się dzieje, uniósł mnie do góry i obdarzyliśmy się wzajemnym uściskiem. Byłam zaskoczona, ile ciepła dla niego czuję.

Postawił mnie na chodniku i uśmiechnęliśmy się do siebie twarzą w twarz.

- Hej, Anno, wyglądasz wspaniale - powiedział. - Niesamowicie seksownie. Masz świetne buty.

- Dzięki. Posłuchaj, Nicholas, przykro mi, że nigdy do ciebie nie oddzwoniłam, ale miałam naprawdę trudny okres

- W porządku, rozumiem. Naprawdę.

- Wciąż chodzisz na spotkania z Leisl? - Czułam się nieco zakłopotana, zadając to pytanie.

Pokręcił przecząco głową.

- Ostatni raz byłem tam mniej więcej przed czterema miesiącami. Nikt ze starej paczki już tam nie chodzi.

Zrobiło mi się dziwnie smutno.

- Nikt? Nawet Barb? Ani Zombie Fred? -Nie.

- Ojej.

Po chwili milczenia oboje zaczęliśmy mówić jednocześnie.

- Nie, ty pierwsza - rzekł Nicholas.

- Dobrze. - To było coś, o co musiałam go zapytać. - Nicholas, ty wiesz, kiedy Leisl skontaktowała się z twoim ojcem? Sądzisz, że naprawdę się z nim skontaktowała? Naprawdę myślisz, że z nim rozmawiałeś?

Myślał przez chwilę, bawiąc się swoją zabawną bransoletką.

- Taaak... Może. Nie wiem. Przypuszczam jednak, że wtedy pragnąłem usłyszeć to, co usłyszałam. To mi pomogło przetrwać. A ty jak myślisz?

- Nie wiem. Prawdopodobnie z nim nie rozmawiałaś, ale jak powiedziałaś, wtedy było to potrzebne.

Skinął głową. Zmienił się od czasu, gdy ostatnio go widziałam. Wydawał się starszy i potężniejszy, bardziej dorosły.

- Miło cię widzieć - powiedziałam.

- Mnie również miło cię widzieć. - Uśmiechnął się. - Mo-że czasem do mnie zadzwonisz i zrobimy cos razem.

- Moglibyśmy prześledzić teorie spiskowe.

- Teorie spiskowe?

- Tylko nie mów, że już cię nie interesują!

- Och, interesują, ale...

- Masz jakieś nowe?

- Hm... tak... chyba tak.

- Opowiedz!

- Okay. Czyżbyś nie zauważyła, jak wiele osób ginie, wjeżdżając na nartach w drzewa? Jeden z Kennedych, Sonny z duetu Sonny and Cher... Mnóstwo ludzi. No więc pytam: czy to jakiś spisek? Czy ktoś zakłóca kierunkowość ich nart? I może zamiast zdania „dzisiejszej nocy zaśnie z rybami” hasłem mafii będzie teraz zdanie „dziś wieczorem wjedzie na drzewa”?

- „Dziś wieczorem wjedzie na drzewa!” - powtórzyłam. - Jesteś wspaniały. Jesteś absolutnie przezabawny.

- A może po prostu moglibyśmy pójść do kina - powiedział.

Rozdział 14

- Która z was ukradła mój Wielokrotny Orgazm? - Mama otworzyła drzwi swego pokoju i krzyczała na cały hotelowy korytarz. - Claire, Helen, dajcie mi mój Wielokrotny Orgazm!

Jakaś para w średnim wieku, odziana w praktyczne turystyczne stroje, właśnie wychodziła ze swego pokoju. Mama ich zobaczyła i, nie tracąc rezonu, wykonała swoje „uprzejme pozdrowienie”, czyli dziwny gest uniesienia brody.

- Śliczny poranek - powiedziała.

Wyglądali na zaszokowanych i pospieszyli do wind, a gdy tylko zniknęli za rogiem korytarza, mama znów krzyknęła:

- Zostawiacie mnie bez niczego!

- Uspokój się - powiedziałam z wnętrza pokoju.

- Uspokój się?! Moja córka bierze dzisiaj ślub, nawet jeśli nie w kościele, a jedna z was pięciu kradnie mi mój Wielokrotny Orgazm. Zupełnie jak wtedy, gdy ty zwędziłaś wszystkie moje grzebienie - wyglądało na to, że nigdy mi tego nie zapomni - a ja szłam na mszę, gdyż był to dzień święty i musiałam uczesać się grzebieniem. Zniżona do czesania się widelcem! Co twój ojciec robi w tej łazience, siedzi tam całe dnie! Idź do pokoju Claire i sprawdź, czy nie ukradła mojej szminki.

Claire z rodziną i Maggie z rodziną także zatrzymały się w Gramercy Lodge. Wszyscy mieszkali na tym samym piętrze.

- No, idź! - ponaglała mama. - Przynieś mi jakąś szminkę. Na korytarzu J.J. kopał w gaśnicę. Miał na głowie żółty

kapelusz z szerokim rondem, który Helen nazwałaby „kapeluszem damy”, a który stanowił część weselnego wystroju zespołu Maggie. Obserwowałam jego żywiołowy atak na gaśnicę i zastanawiałam się nad tym, co powiedziała Leisl: dlaczego J.J. był dla mnie taki ważny? Dlaczego miał się stać „jeszcze ważniejszy”? Wtedy mnie uderzyło: może Leisl wcale nie mówiła o J.J.? Mówiła o „zło-

towłosym chłopczyku w kapeluszu" i o „inicjale J"; mały Jack odpowiadał temu opisowi równie dobrze jak J.J. Może Aidan - poprzez Leisl - próbował mi o nim opowiedzieć? Dreszcz przeszedł mi po plecach i nagle pokryła mnie gęsia skórka.

Zatem Leisl naprawdę kontaktowała się z Aidanem? Nie wiedziałam. I przypuszczałam, że nigdy się nie dowiem. A zresztą, jakie to miało teraz znaczenie?

- Co robisz z moim porządnym kapeluszem?! - Maggie wybiegła na korytarz; była ubrana w spokojny granatowy kostium.- Daj mi go i przestań kopać tę gaśnicę.

Z pokoju Maggie dobiegał głos małej Holly, wyśpiewującej coś na całe gardło. Potem zjawiała się Claire.

- To miejsce jest paskudne oświadczyła. - A mama powiedziała, że jest ładne.

- Grzejniki nie działają - dodała Maggie.

- Ani windy.

- Mama powiedziała, że jest przydatne.

- Przydatne do czego? Kate, nie kop tego, bo może wybuchnąć.

Claire i Kate, jej dwunastoletnia córka, nosiły bardzo podobne stroje: ledwie zakrywające majtki spódnice, wysokie obcasy i mnóstwo błyskotek.

W przeciwieństwie do nich, sześciolatka córka Claire, Francesca, nosiła staroświeckie zapinane buciki i bluzeczkę z bufkami obszytymi koronką. Wyglądała jak porcelanowa laleczka.

- Jesteś śliczna - powiedziałam.

- Dziękuję - odparła. - Próbowały mnie wystroić w jakieś błyszczące badziewie, ale to jest mój styl.

- Czy ktoś ma żelazko? - zapytała Maggie. - Muszę wyprasować koszulę Garva.

- Daj mi ją - powiedziała Claire. - Adam to zrobi.

- Przypomina raczej domowego terminatora niż mężczyznę! - dobiegł z sąsiedniego pokoju donośny głos Helen. - Jak możesz go szanować, nawet jeśli ma większego niż przeciętny?

Wszyscy tłoczyli się przed domem modlitewnym kwakrów, wyglądając jak najlepiej: gładkoskórzy byli narkomani, starszawi czerwonolicy Irlandczycy, głównie ciotki i wujowie, oraz Prawdziwi Mężczyźni z wielkimi fryzurami, tak liczni, że wyglądali, jakby zostali przywiezieni autobusem z castingu. Spoglądając przez tłum, dostrzegłam Angela, całego w czerni. Wiedziałam, że tu będzie; on i Rachel przyjaźnili się od tamtego strasznego dnia, gdy wpadłam do jego mieszkania. Posłałam mu uprzejmy uśmiech (nie taki jak podniesiona broda mamy) i ustawiłam się jeszcze głębiej w grupie moich siostr i siostrzeńców. Nie chciałam z nim rozmawiać. Nie wiedziałabym, co powiedzieć.

- Przyjmuję zakłady o to, jak bardzo się spóźnią. - Helen krążyła wokół i zbierała pieniądze.

- Rachel się nie spóźni - oświadczyła mama. - Ona tego nie uznaje. Mówi, że to niegrzeczne. Ja twierdzę, że będą punktualnie.

- Zatem dziesięć dolarów.

- Dziesięć! O rany, oto Pani i Pan Luke. Marjorie! Brian! - Mama chwyciła taśmę za rękaw i pożeglowała do przodu, aby ich powitać. - Jaki cudowny dzień!

Wcześniej spotkali się kilka razy, ale nie poznali się dość dobrze. Mama nie widziała żadnego sensu w bliższym poznawaniu państwa Costello, dopóki ich syn nie uczynił tego „przyzwoitego kroku” wobec jej córki. Rozpływając się w promiennych uśmiechach, obydwaj komplety rodziców krążyły wokół siebie nieufnie, niczym psy obwąchujące sobie tyłki, próbując ustalić, kto ma większą siłę.

Wtem ktoś krzyknął:

- Nie mów mi, że to jest młoda para!

Wszyscy się odwrócili, by zobaczyć klasyczny samochód w kolorze szampa-
na zmierzający w naszą stronę.

- Jest! Jest młoda para! Punktualnie!

- Co? Już? - pytały zdumione głosy. - Dajcie spokój, lepiej wchodźmy.

Powstał niewielki popłoch, gdyż wszyscy szturmowali drzwi i z niestosow-
nym pośpiechem tłumnie zajmowali miejsca. Sala była ozdobiona wiosennymi
kwiatami - żonkilami, żółtymi różami, tulipanami oraz hiacyntami - których za-
pach wypełniał powietrze.

Kilka chwil później Luke przemaszerował przez nawę na przód sali. Jego się-
gające do kołnierzyka włosy były błyszczące i schludne, a chociaż miał garnitur,
spodnie wydawały się ciaśniejsze niż to konieczne.

- Sądziś, że nosi je tak specjalnie? - szepnęła mama. -A może po prostu takie
kupuje?

- Nie wiem.

Obdarzyła mnie przenikliwym spojrzeniem.

- Dobrze się czujesz? -Tak.

To pierwszy ślub, na jakim byłam od śmierci Aidana. Nigdy się nie przyzna-
łam, ale wcześniej się tego bałam. Teraz, gdy się odbywał, wydawało się jednak,
że będzie okay.

Wzdłuż nawy szli tato i Rachel. Rachel miała jasnożółtą suknię-futerał - to
brzmi okropnie, ale suknia była prosta i elegancka - i mały bukiet. Mnóstwo
lamp błyskowych oświetlało jej drogę.

- Ojciec krzywo zawiązał krawat - syknęła w moją stronę mama.

Ojciec przekazał Rachel Luke'owi, a następnie wrócił do naszego szeregu i
rozpoczęła się ceremonia: ktoś przeczytał jakiś wiersz o wierności, ktoś inny za-
śpiewał pieśń o wielkoduszności i przebaczeniu, potem niezależny pastor opo-

wiedział o swoim pierwszym spotkaniu z Rachel i Lukiem i o tym, jak oni bardzo do siebie pasują.

- Jeśli chodzi o przysięgi - oznajmił - to Rachel i Luke napisali własne.

- Akurat. - Mama szturchnęła mnie łokciem, ale ja wspominałam własne przysięgi. „W dostatku i w biedzie, na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie”. Myślałam, że się uduszę, kiedy to rozpamiętywałam. „Przez wszystkie dni naszego życia”. Wydawało mi się, że jakaś ręka ściska mnie za gardło. *Tęsknię za tobą, Aidanie Maddox. Tak bardzo za tobą tęsknię. Inie zrezygnowałabym z ani jednej chwili z tobą. To warte jest bólu.*

Szukałam w torebce chusteczki; Helen wcisnęła mi ją do ręki. Oczy napęłniły mi się łzami.

- Dzięki - szepnęłam.

- W porządku - odpowiedziała cicho, sama mając zaczerwienione oczy.

Na niewielkim podium Rachel i Luke wzięli się za ręce.

- Jestem odpowiedzialna za moje własne szczęście, ale oddaję je tobie, to jest mój dar dla ciebie - powiedziała Rachel.

- Zanim cię spotkałem - powiedział Luke - była długa epoka, była długa, bardzo, bardzo, bardzo długa epoka samotności.

-...ponieważ dążymy do samourzeczywistnienia, razem będziemy czymś więcej niż częściami...

-...nie wszystko złoto, co się świeci, ty jesteś moimi schodami do nieba...

-...przysięgam ci moją wierność, ufność, wiarę i żadnego odgrywania...

-...jeśli coś się dzieje w twoim żywopłocie, nie trwóż się... Tata zmarszczył czoło. Był zakłopotany.

- Czy to nie jest odrobinę... jak wy to nazywacie?

- Piórkowate - szepnęła donośnie Jacqui z rzędu za nami.

- Właśnie: piórkowate...

Potem uświadomił sobie, że powiedziała to Jacqui, i zawstydzony patrzył w podłogę. Wciąż pamiętał o tym scrabble'owym e-mailu.

- Nie mogę uwierzyć, że narkoman jest właścicielem hotelu - powiedziała mama - nawet jeśli to jest mały hotel. - Rozglądała się po pięknie udekorowanej sali, całej we wstążkach i kwiatach. - Spójrzcie tylko na sposób, w jaki ponury Joey wciąż wpatruje się w Jacqui.

Wszyscy odwrócili głowy. Joey siedział przy stole z Prawdziwymi Mężczyznami (przy jednym z tych stołów, bo w sumie były ich trzy, a każdy gościł ośmiu Prawdziwych Mężczyzn. Kilku podwójnie Prawdziwych Mężczyzn, a kilku może nawet poczwórn timer). Niezaprzeczalnie gapił się na Jacqui, która siedziała przy stole singli.

- W rzeczy samej - przyznała mama z ociąganiem - wygląda bardzo dobrze jak na niezamężną kobietę w ósmym miesiącu ciąży.

Posadzona między naszymi specyficznymi kuzynami, łącznie z księdzem-dziwakiem, który przyjechał z Nigerii, Jacqui wręcz jaśniała. Większość znanych mi ciężarnych kobiet miała egzemę i żylaki, Jacqui zaś wyglądała lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

- Ojej! - krzyknęła mama, gdyż coś uderzyło ją w pierś. Żółty kapelusz. Kapelusz Maggie.

J.J. i syn Claire, Luka, grali nim we frisbee.

- To najlepsza rzecz, jaka mogła go spotkać - powiedziała mama. - Jest okropny. Maggie bardziej wygląda na matkę panny młodej niż ja. A to przecież ja jestem matką panny młodej. - Odrzuciła kapelusz do chłopców, a potem spojrziała na swój talerz. - A cóż to takiego? Ach, to muszą być te słynne słodkie groszki. Cóż, ja ich nie tknę. - Przełożyła wszystko na boczny talerz. - Spójrzcie - syknęła - Joey wciąż się na nią gapi.

- Na jej cycki - padło z ust dwunastoletniej Kate. Mama spojrzała na nią kwaśno.

- Jesteś nieodrodną córką swojej matki. Wracaj do dzieciennego stolika. No, dalej! Twoja biedna ciocia Margaret stara się tam nad wami zapanować.

- Opowiem jej, co powiedziałaś o jej kapeluszu.

- Nie trudź się. Sama jej to powiem. Kate się zmyła.

- To ustawi tę małą damulkę na właściwym miejscu - rzekła mama z ponurą satysfakcją.

- Gdzie jest tata? - zapytałam.

- Pudruje sobie nos.

- Znowu? Co się z nim dzieje?

- Brzuch go boli. Denerwuje się swoją przemową.

- Dostał zatrucia pokarmowego! - stwierdziła Helen. -Prawda?

-Nie!

-Tak!

-Nie!

-Tak!

- Anno, ten mężczyzna, tam, wciąż ukradkiem na ciebie patrzy - powiedziała Claire.

- Ten, który wygląda, jakby był z Red Hot Chili Peppers? - zapytała mama. - Ja też go zauważyłam.

- A skąd ty znasz Red Hot Chili Peppers? - spytało kilka głosów.

- Nie znam. - Mama wyglądała na zakłopotaną. Prawdę mówiąc, wyglądała na całkiem zdenerwowaną.

- Dajcie popatrzeć - rzekła Helen. - Ten w czerni? Z długimi włosami? Wygląda na bardzo, bardzo złego człowieka -powiedziała przeciągle.

- Zabawne - odparłam - ponieważ jest bardzo dobry.

- Jak się czujecie? - zapytał Gaz. - Jakież bóle głowy? Problemy z zatokami?
- Odejdź - odparła mama.

Rachel ostrzegła Gaza, żeby nikomu nie proponował akupunktury, a on przyrzekł, iż nie będzie tego robić, chyba że zaistnieje nagła potrzeba, lecz mimo jego usilnych starań, by je wywołać, żadne nagłe potrzeby się nie pojawiły.

- Idź stąd, daj spokój sobie i swoim igłom. Nie zwracaj ludziom głowy. Zaczynają się tańce.

- W porządku, mamó Walsh. - Gaz wycofał się ze smutkiem i woreczkiem z igłami, niemal przewracając grupę dziewczynek, którym pozwolono odejść od dziecięcego stołu.

Francesca dopadła mnie.

- Ciociu Anno, ja będę tańczyć z tobą, bo twój mąż zmarł i nie masz nikogo do tańca - powiedziała, biorąc mnie za rękę, i dodała: a Kate zatańczy z Jacqui, bo ona będzie miała dziecko, a nie ma chłopaka.

- Hm, dziękuję.

- Poczekajcie! - zawołała mama. - Ja też idę się pogibać.

- Nie mów „pogibać”! - powiedziała Helen z wyrazem udreki. - To okropne słowo. Jakbym słyszała Tony'ego Blaira.

- Tato? - zapytałam. - Zatańczysz?

Ostrożnie pokręcił głową. Jego twarz była biała jak ściana.

- Chyba powinniśmy sprowadzić lekarza - powiedziałam cicho. - Zatrucie pokarmowe może być niebezpieczne.

- On się nie zatrul, to tylko nerwy! Ruszamy na parkiet!

Łącząc siły z Jacqui i Kate, wzięłyśmy się za ręce. Dołączyła do nas Helen, potem Claire, a następnie Maggie z małą Holly i wreszcie Rachel. Byłyśmy dziewczęcym kręgiem w roztańczonych eleganckich strojach; szczęśliwym, uśmiechniętym, śmiejącym się i pięknym. Ktoś podał mi małą Holly i wirowały-

śmy razem, obracane pomocnymi rękami moich sióstr. Obracając się obok ich promiennych twarzy, przypominałam sobie coś, o czym bezwiednie zapomniałam: Aidan nie był jedynym człowiekiem, którego kochałam; kochałam również innych ludzi. Kochałam swoje siostry, kochałam mamę, kochałam tatę, kochałam siostrzenice, kochałam siostrzeńców, kochałam Jacqui. W tym momencie kochałam wszystkich.

Później muzyka nagle się zmieniła z Kylie na Led Zeppelin i na parkiet rzucili się Prawdziwi Mężczyźni. Było ich mnóstwo i nagle wokół rozkołysały się długie pasma włosów i z werwą zagrały wyimaginowane gitary. W końcu utworzył się pusty krąg wokół Shake'a; dawali mu pole do popisu.

Shake grał i grał, opadając na kolana, odchylając się do tyłu, z głową niemal na podłodze i twarzą będącą obrazem ekstazy, gdy przebierał palcami na wysokości krocza.

- Czy to nie wygląda, jakby... on... siebie? - mruknęła mama.
- Co?
- Jakby grał... bawił się sobą. No wiesz.
- Masz obsesję - powiedziała Helen. - Jesteś gorsza niż my wszyscy razem wzięci.

Rozdział 15

- Tu Neris Hemming, słucham.
- Mówi Anna Walsh. Dzwonię w sprawie kontaktu. - Byłam ciekawa. Ciekawa, ale nie miałam nadziei. No dobrze, może trochę jej miałam.

W słuchawce zapadła cisza. Czy znowu powie mi, żebym się odpieprzyła?
Następni budowlańcy? Po chwili się odezwała.

- Anno, teraz... łączę się... tak... jest tu ze mną jakiś mężczyzna. Młody mężczyzna. Ktoś, kto został zabrany przed czasem.

Cóż, plus za to, że nie próbuje zbyć mnie jakimś zmarłym dziadkiem, ale kiedy dokonywałam pierwszej rezerwacji, powiedziałam sekretarce przyjmującej zgłoszenie, że umarł mi mąż. Kto uwierzy, że nie przekazała Neris tej informacji?

- Bardzo go kochałaś, prawda, kochanie?

A z jakiego innego powodu starałabym się z nim kontaktować?

- Prawda, kochanie? - powtórzyła, gdy nie odpowiedziałam.

- Tak - wydusiłam, zawstydzona, że płaczę, skoro byłam tak okrutnie manipulowana.

- On mówi, że też cię bardzo kocha.

- Dobrze.

- Był twoim mężem, prawda?

- Tak. - Cholera, nie powinnam jej tego mówić.

- I umarł po... chorobie?

- Wypadek samochodowy.

- Tak, wypadek, w którym odniósł ciężkie obrażenia, co spowodowało, że umarł - powiedziała zdecydowanie.

- Skąd wiesz, że to naprawdę on?

- Ponieważ tak twierdzi.

- Tak, ale...

- Wspomina jakieś wakacje, na które zabra cię... nad ocean?

Pomyślałam o naszym wyjeździe do Meksyku. Ale któż nie spędził wakacji w Meksyku z własnym mężem? Nawet jeśli była to tylko przyczepa kempingowa na dzikiej plaży.

- Widzę obraz błękitnego morza, błękitnego, niemal bezchmurnego nieba i białej piaszczystej plaży. Drzewa. Prawdopodobnie palmy. Świeże ryby, odrobina rumu. - Zaśmiała się. - Brzmi prawdziwie?

- Tak. - Chciałam zapytać, jaki to ma sens. Tequila, rum, to były wakacyjne drinki.

- Ach, on mi przerywa. Ma dla ciebie wiadomość.

- Słucham.

- Mówi, żebyś dłużej go nie opłakiwała. Jest w lepszym miejscu. Nie chciał cię opuścić, ale musiał i teraz tam, gdzie jest, jest szczęśliwy. I chociaż nie możesz go zobaczyć, on zawsze jest przy tobie. Zawsze jest z tobą.

- W porządku - powiedziałam niemądrze.

- Masz jakieś pytania? Postanowiłam ją przetestować.

- Tak. Chciał mi coś powiedzieć. Co to było?

- Nie opłakuj go dłużej, jest w lepszym miejscu...

- Nie, to było coś, co chciał mi powiedzieć, zanim umarł.

- Właśnie to chciał ci powiedzieć. - W jej głosie brzmiało zimne: „Nie pieprz, mała”.

- Jak mógł chcieć przed śmiercią powiedzieć mi, że idzie do lepszego miejsca?!

- Miał przeczucie.

- Nie, nie miał.

- Moja droga, jeśli nie chcesz...

-...ty w ogóle z nim nie rozmawiasz. Mówisz to, co pasuje do każdego.

- Robił ci śniadania - wyrwało jej się, a zabrzmiało to, jakby była... zaskoczona?

Ja też byłam zaskoczona... ponieważ to była prawda! Wspomniałam kiedyś, że lubię owsiankę, a Aidan zapytał, czy „owsianka” oznacza to samo co „płatki”. Powiedziałam, że chyba tak, a następnego ranka zastałam go stojącego przy naszej rzadko używanej kuchni i mieszającego coś w rondlu. „Płatki - powiedział - czyli owsianka, jeśli wolisz. Ponieważ nie możesz jeść obiadów z tymi przerażającymi damami, bo się boisz, że cię osądzą, więc masz coś teraz”.

- Mam rację, prawda? Każdego ranka robił ci śniadanie?

- Tak - przyznałam słabo.

- On cię naprawdę kochał, moja droga.

Kochał mnie. Przypomniałam sobie, o czym zapomniałam: sześć razy dziennie mówił, jak bardzo mnie kocha. Wkładał miłosne liściki do moich torebek. Próbował nawet namówić mnie na kurs samoobrony, mówiąc: „Nie mogę być przy tobie w każdej sekundzie i gdyby coś ci się stało, tobym się zastrzelił”.

- Nieprawdaż, kochanie? - podpowiadała Neris.

- Co zwykle przygotowywał mi na śniadanie? - Gdyby zdołała odpowiedzieć na to pytanie, uwierzyłabym jej.

- Jajka - odpowiedziała śmiało.

- Nie. Pauza. Musli?

- Nie.

- Pieczone mufinki?

- Nie, dajmy temu spokój. Oto coś znacznie łatwiejszego: jak miał na imię?

Chwila milczenia.

- Widzę literę L.

- Nie.

-R?

- Nie.
- M?
- Nie.
- B?
- Nie.
- A?
- No dobrze. Tak.
- Adam?
- To imię chłopaka mojej siostry.
- Ach tak, oczywiście! On jest tu ze mną i mówi...
- On nie umarł. Żyje, mieszka w Londynie i teraz prawdopodobnie coś prasuje.
- Aaron?
- Nie.
- Andrew?
- Nie. Nigdy tego nie zgadniesz.
- Powiedz mi.
- Nie.
- Doprowadza mnie to do szaleństwa!
- To dobrze. - Odłożyłam słuchawkę.

Rozdział 16

Mitch wyglądał jak inny człowiek. Dosłownie jak inny człowiek. Okazał się wyższy i tak pewny siebie, że niemal zawadiacki. Nawet jego twarz miała inny odcień. Sześć, siedem, osiem miesięcy temu nie zdawałam sobie sprawy, że wy-

gląda szaro i sztywno. Uświadomiłam to sobie dopiero teraz, gdy stracił tę straszną sztywność i ożywił się, a jego twarz nabrała koloru.

Zauważył mnie i uśmiechnął się szeroko. Prawdziwy klubowy dandys, a takich upodobań nigdy wcześniej w nim nie widziałam.

- Witaj, Anno, wyglądasz wspaniale! - Jego głos również był bardziej donośny niż dawniej.

- Dziękuję.

- Naprawdę. Nie wyglądasz już jak ogłuszona foka.

- Wyglądałam jak ogłuszona foka? - Tego nie wiedziałam. Roześmiał się.

- Ja też nie wyglądałem zbyt dobrze, prawda? Chodzący trup.

Zadzwoiłam do niego po rozmowie z Neris Hemming; chciałam uzyskać odpowiedź na kilka pytań. Oświadczył, że jest zachwycony, iż mnie słyszy, i zaproponował, abyśmy poszli razem na kolację.

- Tędy. - Wprowadził mnie do restauracji.

- Stolik dla dwojga? - zapytała dziewczyna przy wejściu. Mitch odpowiedział z uśmiechem.

- Wolelibyśmy łożę.

- Jak wszyscy.

- Tak sędzę - przyznał jej rację ze śmiechem - ale proszę sprawdzić, czy może pani coś zrobić.

- Zobaczę - odparła niechętnie dziewczyna - ale może będziecie musieli poczekać.

- Dobrze.

Znów się uśmiechnął. Flirtował z nią. Poskutkowało. Pomyślałam, że wcześniej nie znałam tego człowieka. Zauważyłam coś jeszcze.

- Nie masz swojej torby! Pierwszy raz widzę cię bez niej.

- Naprawdę? - Wydawał się ledwie ją pamiętać. - Ach tak - rzekł powoli. - To prawda. Wtedy prawie mieszkałem w siłowni. Dziś wydaje się to takie odległe.

Ponadto w ciągu ostatnich pięciu minut powiedziałeś więcej niż przez wszystkie miesiące naszej znajomości.

- Nie rozmawiałem?

- Nie.

- Ależ ja uwielbiam rozmawiać. Dziewczyna wróciła.

- Macie łóżę.

- Naprawdę? Dziękuję - powiedział serdecznie. – Bardzo dziękuję.

Zarumieniła się.

- Cała przyjemność...

Zatem prawdziwy Mitch potrafił każdego oczarować. Kto by pomyślał? Co rusz odkrywałam w nim coś zaskakującego.

- Muszę ci zadać jedno pytanie - powiedziałam, gdy złożyliśmy zamówienie.

- Zatem pytaj.

- Czy rozmawiając z Neris Hemming, naprawdę wierzyłeś, że ona kontaktuje się z Trish?

- Tak... - Zawahał się. Był zakłopotany. - Wiesz... - Wydał z siebie krótki śmiech. - Widzisz, ja wtedy straciłem rozum. Spoglądając wstecz, widzę, że naprawdę zwariowałem. Pragnąłem w to wierzyć. - Wzruszył ramionami. - Może skontaktowała się z Trish, a może nie. Wiem tylko, że wtedy to na mnie podziało i prawdopodobnie powstrzymało mnie od całkowitego przekroczenia krawędzi.

- Powiedziałeś mi, iż odgadła wasze przydomki. Te zdrobnienia, jakimi zwracaliście się do siebie. Jak one brzmiały?

Kolejne wahanie i kolejny zakłopotany śmiech.

- Mitchie i Trixie. Mitchie i Trixie?

- Domyśliłabym się tego bezpłatnie.

- Tak... Cóż, jak powiedziałem, wtedy tego potrzebowałem.

- Jak się teraz czujesz?

Zastanawiał się nad tym, patrząc gdzieś w dal.

- Czasami jest okropnie, czasami wydaje się, jakby ten dzień trwał znowu. Ale kiedy indziej czuję się dobrze. To prawda, że jej życie nie zostało przerwane, tylko dopełnione. A kiedy tak myślę, wydaje mi się, że pewnego dnia będę mógł znowu żyć bez tego dręczącego mnie poczucia winy.

- Czy nadal próbujesz... no, wiesz... kontaktować się z Trish?

Pokręcił głową.

- Wciąż z nią rozmawiam i wszędzie ją widzę, ale wiem, że odeszła, a ja, z jakiegoś powodu, nadal tu jestem. Tak samo jest z tobą. Nie wiem, czy kiedykolwiek skontaktujesz się z Aidanem, ale z tego, co widzę, żyjesz. Masz życie przed sobą.

- Może. Tak czy inaczej, nie chodzę do żadnych „mediów” i osób o nadprzyrodzonych zdolnościach - odparłam. - To był po prostu pewien etap.

- Cieszę się, że to słyszę. Powiedz, masz wolne niedzielne popołudnie? Znam milion wspaniałych miejsc, do których moglibyśmy pójść. Co myślisz o wystawie „Imigranci w przemyśle odzieżowym”? Albo o planetarium? Albo o bingo, może poszlibyśmy zagrać w bingo?

Bingo. Podobało mi się brzmienie tego słowa.

Rozdział 17

- Spójrz! - Jacqui zadarła do góry spódnicę i opuściła majtki.

Odwróciłam wzrok.

- Ależ nie, patrz, patrz! - powiedziała. - To ci się spodoba. Zrobiłam sobie brazylianę i pewien specjalny drobiazg. Widzisz? - Wygięła się tak, abym mogła spojrzeć pod jej duży brzuch. Na nagim wzgórkę łonowym widniała filigranowa diamentowa różyczka. - Będziemy mieć coś ładnego do oglądania podczas porodu.

Ilekoć wymawiała słowo „poród”, kręciło mi się w głowie. Boże, proszę cię, spraw, żeby nie było to zbyt okropne. Miała rodzić 23 kwietnia, za niecałe dwa tygodnie, więc nocowałam u niej, na wypadek gdyby wszystko rozpoczęło się w środku nocy.

- Spójrzmy prawdzie w oczy, to konieczne - mówiła. - Wydaje się, że żadna kobieta nie rodzi w dogodnym terminie, jakim byłaby godzina dziesiąta czterydzieści pięć w sobotę rano. Zawsze jest to jakaś okropna godzina w środku nocy.

Jej ukochana walizeczka na kółkach stała przy drzwiach, kryjąc w sobie szetkę kąpielową Lulu Guinness, dwie zapachowe świece Jo Malone, iPod, kilka nocnych koszul Mari-mekko, aparat fotograficzny, lawendową maseczkę do oczu, lakier do paznokci na wypadek, gdyby jej mani-pedi popekał, „kiedy będzie przeć”, przyrząd do wybielania zębów, żeby wypełnić czas, ponieważ „być może będzie musiała trochę go tam spędzić”, trzy dziecięce ubranka Versacego i najnowszy obrazek z badania USG. Inne wisiały na ścianie. To mi o czymś przypomniało...

Przed wypadkiem byłam prawdziwą hipochondryczką. Nie udawałam, że jestem chora, ale kiedy zdarzało się, że chorowałam, byłam tym bardzo zainteresowana i próbowałam wciągać Aidana w ten „dramat”. Jeśli bolał mnie ząb, zdawałam mu regularne sprawozdania z przebiegu tej dolegliwości. „Teraz czuję inny rodzaj bólu” relacjonowałam. „Pamiętasz, jak mówiłam, że to ból ćmiący? Teraz się zmienił. Jest ostrzejszy”. Aidan, przyzwyczajony do mnie i mojego dramatyzowania, mówił: „Ostrzejszy? To coś nowego”.

Mniej więcej półtora roku temu nawet złamałam sobie kość. Szukając czegoś, szperałam w szafkach i odwracając się zbyt szybko, uderzyłam palcem o szufladę i złamałam go.

- O Jezu! O Boże! Mój palec! To okropne! - zaczęłam jęczeć.

- Usiądź - powiedział Aidan. - Pokaż, który?

Wziął mój palec i - wiem, że zabrzmiało to trochę dziwnie - włożył go sobie do ust. Jego mama postępowała tak zwykle z nim i Kevinem, kiedy byli mali, i teraz Aidan postępował tak ze mną, ilekroć skaleczyłam sobie jakąś część ciała. (Zdaje się, że miałam bardzo podatne na wszelkie wypadki krocze). Zamykałam oczy i czekałam, aż żar jego ust przyniesie skutek w postaci ustąpienia bólu.

- Lepiej?

- Prawdę mówiąc, nie. Dziwne, bo zwykle działało.

- To niedobrze, trzeba będzie uciąć.

Na naszych oczach palec puchł i pęczniał jak rosnący bochenek chleba na przyspieszonym filmie. Jednocześnie jego kolor zmienił się z czerwonego na tak siny, że niemal czarny.

- Chryste - rzeki Aidan - naprawdę jest źle. Chyba jednak trzeba będzie go uciąć. Lepiej zawiozę cię do szpitala.

Wskoczyliśmy do taksówki. Moja dłoń leżała na kolanach jak chory króliczek. W szpitalu zabrano mnie na prześwietlenie i byłam zachwycona - tak, przyznaję - zachwycona, gdy lekarz, oglądając kliszę, powiedział:

- Tak... złamanie liniowe drugiego kłykcia.

Chociaż nie włożono mi go w gips, tylko w coś łupkowate-go, przyjemne było to, że nie zlekceważono mnie jako symulantki. Miałam złamanie. Nie był to zwykły siniak ani nawet zwichnięcie (czy wybicie - nie jestem pewna, czy to oznacza to samo, a jeśli nie, to co jest poważniejsze), ale złamanie!

Później, gdy wszyscy patrzyli na moje łupki i pytali, co się stało, Aidan zawsze odpowiadał w moim imieniu: slalom narciarski, ścięła jeden ze słupków; albo: wspinaczka wysokogórska, mała lawina uderzyła ją w rękę. Do mnie zaś mówił: „Cóż, to brzmi lepiej niż odpowiedź: szukałam swoich niebieskich butów”.

W szpitalu dano mi dwie klisze rentgenowskie, które zabrałam do domu i, będąc hipochondryczką, studiowałam uważnie. Unosiłam je do światła i zachwycałam się długością i smukłością swoich palców pod mięśniami i skórą, czemu Aidan przyglądał się z pobłażaniem.

- Widzisz tę cienką linię na moim palcu? - powiedziałam, zbliżając kliszę do twarzy. - Wygląda jak włos, a powoduje tyle bólu. - Nagle zaniepokojona, dodałam: - Nie opowiadaj o tym nikomu.

Kilka dni później wrócił z pracy przede mną, co było niezwykłym wydarzeniem, wnosząc atmosferę tłumionej ekscytacji.

- Niczego nie zauważyłaś? - zapytał.

- Uczesałaś się?

Potem to zobaczyłam. A właściwie: zobaczyłam je. Moje klisze rentgenowskie. Wiszące na ścianie. W ramach. Pięknych, sztucznie postarzanych złotych ramach, jakby miały zawierać dzieła dawnych mistrzów zamiast moich upiornie czarno-białych, patykowatych palców.

Chwyciłam się za brzuch i padłam na kanapę. Nie miałam siły, żeby stać. Było to takie śmieszne, że nawet nie mogłam się śmiać. Wreszcie jakiś dźwięk przedarł się przez mój trzęsący się ze śmiechu żołądek i falujący tors, by wyrwać się w formie wysokiego pisku. Spojrzałam na Aidana, który trzymał się ściany; śmiał się tak, że łzy płynęły mu z oczu.

- Ty cholerny draniu - zdołałam wreszcie wykrztusić.

- Ale to nie wszystko - wysapał. - Anno, to nie wszystko. Spójrz, spójrz.

Położył się ze śmiechu, a potem wyprostował się, otarł twarz i powiedział:

- Patrz!

Włączył jakieś światło i nagle moje dwie klisze zajaśniały, olśniewając w glorii, jakby były na szpitalnej przeglądarce.

- Rozjaśniłem. - Aidan szlochał ze śmiechu. - Facet, który je oprawiał, powiedział, że mogę je rozjaśnić, więc... więc... więc... rozjaśniłem.

Wyłączył je, a potem znowu włączył.

- Widzisz? Świecą.

- Przestań - błagałam, zastanawiając się, czy naprawdę można umrzeć ze śmiechu. - Proszę cię, przestań.

Kiedy byłam już w stanie cokolwiek powiedzieć, poprosiłam, by znów je rozjaśnił.

Włączał je i wyłączał kilka razy, a mnie opływały następne fale wesołości, i kiedy byliśmy już ostatecznie wyczerpani ze śmiechu i zwinęliśmy się na kanapie, Aidan zapytał:

- Podoba ci się?

- Bardzo. To najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam.

Rozdział 18

- Jacqui? Jacqui?

- Jestem tutaj! - zawołała. -Gdzie?

- W kuchni.

Podążyłam za jej głosem i zastałam ją na czworakach z miską mydlin.

- Co ty, u licha...?

- Szoruję kuchenną podłogę. Łazienkową gąbką, zauważyłam.

- Ależ jesteś w czterdziestym tygodniu ciąży. W każdej chwili możesz urodzić dziecko. A poza tym masz sprzątaczkę.

- Mam taką zachciankę - powiedziała wesoło. Patrzyłam na nią z powątpiewaniem. W szkole rodzenia

niczego nie mówiono o szorowaniu kuchennej podłogi.

- A poza tym, że najwyraźniej straciłaś rozum, jak się czujesz? - zapytałam.

- Miło, że zapytałaś. Przez cały dzień mam kłucia.

- Kłucia?

- Bóle, chyba tak można by je nazwać - powiedziała niemal zakłopotana. - W plecach i w głębi tyłka.

- Skurcze Braxtona Hicksa - powiedziałam stanowczo.

- Żadne skurcze Braxtona Hicksa - odparła. - Hicksy mijają, kiedy robi się coś fizycznego.

- Założę się, że to były skurcze Braxtona Hicksa - upierałam się.

- A ja się założę, że nie, a ponieważ ja jestem tą osobą, która je dostaje, więc chyba wiem lepiej.

Najpierw spostrzegłam jej dłoń, która zaczęła się zamykać, aż zacisnęła się tak mocno, że skóra na kostkach zrobiła się biała. Potem zobaczyłam, że jej twarz jest skrzywiona, a ciało wygięło się i skręciło.

Przerażona, podbiegłam bliżej.

- Ukłucia?

- Nie. - Pokręciła głową. Twarz jej poczerwieniała. - To straszne.

Wyglądała tak, jakby była umierająca. Już miałam dzwonić po pogotowie, gdy spazm zaczął ustępować.

- O mój Boże - wysapała, leżąc na podłodze. - Chyba miałam skurcz.

- Skąd wiesz? Opisz go.

- Boli!

Chwyciłam jedną z owych pomocnych broszur, które nam dano, i czytałam:

- Czy to „zaczyna się z tyłu i zmierza ku przodowi ruchem falistym”?

-Tak!

- O cholera, to chyba prawdziwy skurcz! - Nagle się przeraziłam. - Urodzisz dziecko!

Coś przykuło mój wzrok: na czystej kuchennej podłodze rozszerzała się kałuża wody. Czyżby kopnęła miskę z mydlinami?

- Anno - szepnęła Jacqui - czy odeszły mi wody? Myślałam, że zemdleję. Ta woda wypływała spod spódnicy Jacqui.

W nagłym wybuchu wzburzenia zaczęłam ją oskarżać.

- Co ci przyszło do głowy, żeby myć tę cholerną podłogę? Zobacz, co się stało!

- Ale to się musiało stać - powiedziała. - Wody musiały odejść.

Miała rację. O mój Boże, odeszły jej wody. Ona naprawdę miała urodzić dziecko. Wszystkie nasze wcześniejsze przygotowania nagle przestały się liczyć.

Skupiłam się tylko na tym, żeby zadzwonić do szpitala.

- Jestem porodową partnerką Jacqui Staniforth, chociaż nie jesteśmy „wesołymi dziewczynkami”, i właśnie odeszły jej wody i ona rodzi - mówiłam gorączkowo.

- Jak częste są skurcze?

- Nie wiem. Miała dopiero jeden. Ale to było straszne.

Z drugiej strony dobiegło mnie coś, co podejrzenie przypominało chichot.

- Zmierzcie częstotliwość skurczów, a kiedy będą się pojawiać co pięć minut, przyjedźcie.

Odłożyłam słuchawkę.

- Musimy mierzyć częstotliwość skurczów. Stoper! Gdzie jest stoper?!

- Z całym ekwipunkiem porodowym.

Wolałabym, żebyśmy nie musiały wciąż powtarzać słowa „poród”. Znalazłam stoper i usiadłam obok Jacqui na kuchennej podłodze.

- Okay. Kiedy tylko zechcesz. No dalej, start! Mierzmy skurcze.

Wpadłyśmy w nerwowy chichot.

-Przynajmniej nie miałam tego śmiesznego momentu odchodzenia wód - powiedziała Jacqui.

- O czym ty mówisz?

- Wiesz, w filmach wody płodowe zawsze wylewają się na czyjś naprawdę drogi dywan albo na nowe zamszowe buty. Hugh Grant zwykle w nich gra. „Och! Ach! O Boże!” No wiesz, takie sceny. A tak z czystej ciekawości: czy jest jakiś szczególny powód, dla którego siedzimy na mokrej podłodze?

- Nie, chyba nie.

Wstałyśmy, Jacqui się przebrała i miała dwa kolejne skurcze. Co dziesięć minut, ustaliłyśmy.

- Co dziesięć minut - ponownie zadzwoniłam do szpitala.

- Mierzcie je nadal i przyjeździe, kiedy będą się pojawiały co pięć minut.

- A co mamy robić do tego czasu? Strasznie ją boli!

- Masuj jej plecy, użyj swojego aparatu do masażu, każ jej wziąć ciepłą kąpiel, spacerujcie.

Ja to wszystko już wiedziałam, ale prawdziwa panika wywołana rozpoczynającym się porodem sprawiła, że zapomniałam.

Tak więc masowałam plecy Jacqui i oglądałyśmy *Wpływ księżyca*, zatrzymując film przy każdym skurczu, aby Jacqui niczego nie straciła.

- Wyobrażaj sobie - przypominałam jej, ilekroć jej ciało ogarniał spazm, a kości moich rąk rozgniatała niemal na kawałeczki. - Ten ból jest wielką złotą kulą energii. No dalej, Jacqui: wielka złota kula energii. Powtarzaj za mną.

- Powtarzać za tobą?! Czy my jesteśmy w jakimś reality show?!

- Daj spokój - nalegałam i razem to powtarzałyśmy. - Wielka złota kula energii wielka złota kula energii, wielka złota kula energii...

Następnie obejrzałyśmy *Przeminęło z wiatrem* i kiedy Melania zaczęła rodzić (znow to słowo), Jacqui zapytała:

- Dlaczego kobiety zawsze gotują wodę i drą prześcieradła, kiedy rodzą dzieci?

- Nie wiem. Chyba, żeby zająć czymś myśli. Wtedy jeszcze nie było DVD. Mogłybyśmy podrzeć twoje, jeśli chcesz. Nie? W porządku. O Boże, znowu! Wielka złota kula energii! Wielka złota kula energii!

O pierwszej w nocy skurcze pojawiały się co siedem minut.

- Wchodzę do wanny - oświadczyła Jacqui. - Może to złagodzi ból.

Siedziałam z nią łazience i włączałam relaksującą muzykę.

- Wyłącz ten wrzask - zażądała Jacqui. - Lepiej zaśpiewaj jakąś piosenkę.

- Jaką piosenkę?

- O tym, jakim dupkiem jest Joey.

- Jeśli nie będziesz miała nic przeciwko temu - powiedziałam po zastanowieniu - że piosenka nie będzie miała rymu.

- Ani trochę.

- Joey, Joey jest dupkiem. Ma ponurą twarz i idiotyczne buty - śpiewałam. - Chodziło ci o coś takiego?

- Śliczne, tak. Dalej.

- Gdy wszyscy inni są szczęśliwi, Joey jest markotny. Nie rozpoznałby szczęścia, gdyby wyskoczyło na tego chłopaka. Teraz wszyscy razem: Joey, Joey jest dupkiem.

Jacqui się przyłączyła i śpiewałyśmy razem:

- Ma ponurą twarz, a jego buty są idiotyczne.

- Joey nie umie się uśmiechać, a od szczęścia ucieka na milę! Dobrze, teraz chór: *JOEY, JOEY JEST DUPKIEM. MA PONURĄ TWARZ I IDIOTYCZNE BUTY.*

Tak minęło nam dobre czterdzieści pięć minut. Ja śpiewałam zwrotki, a Jacqui włączała się jako chórek. Potem sama skomponowała kilka zwrotek. Była to świetna zabawa, zakłócana jedynie przez skurcze Jacqui, które wciąż pojawiały się co siedem minut. Czy kiedykolwiek osiągniemy magiczną liczbę pięciu?

Chyba musisz trochę pochodzić - powiedziałam. Instruktorka mówiła, że powinniśmy wykorzystać siłę przyciągania. To może przyspieszyć sprawę.

- Myślisz o wyjściu z domu? Dobrze, tylko pozwól, że zrobię makijaż. Ani słowa! - Podniosła dłoń, odrzucając wszystkie moje obiekcje.

-Ale...

- Nic z tych rzeczy! Odmawiam obniżenia poziomu tylko dlatego, że rodzę dziecko. Idziemy!

Ciemne ulice były spokojne. Spacerowałyśmy, trzymając się pod rękę.

- Opowiedz mi coś - poprosiła Jacqui. - Opowiedz mi coś miłego

- Co?

- Opowiedz mi, jak zakochałaś się w Aidanie.

W jednej chwili ogarnęły mnie uczucia tak mieszane, że nie mogłabym ich nazwać. Był wśród nich smutek i może trochę goryczy, choć już nie tyle, ile bywało. Ale było też coś jeszcze; coś przyjemniejszego.

- Proszę cię - powiedziała Jacqui. - Rodzę, a nie mam faceta.

Zgodziłam się z ociąganiem.

-No dobrze. Na początku mówiłam to głośno. Mówiłam: „Kocham Aidana Maddoksa, a Aidan Maddox kocha mnie". Musiałam słyszeć siebie mówiącą te słowa, bo było to tak bajeczne, że nie mogłam w to uwierzyć.

- Ile razy dziennie mówił, że cię kocha¹;

- Sześćdziesiąt.

- No, nie. Pytam poważnie.

- Mówię poważnie: sześćdziesiąt.

- Skąd wiedziałaś? Liczyłaś?

- Nie, ale on liczył. Mówił, że nie mógłby spokojnie spać, gdyby nie powiedział mi tego sześćdziesiąt razy.

- Dlaczego sześćdziesiąt?

- Bo powiedział, że więcej przewróciłoby mi w głowie.

- Ojej. Zaczekaj. - Chwyciwszy mocno jakąś balustradę, jęczała i dyszała przy następnym skurczu. Potem się wyprostowała i poprosiła: - Opowiedz mi pięć miłych rzeczy o Aidanie. No, dalej - nalegała, gdy wyglądało na to, że odmówię. - Pamiętaj, rodzę i nie mam faceta.

- Zawsze dawał dolara menelom - powiedziałam niechętnie.

- Opowiedz o czymś bardziej interesującym.

- Nie mogę sobie przypomnieć.

- Możesz.

Cóż, mogłam, ale to było trudne do opowiadania. Gardło ścisnęło mi się boleśnie.

- Pamiętasz, jak wyskoczyła mi opryszczka na brodzie? Pewnej nocy leżeliśmy w łóżku, światło było zgaszone i właśnie zamierzałam zasnąć, kiedy zaczęła mnie swędzieć broda. Gdybym natychmiast nie posmarowała jej specjalną maścią, rano wyglądałabym jak trędowata, a następnego dnia byłam umówiona na lunch z dziewczynami z „Marie Claire”. Ale nie miałam tego leku, więc Aidan wstał, ubrał się i poszedł szukać całodobowej apteki. A to był grudzień, padał śnieg i było zimno, ale on był taki kochany, że nie pozwolił mi iść ze sobą, bo nie chciał, żebym dostała również grypy... - Nagle zaczęłam konwulsyjnie szlochać. Płakałam tak strasznie, że musiałam przechylić się przez jakąś barierkę, zupełnie

jak Jacqui w swoich skurczach. Szlochałam i szlochałam, przypominając sobie, jak Aidan wychodzi na mróz. Szlochałam tak bardzo, że zaczęłam się dusić.

Jacqui masowała mi plecy i kiedy ów potop łez przeminął, pogłaskała moją dłoń i mruknęła:

- Grzeczna dziewczynka, jeszcze trzy.

Cholera. Myślałam, że mi odpuści, skoro jestem w takim stanie.

- Chodził ze mną na zakupy po ciuchy, chociaż czuł zakłopotanie w babskich sklepach.

- Tak. Prawda.

- Wspaniale parodiował Humphreya Bogarta.

- Faktycznie, świetnie to robił! I to nie tylko głosem! Umiał robić coś takiego z górną wargą, że naprawdę był do niego podobny.

- Tak, przyklejał sobie coś do górnych zębów! To było fantastyczne!

- Okay, przypomniało mi się coś jeszcze - powiedziała Jacqui. - Pamiętasz, że kiedy z nim zamieszkałaś, on na pocieszenie pomógł mi się przeprowadzić do nowego mieszkania? Wynajął furgonetkę, jeździł nią i wnosił wszystkie moje rzeczy. Pomógł mi nawet wysprzątać to nowe mieszkanie, a ty chwyciłaś mnie za gardło i powiedziałaś: „Jeśli z tego powodu powiesz, że jest Głaszczącym Piórkiem, to cię znienawidzę”. A ja byłam zmieszana, bo mimo że wyglądało to na „piórkowe” zachowanie, czyniło go jeszcze bardziej seksownym „macho”, i powiedziałam ci wtedy: „Ten facet nie ma w sobie ani odrobiny Głaszczącego Piórka i musi cię naprawdę kochać”.

- Pamiętam.

Westchnęła i pogrążyła się w milczeniu, a potem powiedziała:

- Byłaś taka szczęśliwa. Tak, byłam.

Nie zabiło mnie, że to powiedziałam. Nie poczułam żadnej fali goryczy. Po prostu pomyślałam: tak, byłam taka szczęśliwa.

- Nadchodzi skurcz! - Jacqui przykucnęła na frontowych schodach jakiejś kamienicy, gdyż chwycił ją spazm. - O Boże, o Boże, o Boże!

- Oddychaj! Wyobrażaj sobie! O Chryste, wracamy!

Jacqui zsunęła się ze schodka i zwinęła na trotuarze. Jęczała z bólu, a ja przykucnęłam nad nią, pozwalając, by ścisnęła moje kostki. Kątem oka zauważyłam, że przyciągnęliśmy uwagę przejeżdżającego radiowozu. Podjechał i wyszło z niego dwóch gliniarzy ze skrzeczącymi radiotelefonami. Jeden z nich wyglądał tak, jakby żywił się samymi pączkami z lukrem, ale drugi był wysoki i przystojny.

- Co się dzieje? - zapytał Pączek.

- Ona rodzi.

Obaj spojrzeli na Jacqui zwijającą się na chodniku.

- Czy nie powinna być w szpitalu? - zapytał Przystojniak. Wydawał się głęboko zatroskany i jeszcze bardziej przystojny.

Dopiero kiedy skurcze będą następować co pięć minut -odparłam. - Możecie w to uwierzyć? To barbarzyństwo. Czy to boli? - zapytał Pączek nerwowo.

- Ona rodzi! - rzucił Przystojniak. - Pewnie, że to boli! Skąd wiesz?! - wrzasnęła Jacqui. - Ty... ty... mężczyzno!

- Jacqui? - zapytał zdumiony Przystojniak. - To ty???

- Karl? - Jacqui podciągnęła się na plecy i uśmiechnęła z wdziękiem. - Miło widzieć cię znowu. Jak się masz?

- Dobrze, dobrze. A ty?

- Pięć minut! - zawołałam, spoglądając na stoper. - Teraz następują co pięć minut! Jedziemy!

Rozdział 19

Jacqui przebrała się w elegancką suknię podróżną Diane von Fürstenberg. Ze swoją walizką na kółkach wyglądała, jakby zamierzała jechać na wakacje do St. Barts.

- Daj mi to. - Chwyciłam walizkę. - Jedziemy. Na ulicy zatrzymałyśmy tak-sówkę.

- Nie panikuj - powiedziałam do kierowcy - ale ona rodzi. Jedź ostrożnie.

Potem zwróciłam się do Jacqui.

- Skąd znasz tego człowieka? Tego policjanta Karla?

- Pracowaliśmy razem przy jednej z wizyt Billa Clintona. - Stęknęła, gdyż zbliżał się kolejny skurcz. - Zajmował się ochroną.

- Przystojny, prawda?

- Głaszczące Piórko.

- W jakim sensie?

- Zbyt miły.

Zanim dotarliśmy na szpitalny oddział położniczy, skurcze następowały co cztery minuty. Pomogłam Jacqui zdjąć jej piękną suknię i ubrać się w okropną koszulę, a potem zjawiała się pielęgniarka.

- Och, dzięki Bogu! - wykrzyknęła Jacqui. - Szybko, szybko, epidural!

Pielęgniarka zbadała Jacqui i pokręciła głową.

- Za wcześnie. Za małe rozwarcie.

- Ależ z pewnością jest już duże! Przecież rodzę od wielu godzin. Cierpię!

Pielęgniarka obdarzyła ją protekcyjnym uśmiechem, który mówił, że miliony kobiet cierpią tak każdego dnia, po czym wyszła.

- Założę się, że gdyby była mężczyzną, tobyś jej dała ten epidural! - krzyknęłam za nią.

- O Boże, znowu - jęczała Jacqui. - O Boże, o Boże! Ja chcę epidural! Ja żądam epiduralu! Mam do niego PRAWO!

To natychmiast sprowadziło pielęgniarkę z powrotem.

- Denerwuje pani kobiety w basenach porodowych. Jest za wcześnie na epidural. On spowolni akcję porodową.

- Kiedy go dostanę? Kiedy?

- Niebawem. Położna jest w drodze.

- Nie wciskaj mi kitu! Położna nie może mi podać epiduralu. Tylko tamten facet może.

Pielęgniarka wyszła i skurcz osłabi.

- Czy tam na dole coś się dzieje? - zapytała Jacqui. Wyjęła z torebki małą puderniczkę, umieściła lusterko

między nogami, ale nic nie widziała z powodu dużego brzucha.

- Cholera. - Potem obejrzała swoją twarz. - Spójrz na ten strzęp kobiety; czerwona i błyszcząca.

Uczesała się, umalowała usta i przypudrowała policzki.

- Kto by pomyślał, że poród jest tak nieatrakcyjny i szkodliwy dla cery?

- Wstań z łóżka i przykucnij. - W szkole rodzenia uczono nas, że kucanie przyspiesza rozwarcie. - Siła przyciągania jest twoim przyjacielem - przypomniałam jej. - Wykorzystaj to.

- Dziękuję, mądralo.

Czas mijał koszmarnie wolno. Gdy skurcze następowały co dwie i pół minuty, Jacqui powiedziała:

- Myślałam, że wcześniejszy ból był nie do zniesienia, ale ten jest jeszcze gorszy. Sprowadź tę cholerną pielęgniarkę, dobrze, Anno?

Niemal we łzach biegłam korytarzem, czując ulgę, że robię coś pożytecznego. Z przeciwnej strony biegła jakaś kobieta w zaawansowanej ciąży; była naga, mokra i miała oszalały wzrok. Jej śladem podążał jakiś brodaty mężczyzna, również nagi (i odrażający z pomarańczowo owłosionymi genitaliami).

- Ramona - wołał - wracaj do basenu porodowego!

- Pieprzę basen porodowy! - wrzeszczała Ramona. - Pieprzę ten cholerny basen. Nikt mi nie powiedział, że to będzie tak cholernie bolało. Biorę epidural.

- Żadnych znieczuleń - wołał Pomarańczowy Wacuś. - Umówiliśmy się: żadnych znieczuleń! Pragniemy przeżyć piękne naturalne doświadczenie.

- Sam sobie przeżywaj piękne naturalne doświadczenie. Ja biorę epidural.

Znalazłam tę samą pielęgniarkę. Ponownie zbadła Jacqui.

- Bzdury! Jestem wystarczająco rozwarta! Rzecz w tym, że nie chce ci się wyciągać tego anestezjologa z łóżka. Podoba ci się, co? No już, przyznaj!

Pielęgniarka zarumieniała się, na co Jacqui krzyknęła:

- Ha, ha! Zgadłam!

Jednak nie przyniosło to Jacqui niczego dobrego. Epidural wciąż nie nadchodził, a pielęgniarka przyłączyła się do Pomarańczowego w gwałtownym pościgu za Ramoną, która nadal odmawiała powrotu do basenu porodowego. Odgłosy tych trojga ślizgających się na korytarzu dostarczyły chwilowej rozrywki. W pewnym momencie zauważyłam, że jest dziesiąta rano, więc zadzwoniłam do pracy i zostawiłam wiadomość dla Teenie, mówiąc jej, co się stało.

Potem pojawiła się położna i długo majstrowała w „kanale” Jacqui.

- Boże, w tym wszystkim nie ma ani odrobiny godności -skarżyła się Jacqui.

- Powinnaś zacząć przeć - powiedziała położna.

- Nie zacznę przeć, dopóki nie dostanę epiduralu. O święty Boże! - krzyczała.

- Teraz to już trwa cały czas. Jeden długi pieprzony skurcz!

- Przyj! - ponaglała położna.

Jacqui sapała i dyszała gorączkowo, gdy nagle zasłony rozsunęły się dramatycznie i ktoś tam stał? Sam ponury Joey!

- Co on tu robi?! - krzyknęła Jacqui.

- Kocham cię.

- Zasuń te zasłony, idioto!

- Ta, przepraszam. - Zaciągnął za sobą zasłony. — Kocham cię, Jacqui. Przepraszam, tak mi przykro; jeszcze nigdy w życiu nie było mi tak przykro. Przepraszam.

- Mam to gdzieś! Wynoś się! Cierpię, umieram, a to wszystko twoja pieprzona wina!

- Jacqui, przyj!

- Jacqui, kocham cię.

- Zamknij się, Joey. Próbuję przeć. I nie ma żadnego znaczenia, czy mnie kochasz, bo już nigdy nie będę uprawiać seksu.

Joey podszedł bliżej.

- Kocham cię.

- Odejdź ode mnie! - krzyknęła Jacqui. - Odejdź ode mnie z tą swoją męską rzeczą!

Znowu pojawiła się pielęgniarka.

- Co się dzieje?

- Proszę, och, proszę, siostrzyczko kochana, czy teraz mogę dostać epidural?
- błagała Jacqui.

Pielęgniarką dotknęła jej szybko i pokręciła głową.

- Za późno.

- Co??? Jak to możliwe? Ostatnim razem było za wcześnie, a teraz jest za późno! Nigdy nie zamierzałaś mi go dać.

- Daj jej ten cholerny epidural - powiedział Joey.

- Zamknij się - padło z ust Jacqui.

- Przyj, nie przestawaj - ponaglała położna.

- Dobrze, Jacqui, przyj - mówił Joey. - Przyj, przyj!

- Niech mu ktoś powie, żeby się zamknął.

- Jacqui. - Oszupiała, gapiłam się w miejsce między jej nogami. - Coś się dzieje!

- Co?

- To jest główka - powiedziała położna.

No tak, główka. Oczywiście. Przez chwilę myślałam, że to wnętrzności Jacqui wychodzą na wierzch.

Główka wydostawała się coraz bardziej. O mój Boże, to był człowiek, prawdziwy nowy człowiek! To się dzieje codziennie, milion razy, ale kiedy widzi się to na własne oczy, to po prostu cud.

Potem pojawiła się twarz.

- To jest dziecko! - krzyknęłam. - Dziecko!

- A czego się spodziewałaś? - jęknęła Jacqui. - Najmodniejszej torebki?

Potem ukazały się ramiona, a z następnym łagodnym pchnięciem wyślizgnęło się całe dziecko. Położna policzyła paluszki u rąk i nóg.

- Gratulacje, Jacqui - masz śliczną córeczkę. Posepny Joey zalał się łzami. To było przezabawne. Położna owineła dziecko w kocyk, a potem podała je Jacqui.

Jacqui przytuliła córeczkę.

- Witaj na świecie, Treakil Pompon Yuitton Staniforth.

- Czy mogę ją zobaczyć? - zapytał Joey.

- Jeszcze nie. Podaj ją Annie. Niech na nią spojrzy.

W moich ramionach leżał mały tobołeczek z pomarszczoną buzią; nowy człowiek. Nowe życie. Jej mikroskopijne paluszki wyciągnęły się do mnie, a wtedy w moim sercu roztopiła się ostatnia drobina gorzycy związanej z Aidanem i rozpoznałam uczucie, którego wcześniej nie umiałam nazwać. To była miłość.

Podaliśmy Treakil Joeyowi.

- Zostawię was tutaj, żebyście się poznali - powiedziałam.

- Dlaczego? Dokąd się wybierasz?

- Do Bostonu.

Rozdział 20

Gdy samolot dotknął płyty lotniska Logana w Bostonie, wysiadłam z niego pierwsza. Z ustami zaschniętymi z oczekiwania podążyłam za znakami do hali przylotów. Szłam tak szybko, że zabrakło mi tchu, a droga wciąż wydawała się nie mieć końca. Spocona, stukałam obcasami po plastikowych posadzkach, odychając z trudem.

Bardzo dorosła torba objęła mi bok, a jedyną rzeczą kłójącą się z moim wyrefinowanym wizerunkiem był Piesio, którego głowa wystawała z owej torby. Uszy kołysały mu się entuzjastycznie, a on sam wyglądał tak, jakby oglądał wszystko, co mijaliśmy. Wydawał się to aprobować. Piesio wracał do swoich bostońskich korzeni. Będę za nim tęsknić, ale to była najlepsza rzecz, jaką mogłam zrobić.

Potem przeszłam przez automatyczne szklane drzwi i spojrzałam za barierkę, szukając złotowłosego dwulatka. Był tam, mały chłopczyk, w podkoszulku, niebieskich dżinsach i czerwonej czapeczce drużyny Red Sox. Trzymał za rękę ciemnowłosą kobietę stojącą obok niego. Raczej poczułam, niż zobaczyłam jej uśmiech.

Wtedy Jack podniósł wzrok, zobaczył mnie i choć nie mógł wiedzieć, kim jestem, także się uśmiechnął, pokazując małe, białe mleczone ząbki.

Poznałam go natychmiast. Jak mogłabym go nie poznać? Wyglądał dokładnie tak jak jego tata.

Epilog

Mackenzie poślubiła jakiegoś rozpustnego dziedzica kilku-setmilionowej fortuny, zbudowanej na żywności w puszkach. Jest właścicielem siedemdziesięciu pięciu luksusowych samochodów, ma upodobanie do jazdy po pijanemu i jest obiektem regularnych procesów o ojcostwo. Wesele kosztowało pół miliona dolarów i znalazło się we wszystkich rubrykach towarzyskich. Na fotografiach, choć wydawała się podtrzymywać pana młodego, Mackenzie wyglądała na bardzo szczęśliwą.

Jacqui, Joey i Treakil są nowoczesnym związkiem rodzinnym: Joey opiekuje się Treakil, gdy Jacqui spotyka się z Przystojniakiem Karlem, tym gliniarzem. Jacqui zmienia zdanie na temat „Głaszczących Piórek”, zwłaszcza że Przystojniak Karl (który naprawdę jest bardzo przystojny) jest tak samo zadurzony w Treakil jak w Jacqui. Trudno jednak zaprzeczyć, że jeszcze ciągle „iskrzy” między nią a Joeyem, więc kto wie...

Rachel i Luke są taką samą jak zawsze parą Piórkowców.

W pracy wszystko dobrze, poza tym, że Koo/Aroon i pozostałe dziewczynki-alkoholiczki z EarthSource znów się mnie czepiają. Poszliśmy, ja i Angelo (jako przyjaciele), na bal charytatywny na rzecz jakiegoś Centrum Rekonwalescencji Dwunastu Kroków i wpadłam na nie w recepcji.

- Anna! Co ty tu robisz?
- Przyszłam z Angelem.
- Angelem? Skąd go znasz?
- Poznałam go... po prostu.

Aha, mówiły ich oczy, po prostu? Po prostu jesteś jedną z nas, dlaczego się do tego nie przyznajesz?

Gaz uczy się reiki. Drzę na samą myśl.

Shake i Brooke się rozstali. Mówi się, że pan Edison mu za to zapłacił, chociaż Shake zaprzecza. Przypisuje to „nawałowi pracy”. Twierdzi, że znów miał przed sobą finały konkursu gry na niewidzialnej gitarze, a między godzinami ćwiczeń nie widywali się wystarczająco często.

Ornesto miał ślicznego przyjaciela, Australijczyka o imieniu Pat. Wydawało się, że będzie dobrze, zwłaszcza że Pat nie bił Ornesta ani nie kradł jego naczyń, ale potem Ornesto dostał rachunek telefoniczny na przeszło tysiąc dolarów i okazało się, że Pat odbywał codzienne rozmowy telefoniczne ze swoim byłym chłopakiem w australijskim Coober Pedy. Ornesto był zdruzgotany - znowu - ale znalazł pociechę w śpiewie. Teraz daje stałe występy w lokalu o nazwie Duplex, gdzie śpiewa *Zabijasz mnie łagodnie* i nosi damskie ciuchy.

Eugene, mój sąsiad z góry, ma „szczególną” przyjaciółkę, imieniem Irene. Jest miła i ma w sobie wiele ciepła. Czasem chadzają na występy Ornesta.

Helen pracuje nad jakąś nową sprawą. Bardzo ekscytującą. Colin i Detta nie dają znaku życia, odkąd wyjechali do Marbelli. Harry nie został aresztowany za próbę zastrzelenia Raceya O'Grady, a Racey go nie wskazał. Wygląda na to, że rządzą swoimi imperiami, tak jak robili to zawsze, co jest normalne w dublińskiej przestępczości.

Ja niemal co niedzielę chodzę grać w bingo z Mitchem. To świetna zabawa, zwłaszcza że okazuje się, iż ten nowy Mitch... a może to dawny Mitch... jest niesamowicie ambitny. Tańczy z radości, kiedy wygrywa, i dąsa się, gdy nie wygrywa, co jest bardzo zabawne; szczególnie to dąsanie.

Leon i Dana spodziewają się dziecka. Dana narzeka, że wszystkie symptomy ciąży są „okrrrrropne”, a Leon jest zachwycony, bo ma więcej niż kiedykolwiek rzeczy, o które może się martwić.

Na rynku labradoodli wyrównały się podaż i popyt, ale eleganckie towarzysstwo poszło dalej. Szczytem elegancji jest cocker spalzacki; skrzyżowanie cocker-spaniela z owczarkiem alzackim. Nie można go dostać za żadne pieniądze.

Kilka tygodni temu w gazecie pojawiła się wiadomość... zgadnijcie... o Barb! Wystawiła na sprzedaż obraz malowany przez Wolfganga, jej męża (no dobrze, jednego z jej mężów), i wywołało to wielkie zamieszanie w świecie artystycznym. Podobno ten obraz był przykładem krótkotrwałego, ale wpływowego ruchu działającego w latach sześćdziesiątych, zwanego „Szkołą Dupków”. Powodem, dla którego ten ruch trwał tak krótko, było to, że wszyscy jego protagoniści pozabijali się, powypadali z balkonów albo powystrzelali się nawzajem w pijackich awanturach o kobiety. Barb była ich muzą i głównym powodem samobójstw i pijackich strzelanin. Twierdzi jednak, że nie miała nic wspólnego z wypadaniem z balkonów. Teraz jest adorowana przez media i zasypywana pieniędzmi; dziennikarze desperacko chcą wiedzieć, z iloma ludźmi spała, ale Barb gotowa jest mówić tylko o tym, że to skandal, iż już nigdzie nie można palić.

Mama i tata mają się dobrze. Sytuacja z sikającym psem już się nie powtarza. Tata bardzo się ekscytował pierwszymi odcinkami *Beznadziejnych pań domu*, ale potem doznał rozczarowania. Twierdzi, że Teri Hatcher to nie to co Kim Catrell.

Dziwna przyjaciółka Neli poddała się innemu leczeniu i teraz nie jest nawet w połowie tak dziwna. W przyćmionym świetle mogłaby uchodzić za normalną.

Regularnie spotykam Nicholasa. Przyprowadziłam go na przyjęcie z okazji przyjścia na świat Treakil. Oczarował wszystkich, konwersując na tematy tak różne, jak filmy Fassbindera (Nicholas - kinomanem, kto by pomyślał?!) i pogłoski, że przez Shopping Channel przekazywano zaszyfrowane wiadomości dla Al-

Kaidy. Wszyscy stwierdzili, że jest „wspaniały”, a Prawdziwi Mężczyźni zaadoptowali go jako maskotkę.

Pewnego dnia wróciłam do domu po zajęciach pilates. Było ciepłe popołudnie i zwinęłam się w rogu kanapy stojącej w słońcu. Poczulałam się senna, zaczęłam odpływać, a granica między świadomością a snem była tak cienka, że kiedy zapadłam w sen, przyśniło mi się, że się budzę. Przyśniło mi się, że jestem na kanapie, w moim pokoju, właśnie tam, gdzie byłam.

Nic dziwnego nie było w tym, że nagle zastałam obok siebie Aidana. Cudownie było go widzieć i czuć jego obecność.

Wziął mnie za ręce, a ja patrzyłam w jego twarz, taką bliską, taką kochaną...

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Dobrze, już lepiej, niż się czułam. Poznałam małego Jacka.

- Co o nim myślisz?

- Jest słodki, totalne cudeńko. Właśnie o nim chciałam ci powiedzieć, tak? Tego dnia, kiedy umarłeś?

- Tak. Janie powiedziała mi o nim kilka dni wcześniej. Tak bardzo się martwiłam, jak zareagujesz.

- Cóż, teraz czuję się dobrze. Naprawdę lubię Janie... i Howiego. Często widuję się z Kevinem i z twoimi rodzicami. Jeżdżę do Bostonu albo oni przyjeżdżają tutaj.

- Niesamowite, jak to wszystko się układa, prawda? -Tak.

Siedzieliśmy w milczeniu, a mnie nie przychodziło do głowy nic ważniejszego niż to, żeby mu powiedzieć „KOCHAM CIĘ”.

- Kocham cię, Anno. Zawsze będę cię kochać.

- Ja też zawsze będę cię kochać.

- Wiem, ale nie ma nic złego w tym, jeśli kocha się także innych ludzi. Będę zadowolony, jeśli kogoś pokochasz.

- Nie będziesz zazdrosny?

- Nie. I nie stracisz mnie. Wciąż będę z tobą. Ale nie będę cię przyprawiać o gęsią skórę.

- Odwiedzisz mnie znów?

- Nie w taki sposób. Ale szukaj znaków.

- Jakich znaków?

- Zobaczysz je, jeśli będziesz się rozglądać.

- Nie wyobrażam sobie, abym mogła pokochać kogoś innego.

- Ale pokochasz.

- Skąd wiesz?

- Bo teraz jestem wtajemniczony w takie informacje.

- Och, więc wiesz, kto to jest? Zawahał się.

- Doprawdy nie powinienem...

- Proszę, powiedz - przymilałam się. - Jakiż byłby sens twojego przybycia z zaświatów, gdybyś mi czegoś nie dał?

- Nie mogę podać ci jego dokładnej tożsamości.

- Chociaż w przybliżeniu?

- Mogę ci tylko powiedzieć, że już go znasz.

Pocałował mnie w usta, położył dłoń na mojej głowie niczym w geście błogosławieństwa i zniknął. Wtedy się obudziłam, nie czując przejścia ze snu do świadomości. Głęboki spokój był we mnie i wokół mnie, a na głowie wciąż czułam ciężar i ciepło jego ręki.

Naprawdę tu był. Byłam tego pewna.

Siedziałam bez ruchu, krew płynęła we mnie wolno jak melasa i czułam cud oddychania... wdech i wydech... wdech i wydech... Koło życia.

I wtedy go zobaczyłam; zobaczyłam motyla.

Zupełnie jak w tych wszystkich książkach, które czytałam.

Szukaj znaków, powiedział Aidan.

Był piękny: niebiesko-żółto-biały, z koronkowym wzorem, a ja znów przypomniałam sobie, że motyle to tylko ćmy w kosztownych haftowanych zakieciakach.

Fruwał po pokoju, lądując na naszej ślubnej fotografii (już wcześniej przywróciłam wszystkie zdjęcia Aidana na ich właściwe miejsca), na moich oprawionych zdjęciach rentgenowskich, na transparencie Red Sox, na wszystkim, co miało znaczenie dla Aidana i dla mnie. Zwinięta na kanapie, zahipnotyzowana, jakbym skamieniała, obserwowałam ten spektakl.

Przysiadł na pilocie do telewizora i zamachał skrzydłami z taką szybkością, że wyglądało to, jakby się śmiał. Potem dotknięciem, które ledwie czułam, musnął moją twarz, brwi, policzek, skraj ust. Całował mnie.

Wreszcie pofrunął ku oknu, usiadł na szybie i czekał. Czas wracać. Na dzisiaj dosyć.

Otworzyłam okno i do wnętrza wpadł gwar; tam, na zewnątrz, był wspaniały, wielki świat. Na pięć czy sześć sekund motyl przysiadł na parapecie, a potem odfrunął; mały, odważny i żyjący własnym życiem.

Podziękowania

Ta książka nie powstałaby bez wsparcia niezliczonych szlachetnych i pomocnych ludzi. Szczere podziękowania kieruję do:

Louise Moore - mojego cudownego wydawcy - za jej bezwarunkowe wsparcie, nieocenione wskazówki, wyobraźnię oraz wizję tej i wszystkich moich książek. Każdy autor powinien mieć takie szczęście.

Jonathana Lloyda, księcia wśród agentów.

Caitriony Keyes i Anne Marie Scanlon za życiowe wsparcie, nowojorskie informacje i przede wszystkim za... Głoszące Piórko.

Nicki Finkel, Kirsty Lewis, Nicole McElroy, Jamie Ne-dwick, Kim Pappas, Aimee Tusa i szczególnie Shoshanie Gil-lis dziękuję za to, że pozwoliły mi wejść we wspaniały świat kosmetycznego PR.

Dziękuję też Gwen Hollingsworth, Danielle Koza i Mags Ledwith.

Patrickowi Kilkelly oraz Allison Callahan za informacje o drużynie Red Sox.

Conorowi Fergusonowi i Keelinowi Shanleyowi za ich opowieść o nurkowaniu oraz Malcolmowi Douglasowi i Kate Thompson za informacje o technice nurkowania (wszystkie błędy są moje).

Nadine Morrison za informacje o labradoodlach (naprawdę istnieją).

Jenny Boland, Ailish Connelly, Susan Dillon, Caron Freeborn, Gai Griffin, Ljiljanie Keyes, Mamie Keyes, Ricie-Anne Keyes, Suzanne Power i Louisie Voss za lekturę rękopisu na różnych etapach oraz dostarczanie nieocenionej pomocy i zachęty.

Eibhin Butler, Siobhan Coogan, Patricii Keating, Stephanie Ponder i Suzannie Benson za przydatne anegdoty o wszystkim: od randek w ciemno do bólów porodowych.

Kate Osborn, która aby stać się postacią tej książki, zapłaciła za „Jacqui Staniforth” na aukcji Medycznej Fundacji na rzecz Opieki nad Ofiarami Tortur.

Specjalnie podziękowanie składam Eileen Prendergast za wiele rzeczy, włącznie z towarzyszeniem mi podczas mistrzostw w grze na wyimaginowanej gitarze.

Jeśli kogoś pominęłam:

a)wstydzę się

b)naprawdę przepraszam.

Mojemu ukochanemu Tony'emu jak zwykle dziękuję za wszystko. Zawsze i wszędzie.

LR